

# Bolesław Chrobry II Szło nowe

Antoni Gołubiew



calibre 0.7.3

**ANTONI GOŁUBIEW**

**Bolesław Chrobry**

**Tom - II**

**Szło nowe**

# **Część Pierwsza**

## **Końskie Czaszki**

1.

Mokry śnieg leżał grubymi płatami na płaskich gałęziach jedliny. Topniało. Ciężko padały krople. Między czubami drzew przeleciał zestraszony sokół, śmignął ukosem jak strzała.

Wiewiórka zeskoczyła z gałęzi, rudym ściegiem mignęła po szarzyźnie śniegu. Las szumiał. Spotkanie nastąpiło niespodzianie, oba oddziały nie wiedziały o sobie. Wilgotną ciszę szumiącego lasu przebił nagły, ostry okrzyk: "Ee hej!" - wiewiórka pierzchła na pień, jakby ją zmiotło. - "Eee... hej!" - znikła w dziupli. Omszałe stwoły świerków - szare i rosochate - zagęszczały się ciasno-ciasno; wykroty, korzenie; płat śniegu spadł na ochrowy żwir; białe, gliniaste, zielone, czarne. Po raz trzeci szybki okrzyk - nagły, przerażony. Tupot nóg, liczne nogi, śnieg się sypie. Wrzask. Szybko się gęszczą ślady stóp, zapływają wodą, czernieją. Wrzask, ryk, zamieszanie. Zasapany bas Bolesława: "Drużyyna!" - i odzew: "Bolesław! Bolesław!" - Kwik, coś runęło między krze, w jamę zleciał kadłub głową w dół, z gęby krew, oczy zachodzą mgłą, ciemnieją, bieleją; poprzez mgłę widzą czarne, całkiem czarne wierzchołki drzew, jak kołyszą się, unoszą, idą w niebo, prosto w szare, niskie niebo.

Kotłuje się w gęstwinie. Wycie. Sapanie. Szczęk.

Poszli w głąb.

Bolesławowi pognali Węgrów, rozproszyli, pędzili.

Nielub wracał zasapany, przedzierał się przez chaszczę. Za nim człapało trzech Węgrów, dłonie mieli przykrępowane do drzewca włóczni puszczonej im między nogami - ani myśleć o ucieczce. Nielub był rad. Śnieg mu spadał na spocony pysk, chłodził rozkosznie. W znużonych ramionach, lędzwiach ciepłe, łaskotliwe odprężenie. - Trzech jeńców, trzy pary rąk dla Orczycy. O wa! Przeciągnął się.

Trafił na wykrot: rudy żwir. Chciał minąć, spojrzął: w dole leży woj, wywrócony na wznak, głowa nisko, nogi na skłonie, rozrzucone, widać zdeptane podeszwy skórzni; lewe ramię zawinięte na twarz, prawe z boku, palce wykręcone, wbite w piach. Nielub zawahał się, spojrzął po jeńcach: baraniami oczami gapili się na zewłok. Złość chwyciła Nieluba, z rozmachem trzasnął pierwszego w ucho; tamten zgrzytnął zębami, targnął dłonie, drąg ucisnął towarzyszków w kroku, sieknęli, charkotem jęli wymyślać, po obcemu, nie zgadniesz - Nielubowi czy swemu. Nielub znów powiódł okiem po zewłoku, zoczył łańcuch na piersi, poznał brata po tym łańcuchu. Buchnęło odczucie: radość zalewająca gardło, gębę, wątpia. Stojgniew zabity! lelum! Nachylił się nad wykrotem, dychał gęsto. Oderwał wzrok, pobiełymi oczyma powiódł po lesie: las był biały od śniegu, czarny od mokrego igliwia; mocno pachniał tą czarną zielenią. Wyrwa ziemi przelewała się złotem i śniegiem. Na żwirze zewłok Stojgniewa. Dadźbog!

Równymi nogami zeskoczył w dół. Radość wciąż mu szalała we wnętrzu. Trzech jeńców mruknięto z cicha do siebie, krzywo pochyleni pokuszykali w las; drąg dyndał im między nogami. Nielub klęczał nad bratem, odchylił mu z twarzy ramię: Stojgniew patrzył krwistymi białkami, cała gęba w czarnej, stężałej krwi. Nagle radość przesłoniła się grozą, przeszła brzuch lodowatym sztyletem, pod szłomem zjeżyła mokre włosy. Zesztywniał Nielub, pochylił się jeszcze bardziej,

znów poprzez grozę jęła majaczyć radość, radość, radość. I usłyszał cichy jęk Stojgniewa.

Usłyszał jednocześnie: las szumiał. Znikła radość i groza, wrócił świat. Przypomnił bitkę, jeńców, wstał, wyrzwał z wykrotu: Węgrów nie było; po śniegu ciemniał zabłocony ślad. Nielub chwycił garścią za korzeń wywalonej jedli, podźwignął się, wyskoczył. Wielkim susem pobiegł po śladzie, radość i groza zlała się w duszącą wściekłość, z pochylonym łbem przedzierał się przez świerczak, gałęzie pokrwawiły mu twarz, stękał z gniewu. Zagajnik urwał się, pod górę szedł rzadki bór, grube stwoły biegły w zygzak, w szachownicę, między drzewami mignęła mu trójka Węgrów, niezdarnie karabskali się w górę, jak sześcionożny, potworny skorupiak. Szczeknął krótko, skoczył, śnieg tu leżał na sprężystym mchu, objechał pod stopami, Nielub pośliznął się, upadł. Chwilę leżał twarzą w zimnej mazi, z wściekłości nie miał sił wstać, kąsał śnieg, mech, korzenie. Zadarł głowę, Węgrzy znikli między drzewami, pobiegł półpochylony wprost pod górę, jak leśny zwierz. Dopadł ich na szczycie, usłyszeli go, usiłowali biec, nie zdołali, pierwszy potknął się, upadł, pociągnął innych. Nielub prędko, w pośpiechu, rąbnął trzy razy toporem w leżące głowy, w wytrzeszczone gały: jeden skurcz dreszczu przebiegł trzy ciała. Nielub nie obejrzał się na nich, biegł z powrotem, zwolnił w zagajniku, sapał, szedł wolno, rozważnie uchylał gałęzie; coraz leniwiej zbliżał się do wykrotu. Doszedł, stał chwilę bezmyślnie, nachylił się, wyciągnął zewłok za nogi; nie szukał rany. Podjął brata pod pachy, obojętnie - by obcego - zarzucił na bark, głowa i ręce zwisały mu na plecach, plamiły krwią. Półpochylony ruszył do obozowiska. Nienawiść, zawód, gorycz rosły w nim, rosły, rosły.

Stan z daleka grał gwarem. Buro świeciły namioty. W płaskiej dolinie - z lewa - stadnina drużyny: nie piąć się koniom po górach. Przeciągle basował róg trzema tonami - długim, niskim jak drżenie ziemi, dwoma krótkimi jak skowytanie. Woje wybiegali przed stan, gapili się na kupy wracających. Tamci tupali od lasu, wiedli jeńców, krzyczeli, potrząsali bronią. Bolko widniał z dala, latoś przywieźli mu pancierz z Italii, złoty cały, lubił ten pancierz, świecił na staje. Pogrubiał, rozrósł się. Podle dreptał siostrzan, Włodek Kosy, niski był, kiwał się na boki. Nielubowi oczy zalewała krew ze zmęczenia, ledwo zipiał. Ujrzeni go, krzyki poszły, jeden-drugi wyskoczył zobaczyć, co niesie. Pierwszy doleciał Dzik, wrzasnął:

- Węgra ułowiłeś?
- Brata - odburknął Nielub ze złością.
- Brata? Hum, hum...
- Pójdiesz wen.

Dzik nie zważał, podszedł, odchylił łeb Stojgniewa. Cofnął się.

- Lelum!
- Pomóż. Nie zdołam dźwigać.

Tamten nie zważał. Co tchu pobiegł do Bolesława. Po obozie szła już wieść, skoczyli patrzeć: Stojgniew, Stojgniew! Wraz zdjęli go z karku Nieluba, ośmiu chłopów chwyciło za końce sulic, ułożyło

na nich rannego, Przemko podtrzymał głowę, wraz garście skleiły się mu od juchy. Przez ciżbę przepchał się Bolko, niosący zatrzymali się, Bolko, pobladły z gniewu i żalu, krzyknął w głos:

- Wolno ji nieść, psiekrwie. Wolej, by dziesięć koni mi ubiły niżli Stojgniewa.

I zaraz:

- Gdzie Nielub?

Wypchnęli go. Bolko uchwycił chłopca za kark, przybliżył twarz do swej twarzy, tchał w gębę:

- Ubit?

- Nii...

- Jako mu?

- Nie wiem.

- Kajs ji nalazł?

- W wykrocie, głową w dół. Cały piach pełen juchy.

- W wykrocie, mołwisz?

- Uhm.

- Przydźwigałeś ji?

- Brat - Nielub ruszył ramionami.

- Naści to - zerwał łańcuch z pancerza, narzucił na Nieluba i znów do niosących:

- Wolno tam... pomału...

Dyrdali by na pogrzebie. Bolko zły; kajs zapodziała się wrzawa po bitwie. Pociągał ciepły wiatr, pachniało mokrą ziemią, nalot śnieżny tajał, ciapkali po kałużach. Wnieśli Stojgniewa do namiotu, złożyli na skórach. Bolko został przed namiotem, zapatrzył się. Góry stały dalekie, gniotły sinym wałem lasu, świeciły srebrnymi czapami. Zwały chmur darły się o nie, siadały po dolinach. Rzeka z lewa ryczała spieniona i gniewna. Wzrok Bolka był pusty jak powietrze. Zacichli, czekali.

Zagryzł, jak koń, któremu przeszkadza wędzidło, zawołał:

- Puchała!

Starogniew wysunął się z ciżby. Ciągał nosem, lało się mu z nosa. Spode łba patrzył na księcia.

- Gotuj drużynę, Puchała. Pod wieczór pójdziem. Starogniew smarkał się, charkał, milczał.

Bolko zmarszczył brwi, spytał:

- Co ci?
- Niedobrze iść w góry pod wieczór.

Bolko parsknął:

- Jutro nam być u grodu Saros.

Puchała chwycił nos w garście, smarknął na ziem, plunął, ochrypłym głosem rzekł:

- Węgry mołwią: Sajo wylała, Dunajec wylał, Poprad wylał.

Bolesław spojrział w lewo na ryczącą rzekę, zawahał się, poźrał po stłoczonych wojach. Przemko wykrzyknął z ciżby:

- O wa! Puchała stary chrzan.

Starogniew nie obrócił głowy - dawna to była zwada między Starogniewami a Świradami - sarknął w półgłos:

- Obliz mleko z gęby.

Bolko zniecierpliwił się:

- Przewodników masz?

- Mam.

- Co mołwią?

- Że niedobrze. Jen pry: nie przejdziecie, jen: nieprzezpiecznie. Rzeki wezbrane, brzegi rwą, niosą grubachne stwoły. Z gór śnieg wali, może zasypać.

Bolko znów spojrział na siny wał gór z lśniącymi czapami, tupnął nogą, krzyknął:

- Trza iść. Węgry, cośmy ich pobili, wróca, ostrzegą. Szczepan wojów zwoła, trza zaskoczyć.

Puchała pociągnął nosem, spojrział zażawionymi oczyma:

- A no! - odwrócił się, ze złością przepchał się przez tłum, łokciami szturchał, poszedł. Za nim na długich giczołach powlókł się Jeż. Puchała zrzędził nudnie, starczo:

- Mieszka takóž chrobry był, Ziemomysł takóž. A wždy rada to rada, wiec to wiec. Pry wojewoda: niedobrze pod wieczór iść, a żabibij z kupy: "Puchała stary chrzan". I Bolko duma takóž: "Puchała stary chrzan". Wraz napędzą Puchałę kiej poćpiegę, obaczycie. Niedobrze, niedobrze. Obaczycie, synkowie. Drzewiej nie tak bywało, inny ład. Tfu!... Bolko kazał wołać Nieluba:

- Szukaj Zefrida, niechże piecziwie chodzi koło Stojgniewa. Powozem ji wieź do Orczycy, słysz. Komornika ci dam. Pod wieczór ruszym w góry.

Nielub przestępował z nogi na nogę, wargi miał ściśnięte.

- Ksze...

Bolko już się odwracał, przystanął.

- No?

- Ksze!... - Nielubowi momotało w gębie - weźcie mię na Węgry.

Bolka twarz się ściągnęła, zrobił nagły krok do Nieluba, zasyczał.

- Ej ty, Nielub, nie przeciw się. Wiem, żeś ty na Stojgniewa krzyw, nienawidzisz go, choć on ci brat i starosta w rodzie. Wiedz i ty: dowieziesz Stojgniewa w pieczy, ozdrowieje, będę ci to pomnił. Nie będziesz miał pieczy nad nim: i to będę pomnił. Ej, Nielub, Nielub...

Zajrzał mu w oczy.

- Ty ślepi nie mruż, wiem ci ja twoje dumki, twoją złość. Małom cię wtedy w łaźni bił, nie doszło. Mogę dodać. Chcesz?

- Nie - warknął Nielub i odszedł. Nieugięty był. Orczyk. Bolesław koniec wąsa nawijał na palec, raz po raz, w zamyśleniu.

Pod wieczór przyjechała Adelajda, Belkowa siostra, która była wprzód za Gejzą węgierskim, nynie za Kupanem. Zimą jeszcze uciekła do brata przed pasierbem - Szczepan zawziął się na nią i na jej synów. Bolko wtedy Weletów wojował, teraz wybrał się na Węgry, obaj Kupanowice byli z nim razem. Kosy Włodek, na którego Węgry wołali Żar, i Wasul. Adelajdę zostawił Bolko w Krakowie, nie strzymała, gorąca była, przyleciała za drużyną i synami. Jechała okrakiem, po męsku, koń był spieniony, wiodła go pewną ręką. Woje patrzyli kupami na to dziwowisko, latały sprośne docinki, ale drużyna lubiła babę, wesoła była, istny chłop. Bolko się obruszył.

- Czegoś tu?

Była bardzo podobna do brata, szeroka, rozrośnięta, płowo włosa - dla włosów tych wołali na nią Biała Knięgini. Nie zląziła z konia, uderzyła otwartą dłonią po udzie, zaśmiała się:

- Abo nie nadam się?

Bolesławowi śmiech latał pod wąsami, ale się nie rozmarszczył.

- Ejże - burknął - jak ci wiatr kieckę odwieje, woje ciebie patrzeć będą, nie Węgrów. Taka to korzyść z białki.



Czerwony gniew przeleciał jej przez twarz.

- Bolko!

- Wracaj, mołwie.

- Nie wrócę. Z miejsca nie ruszę.

- Ejże! - Bolko zaszedł koniowi z boku, cienkim prętem ściobnął go po zadzie. Żrebiec skoczył w bok - i przed siebie! Adelajda ściągnęła powody, chwilę się tarmosiła, okiełzała wierzchowca, wracał wolno, uparcie drobiąc kopytami, szarpiąc ściągniętym łbem, gniewnie łyskając oczyma. Adelajda śmiała się szeroko, w pełny głos. Bolko również się zaśmiał.

- Odprawię cię z wojami.

Chwyciła za lęk, zeskoczyła. Śmiech jej zamarł, znów gniew pokrasił lice. Szybko podeszła do brata, szła niezgrabnie, kiwała się w biodrach. Powiedziała zduszonym szeptem:

- Bolko, słysz, weźmiesz mię. Nie bzdycz. Ja nie klucha, wiesz. I miecza się nie stracham. A chcę być tam razem... Bo ty sam - nieufnie zerknęła na brata.

- Myślisz ujarzmić mię?

- Myślę bronić swych praw.

- Synów twoich biorę.

- Ech! Włodek koso patrzy na Wasulę, aż całkiem oczy skosił, Wasul na Włodka, sami gotowi się porznąć. Ciebie pilnować chcę, ale i synów.

- Wiele pilnowania na jedną białkę.

- Starczy.

Spojrzeli na siebie. W stanie już grały rogi, drużyna gotowała się. Przyleciał Płeszka:

- Puchała mołwi, że gotów. Bolko odetchnął głębiej.

- Niech wiedzie.

Oboje z Adelajdą, wsparci o siebie ramionami, patrzyli, jak spoza namiotów wysypały się konie, ludzie, hełmy, włócznie, topory, migające kopyta, rozwiane grzywy, tupot, wrzask, bezładna, rozpędzona kupa, waląca brzegiem Dunajca na południe. Bolkowi nagłe wzruszenie, pełna niecierpliwości namiętność przepełniła serce, obejrzał się z pośpiechem, krzyknął pełnym głosem:

- Konia mi! Konia! Żywo.

W długich szczupakach jechała Adelajda za bratem i drużyną. Błoto tryskało spod kopyt, chlapało na ubranie, na twarz. Białe czapy na sinym wale gór zapływały drgając purpurą. Dunajec ryczał rozjuszony.

2.

Mały Zefrid nie należał już do dworu Ungera; był kapelanem księcia. Unger zrazu wymawiał Bolkowi odbicie Zefrida; Bolko śmiał się szerokim, głośnym śmiechem. Szły lata. Zefrid służył wiernie, radził bystro. Bolesław był mu rad.

Podrzył się z Nielubem. Krążył koło Stojgniewa jak ćma wokół ogniska; Stojgniew nie lubił go. Kapelan pochlebiał Nielubowi. Pokochali się.

Bolko zostawił Zefrida dla pieczy nad Stojgniewem.

Stojgniew odchylił głowę, uwierał go zagłówek. Słyszał szum, dziwił się, ogarnęła go leń. Nie chciał myśleć. Naraz przypomniało się samo: kosy Węgier, warg obwisła, wąs cienki, czarny, próbował pchnąć go mieczem, musiał drugi nadlecieć, tępy stuk w głowie, Stojgniew pada między krze, do tyłu, oczy zachodzą mgłą, widzą czarne, całkiem czarne wierzchołki drzew, jak kołyszą się, idą w niebo, prosto w szare, niskie niebo. Szumi las.

Poprzez szum targnął nim strach, Stojgniew odemknął oczy, zamknął. Znów odemknął. Obrócił głowę, zabołało, jęknął. Szum rósł nad las, nad niebo.

Z rana Zefrid odprawiał swe chrześcijańskie zaklęcia. Odczytywał modlitwy, ranę obmywał święconą wodą, przykładał krzyż do bladych warg Stojgniewa. Po nim wsuwał się wieszczek, stary grzyb, wołali nań Pach, przysłał go Puchała - Starogniew z dawna lubił starszego Orczyka. Pach był niski, krzepki, barczysty, szczerć miał kolczatą, białą, oczy małe, patrzył chytrze, mocny wieszczek był. Często na wyprawy z Bolkiem chadzał, bają mało-wiele zaklinał, lecz jeśli go wzięli, zawsze moc była bydła i niewolnika. Zefrid gromił wszystkich, że poważają Pacha, mawiał, iż diabłu służy; jeno Bolkowi do oczu nie skakał. Wieszczek bobonił mądrze, gusła znał i wróżę; krzyża bał się, jakoweś dla obrony przed nim znaki palcami czynił; wesoły był człek. Lubiano w drużynie Pacha.

Gdy Zefrid odszedł, poczynął Pach swe zabobony. Szeptał i odganiał Kyryi Krysti, potem dmuchał w ranę przeciw praktykom Zefridowym. W końcu zioła wyciągał z za pazuchy, mruczał nad nimi, rozcierał w garści na proch, przykładał do rany. Gdy Zefrid wracał, był zły: znów obmywał ranę z ziół, powtarzał swe zaklęcia i dawał do całowania krzyż.

Obaj wiedzieli: który uratuje Stojgniewa, łaskę księcia mieć będzie. Jeden drugiemu szkodził, chodzili do Nieluba na skargi. Nielub marszczył się zły, spluwał, kłął. Zefrid przedkładał:

- Pach diabłu służy, nie Bogu, diabli pomiot. Brat wasz chrześcijanin jest, Bolkowy woj, diabeł mu szkodzić chce, nie lza mu przy mnie, nasłał Pacha. Napędźcie suczego syna: i srom, i grzech. Napędźcie, sulę wam po przyjaźni.

Nielub wbijał w Zefrida ponure, niechłopięce oczy, supłał przez zęby:

- Ejże, wasza rzecz z diabłem się dołąć. Nie moja. Pilnujcie brata.

Przychodził do Nieluba Pach, marszczył kolczatą gębę, sypał skargami gęsto, oczyma wkoło biegał:

- Niedobrze, panie, tfu! na błota, na czarne wody! Ziele przykładam, dobre ziele, mocne. Przychodzi Zefrid, ziele wen, wodą myje. Źle starą ranę wodą myć, gnije rana, śmierdzi, pełna zielonej ropy. Wkoło ogień, bredzi wasz brat. Ja mu stopy gorczycą mażę, Zefrid wyciera. Mołwię mu: “Ksze, trza ogień odciągnąć”, a jen żegna mię, tfu! na bajora, na plesa! Starogniew wołał mię i rzekł: “Pach! Wyżyje Stojgniew, nóż ci żelazny dam a sukna bławego, a kuty róg. Słysz, Pach! zemrze Stojgniew, będę cię biczem siekł na śmierć, do końskiego chwosta przywiążę. Ty się pilnuj”. Jakże, panie, rzeknijcie?

Nielub odpowiadał:

- Bacz tegdy, by ci bicz nie pociął skóry na runo... - Pąch drapał się w głowę... chytrymi oczyma przewiercał Nieluba: co mu? Chceli, by mu brat pomarł?

Nielub sam nie wiedział, co mu jest. Wszystkie te lata w drużynie chadzał, zżył się z bratem; rzadko go zawiść gryzła. Do Orczycy zaglądali ze dwa razy na rok, razem, udo w udo, konie niosły chybko, drzewa migąły. Na skraju puszczy błyskał im trupi rząd czaszek na ostrokole i czerniejący z wolna nowy gród u brodu: wtedy dawna niechęć buchała nagłą pożogą. Latorosłka witała braci tupotem bosych nóg. Smardy kłaniały się w pas - dom znowu pełen był ludzi. Turoń przychodził z Ledargowego grodu z pokłonem: Nielub puszył się. Dąbrowa szumiała za dworzyszczem. Wisła szaro plaskała sennym nurtem. Kołowały wrony. Zapadali w ciszę, w sen.

Razem z bratem siadywali przed ogniem, razem chodzili na zwierza. Kapały jednostajne dni. Brat był wesół, rżał by źrebiec, cknęło mu się doma. Miesiąc jeszcze nie zmienił się na niebie, gdy zrywał się z ławy, mówił prędką, niecierpliwą zadyszka:

- Trza nam do Bolka, Nielub!

Nielub wracał chętnie, bez żalu. Odjeżdżających żegnały końskie czaszki martwym spojrzeniem oczodołów. Kiedy je las przesłonił, urok szczeł.

Tak zawsze bywało.

Zefrid wyszedł przed namiot, Nielub siedział na łubie z przyodziewą, pustym wzrokiem wodził po górach; tęsknota darła mu pod żebrami: iść by z Bolkiem, Węgrów bić, łup brać, niewolnika. Umarlaka miej w pieczy, psia mać! babia to robota, Pacha abo Zefrida, nie wojacka. Kapelan przysiadł podle, czarnymi oczyma wiercił, nie gwarzyli nic. Jodły szumiały wysokimi czapami. Stojgniew nieprzytomnie pojękiwał za skórą namiotu. Burczały monotonne zakłęcia Pacha. Koniuch pokrzykiwał.

Minęły trzy dni, nadeszły kolesa Bolkowe - długi wóz, suto moszczony, z trzema tarczownikami; przewodził im Gwozd. Mieli Stojgniewa powozem wieźć do Orczycy. Gwozd pilił, bał się, że mu droga rozkiśnie i konie nie uciągną. Wynieśli Stojgniewa - wciąż nieprzytomnego - złożyli na miękkich skórkach. Zefrid jurzył się, skrzeczał, trzął się nad drugim księdza, Pąch bobonił, Nielub oczyma wodził po górach. Gwozd swarzył:

- Ni koła, ni sanie, jakże tu powoź wieść. Wy, panie, świadczcie, jakem pośpieszał. Dadźbog! Inoino,

a dżdże chlupną, wtedy nie przejechać.

- Obaczym, jak powiedzisz - burczał za milczącego Nieluba Zefrid. - Pomnij, żeby stan wszędy był, konie świeże, żarcie i picie. Druga księdza wieziemy.

- Ruszaj! - krzyknął z nagłym zniecierpliwieniem Nielub. Smard, wiodący konie, zahukał, zaplaskały kopyta, ruszyli na północ.

3.

Szła wiosna. Powietrze żarło śnieg. Drogi się rozciapkały, koła grzęzły. Trzaskały baty, woły się napinały, deptały w miejscu, przystawały zniechęcone, nie zważały na razy. Konie biły kopytami, kręciły się, rzucały się nagłymi szarpnięciami. Ludzie podpierali ramieniem kłonice, zakładali drągi, podważali, grzmocąc trzonkami batów w płowe karki, ryczeli:

- Eeej! ooo! Ruszta się...

- Małe, ooo!

- Ooo!

Cała droga do mostu była zawalona obozem, wozy a wozy, parę sani. Ludziska spoceni, bez kożuchów, w lnie jeno, pchają, pyskują. Wyżej kostek brodzą w błocie, klną. Komornik ksiązęcy, Ludek, z wiewiórczą gębą, ostrymi uszama, ostrym wąsem, wierci złymi oczkami, krzyczy, pogania. Stanęli, rozdziawili gęby, nie słuchają.

Olszyna po bokach pachnie cierpko, brzoza sypie bazią. Zimne obłoki świecą spoza gałęzi. Niebo zielonkawe, złote. Ludzie przystają, oparci o drabiny, patrzą w puszcę. Milczą. W piersi zatajona złość, stara, bezsilna, niewiosenna. Głębiej między drzewami leży jeszcze śnieg, puszcza wieje chłodną wilgocią. Od puszczańskiego zapachu gniew w piersi rośnie. Milczą.

Ludek biegnie wzdłuż wozów, błoto mu tryska spod nóg, krzyczy:

- Pogaaa...niaj! Do zachodu trza dojechać grodu. Pogaaa...niaj!

Nie ruszają się.

Zoczył: kupa. Zebrali się, uradzają. Wali na nich, mała gęba jeszcze się mu skurczyła, wąsy pod nos podłazą. Przyskoczył, warknął:

- Wy cóż?

Spod kołtunów patrzą nań tępo oczy, gęby - czerwone. Milczą. Ludek wodzi wzrokiem od jednego do drugiego, szuka, wybrał.

- Ty, Kłęb, czemu stoisz? Co? Poganiaj!

Kłęb przestąpił z nogi na nogę, obrzucił spojrzeniem gromadę, burknął:

- Oje mi pękło. Nie poradzę. Ludek zatrzęsł się z gniewu.

- Oje... oje pękło... psia mać... oje... Pokaż.

Kłęb ustąpił krok, wskazał palcem, powiedział zduszonym szeptem:

- Patrz.

Ludek schylił się, pomacał ręką drąg: był pęknięty. W tej chwili poczuł tępy ból w potylicy, w ustach gorącą krew, padł twarzą w bagno. Kłęb podniósł znowu kłonicę, w oczach szaleństwo, stęknął, z rozmachu trzasnął tuż u nasady czaszki. Jak stali, gromadą rzucili się na trupa, bili, kopali, siekli batami. Za trud, za poniewierkę, za ciężary, za błoto. Och!

Odchłynęli z nagłą, krew odpływała od głów. Z puszczy powiało chłodem, spojrzeli po sobie, po trupie, po puszczy. Zdusił strach w dołku.

Posypały się słowa - urwane, trwożne.

- Lelum!

- Księżzowy człek.

- Co robić?

- Lelum, co robić?

- W dyby wezmą.

- Gad przeklęty.

- A ty, Kłęb, wraz do kłonicy.

- Milcz. Wszyscy bili.

- Prawdać. Wszyscy bili.

- Co robić?

Spojrzeli po sobie psim, przestraszonym spojrzeniem. Stary Szysz zabiedolił:

- Trzeba to było... ludkowie, ludkowie. Teraz wezmą nas do grodu, w jamy rzuca, nie pożrę ni synów, ni wnuków - pomarszczonymi, suchymi dłońmi zakrył twarz i zapłakał.

Znów posypały się szepty:

- Zatopić by w bajorze.

- Wypłynie.

- Kamieniami by przywalić.

- I tak wypłynie.

- Lelum... dalej odciągnąć w puszcze, zakopać.

- Ślad w błocie ostanie. Znajdą.
- Deszcz ślad zmyje.
- Czekaj tam dżdzu.
- I tak wiedzą... psia mać... że obóz wiódł.
- Topór nam.
- Abo niewola. Tfu!

Pobiegła wieść wzdłuż wozów. Rzucali drabki, biegli przerażeni patrzeć. Woły spuszczały łby, wachały błoto pod nogami. Wraz ścisk się zrobił wokół trupa, oblepili wozy, siedzieli na worach z ziarnem. Uradzali.

Nie uradzili nic. Ząbrz, chłop twardy, sękaty, czterdziestoletni, wykrzywił się, przygryzł koniec wąsa, patrzył na swarzącą się gromadę. Szysz wciąż biedolił na dołę. Ząbrz huknął:

- Cichaj, stary, zamknij pysk. Nad wszystkimi topór.

Podnieśli nań ponure oczy. Głowa Szysza trzęsła się na chudej szyi.

- Nad wszystkimi topór - dukał Ząbrz, chciał wbić im w głowy. - Durnie. Nad wszystkimi.

W gromadzie milczenie by z lodu. Oczy zabiedzone, pełne strachu. Ząbrz dukat wolno, słowo po słowie:

- Nad wszystkimi topór przez Kłąba. Pomnijcie, bratkowie, Kłęb ubił. Kłonicą Ludka, suczy syn, ubił. Kłonicą!

Kłęb poczerwieniał, spojrział wkoło, krzyknął:

- Wszyscy bili.

Ząbrz zsunął się z wora na wozie, ciapnął równymi nogami w błoto. Szedł pochylony, łeb wysunął kiej byk i do Kłąba:

- Przez ciebie topór nad nami, psi syn! Wszyscy bili? Aa? Komu oje, psia..., pękło? Aa? Kłonice, psia..., kto wyrwał? Aa? Kto ubił Ludka, księżego komornika? Co szczekasz, psia?... - podniósł pięść. Kłęb wodził odurniałym wzrokiem. Zapiał nagle cienko, po koguciemu:

- Wszyscy bili. Ludzie! - wyciągnął ręce do gromady. Milczeli. Zimny strach ssał pod sercem. Ząbrz podszedł do Kłąba, pchnął go w pierś, krzyknął:

- Milcz, psia... Kto bił? - obrócił się do gromady. - Kto bił krom Kłąba?



W pustą ciszę wpadł rozpaczliwy krzyk Kłába:

- Ludzieeee!

Cofnęli się przed tym krzykiem. Ząbrz wołał:

- Do wozów, poganiaaaaj! Niech suczy syn zostanie z zewłokiem. Oje mu pękło.

Pobiegli. Puszcza pachniała wiosenną, duszną wilgocią. Topole napęczniały, wraz trysną młodym, lepkiem liściem. Niebo zielone, złote.

Kłáb patrzył martwym wzrokiem, jak ludzie krzyczeli na woły, machali rękami. Jakby czar spadł, woły się napinały, woźnice podparli ramieniem, wóz za wozem ruszał, cały obóz powędrował wolno, ze stękaniem, z potem. Ci, co byli z tyłu, wymijali przechyłoną podwodę Kłába i zewłok Ludka, milcząc, nie patrząc. Podle rozlała się czarna kałuża - społem przepychali przez nią ciężko ładowane wozy, woły napinały się, postękiwały. Kłáb patrzył za nimi, milczał, gdy mijał go ostatni, nie wytrzymał, jeszcze raz krzyknął:

- Ludzieeee!

Kołek stuknął kijem po grzbiecie wołu, głowę wdusił w ramiona, strach mu skakał po karku, zawołał:

- Wio, maluśkie, wio!

Bił prętem po wołach - byle prędzej.

Kłáb ostał.

Patrzył. Gdy ostatnie wozy zginęły, patrzył w pusty zakręt drogi. Brzozy tam roztarnosiły gałęzie, rozkraczyły się, brunatne od baziek; bliżej napęczniałe topole; ptaki terlikały w gąszczu; po drodze, na krzywych nogach, skaczą gawrony, gromadzą się nad złotymi splachciami wody, dziobią, uradzają. Kłáb patrzył pustym wzrokiem. Naraz otrząsnął się, dzikimi oczyma powiódł po wozie z worami ziarna dla księdzowej drużyny, po trupie Ludka - wąsy Ludkowi podbiegły pod sam cienki nos, gały wywalił, zęby szczerzy - strach chwycił Kłába za gardziel, chłop rzucił się pędem, nie patrząc, bez pamięci, prosto w las! Od trupa, od wołu. Od zemsty księdzowej!

Niedaleczko ubiegł, wraz ugrzązł w bagnie. Stał, bańki pykały mu pod nogami, sapał, niebo nad gołymi gałęziami zielone, złote. Pusto we wnętrzu, strach zataił się w twardą grudkę, nie mącił już myśli. Kłáb wyciągnął nogi z bagna, przez wodę i śnieg wracał do wozu.

Stał przez chwilę rozkraczony, patrzył, dumał. Pierzchliwe myśli przelatywały jak ptaki. Do dom wracać? Do dom? Szukać będą - księdzowe komorniki wraz podejmą opole. Szukać będą, a Ząbrz ma zadawnioną złość, wyda... - Ludek patrzył wywalonymi na wierzch oczyma, wół zwiesił głowę i czekał cierpliwie. Ostatnie wozy zginęły, wraz staną u mostu, tam myto biorą dla księdza, księdzowe ludzie przyjdą, zwiążą, do grodu powiodą. W grodzie topór - dreszcz przebiegł po plecach Kłába.

Znów strach poderwał się popłochem - biec. Kaj biec? W las, w lesie bajoro, nie przejdiesz puszczy wiosną. Droga? Ułapią konni, pościg. Wraz za smardem konnych puszczą. Zatupotało po drodze.

Kłęb przygarbił się, nie odwrócił głowy - idą. Znów ucichło, znów miękkie, kleiste ciapkanie w błocie. Chłop obejrzał się przez ramię, koń Ludka zaszył się w krzaki, pyskiem łapał ostrożnie młode baze, obrywał, gryzł; schylał łeb, wachał wodę, drobnym skoczkiem oddalał się od drogi. Koń! Oczy Kłęba błysły iście po wilczemu.

Eh! Smard w gieżle na koniu. Wraz ułapią. Znów spojrzął w białe oczy Ludka.

I naraz pojął. Nachylił się nad zewłokiem, ujął pod pachy, dźwignął - głowa Ludka odpadła do tyłu, jabłko na szyi ogromne - podciągnął, rzucił z rozmachem na wóz; ciało legło ciężko, na boku, ramiona zwisły. Kłęb ściągnął szybko skórzany kubrak, gacie; rozwiązał skórznie. Trup leżał nagi, kościsty, biały; strasznie się zrobiło Kłębowi, zacisnął zęby. Wraz rozdział się sam, ręce mu drżały, gdy wciągał Ludkową przyodziewę. Zaciągnął rzemień, zasadził żelazny toporek, jaki zawsze nosili księdzowe komorniki, przypiął mosiężny guz. Jeszcze patrzył chwilę - w popłochu - nie lza zostawić gołego zewłoka, ślepy strach na to nie zwolił, Kłęb zgarnął zrzucone z siebie płótno, przydział byle jak Ludka. Gdy mu gacił nogi, trup zsunął się z worków, plasnął twarzą w błoto. Leżał bokiem, rękę odrzucił, garść oparł na pękniętym oju; groza chwyciła Kłęba za gardło.

Prędko ruszył w stronę konia, wołał go, koń odchylił łeb, spojrzął; zarżał krótko, wyszedł z krzaków, na drogę. Dał ująć się za powody, Kłęb niezdarnie - kiej smard - wkarabskał się na łęk. Raz jeszcze obejrzał się na wóz, na drogę, splunął, skierował konia na północ.

4.

Most był nowy, stał mocno, na czterech nogach, z góry pokryty obciosanymi na płask dylami; przed mostem na wzgórkach rozparła się strażnica, siedziało w niej trzech ludzi stróży mostowej i wódarz pobierający myto. Gdy pierwsze woły weszły na most, wódarz - niski, krępy, z szyją skrzywoną, że głowę zawsze miał przekrzywioną, patrzył spode łba - zatrzymał podwodę, krzyknął cieniem, skrzypiącym głosem:

- Kto? Kądy?

Ząbrz podszedł do przodu, chrząknął, przełknął prędko, oczyma zabiegał, słowa mu z trudem lały z gardła:

- Ziarno powodem dla drużyny wieziem.

- Kto powód wiezie?

- Komornik.

- Kto?

- Komornik, mołwie.

Mytnik jeszcze bardziej łeb przekrzywił, zaskrzypiał:

- Kto?

- Ludek.

- Kaj jest?

Ząbrz oblizwał suche wargi, znowu zabiegał oczyma:

- Ostał przy Kłobie. Oje tamok pękło. Nas przodem wysłał, przed nocą być nam w grodzie.

- Hm... - stary się zafrasował, podrapał się po czuprynie.

- Powodem, mołwisz?

- Uhm...

Rękę oparł na poprzecznicę, palcami szczypał worki, wymacywał ziarno. Przekręcony łeb uniósł w górę, patrzył na długi ciąg wozów. Ludzie stali, gapili się, niepewni, zastrachani. Staremu po sercu był ten strach, nadał się, krzyknął:

- Przejeżdżaj...

- Ooo! - zakrzyczeli poganiacze na woły. Most głucho dudnił pod kołami, dyle się ugiwały. Gdy już

pięć-sześć wozów przeszło, Ząbrz odwrócił się, mrugnął, zabasował:

- Widzita, juchy!...

Błyszeli ku niemu wesołym spojrzeniem. Ząbrz dodał:

- Pyski jeno trzymać zamknięte.

Przed mostem była jama wygnieciona kołami, zawsze tam woda stała. Rzucano w nią gałęzie, żeby przejechać, nieraz faszyna się rozsunała, koła szły w bagno. Szyszowi ugrzązł tył wozu, stary nie podparł, nie zwołał ludzi, strasznie się mu śpieszyło na tamtą stronę, uderzył witką wołu, zapiszczał starczo:

- Wio! Wio, mały!

Wół spuścił łeb, wparł nogi, racice lazły mu w wiklinę, przebiły wiotki pomost, wół wpadł przednimi nogami po brzuch, stęknął, położył się. Mytnik krzyczał z mostu:

- Ej, stary, a głuptak kiej skop. Odjarzmiaj teraz wołu, będę tu stał przez ciebie do nocy, churlęga!

- Eh...

Zbiegli się gromadą, Szysz wyciągał z jarzma zatyczkę, przegniła była, ułamała się mu w palcach, koniec ostał. Stary roztrząsł się, spojrzął wkoło, wymysły już nań leciały, przypadł twarzą do wolego karku, rozplakał się. Odciągnęli go w bok, cisnęli ze złości w błoto. Ząbrz przyleciał z tamtego brzegu:

- Chyżo, bratkowie, chyżo. Bo...

Bali się, że dokończy. Odjarzmiając wołu, podnosząc go, ze strachem poglądali w tył za zakręt. A jeśli Kłęb nadjedzie...

- Oje mu pękło - szepnął Kołek.

- Głupi.

Wół leżał trochę przekrzywiony, pysk położył płasko na czarnej mazi, oczy tępo patrzyły, mokre nozdrza rozdymały się czarną lepkością. Stali nad nim kupą, uradzali.

- Za rogi ji...

- Ech, umnyś...

- Powrozy podłożyć. Na powrozach wyciągniem.

- Sam wstanie.

Kołek splunął na palce, włożył dwa w nozdrza zwierzęcia, pociągnął; byk zadarł zad, próbował wstać, nie zdołał. W nieruchawych oczach zataił się smutek i lęk.

- Głęboko zagrzaźł.

- Nie uradzisz.

- I sto, nie uradzisz.

- Dawać powrozy.

Podłożyli pod brzuch, z trudembiedą wydobyli wołu. Długo ciapkali się z wozem. Skoro go wyciągnęli, mytnik zbliżył się do gromady, zaskrzypiał:

- Rozdziabkaliście wjazd, synkowie. Teraz natnijcie olszyny, wymościście od nowa.

- Jakże to... - zaplaskały trwożne szepty - na noc do grodu nam... - lękliwie spojrzenia rzucali za siebie, lada chwila Kłęb nadjedzie. Ząbrz zahuczał:

- Kazali nam na noc w grodzie być... Ludek!

- Ty nie krzycz - mytnik mrużył kaprawe oczy, syczał przez zęby - wraz Ludek nadjedzie, powiem mu: obóz twój drogę ściapkał, miałem to gnój ostawić?... Rąbać wraz! - krzyknął dziko. Zwartą gromadą, posłusznie, poszli ku olszynie.

W olszynie śnieg jeszcze leżał, zrabali mało-wiele, przysiedli na kupach chrustu, błękitny chłód chodził po karkach, słońce wisiało już nisko, dzień się był nachylił. Cienie drzew wybiegały fioletowymi smugami na brunatne wzgórza, śnieg się żółcił. Pachniało mocno ziemią,gniłym liściem, jarową wilgocią. Rzeczka przybrała, niosła bure wody z pośpiechem, pluskała po brzegach, po pniach drzew, zieleniała w cichych zalewach. Z dala gaje liliowiały, czerwieniały zduszoną, wydzierającą się krasą życia. Sapali gęsto, Kołek mruknął:

- By miał jechać, już by tu był.

- Nie przyjedzie, ni... Toć by jako kuropatwa pod sieć laźł.

- Już by był tutki, mołwie.

Szysz złożył dłonie między kolana, siedział w kucki, kiwał się do przodu i w tył:

- Ludzie nadejść mogą, obaczą, gwałt uczynią. Jama nam, jama, jama.

- Cichaj, stary - huknął Ząbrz.

- Trza tu będzie nocować.

- Będziem nocować.

- Rankiem pociągniem ledwo świt.

- Pociągniem.

Ledwo przywlekli gałęzie, zaczęli naprawiać drogę, nadciągnęły dwa wozy od Sącza. Mytnik i tych zapędził do roboty. Opowiadali ugniatając gałęzie, mocując je po bokach ziemią:

- Widzieli my drużynę księdza, na Węgrów szli. Nas zabrali. Wieźli my dobytek wojacki, droga była kiepska, tajało. Mołwiąc dziesiętnikowi: "Panie, nie wrócimy, zmień powód", a jenz: "Przto, kłysiu, oto pień! Poganiaj"... śmieje się, zęby szczerzy. Nic, poganiamy... Aż tu...

Nagle Szysz zapiszczał cienko, roztrzęsiony do cna:

- Lado, łado! Jedzie.

- Kto?

- Kłęb.

- Lelum.

Rzucili robotę, czarnymi rękami przesłaniali twarze, patrzyli w puszcę. Coś majaczyło w fioletowej mgle. Ząbrz miał wzrok bystry, zakrzyknął:

- Piesi. Nie Kłęb.

Patrzył chwilę jeszcze.

- Widzę szczyty, sulice. Woje księdza.

- Po nas... - zagulgotało w gardle Szysza.

Stanęli, ręce im opadły, zagapili się. Mytnik podbiegł, zakokoszył się:

- Do roboty. Zachód blisko... tam spoczniecie.

- Ktosik wali od lasu - burknął Ząbrz.

- Nie twoja rzecz, smard. Moja ci - głowę przekrzywił, wpatrywał się.

- Tarczownicy - szepnął Szysz.

- A ino... - rozkraczył nogi, czekał.

Przyczłapało trzech wojów, widać: z dalekiej drogi. Kozuchy otwarte na piersi, w rękę sulica, szczyt przerzucony na kark, trzon topora dynda u kolan, sakwy z obu boków dobrze napchane. Podeszli do mostu, mytnik łeb przechylił mocniej.

- Kądy?

Jeden z przybyłych wyciągnął zza pasa krótką laskę dębową, grubą na trzy palce, na niej nacięty Bolesławowy znak, nad nim krzyż: z rozkazu księdza idą. Mytnik cofnął się.

- Idźcie.

Woj z laską ściągnął brwi, zakiwał się na boki.

- Nocą?

- Do nocy jeszcze szmat.

- Od rana idziem, dość! Ty stan nam daj. Stary zgarbił się, zajęczał:

- Wczoraj dwa dziesiątki wojów przeszło, objedli, opili. Kłodę piwa miałem, wychleptali, co z mięsa, co z ziarna było, wciorki spyskali. Idźcie dalej.

Tarczownik krok postąpił, laskę pod nos mytnikowi.

- Widzisz?

- Chodźcie.

Strażnica stała na wzgórku, tęga szopa, od przodu biegł ostrokolik, nad szopą trzemik, gdzie się myto księdza składało. Dym szedł przez poszycie, sączył się cieniutkimi strugami. Ząbrz dogonił mytnika.

- Pozwólcie woły u ostrokołu wiązać, sucho tam.

- Nasmrodzą nocą, potem nie przejdiesz od łajna.

- Rankiem zgarniem. Noc. Gdzie nam jechać?

- Wiąźcie.

Ząbrz skrzyknął gromadę, coś jej tam prawił, rękoma machał. Przybysze, stróża mostowa, mytnik - wylegli przed dom, leżała tam tęga, okorowana kłoda, przysiedli, przyparli się do miski, jedli kluchy ze słoniną. Milczkiem wodzili wzrokiem po czerwonej o zachodzie okolicy. Powodowe chłopcy poodjarzmiiali woły, gnali je pod ostrokół, nieśli płasty siana w sieciach, wiązali zwierzęta, podrzucali im pod nosy paszę; woły leniwie się nachylały, zaczynały żreć, szerokimi jęzorami zagarniały siano, wrywały je z płastów, wolno machały ogonami. Mytnik burknął:

- Tomek, ty stoisz dziś nocką u mostu.

Stróżnik podciągnął ramiona, wstał, ziewnął:

- Wiem ci. Ino topór wezmę.

Słońce stoczyło się za szerniały bór. Powiał chłodny wiatr. Wokół ostrokołu rozłożyli powodnicy ogniska, grzali się przy nich, gryźli owsiane placki. Mytnik mruczał:

- Gęsi przyleciały, pójdziem świtaniem na pło, niedaleczko stąd, ustrzelim parę. Już mi zęby oskomiały od brzozowego soku, w wąpiach burczy. Co? Pójdziecie?

- No cóż? Możemy iść.

- Tegdy legniem. Trza wyspać się.

Ale się nie ruszyli zrazu, dobrze było tak siedzieć, plecy oprzeć, nogi wyciągnąć, patrzeć na siniejące niebo, na żar ognisk. Zza ostrokołu dobiegało senne burczenie:

Cię! płynął se dunaj, dunajek,

cię! szumiał wodami, strugami,

cię! Dola patrzała, dumiała,

cię! dziewczka lubiła, tuliła.

Ognie migały, spływał mrok. Głos zawodził:

Oj, nie dla mnie to dunaj, dunajek,

oj, nie dla mnie lubienie na sianie,

dla mnie Dola dumiała, zło dała,

dla mnie jedno płakanie ostało.

Mytnik wstrząsnął się.

- Zimno. Chodźcie.

Weszli do wnętrza. Ogień w środku przygasł, ale od węgla szło ciepło, zda się przenikało lubo na wskroś, do kości. Wokół ścian lawy moszczone słomą. Jęli się układać, otulali się kożuchami, jeszcze coś tam gwarzyli sennie, zachrapał jeden, drugi, mytnik przewracał się na ławie, postękiwał; zasnął i on. Niedługo było tego spania. Naraz tup tup! wleciał Tomek, który spał tej nocy na moście, rozwarł gębę:

- Wstawajcie. Druga księdza powozem wiozą. Wstawajcie.

Mytnik zerwał się pierwszy, Tomek dmuchał w żar, dokładał suszu. Goście i stróża podnosili się wolno, z ziewaniem, spuszczaali nogi, kułakami przecierali oczy. Z dworu dobiegło stąpanie, tupot koński, skrzyp kół; czyjś głos - rozkazujący, cienki:



- Ostrożnie, pomału. Trzymajcie za rogi.

I burkliwy bas:

- Hej! Jest tam kto?

Mytnik ruszył się. W drzwiach stanął, cofnął się, czterech wojów wносиło na skórze nieruchome ciało z głową ciasno owitą; mały, czarny człowieczek dreptał pobok, powtarzał przy każdym kroku:

- Pomału, ostrożnie.

Za nimi młody woik z łańcuchem na piersi ponuro obrzucił wzrokiem izbę.

- Stan dawaj.

Przewodnik trzech tarczowników wyciągnął - jak pierwej - księdzową laskę, podniósł; towarzysz pociągnął go za rękę:

- Cichaj! Wielmoże.

Młodzik z łańcuchem jakby dosłyszał, burknął nie wiada komu:

- Stojgniewa Wojborowica powozem do Orczycy wieziem. Wen ze stacji! Słyszycie?

Posunęli się do drzwi. Natknęli się na omszałego starucha, ten oczyma przewiercił i szepnął:

- Nie mitręzcie, durnie. Dyrdajcie.

Wyszli przed dom, tu tłok: konie, ludzie odprzegają wóz. Mytnik już wypadł, krzyczy:

- Siano w kleci, dawać tu kitę, chyżo, chyżo.

- Ościk! Kajżeś się podział?

- Dyrdam, dyrdam.

- Pach!

- Pąch doma.

- Wody przynieście z rzeki. Migiem.

Ktoś pobiegł stokiem wzgórza. Ktoś stuknął czymś, zaklął. Parsknął koń, zaskrzypiały koła, dwa cienie niosły coś ciężkiego, stękały. Trzech tarczowników i stróża mostowa stali uradzając i rozglądali się. Wraz znalazł się obok mytnik, zwrócili się doń:

- Nie najdziem tu miejsca. Zaraza!

- Nii... Idźcie do tamtych - ręką machnął w stronę powodników za ostrokołem. Poszli.

Smardy namościł siana, okręcili się kozuchami, nie spali, krótkie pogwarki o przybyłych: wielki pan z onego Stojgniewa, skoro tarczowników przegnano z łaską księżową. Woje akurat podeszli, rozglądali się w ciemku, któryś burknął:

- Dajcie no kité siana, nocować tu będziem społem.

Poruszono się, zrobiono miejsce. Tarczownicy sapiąc układali się do snu. Legli we trzech, obok siebie, ciało do ciała, żeby grzać się nawzajem, okryli się. Noc była chłodna, miesiąc wysadził czerwone czoło, spojrzął ciekawie na kraj. Siano chrzęściło w wolicz zębach, ochrypłym basem zahukał puchacz, rzeka pluskała w dole. Jeden z tarczowników, leżąc na wznak, patrzył w gwiazdy. Spytał:

- Toście z księżym powodem szli?

- Uhm...

- Kto ji wiódł?

Cisza śmiertelna padła wokół ostrokołu, dech zamarł w piersi, woły spokojnie chrupały siano. Senny głos pytał:

- Coście zamilkli? Kto powód wiódł?

Zagubiony głos zamamlał:

- Komornik księży, Ludek.

- Jest tu?

Znów cisza. Znów zamamlało z gęstwy leżących ciał:

- Nii... Ostał przy Kłąbie. Oje Kłąbowi pękło.

- Tegdy powiem warn: Ludek onego Kłába ubił, sam ci zbiegł.

Zerwali się jak jeden, pchali się kupą do tarczowników, okrzyki, pytania, przestrasz. Potem nagła cisza. Tarczownik podniósł się, oparty na łokciu, wodził wzrokiem po kupie przykucniętych cieniów. Opowiadał:

- Widzieliśmy sami. Wywalony wóz z ziarnem, pobok smard w gieżle, z gębą w błocie, wokół ni cienia. Krewki Ludek był, co?

- Widzieliście ubitego Kłába? - nie wierzyli.

- Widziałem.

- Lelum...

Starczy głos zaskamlał:

- Wąpierz ji ubił... Ludkowy dziad. Jaszo, Jaszo, Dadźboże!

Obok poderwał się Ząbrz, podniósł pięść, zwałił starego. Zasyczał:

- Cichaj, Szysz! Sroka, nie chłop - i do tarczowników: - Bolej nikogoście nie widzieli?

- Ni cienia - powtórzył senny głos. - Ten ci Kłęb wolny kmieć był?

- Kmieć.

- Da Bolko Ludkowi. Uch! - zakrył ramieniem oczy, mruknął: - No, pora spać, nóg nie czuję.

Powodnicy rozleźli się i pokładli. Cicho szeptali, nie mogli pojąć. Ząbrz kręcił się, chrząkał, zachodził w głowę: co się stało? Skoro ucichło wkoło - nieprędko - wylazł spod kożucha, rozejrzał się, na czworakach wyczołgał się spośród śpiących. Księżyc już był wysoki, świeciło jasno. Ząbrz splunął, palce złożył w dule od uroku, pochylony zbiegł ze wzórza, nikt go nie widział, nie okrzyknął. Przesiek drogi lśnił srebrem, błyszczał, z obu stron straszna, czarna ściana drzew. Coś tarosiło się w gałęziach, zwierz czy złe. Lęk ścisnął gardło, z tym ściśniętym gardłem szedł Ząbrz z powrotem, za zakręt. Minął go, z dala dojrzał wóz Kłęba, wołu, przystanął, dyszał, patrzył. Brzozy szumiały rozczochranymi grzywami, puchacz wył. W wąpiach, w głowie stukała głośno krew, jakby drewniany młot o pal. Nogi ciężły, ugiwały się. Nie chcąc, wbrew woli i lękowi, powłókł się Ząbrz do wozu. Podszedł, wół obrócił doń pysk, Ząbrz oparł się o woli kark, wciąż dyszał gęsto. Urzeczony patrzył na zewłok w giele, zapadnięte plecy, szerokie nożyce nóg, gacone płótnem; trup wlepił twarz w błoto, zaraz zerwie się, skoczy na żywego. Ostre swędzenie w potylicy, po karku, pośladkach; zimny pot. Kto ubił Kłęba, och! Chwyając się wołu, drabek, dowlókł się Ząbrz do trupa. Przyklął. Kto ubił Kłęba? Ujął trupa za ramiona, obrócił. Krzyknął. Śćmiło mu się w oczach.

Z kmiecego trupa spojrzęła na Ząbrza zabłocona twarz Ludka. Naraz chłop pojął.

- Przebrał ji, ścierwo. I zbiegł.

Siedział w kucki przed trupem, patrzył na wiewiórczą gębę, ostre uszy i wąsy, białe gałki oczu. Uciekł Kłęb, teraz na nich śmierć Ludka spadnie. Na nich? Zwałę na Kłęba, uciekł. Abo powierzą to kmiociom?

Grododzierzca będzie szukał. Nie znajdzie.

Jak to tarczownik prawil? Ludek Kłęba ubił. Będzie świadczył w grodzie.

Tak lepiej.

Ząbrz poderwał się, macał w cieniu pod wozem, znalazł. Ujął kłonicę oburącz, zamachnął się, trzasnął w martwą gębę Ludka. Drugi raz. Trzeci raz. Miazga ostała, nie poznasz. - Odrzucił kłonicę

daleko w błoto.

Potem drżącymi dłońmi ujął znów trupa za ramiona, obrócił twarzą do ziemi. Odetchnął.

Chwiejnym krokiem podszedł do wołu, wyciągnął zatyczkę, ujął za uwiązane do rogów powody, pociągnął zwierzę do mostu. Z każdym krokiem szedł szybciej, byłby biegł; ale wół chylił łeb, hamował bieg.

5.

Szeroko rozlał Dunaj, walił burymi, pienistymi wałami. Na płaskim południowym brzegu wyległy kupy luda i patrzyły na wylew. Woda wspinała się, szła skokami, potężnym oddechem wiosny tratowała węgierskie równiny. - Jakby tabun najeźdźców wdarł się i pędził w niepowstrzymanym zalewie szerokim skrzydłem ku południowi.

Ludzie stali kupami, strach im zapierał oddech.

Była pogoda, ciągnął suchy wiatr, słońce żółciło się jak ogromny, wesoły słonecznik. Na północy, na widnokręgu, skłębił się kurz, wielkimi kulami toczył się do rzeki. Wzdłuż nurtu gnał rozpędzony tabun jeźdźców, pochylone postacie smagały prętami konie, błyskały zbroje, kopyta tupały wściekłym cwałem. - Jakby fala Dunaju wspinała się, szła skokami, potężnym oddechem najazdu tratowała dolinę węgierską.

Ludzie na tamtym brzegu stali kupami, patrzyli, strach im zapierał oddech. Woda huczała. Tabun gnał. Wysoko grało słońce jak ogromny, wesoły słonecznik.

Bolesławowy koń stulił uszy, szyję wyciągnął, pił suchy, bijący w oczy wiatr. Pęd zalewał krtąń Bolka rozkoszą, gdy wiódł dudniącą drużynę wzdłuż spienionego Dunaju. Grała wiosna. Wiatr. Żółte, wesołe słońce na dygocącym niebie. Rozkołysany cwał. Powódź.

6.

W strażnicy u mostu Stojgniewowi się pogorszyło. W nocy krzyczał spod szmat, bił rękoma o posłanie. Pąch siedział w kucki w kącie i zamawiał, Zefrid śpiewał pod nosem obce zaklęcia. Nielub zwał się na ławę, chrapał; toż woje ze stróży a komornik. Zza ściany dochodziły postuki koni uwiązanych u węglów; chrzęst obroku; senny okrzyk Tomka na stróży. Strażnica była nowa, osiadała; trzaskały zręby. Stojgniew krzyczał i bił rękoma.

Rankiem powód w trzydzieści pięć wozów i kilkoro sani odciągnął ku południowi; przypięło się doń trzech tarczowników, zasiedli na wozach, rozłożyli się, dosypiali. Dwa wozy poszły na północ - do siebie. Mytnik kręcił się koło drzwi strażnicy, wejść nie śmiał. Zza drzwi dobiegały głosy, mytnik przekrzywiał głowę, nasłuchiwał. Pąch i Zefrid natarli tym razem zgodnie na Nieluba, nie chcieli mu pozwolić jechać dalej. "Zemrze Stojgniew" - powtarzali jeden przez drugiego, strach przez nich krzyczał. Nielub słuchał, łeb schylił, spoglądał to jednemu, to drugiemu w oczy. Wybuchnął naraz:

- Trza prędzej mi być w Orczycy... - urwał, spojrzął z obawą, czy nie doczytali końca myśli. Pąch podniósł śmiało kosmatą rękę, walnął krągłymi ślepiami wprost w Nielubowe oczy, rąbnął swym grubym basem:

- Warn, panie... A no! a no! lecz nie Stojgniewowi. Chcecie umrzyka dowieźć, wieźcie, inaczej nie.

Nielub zbladł, zęby zacisnął. Krzyknął:

- Pach! Bacz!

Stary wyszczerzył kły, głowę wdusił, dwa palce rozstawił, ruszył na Nieluba:

- Wy, panie, baczcie! Ksiądz przykazał mnie, ale i wam. I wam, panie. Nie lza Stojgniewa do Orczycy wieźć.

Nielub nie spuszczał oczu z rozstawionych paluchów starego, lęk go przydusił, spojrzął na Zefrida. Tamten mruknął:

- Nie lza.

- Wyrzuć starego gada - krzyknął po chłopięcemu Nielub i ręce wyciągnął. Zefrid splunął:

- Tfu! Czarczi pomiot. - Pąch zaśmiał się, źle mu patrzyło z oczu, wyszedł. Zefrid prędko zrobił znak krzyża. Za progiem natknął się Pąch na mytnika:

- Podśłuchujesz?

- Zaśby tam... - zamamlał mytnik, przekrzywił głowę - wody może przynieść, jadła uwarzyć? - W oczach Pacha wciąż paliły się złe błyski. Warknął:

- Wen! - rozstawione palce wysunął. Mytnik przysiadł.

- Ksze... ksze... nie bobońcie. Lelum, Dadźbog, Dadźbog! W izbie Zefrid podsunął się bystro do Nieluba, ujął go za ramię, pociągnął na ławę, siadł obok. Zaczął szeptać swą pośpieszną, przymilną pogwarką:

- Sulilem nieraz ci, odgoń Pacha. Wszakeś chrześcijański woj, chrześcijańskiego księdza...

Nielub przekrzywił głowę, spojrział z zadumą w przybliżoną doń tużtuż czarną twarz byłego kapelana Ungerowego:

- Jam krześcijański woj?... A no... nie wiem ci... Doma mię czeka grób ojca, jenz nie uznał Kyryi Krysti... Siostrą go tam strzeże, a nynie ja... - potarł dłonią czoło.

Zefrid ledwoledwo zmrużył oczy. Spytał nagle:

- Masz siostrę?

- Mam.

Uścisk Zefridowego ramienia pocieplął, kapelan przylepł całkiem do kościstego Nieluba.

- Słuchaj. Stojgniew najlepszy drug księdza, wiem ci dobrze, inszego nie ma. Skoro wojewodą ostanie. Bolko Starogniewa ugłaskał, drużynę po Mieszce wziął, nynie Starogniew w oczy Bolkowi kole, sam mu sulilem: "Ksze, co ci po Puchale? Ziomomysłów to woj, nynie młodego ci trzeba". A on ci kiej źrebiec rzy. "Jeden Stojgniew wojewodą ostanie, krom niego nikt. Niechże się Puchała ma w pieczy, niechaj ma w pieczy. Ista ropucha to". Pomnij na gniew Bolkowy i co ci rzekł, jakeśmy odjeżdżali. Nielub!

Targnął chłopca za ramię.

- Nielub, cóżeś to? drewno? Wiem ci ja, Orczykowie wielki ród, ho! gadałem ci z twoim ojcem, z Wojborem...

Dalekie oczy spoczęły przelotnie na ruchliwej, smagłej twarzy.

- Gadaliście?

- Gadałem. W Poznaniu, kiej Mieszka pomarł. Prawił mi Wojbor, jako z Czechami bił Ziomomysła - oczy Zefrida schowały się, czoło zmarszczył, przypominał - sto wojów zaległo pole. A potem z Ziomomysłem nuże razem: na Czechów! To ci, bajał Wojbor, była rubież a sieczka. Siekiery, prawił, czerwone były po garść. Wiele wozów przywiódł do Orczycy pełnych łupu, niewolnych osadził wokół grodu, klejmował swym znakiem. A później z księdzem Mieszka wojował. Musiał ci ojciec bajać one baję.

- Bajał... - sapnął Nielub.

- To i nie mam ci co powtarzać. Wiesz.

Nielub nie ruszył wbitych w twarz Zefridową oczu, wyprostowany i sztywny:

- Bajajcie.

- Wojbor w on czas z Odą szedł przeciw Bolkowi. Pomnę, jakim Ungerowi mówił, że Orczyki nigdy Bolesławowi służyć nie będą.

Jakby podskórna fala życia przebiegła przez kamienny słup: Nielub ręce wyciągnął, ogromnymi łapami chwycił za Zefridowe ramiona, twarz nachylił, charknął:

- Prawiliście, że nigdy? Nigdy?

Zefrid zamrugał szybko, spojrzał uważnie na zmrużoną twarz - w chwili gniewu twarz nie woja, ale młodzika - odpowiedział wolno, z namysłem:

- Prawiłem. Wszelako... słuchajże. Wtedy i Stojgniew był po Odzinej stronie. Pomnę...

Nielub zerwał się, podbiegł do brata, tamten leżał spokojnie, bez krzyków. Nielub stanął nad nim, charknął szybko, raz po raz, w nieruchomy, okręcony szmatami zewłok:

- Stojgniew... och! Stojgniew... och! Niechaj zdycha... niechaj zdycha... niechaj zdycha...

Zefrid skoczył swym drobnym, szybkim krokiem, porwał od tyłu Nieluba, tamten okręcił się, pchnął świątką obu dłońmi w pierś, odrzucił do kąta, bryknął do progu, kopnął drzwi, wypadł na dwór, obrzucił wkoło wściekłym wzrokiem; Pąch tłuki się po obejściu, Nielub wrzasnął:

- Konia mi! Chybko.

Pąch stał chwilę rozkraczony, kiwał się do przodu i w tył, wargę wysunął, oczy zmrużył. Nielub powtórzył:

- Konia!

Stary odwrócił się, nie śpiesząc podreptał pod ostrokół, wołał o lęk, obrządził konia, podprowadził, spytał:

- Wyjeżdżacie?

Nielub nie odpowiedział, chwycił jedną ręką za grzywę, drugą za lęk, skoczył, przerzucił nogę, zdarł konia, źrebiec, szczerząc zęby, stanął dęba, obrócił się, opadł nagle, szarpnął, poniósł prosto przez wrota w dół, omijając most, po zabłoconej, mokrej drodze. Pach, wciąż z wysuniętą wargą, z rękoma założonymi w tył, kiwał głową i patrzył za jeźdźcem.

- Skoro kark skręci - mruknął, splunął. Obrócił się, spojrzał w zamyśleniu na strażnicę, ruszył lekkim krokiem do chorego.

Zefrid przyjął Pacha spokojnie, uśmiechnął się wąskimi wargami. Wieszczyk patrzył nieufnie, nie



pojmował, co zaszło. Zefrid spytał:

- Poleciał?

- Jakoby mu wilki kłami w tyłek grzali - burknął Päch.

- Umówiliśmy się... - zaczął Zefrid i zadumał się. Nagle mu oczy pocieplały, spojrzał uważnie na Pacha.

- Zioła znasz?

Wieszczek skrzywił się, nie odpowiedział.

- Wiem ci, znasz. Tegdy słuchaj: miej pieczę nad Stojgniewem, nie będę ci szkodził.

Päch znów się skrzywił, ale mruknął:

- Dobrze, panie - i poszedł do chorego.

Zefrid wyszedł na obejście; był piękny dzień, ciągnęły wysoko żurawie. Kapelan siadł na belce pod ścianą, mruzczał psalmy. Kilkakroć przychodził doń Gwozd: kiedy jadą, nie wie, co z końmi robić. Gnał go precz, sam nie wiedział. Mytnik przyniósł mu strawę, Zefrid zjadł, dalej grzał się, mruzczał psalmy, dumał. Dumki zygzakiem chodziły mu po głowie:

- Orczyki wielki ród, Bolkowi miły.

- Stojgniew drug księdza, onże wojewodą ostanie. A jak zemrze?

- ...?

- Może zemrzeć.

Otwierał oczy, sennie patrzył na ostrokół, na konie uwiązane wzdłuż ściany, na koła, którymi Stojgniewa wieźli. Znów zaczynał psalmy i myśli:

- Nielub dureń. Może popsuć. Kaj poleciał?

- Siostrę mają. A no... - zmarszczył czoło. - Może zmówiona.

- Jeśli Stojgniew zemrze, na nic to. Nieluba pośle Bolko na daleką stróżę. Tak!...

- Päch mądry dziad, zioła zna. Niechże leczy Stojgniewa. Cały ten kraj jeszcze z diabłem trzyma.

- Ileżem to razy sulił Bolkowi: czas nowe biskupstwa zakładać.

- A jeśli zemrze Stojgniew... Tfu!

Siedział i grzał się. Po południu przyszedł goniec od Nieluba z grodu Stary Sęk: mają wieźć

Stojgniewa do grodu, pół dnia drogi. Tam poczekają, ile trza. Zdecydowali z Pąchem jechać wraz.

Gródek był niewielczutki, stary, ale zasobny. Nielub odprawił komornika, konie powozowe, koła i stróże. Wieczorem przyszedł do Zefrida:

- Słuchajcie, trza nam się ujednać.

- Abo to żyjem w nieprzyjaźni, Nielubie - Zefrid zaśmiał się, poklepał Nieluba po łopatkach, zawsze przymilny i gładki.

- Ino... - chłopak zaciął się - ino nie mółwcie Stojgniewowi, com gadał... z prędkości... z prędkości...

- Nie słyszałem - Zefrid podniósł obie dłonie - nic nie słyszałem. Modliłem się o zdrowie dla waszego brata. Radzę wam, obiatę jaką złożcie świętemu, bez tego nic.

- Złożę - burknął Nielub i znów się nachmurzył. - Będziem tu siedzieć pewno długo.

- Ze trzy dni, tak myślę, nie bolej - odparł gładko Zefrid, bystro patrzył na młodszego Wojborowica, nie pojmował go.

Ale siedzieli dłużej - bez mała miesiąc.

Wieczór spłynął ciepły, cichy, mgły zasłały moczary i bór. Drzewa brodziły w tumanach, buciarami dusiły wsiąkliwy mech. Chomik poczuł wilgoć na grzbiecie, ocknął się, przeciągnął, rozsunął gnijące liście, wyjrzał z norki. Pachnąca wilgoć chlupnęła gęstym oparem. Lis przebiegł bezszelestnym krokiem przez gąszcz malin, wychynął na skraj, stanął, pociągnął długim nosem. Strzyżyk zaczykał na gałęzi, podskoczył wyżej, znów zaczykał. Stado dzikich koni nadbiegło do wody, przodownik stał chwilę, węszył, patrzył; klacze pchały się za nim nerwowym kłębem; ogier wszedł do pęciny w płaskość, łeb schylił, powąchał, zaczął pić. Kaczki, gęsi, łabędzie kluczące z wyraju opadały na trzęsawiska, szerokimi dziobami szukały półzgniłych badyli, wygrzebywały klacze, żerowały. Wrony kracząc leciały ku puszczy. Szedł zmierzch.

I strach. I noc. Mgła przesłoniła wstęgę ognia na zachodzie, nasiąkała opalem. Miesiąc wytoczył się i wyjrzał zza czarnych strzępów w ciepłą ziemię. Przyszedł mokry powiew, przeleciał po gałęziach, zaszumił po puszczy. Ziemia ocknęła się, westchnęła, czekała. Zbliżał się deszcz.

Późnym rankiem rozsuciło się niebo gęstym kapuśniakiem. Rozkleiła się puszcza i golizny. Obficie padała wiosna z niskich, ciężarnych chmur. Jarą siłą dygotała ziemia.

Kłęb leżał na wznak, powieki przykrył, półdrzemał. Krople zbierały się na gałęziach jedliny, padały wokół na ubite igliwie, głośno stukały; dzieciół wysoko gdzieś kuł, po pniu biegł głuchy pogłos jakby spod ziemi; wciąż krople stukały. Jedna spadła na górną wargę Kłęba, rozprysła się, chłop poczuł smak wilgoci. Oblizwał usta, zachciało mu się pić. Podniósł się ociężale, strumień biegł o dwadzieścia kroków, Kłęb wstał z trudem, zrobił one dwadzieścia kroków, ukląkł, by pić, spojrzał w wodę, zdumiał się. Jasz! Odmiana! Znów spojrzał uważnie, wykrzyknął nagłym buntem:

- Nie!

Patrzyła nań twarz młoda, obca, śmiała; oczy szare pod ciemnymi brwiami, nos władczy, usta twarde. Kłęb schylił się, aż oparł na łokciach, długo - po raz pierwszy w swym życiu - badał swoje odbicie. I znów wykrzyknął, a w głosie zadrgał mu nagły strach:

- Niecee...

Oderwał się od strugi, nie napił się, brodę podparł pięściami, zadumał się. O niczym nie dumał, strach nim targał. Przed czym? Spojrzał wokół: ta sama nawilgła wiosną puszcza. Znów spojrzał w strugę, znów ujrzał tę nieznaną, obcą twarz. Potarł dłonią czoło.

Znał swoją twarz, rozmazaną w parcianym gieźle, twarz smarda, tegoż samego, co wyciągał dłonie do powodników i krzyczał ciekim, przerażonym głosem: "Ludzieeee!" Nie poznawał teraz tej twarzy. Z brunatnej głębi strugi leśnej wyjrzała nań gęba śmiała i władcza: komornika albo woja. Skąd ta odmiana? Odetchnął.

Uciekał już trzeci dzień. Pierwszej nocy przespał się pod jedlą, tam koń mu uciekł za dzikim stadem. Bał się dalej iść drogą przesiekim, poszedł w puszcze, trzeci dzień szył przez gęstwę na przełaj, niby przez mgłę ostro zacięty szyp. Otwierały mu przejście ścieże dzikiego zwierza, przeskoki

strumieni. Niczym bury mieszka, obrabował dwa dni przez żadnego bartnika nie zacięte. Ubił starego gąsiora-przewodnika, długo nań czatując nad oparzeliskiem.

Trzeciego dnia zoczył polanę, na niej trzy chaty; dziewczynina czy otrok - okręcone to było w kozuch do nóg, wyganiało krowę i owcę; dym smużył się przez strzechy by przez sita. Kłęb stanął na skraju, biło mu serce. Gościa przyjmą, czy jednak dobrze ślad dawać; gdy minie potem skraj polany, mogą go ścigać: ubił księzowego komornika. Stał i wahał się, patrzył. Mężczyzna wyszedł za chruściany płot, krzyczał coś w stronę lasu. Kłęb poszukał wzrokiem, dojrzał dwie białki: szły ugięte pod pękami gałęzi związanych sznurem. Kłęb spojrział na owe białki, jakoś się zdecydował, ruszył wprost ku chatom. Szedł zrazu dość pewnie, im bliższy był chat, tym krok miał chwiejniejszy. Mężczyzna u płotu zoczył go, patrzył chwilę, nagle pobiegł w dyrdy, wpadł do chaty. Kłęb jeszcze zwolnił kroku. Kiedy wchodził w obejście, mężczyzna wybiegł mu na spotkanie. Zbliżał się do Kłęba z pokłonem, z pokorną twarzą, ze służalczym zgięciem karku.

- Bywajcie z Dadźbogiem - mruknął Kłęb.

- I wy - gospodarz znów się skłonił. Kłęb stanął, patrzył. Po chwili siedział w godnym kącie, kmieć ganiał żonę, by syciła ogień, piekła jaja; sam przepijał piwem, piwo było gęste, zimne, rozkoszną cierpkością gasiło pragnienie. Kłęb pił, nie pojmował: niewyuczajnie goszczą.

Nazajutrz rozbudziwszy się przeciągał się senny, nie chciało mu się wstawać, kości bolały po trzydniowej wędrówce. Ogień już trzaskał na palenisku, baba warzyła polewkę. Kmieć siedział w kucki przed ogniem dłubał prętem w żarze, raz po raz rzucał ukośne spojrzenie na gościa; w spojrzeniach tych drgał niepokój. Kłęb nie pojmował.

Nie pojmował jeszcze, gdy wciągał skórzany kubrak, zdarty z Ludka; gdy podwiązywał wyżej kostek rzemienie skórzni. Dopiero gdy wstał z ławy i zapinał guz, błysnęło mu: a nuż! Zaśmiał się cicho sam do siebie. Kmieć u ogniska nie spuszczał teraz zeń oczu, wodził wzrokiem za każdym ruchem. Gdy Kłęb zatykał za wąski, skórzany pas żelazny toporek, zaśmiał się w głos: smard poderwał się, czekał struchlały.

- Głuptak myśli, że komornik księdza - tłukło się śmiechem we wnętrzu Kłęba. Nie wiedział, skąd wziął mu się w krtani twardszy ton, skąd ostre ruchy; na wychodnym kazał sobie wyładować sakwę żarciem: na stanie, psiamać, był. Na księżym popasie!

Odszedł ciężkim krokiem, zegnały go zdumione spojrzenia, westchnienie ulgi. Gdy zagłębił się w las, zmienił kierunek, starannie zacierał za sobą ślady w obawie przed pogonią. Teraz, gdy siedział nad strugą w zadżdżony, siwy poranek, pełen był wewnętrznego popłochu: z brunatnej strugi patrzyły nań oczy nie kmiece, patrzyły śmiałe oczy księzowego komornika. Strach nim targał, nie umiał znaleźć źródła tego strachu. Zapadła się w nim jakaś granica, w którą wierzył, jakiś przedział, jakiś ład. Coś, z czego nie zdawał sobie sprawy: a na to miejsce rósł wewnętrzny, dziki niepokój. Aż poderwał się ostro, coś go pchało, żeby iść, wyciągnął zza pasa toporek, ciął wściekłym rozmachem krzewy i młode drzewka, jakby przesiek rąbał.

Odtąd czterokrotnie skręcał do chat, wchodził twardo, siadał od razu w godnym kącie, kazał sobie dawać jeść i pić. Śmiech nim trząsał, zaprawiony strachem. Krzyczał coraz pewniej i rozpierał się

szerzej. Aż przyszedł wreszcie do chaty Pazura, swego stryja.

Obejście leżało w puszczy, niedaleko od Wisły. Kłęb rozglądał się: głusz tutaj, zapadły kąt, nikt nie zajrzy. Kąj w pobliżu, nad rzeką, gród stoi, wždy podupadły to jakowyś gród, mało ważny. Sam stryk Pazur schronił się tu pono przed dwudziestu laty, kiej mu wróżda groziła za rozszczepione w bójce cztery głowy wojackie a za rabunek jakowegoś skarbu - Kłęb nie bardzo wiedział, jak z tym było; cośik gadano u nich w chacie, jeszcze za życia ojca - wždy wszystko się mu już poplątało, zapomniał. Grubą warstwą kurzu przysypane owe prastare dzieje, nie wrócić do nich: dziś Pazur jest wolny łowiec, zasiedziały, bezpieczny. Czyli zechce łeb za krewniaka nadstawić?... - ech! po co mu to, może nie zechcieć: księzowego człeka ubito na drodze sądeckiej, to nie sztuka!

Kłęb stał u wrót, rękę oparł na brzozowym kołku, serce mu biło. Gdzieś zapodziała się wojacka buta, pewność komornika. Stał zastrachany zbieg, oddychał szybko. Ozierał się, pusto w nim było. Zdecydował się wejść. U progu na pniaku stryjna wygniatała ciasto, zoczyła go, odchyliła się z nagła od dzieży, patrzyła szeroko rozwartymi oczyma; mimo gęstej sieci zmarszczek oczy te były srebrne, młode. Aż dziw...

- Bywajcie w zdrowiu - wydychał gość.
- Lelum! Kłęb!
- Jam ci. Stryj doma?
- Poszedł wnyki w lesie zastawiać. Wejźcie.
- Nic. Tu poczekam.
- Piwa przyniosę.
- Dajcie.

Siedział u przyzby, pociągał piwo, oczyma wodził po zagrodzie. Stryjna kręciła się przy dzieży, zerkąła na dziewiorkowego syna, nie wytrzymała głębokiego milczenia.

- Komornikiem księdza ostaliście?

Posypały się prędkie słowa:

- Komornikiem? Mór, mór na księże komorniki, mołwią wam. Psia mać! Kaj one wnyki? pójdę stryja szukać.

Spojrzała nań ze zdumieniem.

- Nie najdziecie ji, jakże: puszcza.
- Najdę. Spieszno mi. Przestraszyła się.

- Kłęb!

Poszedł nie odwracając głowy. Minał świeże karczowisko, siadł pod pierwszym dębem. Bezmyślnie wodził wkoło wzrokiem. Znow strach go dusił pod żebrami - ni odetchnąć.

Wysoką, kościstą postać stryja zoczył dopiero pod zachód, dognał go, długo gadali na polu. Pazurowa raz wraz wybiegała przed próg, patrzyła na dwie ciemne sylwety: mąż opierał się czemuś, Kłęb przedkładał. Gdy przyszli, nie śmiała pytać. Pazur mruknął:

- Daj mu jeść. Chyżo.

Po wieczery przystawił drabki do wyżki, kazał tam wleźć Kłębowi. Odprowadził żonę w ką, dziko zasyczał jej w ucho:

- Nie było u nas Kłęba, nie było i nie ma, słyszysz? Kości ci połamię, nie widziałaś ji. Pomnij!...

Odszturchnął ją, począł chodzić po izbie - całkiem dziki zwierz w paści; kłęb. Na wyżce niby makiem siał - ni szmeru.

Pazurowa siedziała w kącie cichutko, wodziła za mężem czujnymi oczyma. Lelum, złe się przyplątało do nich znowu, abo jak?

Daleko - nie opodal mostu - ktoś odciągnął cuchnące ciało z rozbitą w miazgę gębą, cisnął w błoto. Ktoś przywiódł wołu, zaprzął do wozu z worami, powlókł się wyboistą drogą. Wrony kołowały, wrzeszczały, zapadały na trzęsawisko, grzebały Ludka, księżego komornika. Grododzierzca Zdzisław wypytywał powodników, kazał tropić zbója, co ubił Kłęba, a sam zbiegł; nie wytropili, przepadł gad, by kamień w wodzie. Gdzieś białka zawodziła, dzieciśka chodziły zasmarkane, zastraszone. Puszcza szumiała nad drogą. Błoto wsysało odziobane ciało głębiej i głębiej. Bure mszyska się rozsuwały, aż zamknęły się, nie zostało ni śladu. Uleciały wrony. Mszar począł rudnieć, czerwienieć, pokrywał się nalotem zieleni. Okrąglały liście kaczeńców, w pewien słoneczny ranek zakłóciło się całe przydroże. Dropie przystawały wśród cierpkich kwiatów, sprawiały nieświadomą straż nad Ludkiem z małymi oczkami, wiewiórczą gębą i ostrymi uszama.

Puszcza grała. Mocnym podmuchem szła wiosna.

8.

Latorosłka wyszła wolno przed dom, rozejrzała się po obejściu. Zaspiała, słońce świeciło już za rzeką na pół chłopa wysoko. Mrugała powiekami, strząsała z nich sen. Mgły siadały po nadrzecznych łągach, niosło chłodem, wilgocią, wiosną. Obejrzała się raz jeszcze.

- Można dziś krowy wygnać. Zawszeć coś najdą, zielenieje.

Lecz nie krzyknęła, jak umiała - ostro, na cały okólnik. W łopatkach, biodrach czuła dziś mdłe lenistwo, chciało się jej przeciągnąć. Końskie czaszki złociły się na ostrokole, patrzyła na nie co dzień obojętnym wzrokiem. Na środku majdanu rosły cztery lipy, między nimi studnia, przy niej ława na dwu pniach - stary Wojbor lubił na niej siadywać w cieniu, wrzeszczał stąd. Rankiem słońce

ukosem oświetlało i studnię, i ławę. Latorosłka podeszła wolno, usiadła. Przybiegły do niej dwa psy - duże, łaciate - przysiadły, gładziła je miękko po głowach, były ciepłe, mrużyły oczy, śliniły się.

Całkiem nagle Latorosłka pochyliła głowę, oparła twarz na obu dłoniach, rozplakała się. W środku, tam gdzie żebra zbiegają się w mostek, ścisnęło ją, w górę do gardła przeniknął ostry ból. Jak fala przyszło poczucie, że jest nieszczęśliwa w pustym grodziszczu otoczonym wieńcem pożółkłych czaszek. Psy złożyły pyski na kolanach, patrzyły na nią zadziwionym, wilgotnym spojrzeniem. Jeden wspiał się łapami, polizał dziewczynę w dłoń zakrywającą twarz. Latorosłka załkała w głos.

Była cisza, słońce muskało Orczycę czerwonym ukosem. Stara Zwonka wywlekła się przed dom, kusztykała do studni, postukiwała drewnianymi wiadrami. W pewnej chwili dobiegło ją coś jak psie skomlenie; zda się, zduszone jęki dobywające się z jamy więźniów. Stara rozejrzała się, dostrzegła Latorosłkę. Dziewczyna siedziała z łokciami na udach, z ciałem pochylonym i głowę ukrytą w dłoniach, od niej to dochodziło skomlenie. Zwonka przestraszyła się, postawiła wiadra, pobiegła tak szybko, na ile jej pozwalały chore nogi. Stała nad płaczącą, przez chwilę stała bezradna. Suchą ręką dotknęła ramienia dziewczyny:

- Co ci to? Latorosłka!...

Dziewczyna podniosła głowę, po jej szerokiej, puciołowatej twarzy lały się łzy. Kos jeszcze nie splotła, włosy za głową miała związane krajką, rozsypywały się poplątane po plecach. Zwonka mrugała oczyma, powtórzyła bezradnie:

- Co ci to?

Latorosłka nie mogła potem pojąć swych uczuć tego ranka. Spojrzała na starą, poczuła nagłą, nieprzewycięzoną nienawiść. Do niej, do tego domu, gdzie umarł jej ojciec, do onych końskich czaszek, martwo patrzących z palisady w puszcze. Nie odrzekła nic. Wstała, zgarnęła włosy, z zaciętymi ustami, sztywnym krokiem poszła ku wrotom, odciągnęła zaworę, wyszła na pola. Stara patrzyła na nią bez ruchu.

- Dziewczyńska słabość bez chyby - burknęła. Pokuszykała do wiader.

Latorosłka wróciła, gdy już śniadali, wściekła była. Rozwarła gębę na wszystkich i o wszystko: że studzieniec kwaśny; że krowy na ruń nie wygnane; że na toku błoto; że psy nie nakarmione. Ciskała się po dworzyszczu pół dnia, było już po południu, gdy opadło ją zniechęcenie. Znów poszła na ławę u studni, siadła, zapadła w ciszę.

I w pewnej chwili zdało się jej całkiem wyraźnie, że podle siedzi ojciec. Nie poruszyła się, nie odwróciła głowy, zdrętwiała ze strachu. Czowała wyraźnie obecność Wojbora. Nieruchomymi oczyma patrzyła wprost przed siebie na zielone od mchu, ośliżłe obramienie studni. Niebo było jasne, bez chmur. Poprzez nagie gałęzie lip padały połyskliwe promienie słońca. W biały dzień w środku grodziszcza siedział stary Wojbor obok swej córki.

Nie odwróciła głowy, nie śmiała. Serce jej zwarło się w drobną grudkę, twardą i ciężką niby bryłka złota. Czowała nie tylko obecność ojca, lecz więcej znacznie: czowała, że jest gniewny. Wiedziała,

że ze zmarszczoną brwią pyta ją trupim milczeniem:

- Dlaczego się rozmazałaś?

I w tejże chwili buchnął w niej bunt. niesprawiedliwe to, niesprawiedliwe! Krzyknęła nagłym porywem, choć wargi się jej nie poruszyły i krtań nie wydała głosu:

- Przecie wiesz, że to pierwszy raz! Że nigdy, nigdy...

Opadło ją zniechęcenie. Milczące widmo, siedzące z nią ramię w ramię, nie pojmie. Nie pojmowało jej za życia. Zawsze było srogie i krzykliwe. Zawsze parskalo złością - widmo marzące o czynach i walce, a zamknięte przez dolę w zaklęty krąg końskich czaszek. Rozumiała jego gorzyc, ale ono nie pojmowało jej. Obudziła się w niej żądza wytłumaczenia mu, wyszłochania tego, co tkwiło ościem pod sercem. Znow krzyknęła bez głosu:

- Przeciem i ja chciała wyjść za Orczycę. W nowy świat. Niewidzącym odczuciem zgadła, że to pojął. Mruczał coś do siebie. Ponuro medytował:

- Nowy świat... nowy świat...

- Jestem młoda! - zaskowityało serce Latorosłki. Ponure widmo obok - widmo o srogiej twarzy, ze zrosniętymi brwiami nad złym spojrzeniem - poruszyło się z lekka. Parsknęło dawną, starczą wzdargą:

- Dziewczyna!...

- I cóż?! - buchnął znow bunt Latorosłki. Usłyszała wyraźną odpowiedź, szepniętą jej wprost w ucho:

- Wiesz co. Bracia...

- Tak - usta Latorosłki drgnęły. Ramiona się odprężyły, coś w niej opadło niby liść zdmuchnięty przez mróz, który powoli... krążąc... w pełnym poczuciu konieczności i rezygnacji opada na ziemię. - Wiem! - szepnęła tak cicho, jak cicho się snuje nić babiego lata - wiem. Bracia...

Gdzieś walczą nynie, na Węgrzech pono. Daleko one Węgry. Wrócą potem na krótko-długo, brzęczący zbrojami, hałaśliwi śmiechem, pachnący końskim potem, będą siorbać piwo i sok brzozowy, ogryzać kości, zatłuszczonymi paluchami klepać ją po łopatkach, bajać cudacudeńka, ryczeć, plaskać po udach, chrapać po godach. Będzie ich witała tupotem pośpiesznego biegu, nagłym zapatrzeniem się w wojackie postaci, zaśluchana w bajbaje, z błyszczącymi oczyma, z rumieńcem, z radością. Nie!

Zdała sobie z nagła sprawę, że nie. Nie dla niej daleki świat, każdy bracia ulatują by na wyraj. Że swojski jest tylko ojciec, blade widmo, które przyszło do niej w pełnym blasku słońca ze złością i pogardą dla jej mazgajstwa, dla jej dziewczynskiej słabości.

Opuściła bezwładnie dłonie, westchnęła. Poczwała się sarna, dzika płonka na grobowym



kurhanie. Niby w suchym chruście na żarze buchnęła w niej miłość do ojca - nic, że jest dziadem, zewłokiem, widmem. W tejże chwili pojęła osamotnienie ojca i gorycz zawiedzionych nadziei, i bezradność opuszczenia, i rozpacz nieuniknionej dumy. W porywie miłości uniosła ramiona i z wolna odwróciła głowę w namiętnej żądzy spojrzenia w ponure oczy widma...

Cień Wojbora rozplýwał się w miarę, jak głowa córki zwracała się ku niemu. Wreszcie obróciła się całkiem. Chwilę Latorosłka patrzyła w milczącym zdumieniu w świecąca złotem pustkę. Westchnęła. Ojciec odszedł, jak zawsze zamknięty w swej goryczy; odtrącił córkę. Latorosłka siedziała czas jakiś bez ruchu, potem z wolna się obejrzała. Ze zdziwieniem. Jakby widziała po raz pierwszy dworzyszczę, w którym się urodziła, w którym wzrosła, z którego nigdy nie wyjrzała, strzeżona samotną rozpaczą starego Wojbora. I zdało się jej, że rodzima Orczyca jest już zupełnie obca, że odtrąca ją, jak odtrącił przed chwilą cień ojca. Wzdrygnęła się.

Wstała, z pośpiechem zaczęła zrywać nisko nawisie gałęzie lipy, ledwo budzące się do życia: brunatne pączki pękły, listki były zielonkawe, lepkie, żyły już. Nałamała naręcz wiosennych różeg, wolno ruszyła ku domowi. Gdy weszła do sieni, olśnione jej oczy nic nie widziały, ale kroczyła pewnie, znała każde wklęśnięcie klepiska, każdy sprzęt. Szybko podeszła do ściany naprzeciw drzwi i niecierpliwie rzuciła naręcz wiosennych wici na ławę, na której stary Wojbor przed kilku laty zasnął z nogą opadniętą na ziemię i twarzą przykrytą ramieniem.

9.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy Latorosłka gawędziła z widmem ojca, Kłęb spojrział twarzą w twarz w widmo boga. Można rzec, iż się z nim z dawna podrzył. Przychodził doń nieodmiennie dzień w dzień, jakby ciągnęło go uroczysko mocą prawiekowych nawięzów.

Pazur trzymał go zrazu na wyzce dzień i noc. Dzieci nie miał, był zamknięty w sobie i ponury; zda się - nosi brzemień na plecach, nie odrzucony ciężar. Jego białka łąziła po drabkach, nosiła bratańcowi jedzenie, stryj nie widział Kłęba przez wszystkie te dni. Nie wychodził na pole ni do lasu. Siedział z brodą opartą na pięści, zapatrzony w jakieś swoje, nie wypowiedane nikomu wspominki. Czasem myślał o gonitwie opolnej, nasłuchiwał nawet nocą. Po tysiackroć kłął, że przyjął krewniaka, i po tysiackroć otwierał usta, by krzyknąć, iż ma się wynosić. Ale go coś strzymywało - jakby dłonie wyciągające się z dawno minionej przeszłości. Dziwił się i złościł. Na górze było cicho. Pazur mruczał do siebie:

- Główka jak makówka, a rozumu by naplwał. I znowu:

- Komornikiem ostał, psia mać!

Aż pewnego razu - był wieczór, deszcz lał - przyszła doń nagła pewność, że niebezpieczeństwo minęło. Po raz pierwszy sam polazł na wyżkę, sapiąc i burcząc. Kłęb leżał na garści słomy, ramiona zarzucił pod głowę, pogwizdywał przez zęby. Nie słyszał stryja. Tamten stanął na żerdkach, rozkraczył się, mrugał, aż oczy oswoiły się ze zmrokiem: rozróżnił jasny otok twarzy bratańca. Kiwnął się na boki:

- Kłęb!

- Abo?... Przyszliście?

- Mam ci coś rzec.

- Rzeknijcie.

Stryj zrobił krok do przodu, żerdki się rozsunęły. Pazur wpadł w dziurę po krocze. Zaklął, wylazł, przysiadł na piętach. Zagadnął:

- Przebrałeś ji w swoje łachy?

- Uhm.

- Nie rozmownyś.

- Co mam jęzor strzepić. Bajałem już. Słyszeliście.

- Iii... Hardyś. Skoroś go przebrał, może i nie pojęli, żeś ubił. Kto ta ubitemu smardowi w gębę patrzy. Myślę, że nie gonią cię, już by tu byli. Abo splątali ślad...

Cień na słomie, przeżuwający przez wiele dni swoje nieszczęście, poruszył się na te słowa. Od bladej twarzy napłynął szept:

- Myślicie?

- Słuchaj - rzekł naraz Pazur - chcesz, możesz zejść na dół. Zagnoisz się, siedząc tu dzień i noc.

Kłęb poderwał się z gwałtownością, która przstraszyła Pazura.

- Co ci, Kłęb?

- Zwoliliście zejść.

- Zejdz - odpowiedział tamten niechętnie i pierwszy jął złazić po drabince.

Na widok Kłęba przechodzącego chwiejnym krokiem przez izbę Pazurowa klapnęła w dłonie. Chłopak nie wyrzekł słowa, otworzył drzwi, wyszedł wprost w mrok i deszcz. Kobieta zwróciła oczy na męża.

- Wygnałeś ji?

Machnął ręką.

- Eee. Niech wyprostuje nogi. Zależał się. Odszedłszy trzy kroki od chaty, Kłęb stanął, westchnął głęboko. Deszcz bił mu prosto w twarz, z rozkoszą poddawał się kąpieli. Oddychanie sprawiało mu głęboką radość - duszno było na wyżce, smród, dym. I ciasno. Wszystkie te długie dni i nie kończące się noce nie opuszczała Kłęba rozpacz. I on - jak stryj na dole - wsłuchiwał się bez przerwy w martwą ciszę, oczekiwał pogoni. Chwilami lęk odchodził, wtedy podsuwało się zwątpienie; i myśl o jutrze. Nie będzie przecie siedział bez końca na wyżce stryj owe j. Co dalej? Do dom nie wracać, tam wraz go chwycą. Więc dokąd? W opiekę się oddać? - będą go pytać: kto? skąd? Chyba w puszcę się zaszyć, stryj dałby siaki taki topór, chyba w puszcę.

Pod siekącym deszczem oddychał Kłęb coraz lżej, lżej. Nie poszedł dalej, wrócił do chaty.

Wkrótce potem Pazur zezwolił mu wędrować i we dnie - stawiać wnyki i sieci na ptactwo, polować. Przestrzegął jedynie: - Nie chodź ino z prądem rzeki. W stronę Orczycy.

- Orczycy?...

Drzewni gród Orczyków ona Orczyca. Starszy Orczyk, mołwią, drugim jest księdza Bolka... kto ji tam wie, czyli prawda. Podle Mieszka wystawił nowy gród, stróża tam stała, nynie pusty gród, trzech ludzi tamok żyje. Nie chodź, obaczą cię jeszcze, zaczną pytać.

- Dobrze - mruknął Kłęb.

Ale nie strzymał. Po kilku dniach ta sama siła, która pchnęła jego dłonie do strasznego ciosu kłonicą, powlokła go na północ - ku Orczycy. Odtąd chodził w tamtą stronę - co dnia.

Polana była mała, krągła, niby jezioro lasu. Wkoło grała puszcza, trzaskały gałęzie, wył zwierz. W środku polany - dąb. Nie dąb: stary dziad, szeroki, wielki. Gołą czupryną trzęsie, piorun mu ułamał rozwidlony szczyt, zostawił jeno rozorany pień. Pień - samotny w środku polany, ze szerniałymi drzazgami nad czołem - budził grozę. Patrzył w człowieka. Z pogarbowanej kory wyciągał ku niemu ramiona. Człowiek padał plackiem przed pniem, bił czołem.

U stóp pnia składał obiady.

Stawił misy z kaszą.

Korzył się przed potęgą.

Lęklwym, zwierzęcym odruchem modlił się do dziada puszczy.

Polana była mała, krągła, by jezioro leśne. Wkoło grała głusz, trzaskały gałęzie, wył zwierz. W środku polany krzepko stało na nogach widmo boga. Co dzień wlepiało swe omszałe spojrzenie w Kłaba, który przychodził tu, siadał na skraju, obejmował ramionami podgięte pod brodę kolana, z zamartwym sercem patrzył w oczy bóstwa.

Bał się. Cały kraj modlił się nieustannym strachem.

Pradziad był śmigłym chłopcem, wesołym, śpiewającym. Urodził się nad rzeką - któż wie, jak zwano tę rzekę. Wielka Rzeka. Nie miała wyraźnego koryta, leniwym nurtem wlewała się w puszcę, wsiąkała w zielone mszyska, obalała nadgniłe drzewa. Wiosną wzdymała się szarochłodną piersią, biła pianą, rwała grubą krą bór. Nie miała brzegów. Przelewała się, kędy chciała - bura, spieniona i zła.

Latem żółciła się między zwisającymi wierzbami, zapatrzoną topolą, liliową olchą. Zarastała po bokach sitowiem. Zastawała się w leniwych zatokach, łachach zaciągniętych rżesą, nawilgłych bajorach. Zasięki pni, gałęzi, śmiecia leśnego, wodorostów gniły w cichych zalewach. Czaplą stawała na jednej nodze, dumiała w mgliste poranki. Krzyczały dzikie kaczki. Nur skakał po toni i szczupak pluskał w trzcinach. Między zatoczkami a wolnym nurtem śmigała wydłubana z drzewnego pnia łódka. Pradziad miał włosy jasne, oczy wesołe, zaciągał wierszę, miał ryb ułowił dziewczuchę. Zoczył ją na wierzbie nad wodą by dziwożoną, podpłynął łódką. Śmiała się doń między gałęziami. "Skacz!" - krzyknął, nogi rozkraczył, rękoma uchwycił wierzbę, żeby nie wywrócić dłubanki. Zeskoczyła.

Siedziała na dziobie łódki, dłonie złożyła za głowę, śmiała się. Pradziad zawiózł ją do chaty, małej kleci nad wielką rzeką. Wyznała mu, że nie chce wracać do ojca. Wziął ją sobie, miał z nią trzech synów.

Chłopcy wyrosli w zapachu mułu rzeczno i ryb, którymi była przesiąknięta chata, ojciec wracał zmoknięty z połowu, w koszu pluskały ryby. Mać skrobała je, łuska błyskała niby krople rzeczne; owinięte w liście ryby kładła mać na rozpalone kamienie. Ojciec siedział z rozkraczonymi nogami, zaciągał dziurę w sieci; przerywane włókna sucho trzaskały mu w palcach.

Gdy ryb była moc wielka, mać nabijała je na długie witki łożowe, suszyła na słońcu. Chłopcy warowali z kamieniami, odpędzali wrzaskliwe sroki. Jesienią ryby wędziły się w dymie. Mać śpiewała do ognia:

Da...! szumi rzeka, szumi,

da...! biją wełny, biją,

da...! poniosą mię te wełny,

da...! niczyjam ja, niczyja.

Było straszno.

W jesieni, gdy nad puszcza wisiało ciche żółte słońce, ojciec ładował pełną łódkę suszonych ryb, odpływał. Chłopcy całymi dniami stali na brzegu, patrzyli w daleki skręt wielkiej rzeki, wrzeszczeli jeden przez drugiego:

- Grzebie! Grzebie!

Wybiegała mać, patrzyli, jak ojciec podpycha się długim drągiem, zgina się i prostuje. Woda mieniła się, przelatował po niej srebrny płomień. Ojciec podpływał do chaty, wyciągał łódź na płaski kamień u brzegu, szedł, kiwając się, w górę. Uginał się. Niósł dwa wory, jeden z pszonem, drugi z owsem. Chłopcy skakali, matka śmiała się dużymi, białymi zębami. Wieczorem jedli kaszę.

Kiedyś był u nich obcy. Przyplłynął w wielkiej łodzi. Był niemy, nie znał człowieczej mowy. Siedział rozkraczony na ławie, bełkotał w kółko, pokazywał coś palcami, ruda broda się nie ruszała. Był śmieszny, chłopcy w kącie tulili się do siebie, dusili się od śmiechu, zatykali sobie garściami gęby. "Cicha j ta!" Ojciec wstał z ławy, zachybotał ciężko do kąta, parę razy na ślepo wyrznął powrozem: chlipywanie zamieniło chichoty. Gość rozwiązał pękaty wór, zszyty z gładkiej, błyszczącej skóry. Wyjął nóż, długi, ostry, lśniący. Ojciec obracał nóż w ręku, wodził poduszczyką kciuka po ostrzu. Westchnął, spojrzął na obcego zamglonym wejrzeniem: jak pies. Brodacz rechotał w gęstwie brody. Mać uловиła spojrzenie ojca, powiedziała srogim głosem: "Gość!" "Gość, gość" - charkotała czerwona broda. Obcy ujął w garść trzon noża, w drugą pręt wiklinowy, pociągnął nożem w poprzek pręta, przeciął od razu, zaśmiał się. Skamlące spojrzenie ojca jeszcze się załzawiło, wyciągnął rękę, znów wziął nóż. Znów go próbował na palcu, przeciął wiklinę. Weszło dwóch wioślarzy obcego, ci znali ludzką mowę, opowiadali, że obcy przybył od gór, dał im wielkie dary, byle go wieźli łodzią po rzece. Wszędy zawijali do chat, obcy dawał dary, brał skórę i wosk. Przybysz słuchał uważnie, kiwał brodą, powtarzał twardo: "Skóra, wosk". Obiegł oczyma izbę, schylił się nad workiem, wyciągnął sznur bisioru; podał matce. Gałki błyszczały cudnie, niby nizane gwiazdy. Mać obracała je w rękach, przebierała palcami. Gość wstał, wziął jej sznur z ręki, narzucił na szyję. Mać poczerwieniała, stała chwilę bez ruchu, naraz zaśmiała się, gibnęła w biodrach przed ojcem, iście jak w płasach; ramionami chlasnęła wzdłuż ciała, znów zaśmiała się - cienko, bojaźliwie; ojciec wciąż próbował noża. Wioślarze powiedzieli:

- Dajcie mu skór abo wosku, ostawi wam nóż i bisior.

Ojciec wstał, poszedł w kąt, ciągnął stamtąd wielki kosz suszonych ryb, przeznaczonych na owies i pszono. Postawił przed obcym, zdjął pokrywę - ciężka rybia woń chynęła z kosza ku czerwonej brodzie; ale tamten roześmiał się, pokiwał głową. - "Nie - śmiał się - skóra, wosk!" - "Mołwi, że chce skór abo wosku" - pouczali przewoźnicy. Ojciec zgarbił się, przygiął kolana, siedział mikzkiem. Obcy wziął nóż z zydła, wyciągnął rękę do mać, milcząc zdjęła sznur z szyi, gałki pobrzękiwały. Obcy podniósł się, burknął niezrozumiale, wyszedł, wioślarze nieśli za nim wór. Chłopcy kopnęli co żywo patrzeć na odjazd; i mać wyszła; jeno ojciec siedział na glinie, skulony, pierwszy raz poniżony i czujący swą małość. Wosku, skór...

Nazajutrz wziął za ramię najstarszego syna - dziad widział wtedy dwunaste lato w swym życiu - niewielki koszyk suszonych ryb, ruszył zdecydowanym krokiem do łodzi. Mać wybiegła z krzykiem za nimi, chwyciła chłopca, szarpnęła, oderwała od ojca. Mąż - milczący, nieustępliwy - pchnął ją mocno, zachwiała się. Została, opadnięta na ziemi, skulona, zawodząca cicho w złożone ramiona. Nie patrzyła, jak łódź odpływała. Dopiero gdy czołno było na zakręcie, podniosła głowę, łzy nie dały jej zrazu dostrzec błękitniejszej plamki, aż podjęła ramiona, zawyla ostro, po wilczemu; dwaj młodszy synowie szlochali w zwierzęcym strachu j żalości, wtuleni w kąt chaty; dosłyszeli krzyk mać, zapłakali głośnym, opuszczonym jazgotaniem.

Łódka niedługo szła z nurtem wielkiej rzeki. Wraz za zakrętem ojciec zbliżył się do brzegu, nurkował

w gąszcz nawiśniętych wierzb. Wychyła zarośnięta wysepka, woda tu była czarna, głęboka, ojciec często w tym miejscu ryby ciągał. Chłopiec na dziobie łodzi patrzył w ciemną przepaść, strach ścisnął mu gardziel, nie dawał jęknąć. Czólno pruło ukosem cichą toń, o sto kroków dalej wpadała w zalew niewielczutka rzeczka, drzewa zwisały nad nią, z obu stron łączyły się konarami, ciemno tam było w głębi i strasznie. Ojciec migiem wpłynął w czarną gardziel. Obmyte korzenie drzew spadały wprost w wodę, nad głową zielony dach, rzeka wiała się, burczała ostro szybkim nurtem, z obu stron mur puszczy. Chłopak na dziobie patrzył wkoło zgłupiałymi, nie widzącymi oczyma, zwała się nań groza i obcość. Wargi miał suche, chciał pić, bał się sięgnąć ręką, by wziąć wody w dłoń. Ptaki śmigały z brzegu na brzeg. Ojciec wiosłował w milczeniu.

Pod wieczór chłopiec poczuł w nozdrzach woń dymu; wstrząsnął się. Puszcza się tu oddaliła od strumienia, nad urwiskiem widać było chaty, biegały gołe dzieci, białki były okręcone skórami. Dym sączył się przez kryte gałęziami dachy. Dzieciarnia na górze dojrzała łódkę, zawrzała. Krzyk, baby leciały patrzeć, kto płynie, za nimi starcy z łukami.

Ojciec podniósł gołą dłoń, osada odpowiedziała gościnnym krzykiem:

- Płyn! płyn!

Przybił do brzegu, uwiązał łódź do krzaku, wziął kosz z rybami, pchnął syna, pięli się po ostrym urwisku. Dzieciaki i baby wytrzeszczały oczy. Ojciec pozdrowił z Dadźbogiem, przepchał się przez tłum, pytał o starostę. Przykuszykał człowieczek mały, stary, całą skórę mchem miał porośłą; czoło niskie, poprzecznie poradłone, w zmarszczkach wiekowy kurz; oczka blade, chytre; okręcony był wielkim futrem, w ręce trzymał oszczepik, polerowany grot lśnił jak płomyk. Pozdrowili się, stary prosił gościa, ale patrzył czujnie.

Siedzieli naprzeciw siebie w dymnej chacie, chłopiec stał za ojcem, zastrachany, ślinił się. Ojciec dał dar - kosz suszonych ryb - stary zakrzyknął, kazał przynieść wędzonego mięsa. Chłopiec przez pół rozumiał ojca, słyszał układy, nie chciał ich pojąć. Ojciec sławił myśliwców z głębi puszczy; przywiózł im dar z ryb, będzie i nadal przywoził. W zamian prosił nauczyć chłopca zwierza bić w boru, wnyki wiązać i stawiać sidła a zapadnie. Staruch nie spuszczał z ojca wytrzeszczonych bladych oczu. W końcu zgodzili się, uderzyli dłońmi, ojciec zwrócił się do chłopca, ściobnął go sznurem po plecach, oddał sznur staremu; omszały staruch ściobnął z kolei mocno, boleśnie i zachichotał.

Potem ojciec nazarł się gościnnego mięsa, przespał w chacie na skórach; ledwo świt siwiał na niebie, wstał, odwiązał dłubanę, odpłynął. Chłopak został w osadzie łowieckiej.

Ta chytrość łowiecka, której dziad nabrał u myśliwców, została już w jego rodzie. Umieci wnyki stawiać, zwierza wytropić i osadzić, umieci z łuku szyc i oszczepem ciskać. Nie żałował sznura omszały staruch i nie żałował łowieckich tajników. Dwakroć w roku przyjeżdżał ojciec, brał skóry ubitego przez syna zwierza, przywoził ryby. Puszcza straciła dla chłopca nieprzebyte zakłęcie: nurkował w niej całe dni. Osada była dymna, ciemna, odcięta od świata: tylko k'puszczy jej droga. Szły lata, otrok podrósł, rozrósł się, nabrał łowieckiego umu. Zrazu go sieci wiązać uczono, zapadnie stawiać z łyka lipowego i leszczynowych prętów, podchodzić dzikie gęsi, żurawie i łabędzie. Wiosną skradał się na tokowiska głuszców, bił cietrzewia. Wynałazł ścieżkę, kędy dziki koń chodził do wodopaju. Umiał iść za charkotem dzikiej świni prowadzącej pod dęby warchlaki. Poznawał po

głosie gon wилczy za jeleniem, wiedział, jak odróżnić ślad łosia, konia, żubra, niedźwiedzia, sarny, zająca, wiewiórki, rysia. Umiał podejść tak cicho pod bobrowe żeremia, że strażnik, wiercący płaskim pyskiem na wsze strony ni plusnął. Wynajdywał gniazda sokole i nauczył się pod grozą sznura cierpliwie ochraniać małe sokoleta, aż opierzą się, wyćwiczą w locie, zaczną same polować - przyuczone sokoły odnosili myśliwcy kejs daleko, wracali z sakwami pełnymi darów. Znał głos puchacza, sowy, myszołowa, podglądał wronie gonitwy za jastrzębiem, ubił w locie siwego orła. Trzykroć umazano mu już gębę juchą zwierza, trzykroć wsadził pysk w dymiące wnętrzości ubitego przez się wilka, dzika i łosia. Ciskał oszczepem w ptaki i strzałą wybijał oko sowie. Był łowcem, dzielił zwierzynę, ściągał skóry, suszył je i wyprawiał. Sznur już dawno zdarł się i przestał go ściobać. Staruch - zgrzybiały już i bezzęby - klepał go po łopatkach i mruczał pochwalnie.

W ciemne noce osada myśliwska rozkładała między chatami ogniska, wiecowała, co robić, jakiego zwierza bić, jakie skóry są lepsze i jakie mięso wędzić na zimę. Mężczyzn dorosłych było pięciu, dopuszczono do rady i jego - obcego. Ogień płonął czerwono, fioletowa smuga sączyła się w rozgwieżdżone niebo. Chłopak spoglądał po pięciu okopconych gębach, projektował wyprawę na mieszkę, który już schował się w barłóg pod modrzewiowym wykrotem. Niedźwiedzica była tłusta i ciężka, będzie wielka moc sadła, piękne futro i kości do grotów. Lekki powiew zdmuchiwał pożółkłe liście z drzew, kręciły się by zwidy w przebłyskach ognia. Białki i dzieci wyzierały z chat, nieprawne podejść do kręgu. Psy skuliły się koło ognia, spoglądały na radzących zielonym błyskiem oczu, przy głośniejszym okrzyku podnosiły uszy i merdały ogonem. Za kręgiem stała zwarta puszcza, którą znali z brzege, ale której nie przeszli - nie kończąca się, wieczna. Boża. Ojciec składał obiady z ryb na pniu pochylonej wierzby, moczającej witki w wodzie, drzewie ziemnowodnym. Podpływał do onej wierzby ze strachem, z czcią, z zakłęciem na wargach. Gdy nad łodzią zwisały poplątane gałęzie o wąskich blaszkach liści, boży lęk zapierał dech, pot występował na barki i pośladki. Osada myśliwców miała w pogardzie łącno próchniejące wierzby, nie oddawała darów bogom wód. Wybrała sobie dąb, wielki i rosochaty, bóstwo potężne i opiekuńcze. I cis - bóstwo ciemne i złe, którego cień zabija. I konia, w którego nigdy nie wypuszczono strzały ni oszczepu, który pasł się na Ukrainach, ogryzał korę z młodych drzew i pączki wiosenne. I całą nieobjętą puszcę, zdolną zabić człowieka jednym tchnieniem burzliwej nocy.

Zamknięci byli ciasnym kręgiem, nie wiedzieli, nie śnili, że poza szumiącą granicą puszczy - huczy inne, odmienne, pełniejsze i bogatsze życie. W ten wieczór, gdy pięciu łowców osady i jeden przybysz radzili o zabiciu rudego mieszki - jakby los świata od tej walki zależał - pod częstokołem Gniezdna rozłożyły się wojaki Poznana. W Gniezdnie - za rowem, stromym wałem, gładko ociosanym częstokołem, za ościeniami i trzemem - patrzył na ogniska wrogów Ziemomysł, ksiądz Kruszwicy, Lednicy i Gniezdna. Wyprawiał się latoś na Poznana, poczubili się wprzódy na godach zimowych, walczyli wiosnę, lato, pół jesieni. Nynie Poznań obiegił Gniezdno. Do Ziemomyśla dobiegały skrawki dalekiej pieśni, pili tam piwo i żarli mięso. Grzywa opadała księdzu w pół czoła, był niski, barczysty, chytry. Nakarmił już swoich wojów i napoił, czatowali za nim w ciemności, sapali przeczuciem odwetu. Stan Poznana huczał i cieszył się zwycięstwem, ognie płonęły szeroko, rozrzucone między Jelonkiem a górą Lecha. Ziemomysł długo patrzył w świecące na drodze wokół jeziora gwiazdy, sapał. W końcu dał znak, cicho wymknęli się małą bramką, wybiegającą na wschód u wód jeziornych j płasko pluskała szara fala. Gród zostawili bezbronny, leżał za nimi czarny i niemy, ogromna kępa wyrzucona z mulisk jeziornych. Długim węzem biegli jeden za drugim, nurkowali w trzcinach, paćkali się w bagnie. Na wschodnim brzegu trzęsawiska były bez dna, skakali



z kępy na kępę, kto wpadł, tego wyciągali sulicami. Nasiąkli po włosy czarną, śmierdzącą wodą. Chmury wisały nisko, tuż nad głową, éma lepiła się, wiatr nie powiał. Zaczęło siąpić, oni jeszcze brodzili po kolana w wodzie. Ziemomysł biegł na przedzie, poganiał: sapali i klęli. Topory ciążyły w dłoniach. Dotarli do lasu po przeciwnej stronie Jelonka, okrążyli jezioro. Przebrnęli przez puszcę walcząc z leszczyną, paprocią i dzikim chmielem. W końcu dopadli grobli na zajezierzu Jeleń, między Jelonkiem a mszarami Jeziora Świętego. Tu spodziewali się wroga, lecz na bagnistej grobli nie było nikogo. Ziemomysł parsknął ze wzgardą, biegli na bliskie już wzgórze, radujące się śpiewem i piciem. Wpadli na nie z nocy, niby stado wilkołaków. W niskie niebo uderzył wrzask - wrzask strachu i zdumienia. Gród na górze stał nadal martwy i ciemny, wróg przybiegł od tyłu. Wraz zdeptali ogniska, w zupełnej émie przewracało się coś, szamotało, jęczało i wyło.

Nazajutrz - w żółtym blasku jesiennego słońca - przyniosło czterech wojów do grodu trupa Poznana. Ziemomysł - krótki, krępy, chytry - nie strzymał radości, zatańczył nad trupem wroga, giał się w biodrach, tupał, klaskał, uderzał się po bokach. Za nim rogate woje puściły się w płasy, cały gród skakał, wył, ryczał w rozsadzającej radości zwycięstwa - jak zapadła osada myśliwska nad trupem zabitej niedźwiedzicy - jedni i drudzy zamknięci w kręgu borów, nie wiedzący, że ów zaklęty mur puszczy nie jest granicą świata; że w tymże czasie król niemiecki, Henryk, wdziera się już w słowiańskie dziedziny w okresie dziewięcioletniego zawieszenia broni z Węgrami; że we Francji gorzej wojna między królem Raulem a synem Rollona normańskiego, Wilhelmem Długim Mieczem; że w Rzymie nie ustają walki Hugona z niegodną Marozją, Janem XI papieżem i Albertykiem, zwanym princeps et senator Romanorum; że święty opat z Cluny, Odon, poszczący w dzień i biczujący się nocami, rozpoczął ciężkie zmaganie o reformę w Kościele Chrystusowym i że w klasztorze Farfa dźwięczą puchary i śpiewają dziewczęta; że w dalekiej Kordowie dźwigają jeńcy kamienie na meczet, rozpoczęty przed półtora wiekiem przez kalifa AbdarRamana; że w grodzie Bożym Bizancjum, zagrożony przez Bułgarów i Saracenów, przez dworskie intrygi i walki kościelne augustus Romanos I próżno usiłuje powstrzymać proces rozkładu wschodniego cesarstwa; że na zamkach feudalnych powszechnie się śpiewa bohaterską pieśń o Raulu z Cambrais, który wkroczywszy do Origni bezcześci tamtejszy kościół, a potem każe go spalić wraz z mniszkami zamkniętymi wewnątrz, o rycerzu Aubri i rycerzu Ogierze, gwałtownikach i grabieżcach; że jedne siły - w tym wielkim i strasznym świecie - kończą się i rozpadają w próchno, a na ich miejsce rodzą się siły nowe. Cóż oni mogli wiedzieć o zawiłych losach świata, odgradzeni odeń wielomilową puszczą, usiłujący własnym przemysłem urządzać życie, głoszący swe zwycięstwa płasem triumfu i pieśnią swej mocy.

Jakby los świata zależał od tego płasu i tego zwycięstwa.

Po dniu tym w osadzie nad rzeką dziad z pięciu osadnikami dzielił niedźwiedzicę na części; szynki, łapy i pasy połędwicy wędziły się w dymie, a tłuszcz buzował w wielkich garnkach; baby oskrobywały futro i nacierały je piaskiem zmieszonym z popiołem, dziewczki czyściły kości, psy chodziły obżarte wnętrznościami, uczucie mocy i bogactwa panowało w pięciu dymnych chatach. A Ziemomysł szedł śmigłym krokiem na czele toporników ku Poznaniowi, wesoło było w gromadzie, latały docinki i śmiechy. Zgniłe liście zaścieniało puszcę, snuły się leniwe mgły, rankiem szron srebrzył burą ziemię i gliny twardniały w grudę. Ziemomysł wruszał ramionami, trząsł płową grzywą, lubił chwata z siebie rąbać idąc do boju z gołą głową, bez szłomu. Podeszli do Poznania. Poznanowy gród był w owe czasy niewielczutki jeszcze, byle jak okolony wałem i ostrokołem,

broniła go przede wszystkim woda. Ziemomysłowi podkradali się wzdłuż rzeki, potem z wrzaskiem wypadli na błonia, lecieli na ostrów; ale spostrzeżono ich w czas, grodowi zawarli wrota, most był rozebrany, wraz strzały sypnęły się na Ziemomysła. Wtedy to Ziemomysł kazał wziąć ciało Poznana na oszczepy, nie bacząc na lecące szypy, sam obnosił ścierwo Poznanowe naokoło wału. Strzały przestały padać, dolatywały okrzyki strachu, biadolenia. Ziemomysła rozpierała radość, wstrząsał grzywą - jak? skąd? - zerwała mu się z gęby gromka pieśń zwycięstwa i chwały:

Gnije truchło Poznana, gnije, śmierdzi i cieknie,

jak gnój krwi abo wieprzy, jako łajno abo padlina w boru

- o heeej! heeej! heeej!

- Heeej! Heeej! Heeej! - wyli za nim toporniki i echo, wyła radość puszczy i całego kraju.

Po cóż ci to Poznań zamierzył się ramieniem,

zamierzył się ramieniem by wolim ogonem,

zamierzył się na Ziemomysła, na woja, a no i księdza,

przed jimże ucieka wilk i ryś, a no i ząbrz.

Dureń Poznań, nynie leży padło bez dechu, a gnije i śmierdzi!

O heeeej! Heeeej! Hej!

Bolesnym spazmem triumfu rwała się radość pod żebrami.

Potem zaczęli się układać, Ziemomysł obiecał życia nikomu nie brać, a mienia nie rabować. Lecz kiedy otworzono wrota, Ziemomysłowi nie strzymali ugody, w gwałtownej bitce zarabali dwudziestu chłopa, baby pobrali, dobytek roznieśli. Potem żarli i pili, radowali się na trupach zwycięstwem wielkim i padłem Poznanowym. Psy rozciągały później szczątki Poznana i wieprze paćkały.

Ziemomysłowi weselili się dalej, hulali po siołach wzdłuż Warty. Ale sam ksiądz spochmurniał, siadywał na wale, nogi spuszczone nad wodę, broda wsparta na pięściach, poglądał ku rzece i łęgom, żuchwy mu na policzkach latały. Przychodzili doń kiwający się na nogach woje, przepijali z wolich rogów, duszkiem wychylał miód, klepał po barkach i odprawiał lekkim pchnięciem. Czoło się mu radliło, radość opadała, wesołość mieszała się ze złością, wciąż dumał. W końcu kazał dać w rogi, wojów zebrał w krąg: kiedy zasiedli, stanął w środku, grzywą potrząsnął, zagadnął:

- Wracamy do dom?

Poruszyli się niechętnie, mruclili, dobrze im było w bezpańskim Poznaniu, syto, chmielnie, wesoło. Ziemomysł bystro wodził czarnymi oczyma, aż nagle buchnął:

- A co? Wracamy? A tam wraz rodowy wiec: "Coście złupili? Dawajcie no, synkowie. Do sochy

wam, do bron, gnój podrzucać a woły zajarzmiac”. Obaczycie. Bili my Poznanowych, nynie będą was bili po gębach. Co? Jak myślicie?

Spoglądali tępo po sobie, złość w nich zaczynała wzbierać, wiedzieli: tak właśnie będzie. Ziomomysł milczał, czarne jego oczy chodziły od gęby do gęby, aż zaczął cicho, w zadumie, niby do siebie:

- A tu tyli kraj, wesoly kraj. Widzieliście, pola wyrąbane, szerokie, pola a pola. Ziemi szmat. Dobytku wszelakiego moc.

Moglibyście tu mieć i ziemię, i ochędóstwo, a chodziłyby my wrogów bić a łup brać. Toć są jeszcze nie wzięte grody Poznanowe, Łąd a Konin. A wždy dalej leży Łęczyca abo i Kalisz. Wielki kraj! A ja...

Zatupał nagle nogami, krew mu zalała gębę pod czapą rozczochranych włosów, zamachał zaciśniętymi pięściami, ale w gardle zdusiło, nie mógł dalej bajać, jąkał tylko:

- Wiec... psia mać! wiec... - zbiełały mu oczy. Krąg siedział odurniały, zmartwiały, aż nagle gdzieś z tyłu, od młodszych, krzyknął jakiś głos z jawną nutą rozpacz:

- Abo to wam niewola ognie palić, wiece zwoływać? Ziomomysł wdusił nagle głowę w ramiona, przygiął się niby dziki kot do skoku, sprężył się, oczy zmrużył, wyszeptał:

- A kiej starzy zwołają, czyliż wy... czy wy... pójdziecie za mną... - znów go zatkało, przełknął ślinę, wyplunął:

- ...rozpędzicie wiece?

A gdy powiało nań martwą ciszą, podniósł nagle oba ramiona w górę, z czerwoną gębą krzyczał przeraźliwie:

- Dam ziemię wam a broń, a dobytek, a wolę. Tegdy nikogo słuchać nie będziecie, jedno mnie, wojewodę a księdza.

- Ooo? - zaryczał nagle krąg, zafalował, woje zrywali się, biegli ku niemu, krzyczeli jego imię by w bitce. Ziomomysł chwycił zrazu ton głosu, pojał: wziął ich. Zawrzaskał nad ryk cizby:

- Miodu! Woły rznąć! Gody!

Poza kręgiem puszczy żył cały świat, lecz oni budowali świat dla siebie. Budowali księstwo i bili niedźwiedzie. W czołowych grodach ziemi i w samotnych osadach nadrzecznych. Szły lata.

Szły lata. W puszczy pomarł staruch - starosta myśliwskiej gromady. Dziad - w on czas mąż już całą gębą - zmyślił do ojca wracać. Popłynął. Nie spodobało mu się w ojcowej gromadzie. Chata stała na wydmuchu, żółto garbiły się wzgórza nad szarą, nudną rzeką. Pusto się zdało bez puszczy. Mać ścisła syna ze łzami na pomarszczonej gębie. Dwaj młodszy - chłopcy wysokie, smagłe - z niechęcią patrzyli na starszego. Ojciec chodził rad, zacierał ręce. Popłynęli na ryby. Poranek był blady, płynęli

w gęstej mgle, woda bulgotała pod dębami, łódki kiwały się, niosło rzeźwą wilgocią. Zarzucili kamienie w wodę, łódzie stanęły w środku prądu. Osękami wylawiali zastawione na noc sznury, wyciągali je, raz wraz pluskały tęponose, grubokarkie wąsacze; oczy ryb patrzyły nieruchomym przerażeniem, wąsy zwisały martwo. Gdy zdierali je z kościanych haczyków i rzucali do kosza, pluskały rozpaczliwym szamotaniem, potem leżały cicho, żółtym brzuchem do góry. Wracali w niemym milczeniu, tylko ojciec był wesół, strzykał przez zęby, bacząc, by ślina nie spadła poza łódź: topielica by się zgniewała.

Sennie, rybio szły dni w rybackiej chacie, dziada ciągnęło do puszczy. Ojciec nie bronił mu, chłop łowił w sidła zające i kurki, odszukał wodopój jeleni, rankiem warował w dziupli dwu brzoź zrosniętych w jedno drzewo. Nad nim szumiała gęstwa, we wnętrzu zataił się jakowyś niepokój, jakowaś tęsknota. Ścichł, zamknął się, więcej w drzewie siedział niżli doma. Aż się w nim coś przemiesiło. Począł myszkować tutaj po nadbrzeżu, nie szukał już tropów jelenich, gnała go wewnętrzna siła, ślepa i nieuchwytna - ku jakowemuś celowi, mętnie tylko przezeń odczuwanemu. W końcu znalazł. Nie opodal rzeki łyśiał w puszczy goły pagór, porośnięty jeno porostami a cząbrem, spalony i gorący. Wokół stały drzewa, same jeno śmigłe sosny, o gładkiej, czerwonej korze, szumiące gałęziami z niepokojącą tęsknotą. Dziad wielekroć na ów garb wracał, wracał i odchodził, legiwał na ostrym podścielisku chrobotków, wciągał nozdrzami woń cząbra, słuchał szumu sosen i stuku dzięciołów, patrzył w niebo by wielką srebrną wodę, zgłębiał ową nieświadomą, kłującą tęsknotę, przewalającą się w nim czy może we wnętrzościach ziemi samej. Pewnego razu wstał, nieświadomy nadal celu, instynktowny, iście dziki ptak, jał rąbać sosnę najtęższą, najczerwiejszą, najbardziej śmigłą i najbardziej szumiącą. Jakby to, co mu pod sercem grało, rąbał. Przychodził na ów łyśy pagór co dzień. Zaniechał wnyków i zapadni, polowania i tropienia. Ojciec złościł się, gdy wracał do chaty z pustymi rękoma, mać zrzędziła. Ale dziad nie słuchał. Leżąc w kurnej chacie ojcowej, wpatrywał się poprzez ciemność i noc w daleką łysinę puszczy i we wznoszący się na niej surowy zrąb domu, kładziony ze smolnych tramów, łączonych w kwadrat. Czuł w sobie moc i radość. Z tą samą mocą i radością gnał w tymże czasie Ziemomysł niewolnych, by bili mu pale na nowy, mocniejszy częstokół wokół Poznania.

Pradziad sam oderwał dziada od rodowego pnia, gdy zawiózł go do osady myśliwskiej: nie żyć myśliwcom z rybakami. Dziad chciał już nowego życia, śmierdziały mu ryby. Przestał nosić zdarte skóry zwierza do ojcowej zagrody. Zbierał pęki futrzane - kunie, bobrowe, wydrze - a gdy miał dość, związał je, poszedł giętko ku osiedlu łowców, gdzie wyrósł był na mężczyznę. Tam złożył dar nowemu staroście rodowemu. Siedzieli obaj przy ogniu, układali się wolno, z mozołem, z rozwagą. Raz jeszcze ruszyli spolem w puszcę - przygotować zapas mięsa. U oraczy dostali piwa i kaszy, u bartników syty. Gody odbyły się hucznie, dziad wracał z towarzyszką u boku. Dziewczyna niosła garnki a przyodziewę, on broń. Sosny u nowego domu szumiały czarną zielenią, wokół pieniało się, huczało niepohamowane życie. Szły lata.

Dwóch synów dziada biegało już dobrze wokół chaty, gdy miecz normański powalił Ziemomysła w wielkiej bitwie u Odry; grzywacz runął u stóp syna - małego, krępego, chytrego jak on, Mieszki - z pyskiem rozrąbanym, buchającym krwią. Mieszka krzyknął, lecz bitka nie ustała. Pognali Nordów, po bitce syn podniósł z rudego poboju truchło Ziemomysłowe, pogrzebał je godnie. I objął władztwo po ojcu - czujny i przebiegły - bił się, przechytrzał wrogów, udawał pokonanego, znów szczyrzył kły. I polował.

Dziad szedł kiedyś po puszczy, przystanął nagle, pociągnął nosem. Przykucnął, znów nosem pociągnął, strach mu zmroził skórę: czuł dym nozdrzami. Dłuższy czas kucał bez ruchu pod drzewem, ciąg między burymi pniami przynosił woń spalenizny, znów go nie było. Dwakroć dobiegł zmieszany gwar ciżby. Dziad legł na brzuchu, jął się czołgać od drzewa do drzewa; wyglądał zza każdego stwołu, nasłuchiwał i węszył. Wreszcie dotarł. W kotlinie leśnej wyrąbano leszczykę, kalinę i ostrzężyny; płonął ogień, między gałęziami zwalonej sosny siedział woj, mały, krępy, z wielką głową wduszoną w ramiona; jadł pieczone mięso. Wokół ciżba: krzyczą, śmieją się. Mały woj na sośnie raz wraz odrywa się od jada, także rechocze; oczy wciąż mu biegają na strony, biegają. Psy leniwie leżą podle ognia, grzeją się. Niedaleczko miody woik - wąs mu się ledwo sypie - macha toporem. Mieszka ryczy z sosny ustami lśniącymi od tłuszczu:

- Wszebor! Ciśnij no toporem za on jesion. Człek tam leży, lestek, myśli, że ji nie obaczę.

Dziad się zerwał, skoczył, by zmykać, psy u ogniska w mig ożyły, rzuciły się z głosem, wnet dognały, musiał się im opędzać. Za nimi kupa luda, opadli dziada, skrępowali, wiedli do księdza. Ten żarł wciąż mięso, mlaskał, ssał szpik z kości. Zapytał:

- Coś zacz?

- Łowiec - wyjąkał dziad; myślał: koniec z nim zrobią.

- Puśćcie ji - mruknął Mieszka - a ty nie umykaj.

Dziad stał przykurczony, rzucał wokół płochliwe spojrzenia. Mieszka odrzucił kość - pies złapał ją w locie - otarł dłoń o gacie, rozparł się między gałęziami, w małych oczach taił się mu śmiech, zagadnął:

- Czegoś tu chciał? Dziad się nachmurzył, milczał.

- Dym poczułem. Tu nikt nie zachodzi, głusz.

- Wieszli, kaj wiedzie trop jeleni do wody? Gadaj.

Dziad ożywił się.

- O wa! Wiem. Moje to strony.

- Powiedziesz rankiem. Dziad się chmurzył, milczał.

- Coś oniemiał?

- Zwierza wybijecie.

Odpowiedział mu ryk śmiechu. Onże młodzieniaszek, Wszebor, trącił go toporzyskiem.

- Bacz. Wszytka puszcza księdzowa.

- Księżdowa? - wykrzyknął dziad w najwyższym zdumieniu.

- Wszystko tu księdzowe. I ty...

- Ja?!

Ryczeli, że im służy szły z oczu.

Nocował w obozie. Rankiem wiódł księdza do jeleniego wodopoju. Przez trzy dni polował z księdzowymi, patrzył, jak padają rude sarny i daniele, pomagał mięso dzielić, ludzie w gieźłach obdzierali je, okurzali w dymie, solili, nieśli ciężkie cebry albo połcie na drągach ku rzece, tam w łódź ładowali. Dziad z ssącą pustką we wnętrzu patrzył na owe dziwa, zaskoczony nowością, przerażony tą wieścią: puszcza, on, cały świat - wszystko jest księdzowe. Jakby maczugą przez łeb dostał. Gdy leżał nocami przy rozżarzonej ogniu, patrzył w czarny dach drzew, wciąż dumiał: jakże to? Niepojęte czaiło się w sytym chrapaniu Mieszkowej drużyny. Lelum!

Po trzech dniach puszczono go. Poszedł niby po piwie, nie widział drogi, zapatrzony w owe dziwowisko. Białka go powitała jęzorem:

- Kajś się to był wąkronił?

Splunął.

W nocy nie spał. Rankiem wziął łuk, oszczepy, topór, ruszył tropem Mieszkowym. Ciągnęło go. Dognał drużynę, powitali go zdziwieniem i śmiechem. Mieszka stanął, spojrział nań czujnymi oczyma. Dziad jęknął:

- Ksze! Weźcie mię z sobą. Nadam się.

Ostawił dom, białkę, dwóch synów.

Świat był olbrzymi. Za wałem i częstokołem wielkie grody pełne ludzi i bogactw. Święte dęby szumiały po lasach. Kupce przyjeżdżały z żelazem, sukniem, naczyniem. Bitki przewalały się po lasach, polanach, rzekach i bajorach. Padały pod strzałami dziki, jelenie i żubry. Ludzi była moc wielka, kędy stąpisz. A nad nimi - on jeden, Mieszka, ksiądz. Mały, chytry, z głową wduszoną w ramiona, na pałakowatych nogach. Pełną garścią rozdawał śmierć i bogactwo.

Dziesięć lat bił się dziad w księdzowej drużynie. Po dziesięciu latach nie wracać mu było w puszcę nad wielką rzekę. Wyprosił u księdza kawał ziemi, miał trzech, wziętych w boju, niewolnych, wyciął las, wypalił, wykarczował, postawił dom. Wtedy ruszył do puszczy po białkę i podrosłych już synów, sprowadził ich do nowego domu. Ostali kmieciami. Na kmiecia wychował dziad starszego syna.

Ojciec całe życie ziemię orał, stryj Pazur walczył w drużynie księdza Wojbora. Wesoly zeń otrok, zabijaka.. Wždy w czas wojny Orczyków z księdzem Mieszka powinęła się Pazurowi noga, ponoć w jakieś zbójectwo się zaplątał, musiał uciekać i kryć się. Ksiądz Wojbor go osłonił, Pazur dostał odeń chatę, osiadł w puszczy z białką, którą był zdobył sobie w świecie, siłą zniewolił - tak przynajmniej

pogadywano w opolu; a jak naprawdę było, nikt na pewno nie wiedział - sam Pazur był ponurak, opryskliwiec, słowa zeń nie wyciągniesz. Dzieci nie miał.

Kłąb był jedynym synem w chacie ojcowej. Gdy ojciec umarł, młody zbiedniał, nie zdołał utrzymać robów - uciekli wszyscy trzej. Sam mało przykładął się do ziemi, ptaszki mu świergoliły w durnym łbie, sąsiedzi ździebko się zeń prześmiewali. Do Ząbrzowej córy ponoć latał, wždy gnali go z chaty precz, jako że był pasikonik. Odgrażał się, że do drużyny pójdzie, wojem ostanie - ale były to koszałki-opałki. Jakoś z grodu kazano zboże powodem wieźć, pora była wiosenna, drogi rozkiśte - bardzo tegdy klęli ludziska ten powód; i Kłąb musiał ruszyć, w drodze powadził się był z komornikiem księdzowym, ubił ji kłonicą. Uciekł. Krył się u stryka Pazura, ongi Wojborowego woja.

Polana była mała, krągła by jezioro leśne. Wkoło grała głusz, trzaskały gałęzie, wył zwierz. W środku polany krzepko stał święty dąb orczycki ze strzaskanym czołem. Straszonymi oczyma wpatrywał się w Kłaba siedzącego na skraju polany, szepczącego staremu bóstwu puszczy pradzieje swoje, swego rodu, całego swego kraju.

Spotkali się u onego dębu - jakby po to tylko ród Kłaba wyszedł z puszczy, piął się po szczeblach dziejów, jakby po to tylko Kłab ubił Ludka, uciekł do stryja, siadywał pod świętym drzewem w orczyckiej dąbrowie; jakby po to zasiadły Orczyki nad rzeką, walczyły z Lestkowicami, jakby po to umarł stary Wojbor, po to Stojgniew z Nielubem bojewali gdzieś na dalekich Węgrzech, po to przyszedł cień ojca do Latorosłki i wezwał ją na swój grób u stóp świętego dębu - by oni się spotkali. Po to ziemia powstała z mgławicy, po to stwardniała i zastygła, po to okryła się płaszczem chmur i borów, po to padła w próchnicę u Wisły najświętsza z świętych żołądź, która wystrzeliła w potężne drzewo, rozwidliła się i rozrosła, została strzaskana przez piorun i przez lata przyjmowała ofiary pokoleń - by oni się spotkali. Najpotężniejsza pieśń dziejów - dziejów ziemi i gwiazd - złączyła tych dwoje: Kłaba i Latorosłkę.

Pazur dostrzegł: z bratańca spadł strach zbiega, niepewność jutra, troska o dalszy bieg życia. Cała Orczyca widziała co dzień szczęsne uniesienie Latorosłki. Dziwili się. Kiwali głowami.



12.

- Jakże ci to mam rzec?

Siedzieli nad brzegiem urwiska spadającego w rzekę. Latorosłka oparła się plecami o pień sosny, wodziła wzrokiem po nieobjętym krajobrazie. Na okrzyk leżącego na wznak Kłaba, pełen wewnętrznej rozterki, oderwała wzrok od widoku, który zdawał się ją całkiem pochłaniać, spojrzała na miłego. Jego piękność - silna i męska - zbudziła uczucie ciepła w piersi. Ale Kłab zakrył twarz ramieniem, na czole lśniły mu krople potu. Powtórzył:

- Jak ci to mam rzec?

Nie pojmowała. Postawiła mu pytanie pełne miłosnej pieśczozy: "Skądęś ty się tu wziął?", które w rwącej się ku niemu tęsknocie znaczyło: "Skądęś się tu wziął w tej głuszy, u Orczycy, taki... właśnie taki..." Lecz on nie pojął jej zdumionego zachwytu. Zdawał się być pełen rozterki. Latorosłka powtórzyła, w głosie jej zabrzmiało zdziwienie:

- Tak ci to trudno rzec? - a potem, znów utonawszy oczyma w roztoczy krajobrazu - wzrok jej leciał nad rzeką i zwartą puszcza, czerniejącą na tamtym brzegu płasko niby morze, ku chmurnej dali - szepnęła:

- Może i trudno...

Te proste słowa ukłuły Kłaba, poderwał się. Chciwymi oczyma wpatrzył się w jej twarz, miotał nim niepokój i strach.

- Mogę ci rzec... nietrudno.

Teraz przestraszyła się Latorosłka, nie tych słów, lecz chrapliwego tonu Kłaba. Zwróciła nań szybko źrenice.

- Co ci to?

Siedział zgarbiony, palcami obłupywał szyszkę, blaszka po blaszce. Milczał. Gdy z szyszki ostała ino rosochata płonka, cisnął ją z pasją przed siebie, musnął spojrzeniem dziewczynę, spytał:

- Po co ci to?

- Chcę - ton jej był twardy. Kłab targnął głowę, nie spuszczając z niej oczu, sypał słowami:

- Rzeknę. Co mi tam. Ociec mój z dobrego jest rodu, Ziemomysłowy woj. Siedział w grodzie, miał gród swój... by Orczyca! - wybuchnął i zamilkł na chwilę; Latorosłka patrzyła przed siebie na puszcza. - Sielny gród, czoło ziemi. Bił ociec Weletów a Pomorców, a Czechów... Trzech nas było u oćca. Lelum! wojów chodziło za oćcem by pszczół w roju, zwoływali się... - zamilkł, odnalazł nową szyszkę, jął ją znów obłupywać, powiedział cicho, zgaszonym głosem: - Jam ci był komornikiem księdzowym w Sandomierzu. Książdz...

Urwał spostrzegłszy wlepione w siebie oczy Latorosłki, w oczach tych tała się męka. Chrząknął, zrobił wysiłek, by dalej bajać, ona chwyciła go garścią za ramię, ścisnęła mocno, do bólu. Krzyknęła:

- Cichaj. Leż wszystko to, coś bajał.

Czerwona fala krwi spłynęła na czoło, twarz, kark Kłaba. Poczuł, że dusi go skórzany kubrak Ludkowy. Latorosłka puściła jego ramię, lecz nie cofnęła ręki; wisiała nad nim ta dłoń, grożąca, choć dziewczynska i słaba. Patrzył na ciemne palce, czarne obramienie paznokci, żyłki rysujące się na kiści. Wyjąkał:

- Jakże to? We łzy mię łapiesz?

Ona odpowiedziała pytaniem:

- Czemu kłamiesz ze mnie ? - a potem w nagłym natchnieniu: - I nie wołają na cię Dobek. Ino... - zawiesiła głos w pytaniu.

Miała powieki spuszczone. Porwał się, chwycił ją w ramiona, zmusił, by podniosła nań oczy; w oczach tych nie było uśmiechu. Czują gorący jego oddech, gdy rąbał już twardo, bez jąkania:

- Wiem ci, tyś z Orczyków, Wojborowa córa. A jeśli bym ci rzekł: mój ociec był wolny kміeć, a ja...  
- przełknął ślinę - ubiłem księdzowego komornika, zdarłem zeń przyodziewę, uciekłem do stryjca...  
w głusz. Że wołają na mnie Kłab. Że...

Bez słowa poderwała się ku niemu, zacisnął ją mocniej, zaczął całować płasko zaczesane włosy na głowie, radość chłystnęła weń na ową milczącą odpowiedź. Puścił ją nagle, aż zachwiała się, szczęśliwymi oczyma ogarnął ją całą, pokraśniała pod tym wejrzeniem. Znów opuściła powieki, szepnęła:

- I co mi tam, że cię nie wołają Dobek. Że... Kłab.

I jakby dla utwierdzenia siebie samej:

- Kłab! Kłab!

Znów położył się u jej stóp. Był znużony. Słońce przechyliło się do zachodu, przedarło się między drzewami, świeciło mu w twarz. Słuchał w niemej radości głosu nad głową:

- I co mi tam ród twój. To by ociec, gdyby żył... I bracia. Zaniepokoił się.

- Bracia?

- Nie masz ich. Są na Węgrzech... z Bolesławem. Cicha radość - niebaczna na jutro - owinęła go. Ręką poszukał jej dłoni, nie umknęła. Sosny sypały żółtym pyłem. Pachniało.

W Siposzu nad Dunajem, w starym grodzie Bezprymowym, siedziała w on czas druga żona Bolesława, Węgierka. Na wieść o zbliżaniu się Bolkowej drużyny uciekła do Stefana. "Iście jako żaba" - rechotał Bolesław, ale był zły za ona ucieczkę; sam nie wiedział dlaczego się czuł poniżony - nie wyrządziłby przecie wygnanej małżonie żadnej krzywdy, łaskawy by był, nie żałowałby darów. A uciekła odeń jak od zbója.

Siposz nie bronił się, rozwarł wrota przed synami Michała Kupana, za których walczył Bolko. Adelajda, zawsze owa płocha Adelajda, pierwsza skoczyła na most. Głucho dudniły mostowe szczyapy pod kopytami konia. Bolko obrócił się do Zadory, parsknął śmiechem:

- Niewiele jej brak, a otrokiem ostanie. A wżdy białka to, syny jej jadą z nami.

- Możeć Kupan ich zrodził - obaj ryknęli chichotem na sprośność.

- Ejej! - krzyknął Bolko na konia, uderzył wielkimi ostrogami. Wjechali w gród.

W Siposzu mieli popasać dzień, dwa - konie odpaść. Wraz posłał Bolko młodzież na rabunek, woły, barany a świnie do grodu gnać, wszystkim cknęło się już za godowaniem. Ostatni miesiąc na koniu wciąż a na koniu. Obrzydło.

Schlali się jak wieprze. Spali pół dnia, na dworze haja hulała, biła deszczem, wiatr niósł fale jedna za drugą. Drużyna rozmieściła się w grodzie, jak kto mógł, konie pasły się tabunem na podgrodowych polach, rosła tam pszenica, paszy było w bród. Kogo wyznaczono do końskiej stróży, kłął, owijał się w ruchno, mókł, ziąbł. Dunaj bił szaroczną falą. Przypominało się im Pomorze, choć kraj był inny. Jakiś głos śpiewał o Jomsborgu, wiatr unosił pieśń nad rzekę, rozpyłał z deszczem.

Bolko obudził się późno, przeciągnął się, wstał. Oczy miał obrzękłe, czuprynę zmierzwioną. Ziewał, tłukł się między wojami, bajał o tym i owym. Nalazł na Włodka i Wasula, bracia swarzyli się, pyskowali. Wuj pogroził im pięścią, ścichli, spoglądali za nim nieprzyjaźnie.

Działosz kucnął w kącie, bajał o śmierci starego Puchały Starogniewa. Wokół siedziała, rozwaliała się na ławach kupa wojów: Jeż, młody Wilk, syn Wilka z Wilkowej, Giez Ślizień, Racibor, Sobek, Przemko Świradowic. Pili kwas chlebowy, gaz odbijał się im mocno, czkali.

- Nie widzieliśmy - mruknął Giez.

- O wa! Dym walił, w oczach wierciło, już się ściana paliła, woje krzyczą: nazad, nazad, do tyłu, wraz runie. - "Stój! - ryczy Puchała - później ksiądz będzie kpił a kłamał: Puchała stary chrzan, wody się boi, a ognia, kuropłoch! Niechże patrzy Bolko na Puchałę! Drabiny!" Przystawili mu drabinę, żar taki, że nie ustoisz, iście puszcza gore. Puchała nóż w zęby, miecz zawiesił u szyi, lezie. "Za mną, za mną, weźmiem gród pierwsi, przed Bolkiem." Ja, Ostoja, Stanko Ślęzak a stary Żbik skoczyli, nuże na drabinę za Starogniewem. To mołwię wam, dym w gębę bucha, ogień liże, osmalił Stanka, zamroczyło chłopa, zleciał, nynie baję trzy po trzy, nocami rzuca się, wyje.

Przemko uderzył po kolanach, krzyknął:

- Widziałem ji, prawie spalony, ciało od kości odstaje, olejem ji mażą.
- Pacha nie ma, ten ci by ziola miał, odciągnąłby gorąc. Wilk wyciągnął pysk, długi, prawie wilczy.
- Dwu wojów takich ubili w tej wyprawie: Puchałę a Stojgniewa. Baczycie? - wodził zdziwionymi oczyma po kręgu.
- Stojgniew a no żyje. Wylize się - warknął Przemko; nie lubili się z Wilkiem.
- Dajcie bajać Działoszowi - burknął Giez i położył łapę na barku Przemkowym; tamten obrócił głowę, szukając zaczepki, spotkał się z ciężkim spojrzeniem Śliźnia, zmilczał.
- Kiej Stanko zleciał i my nie strzymali, tył dali. Zeskoczyli z drabiny, patrzym: Puchała przedarł się przez ogień. Już tam i szczeble się tliły. Stary chrzan, a skoczył przez częstokół by pchła, szłom mu zerwało abo ji w ogniu rzucił, tylko mu białe kudły świecą. Nalecieli nań Węgry, ten bez szczyta, w prawicy miecz, w lewicy nóż, a który Węgier podlezie, jakby ji piorun trząśł. Ryczy Puchała na częstokole: “Drabiny, kupą tu, kupą!” My za drabiny, wstyd nam było, strach bajać, jakeśmy przez ogień przeszli. A wleźliśmy na górę, Puchała już leżał. My na Węgrów, a tu Bolko bramę wywalił, wlała się drużyna w gród. Kiej my wrócili do Puchały, ostygł już, kudły i rzęsy zar mu zlizął, gęba nabrzękła, straszny był.
- Bolko nakazał truchło w skrzynię złożyć - Giez potoczył w koło oczyma, czy słuchają - kilkoro wojom do domji wieźć. Nie dowiozą, w górach ubiją ich.
- Bez chyby - stęknął Jeż między łykiem a łykiem; w gardle mu grało.

Całe popołudnie niemrawiło się w grodzie, woje tłukli się bezładnie, haja wciąż wyła. Przed zachodem zasiedli do stołów, ochota wróciła. Siedzieli w wielkiej izbie, stoły biegły obok stołów w pięć rzędów, mięso dymiło, żarli zdrowo a popijali. Wraz zahyrowało się nad stołami, śmiali się, krzyczeli jeden przez drugiego. Adelajda godowała nie gorzej od drużyny. Woje dla śmiechu przepijali do niej często, nie nadpijała kruży, nie zasłaniała dłonią twarzy, trąbiła do dna. “To ci baba!” - bili się po kolanach. Jej pokraśniała jeno szeroka gęba, śmiałe oczy biegały wesoło, ze sprośnych żartów huczała mocnym śmiechem, nie krępowała wojów jak Emmilda. “Taka ci i Świetosława, Mieszkowe córy, za ojcem poszły, niedaleczko pada jabłko od drzewa.” Gęsty śmiech wisiał nad stołami. Usadzili do uczyty Węgierki, trudno się z nimi było dogadać, nie szkodziło to, sójkę w żebra każda rozumie, a one chichy i chachy, a plaskania dłonią, zakrywanie liczka, hu hu hu... - Adelajda jeszcze ich podjudzała. Sułek rozochocił się, podszedł do Białej Kniężini, pił z nią, zamroczyło go, objął księdzównę ramieniem. Odchyliła się, rozmachnęła, jak nie zdzieli Sułka dłonią przez pysk, chłop przechylił się od ciosu, przewalił się przez ławę, rąbnął potylicą w podłogę, nogami wierzgnął, wysoko, ponad stół. Podpici już byli - rehot poszedł po izbie, białki w krzyk, chłopcy przeskakiwali ławy, pchali się patrzeć na Sułka a przekpiwać. “Wina!” - wrzasnęła Adelajda, podali jej róg, któryś przepił, chlupnęła haustem, kropnęła rogiem w ścianę. Bolkowi aż słuzy poszły, tak ryczał. Adelajda wskoczyła na ławę, krzyknęła mocnym głosem:

- Kiej wam się ckni do uścisków, ciągnajcie nas w płasy - a potem uderzając otwartą dłonią w usta,

zawyła przerywanie, głośno, podniecająco:

- liiiiii! liiiiii!

- Stoły pod ścianę - wrzasnął Bolesław. Rum poszedł po izbie. Wraz ściągnęli stoły i ławy, po pustym środku zakurzyły się ociosane dyle. Rogi zawyły, zastukały pałki po bębnach. Pijane gęby podniosły wrzask, dłonie waliły do taktu, nogi tupały. "Gęśle!" - dobiegł przez gwar głos Bolka, daleki, niby w warze bitwy. Rogi i bębny umilkły, zabrzęczały struny szczypane palcami gęslarzy, zapiskali dudziarze i piszczki. Bęben dostukiwał do taktu, róg podkreślał koniec każdej zwrotki. "Hoo! ho!" - krzyczały rozwarte usta, krew zagrała do rytmu - jednak, całej izby. Adelajda się wysunęła, drobiła nogami, wnet podleciał do niej Przemko, najśmielszy z drużyny, wziął pod biodra, ona złożyła mu dłonie na ramionach, Przemko tupał, ile miał sił w nogach, byle mocniej, buch! buch! - ponieśli się po izbie, zakręcił w kącie i wprost w tłum, z łbem pochylonym, krzyki mu rwały się z gardła. W mig powyciągano Węgierki zza stołów. Białek nie starczyło, woje brali się za bary lub szli samopas. Izba hukala, przewalała się, rogi wyły, bębniarze wpadli w furję, łupili ile sił w rękach. Bolko skoczył od stołu, odbił tancerkę staremu Śliźniowi, nosił ją po izbie, czuł jak ogarnia go szaleństwo, gęslarze szczykali struny tak gęsto, że tchu nie złapać, zatyka. "Ehej! hej! Lado, lado!" - ściany się chygotały, pary, zbita masa zataczała się stłoczonym kłębem wokół izby, wokół, wokół, wokół.

Nagle otwarły się drzwi, wpadł Zadora, przedarł się przez ciżbę, coś wrzasnął w ucho Bolkowi; ksiądz rzucił Węgierkę, tłum odtrącił ich obu w kąt, Bolko słuchał chwilę, kopnął na stół, wrzasnął:

- Drużyna! Szczepan w pomoc idzie Siposzowi! Za topory!

Równymi nogami skoczył w tłum, rozparł go, szedł do drzwi. Szaleństwo przelało się przez brzegi, broń wisiała po ścianach, zdzierali ją, z czym kto miał, leciał za Bolkiem - w mrok, w wicher, w haje. Cisza spadła na izbę jak piorun, z dala dobiegały okrzyki, w izbie ostały ławy z połamanymi nogami, skorupy mis i czar, Węgierki w podartym odzieniu. Jeden gęslarz ostał, zadumany szczykał struny palcami, oczy jego patrzyły w dal, w uchu składała się pieśń o tym tańcu, o dalekich okrzykach drużyny, o kwiku odległej bitki. Aż mu usta się same otwarły i poniosły w wieki ową pieśń o Siposzu, ukochaną pieśń łupieżcy i woja:

Był onże ksiądz wielki a chrobry, Bolko Mieszkowic,

rozhulał się ksiądz w Siposzu, grodzie węgierskim,

rozbrykał się źrebiec, rozwiął grzywę, zatupał kopytami...

Wyła haja, wiatr zacinał deszczem, ciemność zawałiła węgierskie niziny. Z dzikim śpiewem i tańcem wpadli Bolesławowi na wojsko Szczepanowe. Zapienił się szeroki Dunaj, załomotała ziemia Węgrów, ludzi wojennych. W one lata...

Latorosłka wyszła przed dom, bez tchu przebiegła dziedziniec, wypadła za wrota; co dzień tak śpieszyła zapamiętała, pełna uniesienia, w poczuciu konieczności pośpiechu. Od drogi puszczańskiej wolno ciągnęło trzech jezdnych, pięciu pieszych, koleś zaprzężona w konie. Latorosłka w nagłym, śmiertelnym lęku, jakby przybysze mieli zabrać jej szczęście, nie stanęła; nie miała mocy zostać, gościć doma, śmiać się, bajać o braciach, bojujących na onych Węgrzech. Co sił śmignęła ku dąbrowie, pluchnęła w gąszcz by mysikrólik. Przycisnęła dłonie do piersi, poczuła stukot serca. Znow pobięła.

Dzień minął jak grot rzucony dłonią woja. Wracała zadumana, z poczuciem nieuniknionego, co szło ku niej zapamiętałe i groźne. Kłęb stapał obok niej lekko i płynnie. Ujął ją wpół, przytuliła się nagłym porywem, jakby szukając ratunku. Zmierzchało. Liliowe palce kładły na niebo nikły, różowawy odbłask. Nad Orczycą świeciła gwiazda wieczorna, szli ku niej. Latorosłka podniosła oczy na blask, powiedziała:

- Już tążę za tobą.

- Mojaś tyś...

- Idź. Pobiegnę sama.

Przyciągnął ją, w pośpiechu oddała pocałunek. Kłęb ściagał oczyma lekki cień, sunący na przełaj - pomieszane w nim było wszystko, upojenie przeplatało się z niepokojem, z niepewnością, z niedosytem. Trudne było ich miłowanie, popłątane. Wojborówna... - nie mógł całkiem o tym zapomnieć, że Wojborówna... Ona?... - w niej sama radość paliła się wysoką łuną, ale Kłęb wracał spod wiślanego urwiska do chaty stryja Pazura, a tam... Prawda, spadł zeń strach zbiega, troska o jutrzejsze rano, a jednak gdzieś na dnie tłukło się niejasne majaczenie, że nie spędzić mu życia w tych ramionach zapłatających się mu wokół bark, że ona przecie Wojborówna, Wojborówna... Porywało go to: dla niej nic nie znaczył ród, bogactwo, bracia - tylko on... Tak było, gdy trzymał ją w uścisku, gdy leżał u jej nóg, a ona mu przegarniała włosy. Lecz kiedy pożegnał ją... - patrzył za jej ciemną sylwetką i w piersi mu ścisnęło: nie mógł pójść za ten częstokół z osadzonymi u góry końskimi czerepami. Stał, patrzył. Skrzypnęły wrota. Zaszczekał pies, urwał, potem ostry głos męski, zatupotał koń. Słowik tuż obok zakłaskał; ciemniało. Kłęb odwrócił się, poszedł ku dąbrowie - szumiała przyjaźnie. - A jednak dobre to ich miłowanie, ukojne. Ona tam gospodarzy nynie w Orczycy, rządzi, robów łaje. A potem rozdzenie się, ułoży - i wtedy dumką wróci do niego. Kłęb uśmiechnął się, szedł szparko przez ciemny już las.

Latorosłka minęła wrota, zamyślona była, niespodzianie usłyszała od stajen głos Nieluba:

- Kajs to latała?

Stanęła by wryta. Serce jej łomotało: Nielub?! Jak gdyby głos nieszczęścia. Brat szedł do niej, stanął, pochylił się, zajrzał w twarz. Spotkał rozszerzone źrenice. Szept.

- Wróciłeś? Tak chyzo?

- Węgrzy Stojgniewa usiekli w lesie. Przywiozłem.

- Usiekli! - krzyknęła i zamilkła. Rozłomotane serce stanęło. Po chwili, jakby nie wierząc: - Usiekli?

- Przywiozłem ji. A ty... Chwyciła go gwałtownie za rękę.

- Czeka! Truchło?

- Cięli ji w gębę. Lepiej mu - głos niechętny. - A w ten czas ty...

Nie słuchała. Pobiegła bez tchu, wpadła do sieni. Ogień wysoko strzelał na palenisku, było jasno. Mały, czarny człowieczek w strojnych szatach siedział na zydlu, popijał z czarki, przed nim srebrna konew; podniósł na nią bystre oczy, obrzucił szybko, badawczo, szedł do niej. Musnęła go ledwo spojrzeniem, na ławie, na której zmarł ojciec, leżał człek, głowa w chustach, nad nim krępy staruch pochyłony bąał cośik. Latorosłka skoczyła do ławy, spojrzały na nią oczy Gniewka, poznały, poweselały. Brat uniósł dłoń, wziął ją za przegub, uściśnął.

- Orczyca... - szepnęły wargi spod chust.

- Gniewek!

Przypadła do posłania, głowę wtuliła w skóry, buchnęła płaczem. Wszedł Nielub, burknął głośno:

- Iście kania przed dżdżem.

Stojgniew podniósł się na łokciach, stęknął.

- Cichajże! Nic mi. Nic. Słyszysz?

Uniosła się, leciuchno dotknęła chust na głowie, szepnęła:

- Że ci dali radę...

- Iii... W gąszczu my się bili, opadli. W bitce różnie bywa, Latorosłka. A ówże ksiądz to Zefrid.

Podniosła wzrok, spotkała się z wejrzeniem szybkich, ciemnych oczu; oczy były badawcze. Poczwała niechęć i lęk. Zefrid zagadał szybko, słowo goniło słowo.

- Latorosłka wam? Wiem ci, wiem. Wielki ród, Stojgniew jest drugim Bolka. Nielub tęgi woj, nie lada jaki. Znałem ci waszego rodzica, Wojbora, walny woj, do bitki i do rady. W Poznaniu ji widziałem... Zmarło się mu mało potem.

Latorosłka stała w pąsach. Niechętna była. Odrzekła:

- Latem chodził jeszcze na pola... synów czekał.

- Bili się w on czas o Jomsborg. Wielki gród zbójów morskich onże Jomsborg. Bajali mi, jako w

środku nurtu stoi, woda wokół, nie podejdziesz. A wždy Bolko z bracią wzięli ji, ostrokół spalili, zbójów pobili. A jam ci jest kapelanem księdza - ostatnie słowa trzasły ostro, ważne, mały człeczek się wyprostował. Latorosłka nie pojęła, czuła się zaskoczona: mówi do niej, by do męża, ważny człek, księdzowy. Nielub przysiadł u ognia, Pąch przykucnął swoim zwyczajem, burczał do siebie, Stojgniew leżał na ławie obleczony w chusty. Kłęb szedł kajś przez dąbrowę śmigłym, szczęśliwym krokiem, drzewa szumiały, chichotała sowa, gwiazdy się rozsypały po niebie. Zefrid bajął:

- Miłuje ci Bolko Stój gniewa, że i nikogo bolej. Kiej przyleciał Dzik i krzyczy: "Ubili Węgry Stojgniewa!", ksiądz ręką oblicze zakrył i mołwi: "Wolej był pół drużyny położyli niżli Stojgniewa". I wraz do mnie: "Zefrid - mołwi - powieziesz ji powozem, koła ci moje dam, a wieź ji do Orczy, tam ozdrowieje Stojgniew. A k'pomocy dam ci Pacha, starego grzyba - Zefrid rzucił wzrokiem na Pacha, tamten podniósł oczy, namarszczył się - prawy poganin onże Pach, diabli sługa, ale zioła mocne zna, niechże leczy Stojgniewa, niechże leczy. A zemrze Stojgniew, zdejm głowę Pacha, ćwiartuj ji między sosnami, wprzód oczy wydrzyj, różgami siecz, prawy diabli pomiot". Tak ci miłuje Bolko waszego brata. Zefrid zagdakał się, spojrział na Stojgniewa, potem znów objął wzrokiem Latorosłkę. Udała mu się.

Kłęb próżno przychodził na miejsce schadzek, próżno biegał na brzeg dąbrowy, wpijał się źrenicami w Orczycę. Próżno wołał w ciemne noce, wstawał w siwe poranki. Polana była mała, krągła by oko puszczy. Wokół wyła rozpacz, rosło zwątpienie, szeptał lęk. Latorosłka pielęgnowała brata, rządziła domem, zabiegana, stęskniona, zajęta. Nielub przepadał z oszczepem w puszczy, Stojgniew już siadał, wołał jeść, śmiał się, Pąch burczał w kącie zakłęcia. Zefrid był ciągle przy niej, bajął cudacudeńka - o Bolku, braciach, Orczycy, cesarzu: o świecie. O nowym, dziwnym, strasznym świecie. Latorosłkę ogarniał lęk, ciekawość, płochliwość.

Podawała bratu jedzenie - prażuchę z jajami i słoniną - Zefrid przysiadł podle i bajął:

- Pomnę, jakem tu przyjechał z Ungerem, dziki był jeszcze kraj. Jakeśmy jechali przez Śląsk, smardy uciekały przed nami z białkami, dziećmi, wołami i świńmi. A puszcza stała, Jezu Kryste! Po drodze Unger kogo złapał, tego chrzcził wodą świętą. Mnogo ludu uchronił od piekielnego ognia. Wiecie, jako jest w piekle, Latorosłka?

Podniosła nań nie pojmujące oczy.

- Piekło jest w jamie wielgiej, wielgachnej. Tam ci ciągły ogień wre a buzuje; smoła roztopiona się leje; diabli w onym ogniu, a jaka dusza wysunie się, widłami ją w żar, w ogień a smołę. Płacz tam a zgrzytanie zębów.

- Lelum - jęknęła Latorosłka; miska drżała jej w obu rękach.

Kiedy indziej przygotowywała piwo, baby lały słód w cebry, Zefrid przysunął się jak cień:

- ...tegdę rzekła Matka Jezusowa do Niego: wina nie mają. A było tam sześć stągwi sztucznie wyrzezanych...

A kiedy indziej:



- Cesarz Otto posłał posłańca do Bolka. Przybył posłaniec na koniu rusym a w zbroicy, a przy kopii i mówi: "Przyjacielem jest Otto Bolkowi".

A znów kiedy indziej:

- Wy, Latoroska, nie wiecie, jaki jest świat. Wielgi. I mnogo w nim księstw a wojska, a bogactw. Opowiem wam...

Jeszcze kiedy indziej kiwnął na Latoroskę, gdy plotła wianek.

- Będę was uczył wiary świętej.

- Mnie? - spłoszyła się dziewczyna.

- U Bolka białki do stołu siadają, toć Emnilda, toć Przemkowa Jemiołka, toć Bogucha Starogniewa, toć Zadory Dobrogniewa, innych wiele. Bają z wojami a śmieją się i w pląsy chodzą by dziewczęta. A u cesarza białki piękne pieśni, śpiewają, szaty święte złotem zdobią, zapasom się przypatrują, jeszcze przytupują z onej uciechy. Chcę was nowego obyczaju uczyć.

- Mnie?...

- Nie byleście kto. Córka Wojbora, siostra Stojgniewa. Stojgniew po Puchale niechybnie wojewodą ostanie.

- Lelum!

Serce jej się rwało do puszczy, gdzie czekał ją chłop mocny, piękny, młody. Nie szła, nie miała chwili. Zefrid wciąż szeptał jej w ucho opowieści dziwne, niepokojące, straszne.

Stojgniew już wstawał.

Kur wskoczył na płot, zabił skrzydłami, zapiał. Słońce strzeliło promieniami zza puszczy po tamtej stronie Wisły. Osada posłuzna przy drodze puszczańskie zaczęła się ruszać.

Garncarz Kula odrzucił kozuch, spuścił nogi, zatknął palcem dziurkę od nosa, smarknął przez drugą. Wodził oczyma po izbie - izba była mała, czarna, w rogu do śpiącej świni tuliły się dzieciśka, ziemiste podeszwy sterczały ze słomy. Kula wstał, wyszedł na dwór, ziewnął, wetknął paluch do niecki z gliną. Usiadł przed chatą, zmoczył ręce w cebrze, zagarnął garść gliny, drugą ręką wziął kamień garncarski, położył nań kulę gliny, przyplaskał, oburącz dwoma pierwszymi palcami szybko i sprawnie urabiał dno garnka.

Oczyma wodził po osadzie - już się budzili. Rataje zajarzmiali woły, ciągaliby sochy. Bartnik Kobuz wyszedł przed chatę, obejrzał niebo, oblizał kciuk, podniósł w górę, badał, skąd wstanie wiatr. O płot siedział sokolnik Czarny, ten nie wrócił na noc - znak, że sokolica już na jajach. Białka Czarnego zarzuciła zapaskę, wyszła z chaty z wiadrami.

Kulowa wyjrzała przez drzwi, zoczyła ją. Zawołała z przestachem :

- Lelum! Jeszcze wody nie mam! - wiadra suszyły się na płocie, pobiegła po nie. Kula patrzył na nią ze złością, krzyknął:

- Wody nie masz, sucza córo! Wiem ci, Czarnego poszła, to i ty w dyrdy za nią. Będziecie ugwarzać pół dnia. Pójdiesz, kiej tamta wróci.

- Migiem będę - chwyciła wiadro, poleciała. Z całej wsi szły baby po wodę; kiwały się jak kaczki.

Wieś brała wodę nie z Wisły, lecz ze strumienia płynącego z dąbrowy: czystą i chłodną. U wodopoju co rano zbierał się wiec bab. Bogna jazgotała:

- ...onże Pach, mocny wieszczek. Nasza krowa mleko zarwała, kaszlała, kładła się. Przyszedł, pobobonił, wymiona dusił, jęzor wyciągnął, skrobaczką zdrapał, cościk jej w gardło tkał. Nynie już wstała, zre, mleko z dojek leci, smaczne, żółte.

- Mołwią, jen czarny, to ci żerzec Kyryi Krysti - babulinka była stara, trzęsła się. - Strach...

- A Stojgniewa siekli w gębę. Tyle co zipie.

- Węgry pono...

- Słuchajcie, białki! - Bogna ściszyła głos - Mołwią, one Węgry to biesy. Wielgi toto naród, same stoliny. Kamienie rzucają, kiej cebry...

- A onże czarny żerzec biedę nam ino przyniesie.

- Tfu!

- Mój mołwi, takiego by ubić. On ci i Dadźboga nie uznał.

- Cichaj! Zły usłyszysz i z dala.

- Chodzi nynie wszędy, zaklina i uroki rzuca.

- Lelum!

Strach je ogarnął, lepki nagły strach. Jakby u źródła przysiadło w krzakach złe, patrzy na nie zielonymi ślepiami. Zaszumiały groźnie drzewa. Baby czerpały wodę z pośpiechem, migiem leciały do wsi. Zmąciła się odwieczna spokojność - obcy ją zmącili.

Dokoła Orczycy szły szepty, zaklęcia, odczyniania. Przeczuwali nieszczęście. Niskie niebo dyszało trwożnie, gniołło. Jaszko, Jaszko, Dadźboże!

Bywa tak:

Czerw wejdzie w drzewo, srogi tram. Żre. Przecina włókna, gryzie zwarte wnętrze. Drzewo gałęzią szumi, a w środku niemoc - skąd? jak? nie zgadniesz. Czerw.

Bywa tak:

Wlejesz do miodu jad. Nie jad, co zabija zrazu, lecz taki, co truje lata. Człek blednie, słabnie, pluje krwią. Nie zgadniesz, jaka go słabość toczy. Jad.

16.

Bywa tak:

Złe oko urok rzuci. Mocny urok. Bydlę silne było, rosło, tłuściło. Teraz nie zdycha. Ale z każdym dniem słabnie, śluz mu się z pyska leje, oczy ropieją, cośik je żre we wnętrzu. Co? nie wiesz, urok, czar.

Bywa, bywa....

Szumia czerwone sosny czarnymi konarami. Wisła bije falą o brzeg.

Nad Wisłą na wzniesieniu stoi prastary gród. Orczyca.

Trupi gród.

Strzeże go wieniec czaszek - żrebce, co szły w rubież - drzewiej.

- Tfu!

Nielub stoi przed częstokołem rodzinnego grodu. Czaszki patrzą weń czarnym oczodołem. Szczerzą zęby. Śmieją się.

- Tfu!

A jak było wprzódy?

Wprzódy Orczyca była czołem ziemi. Wprzódy Orczyki wiedli toporników, w drzazgi szły szczyty wrogów, lała się jucha, po kolana deptali w jusze. Wilki rozciągały jelita pobitych.

Tfu! Urok, czar!

Stojgniew jest cięty w gębę, a śmieje się. Całe życie będzie miał krzywą gębę.

Nielub jest wojem księdza. Lubianym. Jest Orczyk, w Orczycy nie umie się śmiać. Całe życie będzie miał jakowąś krzywiznę. Jaka?

Bywa, że drzewo przeżre czerw. Bywa, że bydlę przeżre czar. Bywa, że człeka przeżre jad.

Przeżarły Nieluba nie kończące się gadki ojcowe.

Nynie w Orczycy jest tłok. Stojgniew jest drugim księdza. Po Puchale ostanie wojewodą - każdy to wie. Walą tłumem do Orczycy dowiedzieć się, słyszeli o ranie. Zawalają ławy w sieni, jazgoczą, krzyczą, śmieją się. Dziewki podają miód a piwo, słone placki owsiane; placki trzeszczą w mocnych zębach. Stojgniew rozsiadł się, rechocze, chusty już zdjęte ma z twarzy, sina szrama biegnie mu przez czoło, brew, policzek, ginie pod szyją. Stojgniew baje im o Węgrach, Bolku, drużynie - gały gościom wyłażą; słuchają, szturchają się łokciami w bok. "Baczyłeś?" - dziwią się. Stojgniewowi krzywa

gęba jaśniej. Nielub zna onych Węgrów a drużynę, a Bolka. A w Orczycy słucha, również dziwi się. I złości się, wiesz ji, Stojgniewa, jak się zakokoszył.

Stary Wojbor patrzy ze ślepego kąta na synów martwymi źrenicami. Słucha. Upiór czasów, co przeszły.

Rodzima Orczyca, swojski modrzewiowy ką, próchniejący gród, jest upiorem. Jak ojciec.

- Nie!

Bunt dławi gardziel. Od małych lat Nieluba, mazepkę, młodszego w rodzie, poił Wojbor jadłem własnej trucizny.

W głuche wieczory przy ogniu bąbał o nienawistnym Mieszce. W czerwone poranki pokazywał gród Ledarga, trzął pięścią, groził i przeklinał.

W mroźne zimy naprawiał oręż u ścian; żelazo krasilo się krwią w bezpłodnym marzeniu.

Uczył nienawidzić i milczeć.

Uczył w ciszy sposobić się do odwetu.

Młodego chłopca uczył czekać.

Czekanie przeżera. Jak czerw, jak jad, jak czar.

Przeżarło Nieluba. Męka trawiła mu wąpiał. Nie wiedział, jakie jej miano, nie wiedział, skąd ona rodem. Czul ją.

Czul ją w Orczycy. Czul, gdy znalazł brata w wykrocie.

Nienawidził brata - ślepa, nieświadoma, durną nienanawiścią.

Za co? Za Orczycę, za ojca, za siebie. Za mękę.

Och! Stojgniew! Wyrodek! Odmieniec!

Śmieje się krzywą gęba i baja. Goście oczy wybałuszyli, tylko im wiechcie wąsów drgają.

Tfu!...

Nielub stał u częstokołu Orczycy, myślał o ojcu i grodzie. Nie był dotąd na grobie ojca. Czaszki patrzyły mu w serce czarnym oczodołem.

Wszystko w nim było odruchem. Szukał pojednania z ojcem. Wspiął się na wał, ręką uczepił się szczytu palisady, podciągnął się, wlażł na szczyt. Chwycił obu rękoma za czaszkę u dołu, przy kościach szczękowych. Targnął, zerwał z pala; posypało się próchno, złote pyły zawirowały w

słońcu. Zatrząsał się patrząc na te pyły.

Zrzucił czaszkę, zeskoczył. Z czerepem pod pachą pobiegł w las. Dąbrowa stała niema, gałęzie ledwo puszczały liście. Nie oglądając się przebiegł chłopak między drzewami. Na polanę.

Polana była mała, krągła, by oko puszczy. W środku stał dąb, stary dziad ze strzaskanym czołem. Przed dębem niewielczutki kurhanik.

W kurhaniku zagrzebali bezsilną nienawiść Wojbora.

Nielub podbiegł szybkim krokiem. Ujął koński czerep w obie dłonie, postawił go na grobie. Grób zielony od macierzanki, kwiatuszki już czerwieniały, liliowiały.

Stał chwilę, pustka w nim była, nie wiedział, co robić. Zawrócił, szedł do Orczycy. Nagle coś nim szarpnęło za ramiona, zmusiło raz jeszcze spojrzeć w tył.

Z czarnych jam oczodołów żółtej czaszki patrzyła na Nieluba straszna nienawiść ojcowca. Puszcza wokół zwarła się w zbitą ścianę, ciężkim krokiem ruszyła na odmieńca. Z Nowego świata, w który wszedł.

Nielub uciekł.

17.

Latorosłka nie wytrzymała tęsknoty, wymknęła się, biegła ku dąbrowie. Kosy fruwały jej u ramion.

- Latorosłka!

Nie obejrzała się.

- Latorosłka!

Stała, serce jej biło, odkryto ją. Jakże dobrze znała ten głos - przymilny, łaszący się, a pewny siebie i zniewalający. Stała nie odwracając głowy, rumieńce były jej w twarz, czuła, że nadchodzi. Zefrid dognał ją, zaskrzeczał przymilnie:

- W las idziecie?

- W las - odpowiedziała pokornie, opadła w niej wola życia, jakby głuche przeczucie: nie uwolni się od tego małego, ruchliwego człowieczka, który jest wszędzie.

Poklepał ją po łopatkach, chwycił ją spazm obrzydzenia i nienawiści. Miękki głos - nie męski, nie wojskowy - zaszeptał:

- Pójdźmy razem. Przewiodę was.

Podniosła nań oczy, z których nic nie mógł wyczytać. Lecz ton jej był nadąsany:

- Macie to ochotę przewodzić taką dziewczkę.

- Taką! - wykrzyknął i oczy się mu zalśniły. Spuściła głowę, niechęć nudziła ją, łaskotała w dołku.

- A no...

- ??? - brwi Zefrida uniosły się pytająco.

- A no... chodźcie.

Stąpali w milczeniu. Oczy małego kapelana biegały po okolicy, raz wraz wracały do dziewczyny. Pytały, dowiercały się wnętrza. Naraz stanął, dotknął jej dłoni jednym palcem, dotknięciem zmusił ją, by stanęła.

- Czyście ochrzczeni? - pytanie by świst bata.

Podniosła nań oczy - zdał się jej brzydki, mały, czarny, z krostami na gębie. Przestraszyła się tonu. Powtórzył:

- Czyście ochrzczeni wodą świętą?

- Ja? - zamarła w zdumieniu.

- Jezu Kryst przelał krew za wszystkich. I za białki.

- Przelał krew?

Zawsze, gdy bajął, zapominała o wstręcie, o twarzy w krostach, o obcości. Czarował ją wizją świata najdziwniejszego, najbardziej pożądanego. Z całym księstwem wydierała się z puszczy, która więziła ją świętym poszumem gałęzi.

Zefrid bajął i bajął, nie rozumiała wiele, ale ścisnęło ją, rozplakała się. Zefrid ujął jej kiść, zapytał łagodnie i kusząco:

- Wierzycie w jedyne Boga?

- Wierzę - odpowiedziała nic nie rozumiejąc.

- I w Syna Jego, Zbawiciela?

- Tak - gardło ściśnięte.

- I w Ducha Świętego, jenz od Ojca i Syna pochodzi? Tylko skinęła głową.

- Tegdy ochrzczę was w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Mam ci to prawo od Ungera - napuszył się - kapelanem księdza jestem. Chcecie?

- Tak.

Gdy szli ku domowi, chwyciła ją nagła tęsknota za Kłębem, przemożna i głodna, aż ssąca. Gdzieś tam przebiegał gąszcze, piękny - iście bóg leśny owity powojem i liściem. Spojrzała na małego Zefrida - dziki lęk targnął nią do samej głębi; ale nie był to lęk przed tym małym brzydkim człowieczkiem. Nie wiedziała dokładnie, czego się boi - po prostu czuła, że nie potrafi się oprzeć zakłębom, którym nie sprostała nienawiść starego Wojbora, ślepa zaciekłość Nieluba, męstwo Stojgniewa. Cóż ona?... - dziewczka z puszczy orczyckiej. A owo przyszła k'niej moc - i nie podoła tej mocy Kłęb, przebiegający gdzieś gąszczem - iście by leśny bóg. Nie podoła, siły k'temu nie znajdzie. Czuła, jak w niej samej załamuje się opór, jak tęsknota się rozdziera na dwoje - i ona nie wie już, czego chce, za czym tąży. Jakże wstrętny, odpychający jest mały czarny światek, wždy to, co przynosi i co wieści, zdaje się większe niż gród okolony końskimi czerepami, niż Orczyca, niż puszcza. A Kłęb?... - Latorosłce zdało się nagle, jakby szczęście jej uciekało w daleką puszczańską głusz, a przed nią oto leży nieznane - rozszumiała, falująca przyszłość - nie wiadomo: dobra czy zła.

Idąc obok ruchliwego świateka Latorosłka z powrotem przekroczyła rozwarte wrota orczyckie. Za nią ciemniała dąbrowa, a na krągłej polanie próżno czekał ją człowiek, któremu w pierwszym porywie oddała całą siebie.

- Co?! - wykrzyknął Nielub, gdy Zefrid oznajmiał mu o zamiarze ochrzczenia Latorosłki. - Dziewkę? Koń was kopnął abo co?

Sapał chwilę i znów krzyknął:



- Dziewkę! - nie mógł pojąć.

- Z miłości do waszego rodu - zamruczał Zefrid po lisiemu. Zostawił Nieluba z otwartą gębą.

- Ha ha ha ha! Latorosłkę! - Stojgniew zanosił się od śmiechu. - A no... a no... ha ha ha!

Zefrid spojrział surowo.

- Nie kłamcie z Jezu Krysta.

- Ja?... - Stojgniew przeląkł się. I już poważnie: - Co was ukąsiło?

Zefrid zmrużył oczy, wpatrzył się w Stojgniewa, wiedział, że starszy Orczyk go nie lubi. Zasyczał by wąż:

- Będę słał dziewosłębów do was po dziewczkę.

- Dziewosłębów! - wykrzyknął Stojgniew.

- Z wielkiego rodu jestem. Bogaty. Kapelanem księdzowy - i nagle, jakby najgłębsza tęsknota serca, wybuchła myśl tajona przez lata, najskrytsze marzenie, żądza, co kierowała wszystkimi czynnościami:

- Biskupem ostanę.

- Biskupem! - Stojgniew mrugał oczyma, oniemiał z dziwu.

- Trza się nam sprząc - twarz Zefrida zrobiła się od razu chytra, lisia, mała - trza się nam sprząc w jedno, wam: wojewodzie księdza, i mnie, biskupowi. Tegdy... Oczy Stojgniewa jeszcze mrugały.

- Pojmujecie, tegdy w księstwie... - czarny kapelan spojrział uważnie, nie, ten ci głupek jest, nie pojmie. Nie skończył zdania.

Dokończył je - niewiele co później - w samo ucho Nieluba:

- Tegdy Orczyki będą pierwsze w księstwie. Będziem suwać Bolkiem i księstwem, jak zechcemy. Pojmujecie?

Nielub skrzywił się, zmarszczył czoło, aż nagle zerwał się z ławy, wrzasnął:

- Wybijcie to z głowy! - poleciał.

- Głuptak. Oba głuptaki - mruknął Zefrid, zmrużył oczy, uśmiechnął się wąskimi, bezwłosymi wargami. Lis.

Dziewki biegały po całej Orczycy, stroiły Latorosłkę, niosły kwiaty, ruch, zamęt, iście jak przed godami małżeńskimi. Strwożone były. Szeptaly po kątach. Czekały nieszczęścia na Orczycę, na gród. Buczały. Miały czerwone oczy, zasmarkane nosy.

Latorosłka siedziała na skrzyni, dawała się stroić. Pusto w niej było. Zefrid chodził ważny, napuszony. Stojgniew złościł się, nie mógł pojąć, czemu jest taki zły. Nielub ruszył konno z psami do lasu. Stara Zwonka nabrała do nowego dzbana wody w dąbrowie, przyniosła do sieni, kucnęła u paleniska, wrzucała gorące węgle, odżegnywała uroki; węgle syczały sucho, nie tonęły: na dobrą wróżbę. Pąch zakładał ręce za plecy, patrzył, kiwał się, oczy mrużył, uśmiechał się.

Słońce nisko wisiało nad Orczycą, piekło, dyszało trwogą.

Był pierwszy równie duszny dzień tej wiosny.

- ...w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, a daję ci miano Adelajda.

Burza huczała nad Wisłą, nad puszcza, nad Orczycą.

Wieczór ten był cichy, świeży, pachniał ostro wilgocią. Było już po burzy. Kusił, żeby wyjść na gaje a łągi. Pierwszy raz w swym życiu bała się Latorosłka wyjrzeć za orczyckie wrota, wpaść do dąbrowy. Nie pokazała nosa z ciasnej komory. Siedziała ze splecionymi dłońmi, dłonie się jej pociły, kosy spadały z przodu na kolana, kwiecie już więdło, z oczu wolno kapały łzy. Usta powtarzały w kółko najmocniejsze zaklęcie krześcijanina, którego nauczył ją Zefrid - mały, ruchliwy, wścibski, wstrętny Zefrid - isty gad - ista chodząca obcość - ohyda - wrzód. Słowa krześcijańskiego zaklęcia padały puste... puste... puste...

- Oócze nasz, jenże jeś na niebiesiech, oświeć się Twe imię, przydzi Twe królestwo, bądź Twa wola, jako na niebie, tako na ziemi...

Nic nie przychodziło, komora dusiła ciasnymi ścianami, dąbrowa była obca, cały świat, którym dotychczas dychała, zrobił się obcy, groził. Wołała przeciw niemu Jezu Krysta. Lelum! Bogi domowe, te, co żyły w ścianach, w belkach pułapu, co żyły w progu, groziły jej. "Oócze nasz, jenże jeś na niebiesiech..."

W nocy dziady do niej przyjdą, zatrząsą ścianami Orczycy. Ojciec spojrzy zielonymi ślepiami. "Oócze nasz..."

Blade były wargi Latorosłki - czy Adelajdy? - zimne policzki i czoło.

Nie wytrzymała w komorze; jak cień, cicho przemknęła się do sieni. Drzwi nie skrzypnęły. Stanęła, patrzyła - w kącie bracia a Zefrid pili miód, podchmielili widać, rozwaleni na zydlach poodpinali pasy, wszyscy trzej gadali nie słuchając, zaśmiewali się. Zdali się naraz inni, nowi, jakby obcymi oczyma spojrzęła na nich. I mili, i nienawistni. Cofnęła się do komory.

- Oócze nasz!

Wszłuchała się. Belki trzeszczały. Stało się: Adelajda, Adelajda... Wpatrzyła się w mrok, w przyszłość. Drżała ze wzruszenia.

Nowe szło ku niej. Nieuniknione. Dobre czy złe - nie wiedziała. Nowe.

Poczuła, że ogarnia ją uniesienie, potężne, drżące, równie mocne jak owo uniesienie, gdy biegła do Kłaba czekającego na nią w gąszczu, owiniętego powojem i liściem, iście jak leśny bóg.

Nowe szło ku niej.

W grodzie książęcym Ledarg, odjeżdżając na pogrzeb Mieszki, zostawił starego Turonia z dziesiątką. Turoń wyprostował się, chodził ważny, pyskował o byle co. Szły miesiące - doszły Turonia wieści o pobiciu Ody, o śmierci Ledarga, o zdobyciu Jomsborga, o pojednaniu się Bolka z Puchałą Starogniewem, jenz wojewodą ostał, o objazdach księdza po całym kraju. Turoń pyskował głośno w dalszym ciągu, ale we wnętrzu strach go żarł. Wychodził przed wrota, patrzył w dół ku Orczycy; Wojbor umarł, aliści wróci Stojgniew, mścić będzie. Żuł powietrze starą, długą szczęką, drapał się w kołtun. Wracał, pyskował.

Potem przysłał grododzierzca z Wiślicy, grodu Wisława, dziesiątnika po ośmiu wojów. Turoń zamrugał, poburczał; cóż miał robić, oddał. Siedzieli przy onym stole, przy którym Hugo Ledarga skusił, pili, gadali. Dziesiątnik był przysadzisty, miał szerokie bary i wielki łeb. Głupawy był. Turoń go ciągał za język, chciał wiedzieć, co słyhać u Bolka, co będzie ze zwolennikami Ody, dziesiątnik pił piwo i rąbał po każdym pytaniu, niczym chodzące zadowolenie i duma:

- Oho! Bolko! Oho! Znów pił i znów odpowiadał:

- Oho! Drużyna! Oho!

I w końcu najbardziej niepokojąco:

- Oho! Stojgniew! Oho!

Potem zakiwał się w stronę posłania, runął ciężko na słomę, zachrapał.

Nazajutrz Turoń ostał samotrzeć w całym grodzie. Nie śmiał nawet opola ruszać dla posług grodowych, bał się Orczyków. Po staremu, z nawyku zwożono mu jesienią ziarno i miód, zimą zwierzynę, latem chmiel i ryby. Coraz mniej tego było, coraz niedbalej szło, ale na trzech starczało., gniło w składach. Gdy po raz pierwszy przyjechały do dom młode Orczyki, Turoń poszedł do nich z pokłonem; długa gęba pocila się z niepewności. Nie wsadzono go w jamę. Stojgniew kazał dać mu pić - Orczyca nynie gwarna była jak wprzód gród Ledargowy, wszystko przemknęło do Wojborowiców - bił dłonią Turonia w kolano, śmiał się, hałasował. Stary kłaniał się wielokroć u progu, odszedł uspokojony. Odtąd zaszył się w swym grodzie by w jamie borsuczej, nosa na świat nie pokazał.

Trawa porosła dziedziniec, pokrzywy i łopiany okryły wszystkie kąty, czarna pajęczyna zwisała z pułapu niby motki lnu, żadne drzwi się nie zamykały, deszcz zaciekał do kleci i składów, gniło drzewo, lało się z dachów, zielony mech porósł gruby na piędź. Z niewolników a smardów posłużnych ostała ino kulawa baba, ista zdarta miotła, jęczynowa a śmiała; o lada co odgryzała się Turoniowi; przestał ją bijać. Gdy zrzedziła, schodził jej z drogi. Coś tam warzyła, gryzli zresztą suszone ryby, wędzone mięso. We trzech siadywali w izbie - trzy huby drzewne na próchniejącym pniu - zawsze niemal zamroczeni piwem. Zarośli, dwa pomiotła miast wąsów, siwymi kępami zakłaczyły się im brody, nie wygalali gęby, nosy mieli czerwonosine, oczy wesołe i durne. Cicho im było i dobrze.

Na dziedzińcu grodowym podbiał rozrastał się szerzej a szerzej.

Tak siak chodził Stojgniew, lecz uparł się iść do lasu, poszli z Nielubem. Nic nie ubili, ale Stojgniew radował się młodym liściem, krzykiem ptaszków, oddechem puszczy. Potem wracali ramię w ramię, ugwarzali przyjacielsko. Nielub raz brata miłował, raz nienawidził, nie pojdziesz. Wyszli na skraj, rozejrzeli się, było ku wieczorowi. Wisła kręciła czarnymi wirami, zwisały nad nią sine drzewa. Orczyca leżała już w cieniu, ogromna, brunatna, gród Ledargowy czerwieniał jakby go farbą powlekli. Dwa jastrzębie kołowały szerokim, drapieżnym kręgiem. Stojgniew powiódł okiem po ciszy, zaśmiał się hałaśliwie, zawołał:

- Chodźmy na miód do Turonia - znów zaśmiał się na samą myśl zabawy - pójdziern.

Z Nieluba - nie zgadniesz czemu - odleciała radość, zaciął usta, słuchał bratowego paplania:

- To ci grzyby ona stróża grodowa, ha ha ha! Pomnę, jakem Turonia pierwszy raz obaczył, ważny był chłop, podśmiewał się ze mnie. Nynie... baczysz nań? ha ha ha! Bają tu - potoczył ręką dokoła - Turoń białkę ma, starą, zawszoną kurę. Wrzaskliwa kwoka, choć na jajach nie siedzi - znów wybuch śmiechu, trzaśnięcie brata pięścią w kark - bają, ha ha ha! po pysku starego pierze, kłaki lecą. Obaczym no jego obejście, nuże!...

Pięli się pod górę, Stojgniew gadał, nie bacząc na bratowe milczenie:

- Niewielki grodek, ale nowy, nowym sposobem mocowany. Obaczym. Miejsca tu dość, można by od tyłu powiększyć, poszerzyć. Nie ma starych czerepów i...

Stanął, spojrzął w zamyśleniu na brata, ruszył naprzód w głębokiej zadumie.

- Można by... można, czemu nie... obaczym. By nie przegnił na wskroś... byłby ważny gród, oho!

Nielubowi zimnem ścisnęło się serce.

- Co myślisz?

- A no! - głos Stojgniewa zdradzał podniecenie, nozdrza mu się rozdymały - trza nam grodu mocnego, za wałem a rowem, a ostrokołem, jako Wiślica. Nie wybałuszaj gał, prawie baję. Widzisz, trza ji przestawić, przeinaczyć. Aliści ten gród... - aż zatchnął się ze wruszenia.

- Ty dumasz sobie...

- Dumam sobie - Stojgniew dychał szybko, zdawał się być olśniony - jako to - wskazał palcem - owo grodziszcze będzie Orczyca, Orczyca!

Szli pod górę, byli już blisko, tramy palisady rosły im w oczach, grubiały, rozrastały się. Wysunięte końce belek nad bramą były kanciaste i twarde; wieża rogata; szczyt ostrokołu - jak piła. Nielub stąpał obok brata niemy, zawzięty, zimny. Nie krzyknął protestem. Wykrzyknął zaciekłym milczeniem.

Turoń przyjął ich zastrachaną gębą, nos mu zsiniał. Trzęsącymi się rękoma pokazywał drogę, pobiegł

przodem, powtarzał w kółko:

- Tędy... tędy... tędy...

Przez majdan brnęli po kolana w trawskach, weszli do sieni. Stojgniew aż przysiadł z radości.

- Ha ha ha ha!

Turoń okładał pięściami dwóch grzybów, tamci podnieśli nań nierozumiejące oczy, mamlali:

- Turoń... Turoń... coc? coc? odejdźże! Zdumiał chłop...

- Wen! Wen! - ryczał Turoń - wszawe dzieci.

- Ha ha ha! - pokładał się ze śmiechu Stojgniew u progu. Nieluba spierał nie mniejszy śmiech, ale zmieszany z żółcią, gorzki.

- To mu miłszy gród niżli Orczyca - chodziła dumka po głowie.

- Odejdźcie, sucze syny. Nie widzicie ji? Stojgniew Wojborowic!

Pojęli przez zamroczenie, spojrzeli jeden na drugiego, ogarnął ich ślepy lęk; jeden buchnął płaczem, twarz zasłonił ramieniem.

- Lelum! Przyszedł Wojborowic. Gardła weźmie... gardła... gardła... - Drugi chwycił dzban, przycisnął do ust, przechylił. Turoń zbiesił się. skoczył, jakby miał lat dwadzieścia, nogi nabrały sprężystości, wyrwał dzban z rąk pijusa, w szaleństwie puścił go w głowę, zalał piwem. Tamten ciągał nosem, płakał:

- Gardła... gardła... - Stojgniew objął Nieluba za szyję, stać już nie mógł z radości, śmiał się w pierś brata, łapał dech, znów się śmiał.

Turoń podjął jednego... drugiego..., pchał do drzwi, szli w objęciu, zataczali się. Turoń obrócił się, wytarł nos w palce i do Stojgniewa:

- Durnie, wojewodo... durnie... durnie...

Stojgniew złapał Turonia za brodę, spytał:

- Stary kozieł... słuchaj no... tak to stróże trzymasz? Głos Turoniowy ścieniał, zaszczekał dyszkantem:

- Iże człek rzekł: to robota moja. Piorę ich w pysk, pilnuję. Srogi ład u mnie... Jako mi Ledarg przykazał - przestraszył się tego imienia - Ledarg, onże Ledarg...

- Ledarga ubiłem - oczy Gniewka błysnęły na wspomnienie.

- Zakała był Ledarg - zagdakał Turoń - gid, mołwie był Ledarg. Tfu! - splunął. - Napijcie się piwa,

Stojgniewie - podrobił kroczeniem w ką do cebra, zdjął przykrywę, oczy mu pojaśniały. - Piwa... piwa...

- Napiję się i piwa. Później. Nynie... - obleciał wzrokiem izbę, błoto stało na klepisku, Turoń je miesił przestępując z nogi na nogę, nogi miał czarne - nynie wiedz mię po grodzie, pokazuj.

Zapuszczony był gród. Szczebile na drabinie do trzemu trzeszczały, parę wypadło. Izbica w trzemie niemal pusta, trzciny strzał zbutwiały, pióra mole zjadły. Trzy czekany żelazne zżarła rdza, Stojgniew ujął jeden za trzonek, machnął, zwrócił się do Turonia:

- Ej, stary, za one siekiery - podsunął Turoniowi pod nos - coś je zgnoił, trza by cię w łaźni siec. Taka broń - podał czekan Nielubowi.

- I trzonki czerw całkiem stoczył. Niezguła!...

Dach świecił dziurami, zaciekało, śmierdziało stęchlizną, starością. Kurz leżał na palec gruby. Turoń zgarbił się, jękał: - Nie ja... nie jać to... tamci - Nielub kropnął go w pysk, stary potarł policzek, oczy mu biegały. Po szczątkach drabiny zlązili z piętra. Szczebel pękł, zsykali się jak gruszki, nisko już było, nie potłukli się; ale Stojgniew już się nie śmiał, był zły.

Złość zwiększyła się jeszcze, gdy oglądał klecie; kałuże w nich stały; grzyb porósł dyle na pół chłopca wysoko. Wał obmyło, rów się zamulił. Most był na wpół zbutwiały, wrota grodu nie dawały się zamknąć, niemal wszystkie drzwi od kleci wywalone leżały na ziemi. Garnki do gotowania ukropu w czas oblężenia w połowie były wybite. Beczki ze smołą rozlały się, obręcze obleciały, smoła rozlana. Wszędy ruina.

Stojgniew przy każdej szkodzi wskazywał na nią palcem, syczał:

- Widzisz, stary?... - Turoń kulił się, powtarzał bezmyślnie :

- Pilnowałem. Strzegłem.

Od składu z mięsem i rybą szedł straszny smród. Przelazy zarosły, toż dół na wodę, toż przepusty w wale. Nielub, gdy patrzył na tę ruinę, czuł, jak w nim rośnie radość i nienawiść do brata. Do tego gnojowiska chce przenieść ród, tu mu lepiej niżli w Orczycy.

W końcu Stojgniew warknął:

- Teraz daj piwa. Pogwarzym przy picciu - groźba zawisła w tych zwykłych słowach. Turoń pobiegł.

Jednak przy picciu Stojgniewowi szybko humor wracał. Osłabiony był jeszcze, wraz podchmielił. Kazał wołać wygnanych dwóch towarzyszy Turonia, przepił do nich, trzęśli się ze strachu, szczęki im latały, ale pili mało co rozlewając. Stojgniew mówił do Nieluba, do ścian, do siebie samego:

- Te dziury a pleśń... nic to. Drzewo wszędy mocne, nie zgniło. Rozbuduję. Zapędzę opole, w mig oczyści, naprawi. Turonia... - urwał, spojrzął na starego, nagle buchnął pijanym śmiechem.

- Trza by cię, stary, w dyby. Ale umu ci brak, urn twój na róg z piwem starczy. Niechże cię... - w kark Turonia. Stary załzawił się ze szczęścia.

- Przepijam do was, panie.

- I do ciebie, capie...

Księżyc wzeszedł wysoko, pili jeszcze. Nielubowi serce malało, tężało, chmiel nań nie działał. W końcu Stojgniew wstał, zakiwał się, powiedział ochryple:

- Późno, miesiąc już biały. Ale się mi nie chce do dom wracać, ostanę u Turonia w gościnie. Maszli tu jaką skórę?

- Skórę niedźwiedzia - krzyknął Turoń do towarzyszków, tamci chrapali w objęciu. Stojgniew rechotał.

Położył się, we łbie mu szumiało, nie mógł zasnąć. Nielub poszedł do domu. Stojgniewowi marzyła się Orczyca, nowa Orczyca, mocny gród, duży, piękny. Czuł ciężar w głowie, dym w nosie. Skąd ten dym?...

Zadrzemał, czuł, że leci gdzieś w dół. Lelum. Obudził się nagle, siadł na posłaniu. Skąd ten dym? Poprzez wyręby okienne wpadał czerwony poblask. "Miesiąc wschodzi - mruknął Stojgniew - wcześniej... kraśny". Znow się położył, zadrzemał.

Nad kleciami ze smołą wiły się już języki ognia, polazły po ścianach, zaczęły lizać dach - dach był omszały, tlił się nieochoczo, przygasał, rozpalał się, w końcu buchnął w niebo jaskrawą, czerwoną łuną. W tejże chwili od ostrokołu oderwał się cień, biegł szybko po pochyłości do Orczycy.

E heu! - poleciało po służebnej osadzie i zaraz cienki babi krzyk: - Gore! Gore!

Garncarz Kula zerwał się, wyrżał: gród nad rzeką stał w ogniu. Drgało rozżarzone niebo. Z chat wylatywały chłopcy, patrzyły, za topory, za wiadra, leciały na pożar.

- Dadzą to nam Wojborowice - przestraszył się Kula i rozwarł pysk na białkę:

- Chyć no konwie, a leć za mną! - Pobiegl. Na pochyłości spotkali ludzi z Orczycy, co biegli też w pomoc. Poganiał ich Nielub.

Wrota stały w ogniu, przerąbali ostrokół, wynieśli Stojgniewa, Turonia z towarzyszami - wszystkich pijanych - baba wyleciała sama. Gród spłonął do cna.

Nielub patrzył na zwęglone kikuty, czuł ciszę, spokój. Rad był, że Gniewek wyszedł cało. Pijany był abo urzeczony, gdy podkładał ogień w kleci ze smołą. Lecz czuł: w żarze pożaru przepaliła się mu w piersi trucizna, wybrantowało serce. Odegnął cień Wojbora, który legł wreszcie spokojnie w kurhanie pod dębem.

Nie przeniesie już Stojgniew rodzimego grodu.



Nie ostało haniebnego śladu stróży Mieszkowej.

Nic nie dławi już Orczycy.

Czaszki patrzą czarnymi oczodołami.

Orczyca! Orczyca!

Latoroślka obudziła się spłakana. Zerwała się, w pośpiechu uwiązała włosy, narzuciła ruszycę. Ręce jej drżały, gdy zapinała guz. Za oknem był blady świt.

Wysunęła się z komory. W sieni na ławie chrapał Zefrid, zwinął się w kłębek, nie obudził się. Mignęła przez obejście, wypadła za wrota, po raz pierwszy od swego chrztu biegła w bór. Oczy miała czerwone, paliły ją.

Była zupełnie pewna, że zastanie Kłaba czekającego na nią. Poderwał się z grobu jej ojca, od złotej czaszki końskiej, położonej tam rękoma Nieluba, szedł zdyszany, naraz stanął; dojrzała, że wychudł, twarz miał ściągniętą, oczy - jak u niej - czerwone. Ogarnęła ją fala tliwości. Podbiegła, rzuciła się mu w ramiona w namiętym zapomnieniu. O wszystkim !

- Wróciłaś - szepnął Kłab, przycisnął ją mocniej. To słowo oblało ją przerażeniem, odsunęła go na długość ramion, jęknęła:

- Kłab...

- Wróciłaś! - powtórzył z triumfem. Nie chciał dojrzeć jej spłakania.

- Oo! Kłab!...

W okrzyku tym mieściło się wszystko. Puścił ją, zachwiała się, jakby to, na czym się dotąd wspierała, pękło jak złuda świata. Kłab okręcił się, wziął ją wpół, odwiódł do kurhana. Siedli na grobie.

- Powiadaj.

Podniosła nań oczy.

- Jakże zdołam.

Istotnie. Jakżeby zdołała? Nie wiedziała nic. Nie wiedziała o przemyślnych matactwach Zefrida. O tchórzostwie Nieluba. O słabości Stojgniewa, mocnego tylko ramieniem Bolka. O zawiłej tajemnicy własnego serca.

- Spałam te dni - szepnęła - straszny sen. I nie obudziłam się potąd.

- Nie obudziłaś się? - stęknął Kłab. Pojął: właśnie to kołatało mu przez wszystkie te dni trwogą w piersi.

- Nie - odrzekła z bolesnym zdziwieniem. Iście - spała przez wszystkie dni, w ciągu których toczyła się gra. Gra między ślepych odruchami jej braci i jasną świadomością Zefrida. Nie wiedziała o niej - czuła ją. Wiedziała, że jest bezbronna, została podarta na strzępy, przestała być czymś jednym - miłością do Kłaba, była żrącym pragnieniem Nowego, nosicielką dumy ojcowej, odmieńcem bogów, dziewczką polaną wodą chrztu, szepczącą dziwne zaklęcia w mrok komory, poczuciem konieczności

odmiany i strachem przed zdradą siebie. Zagubiła się w sprzecznościach - niosło ją Nowe. Tak czuje puch ostromlecza, niesiony wiatrem przez słoneczne polany i ciemnie lasów; nie wie, kędy go powiew uroni.

Te wszystkie dni Zefrid mrugał oczyma, patrzył czujnie. Odmierzał każde słowo. Niewolił ją bajkami. Ze Stojgniewem gadał o drużynie, o Bolku, o sile. Stojgniew prężył ramiona.

- Och! bych bym mógł bić Węgrów. Sucza ich mać! Zefrid szybkim oddechem wtórował. Przepijał. Stojgniew z wolna zatracił doń dawną niechęć.

Czujne, małe oczy przewiercały Nieluba, dogrzebywały się jądra jego rozterek. Pogwarki z Nielubem krążyły wokół Orczycy, pamięci Wojborowej. Nielub milczał, ogarniał wzrokiem kapelana, czuł, że wraca między nimi dawne przyjacielstwo. Oczy Zefrida biegały wszędzie, Latorosłka w ramionach Kłaba czuła je wlepione w siebie przez ścianę puszczy.

Nazajutrz po spłonięciu grodu Ledargowego ranek był dżdżysty, ciepły, zamglony. Stojgniew odsypiał pijatykę i pożar. Nielub wstał wcześniej, przeciągnął się, wyszedł do sieni. Zefrid siedział już w kącie, nigdy nie śpiące licho, przewiercił młodego Wojborowica czarnymi źrenicami, kiwnął nań ręką. Nielub podszedł doń lekkim krokiem, uśmiechnął się.

- Nie śpicie?

- Nii...

- Byliście u ognia?

- I tyś był - głos Zefrida zduszony, głowę świątek wsunął w ramiona, zwinął się w sobie - i tyś był, Nielubie.

- Uratowałem brata - lekka niepewność w wyszczerzonym uśmiechu.

Zefrid ziewnął, ton jego brzmiał obojętnie:

- I jam ci się nie wyspał. Nocką trza mi było na dwór, miesiąc świecił, było jasno. Wtedy obaczył płomień nad Ledargowym grodem. Dobiegłem do wrót. W on czas...

Zawiesił głos, podniósł ramię, trzymał je nieruchomo przed sobą. Nielub oblizwał prędko wargi, starał się mówić obojętnie, lecz głos mu drżał:

- Co bajacie?

- Widziałem ci człeka, jak biegł ku Orczycy chyłkiem by zbrodzień. Skryłem się w cieniu ściany. Dobiegł wrót... - Zefrid przerwał, patrzył bystro na Nieluba - ...odsunął skobel, obejrzał się... - znów przerwał - ...gębę miał białą, miesiąc świecił wprost na nią, psy nie podniosły wrzasku... - ręka podkreśliła nową przerwę - ...miesiąc, morwie, świecił jasno... by w dzień... człek przebiegł podwórzec, wpadł ci do domu... Wraz usłyszałem gwałt i...

Urwał, skurczył się jeszcze bardziej, nagle wyciągnął szyję, syknął:

- ...i wasz głos, Nielubie, wołający ludzi.

Z charkotem padł Nielub na małego kapelana, ręce usiłowały go chwycić za gardło, chybiły, czarny człowieczek wykręcił się, złapał za przegub Nieluba, przycisnął go, w prawicy błysnął mu nóż. Sapał szybko:

- Odkądem przyjechał do waszego kraju, mam ci zawsze w zanadrzu mizerykordię. Od wypadku. Mógłbym wam przebić gardziel. Ale przyjaciel Orczykom, wždy wiecie to - puścił Nieluba, nóż zniknął w fałdach szaty, jakby go wcale nie było. Zefrid śmiał się:

- Prędko z was chłop... hi hi hi... chcieliście straszyć Zefrida? Co wam? Nielub!... - chłopak siedział na ławie, dyszał ciężko, czoło miał mokre, w oczach bezbronny psi lęk. Białe usta szeptały:

- Gadaliście z Gniewkiem?...

- Ja?... - Zefrid przeciągnął się - toć śpi potąd. I o czym?

A że źle myślicie, jak głuptak, powiem wam: będę gadał. Chcę prosić go o Adelajdę...

- O co?

- Chrystusowe imię... o siostrę waszą, no! o Latorosłkę. Pojmujecie? Chciałbym to szkodzić Orczykom? Między nami...

Wyciągnął do Nieluba dłoń, ale chłopak odskoczył jak od złego. Przez gardło wyrwało mu się: - Gad... Zefrid spojrzał nań zimno, bez drgnienia w oczach:

- Przemówicie za mną?

Nielub zakręcił się po sieni, podszedł do kadzi z piwem, zaczerpnął, wypił duszkiem, splunął, spojrzał na Zefrida, warknął:

- Przemówię. Gad!

Stojgniew chodził z sokołami nad Wisłę, szeroko się u Orczycy rozlewały nadrzeczne moczary - bili tam łabędzie, żurawie, gęsi, kaczki. Jakoś odpoczywali w cieniu. Sokolnik Czarny poprawiał opaski na oczach ptaków, gaworzył z nimi; ojca jego jeszcze Wojbor ułowił dla Orczycy w czasie wyprawy na Czechów. Czarny miał ciemną gębę, ruchliwe oczy, śmiał się wiele, przedziwne gadki umiał bajać o ptakach, każdy ptasi głos naśladował: stukanie dzięcioła, buczenie bąka, krzyk orła, jastrzębia, sokoła, puchacza, sowy, kląskanie słowika, kukanie zuzuli, gwizd kosa, kwilenie wilgi, czykanie strzyżyka, gruchanie gołębia, ćwierkanie wróbla, gila, sikory, krak wrony, gawrona, kruka, granie żurawi w locie, kwak spłoszonych w bagnie kaczek, tok głuszca i cietrzewia; ulubieńcem był obu Wojborowiców.

Stojgniew leżał na plecach, usiłował dorównać Czarnemu, pokrzykiwał jak bekas, Czarny

odpowiadał mu, sokoły się niepokoiły. Nielub śmiał się. Naraz spoważniał, przestał machać nogami, ozwał się od niechcienia:

- Słyszysz? Zefrid myśli słać dziewosłębów.

Stojgniew obrócił głowę do brata, pod żółtymi wąsami błysnęły białe zęby:

- Swat na koniu, bies na świni. A no, hyr pójdzie po drużynie.

- Pewno.

- Wiesz, jako to wraz idzie: baba babie, a bies żabie. Swaćba rychło? Z kim?

Nielub skrzywił się, jakby się najadł kaliny.

- Do ciebie chce słać. Po Latorosikę. Stojgniew siadł.

- Duruś się napił, abo jak? Nielub drapał się pod pachą, mruknął:

- A no... kapelan ci Bolka, ksiądz ji lubi.

- Lubi, nie lubi, Latorosłka nie dla niego. Rada by świnią poswać się z koniem. Tfu!

- Co mu odrzekniesz?

- Na śmiech ji podam. Wojborowa córka za tą kostropatą głową?... Czarny, pójdziem.

Trzy dni chodził Stojgniew zły, unikał Zefrida. Mały kapelan milczał, nie zaczynał gawędy. Po trzech dniach rzekł Stojgniew do Nieluba przed samym spoczynkiem:

- Będzie, jak Latorosłka zechce.

- Dziewki będziesz pyta!?!

- Co mi tam. Nie weźmie j i, widzę, jak ją mierzi.

- Iii... Takiej byle się poswatać.

- Co, o siostrze by o p"ócpiedze?

- Wszystkie jednakie.

- Durnyś.

- A no...

Jakoś wieczorem podpili tego. Było wesoło, śmiali się. I nagle Zefrid zagadnął, godnie, uroczyście:

- Stojgniewic! Możliwi słać do was po dziewczkę? Stojgniew miast odpowiedzi zarycza!:

- Latorosika! Latorosłka!

Wyszła do nich, zdali się jej - wtóry raz - jacyś nowi, niezwykli, odmienni. Stojgniew obrócił się do niej z zydlem, zagadnął:

- Chcesz zostać księdzową białka?

Zbladła, zakręciło się jej w głowie, ściemniało w oczach. iMilczała. Stojgniew nasrozył się, spytał twardziej:

- Zefrid, kapelan Bolka, chce słać do mnie dziewczosłębów. Rzekłem mu: będzie, jak zechcesz. Gadaj, głupia!

Wszystko, co było w niej żywe, jędrne, puszczańskie, buchnęło buntem. Powiodła po wszystkich trzech wzrokiem, wiedziała już od dawna: stało się. To nie ona wyrażała zgodę, to głęboko w niej tkwiące poczucie, że nie wyrwać się nowym mocom, które ją zamąciły do dna. Wargi niemal się nie poruszyły, gdy powiedziała obcym, obojętnym tonem:

- Niechaj śle.

Zefrid zerwał się, by iść do niej; uciekła. Wróciła do swej komory, ale płakać nie mogła. Długo, bardzo długo siedziała bez ruchu, bez czucia, skamieniała. Nawet nie obejmowała całej głębi swego nieszczęścia. Dopiero we śnie. Bładym rankiem się obudziła splakana. Zagłówek, na którym spoczywał jej policzek, był mokry od łez. W popłochu pobiegła w puszcę.

Siedzieli na grobie Wojbora, czuli, że wchodzi między nich obcość, niechęć, wrogość; wzajemny żal i uraza; że obwiniają siebie wzajem w niedoli. Latorosłka zwróciła na Kłaba bolesne oczy.

- Nie poradzę.

- Ani ja - odpowiedział twardo.

Skrył się za ową twardość. Taż potęga, od której uciekł po zabiciu Ludka, którą czuł wprzódy w ciągłym jarzmie ciężarów i posług książęcych, uderzyła teraz w jego miłość. Pradziad jego porwał dziewczynę z pochylonej nad wielką rzeką wierzby; dziad kupił żonę za skóry w osadzie myśliwców; ojciec związał się z rodem sąsiednim - oraczów, wolnych kmieci. On ubił Ludka, zemknął w puszcę; w puszczy sięgnął po Latorosłkę obcy Bóg i moc księdza. Nowy świat. Świat wrogi.

- Ani ja...

Spojrzała nań - na ciemnym tle ostro rysowała się jego twarz, czoło mocne pod wichurą włosów, wałek brwi, nos prosty i wydatny, zacięte usta, twarda broda. Z tą twarzą - pełną męskości i siły - nie licowały słowa: - Ani ja nie poradzę. Cóż mogę. Chybabyś...

Tchu jej zbrakło.

- Co?...

- Chybabyś poszła za mną. Przestraszyła się.

- Kądy?

Machnął ręką.

- W puszcę.

Poderwała się, piersi jej falowały. W głowie zaczęła się niedowierzająca radość.

- Kłęb!

Ale on już spuścił głowę. Mruknął:

- Twój brat drug księdza. Poruszą opola, wytropią. Wszędy wytropią. Wszędy.

Czuła - jak wtedy, gdy zezwalała na przysłanie dziewosłębów - ziemia zapada się pod nią. Milczała. Kłęb wstał, rzucił skargę polanie, drzewom:

- Wszędy wytropią.

Milczała. Siedziała bez ruchu, głowę oparła na dłoniach, widział tylko jasne przecięcie między włosami, spadającymi w dwie strony. Krzyknął:

- Wszędy! Słyszysz? Nie poruszyła się.

- Słyszysz?

- Słyszę - powiedziała cicho, podniosła się. Świat, do którego się tak wyrywała zza palisady Orczyckiej, zwalił się na nią, przygniótł; ani tchnąć. Puszcza, do której uciekła, odtrąciła. Dziewczyna szła wyprostowana, martwa, iście kroczący pień. Usłyszała za sobą rozpaczliwy krzyk Kłęba:

- Latorosłka!...

Nie odwróciła głowy. Z kurhanu przez czarne oczodoły końskiej czaszki stary Wojbor patrzy! na nią urągliwie, szyderczo. Kłęb nie pognał za nią, nie porwał jej. Dąbrowa szumiała.

Wieczorem Zefrid wyjechał z Orczycy. Po dziewosłębów.

Na tamtym brzegu od lasu wypadło pięciu jeźdźców, galopem doleciało do rzeki. Odszukali bród, wparli konie w wodę. Woda była niska, nie dochodziła koniom do karku. Na tym brzegu pierwszy jeździec - gruby, ciężki, z czerwoną twarzą, płowym wąsem - wykrzyknął:

- To pewno i Orczyca?

- Onać to.

- Czas na spoczynek a jadło. A gdzie to gród Ledargowy? Podsunął się jeździec mały, czarny, ruchliwy.

- Ksze! Wiślica zabrała całą stróżę, kazaliście. Nie było komu strzec. Zaprószyli żar i...

Lniane brwi ściągnęły się na chwilę, zmarszczka na czole zarysowała się groźnie, usta się zwały.

- Dziw... A no... obaczym. Jeszcze Wojbor... - zadumał się. - Mało ji w łaźni siekłem, mało. Jedźmy - pognali konie.

Stojgniew wyrzał z sieni, skoczył, jak stał, za nim Nielub. Dopadli powodów wierzchowca, zatrzymali. Stojgniew krzyknął:

- Książd Bolko!

Jeździec chwycił prawicą za lęk. Stojgniew ryczał w stronę domu:

- Bywajcie! Bywajcie!

Bolko ciężko zeskoczył z konia, wziął Stojgniewa w objęcia. Uścisnęli się. Bolko odsunął drugą, spojrzał nań, zakrzyknął:

- Zdrowyś? Bajał już mi Zefrid, ten zawsze z dobrą wieścią pierwszy; za dziewosłęba mię przywiódł, ha ha ha! Znak ci już na gębie ostanie, nic to, wojacki znak. Rad jestem, rad, no! Wiesz, Starogniewa ubili na wale, wojewody nie mam, jak dumasz?

Stojgniew zamilkł, poczerwieniał.

- Myślisz, ty? A no: bij oszczepem w czub sosny, wróbla ubijesz. Wiedź mię do domu, miodu daj, w gębie piasek aż kasa.

- Chodźcie. Nielub, każ bić wolu a barana, a wieprza. Łażnię palić. Chodźcie, chodźcie!...

Ciężkim, wojackim krokiem wwalili się do sieni. Z łomotem zwalili się na ławy. Wraz piwo, co najbardziej chmielone, a miód, co najstarszy. Bydło już rżnięto przed domem.

Sypały się skrawki opowieści:



- Dunaj wielka rzeka, gdzie jej do Wisły a Odry. Szczepanowi gacie pogubili, tak zmykali. Iste zające. A Wasul z Włodkiem już się za czuby wzięli, nie usiedzą tam. Łup, prawda, godny.

I okrzyki:

- Pij! Pij a bij! Kiej pijesz, to i bijesz! Przepijam do was, ksze!

I śpiewki:

Kiej ci, woju, dziewczka miła,

to ją bierz! to ją bierz!

Bolko krzyknął:

- Dawaj no siostrę, wraz swaćba, słyszysz? Chytrek Zefrid. Jak ją wołają?

- Latorosłka! - odkrzyknął Stojgniew.

- Adelajda! - zapiszczał Zefrid.

- Jakże to?

- Ochrzcilem ci ją wodą świętą.

- Dopiero nynie?

- Uhm.

- Ej, Gniewek, Gniewek. Szczepan to ci dba o Jezu Krysta, widziałem to. Opola pewnoś nie chrzcil?

- Abo to moja rzecz?

- Twoja, głuptak. Wraz zwołasz opole na jutro abo na pojutrze. Sądy odprawim, opole ochrzcim. Zefrid...

- Słyszę... wraz...

- Nie pijanyś aby?

- Niegdym nie pijany.

- Wiem ci, lis jesteś, isty lis. Wiem. Słuchajcie no, hukniem raz jeszcze.

Dymiło się im z czubów. Zawyli dziką pieśń śpiewaną na wyprawach - u Weletów, nad morzem, na Węgrzech. Posypało się próchno z powały. Rozhulała się stara Orczyca.

A w tym czasie przez osiedla opola leciał chłopak z zaciętym kijem, machał nim przed każdym

obejściem i krzyczał:

- Rankiem wiec pod dębem orczyckim! Ksiądz przykazał! Bolko! Chyžo!

Zafalowały senne polany, klecie bartników i szałaszy myśliwców. Z ciekawością i strachem szedł puszcza nakaz:

- Rankiem wiec pod dębem orczyckim. Ksiądz przykazał. Ksiądz. Bolko.

Orczyca huczała by brać pszczela. Zaruszało się całe opole. Ksiądz przykazał.

Polana w połowie zawałona ludem. Była mała, krągła, w środku stał święty dąb. Czekali od rana, z cichą pogwarką, cierpliwie. Lniane przyodziewy, czupryny w pół czoła, białki z zasłoniętymi głowami i dziewczki z wiankami na kosach. Nawet dzieci przygnali, widział to kto?

Turoń chodził przed tłumem na długich nogach, czysty żuraw, kiwał się. Pokrzykiwał:

- Cichajcie, psia!... Wraz ksiądz przyjdzie!

Wyciągali szyje. Drzewa szumiały, czas ciekł. Czekali cierpliwie. Turoń chodził godnie, pokrzykiwał.

Na głos rogów cisza zawisła, gęby otwarte, oczy wylazły. Zbili się ciasniej, dla pewności. Sapali niby w trudzie, nad tłumem unosił się ciężki odór potu, szmat, łajna krowiego.

Kobuz burknął do Kuli:

- Wraz.

Pazur trącił Kłaba łokciom:

- Bacz. Ksiądz sam, mołwią, idzie.

- Cichajcie - krzyknął Turoń, momotał - ze wzruszenia i strachu.

Zbili się jeszcze ciasniej.

Bolko szedł zamaszystym krokiem, twarz miał czerwoną, szeroką, powieki z lekka obrzękłe. Za nim kupa wojów, wszyscy w zbrojach, z mieczami, bez szłomów. Wojborowice zagubili się w tej grupie, a wżdy władcyki byli, pany. Z boku dreptał Zefrid w uroczystym stroju kościelnym, zdał się być w całej świcie najgodniejszy.

Bolko przeszedł polanę, minął dąb nie uczciwszy go, szedł dalej. Wprost na tłum. Cofnęli się ździebko. Nie zatrzymał się, wszedł w nich by w tuman. Rozsunęli się na strony, dali mu miejsce, stał otoczony wkoło zbitą ciżbą gąb, ramion, płótna, potu. Zabasował znienacka:

- Bywajcie w zdrowiu, ludzie wolne.

- W zdrowiu! - odkrzyknął Turoń. - W zdrowiu! - zamamlało parę niepewnych gąb. I naraz radość ich zaczęła ogarniać, ślepy pęd stada, krzyczeli coraz pewniej, śmieiej. Cisnęli się, każdy chciał widzieć księdza, bajać później w puste wieczory, krąg się zwężył, Bolko biegał oczyma, czuli jego wzrok na sobie, garbili się, oblizywali. Świta za nim stała półkregiem, błyszczała; nikt nie patrzył na switę.

- Ludzie orczyckiego opola - krzyknął ksiądz - wolne kmiecie, starosty i chlebojedzcy, zadrużniki, bartniki a łowcy. Jutro rankiem sądzić będę w Orczycy, ja a Stojgniew Wojborowic, mój wojewoda - oczy tłumy poszukały Stojgniewa, wlepiły się weń na chwilę, wróciły do Bolka; wąsy się ruszały -

kto ci skargę ma a żal, kogo kto pogańbił abo ubił, abo ranę zadał, abo zrabował, abo zajął, abo wypasł, abo skrzywdził, niechże z darem przyjdzie do Orczycy a wyzna żal i skargę, i utratę; ja, ksiądz wasz, nagrodzę ji, winę nałożę i grzywnę a główczyzną, jako obyczaj każe i wola moja. A teraz słuchajcie...

Urwał. Turoń zakrzyknął:

- Cichajcie!

- Ociec mój, wielgi ksiądz, onże Mieszka, oddał ten kraj Jezu Krystu. Słyszeliście?

Tłum zafalował, drżenie przeszło przez serca, strach przed złem. Twarz Bolka poczerwieniała, zrobił krok, tuż nad wałem ciał krzyknął ostrym, gniewnym głosem:

- Przykazałem: dęby święte ciąć, jize próchno są, zgnilizna, złe. Przyjechałem do Orczycy od Węgrów, kaj biłem Węgrów a łby ciąłem a członki, a oczy łupiłem, a łup brałem. Co tu?... - nogą tupnął - z woli mojej a ojca mego kłamacie, na śmiech podajecie, na przekpinki. Słyszę: na polanie orczyckiej dąb stoi a strawę mu dają, starzy zbierają się, ognie palą, obiaty składają. Oddałem ci mój kraj Jezu Krystu, ja, pan wasz i ksiądz. Wen z Dadźbogiem a Swaróżycem, wen z dębem. Wola moja!

Zamarli. Nie spuścili zeń oczu. Serca przestały bić, strach zdusii, niebo się zwaliło na głowy. Nie krzyknęli. Milczenie - zimne, przeraźliwe.

- Patrzajcie! - krzyknął Bolesław.

Wparł w tłum, świta ruszyła za nim z chrzęstem żelaza, wyszli pod dąb. Stali już tam ludzie z piłą, z toporami. Jęk przeleciał po tłumie.

- Cichajcie! - głos Turonia załamał się.

Drwale podeszli, stuknęli. Stęknął pień. Żółta czaszka na grobie Wojbora szczyrzyła zęby. Wzięli się do piły, piła była nowomodna, długachna. Zgrzyt drewna szedł przez serca, nogi drżały w kolanach, łydki dygotały, pocily się. Jakiś cienki, niewieści głos zakrzyknął obłąkanie: "Lelum! Dadźboże!" "Cichajcie!" zachrypiał w gardle Turonia, usta miał suche, jakby pełne piachu. Bolko nie odwrócił głowy, stał rozkraczony, patrzył na dąb, na tłum, krzyk zginął w gęstej pustej ciszy. Ni powiewu. Piłowiny sypały się żółte, rudawe, drwale stali zgięci, rytmicznie się pochylali, piła wysuwała zęby z tej... z tamtej strony tramu, błyskała w słońcu. Dąb nie drgnął. Wciąż piłowali, piła szła po ciełe tłumy, zgrzytała kość pod zębami. Falował strach, zgroza, wściekłość, bezsilność, Bolko stał rozkraczony przed tłumem. Patrzył. Żrenica mu nie mignęła, nie spuszczał wzroku, patrzył. Piłowali.

- Och! - westchnął tłum.

Wyjęli piłę: zaciskało zbyt mocno. Zaczęli z drugiej strony, obłupali korę toporami, kora była grubachna, wiekowa, spękana. Dotarli do czerwonego wnętrza. Znów zgrzytnęła piła. Za każdym wahnięciem biegły oczy w tę stronę... w tamtą... bez końca. Ksiądz stał, patrzył. Świta błyszczała w słońcu - i jej twarze były blade, Nielubowi gęba się ściągnęła, zaciął zębami wargę, dwie zmarszczki cięły spocone czoło. Stojgniew gładził wąs garścią. Woje stali, wsparci na mieczach, gotowi. Zefrid

złożył dłonie, kciuki splótł na krzyż, szeptał zaklęcia. Plecy piłujących, obleczone w gładką skórę, falowały - i ich żarła pustka i strach.

Nagle dąb zadrżał, w mig puścili piłę, chwycili grube drągi, wparli w rozwidlenie gałęzi, natężyli się, karki im napęczniały, tłum zataił dech. Trzasło. Dąb drgnął obdartym czołem, zaczął się chylić wolno, tyle-tyle, mimo woli chyliły się głowy, ramiona, dąb nabieraj szybkości, leciał, leciał długo, bez czasu, przez wieczność, zaszumiał gałęziami, huknął o ziemię. Sieknęła polana głuchym, podziemnym stęknięciem, stęknął tłum. Echo odniosło sieknięcie, serca stężały. Bolko stał rozkraczony, patrzył.

Płuca chwyciły powietrze, poruszyli się jakby najgorsze minęło. Turoń chrząknął, chciał krzyknąć głośno: "Cichajcie!", nie wydał głosu. Kłęb spojrział z męką w oczy Pazura, stryjowa twarz schudła w ciągu tej godziny, szerniała. Stara Bogna przysiadła, rękoma zasłoniła twarz, trzęsła się. Drwale ocierali spocone czoła wierzchem dłoni. Bolko stał, patrzył. Milczał.

Stuknięto toporami w sterczący z ziemi pień, ostrza odskoczyły, drewno było mocne, twarde. Stuknęli raz, drugi, trzeci, tłum znów znieruchomiał. Trzasło, topory weszły. Założyli brzoźowe kliny, ramiona uniosły wielki obuch drewniany, kliny szły głębiej, szpara się rozszerzała. Wtedy drwale ruszyli w stronę Orczyca, Bolko podszedł do zwalonego dębu, kopnął go, krzyknął, pasja grała mu w gardle:

- Tram ten pociąć, porąbać a spalić! Słyszycie? - znowu się zbliżył do tłumy, parł go parę kroków przed sobą, cofali się.

- Wola moja!...

Czuł wlepione w siebie mnogie oczy. Nie ustępował.

Naraz oczy się oderwały odeń, biegły przez polanę, groza już była zamazywała się w otępieniu, w klocowatą obojętność, teraz znowu strach ożył. Drwale nieśli wielgi wielgachny krzyż, by dąb; uginali się pod ciężarem. Ułożyli przed kikutem dębowym, założyli stępkę w szparę w pniu, ramionami, drągami dźwignęli go - zachybotał się, nie upadł. Wbili w szczelinę, wytrącili kliny, pień chwycił podstawę krzyża mocno by zębami.

Oczy tłumy oderwały się od Bolka, od świty, od drwali i zwalonego boga. Przylepły do krzyża. Nowy Bóg. Wraży. Obcy. Lelum!

- W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego... - zapiszczał głos małego człeka w pstrych szatach. Żegnał ich, kulili się przed urokiem.

- Dadźboże - biadoliły blade wargi.

Jednym skokiem był Bolko na pniu dębowym, obrócił się ku gromadzie, głos jego huczał władczo:

- Wszystkie ludzie wolne w moim księstwie mają być krześcijanie. Obmyci wodą świętą. Oto Zefrid, ksiądz Jezu Krysta, chrzcic was będzie. Mężów, białki a dzieci. Słyszycie?

Podle Bolka stał Zefrid, ozwał gębę, nie pojmowali. Padały urwane zdania:

..Jenż przybył na świat jako Zbawca, jako...

..Bóg przykazał: w post mięsa nie jeść, dzień święty święcić, modlić się, z diabłem nie trzymać. A kto by nie słuchał, tego ksiądz wasz, Bolesław, będzie bił, głowy ścinał, oczy łupił, zęby wybijał. Baczcie tegdy...

..A Dadźbog a Swarozyc wilkolaki są i złe...

..a kto by nie ochrzcił się, w piekło pójdzie, w ogień, jako jen tram...

..Oćcze nasz...

Patrzyli odurniali ze szczętem. Słowa ślizgały się po nich, spadały niby twarde kamienie. Wlepili w Zefrida oczy, patrzyli tępym stadem, słyszeli głos - jakby obcą mową bajał. Ciżba łbów okrytych czapami włosów, obciążniętych lnem ciał, dusz zatłoczonych strachem, dziwem, Nowem. Jedno czuli: ksiądz wygnał Dadźboga, zwałił dąb święty, przyzwał Kyryi Krysti. Krzyczał groźnie: "Moja wola!"

- A teraz chodźcie tu po jednemu, będę was chrzczył wodą świętą jako Jan.

Z brzegu stał Pazur. Ktoś go trącił. Bezwolny, bezwiedny szedł pod krzyż, gdzie go czekał mały żerzec obcego Boga i ksiądz.

Polana była mała, krągła by oko puszczy. Wokół grał bór, trzaskały gałęzie, wył zwierz. W środku polany - Dadźboże ! Dadźboże! - stał krzyż wielki by dąb. Znak Jezu Krysta i woli księdza.

Na grobie starego Wojbora końska czaszka szczyrzyła zęby.

W dzikim popłochu trzęsły się serca ludzkie.

# **Część druga**

## **Księstwo w garści**

1.

Był upał. Żółte plamy słońca ślizgały się po czubach sosen, topiły na rudych pniach żywicę. Kwitły lipy. Pszczoły brzęczały, znosiły miód do barci.

Tego dnia Bugaj wyszedł na Wielką Drogę, przeciągnął ramiona; drogą pędził woj, koń chrapał z wysiłku. Bugaj machnął ramieniem, krzyknął, tamten go nie dosłyszał. Woda z kałuż pryskała, sosny szumiały. Bugaj zaczął kłąć.

Tegoż dnia Zabój Tur piętnował bydło swoim znakiem rodowym : strzałą dwakroć przeciętą na krzyż. Radował się - płodny był ten rok, powiększyły się stada. Od domu dochodziło wydzieranie się córy śpiewającej całym gardłem:

Hej, po rosie, po trawie,

hej, za borem i płem...

Tegoż samego dnia włodarz księcia przybył na Śliźniową polanę. Lubusza zatupał nogami, zaślinił się, wodził wkoło przekrwionymi oczyma. Włodarz był niski, krępy, mocny w sobie.

- Nie dam - głos Lubuszy stwardniał. Włodarz odetchnął, dobył zakrzywiony kij z księdzowym znakiem, krzyknął gniewnie. Dziewanna spoglądała zza płotu, serce jej biło. Żrebce tupały, pachniało siano.

Daleko, daleko od Śliźniów - u Iłży, cieśle zginali się, odchylali, obciosywali jesionowe kłody, na nowy ostrokół. Niedawno skrzyczał Bolko grododzierzcę Iłży za próchno a gnój w grodzie. Gieźla były mokre, śmierdziały potem. Kołowały zestraszony wrony.

Nad gęstwę lasów wysunął się sokół, leciał ukosem ku łabędom. Ktoś krzychał w gąszczu, podjudzał ptaka.

Jednocześnie u Libicy, dawnego grodu Siawnikowiców, zaczęło się pięciu braci Szreniawitów, słuchało pilnie. Miał przyjść do nich wysłannik od Wrszowców. Serca im biły, łapali dech: dopiero co gadali o Szreniawie.

W ziemi Mazowszan przez Liwskie Opole szedł gon. Jakiś człek śmigał szybko przez zarośla, za nim pędziła zgraja, krzyczeli w biegu. Człek wzywał Jezu Krysta, Dadźboga, Swarozycza. Usta się mu trzęsły.

Oprawca imieniem Ryś śpieszył na wezwanie wojewody Stojgniewa.

Podgrodzie krakowskie oblepiło gród dokoła - gęste, zbite. Między chatami kowalów przemykał się niski, obszarpany człowiek, pytał prędko o Żurawia. Żuraw wyszedł z kleci, ujrzał gościa, zbladł, cofnął się.

W tej samej chwili Emnilda rozpięła ruszycę, wydobyła pierś, wsunęła ją w rozwrzeszczoną gębę córki. Mieszka karabskał się po podłodze tyłem by rak, podsunął się do matki. Emnilda się



pochyliła, pogłaskała jasną czuprynę chłopca.

U Złotej Góry niewolni szybko przebierali rękoma w skrzynkach, wydobywali dłonie czerwone od zimna, chuchali. Stary Kciuk krzyczał, poganiał, nachylali się pośpiesznie.

W on czas Unger zmarszczył brew, cofnął się z lekka. Zefrid zaśmiał się, błysnął oczyma, zagadał:

- Bolko posłucha mię, nie bójcie się. Zawsze mu radzę... - Unger skinął niedbale dłonią, ale w oczach miał gniew.

Drużyna siedziała pod lipami, dwie rude sarny zawieszono na niskiej gałęzi, chłopcy je obłupywali, ogniska płonęły. Słońce migotało przez gałęzie złotymi plamami. Rozwalili się na trawie, Jez podciągnął długie piszczele, sapnął.

Potoczyła się gadka-opowieść. Ogarnęła ich ssącą tęsknotą, cierpkim smakiem dalekich ziem i ludzi, tajemnicą nieznanego świata. Uciekali - zasłuchani - w obce sprawy, w cudze dzieje, w porywy namiętności, w nienawiść spleciona z miłością - od codziennego piwa, łowów, żartów, ćwiczeń, wypraw, mordy.

- Nie żal durnia wydać, jakby inaczej - zachnął się Jez. Giez podniósł ciężkie powieki, spojrzał na Odrzykonja:

- Bajaj.

W tejże chwili Latorosłka zakryła twarz ramionami, przygięła się, czołem przypadła do kolan, wybuchła długim, żalonym, skarżącym się płaczem.

A do zagrody Ksieńca wpadł chłopak z jasną grzywą, machnął długim kijem z wiechciem trawy na końcu.

- To Bzdyczów syn - mruknął Zwój.

- Sianosiecz! - krzyknął cienko otrok. - Zadruga! Zadruga! - i poleciał dalej. Ksieniec obejrzał się po obejściu z bezradnym ruchem ramion.

Pola falowały na podkrakowskich porębach. Łagodnie zielenił się len. Niewolnice weleckie pracowicie wyrywały zeń mlecze i oset, nie odchyłały się, nie obtarły spoconego czoła.

Na przyzbie swojej chaty siedział świętek Kędziorek, po kościelnemu zwany Andrzejem, oczy przymknął, ale nie spał: żyła w nim cicha, radosna czujność, zadowolenie ze słońca i z piwa, z bliskiej już pory jądła, z bytowania i ciszy. Z wnętrza chaty dochodziło jazgotanie białki, ale nie mąciło mu spokoju to jazgotanie.

Stary Pępik naprawiał sieci podarte na nocnym połowie; niemocnym, trzęsącym się dyszkantem podśpiewywał:

Łado, płynie ploć,

łado, płynie szczuka,

łado, się spotkały,

łado, łado, łado...

Tegoż dnia Przemko Świradowic pil miód z teściem w Turzycy. Tur wołał ze swej ławy:

- Puścili cię z drużyny, mołwisz, na mało wiele? Spieszno ci do nas? - Przemko zmrużył oczy, nie powstrzymał jęzora:

- Pomnicie, jakoście mię ułowili, a wzbronili bywać w Turzycy? - Tur nachmurzył się, zapłuł się, krzyknął:

- Dureń-eś!

W tejże chwili Jarek Białowasów wyszedł przed chatę, powtarzał przez zaciśnięte zęby:

Nie wrócę... Nie wrócę... Nie wrócę... - w oczach miał zwid krasnej dziewczki, której rycerz z grodu wbił nóż poniżej gardła. Urzekła chłopca latawica - i uwolnić się spod uroku nie umiał.

A do jomsborskiego grodziszcza podpływała właśnie łódź z dziesięciu wioślarzami. Wojownik na dziobie łodzi był rogaty, wykrzyknął po swijsku:

- Wiedz nas do Dzierzka. Od Sygrydy... Od Sygrydy... - Żelazne wrota uchyliły się ździebko, łódź się wemknęła.

W tym czasie Munia, któremu Prusy pięść pod Haliczem ucięli, wezwał dwóch starszych synów, mówił onym:

- Głupiście obaj, by stołbce u wrót abo jeszcze głupszi. Kiej przyjedzie ksiądz do Krakowa, prosić ji będę, możeć ulituje się nad bezrękim, weźmie was do drużyny. A nie weźmie?... - potarł sobie kikutem biodro. Synalkowie stali bez ruchu, oczy im spod zmierzwionych czupryn świeciły: a nuż uda się wyrwać spod ręki ojcowej, a nuż się doła nad nimi ulituje.

W on czas z osiedla Starych Łosiów bił w niebo lament i płacz: ojciec wrócił z łowów na tura, przyniósł jedynego syna zatratowanego racicami, podartego rogiem. Jaskra wsadziła obie piąstki w ślepią, zanosila się z płaczu. Mać miała suche oczy, w niemej rozpaczycy siedziła na ławie, kiwała się do przodu i w tył, do przodu i w tył - bez ustanku; jakby niemowlę w ramionach usypiała.

Podle Gniezdna niewysoki człek w przepoconym gieźle wrzucał rozpalone kamienie do cebra - przez kłęby pary spoglądał w swoje dalekie rojenja, sąsiedzi spoglądali nań z przekpińką, powiadali:

- Dureń z Dzierbołka, blednica ji zeżre.

W tejże samej chwili Bolesław spojrział cesarskiemu posłowi prosto w oczy, wysupłał przez zęby:

- Niech się nie stracha pan twój. Księstwo trzymam w garści. Oto tak - wyciągnął zaciśniętą pięść. - Nic mi nie zrobią.

Wysłannik nie spuszczał z księcia zadumanego wzroku.

2.

Tego dnia wyszedł Bugaj na Wielką Drogę, przeciągnął ramiona, drogą pędził woj, koń chrapał z wysiłku. Bugaj machnął ramieniem, krzyknął, tamten go nie dosłyszał. Woda z kałuż przyskała, sosny szumiały. Bugaj zaczął kłać.

Życie biegnie zygzakiem, by drożyna leśna, by strumień. Zygzakiem biegł Bugajowi żywot.

Złe i dobre płynęło z Bugajowej siły. Ze śmiałości. Z dzikości.

Życie nie płynie jednym nurtem, by strumień; nie ciągnie się bez przerwy, by drożyna. Życie bucha jak płomień w czas pożogi; jak uderzenia burzy; jak szaleństwa samotnego bugaja.

Życie jest porywem żądy, porywem dziczy, odruchem i spazmem. Jest warem. Jest kipiącą, czarną smołą.

- Tak się przedstawiało Bugajowi - ono życie, tak je widział i czuł. Był łupieżca, woj.

Po Wielkiej równej Drodze pędził Bugajowy żywot, by jeździec na koniu chrapiącym z wysiłku. Chwile życia tryskały srebrem, by krople wody spod kopyt rumaka. Bugaj odetchnął głęboko, zapatrzył się w one krople - skry życia.

Ej, Bugaj, Bugaj!

Stary Bzdoch już ino gwarzył na ławie; nogami tyle co włóczył. Oczy miał kaprawe i sople pod nosem. Burczał starczo, monotownie, nieciekawie:

- Pomnę w one dni stryk wasz Niemił, iże dotąd puszczykiem się śmieje, niepomszczony... - zapatrzył się zaciągniętymi bielmem źrenicami. Puszcza szumiała czarnymi gałęziami świerków. Bzdoch chodził jeszcze w on czas szparko, wrony latały nastraszone nad obejściem, krakały. Białka się wydzieriała nad krakaniem:

- Bugaj! Bugaj! Bugajek!

Wyrostek leżał brzuchem na dachu, powrzaskiwał na wrony. Przywiązywał czarnemu ptakowi pęczki słomy do ogona, wrona wrzeszczała, biła skrzydłami. Matka pokrzykiwała:

- Bugaj! Bugajek! - otrok nie zważał.

- Bugaj! - krzyknął Bzdoch na wnuka.

Otrok ujął obu rękoma za tułów wrony, zawył przeraźliwie, rzucił ptaka w powietrze, klasnął rękoma. Ptak zakołował oszalałym krakaniem, stado rzuciło się za nim, rozpierzchną kupą latało wciąż wokół domu, napępniało szare, zimowe niebo wściekłym wrzaskiem. Chłopak bił dłońmi po dachu, rechotał. Z dołu dochodził go dwugłos matki i dziada:

- Bugaj!... Bugaj!... Bugajek!... Złe sprowadzisz!... Co tuszysz dobrze sobie, jakoby ci kół nie

pogorzał! - Dziad tupał wkoło domu, skrzeczał: - Tyli otrok, a wartogłówny by kur bez ogona. Tfu, wyrodek!

- Bugaj! Bugaj! Bugajek!

- Kra... kra... kra...

Gdy wrócił po uciesze, dziad czekał go z pletnią. Zamachnął się, ciął przez łeb, nie patrząc. Czerwone ognie zaskakały w oczach chłopca, zakrakał iście po wroniemu. We wnętrzu coś mu buchło, rzucił się przed siebie, zakotłowało się, dziad runął na tok, otrok za nim, pletnią poleciała w kąt izby, o uszy chłopca bił rozpaczliwy krzyk matki:

- Bugaj! Bugaj! Bugajek!

Wrony jeszcze krakały gęstą kołującą chmurą nad czarnymi świerkami, gdy Bugaj uciekał z domu ku tym świerkom, ku kraczącemu stadu, otwartymi ustami łapał powietrze. Ledwo go dochodziło zawodzenie:

- Bugaj! Bugaj! Bugajek!

Lata ciekły, płynęły we Bzdochowej zagrodzie. Zapomnieli o zbiegu - zaginął w świecie, by Domej i stryk Niemił. Bracia Bugajowi podrośli; gdy hardzieli, stary Bzdoch - ciągał już ździebko nogami i nosem - bajał w umorusane gęby straszną opowieść o starszym.. "Na to mu zeszło, baczcie!" - kulili się, pokornieli.

- Kiejby ociec wasz żył, ubiłby w on czas Bugaja. Ubiłby! - stary trzął pięścią, ślina mu ciekła z kątów warg.

Aż w zimowy poranek trzął grom.

Siedzieli wszyscy przy ogniu, grzali bosc stopy, szmaty do owijania nóg parowały. Nikogutko nie brakło - Bzdoch kiwał się, zasypiał i budził, mrugał powiekami. Mać raz wraz poprawiała szmaty, suszyła na śpiech. Trzech chłopów z długimi szczękami, porośniętymi gęstą pakulą, smarowało struny łuków łojem, rozpuszczali łój w glinianej skorupie u ognia; Bzdoch swarzył z cicha, by pośpieszali. Siostra podśpiewywała pod nosem; chichotała do swych dumek, kopystką mieszała w warzy dymiącej na ogniu.

- Śpieszajcie - budził się Bzdoch - świta.

Błona w oknie błękitniała, para nad garnkiem buchała, rdzawa od ognia, sina od świtu. Najstarszy z braci wziął z ręki mąci onucę, nachylił się, by owinąć stopę, pies na dworze zaczął ujadać, Bzdoch obudził się, charknął:

- Obaczcie. Wilk pono.

- Ciuuu! - zawołał Skórek.

- Nie wilk - Wielgusz podniósł się ociężale - nie wilcze ujadanie. Na człowieka! - w tejże chwili pies zajazgotał, zajęczał, drzwi otwarły się nagle, stał w nich olbrzym w kożuchu, z sulicą, w czapie. Zabasował ze śmiechem:

- Tako to witacie? Psami! - mać zerwała się, krzyknęła przeraźliwie:

- Bugaj! Bugaj! Bugajek! - Bzdoch wstał, zamrugał powiekami.

- Ha ha ha! - śmiał się Bugaj, złość grała w tym jego powitalnym śmiechu. Nie podjął dziada za nogi, podsunął się do watry, grzał zgrabiałe garści. Bzdoch podniósł się z ławy, siadł, znów się podniósł, nie wiedział, jak wnuka witać, spróbował srogiego tonu:

- Kajś się to był wąkronił? - Bugaj się podniósł od ognia, szedł na starego z pociemniałą twarzą:

- Chcecie mię znowu pletnią?...

Matka chwyciła go za dłoń, ze zmarniałym szeptem: - Bugaj... Bugajek...

Szedł do nich z chęcią pokazania swej mocy, niósł dary bogate, złupione na Czechach, noże dla braci, dzierganą ruszycę dla mąci, bławy płat dla siostry, toporek dla dziada. Szedł szparko, śnieg chrzęścił pod nogami, świt zbłękitniał długą smugą nad wzgórzem, gwiazdy biegły w popłochu na zachód, niebo tam było ciemne, granatowe, niemal czarne; jakby burza szła. Na świerkach leżał grubo śnieg, od puszczy krakały wrony; dzikie uniesienie porwało Bugaja, gdy wsłuchiwał się w onże krak wroni - krak dzieciństwa. Między pniami wisiał ciężki mrok, Bugaj podnosił oczy ku niebu, dech mu zapierało wzruszeniem, pierwotnym wzruszeniem zwierza, którego odwieczny pęd gna ku wykrotom szczeniectwa. Z dala między pniami mignął ognik - chata dziadowa: Bugaj stanął, oparł się plecami o pień, dyszał ciężko. Mróz go ciął w policzki, w nos, para gęsto kłębiła się od ust, szron osiadał na wąsach. Bugaj odetchnął, ruszył wolno.

Chata była mała, ciasna, dach spełzał do śniegu, wokół wejścia wykop, zaspasy żółte od moczu, czarne od wylewanej wody; spod chaty wypadł pies, szczerząc zęby skoczył na Bugaja. Nagły gniew poderwał woja, Bugaj trzasnął psa trzonkiem sulicy, pies zwinął się w kłębek, zajęczał by zajęc, odtoczył się pod chatę, wepsnął w szparę między ścianą a zaspą, ujadał z dziury. Bugaj targnął w pasji za drzwi, wszedł, ujrzał ich wokół ognia - mać skuloną nad onucami, dziada drzemiącego w ciepłe, trzech braci grzejących boscie nogi, siostrę z kopystką nad garnkiem. Zastygłe wszystko by zgniła woda w studni. Wstręt ogarnął z nagłą Bugaja, grzał ręce u ognia, dusiła go wściekłość, zamroczyła. Złościło skomlenie matki - Bugaj... Bugajek... - kołowate milczenie braci, otępienie starucha. Dziad wstał, siadł, wstał, naraz dawnym głosem, onym głosem, gdy wrzeszczał ongiś na wyrostka:

- Kajś się to był wąkronił?! - Bugaj się podniósł od ognia z nagle ściemniałą twarzą.

- Chcecie mię znowu pletnią - matka chwyciła go za dłoń, w zmarniałym szepcie:

- Bugaj... Bugajek... - Bracia poderwali się ostro, pochylili łby, szczęki im chodziły pod skórą policzków.

- Wartyś - charknął dziad, głos mu się trząsł ze strachu i złości. Bugaj - mający w sakwie dary dla wszystkich swaków, serce pełne dumy i chęci pokazania swej ważności, pełne wzruszenia wspomnień i tęsknoty za minionym - poczuł, że mu czerwona fala zalewa łeb, żelazne haki rwą wąpzia, chwycił starego za kożuch na piersi, strząsnął błagalną dłoń matki, okręcił dziadem po chłopcach - rozsypali się po kątach - cisnął go w ognisko, zatupał, jął kłać gromko, obelżywie, swoją krew, srom swojej matki, jądra ojca i dziada, bluzgał gnojem i gównem, otworzył sakwę, rzucał dary na tok, tupał nogami:

- Niosłem wam, psia wasza mać, bym bych wiedział... śmierdziele, one noże a ruszycę, a płat bławy, a siekierę dla churlęgi. Baczcie, psia... baczcie... - kopnął drzwi, wyleciał, biegł ku krakowi wron, ku puszczy, ku czarnej fali wściekłości, która się nań sunęła, ogarnęła go, owinęła. Fala, która go niosła, gdy gnał za krótkonogim Mieszka na wrzeszczącą chasę Weletów, Sorbów, Czechów, jomsborczyków. Ej, Bugaj, Bugaj!...

Wartko biegł żywot w grodach księcia, wolno ciekł w niskiej chacie Bzdocha. Przyszedł nakaz do tarczowników: iść do Poznania. Chmara ludu skupiła się pod ostrokołem. Ciżba rosła. Ni ładu tam, ni składu. Wojaki pomieszane z ludem prostym. Baby, dzieciśka. Psy. Głowy, kożuchy, czapy. Czupryny bujne, jasne, spływające na kark. Bary szerokie, giezła lniane, rozchełstujące się na piersi. Woje gromadzą się, pchają, nie chcą stać z pospółstwem. Ugwarzają. O Mieszce, o drużynie, o Arnulfie, o Jomsborgu. Gęsto huczy bas Bugaja, rechocze, rude oczy błyskają w dziobowatej gębie, dłońmi się bije woj po udach. O dziewczkach się zgadali. Gwóźdź szturchnął w bok Bugaja:

- Obacz, jak ci ta?...

Spojrzeli w tłum, niedaleczko stała białka młoda, gładka, w kraszonej ruszycy spiętej mosiężnym guzem, z ustami czerwonymi, ciekawymi ślepiami. Krew zaczęła się burzyć w chłopach, przepychali się ku niej przez ciżbę. Ten i ów warknął, spojrzał gniewnie, usunął się, zaklął. "Weźmiem ją między siebie" sapał Bugaj; zrazu mu kraśna fala zalała łeb, parł pierwszy, za nim inni - rozochoceni, podnieceni. Dojrzeli rozruch mężczyźni. "Krasula, umykaj no, woje wala!" krzyknął jakiś głos. "Woje! Woje!" - zahuczało w tłumie, zafalowały głowy, barki. Białka skoczyła w gromadę - zręczna, posuwista - znikła. Bugaj sapał w złości, kłał. Wparł się w tłum, grzmocił pięściami po głowach, po karkach, za nim waliła kupa - na próżno: najdziesz to grot od strzały w kopie siana?... Bugaj wybijał złość na najbliższych, gromada się cofała ze strachem, krzyki się rwały. Któryś złapał Bugaja za ramię, mruknął:

- Niechajże jej... Nocką wymknijem się ku Skotnikom. Wszystkie dziewczki tam krasne i hoże, hej! - Bugaj obrócił dziobowatą gębę, białka miał przekrwione. Śmiali się zeń.

Pochowali Mieszkę przy biciu w srebrne dzwony - ponoć Unger nie zwolił w bębny bić, jak drzewiej - tarczownicy rum czynili o szczyty. W grodzie wąpła Oda swarzyła się z Bolkiem a biskupem, a Cziborem, odbywali wiece Odylen, Przybywoj, Hugo i Arnulf, władcy i żupany a woje czuły wole, jakby pogrzebiono żelazną rękawicę bojową, co ich trzymała za kark. Wola, wola!... - Bugaj się wiercił nocami na słomie, nie spało się mu, jakoś pod wieczór skrzyknął kilkunastu, poszli woli zażyć w Skotnikach.

Księżyc był już wysoki i zimny, gdy Skotniki obudził gwałt. We wsi pisk, wrzask, gdakanie, zamęt;

łomot biegnących kroków. Woje rozparli się po chatach, gdzie który trafił, Bugaj szukał chaty Żukowej, z dawna wypatrzonej, onaż to nie dawała mu spać nocami. Nalazł, pchnął drzwi, podparte były od wewnątrz, napał się, oberwały się z nagłą, padły na środek izby. Bugaj zwał się z wyciągniętymi rękoma, charknął, poderwał się, maca w ciemności, szuka. Wartko krew wali w żyłach, nie utrzymasz własnej krwi. Ubił Żuka, zgwałcił babę. Skoro wrócił, spał spokojnie, bez widziadeł.

Nazajutrz leżał na słomie w szopie tarczowników, ramiona podłożył pod głowę, gadał leniwie z Gwozdem, gdy Bolko tupał bosymi nogami, krzyczał do Wszebora:

- ...i Bugaja, i tarczowników, co na moja, na księżą włość napadli, ludzi moich nabili, babom gwałt... toporem! - zaciął się nagle:

- Nie - myślał chwilę, tupnął znów bosą stopą - nie czas tarczowników głową karać, później to... Na stróże Bugaja odesłać... i tamtych... do Kruszwicy, tam cichaczem za łeb i do wieży. Słyszysz?

Wszebor chrząkał.

- Może ich tam znowu jakie myszy... - Bolko roześmiał się głośno, wesoło. - Myszy, co? - trzasnął Wszebora po plecach.

Zabawiali się za ostrokołem, na błoniach - ciskaniem sulicą w słomianego chochoła; kto chybił, tego wicią chlastali po zadzie, chłop musiał stać wypięty: śmiali się i gadali jeden przez drugiego. Słońce wybiegało zza obłoków, znów się kryło, cień biegł szybko przez błonia, by chmura, by czarne skrzydło ptaka. Bugaj ryczał:

- Dajcie no sulicę... Bez chyby, bez chyby! - rozkraczył się, odchylił ramię, mięśnie się mu zwęziły na gołym ramieniu, cisnął, pocisk poleciał łukiem, musnął ledwo chochoła, nie przebił. Rozryczała się gromada:

- Wicią ji! Wicią po zadzie!

- Bugaj! Nachyl się.

- Stawaj, wywłoko!

Bugaj stał zdumiony, otępiałymi oczyma wodził od jednej wrzeszczącej gęby do drugiej. Czuł się strącony - nagle - z pełni poczucia swej mocy, którą upajał się jeszcze przed chwilą, z siły, która się zeń wyrwała od młodości; która wiodła go bezrozumnego, jak samotnego bugaja w puszczańskich ostępach; o której słyszał w dzieciństwie od dziada w nie kończących się bajaniach o stryju Niemile, o puszczyku, ojcu, o czarniawym złym kupcu i o grubych pacholach - nigdy nie zapomniał tych opowieści. Teraz pochylił głowę, rwała go pasja na myśl o upokorzeniu, buchnęła przez czerwoną mgłę pewność: nie ugnie się, będzie się bił. Ze wszystkimi, z gromadą - nie jest jak własny jego ojciec, jak Domaj. Warknął:

- Niechajcie mnie.



Zmilkli, oczy się im zwięzły. Gwozd podniósł ramiona, wyciągnął szyję, groźba zabrzmiała mu w głosie:

- Ej! Bugaj, Bugaj...

Rzucił się przed siebie na oślep, ciężarem ciała zwałił druga z nóg, skoczył nań, jął go tratować, wraz poczuł krzepkie garście na karku, ramionach, udach; szarpnął, rozdarł płótno na plecach, sięgnął do topora - rzucili się nań całą gromadą, obezwładnili, powalili. Gwozd leżał na nim, pysk w pysk, syczał mu prosto w gębę:

- Takiś to?... Takiś?... Czekajże... - nie zauważyli, jak zbliżył się do nich księży wódarz.

- Bugaj tu?...

Obejrżeli się, wódarz miał w ręku zacięty kij, znak księdza. A wzdry Mieszka pomarł - nie ma nad nimi nijakiego księdza. Bolko?... Albo Oda?... Rozdziawili się.

- Bugaj!

Odsunęli się, tarczownik się podniósł, trzepnął ciężko rękoma, obrócił się, warknął:

- Nie będziecie mię chłostali.

Któryś krzyknął:

- O wa! Nie ujdiesz.

Wódarz się zniecierpliwił:

- Chyżo!...

Bugaj się włókł za wódrzem ociężały, suwając nogi, czerwona mgła odpłynęła mu ze łba, sapał. Słońce wciąż się kryło za szybkie obłoki, dzień był chłodny, wietrzny. U samych wrót Bugaj zagadnął wódrza, głos miał zduszony:

- Co to, ksiądz mię woła? Wódarz spojrział nań z ukosa:

- Abo wiem? - i nagle:

- Cóżście to robili w Skotnikach? - między konopnymi wąsami błysnęły żółte zęby.

- W Skotnikach?... - zdumiał się Bugaj i nagle ciepło przeszło mu od kolan wzdłuż bioder do mostka między żebrami. - W Skotnikach!... - niespodziewana radość go poniosła, rozrechotał się szerokim śmiechem. Wódarz pokazał mu pięść.

- Obaczysz.

- Ii tam... Obaczę.

Krok mu zelżał, zatupali na moście, weszli w gród, szli między szopami drużyny, podle wielkiej wieży w środku Poznania, potem na prawo do gospody. Schylili się, weszli do sieni. Tam czekał na nich Wszebor; spojrział srogo:

- Cóżes to, Bugaj? Powiodłeś szczytników na Skotniki?

Bugaj odsapnął:

- Ckniło się nam. Nynie wola.

- Aaaach! - przeciągnął Wszebor. - Wola?... - zadumał się. - Wola... - powtórzył. - A no!... - palcami gmerał po stole. - Wola, mołwisz?... - aż nagle pięścią w stół: - Pójdiesz do Kruszwicy! Na stróże.

- Do Kruszwicy?

- Wraz! - w oczach starego coś zagrało, Bugaj nie dojrzał błysku, zawrócił, wyszedł ciężko, zły, żal mu było Poznania, gwaru, picia, bitek. Słońce kryło się za obłoki, wyglądało, znów się chowało.

A potem stało się, że ryczącą burzę puszczańską zamknęto w łupinie orzecha.

Nisza była długa na półtora kroku, szeroka na półtora kroku, wysoka na półtora kroku. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć bierwion tworzyło jedną ścianę. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć bierwion tworzyło drugą ścianę. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć tworzyło trzecią ścianę. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem bierwion tworzyło czwartą ścianę. Pięć ociosanych bali tworzyło wieko nad głową. Ni wstaniesz, ni się położysz. W jednej ścianie strzelnica wąska, że ledwie przesuniesz rękę. W strzelnicy spleść szarej wody; albo błękitnej; albo zielonej; albo czarnej; albo zmaconej przez wiatr. W nocy odbijały się w onym splechciu trzy gwiazdy.

Dni w strzelnicy wstawały i zapadały się, a komorę wypełniała burza. Łamała się o grube bale. Bugaj siedział skulony, a jego wściekłość rozsadzała więzienie; belki się gięły, skrzypiały, nie puszczały. Dusił bezruch. Nie można było wstać, ruszać się, rzucać. Bugaj przewracał się w ciasnocie, kulił się, rozprężał, tarnosił niby niedźwiedź w walce z niedźwiedziem. Bił nogami o ścianę, szyję wyciągał, wył. Wył długo. Nie doznawał ulgi. Wieleć, wielekroć, wielokrotnie wstawał, stał przygięty, wpierał się plecami w wieko, parł w nie, ile miał siły. Wiedział, że wieko nie puści, jak wola księdzowa. Ale w wysiłku z lędźwi, z karku, z ramion tryskała siła. Czul ulgę, gdy przysiadł z dygocącymi mięśniami. Lecz ulga ta mdliła go, chciał rzygać. Pótleżał, sapał, znów go ogarniał gniew, znów się tłuki w kleci, niby wróbel w skrzyni, znów ryczał w ciasnocie, stawał, wyciskał wieko, staniał się, klękał, siadał na łydkach, głowę schylał do kolan, bił twardym bugajowym łbem w drewno, stękał, mdliło go. Wtedy wstawał, wpierał się plecami w nieugięte wieko, gniół je do jęku, do mdłości, do upadku na własny gnój i mocz.

Przyszła zawierucha, bijąca wprost w Bugajową strzelnicę. Więzień przykląkł, przytulił twarz do otworu, otwór był mniejszy od twarzy, tylko usta i nos mieściły się w szczelinie. Więzień wdychał burzę, dusił go wiatr; Bugaj przymykał usta, znów otwierał, dmuchawa przepelniała go - wewnątrz,

płuca, kiszki - odsuwał się w głąb smrodu komory, znów przypadał wargami do burzy, znów pił ją, wdychał, wchłaniał, zagarniał. Odpadł w końcu niby po chmielowym piwie. I leżał długo, bez sił, słuchał dzwonienia wiei, uciszała się w nim nawałnica, wywiało zeń jego siłę; nie parł już wieka plecami. Półleżący słuchał.

Słyszał wiele. Wiatr gwizdał na zrębie. Deszcz skomlał po ścianach. Dalekie głosy ludzkie dobiegały z dołu. Nocą puszczykowym chichotem śmiał się z jego beziły niepomszczony stryk Niemił. Rankami kur piał. Krowy ryczały cienko by komary. Kornik ciął drewno w belkach. Stróżnik stukał po drabinie, potem dudnił nad głową, potem sucho piszczał skobel, wieko się uchylało tyletyle, burkliwy głos niewidzialnego człowieka:

- Dawaj miś - Bugaj wysuwał przez szparę, tamten wrzucał dwie garście kaszy, zaciskał skobel, tupał po drabinie. Potem kornik toczył drewno, deszcz zacinał lub wiatr pogwizdywał. Bugaj słuchał.

Z tego słuchania przyszły dumki. Wspomnienia. Dziewki, z którymi spał. Mdlity te wspomnienia, gdzie nie spojrzal - na wieko, w strzelnicę, na miskę - widział jedno: dziewczynską słabiznę. Bitki, na które wiódł ich Mieszka, rudą juchę tryskającą z ran, jęki i przekleństwa pobitych, skrzywione w bólu gęby, odrąbane dłonie, nogi, głowy, czerniejące skrzepie kałuże, ręce ubabrane na czerwono. Bugaj podnosił swe łapy, patrzył na nie z niedowierzaniem.

I w dumkach tych zaczęła gnici Bugajową siła. Szczelina w ścianie, szeroka na dłoń, bielala i ciemniała, bielala i ciemniała, bielala i ciemniała. Kąty kleci zawalone były gnojem, śmierdziało - to gniła Bugajową siła.

W Poznaniu Bolko pobit zwolenników Ody; wyprawił się na Jomsborg; wrócił do Poznania, później objeżdżał księstwo, ziemię Ślęzan i Wiślan; później bit z cesarzem Ottonem Weletów; wygnana Oda podniosła bunt Woj sława, którego poparł Bolesław czeski; Bolko zbił Woj sława, rozdarł go, wyprawił się na Czechy; zawarł przymierze ze Sławnikowicami; drużyna biegła z jednego krańca księstwa na drugi, szły dni upalne i śnieżne, mroźne i dżdżyste, szły miesiące i lata - a Bugaj gnił w komorze na wieży kruszwickiej. Zapomniano o nim, lecz on żył. Schudł. Dzika jego siła opadła mu na dno serca, nie wydzierala się już. Ściany komory dusiły rozpalonym upałem, pokrywały się srebrnym szronem. W drobnym wycinku wody, widocznym przez otwór wyrżnięty w tramie, odbijały się nocami trzy gwiazdy. Gwiazdy w wodzie mrugały. Bugaj godzinami wpatrywał się w trzy mrugające punkty - bez myśli, bez czucia, bez tęsknoty. Ej, Bugaj, Bugaj!...

Latoś jeździł Bolko na pogrzeb Czciborowy do Kołobrzegu, wracał na Jomsborg. Gdy wrócił, nakazał drogę przesiec przez puszcze pomorskie od Jomsborga do Poznania i Gniezdna. Brakło ludzi. Bolko posłał po grodach - wszystkie więźnie z dybów mają iść, drogę siec. W mglisty, dżdżysty ranek wywiedli Bugaja z wieży. Wszedł, wciągnął powietrze, zmrużył się od blasku, zachwiał się.

- Ruszaj! - krzyknął młody tarczownik; miał długą, wąską twarz, rumieńce na policzkach. Więźnie szli zataczając się. Niemrawili.

Aż zaszumiał las nad Bugajem. Zapatrzył się chłop w czerń świerków i czerwien sosen. Płuca napełnił ostrym zapachem smoły, odetchnął głębokim dechem puszczy. Po skórze mu przebiegł dreszcz wyzwolenia, wyprężył ramiona, szeroką dłonią przewiodł po wyparszywiających kłakach

czarnej brody 1 wąsów. Oczy miał przekrwione, patrzył dziko. Dali mu siekierę w łapę. Podstąpił do pierwszego drzewa, grunt był namokły, mszyska ugiwały się pod stopami, rozkosznie się ugiwały. Żywica wciąż wierciła w nozdrzach. Splunął w dłonie, ujął za trzon, zamachnął, stęknął. Od pnia przez żelazo, stylisko, dłonie, ramiona przeszło mu drzenie do barków. Drzenie życia. Wyprostował się, zahuczał - po puszczańsku, po bugajowemu. Znow poczuł w piersi drgawki życia i dzikości.

Wbijał się klinem w las. Zapamiętał się, zatracił, rozplynał w uginaniu się mszarów, w zapachu żywicy, mokrego igliwia, butwiejących pni, w pokrzykiwaniu drozdów i kuciu dzieciątów, w migocie kwiatów na polanach, w igraszkach łątek, w płochliwych ucieczkach jaszczurek po suchych wydmach jałowcowych. Gdy drzewo padało z łoskotem, grało mu w piersi. Odsądzał się od towarzyszy, burczeli ze złością:

- Leci kiej czajka.

- Wolniej no, Bugaj. Wól zawszony.

- W jamę cię znowu wezmą. Nie ujdiesz. Prędzej zrobisz, prędzej cię zamkną.

- Ej, Bugaj L.

Nie zważał. Nie myślał o jamie, o woli, o robocie, o księdzu. Wyładowywała się wieloletnia dzikość zamknięta w skorupie orzecha. Bił do późna wieczór. Wracił do ognisk z omdleniem w ramionach i lędźwiach. Zęby błyskały spod zarostu, bali się go. Włodarz go chwalił, Bugaj nie podnosił oczu, nic go nie obchodziły pochwały. Siedział przy ogniu, za ostro zarysowanym kręgiem światła stała zwarta ściana mroku. Mroku i strachu, i dzikości. Owym dzikim mrokiem oddychała Bugajowa dusza, piła swe wyzwolenie, zachłystywała się.

Byli już blisko połowy przesięku, gdy nadjechał Stojgniew Wojborowic z Zadorą - drogę oglądnać. Przesiek świecił za nimi prostą wstęgą, niby struga nieba, która się wlała w puszcę. Stojgniew wyprostował się na koniu, popatrzył na robotę, coś powiedział do Zadory, tamten się zaśmiał. Jechali stępą, włodarz dyrdał obok koni, twarz miał wzniesioną ku wielmożom, uważną. Na skrócie stała kupa drwali, dłonie wspierali na trzonkach toporów, gapili się na rycerzy. Stojgniew podjechał ku nim.

- Chyżo rąbcie - krzyknął, pogroził z konia pięścią. Odpowiedziało mu groźne milczenie, trzydzieści białek błysnęło ze spoconego tłumu.

- Jest tu Bugaj?

Tłum się ruszył, czarny olbrzym, stojący z tyłu, wdusił głowę w ramiona, wyszczerzył zęby.

- Bugaj! - wrzasnął włodarz.

Olbrzym przeparał się przez tłum.

- Tyżeś uczynił gwałt w Skotnikach, kiej Mieszka pomarł ?

Zatajona radość zadrzała w piersi Bugaja jak biedny ognek na moczarach.

- Jam ci...

- Ksiądz chciał ci głowę zdjąć, ale przepomniał. Nynie gniew minął, psia... Włodarz mołwi, chyżoś robotał, pierwszyś. I silnyś. Znaj łaskę księdza: chcesz do tarczowników wrócić?

Zataił się dech w piersi Bugajowej.

- Chcesz?

- Nie.

- Nie chcesz? - powtórzył zdziwiony wojewoda. - Do drużyny nie chcesz?

- Nii...

- Czegóż więc chcesz?

- W puszczy ostać.

- Durnyś - powiedział Stojgniew, gniewnie szarpnął powody, ruszył cwałem. W wieczór włodarz skoczył z pyskiem na Bugaja. Gdy się skłął, mruknął:

- Trzeba cię znów do jamy, jechał cię... Słysz, Stojgniew Wojborowic ostawił cię tu drogi strzec. Dostaniesz trzech chłopów, topory, sulice i łuki. Chatę pobudujesz, a pilnujże... - włodarz również pogroził Bugajowi pięścią.

Błękitna wstęga drogi dalej się przebijała przez puszcę. Bugaj ostał. Z trzema towarzyszami ciągał zrąbane tramy, stawił dom, okalał go częstokołem. Księdzową strażnicę nad pustą drogą, którą nikt jeszcze nie jeździł, po której jeno chmury komarów śpiewały cienkie pieśni i trzmiele burczały nad kwiatami. Wychodził przed chatę w poranki słuchać, jak drzewa gadają pod wiatrem; w południa - jak chmury szepczą ponad puszcą; w wieczory - jak słońce siecze czerwonymi ukosami po czubach świerków; nocami - jak księżyc szeleści o czarne obłoki. Od głosów tych cisza padała na Bugajową duszę. Bugaj bał się tej ciszy i bał się czegoś, co ją przerwie.

Aż tego dnia wyszedł Bugaj na Wielką Drogę, drogą pędził woj, pierwszy człek od miesiący. Bugaj poczuł, że dość ma ciszy i lasu, że tęskni do ludzi, do gwaru, do gromady - budziła się dawna siła Bugajową. Machnął ramieniem, krzyknął, tamten go nie dosłyszał. Woda z kałuż pryskała, sosny szumiały - woj poleciał. Bugaj zaczął kląć.

3.

- Śpiewałam wojenną pieśń Śliźniów - sarknęła Dziewanna. Wyszczrzyła zęby, krągła gęba pokraśniała z obrazy i gniewu. Lubusza siedział na pniu, tarł sobie kark dłonią, krzywił się w zakłopotaniu.

- Iście śpiewałaś - mruknął, skrzywił nos, mimo woli spojrzął ku rzece. Puszcza załała już wykarczowiska osadników, młodymi pędami dotarła do nurtu. Drzewiej była tam spora łysina, stały chaty, płonęły ognie jomsborskie. Lubusza nie lubił tamtych wspomnień.

- Stryju, jakże?... Rzeknijcie abo jak... - stuknęła gniewnie pięścią w kolano i znów splonęła.

- Wdowaś - odmruknął Lubusza. - Staraś. Białka jak się patrzy.

- Tfu! - splunęła - głupie bajbaje. Co myślicie? Będę długo skamlała?

Lubusza odjął rękę od karku, spojrzął na kobietę uważnie, w oczach jej migało wyzwanie; starosta Śliźniów poczerwieniał, osrożył się.

- Cóżes to, dziewczka? Czemuś zdjęła zawicie ze łba? A ówże wianek? - sięgnął gniewną ręką do jasnych włosów umajonych kwieciem. Dziewanna podniosła nagie ramię, dłoń jej plasnęła o dłoń stryja. Krzyknęła:

- Wara! Ani się ważcie!

Lubusza spojrzął na nią okrągłymi, sowimi oczyma. Twarz miał nieruchomą, jakby wyciosaną. Szerokie czoło przecięte pionową zmarszczką. Nawisłe brwi jak rosochate krzaki łoziny nadrzecza. Wielki, prosty nos, wiszący nad gęstwą wąsów. Wysunięta do przodu broda. I w tej twarzy - zaciętej twarzy Śliźniów - krągłe, łagodne, niepewne oczy.

Dawne to były czasy, gdy na polanie Giez wadził się ze starszym bratem. Szło o starszeństwo w rodzie. Dziad siedział na obrąbku pnia w chacie, grzał dłonie przed ogniem. Giez stał nad nim z szerokimi gestami rąk. Czarne cienie fruwały po czerwonych ścianach izby, załamywały się we wrębach między belkami, płomień ognia gorzał równo, chata była skąpana w purpurze. Dziad podniósł kamienne oczy na brata i wyrębał:

- Po mnie ostanie Lubusza.

Lubusza przykucnął w kącie izby, nogi podwinął pod siebie, skulił się by zbity pies. Giez podszedł doń dudniąc ciężko. Spojrzął. Wykrzyknął:

- Lubusza?!

Brataniec ledwo podniósł nań przestraszony wzrok. Dziad wysupłał:

- Starszy od cię.

- Ale niezguła! - krzyknął Giez. Lubusza skulił się mocniej. Dziad wyprostował przygarbione bary.

- A no!... - poszukał wzrokiem syna, oczy miał gniewne na widok mazgajskiego skulenia. - A no! - szczęka mu latała od gniewu. - A no! Głupi! Spróbujcie się.

Giez zrobił krok w tył. Rozrechotał się.

- Spróbujcie się! - krzyknął dziad. - Lubusza!

Syn się poderwał niby smagnięty. Giez skoczył nań z rozpędu, Lubusza stał rozkraczony, nie zachwiał się. Giez chwycił bratańca za ramiona, szarpnął, zatoczyli się szczeni po izbie, niby dwa samce niedźwiedzie wodzące się na skraju puszczy. Posypały się misy z policy. Zatoczyli się w ogień, stracili dziada z pniaka, rymnęli w kącie, kulali się wzdłuż i wszerz, sapiąc, stękając, charcząc z wysiłku i z wściekłości. Naraz Lubusza poczuł palcami nóg oparcie. Wparł się stopami w róg izby, wyprężył się, zachwiał Gzem, nawalił się na stryja, przydusił go, przygiął do ziemi, objął ramionami, leżał na nim, sapali obaj wyczerpani. Dziad z wolna, nie śpiesząc dorzucił do ognia choiny, załomotał ku walczącym, stanął nad nimi, patrzył chwilę.

- Lubusza! Puść stryj ca!

Syn posłusznie wstał, powlókł się znów w swój kąt, znów tam przysiadł. Giez zerwał się prędko, czerwony, dolna warga mu drgała. Dziad siedział już na swoim pniaku, kołtuniasty łeb wsunął w kozuch, grzał ręce. Wolno podniósł oczy na brata:

- Co mołwisz? Nie ułomek? - i nagle zazgrzytał ukrytym, piersiowym śmiechem. - Utrzyma cię? Jak myślisz?

Lubusza nie zapomniał stryjowej przekpinki:

- Utrzyma mię? Toć gniłek! Nie wieszli: krze rwać z korzeniem zdoła, mieszkę udusić zdoła, łuk choćby najtęższy złamie. Wždy spotka się z człowiekiem, otrok to, boja się, kuli. Niezguła! - i wyleciał w czerń nocy.

Dziad siedział pochylony, przygarbiony, nieruchomo patrzył w płomień. Słowa nie rzekł - sam winien był synowemu niezgulstwu, złamał go. A nynie?...

Gdzieś w głębi, w tajnych zakamarkach, we wnętrznościach, w dołku między żebrami, zawsze trzepotał się strach, ilekroć Lubusza się starł z cudzym wyzwaniem; skoro ugiął się raz, nie mógł się już wyprostować. I choćby to było wyzwanie chłopca lub białki, oczy się mu robiły okrągłe, sowie, głos się chwiał. Dziewanna patrzyła nań wciąż nieulekłymi ślepiami - wstrętna dziewczka, tfu!... Białka, nie dziewczka - aa! suczka z zakręconym chwościkiem, pofruwajka!

- Dzieci nie mam - warknęła - mogę chodzić by dziewczka.

- Chłopa miałaś.

- Abo to dziewczki nie mają chłopca. A płomień sobotni? Nie wiecie to? - parsknęła krótkim chichotem.

Lubusza znów zaczął trzeć kark dłonią. - Zwolicie to ?

- A skoro nie zwolę?

- Będę się to pytała. Ale lepiej zwólcie. Radzę wam po dobremu - w słowach jej czuć gniew, głos rósł, zmieniał się w jazgot. Lubusza skrzywił się, wstał, wyszedł przed chatę.

Objął wzrokiem polanę, pociętą polami, z dębem Śliźniów pośrodku, objętą kręgiem puszczy niby zaczarowanym kręgiem jego życia. Odetchnął głębiej poczuciem swojszczyzny i znów się skrzywił. Prosto przed nim świeciła w zwartej ścianie puszczy jasna szczyrba Wielkiej Drogi Bolkowej. Kłębiły się nad nią białe kule obłoków. O Dolo!... Tędy przybyli ongiś pierwsi osadnicy, którym dziad zwolił trzebić las za rzeką, tędy przykarabskał się kosturowaty kulawiec Kuternoga, wlokący za sobą kikut nogi i przekleństwo swych nieszczęść. Tędy uciekała drużyna jomsborska i tędy odszedł Giez, uniesiony niepohamowaną żądzą wyrwania się z zaklętego kręgu polany. A potem szły lata ciszy i samotności. Woły ciągały sochy po roli. Drzewa mały się wiosną, złościły jesienią. Klucze dzikich gęsi krzyczały pod niebem w odwiecznej wędrówce na północ. Głęboko oddychała ziemia. Straszły Złe, pod dębem o północy zbierały się dziady Śliźniów na wiece. Rodziły się czerwone, niewidzące niemowlęta, a wysuszeni starcy o kaprawych oczach i ciekących nosach odchodzili do dziadów. Chłopcy rechotali i bili się o dziewczęta, dziewczęta pięknie umajone chodziły parami, oplótlszy się ramieniem. Lubusza patrzył co dzień na owo wieczne tętno Ziemi, i wszystkich dzieci Ziemi. Łagodną dłonią rządził plemieniem polany i chadzał pod dąb na grób rodzica swego. Smółka tam pachniała i cząber.

- Rankiem przyjedzie Wielką Drogą. Na koniu. Co mu rzekiecie?

Nie odwrócił się na głos Dziewanny, nie drgnął, oczyma dalej wodził dokoła. Pod sercem czuł wciąż niechęć, nieufność, lęk i gniew. I żał: wywleczono Śliźniów z ich odosobnienia, niby rybę bijącą się na wędzie z głębin rzecznych. Wielka Droga Bolkowa, Wielka Droga!... Nie żyć już Śliźniom odciętym puszcza od świata. A do owego dalekiego, przeto obcego, przeto wrogiego świata: i gniew, i lęk, i niechęć, i nieufność.

- Rankiem przyjedzie na koniu! - krzyknęła za nim Dziewanna.

Nie odrzekł nic. Ciężkim krokiem wyszedł poza obejście, patrzył chwilę, jak Żarek próbuje orać ojcową parą wołów, podszedł doń, odsunął chłopca, zmacał grądział, pochylił się, poszedł za wołami przygięty, przywalony ciężarem świata, który się stoczył w ciszę polany. Skiby się odchylały, równo, miękko, przykrywały się wzajem w pofałdowaną, kojącą płaszczyznę. Pod niebem dzwoniły szare, niewidoczne dzwonki. Daleko, daleko Wielką Drogą pędził na koniu woj, woda z kałuż pryskała, sosny szumiały. Lubusza orał parą wołów.

Onże namawiał ją: "Pójdź ze mną". "A kajże, Strzesko, kajże pójdę?" - "A na lasy pójdziem, na wody, na rzedlice, a no na plesa... Tamok miłować się będziem, milutka moja".

A była ci ona wróżką, wieszczycą, siódmą córą. Z zębami się urodziła....

- Nie bajajcie bajubaju, babo - zawołała Dziewanna. - Wzdym nie dziecko.



Stara wlepiła w nią szklane, niewidzące oczy:

- Dzieckoś... Prawe dziecko - postukała kosturem - po cóżeś przyszła?

- Szukam rady...

- Szukaj sromu - baba trzęsła głową, marniała wargami - do chłopca ci się ckni.

- Ckni.

- Głupia. A stryj co ci rzekł?

- Przegnał mię.

- Pokłóńże się zwiernicy, kosy weź w palce a kubeł wody postaw przed się, a wrzućże węgiel czerwony z drzewa brzozonego. A pokłóń się zwiernicy razy trzy, kiej słońce zajdzie, a zwiernica błyszczący nad brzozą. A powtórz razy trzy:

Odejdź ty ode mnie gryzisko,

odejdź ty, lichoto, odejdź precz,

zwiernica, zwiernica, zwiernica -

pomóż, siostrzyca.

Obie siedziały nisko - nad rzeką, stara moczyła czerwone, spuchnięte nogi. Trawy za nimi wybijały wysoko, chwiały się pod wiatrem. Słońce prażyło. Dusił upał lata, traw, błota. Woda rozlewała się płasko, cicho, świeciła plamami, zielenią traw, błękitem nieba, bielą obłoków, głębokim cieniem bagna. Bezszelstne zygzaki nartników ślizgających się długimi susami. Gęste brzęczenie much. Trzepotanie się łątek o przezroczystych skrzydłach. Szalony ćwierkot ptaków nad głowami. Dziewanna kolana podciągnęła, oparła się o nie łokciami, twarz ujęła z obu stron w dłonie, zadumała się, zasłuchała. Baba burczała pod nosem, razem ze strugą. Dziewanna roztopiła się w półszmerach, półgwarkach rzeki i starej. Odpląnęło od niej podniecenie. I wieczny bunt, beznadziejny bunt białki. Bezmyślnymi oczyma wodziła po plamach światła i cienia. Pod stopami, pod siedzeniem czuła wilgotny żwir nadrzecza. Wyrastała z tego mokrego żwiru, jeszcze jedna płonka w rozbujającej, tryskającej z ziemi sile życia. Szpak przyleciał na krzew po tamtej stronie, kręcił czarną głową dokoła, zerkał czarnymi paciorkami, krzywił łebek, podskakiwał. Jaskółki płasko opadały nad samą wodę, sunęły cichymi kręgami. Chłód wody płynął ożywczo przez chore nogi starej do kolan, do serca. Ciągle brzęczały muchy, ćwierkały pasikoniki. W takiż upalny dzień Dziewanna ujrzała kiedyś na tamtym brzegu czarne sylwety jombsborskich zbójów na tle popielatego od upału nieba.

Lubusza nie chciał Nowego, nie lubił odmiany. Dwoje ich miał buntowników - Gza i Dziewannę. Giez uciekł precz z polany, Dziewannę oddał Tomkowi. Bijał ją Tomek w chacie, nie ugiął, aż samego przywalila sosna w boru, zmarł w trzy dni. Wkrótce potem Lubusza poszedł w las sidła stawić, tam usłyszał stuk toporów - Bolko przebijał Wielką Drogę.

Rozwalili się po chatach Śliźniowych, żarli jadło, zaczepiali dziewczki, śpiewali wieczorami obce pieśni. Włodarz imieniem Piekuta rozgościł się w Lubuszowej chacie. Gadatliwy był. Lubusza siedział nastroszony, nieufny, niechętny. Słuchał.

- Ksiądz nakazał grody stawiać w ziemi Ślęzan. Tamok jest rzeka wielka, zwą ją Odra. Mnogo luda zegnali, a podwoły, a woły, wciąż tramy ciągnali. A był ci tam Niemiec, miał czerwony łeb, a zdołałby każdemu tramowi, choćby najcięższemu. A ksiądz przyjechał i mołwi: mało luda, bolej zegnać. Księdzu ciągiem mało, to i przezwali ji: Bolesław. Jeszcze i tu przyjdzie.

- Kaj ? - Lubusza słyszeć nie chciał, wierzyć nie chciał.

- Tu. Do Śliźniów.

- Lelum!

- Cóżeś myślał?

- Górze! Górze!

- Dureń. Wszytka ta ziemia księdza. I ludzie.

Lubusza czuł, jak duma w nim rośnie, zalewa nieśmiałość.

- Śliźnie ludzie wolne!

- Ha ha ha! A wolnych na przesiek dasz!

- Nie dam - głos Lubuszy twardniał, stawał się ostry, dziadowy, Śliźniowy, nieLubuszowy.

- Dasz! Rankiem.

Lubusza czuł, jak duma w nim rośnie, zalewa nieśmiałość.

- Nie dam.

Piekuta był niski, krępy, mocny w sobie. Twarz miał małą, twardą, mięśnie w niej chodziły jak u drwala na plecach. Wyciągnął zza pasa zacięty kij, znak księdza. Lubusza ścichł. Nazajutrz Śliźnie poszli rąbać przesiek. I Lubusza. Dano im ogromne topory - nie widzieli potąd tylich toporów; a trzonki jakie!... - lelum, bolej niżli na pół chłopa wysokie. Cięli nimi do pełni. Śliźnie słuchali gadek, śpiewali nowe pieśni, Lubusza czuł wciąż niechęć, jakby waliło się wszystko, czym żył dotychczas. Nie siedzieć już Śliźniom w puszczy, ci przybysze - iście zbóje jomsborscy. A Śliźnie nie pojowali snadź, że koniec już ich ciszy i odosobnienia.

W tym to czasie polubili się włodarz Bolkowy Piekuta z Dziewanną.

Przesiek poszedł głęboko w las na północ, ku Jomsborgowi. Nie dochodził do polany stuk toporów. Śliźnie wrócili do siebie, chodzili ociężali jak po sycie. Lubusza gnał ich do roboty, niecierpliwili

się. Sam przysiadł często, zamyślał się, czuł wciąż niepojętą, złośliwą niechęć. Oby nie przychodzili na polanę, sucze dzieci. A włodarz, psie nasienie... - ten był najgorszy.

Włodarz rzucał robotę, raz po raz przyjeżdżał na polanę. Konia miał białego, rude cętki znaczyły się mu na bokach niby piegi, znak starości. Chłopcy się zbiegali z całej polany oglądać dziwo: przedtem raz tylko widzieli wojackiego konia, gdy Giez przyjeżdżał. Włodarz się włóczył z Dziewanną całe dni. Widziano ich, jak chodzili na skraju puszczy objawszy się ramionami przez plecy; jak siadywali nad rzeką wspierając się o siebie czołami; jak on leżał w gęstej trawie, a ona palcami wodziła mu po włosach, podejrzewano, że lubili się, gdy nurkowali między paprocie sięgające im pasa, między kalinę, czeremchę i głóg. Baby latały z jazgotliwymi jęzorami do Lubuszy. Lubusza chmurzył się, milczał. Po każdym odjeździe włodarza przybiegała Dziewanna, miała czerwone wypieki na twarzy.

- Zwolicie, stryju? - Milczał. Nie dawał pozwolenia. Zaciął się.

Wielka Droga dobiegała skraju puszczy. Drwale słyszeli już szary szum morza łączący się z szumem drzew, wolno się wspinali na obły pagórek, ze szczytu między drzewami rozbłysła przed nimi nie kończąca się przestrzeń jasności. Bliżej zieleniła się podmokła łąka, żółcił się piasek, a dalej - ono: ni sine, ni błękitne, ni szare, ni białe, ni zielone, ni złote - przelewające się, różnorakie, nieskończone. Oparli się na trzonkach, dychali dziwną, straszną dałą. Wełny szły ponurymi szeregami, złoszcząc się, pieniąc, szczerząc zęby. Cisza padła na bór. Tylko dzieciół stukał nieprzerwanie: tuk tuk, tuk tuk, tuk tuk.

Dziewanna wybiegła przed chatę, nie obejrzała się. W rękę niosła tłumok; im dalej była od domu, tym krok jej wolniał, ale nie tracił pewności. Przebiegła polanę, zagłębiła się w szczerbę przesięku. Obrąbki pni sterczały złote, trzymały się mocno ziemi rozcapierzonymi paluchami korzeni. Tramy ściągnięte w bok, zwalone w beładne kupy. Było przed świtem. Mgły wisiały na konarach drzew, ściekały po pniach, snuły się po gęstym podszyciu. Zając przysiadł w środku przesięku, podniósł się na skokach, przednie łapy zwiesił, nastroszył słuchy, rozglądał się. Jak kamień spadł nań jastrząb. Puszcę nappełnił płacz zajęczy, szarak poderwał się, jastrząb wbił mu w kark szpony, dziobem próbował uderzyć w głowę - zaszumiało, wpadli w gąszcz, płacz zajęczy ucichł. Dziewanna przysiadła na pniu, serce jej biło. Zła wróżba. Bez myśli zrywała kwiecie, wiała wianek. Doszła do czoła, kwiaty wysunęły się jej z rąk, spadły do stóp: "Wzdy wie już, iżem nie dziewczka, a kiej weźmie w łożnicę?..." Zaplotła ręce przed kolana, czekała.

Długo czekała, luby pędził ku niej, niemałą miał drogę. Słońce załocilo się po czubach sosen, zaspanym okiem zajrzało w przesiek, pełzło wyżej, nappełniało z wolna las upałem, wonią roztopionej smoły, brzękiem much i pszczoł. Mrówki biegały pracowicie między igliwem. Pająki drzemały bez ruchu, motyle żółciły się, bieleły, czerwieniały. Dziewanna siedziała jak kamień. Naraz podniosła głowę, chwyciła nie dokończony wianek, szybko wiązała, palce migają. Ledwo zdążyła go włożyć na głowę, nie przygarnęła włosów, wypadł on na swej białej, piegowatej klaczy. Nie zerwała się, oddychała szybko, otwartymi ustami, jak ptak lub dziecko. Dopadł jej, w biegu skoczył z konia, poderwał ją z pniaka, poczuła się zmiażdżona w jego krępych uścisku, opadła bez sił. Posypał się gorący deszcz słów.

- Dziewanna!

- Mójżeś ty!
- I co? Zwolił?
- Nii...
- Stary grzyb.
- Och!
- Wezmę cię i tak.
- Weź.
- Przesiek Bolkowi przebiłem. Zwoli i obdarzy.
- Bierz mię.
- Nie bojasz się?
- Jam ze Śliźniów.

Pusty przesiek Wielkiej Drogi pełen był zapachu tającej smoły, brzęku much i pszczoł. Mrówki biegały pracowicie między igliwem, pstrokaciły się motyle, pająki nie drgnęły w swych sieciach. Ale na ściętym pniu nie było już samotne, buntownicze serce. Stara klacz stękała w szybkim biegu z podwójnym ciężarem. Ziemia i drzewa uciekały w tył... w tył... w tył... Lubusza próżno pytał, kaj się podziała Dziewanna. Wielką Drogą od morza wracała spocona gromada drwali, śpiewali na całe gardło:

Ej, szumi czarny bór,

Ej, czeka dziewczka w boru...

4.

Siedzieli pod lipami; dwie rude sarny zawieszono na niskiej gałęzi, chłopcy je obłupywali, ogniska już płonęły. Słońce migotało złotymi plamami przez gałęzie, rozwalili się na trawie, Jeź podciągnął długie piszczele, przewrócił się na drugi bok, wyciągnął rękę z kubkiem, stęknął do Boruty:

- Słysz, Boruta! Zaczerpnij piwa.

Boruta skosił oczy, wyciągnął rękę, wziął kubek, napełnił go piwem, wypił. Jeź leżał z zamkniętymi oczyma, mruczał do siebie, czekał. Boruta znowu napełnił, znów pił. Świętek klócił się z Dobroszem Ostoją:

- Mołwię ci, trza było rozciąć.

- Eee!

- Nożem rozciąć.

- Klacz sama rozerwie zębami.

- Abo rozerwie, abo nie. Zawždy trza pilnować.

- Pilnowałem. - Dobrosz tarł dłonią zarośnięty podbródek. Świętek leżał na brzuchu, podparł się jeno łokciami, brodę złożył na pięściach:

- A gdy zasię pozdarzy, że źrebię leży w worku nie rozerwanym, klacz na drugim boku, co wtedy? Bywa tak: klacz ciąga się długo, źrebię nie zawždy głową idzie, bywa abo tyłkiem, abo bokiem, abo nogami.

- Bywa, bywa - Jarowit podniecił się, podniósł - pomnę, raz...

- Cichaj...

- Czekałta...

- Co tegdy? - krzyczał Świętek - zrodzi się w worku, woda nie wyjdzie, wór cały, a klacz sił nie ma lizać ni gryźć. Zdusi się źrebię w worku.

- Zdusiło się. Para była.

- Para? Słyszycie: dziwo.

- Jeden mały-malutki, ten ci by nie żył. Drugi wdzięczny, rozrosły i zdusił się. Klacz wora nie rozdarła.

Zadora słuchał milcząco, poderwał się, szeroka gęba sczerwieniała, w gębie błyskały rzadkie zęby. Krzyknął:

- Kłamacie abo jak, głuptaki oba dwa. Nigdy klacz nie drze worka, kiej rodzi. Bajbaje to.

Posypały się bezradne krzyki:

- Zawždy rwie. - A jakoże?

- Liże jęzorem, a chyci zębami i ozedrze.

- Cichajcie! - Zadora wrzasnął - nie tak! Worek źrebię rozedrze nóżkami. Mało co dwadzieścia klaczy widziałem, kiej rodziły. Zawždy kopytkami worek ozedrze. Toć w worze onym wody ze trzy cebry: obacz jaka to klacz gruba chodzi przed źrebieniem. Kiejby worek nie pękł, jakoby źrebię wyszło? Świętek zamilkł: prawda - nie widział rodzącej klaczy. Słyszał gadki w drużynie, mało-wiele się o to spierali - ważna to była sprawa: narodziny źrebca, wždy ot!... - nie zdarzyło się, by sam mógł obaczyć. Chciał być wojem starym, chytrym, teraz przycichł. Ostoja tarł wciąż podbródek garścią, drugą ręką chwycił za przegub Zadory:

- A wždy mój źrebak miał worek na głowie i martwy był.

- Dureńś, worek trza było zdjąć, to insza. Przez łeb ściągnąć.

Jeż odemknął oczy, burknął:

- Kiej złym okiem wśad nie umorzy, źrebię rodzi się zdrowo, inakszy nii... - i nagle: - Boruta! A kaj to moje piwo?

Boruta skosił oczy, obrócił kubek do góry dnem:

- Gąszcze samo w kadzi ostało.

Jeż się skrzywił, powiódł wkoło czerwonymi ślepiami:

- Widzita ji: gąszcze. A sam wypił. Zawždy z nim tak. Kajś nachodzę ji, a głodny byłem, cały dzień chodziłem bez zarcia, patrzę: Boruta mięso ćka. A kawał wielgi. Mołwię mu: "Boruta, daj no mięsa". Jenż skosił oczy, žre a žre i rzecze: "To nie mięso, to wątroba". Ja mu: "Złe na cię, daj wątroby". A Boruta: "Już ino same kości ostały". Słyszycie? kości mu z wątroby ostały.

- Ha ha ha!

Boruta przeciągnął się jak kot.

- A bo Jeż ino ciągiem: daj i daj. Mięso daj, wątroby daj, piwa daj. Kaprawe ma oczy, a co kto w gębę tka, zawždy dojrzy.

- A ty kości w jęzorze nie masz.

Sarny się dopiekły, zdejmowali mięso z roznów, krajali je, rozrywali na kawały, pchali w gębę. Wokół mlaskanie, a siorbanie piwa z kubków. Odrzykoń spytał między kęsem a kęsem:

- Wiele zwierza dziś?

- Dzików siedem, saren czternaście i żubr. A Nielub ogon wilka ubił.

- Nie może być.

- Jakże: wilk przemykał boczkim, chyłkiem, po wilczemu. Nielub na brzegu stał, puścił oszczep, tylko w ogon wilczy trafił. Patrzyli wszyscy: kłaki na ostrzu są, koniec ogona, dalej nic.

- To pomnę - Jeż usiadł, znów kolana objął ramionami - u nas dziewczka wilka kiecką ułowiła.

- Jakże to?

- A no! Podszedł wilk nocą do kleci, w kleci owce, górą dziura, pokręcił się wilk, pod oknem chrust leżał, wlaź wilk, hyc! do kleci. Podusił owce, a wyjść nie ma jak. Kręcił się wilk, kręcił, przysiadł, czeka. Rankiem białka niesie do kleci siano: ledwo zaworę odłożyła, kiedy skoczy wilk, zwałił białkę, a nosem pod ruszycę, zaplątał się w płótnie. Białka wrzeszczy, wilk bije łapami, gryzie, ludzie nadlecieli, dopiero wilkowi w łeb kłonicą, kłonicą, ubili. Białka pięć dni leżała z onego strachu a ran.

- Ha ha ha!

Upał sączył się przez rozgrzane lipy, napełniał mięśnie znużeniem i śpikiem. Nazarci, napici, układali się na murawie. Gwozd spytał:

- Odrzykoń! Rankiem znów w puszcę?

- Masz dość łowów?

- On - burknął Boruta - nie umie nic dalej, co tylko wnurzywszy łeb w ceber, jedno się w barłóg po uszy zagrześć.

- Cichaj. Dumam jeno, że Bolko nową wyprawę powiedzie.

- Kaj?

- A no - Odrzykoń siadł - to powiem wam. Jako się Wrszowce z synami Sławnika pobili.

- W Czechach?

- W Czechach.

Potoczyła się gadka-opowieść. Ogarnęła ich ssącą tęsknotą, cierpkim zapachem dalekich ziem i ludzi, tajemnicą nieznanego świata. Uciekali - zasłuchani w obce sprawy, w cudze dzieje, w porywy namiętności, w splątana nienawiść z miłością - od codziennego piwa, łowów, żartów, ćwiczeń, wypraw, mordy; to "kędy indziej" było lepsze, było bardziej upragnione niżli szara przędza codzienności, budziło nieznaną głód.

Inne, inne - czarodziejskie. Świat pełen czaru i uroku. Świat dzikości i dziwu. Świat.

- Młada! Młada!

Kobieta udała, że nie słyszy twardego, chropowatego głosu. Stała przy ogrodzeniu z żerdzi, dłoń się jej tylko zacisnęła mocniej, aż kostki napiętki zbieleły. W zagrodzie pasło się osiem koni. Jabłkowy źrebiec cwałował wkoło z rozwianą grzywą i odstającym ogonem; kark miał wygięty, łagodny a silny, jak przedramię dziewczyny. Stał, zarył się kopytami w miejscu, uniósł łeb o rozdętych chrapach, błysnął wilgotnym, wypukłym okiem, zarżał; radość ziemi drgnęła w tym rzeniu. Od lasów kukła zuzula.

- Młada! Młada!

Nie drgnęła, tylko się jej wąskie plecy ściągnęły, łopatki zarysowały pod ciasnochą. Patrzyła nad końmi w bór. Rzeka szumiała. Piaszczyste urwisko z tamtej strony rzeki było białe w słońcu. - Nienawidziła tego lasu, urwiska, łąki, stadniny. Tego twardego głosu nienawidziła.

- Młada!

Obróciła się ostro, szła mocnym pewnym krokiem. Była wysoka, jędrna, mięśnie jej grały na łydkach i ramionach, jak u łani. Nie miała głowy łani, miała głowę nieustraszonego ptaka, z wyzwaniem w długich oczach. Piersi falowały gniewem. Nie zawahała się przestępując próg, drobne wargi wyciągnęły się, wygięły ku dołowi z jawną wzdargą. Przyszła do męża, nie opuściła oczu przed jego wściekłością.

Otworzył usta jak ryba i ścichł natychmiast. To ją gniewało zawsze - owo ścichanie. Popatrzyła nań wzgardliwie, z góry, nie jak uległa małżonka, jak pani. Pogarda wydarła się jej w bezwiednym okrzyku:

- Twój stryjec zabiłby mnie już. Zabił.

Siedział na ławie, prawą dłoń oparł na stole, gmerał palcami. Musnął ją spojrzeniem, owym psim skomlącym spojrzeniem, którego nienawidziła. Głosem zgaszonym wyznał:

- A ja? - zdawał się dumać chwilę. - Nie mogę, nie mogę.

Końce jej warg obniżyły się jeszcze bardziej, patrzyła na płową czuprynę, jasny wąs słabego człowieka, który był jej panem. Jemu z wolna krew napływała do twarzy, znów ogarniała go pasja, dźwignął się od stołu, charknął:

- Hańbisz moje imię, ty...

Meł przekleństwo, nie wypluł go w nieustraszone oczy. Spotkali się wejrzeniem, jego bezsiła wyrosła znów w wściekłość, zaczął ją naraz prać, pięścią, nie bacząc, w piersi, w głowę, w kark, w ramiona. Zachwiała się pod ciosami, dłońmi osłoniła twarz, przygięła się, krzyknęła:

- Ty... - cała nienawiść i cała wzdarga zagrała w owym niedomówieniu, jakby nie znalazła dość



dosadnego przezwiska, które by mogło wyrazić jej uczucia. Od razu przestał bić, osunął się znów na ławę.

- Mlada... - jęknął.

Podniosła się, siadła naprzeciw. Pod lewym okiem czerniał siniec, oko nabrzmięwało, puchło. Była brzydka z tym okiem zalanym, z prawym utkwionym uparcie w twarzy męża.

- Mlada, słuchaj ty... Bolesław wzywa Wrszowców na wiec, trza jechać... słuchaj mnie, Mlada...

Znów gniew go porwał, uniósł pięść, zachrypiał swym twardym głosem:

- Mlada!

- Ubij mię! - odrzekło nieustraszone spojrzenie jednego jej oka.

Wstał, sięgnął po napierśnik, jał go nakładać. Mlada podniosła się, wiązała rzemienie na ramionach, z boku i pod pachami. Zaciągnął pas, zasadził szeroki miecz niemiecki, szłom osadził na głowie, sięgnął po tarczę. Obrócił się jeszcze do żony i znów mu w oczach zagrało owo skomlące błaganie.

- Ostawaj z Jezu Krystem - wydusił z trudem.

- Z Jezu Krystem - odrzekły mu wygięte w dół wargi. Słyszała tętent koni odbiegających od domu. Potem okrzyki chłopców gnających bydło. Klekot bociana, zbożnego ptaka, dusiciela wężaniecnoty. Baba przeszła przez sień, wiecznie zrządzająca i zła. Znów cisza przedwieczera. Słońce przesunęło się na zachód, szcerwieniło, wśliznęło się drgającym promieniem przez otwarte wierzeje. Świerszcze cykały. Sień zalał cichy, fioletowy cień. Mlada siedziała przy stole, z twarzą na ramieniu, przygięta i złamana; jak ucięty kosą szczaw koński. Nie szła do roboty. Nie miała chęci na nic - nawet biec k'niemu. Czymże ją zniewalał ów otrok? Czym ją odpychał mąż? Ach, ubiłby ją, ubił, lekcej by było. Nynie?

Uleciała myślą do rodzimych gór. Jak w jeziorach górskich odbijały się w jej myślach ostre szczyty, szumiące ciemnią boru. Chłopcy skakali haj! nad ogniem, bili nogami w przysiadach, maczugami okręcali wokół głowy. Rękami uchwyciwszy się za duże palce u nóg przesadzali strumień, śmiali się chropawo. Grodzisko ojca uczepione było skały; wychylisz się za ostrokół, tam stromizna, w dole potok burczy. Orły kołują cichym kręgiem. Las szumi.

Oddali ją Wrszowcu za żonę do Pragi czeskiej. Lepiej by ją z kamieniem stręcili ze stromizny, w burczący, wściekły potok.

Cykają świerszcze w przedwieczere.

Liliowy cień otula człeka tęsknotą.

Na jabłkowatym koniu jedzie Wilk Wrszowiec na wiec do Pragi. Myśli o żonie - czy ostanie doma tej nocy. O hańbie swojej myśli. Trza ubić białkę, a nie Iza.

Przekrada się kleryk biskupa praskiego Adalberta, czyli Wojciecha Sławnikowica. Przysiadł między leszczyną, kuka, wabi.

Porywa się Młada Wilkowa, drżącą ręką poprawia rańtuch, ruszyce.

Powiew niesie zapach czeremchy, mdły i miły. Płaty kwiatów opadają niby więdnący śnieg.

W górach chłopcy pędzą trzody, hukają nad dolinami.

Krew płynie w ciele rozpalona i zła. Dumki snują się rozpalone i złe. Poprzez wrota, poprzez kładkę-pień na rzece, przez szuwary i trzciny biegnie zadyszana żona Wilka Wrszowca. Rosa moczy jej łydki i kraj sukni. Kleryk Adalbertowy leży na grubym mchu, pod dębem, kuka i wabi.

Czeremcha pachnie.

Odrzykoń gładzi długie wasy, stoszy brwi pod łysiną, wieździe bajkę o żonie Wilka Wrszowca, onaż cudzołożyła z klerykiem. Wkoło zasłuchane gęby wojów. Słońce kapie płatami z liści czterech lip. Płynie opowieść o zagładzie rodu Sławnikowiców.

Gdy przed trzynastu laty umierał Dytmar, pierwszy biskup praski, zgromadzony tłum patrzył rozwartymi szeroko oczami na mękę konającego. Ksiądz Bolko Srogi rozsiadł się w karle, nogi rozstawił, dłonie wsparł na kolanach, pochylił się do przodu, szeroką twarz wykrzywiło mu zdumienie i trwoga: nigdy takiego zgonu nie widział. Dwaj starsi Wrszowce wsparli się o siebie ramionami, sapali głośno. Sławnik opierał się o ścianę, podle jego synowie: Sobiebor, Spicimir, Pobrasław, Poraj, Radzym i Czesław. Wojciech, który się sam w Magdeburgu przezwał Adalbertem, wcisnął się w głąb izby, między kleryków i kapłanów. Trząśł się. Oczyma przywarł do leżącego na futrze biskupa w rozchełstany mlianym giezle, które szarpał pazurami, rwał, chwycił za włochatą pierś, bił pięściami, jęczał, rzeził, wyprężał się w łóżnicy, cichł z zamkniętymi oczyma; oddech mu chrapał w gardle, chory ciężko łapał powietrze, zamglone oczy zwracał na czekających jego śmierci. Wbił wzrok przez moment w suchą, cierpiącą twarz Wojciecha, powiódł po izbie, ześliznął się po księciu (Bolko skurczył się pod tym wejrzeniem przekrwionych, zapadniętych oczu), po twardych twarzach obu Wrszowców, po Wojciechowym ojcu, starym Sławniku, napotkał wzrokiem krzyż wiszący na ścianie, przypodniósł się na łokciach, zacharczał:

- Zakryjcie Jezu Krysta! Niechże nie patrzy tak na mnie! - i nagle iście kogucim, zarzynanym krzykiem:

- Potępiony! Potępiony!

Stojący tuż u łoża z księgą w ręku kapelan biskupi, o długiej, łysej głowie, z bojaźliwymi oczyma, wyszeptał:

- Spera in Deo, guoniam adhuc confitebor Uli: salutare vultus mei et Deus meus.

Biskup spojrział w te bojaźliwe oczy, znów na krzyż, znów na kapelana, spieczonymi wargami jął powtarzać:

- Spera in Deo... - aż nagle:

- Przeklęty! Przeklęty. Widzicie ich... szatanów... duchów czarnych... pod powałą... tam... tam... w rogu... w cieniu... Rwą mię do piekła biesy... dajcie świec... świec... światła... ooo!

- Módlmy się - krzyknął kapelan - na kolana! W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego... Exorciso te, Sathana...

- Aaa! Aa! Aaa! - krakał biskup.

Kłęczeli wszyscy, klerycy plackiem padli, Wojciech z nimi. Czuli obecność ich, duchów złych. Chory rzęził, rzucał się, rzęził, cichł, chwilę wisiała martwa, ciężka jak żelazo cisza, tylko przerażone serca łomotały, przerwał ją znowu krzyk biskupa:

- Czemu światła nie dacie? Aaa! Widzę ich, przeklętych. To na mnie! To za was. Apage! Apage! Cóżem robił, nieszczęsny! Przeklinam swą opieszałość w nauczaniu ludu czeskiego, który mi Pan polecił w pieczy mieć. Nie strzegłem. Nie karałem karami srogimi ni męką. Nynie duchy złe... aaa! światła!... Jakiż ten mój lud, Panie Jezu, jaki ten lud?! Sprośność i pochucie mu prawem, jedynym prawem. Nie powściągnąłem go od zbrodni, od samowolnego upadku. Dotąd nic innego lud ten nie umie, jak tylko, co mu palec szatana w sercu nakreślił. A teraz one na mnie... duchy czarne! Jezu! Jezu!

Świetlica pełna była przerażonego sapania przypadniętych do ziemi. Lata mijały, a gadka o tym strasliwym skonie biegła a biegła, rosła, bojaźnią napełniała ludzi. Odrzykoń umilkł, spojrzął po zasłuchanych wojach, krzyknął nagle:

- Rozdarli ji w on czas biesy na kawałki. Poniosły. Milczeli pod złotymi liśćmi lip. Naraz Świętek wykrzyknął przerażony:

- Rozdarły?!

Przerażenie to było jeno dalekim śladem owego niesamowitego lęku, który dusił klęczących przy trupie Dytmara, pierwszego biskupa Pragi.

Wojciech modlił się przed krzyżem, ramiona miał wyciągnięte:

- Jezu Chryste, nie daj umrzeć, jak on umarł, Dytmar, mój poprzednik. Przeczzem usiłowałem podnieść lud czeski, iż mi dałeś Jezu Chryste. Wždy wiesz: nabożeństwa odprawiałem, uczyłem lud w mnogich kazaniach, więźniów a chorych nawiedzałem, odwiedzałem a karmiłem ubogich, umiłowane dzieci Twoje, jeńców a niewolnych wykupywałem, jak to onych pięciu braci Szreniawitów z polskiej ziemi, poprzestawiałem na czwartej części dochodów biskupstwa, na twardym łożu, na postnej strawie, na kapce snu. Widziałeś to, Jezu Chryste. Nic nie ugięło mego. twardokarkiego ludu. Spółkują z powinowatymi niewiastami, bezprawnie żyją w wielożeństwie. Każdy woj mołwi, jako mu prawa małżonka nie starczy, inne bierze. Czeladkę chrześcijańską sprzedają Żydom niewiernym. Dni święte obchodzą różnorakim bałamuctwem. O dni postne wcale nie dbają, oddając się grzesznym rozkoszom ciała. Sami słudzy Twój, księża Chrystusowi, klerycy a świętki, co przykład umartwień

dawać mają, żenią się a gody huczne sprawiają. Gdy przygarnąłem im, prześladowali mnie nienawiścią; zaufani we wzajemnej między sobą potusze szczuli wciąż na mnie możnych. Panie Jezu Chryste, jakże mam ich wieść, owo stado bezrozumne a niepomne świętych praw Twoich? Jak mam żyć, abym nie konał pod władzą biesów, niby nieszczęsny poprzednik mój, biskup Dytmar. Strzeż duszy mej, Jezu Chryste, i miej zmiłowanie nad niegodną czeladką moją.

W klepsydrze przywiezionej z Rzymu dosypywał się piasek. Była północ. Świece się śmiły, zapadł półmrok. Wojciech głowę zmęczoną oparł o ścianę, drzazga uwierała go w czoło, nie odrywał głowy. Niech uwiera. Niechże gnje ciało, naczynie nieczystości. Jezu Chryste! Cisza wisi nad Pragą. Zmęczony pochuciem lud czeski śpi w grzesnym zapomnieniu. Nie wie o niczym, nie czeka kary, nie spodziewa się końca świata. A przecie...

Koniec on bliski już, zapowiedział go Chrystus Pan. Tysiąc lat mija, odkąd gwiazda błysła nad stacją Betlejemską, odkąd narodził się Nieznany a Wszechmocny, ogrzewany w swej nędzy dechem wołu i osła. Kto natęży ucho w tę rozgwieżdżoną ciszę nad Pragą, łącno dosłyszcy zbliżający się koniec. Za kilka oto lat zagrzmia trąby archaniołów, zagrają ludziom na żywot wieczny. Tak to czeka świat owego żywota - w pochuciach, w porubstwie a bluźnierstwach. Zaprawdę, czas już przyszedł na grzeszną ludzkość. Jezu Chryste!

Zasłuchał się biskup w tę noc. Ścisnęło się serce bólem. Naraz trzasły dźwirze, ktoś biegł szybko przez sień, kroki łoskotały nierówno, jakby w ogromnym strachu przed onym końcem. Drzwi domostwa biskupowego zawsze otwarte - może wejść, kto chce, we dnie czy w nocy. Wojciech podrywa się, czeka. Co za goniec go nachodzi w tę noc?

Zasłona się uchylila gwałtownie, wbiegła niewieścia postać, ruchy dzikie, jednym susem dopadła biskupa, zatoczyła się, upadła do nóg, głowę wtuliła w biskupie kolana, Wojciech się nachylił, plecy kobiety drgały od spazmów, łopatki chodziły w górę, w dół - w górę, w dół.

- Co ci to? - spytał Wojciech; czuć przestach w jego głosie.

Nie odpowiedziała. Gołymi ramionami objęła jego uda, cisnęła, słowa nie szły jej przez gardło, tylko spazm krótki, gwałtowny wstrząsał ciałem. Wojciech stał bezradny, pytał:

- Ktoś ty? Czego ci trzeba?

Odchyliła się nagle, twarz szczupła, orla, w długich oczach obłądny strach, dziki krzyk wykrzywionych warg:

- Idą! Idą!

- Kto?

Jakby nie słyszała pytania:

- Po głowę moją idą! Ratuj, panie!

- Kto?

- Mąż.

Wojciech sięgnął po szczypce, objaśniał knoty świec, ręka mu drżała - niesporo szło objaśnianie. Dwa płomyki zamigotały, obrócił głowę ku kobiecie opartej skronią o belki, poznał.

- Młada... Wrszowcowa...

Nie odrzekła, jakby skostniała w tym bezruchu, z opuszczonymi bezradnie ramionami, z policzkiem przytulonym do ściany, z zamkniętymi powiekami - zmięty strzęp ludzki u stóp krzyża. Wojciech stracił się. Co zrobić, na Boga! Ona zdawała się z natężeniem słuchać. Samotny krok zadudnił za ścianami, słysząc wyraźnie: człek szedł pijany, człapał nierówno, zataczał się. Przez blade lico klęczącej przeszło drzenie. Nie krzyknęła tym razem, szepnęła najcichszym, niedosłyszalnym szeptem, pełnym rezygnacji już i poddania:

- Idą...

- Kto? Na Boga!

- Po śmierć moją idą - i rozpacz powaliła ją znowu, runęła na ziem, rękoma szukała gorączkowo Wojciechowych stóp, wiła się jakby smagana ognistym biczem, skamlała:

- Ratuj mię, ratuj! Tyś biskup, tyś sługa Boży, tyś syn Sławnika, wroga Wrszowców. Ratuj! Ukryj mię, nie daj mię! Odeślij do domu, w góry.

Nagły uśmiech, jak gość przelotny, jak westchnienie czarownego zwidu:

- ...w góry!

Wojciechem targała litość i gniew. Już wiedział, co się stało, już się domyślał. "Pochucie jedynym im prawem a krew i zemsta. Jezui! Tak ci strzegę czeladki Twojej.." - Zesztywniał, długa chuda twarz o wielkim nosie, dwu fałdach głębokich u warg, ścięła się w kamień. Uniósł rękę, powiedział twardo:

- Wstań.

Uniosła się, lecz pozostała na klęczkach. Wyciągała dłonie, drżały te dłonie. Wojciech zaczął: - "Wyznaj..."

- Powiem wszystko - przerwała, słowa się jej lały strumieniem - wszystko... wszystko... Dali mię Wilkowi... nienawidzę ji! nienawidzę! Cudzołożyłam, prawdać to. Onegdaj przyłapał mię, gadał, że na wiec jedzie, psia jego... psia... psia... - nie mogła wydusić przekleństwa. Twarz Wojciecha ściągła się, bladła.

- Grzeszyłaś?

- Z Hermanem.

Zachwiał się. Zaciśnięte wargi powtórzyły:

- Z Hermanem? Z mojej drużyny?

- Iście z nim.

- Jezu!

Odchylił się do tyłu, zakrył oczy. Z Hermanem. Umiłowanym chłopcem - myślał, iż ten będzie prawym synem Bożym. Brat Radzym i Herman, dwóch ich wywiódł z tej przepaści diablej do Chrystusa, a Herman... Herman... Jezu, Jezu miłosierny...

Uniósł się gniewem. Podniósł prawicę w górę, zagroził wijącej się na ziemi kobiecie otwartą dłonią. Wołał wielkim głosem, jak wołał w cyrkwi, od ołtarza Bożego, wobec księcia i tłumu:

- Kajaj się! Ty biańko, ty córko Ewy, naczynie sprośności, kędy szatan warzy swój jad i przez który zwodzi rodzaj ludzki na potępienie. Ty zła, ty grzeszna, co uwiodłaś jako wilk jagnię z owczarni Pańskiej. Przecześ zasłużyła na gniew męża, czego chcesz ode mnie, grzesznico!

- Łaski! - jęknęła kobieta wyciągając dłonie.

- Łaski ? - powtórzył zdumiony. Skąd to słowo w ustach Czeszki?

- Łaski - skomlała - tego nie znają oni, Wrszowce. Znają jeno gniew, a miecz. Wołałam wiele razy do Wilka: ubij mię. A nynie wołam do cię, panie: daj żyć - znów przypadła do ziemi, biła w nią łbem, zasłona się jej zsunęła, rozsypały się z obu stron głowy czarne pasma. Wojciech patrzył, nie widział, targał się w myśli: co robić, co robić? Ochroni jawną cudzołożnicę, rzeką, iż broni porubstwa. Zakazuje, a ochrania. Ochrania, gdyż cudzołożyła z jego ulubieńcem, Hermanem.

- Herman - stęknął - gdzieżeś to zaszedł?

(Herman w tej chwili leżał na wznak na grubym mchu, szklanymi oczyma patrzył martwo w gwiazdy; na piersi miał czarną plamę zaskorupiałej krwi.)

- A dusza twoja gdzie? Twoja dusza, którą sprzedałeś za srom babi, gdzie ona? - pytał Wojciech i wzdrygnął się. Straszne oczy konającego Dytmara spojrzały nań z głębi nocy.

- Nie lza biskupowi bronić cudzołożnicy - zaczął z wolna - zważ, Mlada, jak to...

- Zmiłujcie się przez Jezu Krysta! - przerwał mu oszalały krzyk.

- Ja?

- Ukryjcie mię!

Ręką czynił już gest odtrącenia, oczy jego musnęły w przelocie krzyż. - Przez Jezusa Chrystusa - powtórzył, był blady bardzo - dobrze. Uczynię to przez Jezusa Chrystusa. Chodź.

Poderwała się, włosy jej, dawno nie strzyżone, rozsypały się jeszcze bardziej. Wskazał na nie z jawnym wstrętem:

- Ukryj to obrzydlistwo. I niech ci Pan nasz, Jezus Chrystus, wybaczy, abyś pokutą zmasała swe grzechy. Chodź, a żywo... żywo... - teraz ją naglił. Poczul tę samą pewność, jaką miał przy ołtarzu, gdy uniesiony Duchem Świętym wyrывał kąkol z ich duszy, jak kazał mu jego Zbawca.

Biegli wzdłuż ścian, szukając cienia w tę rozgwieżdżoną noc, oboje chyłkiem, jak skryto grzesznicy. Uniosła oczy w górę: tęgie mury zakonnice św. Jerzego. Przypadli cicho do kamienia, posypały się gorączkowe szepty:

- Czekaj tu... Stróża zbudzę...

- Nie ostawiaj mię, panie.

- Czekaj. Wraz wrócę.

- W klasztorze mię zamkniesz?

- Sromotę twoją między święte młódki wieść? Nie! W kościele cię skryję. Leż krzyżem przed Panem, a błagaj Ji o łaskę. O odpuszczenie grzechu. Ufaj: miłosierny jest Pan.

- Nie wydaj mię.

- Przez Jezusa Chrystusa, nie wydam.

Pobiegł dalej. Młoda tuliła się do chropawego muru, ręką wodziła po otoczkach, drżała wciąż. Biskupa nie było długo. Spojrzała w niebo, gwiazda się oderwała od stropu, leciała ukosem, ciągnąc za sobą świetlistą smugę. Wzdrygnęła się.

Zaczłapały kroki, wracał Wojciech ze stróżem. Zgrzytnęły wrzeczadze, otworzyła się brama kościelna, z wilgotnego wnętrza chynął na Mładę czarny strach. Uchwyciła się ramienia Wojciechowego.

- Boję się.

- Grzechów swoich bój się. Rankiem przyjdę po ciebie - odburknął srogo. Wepchnął kobietę do kruchty, zatrzasnął drzwi, sam zaryglował, klucz oddał stróżowi mówiąc:

- Nikomu nie otwieraj, jeno mnie. A milcz, jakby ci język ucięli - znowu chyłkiem, u ścian, wracał do biskupiego dworu.

- Źle biskup zrobił, niecną białkę chroniąc! - krzyknął Zadora.

- Źle - zgodzili się wszyscy. - Widzieliście ją... poćpiegę. Bajaj, Odrzykoń.

- A no... - mruknął Odrzykoń - srogą płatę dał biskup za ona białkę. Sobie ją chciał zachować, abo

jak? Urodziwa była.

- Pewnikiem - uśmiechnął się koso Boruta. Wojciech sam nie był pewien, pełnili wolę Bożą czy głupstwo diabelskie.

- Na biskupowy dwór! - rycieli Wrszowce.

Zgraja była wielka, samych Wrszowców z krewniakami siedemnastu. Konie tupały. Trzydziestu kilku pachołków biegło za nimi. Wilk Wrszowiec miał twarz groźną, jakby wszystkie mięśnie były w niej naciągnięte by struny w gęślach. Żrebiec pod nim się kręcił, bił kopytami, rwał ściągnięte powody, chrapał. Stryj jego, starosta rodowy, z poradlonym czołem, z dużym nosem wiszącym nad wiechciami wąsów, wodził wkoło oczyma, gniewny był. Obejrzał swoich - czarne cienie kłębiące się w podrzutach wściekłości pod spokojem gwiazd - spytał:

- Gotowi?

- Wszyscy.

Uniósł się na koniu, ścisnął mu boki, żrebiec poderwał się, ściągnięty powodami stanął na zadnich nogach, okręcił się wokół, opadł, popędził z ostrym tupotem. Przez mrok nocy leciało wycie starego Wrszowca:

- Zapalaj pochodnie! Na biskupowy dwór! Na biskupowy dwór!

- Na Sławnikowiców! - ryczała gromada.

Wojciech spodziewał się ich, nie kładł się. Wciąż nie był pewny, pełnili wolę Bożą albo głupstwo diabelskie. Zdarzało się, że gdy tak klęczał pod krzyżem, szatan odwracał myśli jego od Chrystusa, sunął mu przed oczy złudne mamidła. - "Jezu Chryste!" - szeptały wąskie Wojciechowe wargi. Naraz ujrzał wyraźnie ona białkę, Młodą Wilkową, skręconą gdzieś w ciemni kościoła św. Jerzego, z rozrzuconymi czarnymi włosami, klęczącą na kamieniu, wstrząsaną od zimna i strachu, z obłądnym lękiem w długich, ptasich oczach. - "Nie dałem jej nawet płaszcza" - pomyślał z żalem. I nagle poczuł znużenie; a ze znużeniem ostrą tęsknotę za dalą: za włóczęgą do miejsc świętych; za Prowancją, Burgundią, Frankonią. Za grobem świętego Marcina z Tours, za grobem świętego Dionizego w Paryżu, za grobem świętego Benedykta we Floriaku i za grobem świętego Maura. Być tam. Dotknąć ręką kamienia przytłaczającego wielkie zwłoki. To byli wierni słudzy Boży, nigdy nie znający zwątpienia, zawsze wiedzący, jak postąpić. Ukryć grzesznicę przed gniewem męża i być współwinnym jej grzechu?... albo wydać ją w ręce dzikiego, rozwścieczonego woja i być współwinnym morderstwa?... Czyliż morderstwa? - kary za zbrodnię i grzech. A czyliż to kara, co się dzieć będzie? Czyli to nie są obyczaje pogańskie? Jezu!

(Po grobli między dwiema sennymi wodami, porośniętymi trzcina i lilią wodną, łomotały kopyta, dudniły kroki goniących za panami pachołków - w dali majaczyła Praga - na biskupowy dwór! Na biskupowy dwór!)

Wojciech klęczał z ssącą pustką w sercu. Znów mu mignęła twarz Młody z rozszerzonymi od strachu



oczyma. Jakby zrobił Pan nasz, Jezus Chrystus? - mignęło pytanie. Przymknął oczy. Ujrzał rozżarzony mur, biały całkiem, i Jego: siedział i uczył lud. Takież plemię jak czeskie, bezbożne i pochutne. Czarne oczy wlepione były w mówcę. Twarze zadumane, zastygłe, poruszone, zdumione, zgorzone, oburzone. Naraz się tłum rozstępuje - kapłani, faryzeusze a doktry wiodą białkę. Ma czarne włosy rozsypujące się z obu stron głowy, orli nos, długie oczy ptaka, obłąkane ze strachu. Wojciech widzi: starszy z nich - toć Wrszowiec! z poradlonym czołem, z dużym nosem wiszącym nad płowymi wąsami, z wzrokiem dzikim - pyta:

- Nauczycielu, tę niewiastę zastano nynie na cudzołóstwie. A w Zakonie rozkazał Mojżesz takie kamienować. Ty tedy co mołwisz?

Widzi Wojciech: rozżarzony mur, biały całkiem. On, Jezus, siedzi, patrzy na nią, na oskarżycieli, na Wrszowców. Białka padła na ziem, miotała się, ręce wyciąga, skamle niemym zapatrzaniem:

- Łaski!

( - Łaski! - pytał ją dopiero co, zdumiony. - Łaski? Tyś cudzołożyła z Hermanem, poświęconym służbie Bożej.)

(Herman, wciąż zapatrzony w gwiazdy martwymi białkami, nie drgnął, choć wilgotny nos wilka dotknął jego policzka.)

(Gdy uniesiony został spośród porządku praw wszechświata przed Konieczność Tego, który Jest, nie obejrzał się Herman w chwili ostatniej na migającą za nim Ziemię, gdzie zamknięta w mroku kobieta o długich, ptasich oczach biła czołem o kamień w dławiącej ją trwodze, taż sama kobieta, która dopiero co - czy przed wiekami - darzyła go spazmami rozkoszy.)

(Kochan Wrszowiec oparł w ciemności rękę na kołyszającym się w galopie karku Wilka, zbliżył srogą twarz do twarzy bratańca - czuł, jak udo i łydka tamtego ocierają się o jego łydkę i udo - i warknął:

- Ubijesz ją.

- Ubiję - odparł twardy szept i serce Wilka załomotało na myśl o wyrazie złotych oczu Młady w owym ostatnim mgnieniu.)

Wojciech - w zapatrzaniu - widzi chytre oczy Wrszowców, chciwe śmierci; ona zranioną dumę, że ktoś (Herman, Adalbertowy kleryk) sięgnął po ich kobietę; a przecie sami cudzołożyli przed okiem Boga.

Widzi Wojciech: Chrystus schylił się i pisze palcem po ziemi.

A oni - Wrszowce i on, biskup ich - nalegają:

- Rzeknij, jakeśmy winni uczynić.

Wtenczas On podniósł się i rzekł:

- Kto z was bez grzechu jest, niech pierwszy na nią rzuci kamień - i schyliwszy się znów palcem pisał po ziemi.

Ciekawość ogarnęła Wojciecha, zrobił krok naprzód i spojrział na Jezusowe pisanie. I odczytał:

- Adalbercie! Gdzież to jest miłość twoja?

I w tejże chwili usłyszał gwar tłuszczy przed biskupowym dworem. Podniósł się: już nie miał pustki w sercu. Zyskał pewność. Wiedział już, czemu nie naprawił ludu czeskiego, chociaż uczył go w mnogich kazaniach, nawiedzał więźniów a chorych, karmił a odziewał ubogich, modlił się i biczował, pościł, nie jadł i nie spał. Wiedział już - sam Chrystus Pan mu to rzekł. Jeszcze raz spojrział na krzyż, porwał go strach: będzie tak umierał jako Dytmar. - "Czym zmażę winę, Jezu Chryste?" - odpowiedziało mu łomotanie w drzwi, które po raz pierwszy w życiu zawarł, gdy wracał po skryciu Młady. Poniosła go nagła radość:

Czym zmażę winę? Krwią! - i pobiegł. - "Pobiegł przeciw Wrszowcom tak szybko, jakby uciekał" - bąkał wojom Odrzykoń. Boruta bąkał:

- Pomyłony był on Adalbert - i naraz zaśmiał się w głos. - I co? Ubili ji? Ungera trza by takż: toporem.

Rąbnął w ziemię, aż stęknęło.

- Bajaj, Odrzykoń - Giez przewrócił się na drugi bok, głowę złożył na ramieniu, zda się, usnął: ale zmarszczka między brwiami nie spezła, słuchał.

- Pomnicie Szreniawitów? - Odrzykoń zadumał się, jakby zapadł w odległą przeszłość - ojca i czterech synów; za Mieszki jeszcze.

Jeż przeciągnął swe długie kości.

- Pomnę - mruknął - śmierć starego widziałem w Haliczu. Rusek stał wielki, gruby, łajał nas, a my w niego. Krzyknął nań stary Szreniawita, wychylił się za ostrokół, a ten Rusek kiej puści kamień, wielki kiej głowa Świętka...

- ...to ci niewielki był on kamień - Boruta skosił oczy, nie spojrział na chłopca; tamten pokraśniał, nie ruszał się, mlaskał wargami.

- ...patrzmy: leci Szreniawita za ostrokół, plasnął w rów. Mało co później syna pokłuli spisami przy obronie wrót. Doma... wiecie to abo nie... ostała mać, Dobrogniewa, z pięciu szczeniętami. Szczenięta podrosły, mać zmarła. Chciało się im do drużyny iść, broni nie mieli. Jakoś kupce podle Szreniawy ciągnęli na Poznań: napadli kupców, tamtych była kupa, nie dali się. Wtedy to Mieszka pomarł, Bolko wadził się z Odą. Przynosi mu wieść Wszebor, baje: Szreniawity napadły na kupców. Bolko zły, tupie nogami, kazał Szreniawitów złapać, kupcom wydać. Wiedli ich przez Czechy kajś dalej.

- I co? - Dobrosz odstawił kubek, otarł wierzchem kiści usta - co z nimi ?

- Przyszli kupce do Pragi, tamok wykupił ich z jeństwa Adalbert.

- Ki Adalbert?

- Onże Wojciech, w Magdeburgu przezwał się Adalbertem.

- Głuptak - skosił oczy Boruta.

- Lepiej by ubił w on czas wszystkich pięciu. Toć chytrki są, wydali ji.

- Nie żal durnia wydać, jakby inakszy? - zachnął się Jeż. Gież podniósł ciężkie powieki, spojrzął na Odrzykonia:

- Bajaj.

Gomuła Szreniawita szedł nocą, ździebko się zataczał. Pił z włodarzami księdza, teraz ziemia jeździła mu na boki. Mijał biskupi dom, chwyciła go czkawka. Gwiazdzista noc wisiała nad Pragę. Radość, poczucie siły rozpierało Gomułę. Patrzył na biskupowy dwór, zalewała go pijacka czułość. Dobry człek - biskup: wykupił ci go z braćmi z jeństwa od kupców. Wzywa ich, prawi uczone słowa o Jezu Kryście, karmi. Zlał wodą świętą. Gdy - stojąc sztywno niby pięć pali wbitych w trzęsawisko - słuchają mądrych słów biskupa, nie pojmują go; ale są dumni. Piwo szumi we łbie Gomuły. Patrzy w smugę światła z okna biskupiego dworu i dziwi się: "Wždy nie śpi, lecz gada nockami z Jezu Krystem. Isty cudak, onże Wojciech".

W tejże chwili uchyliły się drzwi, Gomuła przyczaił się, przysiadł. Głowa czyjaś wyjrzała, oglądała się. "Ni cienia. Chodź!" - zaszeptał biskupowy głos. Gomuła przetarł oczy pięścią, splunął. Jakże to? Lelum! Za biskupem wykradła się białka, biegli wzdłuż ścian, szukając cienia. Gomuła urzeczony szedł za nimi. Tak to?... Czemuż to bronił im?... Juści, białka potrzebna chłopu. Wszakóż...

Nie wiedzieć, skąd? jak? lęła się w wąpiach złość. Przytaił się u płotu, słyszał urwane słowa:

- ...czekaj mię. Stróża zbudzę.

- ...nie ostawiaj mię...

- ...w kościele cię skryję.

- ...boję się.

A potem władczym głosem do stróża:

- Nikomu nie otwieraj, jedno mnie. A milcz, jakby ci jęzor odcięli.

Kobieta obróciła głowę, Gomula spojrzął, wzdrygnął się:

- Wrszowcowa białka. Oj, źle tu będzie, trza uciekać z biskupiego domu - i pognał do braci.

Na krzyk ciżby Wojciech chwycił dłonią za zaworę, targnął: nie puściła. Targnął raz jeszcze, drzwi otworzyły się raptem, przed Wojciechem stał Kochan Wrszowiec z Wilkiem pobok; zagroda pełna zbrojnych, czerwone płomienie pochodni dymią sinymi spiralami. Wojciech - blady, z dużym nosem, wąskimi wargami, z czarnymi oczodołami - krzyknął:

- Jeśli mnie szukacie, oto jestem. Bierzcie mię. Czarną ciszę rozświecały jeno płomienie pochodni; głos biskupa leciał nad nimi mocny by trąba. Wilk przełknął ślinę, wysunął się przed stryja:

- Oddaj białkę moją, Mładę. Wiemy to: do ciebie uciekła.

- Nie masz jej tu.

- Gdzieś ją skrył?

Zrobił szeroki gest ręką, wskazując dom:

- Szukajcie.

Głos Wilka zniżył się, przeszedł w charkot:

- Dawaj ją. Nie dasz, głowę swą dasz.

Nagły podrzut szczęścia i strachu w piersi Wojciecha:

- Bierz ją.

Stary Wrszowiec odgarnął bratańca ramieniem, zrobił krok ku biskupowi, zasyczał mu w samą twarz:

- Uwodzisz się nadzieją męczeństwa, ty... zapleśniały pomioście Sławnika!... próżno! próżno! Nie spełni się wola twoja, psia...! Zrobim ci co inszego, co gorsze będzie dla ciebie, czekaj... Nie wydasz wszetecznicy, mamy braci twoich... na rodzie ich, na żonach, na dobytku krzywdę naszą pomścimy. Ty...

Wojciech - blady w purpurowej łunie pochodni - stęknął:

- Bierzcie mnie.

Nocne echo odrzuciło rechot gromady:

- Ciebie?... Ha ha! Nie!

W tym to czasie Gomuła dobiegł na powrót biskupiego dworu. Wciąż nim złość trzęsła. Przepchał się przez ciżbę, trącił Wilka, zaszeptał:

- Chodźcie, panie, wskażę wam miejsce, gdzie skryta wasza małżona.

Wilk zerwał z szyi złoty łańcuch, rzucił Gomule, wrzasnął, rozpacz zadrgała w tym wrzasku: -

Prowadź!

Zawrócili z tą furją, z jaką przyszli, pognali w czerń nocną, ostawiając na progu osłabłego Wojciecha. Nie mógł już kroku zrobić, trząsł się i dygotał, siadł na progu, głowę schylił do kolan, zapłakał cicho, bez łkań, samymi jeno łzami poniżenia i hańby. Jakby widział, co się dzieje, jak wpadli na stróża i groźbą wydarli mu klucz, jak wdarli się do świątyni, ciężko łomocząc, klnąc, świecąc pochodniami. Od progu zerwał się krzyk kobiecy, leciał dalej do ołtarza, gnali za nim rozjuszeni, zbitym tłumem, z mieczami, toporami, maczugami, by na niedźwiedzia albo żubra. Dopadła ołtarza, piersią się wsparła na blacie, przerażonymi ramionami oplótła krzyż. Stary Wrszowiec chwycił ją za włosy, targnął, oderwał, podsunął pod miecz Wilkowy, charknął:

- Ubij.

Wyciągnęła gołe ramiona z dłońmi wystawionymi na płask do przodu, z zakrzywionymi palcami, zawyła:

- Wilk! Nie! Nie!

Miał już miecz w ręce, spojrział w tę spazmatyczną maskę, w te obłąkane, długie, złote oczy, cofnął się - jak tyle już razy w ich niedługim pożyciu - jęknął:

- Nie mogę. Nie mogę na nią mieczem.

- Tfu! - splunął starzec - pachółkom ją dam, czy jak? - ciągnął ją za włosy przez kościół, wijący się krzyk, przed kościołem wrzasnął do gromady:

- Bijcie ją.

Miecze, maczugi, topory spadały raz po razie, jak deszcz nawalny, jak rozjuszone szaleństwo, miażdżące martwe ciało Młady o długich oczach na straszne krwawe błoto. Opryskani byli cali jej juchą, gdy wracali do domu, rycząc pieśni, niczym po wielkiej bitce. W dalekich górach wstawało słońce.

- Ubili ją? - krzyknął Świętek z żalem, żal ten był tak widoczny, że gromada ryknęła śmiechem. Nawet Boruta się śmiał.

- Niegłupi nasz Świętek - mruknął - wie, jak najpewniej pić miód z czaszy, skoro ją drugi napoczał. Chcesz, opowiem ci gadkę, jak makolągwa nakakała borsukowi w gardło. Gadaj, chcesz?... - Świętek zalał się krwią, zawsze zmilkał na Borutowe przekpinki. Czyliż który z nich mógł przypuścić, że kiedyś Boruta głowę da za tę złośliwą gadkę?

- A biskupowi nic? - spytał Dobrosz.

- Iii - przeciągnął Odrzykoń - stary ksiądz Bolko leżał w on czas niemocny, ale był tamok Rudy, także Bolesław, wróg zaciekły Sławników i całego rodu księdzów libickich. Więc dalejże podjudzać Wrszowców, jakby Wrszowców podjudzać do bitki było trzeba: nie próżno imię Wilk powtarza się w ich rodzie. Tegdy wiec nie był długi, pognali wielką kupą na Libice. Zląkł się w on czas Wojciech,

że mu braci pobiją, jego samego rozedrą, samowtór z bratem Radzymem z Pragi uciekli, ledwo koni nie zagnali, tak skakali.

- Kaj?

- Do Romy, grodu Krystusowego.

- Ciu! - krzyknął Boruta - Unger takozby myk! myk!

- Jeno i twoja głowa myk myk, boby ją Bolko zdmuchnął - zamruczał Jeż.

- Bacz - Boruta wtulił łeb w ramiona - ciebie bym posłał. Ciebie by Bolko nie pokrzywdził.

- Czemu tak?

- A no, ścinałby to barani łeb? Wiecie, ile umu w baranym łbie? już i jeżowy ma boleję, a wždy jeż najdurniejszy zwierz; byle liszka, już i po umie jeżowym.

- Słyszałem - Giez podniósł się, wsparł się na łokciach - wzięli Libice, nie żywili nikogutko.

- Nie zrazu. Jest w Pradze mądry wieszczek Jezu Krysta, wołają nań Tiddag. Ten czarny zna mocne a wróżę, uzdrowił starego księdza, jenż pogodził Wrszowców a Sławnikowiców. Mnogo tam miodu wypily a mięsa zżarły. Godowały w Pradze trzy dni. Wždy Sławnikowice nie durnie: nie ubezpieczyli się godami. Starosta ich, Sobiebor, do cesarza chynął, jenż w on czas Weletów wojował, cośmy mu pomagali z Bolkiem. Pomnicie Sobiebora, jak na białym koniu przyleciał w nocy, wraz Ottona prosił a Bolka. Dobrze dla onego Sobiebora, że z grodu dunał. Napadli Wrszowce na libicki gród z młodym księżycem, Bolesławem Rudym, Libiczanie tegdy w krzyk: "Dajcie nam w święty dzień Waclawa pokój". Mołwią, że ryczeli Wrszowcy: "Dobry wasz Waclaw, sucze dzieci, wždy lepszy nasz Bolko" i buch! na gród. Wzięli go wraz, Wojciechowi bracia uciekli do cyrkwi, stamtąd ich wywabili, na progu pobili, nikogo nie żywili, białki wprzód pogwałcili, gród spalili. Tak to Sobiebor ostał u naszego Bolka, nynie ponoć judzi ji na Czechy iść, braci mścić.

Giez wstał, przeciągnął ramiona, mruknął:

- Dobra... Bają, Czechy bogaty kraj, weźmiem łup. Bolej tego będzie niżli u Węgrów, a wždy dobrześmy się nabrali tamok, co?

Zaśmiał się szerokim gęstym basem, zabłyśły rzadkie zęby - żółte, drapieżne.

5.

Emnilda rozpięła ruszycę, wydobyla pierś, wsunęła ją w rozwrzeszczaną gębę córki. Mieszka karabskał się po podłodze, tyłem, by rak, podsunął się do matki. Emnilda pochyliła się, pogłaskała jasną czuprynę chłopca. Podniosła wzrok na siedzącą na ławie Latorosłkę, dostrzegła naraz, że tamta ma usta nabrzmiące i czerwone, jak po długim płaczu. Spytała szybko, wlepiając w Latorosłkę ciekawe oczy:

- Dawno już?

- Będzie już trzeci miesiąc - szepnęła tamta, zarumieniła się, rękę położyła nieznacznie na łonie, tuż pod piersiami, przechyliła głowę - uważna - jakby nasłuchiwała.

- To już pewne - wykrzyknęła Emnilda kołysząc z lekka córkę. - Pewne już. Bacz nynie, kiej się ruszy. Zefrid będzie rad.

Przelotne skrzywienie na twarzy, drgnienie niechęci w oczach. Emnilda przysunęła się z dzieckiem bliżej, wciąż spoglądając na družkę, pytała głębokim, gardlanym szeptem:

- A onże Zefrid? Gadaj. Jako to świątki miłują, Latorosłka? Onże Zefrid?...

Już nie niechęć - znużenie na twarzy Latorosłki.

- Ach! Zefrid...

- Ooo.. - Emnilda ściągnęła usta. - Nie wolno tak... słyszysz? nie wolno... - przypomniała nagle kostropatą gębę małego, nieurodziwego Zefrida, zmiłkła, silniej zaczęła kołysać córkę, pomyślała o Bolesławie, uśmiechnęła się.

- Radaś, żeś wyjechała z kniei?

- Nie...

- Nie? - zadziwiła się. - Nie radaś... Jakże to?

Zefridowa białka nie odpowiedziała. Siedziała wyprostowana sztywno, z wyciągniętą szyją, zapatrzona gdzieś i zasłuchana: tak, może dziecko... Dziecko?... - nie mogła uwierzyć, że może mieć dziecko, takiego skrzata jak Emnilda, jak inne. Nie tęskniła zresztą do dziecka - nie to!... czyliż nigdy nie przestanie ją prześladować wspomnienie puszczy orczyckiej, czyliż świat, w który się wyrwała?... Dziecko!... jakby prześmiejch przeleciał przez twarz Latorosłki - zgasł od razu. Milczała. W izbie było gorąco, muchy brzęczały. Mieszka naraz się podniósł, stał chwilę, kiwając się na grubych, szeroko rozstawionych nogach, zrobił krok, drugi krok, plasnął z rozmachem pośladkiem o ziemię, zaśmiał się szerokim, bezzębnym uśmiechem. Emnilda krzyknęła radośnie:

- Chodzi... chodzi!... - i z nagłym westchnieniem - Bolka nie ma... Żal. Obaczyłby.

- Pani - Latorosłka pochyliła się do przodu, pucółowata jej gęba zbladła, usta zdały się spierzchnięte

- rzeknijcie słowo u księdza...
- Za kim? - oczy Emnildy zrobiły się zrazu czujne.
- Jest wolny kmieć, wołają nań Kłęb. Chce komornikiem księdzowym być, junak, udały...
- Prosił cię?
- Nii... Ja proszę.
- Czemu do brata nie pójdziesz albo do męża? Zająknęła się.
- Nijako mi.
- Czemu?
- Czemu?
- Czemuż, głupia?!
- Nijako mówić.
- Bo co?
- Miłowałam ji.
- I miłujesz?
- Ja ?! - wstała nagle, obie ręce znów splotła na łonie, oddychała gęsto. - Ja? Kłęba?
- A no! Spuściła głowę.
- Nie wiem. Rzucił mię, bał się brata a księdza.
- Trza było wtedy do mnie. Nynie co? Zefridowaś... Ledwo słyszalny szept:
- Zefridowam.
- Chcesz go widzieć?
- Niece.
- Ino?
- Ino niech dyszy, czym i ja dyszę. Niechże nie siedzi w puszczy kiej kloc, kiej durny pień. Żle mnie... tu. Niechże i on... niech pojmie. Łgał mi, że komornikiem księdza jest... w Sandomierzu, że wołają nań Dobek... że... Niechże nie łże... niech będzie... Chcę... niech komornikiem będzie... a przypodoba się: do drużyny weźmie go ksiądz. Taki chłop!



Emmilda patrzyła ciekawie, usta się jej rozchyliły, oczy były kpiące, sprytne. Powiedziała:

- A Zefridowi powiem... co tegdy?

- Mówcie.

- Zbije cię.

- Niechże zbije - i z nagłą nienawiścią, z wybuchem: - Niechże zbije! Jak chłop! Niechże chłop będzie, niech zbije! A on się jeno umie łaścić a szeptać, a ślinić. Och! Gad! - i naraz zakryła twarz ramionami, przygięła się, czołem przypadła do kolan, wybuchnęła długim, żalonym, skarżącym się płaczem.

W tejże chwili nad gęstwę lasów wysunął się sokół, leciał ukosem ku łabędom. Ktoś krzychał w gąszczu, podjudzał ptaka. Szerokimi machnięciami skrzydeł szły łabędzie ku bezbrzeżnym moczarom. Na polanę wypadł człek, głowę miał obróconą ku ptakom, lice mu pałały. Z gęstwy stryj Pazur krzychał na całe gardło:

- Judź ji. Gwizdaniem... gwizdaniem... Chyżo, Kłęb! - tamten gnał ogromnymi susami, z gwizdaniem, z krzykiem. Latorosłka miała wciąż czoło przyciśnięte do kolan, niebaczna, że Emmilda objęła ją ramieniem, coś jej szeptała w ucho. Sokół uderzył w stado, rozproszył je.

6.

Chata Ksieńca stała na skraju, z dala od innych. Trzy brzozy rosły u chruścianego płotu, rzucały cień aż pod przyzbę. Ksieniec wrócił z synami z lasu, z dwoma starszymi zrzucił z wozu gałęzie, najmłodszy układał je pod brzozami. Sroga kupa już była zebrana, Lubek zarzucił jednak na wierzch, zawołał:

- Starczy do wiosny.

Ksieniec miał twarz jakby z niewyprawionej skóry, pomarszczoną, oczy na wierzchu, wąsy rosły mu pęczkami, wylazły po chorobie; zaledwie od końca warg wisiały dwa kosmyki, także z obu stron brody; śmiali się ludzie z Ksieńca, przezywali go Kozłem. Teraz spojrzął na najmłodszego, zamrugał szybko - zawsze mrugał, gdy się namyślał - powiedział z zadumą:

- Ty, Lubek, nieźrałyś jeszcze, a gębę ozwierasz. Ze trzy dni trza nam wozić, będziesz składał.

Wit i Zwój popatrzyli na brata, na ucho sobie szeptali o nim przycinki - ojciec nie lubił, kiedy się swarzyli; spojrzął ku nim, powiedział:

- Południe. Lećcie, niechże matka odstawi owsiankę z ognia; w brzuchu już burczy, czuję.

Lubek zerwał się pierwszy, poleciał. Zwój mruknął do Wita:

- Istny latawiec.

Ojciec odwiązywał supły, wyciągnął zatyczkę, ściągnął jarzma, by woły mogły się popaść po obejściu, nie zważał na synów. Wit się nachylił do brata:

- Słysz, pod wieczór pójdziem w las, sidła obejrzym - wielki ptasznik był z Wita. Zwój pociągnął koniec wąsa, kręcił w palcach bujny, konopny wiecheć.

- Nie puści.

- Puści, co nie ma puścić.

- Ooo! - zakrzyknął Ksieniec na woły.

Poszli we trzech do chaty znużonym, kiwającym się krokiem. Przed progiem Malina biła w maślnicy, gęsto, robotnic, niecierpliwie. Wit przechodząc uśmiechnął się, uszczypnął żonę w policzek. Spojrzała nań wesołym, biegającym spojrzeniem.

- Mnogo chrustu? - i wyszczerzyła zęby.

- A kaj to moja? - zagadnął Zwój, oczy się mu zwęziły. Malina ruszyła ramionami.

- Małego lula - i znowu błysnęła zębami do Wita.

Zwój był chłop wesoły, pierwszy do śpiewu, wszyscy trzej byli weseli. Ale żony nie lubił, nikt nie lubił Czarnuli. Mała była, chuda, czarna, piegowata - ista mysz nakrapiana. Lękliwa, płakała byle czego. Zwój tylko przy niej się chmurzył, parskał złością. Bił ją często, pierwszy raz sprął ją w nocy po godach, świekra szturchała ją, Ksieniec krzyczał, po piegowatej gębie raz wraz lały się łzy. Zwój walił w nią byle czym za to mazgajstwo - nie pomagało.

- Bacz, mleko w piersi zwarzysz - zrzędziła stara.

Beczala.

- Ejże, konew wody z ciebie - prześmiewał się Wit.

Beczala.

- Zamilcz, bo cię rąbnę - pienił się Zwój.

Beczala bez ustanku, cicho, bez głosu. Aż im zęby zgrzytały w złości - bo trzej bracia byli weseli, lubili się śmiać, sztuki wyprawiać, a z tej ciągiem ciurka, by z dziurawego rzeszota.

We czterech siedzieli na ławie, siorbali owsiankę z misy: matka raz po raz dolewała. Pogwarzali mało-wiele. Skoro zjedli, Ksieniec przeciągnął się, splunął, wstał.

- Pójdziem - powiedział.

Wit uszczypnął brata w udo, zaczął:

- Ociec... - urwał. Ksieniec patrzył nań gęstym mruganiem.

- Już ci ptaszki pachną, wiem. Nic z ptaszków. Wozić będziem do zmierzchu.

- A co! - wykrzyknął Lubek i zaśmiał się. Ksieniec pogroził mu pięścią.

- Ty bacz... Pójdziem.

Ale nie wozili już tego dnia. Ledwo wyszli przed dom, wpadł we wrota otrok z jasną grzywą, machał długim kijem z wiechciem trawy na końcu.

- To Bzdyczów syn - mruknął Zwój.

- Sianosiecz! - krzyknął cienko otrok, zamachał kijem. - Zadruga! Zadruga! - i poleciał dalej. Ksieniec obejrzał się po obejściu z bezradnym ruchem ramion.

- A no... - powiedział, a Lubek znowu w śmiech:

- A co!

- Ejże! Lubek - zasyczał Ksieniec - ty cichaj! Cichaj, mołwie! A no, trza iść, będziem źrebią rzucać.

Wygnaście woły, a przygotujcie wszystko na sianosiec. Matka niechjadła uwarzy... A no!

Poszedł. Wit odciągnął Zwoja, przedkładał mu:

- Zrobisz wszystko... ty a Lubek. Zrobisz?... Nie będziem trzy dni jedno twarogu z mlekiem a sera ćkać... zbrzydło. Sieci zastawiłem, nynie pora dobra, słysz. Matka ptaszki upiecze. Zrobisz z Lubkiem?...

Zwój kręcił palcami wąż, Lubek podskoczył, okładał Wita pięściami.

- Już ty chcesz nam robotę ostawić, wiem to. Wit, zrobię wszystko, ale pod wieczór skoczę w chruściaki. Z dziewczką się zmówiłem.

Zwój łeb przekrzywił:

- Czekaj, zbije cię ociec.

- Abo nie wiem. Niechże bije. A może nie obaczy.

- Idę - krzyknął Wit i zawrócił do chaty po plecionkę.

- A ja? - Zwój wciąż kręcił wąż - a ja co?

- Z Czarnulą ostaniesz - Lubek odskoczył od brata. - Może pocieszysz ją.

- Ja ci... - Zwój skoczył z pięściami, gonili się po obejściu, Lubek rozpędził się, przesadził płot i przez chrust:

- Bacz, by ci syn nie buczał kiej mać: kap, kap, kap, kap... - i w nogi, wychylony zza brzozy jeszcze:

- Kap, kap, kap, kap...

Nazajutrz zbudził ich ojciec ledwo świt. Lubek przewracał się na słomie, stękał. Matka grzała kaszę, sakwy z jadłem leżały wyładowane pod ścianą, toż garnki z zsiadłym mlekiem. Ksieniec poganiał.

Jedli w pośpiechu. Zwój zaprzęgał wołu. Ksieniec wziął sakwy, pomacał, obrócił się do Wita.

- Byłeś w lesie?

- Wszystko zrobione, ociec - bućknął starego w łapę - nie swarzcie. Idziem, Malina! Czarnula, bierz dziecko a kubeł.

Wlepiła weń przestraszone oczy.

- Na co kubeł?

- Na płkanie - parsknął śmiechem, ojciec się skrzywił.

- Idziem. Lubek, zaprzyj drzwi drągiem - podniósł oczy na niebo, pociągnął nosem, mgła snuła się płaskimi smugami, mruknął:

- Będzie pogoda.

- Wio! - krzyknął Zwój na wołu.

- Pójdziem prędzej - mruknął Ksieniec do Wita i Łubka - niechże pełzną za nami. - Wyciągnęli nogi, szli przez mgłę, rosa była chłodna, w mig zmoczyli chodaki lipowe, które rozmiękły, noga się układała wygodnie, miękko, mchy miło się uginały pod stopami. Wyciągali kulasy, szli przez las, drzewca kos nieśli na ramieniu, tuż u łączka, lekko przytrzymując prawą dłońią. Lubek podśpiewywał, ojciec nie odwracając głowy sarknął:

- Cichaj tam... Nie lza śpiewać przed słońcem.

- Wzeszło już - głęboki śmiech grał w tonie Łubka - jeno za drzewami nie widać a mgłą.

- To śpieszajmy - i Ksieniec jeszcze wyciągnął nogi.

- Ile dni będziemy na sianosieczu?

- Ponoć ze trzy. Obaczym.

- Dobry dział nasz?

- Nie. Grząsko tam. Aleć tego lata wszędy grząsko. U Wilka nie przejdiesz.

- Prawda, że Bień ostanie doma?

- Nogę wykręcił. Zadruga zsieczem mu siano.

- O wa! Tyle luda!... - wyszli z lasu.

Mgła już siadała, ale nad płaskimi, błotnymi łąkami leżała gęsta, na pół chłopa wysoka. Słońce wysunęło się już ogromne i czerwone, jak wielka świecąca tarcza. Mgły były szare, szaroniebieskie, szaroróżowe, nieruchome i leniwe. Brzeg łąk od strony lasu rozdzielony wysokimi tykami z wiehcziami traw uwiązanyymi na szczycie - jakby szereg mioteł zatknęto co kilkadziesiąt kroków. Zebrało się już blisko trzydziestu kmieci, ostrzyli na kamieniach kosy i sierpy, ten i ów próbował siec trawę, rozkraczał się, prawą ręką łapał za łąk u nasady drzewca, lewą o łokieć wyżej, lewe ramię przyciskał do boku, szerokim zamachem zagarniał trawę, kładła się z suchym chrzęstem. Wilk obaczył Ksieńca z synami, krzyknął:

- Z Dadźbogiem, Kozieł. A kaj Zwój i białki?

- Za wołem się wloką.

- Zara zacniem, niech no mgła ździebko siądzie, nynie nóg nie widać. Pogoda, pogoda!

- Łada, łada!

- Dobrze źrebią dla cię padły? U mnie krzaki.

- A tu mokro.

- Wszędy mokro. Jenó Bodek górę dostał.

Coraz nowi walili od lasu. Okrzyki i śmiechy. Białki szczyrzyły zęby, dziewczki chichotały i kosiły się na chłopców. Zebrały się w kupę, obsiadły piaszczystą wydnię jałowcową, aż do mężczyzn dobiegał ich jazgot. Sianosiecz, sianosiecz!... Mężczyźni ugwarzali ciszej, godniej. Chłopcy gonili się, fikali kozły, radzi z popisu w oczach dziewcząt. Sianosiecz, zadruga, zadruga!... Słońce szło wyżej, mgła rzedła. Woły pasły się w stadzie po krzakach. Eh!

Stary Groch podniósł się ciężko z wozu, spuścił nogi, pokłonił się słońcu, skrzesał ogień, zatliły się gałązki, zaklaskał w dłonie, krzyknął starczym dyszkantem:

- Zadruga! Lado, lado! Dadźboże!

Każdy kmieć zerwał wiecheć trawy z swej tyki, szedł do ognia, rzucał na stos trawę, biały dym popłynął wprost w niebo - na pogodę, na dobrą wróżbę. Społem kłaniali się słońcu, zrzucali kozuchy, chwyтали drągi kos i sierpów, zaczynali ciąć. Trawa się z chrzęstem kładła w równych pokosach. Któryś zaczął:

Da, za górą, za laseem,

da, za górą, za boreem...

Silne głosy podchwyciły pieśń, podchwyciły rytm. Szli równo, z równym zamachem ramion, z jednakim przekręcaniem się w biodrach, prosto przed siebie, nie stając, nie oglądając się. Słońce wspinało się, zaczynało przygrzewać. Nie śpiewali już. Dochodzili do końca łąk, tam gdzie zaczynało się trzęsawisko, zawracali, drzewcem rozrzucałi pokos, ocierali pot dłonią, zaczynali od początku. Nad polaną zawisł nieruchomy upał, słońce wypilo rosę, białki z grabiami zabrały się do suszenia. Zadruga, zadruga!

Dzbanki z mlekiem stały rzędem w strudze, mleko było chłodne, rozsiedli się w cieniu, siorbali, zagryzali. Plecy i ramiona były mokre, len przylep! do barków, parował. Od sianosieczy niosło gęstą, duszącą wonią schnącej trawy. Wrzeszczały koniki polne, prażyło słońce, oczy bolały od blasku. Ten i ów odstawiał garnek, odchyłał się, zwalniał sznur w pasie, kładł się, ramieniem przysłaniał twarz, drzemał. Lubek puścił garść żab między dziewczęta - piski, śmiechy. Zaturkotało między chojarami. Bodek podniósł głowę, sapnął zdziwiony:

- Ktoś jedzie.

Spomiędzy liści wyjrzał łagodny łeb wołu, przepchał się wóz, na nim kmieć pomarszczony, kosmaty. Groch zaskrzeczał:

- Bień. Nie wytrzymał doma... zadruga!

- Przto, kłysiu! - krzyknął Bień piskliwie. - Ksieniec! Bodek! Był u was włodarz księży.

Chłopy poderwały się przestraszone.

- Czego chciał?

- Stanu dla wojewody księdza a drużyny.

- Lelum! - krzyknęła Ksieńcowa. Czarnula w płacz. Zwój miał ściągniętą gębę, odwiązał sznur, przez plecy żonę, krzyknął:

- Cichaj, psia!...

- Zwój, wołu goń. Wóz. Białki, brać statki. Czarnula! cicho, dziecko!... Chyżo! Chyżo! Jedźcie, my z Witem a Lubkiem przodem - głos Ksieńca rwał się, rzucił okiem na przekos, podrapał się po głowie - taki czas! Zadruga. Słuchajta, kmiecie, zsieczecie mi zadrugą źrebią? Zsieczecie?...

- Wszystkie pójda do dom - burknął Groch - trza skot a owce, a śwynie w las zagnać... Pobją to, pożrą...

- Owieczki! - krzyknęła Malina - moje owieczki, ociec! Com je przyniosła Witowi. Schowajcie, ociec!

- Barana trza będzie ostawić - mruknął Ksieniec ponuro. - I bysia.

- Bysia! - wrzasnęła Ksieńcowa. - Lelum! Tyli byś! Bysia w las.

- Wszystkiego nie uchronisz, głupia. Mór by ich zżarł za one stany. Pomnisz, jako latoś Bzdyczowi uczyniły.

Czarnula miała oczy spuszczone, po nakrapianych policzkach gęsto kapały łzy. Kmiecie na gwałt zaprzęgali woły, lecieli ku domom społem chować dobytek przed stanem książęcym. Skoszone siano pachło ciężką, duszącą wonią.

A wieczorem drużyna rozwalila się w obejściu Ksieńca a Bodka. Piekło się mięso, warzyła polewka. Ksieniec stał w progu, ponuro doglądał domowników, by w czymś nie uchybili gościom. Rozochocona czereda ryczała:

Da, za górą, za laseem,

da, za górą, za borem...

7.

Podgrodzie krakowskie oblepiło gród dokoła - gęste, zbite. Między chatami kowalów - od wschodniej strony grodu - przemykał się niski, obszarpany człowiek z sakwą u boku i worem na plecach, pytał prędko o Żurawia. Żuraw wyszedł z kleci, ujrzał gościa, zbladł, cofnął się. Gość stał ciężko na progu, sapał, nie mógł słowa wydusić, głowę przykurczył. Twarz Żurawia była biała, wargi, zupełnie bez krwi, blade jak glisty, marniały:

- Dudek... lelum... Dudek...

Gość przełknął ślinę, powiedział chrapliwie:

- Jam ci... - czuł gorącą chęć objęcia brata ramionami, nie mógł dźwignąć ciężkich dłoni - no! Żuraw! no!

Żuraw krzyknął w głąb chaty:

- Sławula, obacz no - swą wysoką, tykowaną postać znów obrócił do brata - Dudek! Skąd! Prawili, że cię Czechy ubiły.

- Żywym - zamruczał wolno gość. - Wróciłem.

- Skąd?

Szeroki zamach ręki:

- Skąd? Abo wiem. Ze świata.

- Powiadaj.

- Dajcie wejść.

- Wejdz! Wejdz! Dudek! Lelum! Sławka, kajżeś podziała się, obacz! Dudek przyszedł. Chodźże, chodź. Sławka!

- Lelum! - krzyknęła Sławka, rozłożyła ręce: - Dziewierz!

- Głodnyś?

- Pewno - oczy gościa pierwszy raz pojaśniały, ramiona opadły, rozprężyły się, westchnął głęboko, naraz się zaśmiał swobodnie, beztrąsko, głową potrząsnął, znów zaśmiał się, głosem, w którym drgało coś niby dźwięk struny; powiedział :

- Tu już mię nikt nie zgoni.

Bratowa otarła ławę, siadł, twarz mu się coraz odprężała, rysy łagodniały, rozglądał się: izba była mała, czarna, z sadzą na ścianach grubą na palec, z wielkim kowalskim paleniskiem, górą węgla,



miechem skórzanym do sycenia ognia, z wielkim kładziwem i młotem a kleszczami; w mrocznym kącie coś chrobotło, coś chrzęściło i churkało, snadź tuczyła się tam czarna świnia puszczańska, z długim ryjem i długim ogonem. Żuraw przysiadł w kucki przy palenisku, lekko uciskał miech, węgle się jarzyły biało, rzucały iskry. Sławka stawiała na ogień płaską rynkę glinianą, biła w nią jaja, kładła kawałki słoniny, raz po raz rzucała wstydlive spojrzenia na dziewierza. Żuraw pogmerał w ciemnym kącie, tam kędy świnia chrząkała, wydobył łagiewkę, niósł ją w obu dłoniach do stołu, ostrożnie, nabożnie; postawił przed bratem, zaśmiał się, uderzył płasko dłonią po karku, zawołał wesoło:

- Próbuj. Tęga syta. Od Głowaczabartnika mam ją, próbuj - oczy mu biegały jakby niespokojnie. - To dziesięć lat... pewno... dziesięć będzie.

Dudek podniósł wyrazistą, mięsistą twarz z wąskimi oczyma i wiechciami bujnych wąsów, szeroko językiem oblizał z wąsów miód, zagadał:

- A dziesięć... Bez mała dziesięć... A syta dobra... Dawno nie piłem takiej... Dziesięć... Długo...

- Długo... - Żuraw zdawał się zmieszany.

- A co u... - Dudek zająknął się - żywię aby? Sławka rzuciła szybkie spojrzenie na męża, dojrzała, jak Żuraw schował oczy, gębę zakrył garścią, zakaszlał się, dłonią nos utarł, naraz spytał prędko:

- To Czechy cię nie ubiły?

Tamten siedział nieruchomo, obu łokciami wsparty na stole:

- Ech!

- A ci, co z Mieszka chodzili, bajali: w łeb ci Czechy dały.

- Zamroczyło mnie.

- Wzięli cię.

- Wzięli.

- I co?...

- Nie ma o czym gadać... - wyciągnął ramiona, przeciągnął się. - Ot, rzeknij, jak u mnie? Chata stoi?

- Stoi. I co?

- A no... A Miła? Jest? Żywię?

- Żywię - odparł Żuraw z grymasem. Gościowi twarz pokraśniała, ręce znowu rozłożył, znowu przeciągnął się.

- Jutro pójdę k'niej.

- Zdążysz.

- Ech! Co ty tam wiesz, Żuraw, głuptak ty. Na podgrodziu siedzisz, księdzu jeno miecze kujesz a siekiery bartnikom. Świat jest wielki.

- ...świat?

- A no. Inny ład tam. A wżdy człek nie drewno... i drewno robak toczy. Ha ha! Co tuszysz dobrze o sobie, Żuraw ty, ech! - kuksnąi go w bok - och! Głuptak ty! Uciekłem. Psami gnali, piołun sypałem na trop. Należli to mię, ha ha ha! Żuraw!

- No?

- Żuraw! Rankiem k'swoim pójdę. Synal wielki już otrok, co? Miła stara już, gadaj?

Żuraw wiercił się na ławie, Sławka, podając misę z jajecznicą, suchym, drewnianym głosem:

- Obaczysz.

Dudek z nagłą się przestraszył:

- Co wy?...

- Ech! Pójdiesz, obaczysz.

- Wraz. Rankiem.

Żuraw powtórzył:

- Zdążysz.

Dudek - acz siedział nieruchomo - zdał się być samą niecierpliwością. Słowa mu rwały się z gardła:

- Ech, wy! Zdążysz, zdążysz. Dziesięć lat. Mieszka żył jeszcze, kiej nas pobrały na ona czeską bitkę. Nynie, mołwią, Bolko.

- Był tu, nie raz, nie dwa razy...

- Jaki on? Srogi?

- Ooo! Chrobry. Bił i Węgrów, i Normanów, i Prusów, i Weletów. Nas tu na podgrodziu było wprzody kowalów trzech. Nynie: siedemnastu, bacz, całe siodło kowalskie. I co ? Miecze a miecze, groty do sulic a szypy do strzał, a siekiery: kujem i kujem. A księdzu mało i mało. Wołom jarzma pękają, ciągiem nam tu żelazo wożą a węgiel. I co? Braknie. Oho, Bolko, mołwią, ludzi nabrał na onych wyprawach by piasku. Mołwią, puszcze kładzie, a siodła i siodła nowe. I kowalów tu

niewolnych przywiózł siedmiu, jest jeden Niemiec, cudacudeńka zdoła młotkiem wykuć...

Dudek zaśmiał się nagle:

- A ja...

Sięgnął po sak, rozsuptał, łapę zanurzył prędko, niecierpliwie, wydobył długi nóż, wyciągnął do Żurawia:

- Obacz.

Tamten wziął nóż w rękę, oglądał. Ostrze długie, błyszczące, wyczyszczone, a trzonek!... Świecił żółto, drobnitka by włos siatka wiła się dokoła, przeplatały się w niej listki wyrzeźbane misternie, listki a jagody, maleńkie a udane, nad dziw. Żuraw wargi wyciągnął, gwizdnął by drozd.

- Sameś?... - zazdrość zadrgała w pytaniu. Dudek jeszcze pośpieszniej, niecierpliwiej pogmerał w sakwie.

- A to?...

W rękę trzymał krzyżyczek niewielczutki, na nim maleńka postać rozpięta, wyklepana cudnie z blachy mosiężnej, głowa, oczy, nos, usta wygięte bolesnym grymasem, ręce, nogi gwoździkami przybite. Żuraw wyciągnął rękę, poznał, co brat trzyma, cofnął dłoń.

- Tfu! Na psa...

- Nie bojaj się... - szeroko, wolno śmiał się Dudek, w śmiechu tym grał inny świat, daleki, cudny i pociągający, budzący tęsknotę. - Nie klnij! Nie ugryzie cię... Sam ci kowałem...

Żuraw wyciągnął rękę. Sławka, stojąca za nim, syknęła:

- Nie ruszaj! - ale chłop na przekór babie wziął krzyż, dłoń rnu lekko drżała. Oglądał długo, dziwił się. Mruknął, zazdrość wyraźnie łamała mu głos:

- Idź do grodu, pokaż. Łaskę najdziesz u księdza. Idź! - Do grodu?... - zaśmiał się Dudek - mnie k'puszczy droga. K'swoim. Co tam wiesz. A jeśli powiem ci, że dziesięć lat tążył. Do Miiej a chłopca, do chaty swojej, do puszczy. Do... - słów nie znalazł na odmalowanie owej żrącej tęsknoty za swojszczyzną, za cierpkim zapachem podmokłej ziemi, za głosami błot i lasów w letni przedwieczór, za drzeniem sochy udzielającym się ciału, za widokiem powolnego wołu, za śmiechem i śpiewem białki, za jej piersiami i biodrami, za obrośniętymi gębami swojaków, lelum! nie miał słów na to. Ileż to razy, patrząc na cudze, nudne drzewo cyprys, widział gładki, czerwony, lekko łuszczący się pień sosny, z guzami odpadłych gałęzi, z płaskim, szumiącym czubem, niby dłonią złożoną pod niebem. Jadł jajecznicę ze słoniną, zapijał miodem, raz wraz powtarzał patrząc w niechętnie oczy braterstwa:

- Rankiem pójdę k'swoim. Słyszycie! - spoglądali po sobie z niepokojem, nie widział tego niepokoju. Śmiejącymi się oczyma wodził wciąż wkoło - po izbie, po sadzy, po kowalskich przyrządach, po

strapionych obliczach brata i bratowej - po swojszczyźnie. Radość dławiała w gardle.

Radość ta nie dała mu usnąć, gdy ułożono go na ławie, na wprost otwartych drzwi; noc była gorąca, parna. W ciemności muchy huczały skłębioną, senną gęstwą. Żuraw z żoną coś szeptali w kącie, usnęli w końcu. Żuraw chrapał i poświstywał przez sen. Świerszcze cykały. Poprzez otwarte drzwi zaglądał wąski sierp księżycy, zda się, lekko kołysał się, drażnił rój drobnych gwiazdeczek tańczących w płochliwych płasach. Lipa tuż za domem leciutko szeleściła. Migał w otworze drzwi bezgłośny cień gacka. Świnia chrząkała w rogu chaty. Pachło tak słodko, tak swojsko - spalenizną, świnia, cichą nocą letnią. Dudek oddychał głęboko, pełną piersią.

Nazajutrz nie słuchał zatroskanych zaprosin braterstwa, by gościł jeszcze. Zabrał swą sakwę i wór, ruszył mocnym, krótkim krokiem w stronę Wisły. Po stu krokach odwrócił głowę, Żuraw i Sławka stali w progu, patrzyli za nim, nie dostrzegł w ich postawie zatroskania. Machnął ręką wesoło, nie odpowiedzieli na pożegnanie. Poszedł dalej, rozglądał się. Podgrodzie rozrosło się, oho! klecie i klecie. Na lewo - nosem to czuł - siedzieli wyprawiacze skór; na wprost - kołodzieje. Gruda odgiął się od piasty, spojrział na obcego; w kroku człeka było coś lekkiego, radosnego. Kołodziej strzyknął przez zęby, mruknął:

- Pewno obdarzyli ji w grodzie, to i wesoły.

Wisła przywitała go zapachem gliniastego iłu, podmokłej łożyny, mętnej burej wilgoci. Szedł brzegiem, póki go bajora nie odepchnęły od nurtu. Oczyma wodził po polach, wiatr kołysał zboża, jakby olbrzymi płomień lizał je srebrzystymi jęzorami: zapalały się bielą i złotem i gasły w jasnej, delikatnej zieleni. Potem wędrował przez bór, drogą przeciętą w puszczy przez Bolka. Kraska zerwała się z drzewa, mignęła błękitem niby urwanym skrawkiem nieba. Żółtym podbrzuszem świeciła wiwilga. Wiatr gnał białe obłoki po niebie. Dudek szedł szparko mimo upału, gieżło mu przemokło, przylepło na łopatkach, wór ciążył. Zaraz po południu przystanął, zawahał się: dojrzał obszerną polanę z rozrzuconymi chatami. Pola i tu falowały. Na skraju sterczały z ziemi obrąbki pni, chrust leżał zwalony w kupy, przygotowany do palenia. W pobliżu łagodnie zielenił się len; kobiety tam pracowały, pochylone wrywały mlecz i oset. Przed dziesięciu laty nie było tu tej polany. Dziw!

Dudek stał sapiąc, kosturem dłuabał ziemię. Może zabłądził. Ruszył ku babom w lnie:

- Pomagaj, Dadźbożc! - krzyknął.

Wyprostowały się, przysłoniły dłońmi oczy od słońca. Nie odpowiedziały. Dudek - urażony - podszedł bliżej, zdziwił się jeszcze bardziej; strój bab był cudaczny, obcy. Zapytał:

- A kaj to Bienie żyją? Idę k'nim. Odpowiedziały z obca, chropawo:

- Nie wiemy. Chłopów pytajcie. My tu od niedawna.

- Skąd?

- Od Weletów.

- Oo! Jakże to?

- Ksiądz Bolko nas w jeństwo wziął, w głuszy osadził. My niewolne.

- Niewolne! - wykrzyknął Dudek i zabolalo go w piersi. Aż naraz zachłysłnął się ostrą radością, nie wytrzymał, krzyknął:

- Nic! Jam ci dziesięć latek niewolny był, a nynie... - patrzyły jak pobiegł spieszenie niby ścigany. Kosturem się nie podpierał, ścinał nim, nie przystając, trawy a chwasty. Jedna z pracownic, wysoka, kosooka, szepnęła do towarzyszki :

- Słyszalas ? - zamigotało jej w oczach. Tamta uśmiechnęła się krzywo:

- Nie bajaj. Rwij. Bo pletnia będzie wieczorem. - Pochyliły się gorliwie.

Słońce z wolna chyliło się do zachodu. Dudek szedł jeszcze szparciej, poznawał już las, przystanął przed rozłupanym przez piorun modrzewiem, rękę włożył w szczelinę, serce mu skakało. Sapał gęsto, oglądał się - nie widząc. Wiedział: za ona brzezina jego chata; i Miła; i otrok. Bezwiednie ruchał paluchami po drzewie. Odetchnął. Ruszył wolno, krok za krokiem, dusiło go. Przeszedł brzezinę, wciągał rozkoszny ostry zapach, jak dawniej brązowiały tu czapki podbrzeźniaków, najczupurniejszych grzybów, na wysokich, białych nogach; wyszedł z brzeziny, dojrzał burą strzechę chaty, chruściany płot, zatoczył się.

Kusztował do chaty by chromy. Podeszedł do pletni, w zagrodzie łąził byk, błyskał wściekle oczyma. Dudek stanął, z chaty dobiegł go śpiew, głos był swój, najbardziej znany, miłowany:

Da, nie pójde w las,

da, nie pójde w pole...

Znów stanął u płotu, nie mógł stąpić. Serce waliło. Piosnka się urwała, z chaty wyszła kobieta z łagiewką, wołała na świnię:

- Cię cię cię, maluśkie!

Obrzucił ją jednym spojrzeniem, dojrzał wszystko. Postarzała ździebko. Koło oczu drobniutkie zmarszczki. Bledsza niż dawniej była. W ruchach, w śmiałym kroku coś obcego. Nie widziała go, do wydłubanego koryta wlała zawartość łagwi, czarne świnię przyparły się do żarcia, ciapały. Przełknął ślinę i naraz krzyknął pełnym głosem:

- Miła! - i jeszcze raz, już szeptem:

- Miła...

Obróciła się tym obcym, ostrym ruchem. Stanęła w półobrocie, widać: poznała go. Zbladła, oczy zrobiły się ogromne, przerażone, zachwiała się. Ręką zaczęła szukać oparcia, zrobiła kilka chwiejnych kroków, złapała za kołek w płocie, po przeciwnej stronie podwórza. Poderwał się, by iść ku niej. Wtedy - w trwodze śmiertelnej - założyła duży palec między wskazujący i średni,

wyciągnęła rękę i sieknęła:

- Tfu! Przepadnij, lichu!

Dudek stanął w środku podwórza, gębę otworzył, oczy mu błysnęły wściekłością i strachem. Naraz zrozumiał jej grozę, zaśmiał się i krzyknął:

- Żywym, Miła, żywym! Czechy mię nie ubiły, w jeństwo wzięły. Uciekłem. Jam ci... - i na ochronę od swego bezimiennego widma krzyknął swe imię:

- To jam ci... Dudek.

Stała bez ruchu, wciąż z tymi wlepionymi weń ogromnymi oczyma. Krew jej uderzyła w twarz, dłoń z zaklinającym znakiem opadła. Kobieta wyszeptała:

- Żywyś ? - niedowierzenie w tonie.

- Żywym - krzyknął z nową falą radości.

Ona zbladła, jak przed chwilą, gdy myślała, że widmo męża przed nią stoi. Znow złapała drżąca dłonią za płot. Powtórzyła:

- Żywyś... O Dolo! - i naraz zerwała się, pierzchła do chaty. Stał chwilę oniemiały. Ruszył wolno za nią, radość się jego rozwiała jak blask miesiąca na stawie pod wiatrem, zaczepił nogą o próg, przepomniął uczcić go dłonią, zrazu nie widział nic w mroku. Czuł: łomotało mu w piersi. Odetchnął. Dojrzał wiszącą kolebkę, przed nią klęczała Miła, oplotła ją ramionami, plecy jej szybko drgały. Dudek widział rozpacz w owym drgającym łkaniu, otepiałym wzrokiem patrzył na kolebkę, na żonę. Uczuła snadź jego wzrok, nie powstając odwróciła głowę, oczy skoszone, wargi wykrzywione, twarz drgała konwulsyjnie strasznym spazmem, nienawiść i obrzydzenie bluznęło w krzyku:

- Wróciłeś? Czemuś wrócił? Czemu cię Czechy nie ubiły?!

Dudek czuł niejasno: powrót dlań był nowym życiem, dla niej waleniem się życia. Marniał:

- Miła... Miła...

Ona się naraz podniosła, szła ku niemu, nie zalękniona już, z nagle wygładzoną twarzą, wygładzoną, ale szarą i zwiędłą, z bolesnym szeptem:

- Czemuś wrócił? Nynie... Nie pięć lat temu, lecz nynie... Dudek!

- Miła...

Stali blisko siebie, twarzą w twarz. Patrzył jej prosto w oczy - szare, duże, przelęknięte i bezradne. Dusił się od pytań panicznych i straszliwych podejrzeń, a supłał tylko bezmyślnie:

- Miła?... Co ci to?... Miła?...

Z wysiłkiem oderwał od niej wzrok, powiódł po izbie, swojej, dawnej, nie zmienionej chacie. Ukłął go naraz kształt, którego już nie było, gdy Mieszka go wezwał na wyprawę: kolebka. Zrobił ku niej krok, Miła zabiegła mu drogę, zasłoniła.

- Nie rusz!

- Co tam?

- Syn - дума w westchnieniu.

- Czyj?

- Czarnego.

- Miła! Tyś...

- Tak. Starzy uradzili tak: chatę i mnie dać Czarnemu. Prawili woje Mieszkowi: "Dudka Czechy ubiły. Wdowaś".

- A ja...

- A ty?... wróciłeś. By zwid. Dolo...

- Wróciłem - stęknął Dudek. - Oo! Dolo! Dolo...

Długo siedzieli podle siebie na ławie. Milcząc. Rwały się im serca. Stado wróbli obsiadło przyzbę, ćwierkały, kłóciły się. Na toku czerwieniło się słońce szerokim, kraśnym prostokątem.

- A syn?... Wa/yk?...

- Ważyk?... - powtórzyła półprzytomnie. - Jest... Żywię...

Znów milczeli, wróble się kłóciły..Naraz pierzchły z furkotem. Na czerwonym prostokacie zaciemniał cień człowieka. Dudek podniósł wzrok, dojrzał go: niski, krępy, z błyszczącymi żywymi oczyma, z czarnym kędzierzawym zarostem. Kobieta skoczyła ku niemu, znów szloch nią szarpnął, krzyknęła:

- Czarny! Czarny!

Dudek powstał, szedł półprzygięty, z łbem pochylonym, niemal podpierał się rękoma. W głowie miał pustkę, w piersi huczała tęsknota dziesięciu lat, dziesięciu lat w Czechach, w Italii, u Sasów, ale gdzieś głębiej, głębiej jeszcze niż serce, skandował zimny, zimniejszy niżli lód, głos:

- Zabić... Zabić... Zabić ścierwo... - i skoczył.

8.

Od morza ciągnął gorzki wiatr. Dziewina wełniła się drobniutką, kędzierzawa falą. Do jomsborskiego grodziszcza podpływała łódź z dziesięciu wioślarzami. Wojownik na dziobie był rogaty, krzyknął po swijsku:

- Wiedz nas do Dzierzka. Od Sygrydy... Od Sygrydy... - żelazne wrota uchyliły się nieco, łódź się wemknęła.

Na zewnętrznym pomoście - po tylu latach - znać jeszcze ślady spalenizny, skutek ognistego ataku płetów Bolkowych. Palisada nowa, tęga. U samej wody - w trzech szopach - żyje Bolkowa drużyna; w porcie dwadzieścia trzy łodzie z turzymi czaszkami na dziobie, osiemnaście - z czerwonymi pióropuszcami. W obramieniu bramy szeroko rozkraczony stał Sigwald Rabogęby. Jedenastu Swijów szło ku niemu wolnym, kołyszącym się krokiem, zbroje błyskały. Sigwald patrzył na nich, mrugał powiekami.

- Do Dzierzka - powiedział Swij; przez martwą twarz Rabogębego przebiegł grymas, patrzył nieruchomo na Swija, tamtemu złote kędziory wymykały się spod rogatego hełmu.

- Od Sygrydy?

- Od Sygrydy.

- Co tam?

- Rzekła mi: powiedz Dzierzkowi, Belkowemu jarlowi w Jomsborgu - twarz Sigwalda skrzywił znów ten sam grymas zniechęcenia i zawiści, w ustach żuł coś, co miało smak piołunu, gorzkiego ziała. Machnął ręką. - W trzeciej szopie... Na prawo - odwrócił się plecami, poszedł wzdłuż wody u pomostu. Deski ugiwały się lekko pod stopami, poskrzypywały. Pale do wysokości pomostu obsiadł śliski, zielony śluz wodny, pachniał zgniłą zastołością; zapach ten mieszał się z wonią smoły i suszących się podgniętych ryb. Mewy kołowały.

Sigwald skoczył do małego czółna, nastawił maszt, bure płótnisko żagla, umocowanego na dwu drągach, podciągnął w górę, pchnął wiosłem, pogrzebł do wrót. Stróża uchyliła je bez słowa. Rabogęby puścił czółno na prąd, sunął wolno, leniwie. Nozdrzami łapał wiatr morski... gorzki... Dwie zmarszczki koło warg nie rozpląszczyły się - nuda żarła Sigwalda, nuda, czczość i zazdrość.

Nie wyrznął Bolkowej drużyny.

Oddał gród wolnych Wikingów w wieczne jeństwo.

Kto tu jest jarlem? Kto nakazuje wyprawy? Do kogo posłania ślą?

Młokosys Dzierżyk, a bez niego nic. Od Sygrydy - psiamać! - do Dzierzka.

Chłonał nozdrzami wiatr morski... gorzki... - zmarszczki koło warg jeszcze się pogłębiły. Psiamać! Dzierżyk...



Pod wieczór zaledwie wrócił Sigwald do Jomsborga. Wołano go zaraz do Dzierżka - na radę. Poszedł, ciężko tupiąc nogami - wielki, wspaniały, rabogęby Sigwald. Sigwald - jarl Jomsborga. Powitał ponurym wzrokiem tamtych dwóch: posłańca swijskiego i Dzierżka - stróża jomsborskiego. Dzierżyk odwrócił się ku niemu:

- Ho, Sigwald! Przyszedł czas mścić twoje krzywdy - Sigwald zawiesił na nim ciężkie spojrzenie - pójdziem bić Trygwasona.

- Ho! - odburknął Sigwald i twarz mu ściemniała. Dzierżyk nadpił z rogu, wyciągnął dłoń:

- Do ciebie, Sigwald! - Wiking wychylił jednym tchem, mlasnął wargami. Dzierżyk miał twarz czerwoną, podnieconą. Swij wodził oczyma po obu jarlach, po istbicy z ciężkich tramów utkanych mchem, pełnej broni - różnorakiej, zdobyczej. Spomiędzy kolan sterczał mu goły miecz, poseł był bez hełmu, czerwone kędziory rozsypywały się mu po karku i policzkach. Dzierżyk obrócił ku niemu niecierpliwe wejrzenie:

- Bajaj dalej - rękoma objął kolano, odchylił się do tyłu, bujał się, nie spuszczał wzroku z gościa. Sigwald podparł brodę na pięści, oczy mu umknęły w tył czaszki, słuchał onej gadki o dalekim kraju granitowych urwisk i świerkowych borów, kędy królowała po śmierci Eryka Świętosława Mieszkówna, siostra Bolkowa. Wiatr od morza się wzmógł, zgrzytał po zrębach szopy, trzaskał po dachu. Dzierżyk w zadumaniu rzucał na ogień smolne szczapy.

Aż uchwalili Swije, że czas wdowieństwa Sygrydy się skończył. Już trawa porosła grób Eryka, niechże męża szuka królowa. Jej trza męża, wojom wodza. Śmiała się Świętosława na one gadki, po rodach szedł rum. Tegdy króliki swijskie, jak ich pięciu było, każdy umyślił za żonę ją brać. Strach było patrzeć na nią, skoro jej o tym donieśli. Bładła i kraśniała, jakby ją lód okrywał, a ogień palił. Ma duże, białe zęby Świętosława: ścisnęła nimi wargę w złości, aż przegryzła, krew ciurkiem poszła. Tymi skrwawionymi wargami powiedziała: "Niechże jadą do mnie w swaty, do mnie, królowej i pani, wdowy po Eryku zawsze zwycięskim, one króliki" ... "Który?" - pytali ją posłańcy. "Wszyscy pięciu." Pobiegli posłańcy do królów swijskich. Ho!

- Do pięciu?

- Do pięciu, mołwię wam. Do pięciu królików swijskich lecieli posłańcy po swijskich borach.

- Ho ho! - Sigwald naraz roześmiał się szeroko, urwał wpół śmiechu, wlepił oczy urzeczony w bajarza.

- Do pięciu królów szły posłance od królowej: "Przyjeżdżajcie w swaty. Wdowam". Jak ich pięciu było, przyjechali. Wraz ich przyjęła Sygryda z twarzą wesołą: "W swatyście przyjechali do mnie, wdowy po Eryku, królowie?" - "Przyjechalim" - odwrzasną. - "Nie za dużo to was?" - "Wybieraj." - "A któryż to z was najgodniejszy, żeby mnie, córkę Mieszki, wdowę po Eryku brać?" - Oni w krzyk, każdy siebie przechwala: dokąd to łodziami wyprawy wiódł, ilu mężów pobił a ile grodów i siodeł złupił. A królowa biała na gębie jak pierwszy śnieg po lecie. Ale uśmiecha się do onych samochwalców z wielkimi gębami - złym uśmiechem i dumnym. Zaraz wdzięcznie prosi gości do halli... Tam już gody zgotowane iście królewskie, jedzenie a picie! - "Jedzcie a pijcie, goście mili,

boć to ostatni raz w swaty jeździe. Nie wybiera się już miłej po Sygrydzie, nie idzie w łożę z inną, kto raz dla Sygrydy łożę usłał. Obaczmy, który w objęcia mię weźmie?” - Siedli wkoło, jedli a pili. - “Widzę, żeście żaby, nie męże, królowie swijscy - rzecze Sygryda, a głos jej zimny złością tajoną, że do niej ośmielili się w swaty jechać - gadacie wiele, a pić nie umiecie. Widziałam ci wojów Erykowych, gdy wracali z wyprawy, ci pili”. Tegdy prasnęli rogami o ziem, kruzami piją, gęby czerwone, oczy złe, koszą na się, a każdy do Sygrydy czuli się a łasi, ona zaś na stolcu siedzi, na podwyższeniu, podle puste karło po Eryku. Palcem na ono karło pokazała i rzecze: - “Królowie swijscy, was pięciu, a stolec jeden, jak będzie? Chcecie mię brać, a droga do mnie nie wiecie jaka? przez miecz. Popiliście się jak wieprze i po pijanemu chcecie mię stargować. Który żywy wyjdzie z tej halli, ten mi mąż a pan”. - Poderwą się i do mieczów, jako że myśleli - durnie! - że ich do walki o siebie i władztwo wzywa. Jak ich pięciu było, zbili się w kupę, który z mieczem, który z nożem, rzną się. A halla ona obłożona już była chrustem zlanym smołą. Sygryda wstaje nagle, cała kraśna na gębie, wyszła a wojów swoich wywołała: nie pojmwali, dokąd ich woła. A ona sama własną ręką dźwirze zawarła, kołem tego podparła, już jej pacholek żagiew niósł: sama hallę z czterech stron podpała.

- Podpała! - wykrzyknął Dzierzyk. Sigwald - ze wzruszenia, z przejęcia - znów charknął krótkim śmiechem, z nagła urwanym.

- Z czterech stron. Patrzyli na on stos żywy, w środku ryk, mołwie wam, ryk a kwiczenie by wieprzów. Parsknęła słysząc to Sygryda i pry do nas: - “Słyszycie? woje swijscy - nawet umrzeć nie umieją one zasrańce. A na mnie oczy podnieśli i ramiona. Lećcie tegdy do rodów ich i nieście im wieść o śmierci i strachu onych pięciu. I niechże nikt oczu nie śmie podnieść na Sygrydę, córkę Mieszki”. - Polecielim na to słowo i padł strach po całej ziemi swijskiej.

- Ooo! - krzyknął Sigwald, aż drzał z podniecenia. Poseł swijski porwał nagle za swój miecz, rąbnął w ławę, sam pobladły z wrażenia. Uspokoił się ździebko, bajął dalej:

- ...po całej ziemi swijskiej. A u Dunów był w on czas Swend konungiem, chytry woj. Zamyślił do Sygrydy dziewosłębów słać. Przychodzi syn do Sygrydy: - “Matko - rzecze - śle Swend duński dziewięć łodzi do ciebie z wielkimi darami. Co uczynisz? co powiesz Swendowym posłom?” Obaczę - rzekła królowa - ty idź a ćwicz się w swoim, byś był jako Wiking: żurawia zdjąć spod samego nieba jedną strzałą, rybę wyjąć z największej głębi, wroga powalić, choćby miał ramion sto, a w każdym ramieniu miecz, łodzią dotrzeć do Greenlandu i dalej. Tobie nic do mnie, nie swataj matki”. - Odszedł tegdy Olaf syn Eryka, a Sygryda chodziła po halli blada i zadumana; kto by się do niej zwrócił, w mig odszedł, odprawiony ostrym słowem. Jeno stary skald Eiykowy miał przystęp do niej. Siadała Sygryda na ławie usłanej białą skórą niedźwiedzią, wyprostowana by sosna, twarz miała białą a kamienną, brwi zmarszczone, słuchała pieśni skaldowej. A opiewał skald woja dobrego Olafa, syna Trygwy.

- Śmierć mu, gadowi! - krzyknął naraz Sigwald, cętki na gębie mu zsiniały. Dzierzyk garść mu położył na kolanie, nachylił się do przodu i ochrypłym szeptem do Swija:

- Bajaj.

- Onże Olaf morza zjeździł wszystkie, wszędy łupił. Jarlem Jomsborga był. Później ugodził się z

Bolesławem.

- Ugodził się - stęknął Sigwald.

- Cichaj!

- Ugodził się... Ugodził się, psiamac! Palisadę dał spalić, Jomsborg w jeństwo oddał. - Dzierżyk zwrócił zmrużone oczy na Sigwalda, w spojrzeniu zatajona drwina, powtórzył:

- Bajaj.

- Z Jomsborga do Nordwegu wrócił z drużyną, tam starego Haakona rozerwał i pożarł, lud uwolnił, na wyprawy go wodzi, młody a mężny, sławę ci taką ma jak nikt z konungów. Zasłuchała się Sygryda Dumna w gadki bazarza, rozmyślała się w Olafie, synu Trygwy.

- Och!

- Mówi tegdy do posłańca Swenda: "Nie dla takich jak wasz król Sygryda. Wracajcie do Swenda i powiedzcie mu: niechże bierze miesiąc, równie mu daleko do miesiąca, jak do mnie". I nie wzięła darów duńskich. Odplynęli Dunowie na dziewięciu łodziach, srodze ozeżeni, że zhańbiono Swenda; Sygryda woła syna. "Zbierajże wojów, synu, leć po rodach swijskich, niechże bronią królowej i siebie, bo nynie wojna z Swendem pewna. Nuże!..." - ale on pobladł mocno, boć syn Eryka nie wdał się ani w ojca, ani w mać: urzekł ji kto w kolebce, abo co? kądziel mu przystoi, nie miecz. A mać wciąż sama siedziała w halli, wciąż wołała skalda i bajać mu kazała o Olafie Trygwasonie. Słuchała, a na jej bladą twarz biła krew i oczy błyszcząły.

- A Swend jest nie tylko mężny, ale i chytry, najchytrzejszy z Wikingów. Posłał do Olafa swego skalda, a ten baje mu o piękności Tyry, siostry Swendowej. Rozmyślał się Olaf w Tyrze, jak Sygryda w Olafie: z gadki bazarza. Chciał ją od Swenda brać. Ale już przedtem ugodził się na spotkanie z Sygryda, wypłynął w łodzi swej, kraśny z gniewu. - "Chce mię brać Sygryda, jak mąż bierze dziewczkę - krzyczał do wojów - mnie, Olafa syna Trygwy, ona suka krwawa, wdowa po starym grzybie, matka głupawego wyrostka". - Łódź jego skakała po białych wełnach, a naprzeciw niej skakała łódź Sygrydy. Królowa była blada, męczył ją wstyd: wyjeżdża naprzeciw swatów, miast czekać ich doma; ale takie były warunki układu.

Swij zadumał się pod urzeczonymi oczami obu jarłów jomsborskich. Odetchnął.

- Niebo było szare, zawalone chmurami, morze czarne i złe. Spotkali się. Krzyczy Olaf ze swej łodzi: - "Niechże Sygryda przyjdzie do mnie, na moim »Wielkim Smoku« będziem układać się, gdzie indziej nie". - Jeszcze bardziej zbladła królowa, ona, co z dumy spaliła pięciu królów swijskich, że śmieli oczy na nią podnieść. Na kamienny młot Tora! była biała jak piana na morzu. Piersi jej falowały, tchu nie złapała, na czole gęsty pot. Patrzym na nią milczący. Pyta ją w końcu syn: - "Jakże, matko?" - Jakby drewnianą piłą szorował jej głos: - "Niechże rzucają pomost. Nie mogę żyć bez Olafa syna Trygwy". - Krzyknęlim, rzucili pomost. Szła po nim pewnym krokiem, głowa do góry. Olaf z łodzi szczyrzył do niej zęby, naraz wrzaśnie do swoich, puścili pomost, chlupnęła Sygryda w wodę. Zanurzyła się, wypłynęła, nie patrzy na nas, patrzy na Olafa, oczy wielkie, wielkie, bławe,

prawą ręką trzyma się za pływające deski krzyczy: - “Umyślnieś to zrobić, Olafie synu Trygwy ?” - “Umyślnie!” - i rechocze prosto jej w gębę, a za nim woje jego z krzykiem: - “Smaczne to zaloty wdowine? Ejże, podziwujęm się na wdowie kpisko, czyli dobre dla Olafa!” - i plują na nią w wodę. Skoczyły Swije ratować z wody królowę, a ona w krzyk, wargi miała sine, a gębę wykrzywioną: - “Ostawcie mię tu w morzu, sami zaś uderzajcie na psiego syna, mścijcie Sygrydę”. - “Będę z babami wojował - na to Olaf - jedną znam tylko walkę z babami, a tej tu nie chcę, bo stara baba i mokra! Odpływać, chłopcy!” - i odpłynął. Nim wydobyliśmy Sygrydę, gdzie tam gonić zbójów. Wróciłim do'domu.

- Wróciłim - powtórzył Swij w głębokiej zadumie - już ci to była nie ta Sygryda, była jak garnek pełen waru, szalała. Wraz posłała do Swenda: - “Przyjeżdżaj w swaty, bierz mię” - a gdy przybyli dziewczosłęby umawiać się, jedno gadała w ciągłym żarze: - “Pójdę ci za Swenda, skoro zaklnie się, że wraz na Olafa ruszy z całą siłą, i syn mój ze Swijami, i Jomsborg...”

- Jomsborg! - wrzasnął naraz Sigwald i zerwał się. Kiwał się chwilę do przodu i w tył, jak ugodzony szypem, gębę miał znowu raba. - Jomsborg! - powtórzył - wraz...

- Pójdziecie? - Swij wstał również, na głowę hełm nasadził.

- Wraz! Wraz każę żywność w łodzie kłaść a w róg trąbić. Wszystkie łodzie pójdą na Olafa.

- Hoo! - zaryczał Swij, dłonie zwinąwszy w trąbkę tuż przy ustach. Sigwald skoczył do drzwi, u drzwi złapał go za ramiona Dzierżyk. Zatrzymał.

- Ty co? - nagiy skurcz wykrzywił raba gębę.

- Bez Bolka nie pójdiesz nigdzie.

- Co mołwisz? Bez Bolka? Co mi Bolko? Gnój! Dzierżyk pchnął Sigwalda na ławę, krzyknął:

- Drużyna!

Drzwi otwarły się, sień była pełna ludu, wszyscy z bronią. Sigwald - rabił coraz więcej - łeb opuścił, charknął:

- Nie upilnujesz mię.

- Nie... - Dierżyk stał na rozkraczonych nogach, w ręce trzymał toporek - wiedziałem: nie upilnuję. To i zwołałem wojów: nie ujdiesz - podszedł do Wikinga, siadł pobok. - Słysz, Sigwald, nie bądź durny kiej pień. Bez Bolka nie pójdiesz - tamten podniósł oczy, ni słowa, w oczach tych skrzepła twardość; Dzierżyk zacisnął mu garść na ramieniu:

- Słysz, nie bądź dureń, nie bądź dureń, Sigwald. Nie pójdiesz bez Bolka albo głowę dasz. A pójdiesz? Idź, idźże, łam kark. Ale wrócisz - zarżał nagłym śmiechem - będziesz dobywał Jomsborg, jak my dobywali, nie wpuszczim cię. Słyszysz?

Swij stał naprzeciw tych dwu, mięśnie miał napięte, patrzył na Sigwalda: co powie? Tamten milczał.

Miczał długo, tylko cętki stały się bardzo ciemne, niemal czarne. Dzierżyk wzmocnił ucisk:

- Słyszysz?

Sigwald milczał, milczał poseł swijski, milczała drużyna stłoczona w sieni, sapanie tylko słycać.

- Słyszysz, Sigwald?

Milczenie, sapanie. We wszystkich rośnie ta sama wściekłość, wasy się jeżą, drzewca toporów drżą. Dzierżykowi się głos rwie z wysilenia:

- Chcesz, poślę wraz konnego do Bolka: niech go pyta. A zwoli Bolko mścić siostrzane pogańbienie: pójdiesz na Olafa.

Milczenie. Sap mężów. Szum wiatru. Trzask ognia. Wyduszony, cichy szept Sigwalda:

- Ślij!

Dzierżyk obrócił się do sieni:

- Sułek. Pójdiesz konno Wielką Drogą... do księdza... będziesz pytał, gdzie by był, najdziesz go. Bierz Swija, niechże baje Bolkowi o pogańbieniu Świętosławy. Chyżo! - A my... - za róg, nalał go, wychynał duszkiem. - A my... Na śmierć Olafa Trygwasona!

9.

Od onej nocy, gdy na podgrodziu poznańskim rycerz Arnulf zabił na rozkaz Ody wiedźmę targującą jadem, chłopiec Białowasa rozwałkonił się całkiem. Lebioda plaskała dłońmi, Białowas ponuro patrzył spod kudłów na syna. Jarek łąził wieczorami, gdy młodzik kołysze się wąskim sierpem, a wierzby szeleszczą wilgocią i chucią. Warta przewijała się gładko między niskimi brzegami, szeleściła, pachniała bagnem. Brakowało czegoś Jarkowi, przypominał, jak latawica plasnęła gałęzią po jego odbiciu w wodzie, zmaciła je. Wzięła go - czaremgusem - na wiek. - Nie spalił jej - nie. Czuł ją, jak ssała zeń siły, ssała spod serca. Siódma córa, gorąca dziewczka, suka - psiamać! Płużył się w nudzie i tęsknocie.

Wisiała ciepła noc letnia. Lebioda leżała podle Białowasa, ramię podłożyła pod głowę, patrzyła w ciemną izbę. Na palenisku tlały węgle. W kącie leniwo przeżuwał wół i krowa; czasem poprychiwały owieczki. W otwartych drzwiach błyskało kilka gwiazd. Lebioda słyszała nierówny oddech mężowy.

- Śpij.

- Abo tam. Czemu ty nie śpisz?

- Czekam...

- I ja czekam. Popamięta do wietku.

- Ubijesz ji tym ciągłym biciem.

- To ubiję.

- Urzekła ji latawica. Wprzódny nie był taki...

- To mu urok powrozem wytłukę.

- Tyle lat tłuczesz i nic! Cięgiem ma gębę w sińcach.

- Co zrobić?

- Oddać ji komu... abo co? Może zmieni siodło, zapomni. - Głupie dumki dumasz - burknął. Zamilkli, zapatrzył się w mrok. Cienko zabeczało jagnię. Białowas myślał ciężko, powoli, by wół, złość mu opadała, przychodził sen. Nie słyszał, jak syn wsunął się po cichu, namacał poślanie, legł. Matka słyszała; ale się nie ruszyła, nie szepnęła, by ojca nie budzić, bitki nie widzieć. Zmierziły ją te wieczne bijatyki.

Ojciec wstał przed świtem, stanął nad synem - długi i chudy - drapał się, patrzył ponuro na ciemną sylwetkę chłopca. Jarek leżał na wznak, ręce zarzucił pod głowę, oddychał głęboko i równo; gębę miał różową, dziewczynską. Białowas ruszał wąsami, mlaskał językiem, dumał jeszcze chwilę. Nachylił się, szarpnął syna, Jarek zbudził się, patrzył na ledwo widoczny cień ojca, ogromny w mroku; z dworca ciągnął rzeński, chłodny powiew, Jarek poczuł zimno, zadrzał. Siadł, ręką mimo woli

zasłonił głowę, czekał raz. Białowąs warknął:

- Wstawaj. Wywiedz wołu, zakładaj. Pojedziem.

Lebioda przysiadła w kucki, dmuchała w żar. Szkarłatny poblask rozjaśnił jej chudą twarz, wyciągnięte usta, zmęczenie pod oczyma. W twarzy miała uwagę, nasłuchiwała. Na ostatnie słowa Białowąsa poderwała głowę, krótki szloch przeleciał jej przez twarz, jak zmarszczka fal po jeziorze; nie krzyknęła, pochyliła się głębiej, dmuchała. Biały dym kręcił się połogimi kłębami, gryzł oczy. Wesóło zatrzasnął ogień. Lebioda przysunęła garnek z wodą. Jarek zarzucał powrózko wołowi na rogi, ciągnął ku drzwiom, bydlę się opierało, kręciło łbem. Białowąs stał wciąż bez ruchu na środku izby, ramiona podciągnął w górę, z pochyloną głową wpatrywał się w swe gołe, czarne stopy; nie zerknął na syna. Lebioda zdjęła z kołka wiadro, wybiegła po wodę.

Wyjechali, gdy słońce wyglądało zza rozczochranej, zaspanej puszczy. Matka do końca nie uderzyła w szloch. W ostatniej chwili objęła głowę syna, przytuliła do starej, wyschłej piersi. Jakieś niewypowiedziane słowa latały jej po wargach. Jarek wyzwolił głowę, spojrzął jej z bliska w oczy - były małe, blade, zastrachane, smutne. Suchy spazm zadrgał mu w piersi. Niezgrabnie powiódł dłonią po tej starej twarzy, z pośpiechem, w zawstydzeniu. Białowąs dzielił witką wołu po zadzie, wół ruszył niechętnie, skrzypnęły koła. Czerwone słońce świeciło im w twarze.

Jechali w zupełnym milczeniu. Rzeźwy chłód docierał do kości, wóz podskakiwał, ojciec siedział na przodzie, zgarbiony i milczący. Jarka ogarnęła senność, odchylił się, oparł głowę na worku z kaszą, przymknął oczy. Zasnął od razu, ale czuł podskakiwanie wozu, słyszał mruczenie ojca. Śniła mu się wiedźma-latawica.

Drugiego dnia pod wieczór ujrzeli palisadę grodu.

Białowąs odwrócił się do syna, od wyjazdu z domu odezwał się po raz pierwszy:

- Bacz, głuptak, on gród to Gniezdno. Mój swak tam grododzierzcią, wołają nań: Warcisław. - Naraz podniósł głos, nadał się, krzyknął:

- Wartko! Mój swak!

Jarek leżał odchylony z ramionami pod głową, spoglądał bezmyślnie w obłoki, słońce lamowało je purpurą. Białowąs patrzył na palisadę, mruknął:

- Wielki gród by Poznań. Wartko swak nam... Bacz, pod nogi ji weź, w kolano boćknij, może przypomni. Mój ci dziad był bratem jego dziada, przyrodnim bratem. I k'temu swak.

Kręcił się niespokojnie, pogania! wołu. U wrót zatrzymała ich stróża.

- Kądy?

- Do Warcisiawa. Z darami i pokłonem.

- Pojechał na łowy.

- Kiedy wróci?

- Jutro pod wieczór.

- Poczekamy.

Dozwolił im wjechać za palisadę. Głucho dudnił most z grubych dyli. Białowas stanął u podcieni a przy samej ścianie. Jarek odprzągał wołu, uwiązał go do wozu, podrzucił trawy; trawa była przywiędła, pachniała mocno, wół zagarniał ją pyskiem, żarł łapczywie. Białowas stał tyłem do wozu, patrzył w gród. Sennie by muchy jesienne łazili ludzie; trzech wojaków siedziało na grubej kłodzie, ręce mieli spuszczone między kolana, ugwarzali leniwie. Patrzyli na Białowasa: widać gadali o nim. Kmieć wahał się, przestępował z nogi na nogę. W końcu się odważył, podszedł niepewnie. Jeden miał gębę kraśną, spasioną, czarna szczerć pokrywała policzki i podbródek. Mrużył oczy, spytał od niechcienia:

- Skąd?

- Spod Poznania.

- Daleko...

- Do swaka przyjechałem z darami. Do Warcisiawa.

- Ho?

Oglądali go z góry w dół, milcząc. Siedzący z lewa, z długą pociągłą twarzą spytał:

- Coś przywiózł?

- Płótna płaty dwa, wór kaszy a łagiewkę miodu. Krasnogęby zmrużył oczy, obrócił głowę.

- Wartko pije jeno przedni miód. Kiej mu kiepski dadzą, sroży się, krzyczy, za łagiew i na pysk wylewa.

Białowas wsadził garść w kudły, podrapał - i niepewnie:

- Dobry miód mam.

- A no - zmrużył oczy krasnogęby; długoszczęki obrócił się żywo:

- Iii... Co dobre dla kmiecia, nie zawsze dla włodarza. Często nas Wartko na miód wzywa. Chcesz, spróbujem?

- Spróbujcie - Białowas wciąż tarł dłonią potylicę.

- Nie tu, nie lza wojom na dworze. Chodź, w gospodzie spróbujem, zechceli twój miód pić Wartko.



Postępując niósł Białowąs ciężką łagiew. Woje podnieśli się ochoczo, nie leniwie już, we czterech poszli między domami, gdzieś znikli. Jarek leżał na wozie, nie był głodny, wieczerali na drodze. Mrok już wpelzał między ściany, wysuwał się zza załomów, piał się w górę. Dachy świeciły czerwienią, niebo było ciche, srebrne. Obłoki ku zachodowi paliły się wielkim ogniem. Bezmyślnie patrzył Jarek, jak gasły, liliowiały, bladły, szarzały. Zaiskrzyły się gwiazdy, rosa moczyła, ojciec nie wracał. Jarek owinał się w kozuch, głowę oparł na przedramieniu; gdy przymknął powieki, ujrzał wlepione w siebie oczy latawicy. Siadł szybko, splunął, dyszał gęsto. Oczy znikły. Znow leżał, patrzył w czarno-sine niebo zasypane gwiazdami, zza palisady okazał rogi miesiąc, szedł samo-jeden w gęstwą gwiazd. Jarek znow przymknął powieki, znow spojrzwały nań oczy dziewczki. Nie odgoni uroku.

Ranek obudził go ojciec, podpity był. Śmiał się, bąkał o wojach, o Wartku, trzy po trzy, zwał się na wóz. Spał przez dzień, słońce świeciło mu w otwarte usta, chrapał na cały gród. Jarek gryzł podpłomyki z serem, przysiadł bezmyślnie u podcienia, patrzył, jak duże, sine żuki rozgrzebywały woli nawóz. Muchy brzęczały.

Białowąs obudził się na przedwieczersu, wściekły był. Chodził koło wozu, coś poprawiał, wyciągnął płótno a wór z kaszą, charkał, spluwał.

- Sucze dzieci w onym Gniezdnie. Wypiły tyła łagiew, ni krzty nie zostawiły. Mołwią: "marny miód, Wartko w oczy lunie", bąkały, piły a śpiewały. Podśmiewały się ze mnie, kpa... Tfu! na bajora a plesa!

Mało wiele potem zwał się z boru Wartko z drużyną. Stróża w mig otwarła bronę. Dwudziestu konnych zadudniło po moście, ze śmiechem nieśli się przez gród. Białowąs stał, patrzył na ona świetność a broń i bogactwo, w dołku go ścisnęło. Nie przypomni Warcisław brata dziadowego - przyrodniego na dodatek!

Ciemniało, gdy go puszczono do grodzierzcy. Niósł pod pachą płótno, Jarek dźwigał wór z kaszą. Warcisław siedział przy stole, jadł z misy kielbasę, zagryzał chlebem, tłuszcz spływał mu po palcach i brodzie. Białowąs schylił się, podał płótno, Warcisław rzucił je na ławę, zarżał grubym śmiechem, uderzył kmicia po łokciu.

- Siadaj, siadaj, jedz a pij... Pomnę, pomnę, jakże... Swak, prawisz? Ha ha ha! Łajnem wolim śmierdzisz, a swak... Siadaj, Białowąs... A to syn? Jak mu?

Białowąs srogo błysnął oczyma, Jarek nie wiedział, co robić z worem, niepewnie postawił go na ziemi, zbliżył się, obłapił wielmożę pod nogi, boćknął w kolano. Białowąs sapał:

- Durny otrok, niezrały jeszcze, choć tyli chłop. A miód dla was woje mi wychleptały.

- Woje? - plasnął dłonią o stół Wartko - sucze dzieci! Ja im! Ha ha ha... Siadajże, czemu stoisz kiej pień. Przepijam do cię... Pewno chłopca do drużyny tkniesz?

- Ja nie śmiem... chciałbym... pletnią ji trza jeszcze bić.

- Przywiozłeś jaki topór?

- O Ielum! Dołóż moja! Skąd ci najdę zbędny topór? Doma jeden, a sulice dwie i szczyt skórzany. Dumam sobie, a babie mołwię: "Warcisław możny pan, da topór, a szczyt drewniany durniowi, nie pożałuje. Ty nasyp kaszy wór, płótno zbierz, miodu wezmę łagiewkę, pójdę, pokłonię się, ulituje się nad swakiem".

Wartko siorbał piwo, otarł gębę wierzchem dłoni, spojrział na Jarka:

- Iii... Najdziem tu jaki topór, pewno. Pry ociec, pletnią cię trza? Tegdy bacz. A miód, mołwisz, woje wychłęptały?... No, takóž pewnie swaki, ich pradziady mieli kotkę stryjeczną mojej kotki. Ha ha ha...  
- Wartko śmiał się.

Drugiego dopiero dnia odjechał Białowąs do domu, wól szedł leniwie, kmieć ściobał go po zadzie, duma go rozsadzała. W chacie chwalił się przed Lebiodą:

- Uczcił mię godnie, za stół sadzał, za swaka uznał. Jakże, jego dziad był przyrodnim mojego, tenże sam ród. Rodowym, nie powsinoga. Dziki dwa ubili, godnym mięsem obdarzył. Wielgi pan... ho! Gniezdno nie mniejsze niżli Poznań.

- A Jarek?

- Ostał dureń, już w stróży na wale stoi. Czego buczysz, głupia? Cichaj.!

Ścichła. Starymi, bławymi oczyma widziała syna na wale w dalekim, obcym grodzie. Dumna była, a tężyla. A jednocześnie westchnienie ulgi:

- Już ji tam latawica nie dostanie.

- Nie bajaj - burknął Białowąs ze złością. Ale jej serce stukało radośnie...

- Nie dostanie - szepnęła przestawiając garnki. - Daleko ! - Jakby była odległość na tęsknotę, jakby dało się oszukać serce, jakby postawiwszy kogoś na wale w szłomie a z toporem wyłupiło się mu zarazem z oczu zwid kraśnej dziewczki o wielkich zębach, wabiącym uśmiechu i palącym spojrzeniu. Jakby można było wydrzeć z serca tysiącletni oddech pierwotnej, pogańskiej puszczy. Jestli taka siła?

Lebioda szła do źródła, uśmiechając się bladymi wargami. Jej syn stał na wale gniezdnieńskim, wewnątrz coś go rwało, ssało, męczyło, bardziej niżli doma. Jestli siłą na to umęczenie, jestli gusło czy czar?

Wiatr niósł obłoki, drzewa szumiały, woje gawędzili i żartowali, jedli i polowali. Ciekło życie.

Jemiołka długo namawiała męża na odwiedzenie teścia. Przemko boczył się, zły był na ojca żoninego za dawne, kiedy to Tur groził mu, że go wołami na gnoju wywiezie. Jemiołka się przymilała, nie ustawała w prośbach. Chciała się przed rodzicami pochwalić obu synami, pięknym strojem, nowym obyczajem. Wreszcie uległ Przemko prośbom, poszedł do Stojgniewa.

- Spokoju nie mam w domu, Jemiołka mi kolki struga na łbie, ciągiem chlipie: chce oćca odwiedzić. Już i nocami pociechy z niej żadnej nie mam. Zwól jechać, Gniewek.

- Sparciejesz do cna, białki słuchając.

- Kiej nie strzymam dłużej onego chlipania.

- To jedź.

Starszy syn już dobrze na koniu siedział, młodszego mać wiozła. Pora była gorąca, parna, konie niecierpliwiły się, biły chwostami po bokach, machały łbami, starały się zboczyć ze ścieżki, ocierając się o krzaki spędzić ślepaki i gzy. Spali po chatach kmiecych, dusznych i huczących od much; pchły gryzły.

Tura - jak dawniej - wynosili parobcy pod lipę, stamtąd wrzeszczał dziad na prawo i lewo. Hałaśliwie witał zięcia i córkę. Podniósł się na łokciach, ryczał spod gęstego zarostu:

- Ej, długoś barłozył się, a gnoileś się by żuk. Przyjechałeś, Jemiołkę przywiozłeś. Dwu otroczków masz?... Mało! Co robisz, po tom ci córę dał?... Churlęga! Ragdocha, ej! Ragdocha! - żona była obok, ścisłała córkę. - Nieś no miodu, Przemko ma pełną gębę piasku, w zębach mu trzaska. Słyszycie, he?

Zamilkł, oczy wywalił na Przemka, sapał.

- Rad jestem, boleję, niżliby Bolko przyjechał. - Przemkowi oczy się od śmiechu mrużyły, złość mu mijała, ale z resztką tej złości powiedział przez zęby:

- Długo nie będę.

- Co mołwisz? - buczał Tur. - Puścili cię z drużyny na mało wiele. Spieszno ci od nas? - Przemko mrużył oczy, nie powstrzymał jęzora:

- Pomnijcie, jakoście mię ułowili, a wzbronili bywać w Turzycy? - Tur nachmurzył się, zapłuł, zawołał:

- Dureńś - oczy wytrzeszczył, patrzył w milczeniu na zięcia. Jemiołka szeptała w ramionach matki, odwróciła głowę i roześmiana:

- Ty się oćcu nie przeciw. Pobije.

Tur uniósł się jeszcze wyżej, zaczął walić pięścią o ławę, na której leżał, nappełnił wrzaskiem cały

dwór:

- Głupia! Głupia! Przemkowim cię dał, on cię pletnią winien ciąć, ty umu męża nie ucz. Nie ucz, mołwie! Przemko, stuknij no ją, a tęgo, niechże zaniknie gębę - zadyszał i naraz z nową furią:

- Com ci rzekł, głuptak, czemu nie dasz jej dobrze, nie prańiesz baby, churlęga. Dlatego dwoje tylko dzieci masz, widzisz?... Umu ji będzie żona uczyć, gębę ozwierać. Ragdocha! a kaj to miód? Nie gadałem to ci miodu wraz nieść? - i naraz, uniósłszy ramiona, zawył:

- Przemko przyjechał, ooo! Przemko, miły mój - wyciągnął ramię, złapał zięcia, przycisnął do siebie, już miód przynieśli. Jemiołka naląa kubek, powiedziała swym niskim, miłym głosem:

- Ja oócu posłużę kiej drzewiej.

Tur wziął kubek, uniósł ku Przemkowi:

- W twoje ręce piję, drugu mój miły a gościu - a odwróciwszy ku Jemiołce swe duże by dwie śliwy oczy, charknęła:

- Już ty Przemkowi służ, nie oócu. Pomnij. A nie? jeden i drugi bata nie poskapi. Widzisz ją, w mać się wdała. Ragdocha!

Skoro podpił, rozłzawił się, zaślinił, raz po raz ścisnął Przemka, chwalił go, słowa plątały się mu w gębie, milkł, patrzył w gałęzie lipy, znów gadał, w końcu usnął z otwartymi ustami, z głośnym sapaniem. Odetchnęli.

- Ale twój oócaszek gardło ma - mruknął Przemko do żony.

- Idź i ty na siano, spocznij - śmiała się widząc, jak się kiwa na zydlu. Pszczoły gęsto huczały w lipie, był upał, sen morzył. Przemko dał się prowadzić, zasnął od razu. Wtedy to dopiero córka z matką zatrajkotały na dobre.

Przez szerokie szpary zaglądało do kleci czerwone słońce, gdy Przemko otworzył oczy. Usłyszał wrzaskliwy głos Tura:

- Do kleciście ji powiodły? Obie głupie: i mać, i córa. Do kleci ji... Przemka Świradowica. Do sieni trza było ji wieść. Na ławę... do sieni. - Przemko obrócił się, skrzywił się ze złością, usłyszał znowu:

- Co... muchy? Wojowi muchy szkodzą? Idźcie, psia, wraz! Wiedźcie ji z kleci. Słyszycie?

Leżał zły, usłyszał kroki żony, znał dobrze jej chód, przytaił się, doszedł go nieśmiały szept:

- Przemko...

Nie odezwał się.

- Przemko...

Zachrapał głośno, przez współprzymknięte powieki spoglądał na Jemiołkę - stała z głową trochę podaną do góry, z trwożną postawą ciała, zrobiła ruch ku wyjściu, usłyszała głos ojca:

- Chyżo...

- Przemko... - powtórzyła głośniejszym głosem, poderwał się nagle, krzyknął:

- Dobrze mi tu. Nie pójdę nigdzie.

- Przemko... - zaskamlała trwożnie. - Lelum! Przemko! Ociec mię zbije.

- Zbije? Zbije? - charczał już z wściekłości - dał mi cię. Nie chciał, ale uląkł się Bolka. Już cię nie może bić, widzisz ji, starego chrzana. Idź, daj mi spać.

Odeszła niepewnie, przystanąła jeszcze, znów poszła. Nad Turzycą wisiała cisza wieczorna. Tylko przez chwilę. Naraz zagrzmiął ryk dzikiego zwierza. Tur walił pięścią o ławę, na której leżał, był grubym, chropawym basem:

- Nie chce? Pry, że nie chce? Młokosys! Dureń! Dureń! Do dom nie chce? Lepiej mu na sianie niżli doma? Nieście mię, nieście, juchy! - krzykanie zbliżało się, Przemko ujrzał, jak dwóch otroków wnosi ławę ze starym do kleci! Tur wciąż ryczał:

- Przemko, biesz się mi babie, Ragdocha i Jemiołka, biesz się obie. Złaż! Złaż, mołwie! Pościeli ci stara doma. Złaż, słyszysz?

Przemko - w porwywie pasji - zsunął się naraz na ziemię, stanął nad ławą, wrzasnął:

- Zatkniście się!...

Staremu oczy wylazły, gębę rozwarł, siedział zaskoczony i odurniały. Otwierał gębę, zamykał, mlaszcząc wargami. Momotał:

- Ty, Przemko, ty... Co? Przeciwisz się? Przemko wysunął dolną wargę, skrzywił się:

- O wa!

Naraz stary pokraśniał, posiniał, kark mu napęczniał, oczy zaszły krwią, nie krzyknął już, jeno głuchym zduszonym głosem:

- Co? Starych nie słuchacie? Nie słuchacie już? Wolę swoją macie? Sysuny... Sysssuny!

- Jemiołka! - wrzasnął Przemko - konie... Każ konie łapać. Jedziem. Wraz!

Zająknęła się.

- Przemko!

Ale on wyskoczył sam i - bosy - pobiegł przez dziedziniec ku wrotom. Krzyczał na synów, na posłuznych chłopców. Nie chciał chwili zostać, trzął się cały. Kiedy wiedziono mu konia, ujrzał, jak niosą k'niemu Tura. Tur wrzeszczał:

- Kaj? Kaj? Psie nasienie! Tak to was u Bolka umu uczą? Tak to? Sysssuny. Ostań! Ostań, mołwie!

- Jemiołka! - krzyknął Przemko - włącz! - wsadził ją na konia. - Bierz chłopca!

- Ostaniesz! - krzyknął Tur.

- Nie!

- Ostaniesz!

- Nie, psiamać!

- Ja ci...

- Iii...

Gdy wyjeżdżali za wrota, usłyszeli ryk Tura:

- Ragdocha! Ragdocha!

Przemko obejrzał się na jadącą za nim żonę, po pyzatej twarzy Jemioiki płynęły łzy. Jeszcze nie minęła go wściekłość:

- Buczysz?

- Wraz ociec będą mać bili - szepnęła. Przemko targnął powodami, trzasnął konia po zadzie, poleciał nieprzytomnym cwałem prosto na wyłazającą zza lasu okrągłą i kraśną gębę księżycy.

Żółte, gorące płyty słońca wędrowały po całym kraju, ślizgały się po czubach sosen, topiły na rudych pniach żywicę, rozgrzewały mszary i rozlewiska. W obszernych, płytkich łachach woda stała ciepła, gęsta od miliardów żyjatek, skorupiaków, pierwotnych form życia, niedostrzegalnych gołym okiem, posiadających wykręcone, mikroskopijne ciała, groteskowe wygięcia zewnętrznego szkieletu, żyjących żdźbłami przegniłej trawy, amebami, ledwo sformowaną plazmą życia, uwijających się w lepkiej ciepłej wodzie, rozmnażających się nieskończenie, rozkoszujących się upałem i drgawkami ruchu, odczuciem pożerania i rozdawania się, polujących i padających ofiarą rybiego drobiazgu, ogoniastych kijanek, larw komarzych. Pomiędzy pływającymi kępami żabiścieku, w gęstwie rogatka, wokół strzałki wodnej śmigał zbój wodny, pływak żółto-brzezi, czatowała płoszczyca, ciernik ochraniał swe walcowate gniazdo, szczupak ścigał ukleję, górą ważki goniły za komarami.

W lasach kwitła lipa. Powyżej jasnych, kremowych i zielonkawych skrzydełek wyrastały pęczki drobniutkich, bezbarwnych, miodnych kwiatków. Jak strzały śmigały pszczoły od drzew lipowych do brodatych dębów i garbatych wierzb, do ukrytych między liśćmi ulów, wiodących w barć pachnącą woskiem, smółką, miodem, próchnem.

Tam gdzie łączyły się dwa strumienie spływające z Góry Baraniej w sercu puszczy, w zbitym gąszczu pni, gałęzi, krzewów i chmielu stał dąb, wypróchniały od korzenia do pół wysokości; trzy szczeliny wiodły do dziupli. Poprzez gęstwę wokół dębu jakimś wąziutkim przejściem wepsnął się promień słońca, oświecił ul, skąd pszczoły sypały się gęsto, jedna za drugą, i wracały ciężkie od lipnego soku; spadały w pędzie, wywracały się, wstawały, gramoliły się niezdarnie po kostropatej korze, u wejścia tłoczyły się, wpadały jedna na drugą, kłębiły się, bzykały, ginęły w wąskim ulu. Wraz z kłębkami wylazających z pnia owadów wyszła pszczoła większa, długa i smukła, z długim, zgrabnym odwłokiem, ostrym na końcu, giętka i jędrna - młoda matka, oblubienica w tym ciepłym, słonecznym dniu. Siadła na liściu chmielu, przeginała się i tańczyła, odwłok jej drgał, skrzydła rozłożyła, grzała się rozkosznie, rozkładała składała różki, oślepiąca blaskiem słońca, drżąca w przeczuwaniu tego, co ją czekało, a jednocześnie spragniona, parta przez dziki pęd życia, nieświadomy i ślepy, a celowy i nieomylny. Drgnęła na dosłyszany dźwięk, głuchy i buczący, jaki wydaje gruby, tęponosy i szerokobary truteń. W nagłym porywie śmignęła ku górze, po drodze słonecznego promienia, wraz zleciała nad gęstwę i szła prosto w niebo, ze wszystkich sił, z całej rozkoszy i wszystkiego strachu przed huczącym, goniącym ją, dzikim, rozdygotanym tłumem samców. Rwali ciężcy i dudniący, oślepieni blaskiem i namiętnością skłębionego nurtu życia, tegoż życia, co rozsadza skorupy orzecha i rwie lody na rzekach, co przebija dziobkiem żółtego kurczęcia - miękkim jeszcze i niemocnym - skorupę matczynej jajki i co wiedzie w nieomylnych ruchach rysia z gałęzi na gałąź, co uczy jętki rojenia się w ciepłe noce nadrzeczne i co stado wilków prowadzi zimą przez śnieżne bezkresy. Przed tą dziką, ślepą siłą, wcieloną w rój trutniów, zmykała w spazmach strachu i rozkoszy dziewicza matka pszczela.

Jednakie - na pozór - były komórki, z których wyszły goniące matkę trutnie; jednakie jaja złożone na dnie komórek, jednakie mleczko podawały robotnice, nie znające faworytów w gromadzie. Niejednakiej siły wyszły trutnie. Zbity kłęb, idący zrazu gęstą ławą, jał się rozciągać, wydłużać, słabsze samce odpadały. Dziewica-matka szła bez ustanku w górę. Była wysoko nad wielkim, szumiącym krajem. Na południu czerniały i złościły się pasma gór; na północ rozciągała się płaska

kraina, pokryta chmurą lasów, poprzecinana pasami wód i płaszczyznami pól, malowana kolorowo, zadumana i dzika, rozległa i wierząca w swą siłę. Nad tą krainą odbywała swój weselny lot smukła matka pszczela.

Dognał ją. Najsilniejszy ostatni - gdy inni odpadli. Spadł na nią, chwycił, zatoczyli się złączeni, truteń zachłysnął się słońcem, latem, złocistą doskonałością pszczelą, zatoczyli jeszcze parę kół, truteń drgnął w najwyższym napięciu rozkoszy i w tejże chwili targnął nim dziki ból, zlał się w jedno z rozkoszą, matka pszczela szarpnęła, wyrwała z samka kłak wnętrzości - zapłodniona na całe życie - a trup trutnia jął spadać z wysokości - kręcąc się w kółko - w rodzimą puszcę; złapała go w locie jaskółka, uniosła do gniazda.

Matka pszczela wracała leniwie, unosząc się i opadając. Spadła na dąb, nurknęła w gąszcz, wróciła do barci, obciążona tak samo, jak wracały obciążone szare pszczoły robocze. Po dniu już czerwiała, posłuszna ślepemu pędowi życia, nie pytająca, po co czyni i po co żyje, nie wiedząca, że tegoż dnia bartnik Żuk, swak szreniawickiego Mamra, odkrył barć u zbiegu obu strumieni, naciął ją swym znakiem, doglądał i podbierał. Nie wiedziała, że воск z jej barci, stopiony z woskiem z innych pni, użyty będzie na świece, ani gdzie świece będą płonąć, komu świecić, czyją chwałę głosić... Nie wiedziała. Posuwając się po woszczynie kołowym ruchem, zaglądała do każdej komórki, badała ją, wsadzała odwłok i składała na dzień jajo - córki ojca straconego spod nieba w ekstazie miłości.

Była czymś osobistym, czymś jednostkowym i jednostkowo czującym, choć ślepo służyła gromadzie, choć budowała - wspólnie z ludźmi - bogactwo kraju, o którym Bolesław - nie myśląc o niej, nie racząc choćby przelotnie zwrócić uwagi na muchę - mówił zaciskając pięść i patrząc wprost w oczy wysłannika cesarza:

- Księstwo trzymam w garści. Ot tak!

Księstwo? Matka pszczela jaja składała. Pszczoły miód nosiły. Puszcza szumiała. Ryby w wodach uciekały od sieci. Stary Pępik kiwał się nad Wartą i mrucał rybackie pieśni. Ktoś polował w gąszczu drzew, ktoś rodził, ktoś dumał dumki niewesołe, ktoś niósł wodę ze źródła, ktoś się modlił do nowego Boga, ktoś chatę sobie stawiał lub siekierę kuł sąsiadowi, ktoś tęsknił za wolą, ktoś z wykapanych oczodołów płakał, ktoś się złościł, ktoś do miłej tążył, ktoś w puszczy gęstej krył się, ktoś judził i ktoś pochlebiał. Każdy czuł i do czegoś szedł. W garści? Czyli nie za wielką masz garść, Bolesławie?

Wysłannik patrzył na Bolesława zadumanym wejrzeniem.



**Część trzecia**

**Wojciech**

1.

Późną jesienią wybrał się Bolko na objazd Mazowsza. Ledwie nurknął w zwartą Puszcę Mazowiecką, doznał go wysłannik od Sobiebor.

Bolko siedział w chacie kmięcia, którego w Opolu zwano Strach na Wróble. Kmieć był barczysty, kosmaty, z nosem małym jak orzeszek, z chytrymi oczkami. Stał przed księdzem i bąkał mu gadkę łowiecką. Wąsy miał wypęzłe, w kępkach, chichotał, spod wąsów zółciły się zęby, małe, rozstawione rzadko by kołki w koślawym płocie. Podrygiwał w czas baśni: - Szedłem jabłka w lesie trząść, ścieżka tam wąska-wąziutka, ledwo przejdiesz. Hi hi hi. Wyjrzę na polanę, zerknę, a tu mieszka: o świerk czochra się, parch. Hi hi hi! jam ci ni sulicy nie miał, ni topora, strach mię zdjął. Tył podałem. Hi hi! Pożrzę za siebie, mieszka zoczył mię, abo co? Idzie w ślad. Ja w nogi. A tu przede mną trzask, pożrzę: naprzeciw drugi mieszka człap człap, człap człap...

Bolko plasnął obu dłońmi po kolanach:

- Bajasz...

- Zaśby... - znów zęby odsłoniły się w chichocie. - W bok padłem, w kalinę a głóg, aże mi strach: i tu, i tu zwierz, zeżrą mię. Głowę ci wcisnąłem w trawę, ni tchnę. One... hi hi hi! potkali się tuż podle mnie. Uniosłem łeb... w strachu... nie pożrzę na mnie. Jeden ci mieszka podniósł obie łapy, zadziwiony ze spotkania, i pry: "Aaa..."

Bolkowi już śmiech latał podle oczu:

- Drugi spotkały się?

Strach na Wróble siorbnął nosem.

- A drugi. Wraz objęły się, całują kosmatą gębą. Lelum, patrzę, strach dusi. Aż jeden pyta: "Cóż?" - Drugi pry: - "A no, czochrałem się podle świerku. O Dolo!" - pry i słuzy wraz puści z ślepi. - "Bają, ksiądz Bolko w nasze lasy jedzie, a gdzie stanem stanie, tamok mieszkę ubije, sadło kmięciom oddaje. Taka nam dola" - pry mieszka, pysk łapą zakrył, a zapłakał onże mieszka. Hi hi!

Bolko trzasnął kmięcia w kark, śmiał się, krzyknął:

- Lestek z ciebie, ha ha ha! Dobra gadka. Czekaj no, rankiem pójdziem razem w bór. Znaszli miejsca, kaj mieszka łązi?

- O wa! znam. Powiodę was na ona polanę, hi hi hi! Tamok, kaj czochrał się mieszka o świerk.

Zadora chrapał w kącie na futrze, woje piekli barana przed chatą - był mroźny, suchy wieczór, liście już opadły. Bolko wstał, wyjrzał przez drzwi i do Stracha:

- Maszli mleka skisłego?

- Mam łagiewkę.

- Dawaj.

- Pczola! - krzyknął Strach cienkim, krzykliwym tonem - dawaj ci mleka dla księdza, duchem, żywo. - Poderwała się siedząca w kucki baba, z otwartą gębą patrząc na księdza: lelum, to ci będzie bajania przy przędzy a krosnach, to bajania... Wraz stanęła przed Bolkiem drewniana łagiew, mleko w niej twarde, stwarożone, śmietana z wierzchu gęsta; Bolko przechylił do ust, siorbnął, wąsy obielił, oblizał się szeroko, wierzchem dłoni otarł wargi, sapnął:

- Uch, dobre picie, aż w brzuchu burczy. Co ci tam z baranem gmerają się, jucha! Zadora!

Zadora obrócił się na drugi bok, zachrapał mocniej. Strach siedział jak wprzódy na samym brzeżku ławy, wodził oczyma za każdym ruchem księdzowym, mruknął:

- Śpik ji zmorzył. Hi hi hi!

Nazajutrz, miast iść w puszcę, gnał Bolko z drużynnikami z powrotem. Konie twardo biły kopytami w grudę, pachniało rzeżwo jesiennym przymrozkiem. Bolko był podniecony, bił piętami źrebca po bokach, ścieżka była wąska, prawą ręką odchyłał gałęzie, koń szedł śmiało, liście nie przesłaniały widoku, uszy położył, parskał. Tuż za nim, kiwając się na łęku, postępując, dyrdał Gława - Sobieborowy poseł. Bolko odwrócił się, zawołał:

- Wojciech, mołwisz, kiedy będzie?

Gława krzyknął zasapany:

- Sobiebor rzekł mi: leć do księdza, konia nie żałuj, popasaj ryletyle... Za dzień dwa brat mój będzie w Krakowie. Sam ci Sobiebor tegoż dnia z Pałuk poskakał na Kraków.

- Ileś dni jechał?

- Trzy.

- Toś ciągnął się kiej smoła - krzyknął z gniewem Bolko, dał koniowi w boki, koń skoczył szczupaka, Bolko nie zdążył unieść ręki, wiecheć brzozowy chlasnął go po spoconej gębie, na czole, na policzku ostre, czerwone pręgi. Bolko bił konia, gnali na śpiech, na złamanie karku.

W południe dolecieli do Iłży.

Bolko ostawił konie pod grodem, z Zadora, Gława i Przemkiem szli samoczwart w gród, częstokół był koślawy, podbutwiały, właśnie stróża zmieniała bardziej przegniłe tramy. Od boru dwie pary wołów ciągały pnie, otrzebione, czerwone, lepkie. Pięciu smardów w gieźlach, bez gatek stało rozkraczonych nad tramem, ciosało siekierami; odpadały długie, smolne drzazgi; otroki darły korę, opalały końce bierwion, śmiały się. Jakieś dzieciśka baraszkowały nad strumieniem, z wrzaskiem goniły się między olszyną za małym czarnym psiakiem. Na wale, nogi podciągnawszy pod brodę, siedział grododzierzca Gwizd, nalany i biały kiej baba. Słońce świeciło, było ciepło, rzeżwo, jesienne. Bolko z drużyną obchodzili gród, dojrzał ich Gwizd, poderwał się, po ułomkach pali - ledwoledwo, by wielki małż - przekarabskał się na ten brzeg i trzęsąc obwisłymi policzkami a

nalany podbródkiem biegł naprzeciw; prędko, niezdarnie drobił nogami; był bosy. Drwale wyprostowali się, obcierali gęby, patrzyli. Gwizd w biegu krzyknął srogim basem:

- Rąbać, psia... Ksiądz przyjechał. - Zakiwali się z nogi na nogę, ale nie nachylili się. Dziwo to, pierwszy raz księdza widzieli. Bolko szedł swym szerokim tupotem.

- Bywajcie w zdrowiu! - zawołał.

- W zdrowiu, ksze! Z Dadźbogiem! - krzyknął pierwszy, wielki, rudy, z łbem by ceber, z gałami na wierzchu; przypomniał, jak bajali, że ksiądz zęby łamie za Dadźboga, skurczył się, gębę przykrył łapą. Bolko zaśmiał się, pogroził pięścią:

- Z Jezu Krystem, ludzie wolne! - krzyknął.

- Z Jezu Krystem... - odmamlali niechętnie; wszakoż radzi byli, że się na tym skończyło. Już i Gwizd nadleciał.

Pozdrowili się, szli w gród. Gwizd gębę otwierał, zamykał, by sum; chciał zagadać, nie wiedział jak, o czym. Bolko szedł, milczał, zuchwy mu latały. W końcu Gwizd zaburczał:

- Ostrokół naprawiam. Zgnił.

- Dobrze - mruknął Bolko. Dalej szli milcząc. Przemko trącił Zadorę w bok, prześmieszek latał mu po oczach, szepnął:

- Iście wór łojem nalany. Przekłuj, poleje się. - Zadora kiwnął głową, szedł wciąż spieszenie za Bolkiem. Gwizd znów zabasował:

- Wraz napalą łaźnię, ksze.

- Nie trza - odsapnął Bolko - śpieszę - i dalej machali przez most, przez wrota (Bolko strzelił okiem w prawo, w lewo), między klecie obrzucone gliną a mierzwą, do długiego domu grodowego. Weszli w sień, Bolko siadł przy stole, dłonie płasko położył przed siebie, sapnął znów:

- Daj pić.

- Wraz - zbulgotał pośpieszenie tłuszc w Gwiździe.

- Czeka! Daj pić i jeść. Czeka! Ziarno dla koni masz? Daj! Czeka! Konie jakie masz?

- Dwa. Bułanego źrebca a siwą klacz.

- Dasz. Gońców dwóch konnych pójdzie wraz, jeden na Czersk i Płock, że nie przyjadę do nich nynie. Drugi na Poznań abo?... Przemko na Poznań pojedzie. Przemko!

- Co każecie?

- Do Ungera cię ślę. Powiesz Ungerowi tak: brat Sobiebor, Wojciech, jegoż Adalbertem zwał, biskup praski, zjechał do Bolka, w Krakowie są. Rzeknij, że ksiądz powiadamia. Przemko!

- Słyszeć.

Bolesław patrzył mu przez chwilę w oczy, widać: nie widział go, oczy miał zmałałe, dalekie, powiedział:

- Przemko!

- Słyszeć.

Bolesław wstał nagle z ławy, przeszedł po sieni, tarł garścią potylicę, zatrzymał się przed stojakiem, na którym wisiał szłom Gwizda a napierśnik, a miecz i włócznia. Ksiądz obrócił się do tłusciucha:

- Nie byle jaką, widzę, masz broń.

- Dał ci mi ją wasz ociec dwa roki przed śmiercią. Czeska.

- On miecz niemiecki - powiedział Bolko powoli, z namysłem, aż nagle:

- Przemko!

- Słyszeć, ksze.

- Powiesz Ungerowi posłanie. Słyszysz? Nie mów mu, że chcę, by przyjechał. Ale tak, niby od siebie, dodaj: Bolko rad by widzieć was w Krakowie. Jakże, Wojciech biskup z Romy jedzie a od cesarza. Świątków z nim moc... Sławnikowy syn. Nieskładnie by było, gdyby ji biskup nasz nie uczcił. Wždy krześcijański to kraj - aż nagle fala krwi napłynęła Bolkowi do twarzy, kark mu napęczniał. - Co Unger myśli, onże pokurcz niemiecki, kto tu pan? Boi się, że biskupstwo drugie założę? I założę. Trzeba mi nie dwóch biskupów, nie trzech, jeno pięciu. A jeszcze w Sandomierzu... i tu!... Przemko!

- Dam Ungerowi posłanie, jako Wojciech, Sobieborowy brat, do was jedzie. I powiem mu... tak... od siebie: "Ksze! Bolko by rad widzieć was w Krakowie, bo ci to biskup z Romy, od cesarza, a świątków z nim moc. Jakże to, ksze, bez was... Ino Bolko nie nakazuje wam, ale rad, byście... ja to wiem".

Bolesław podszedł do Przemka szybkim krokiem, dłonie złożył mu na ramionach, zaśmiał się:

- Pojąłeś. Jedź. Gwizd, dawaj jeść. - I znów do Przemka:

- W Poznaniu najdziesz pewnikiem naszego lisa... Znów w oczach Przemka prześmieszek:

- Zefrida?...

- Niechajże siada na koń i migiem k'nam śpieszy. Latorosłkę może brać, kiej nie krągła jeszcze by jabłuszko - parsknęli krótkim śmiechem - gdy będziemy wielkie sprawiać w Krakowie, Sławnik lubił jeść, pić, a z dziewczkami gzić się i syny pewno lubią. Z Sobiebora gorący źrebiec, jurny, a Wojciech, mołwią, mruk, wszakoż i jen pewnikiem... nie bez tego... - Znów zaśmiał się szeroko, aż nagle, jak zawsze u niego, do Gwizda:

- Wtórego gońca ślij w góry. Myślę, podle Łysej Góry ji najdziesz...

- Kogo?

- Stojgniewa, łowy tam nynie sprawuje, niechże żubry żyją, wszyscy nynie na Kraków. Gwarno będzie w Krakowie, wesoło... - I wstał.

Zjedli spiesznie, wypili i na koń. Pojechali na Zawichost, Orczycę, Sandomierz.

2.

Prawda, podchmielili sobie ździebko. Bolko, Unger, Zefrid, Sobiebor, Stojgniew, Zadora, Przemko Świradowic, Odrzykoń, Dobrosz Ostoja, obaj Niemcy weselili się od rana. Żarcia nagotowano na przyjazd Wojciecha, miodu i piwa, nawet wina z Burgundii trzy beczułki; świetlice wawelskiego grodu, obszerne, widne, najobszerniejsze i najwidniejsze w księstwie, okryto makatami, ławy a zydle wymoszczono futrem - gdzie tu doczekasz się początku godowania. Bolko jeno przykazał komornikom, kiej wyjdzie biskupa witac, zmienić ręczniki a nakrycia, a wszystko, co by było zalane tłuszczem czy piwem, kubki, czary a misy, polepę w mig wysypać świeżym trzcinnikiem; w on czas miano sięść znowu i radować się dalej. Białki przystroili się suto, bogato. Emnilda miała trzy ruszyce a ciasnochę na wierzch bławą w złote kwiaty, kupioną od kijowskiego kupca, ponoć z Bizancjum, za trzy kawały jantaru, większe niżli pięść woja. Na głowie kłobuk wysoki z podwiką, taki jak Oda miała: kiej latoś Zefrid do Ottona jeździł, księżna prosiła go, iżby jej kupił u Niemców; Zefrid przywiózł dwa, a podwiki - jedną zieloną, mieniającą się by ogon pawia, drugą czarną w srebrne kwiaty. Owiesiła się Emnilda bisioem, wiele go miała, w uszach kabłaczki, ciżmy na nogach krasne, długie, z błyszczącym kamieniem: Bolko śmiał się, że jej dwóch wojów nie wyciągnie z komory, taka ciężka, ale rad był. Pociła się mocno pod onym strojem, czerwona była, ładna, wesół. Adelajda Zefridowa takóž strojna w zieloną ciasnochę, rękawki ucieszne, szerokie, takóž bisior i jantary dzwoniły, błyszcząły. Toż Dobrogniewa Zadory, toż Jemiołka Przemkowa, ta dostała latoś od Emnildy płaszcz kuni z czerwonym podbiciem. Zgromadziły się w kącie stołu, chichotały tam, popijały. Na powale osiadły już gęste krople rosy, kapały na stół, gdy wleciał Stanko i zakrzyknął z progu: - Biskup wjeżdżają w gród. Bywajcie.

Jak między stado uklei wejdzie szczupak, przysło wszystko od stołu godowego. Jeszcze nie wytoczyli się za próg, już komornik grodowy z chłopcami rzucili się na misy a obrusy, zmieniali nakrycia, nieśli naręcza trzciny. Zapachniała izba stawem, jak w letni, ciepły dzień. Komornik Sobiewoj, wysoki, stary, pochylony do przodu, machał długimi ramionami, zrzędził:

- Chyžo, smardy, chyžo... (uwijali się)... pod stołem podbierzcie... (dwo nurknęło pod obrus, żywo zbierali w kosz kości, kawały mięsa, kołacze, pchali w gębę pośpiesznie, by komornik nie dojrzał!)... chyžo, psie krwie, na jednej nodze, wraz gość nadjadą, da wam ksiądz. Zdebko! - wrzaśnie - one dwa rogi podnieść a chusty... Co? zarzygane już, abo jak? Ruchajcie się, ślimacze rody... (zdejmowali naczynia, wycierali kałuże)... misy do rąk dawajcie a ręczniki, tłusto dziś będzie. O wa! woda mało gorąca, łój skrzepnie... ławy przysuńcie... równo... niezguły... o! o! bacz, jak stawisz. Teraz kubki a rogi, po dwa przed każdym, oburącz będą lać i pić... (brzęk srebrnych, złotych blach a bizantyńskiego szkła)... boleż rogów, nie wiecie to, kiej podpiją, będą praskać pustym kubkiem o ziem... o ścianę... nadążysz to podać... chyžo, chrobotki... migiem. Wszystko? - (obejrzał izbę powoli, uważnie). - Ławy mościć... wytoczyć puste cebry... - (uginając się, po czterech wnosili w kąt izby cebry z miodem, czarnym i gęstym, a piwem, stągiew wina). - Dobra! - (wyjrzał przez drzwi, owłosione ucho nastawił na gwar daleki, skłębiony)... - idą już... Mięso nieść... (biegł korowód z misami: pięć mis ptactwa rozebranego, gęsi, kaczki, cietrzewie a głuszce, do pół misy tłuszcz zawieszisty, ciemny, podpalony; dwie połówki sarny z rożna, kawały ćwiartowane wołu, barana, pływające podgardla wieprzowe, michy kaszy wysokie, kopiaste, z solą dla wojów, z miodem dla białek, krągłe kołacze i placuszki z solą, inne z makiem, kwas z rozczyny dla podpitych i białek, misę po misie stawiali, pełny stół, góra mięsa, tłuszczu, kaszy i chleba a picia). - Gotowe! - wrzaśnie w końcu - pod ściany, wraz już służyć

będziecie. Pomnijcie, ręczniki iżby zawždy suche były, mokre w ką, ze skrzyni ciągiem świeże. Godnego gościa ma dziś ksiądz, niechże wie gość, że u nas bogato, płót na nie brak.

Prawda, kiwali się ździebko na nogach. Stojgniew trącił Sobieborę w bok, spytał:

- Wasz brat, on Adalbert, przepije was, ksze? - Sobiebor stanął, kiwnął się, zamruął powiekami, aż obejmie Stojgniewa, prosto mu w twarz wyzna:

- Wojciech? Mruk ci on, wždy myślę, Bolkowi nie uchybi - i nagle z rozlewną szczerością: - Miło tu w Chrobacji, kiej doma... - zamruął powiekami, twarz mu się skurczyła, stwardniała:

- Doma? Doma. Wrszowce nynie gospodziny. Jeszcze obaczą, sucze dzieci, suczy pomiot. Gniewek! Pójdzie Bolko na Czechy? Aa? Otto nie poszedł drugów mścić, ale Bolko... - patrzył uważnie w twarz wojewody. Stojgniew zmrużył oczy w dwie szparki, nigdy nie przepomniał po największym picciu, co gada, odchrząknął:

- Wiecie, ksze, że Bolko wam drug i ja drug. Niemrawce, Wrszowce, łajno psie - przez zmrużone powieki czujnie patrzył na Sobieborę. Tamten plasnął dłońmi po udach.

- Iście liszka z was, Stojgniew, słowo powiesz, a ogonem zamieciesz: ni śladu.

Stojgniew ujął go pod ramię:

- Jutro będziem mołwić. Nynie bacz, brat nadjeżdża - wskazał głową na pnącą się wolno pod górę grupę; Bolko wesoło machnął ręką, szedł szybciej. Radość go darła, wreszcie doczekał się, a trzykroć posłów słał i do Wojciecha, i do Ottona, iżby Wojciech przyjeżdżał. Teraz nie puści go do Pragi, dwóch biskupów mieć będzie, ugości, obdarzy, ujedna. Wojciech na widok Bolka zeskoczył z konia - lekko, niestary był jeszcze, żwawy, za nim pozłazili drużynnicy: brat Radzym, Bogusz, Astryk onże Atanazy, Rudolf, Wdała. Pachołcy trzymali konie. Wojciech szedł pewnym krokiem, zbliżył się do Bolka, uścisnęli się, oddali sobie pocałunek.

- Trzy dni będziem godowali wasz przyjazd - krzyknął Bolko: sucha, chuda twarz Wojciecha ściągnęła się jeszcze bardziej, brwi zmarszczył, aż rzekł wolno:

- Poćiwemu przystoi przeszłymi rzeczami się ćwiczyć, przyszłe w pilnej pieczy miewać, nie jeno godowanie, a godowanie. Toćem i w Pradze widział.

Bolkowi roześmiana gęba w mig zamarła, głowę raptem wcisnął w ramiona, całkiem jak ojciec, oczy mu się zmrużyły chytre chytre, spojrział ukosem po swoich, jak stali pijaną, spoconą czeredą, we wzroku było coś, że wzdrygnęli się przed tą niemą groźbą, okrzyki i śmieszki zamarły w nich nagle; ksiądz szerokim ruchem ujął Wojciecha pod ramię, zawrócił ku grodowi na górze, spojrział po tęgiej ścianie tramów, na wale, zapytał - zdawało się, równie wesoło - Wojciecha:

- Kajże najpierw pójdziem, ksze, kiej nie na gody? - Zadora pochylił się do Odrzykonias:

- Wisz, nastroszył się, isty kobuz.



- Pustolka - odszepnął łysacz.

Wojciech odpowiedział od razu swym gwałtownym, niecierpliwym tonem:

- Do świątyni Pańskiej pójdziem - i potem zwracając się do całej Belkowej drużyny:

- Słyszeliście? Gniew Boży k'nam idzie. - Unger wzruszył nieznacznie ramionami i skrzywił się, Zefrid zwinął się w mig w kłębuszek, oczy mu błyszczały niby dwa czarne węgle. Białki pod bramą stały zbite w kłębek, jazgotały cichutko, zawiedzione: niestrojnie jechał biskup Adalbert a jego drużyna - ni sukien, ni łańcuchów. Emnilda puszyła się przed towarzyszkami:

- Widzita, głupie, on ci mnich, onże biskup, ten chudy a prędko, podle Bolka. Mnich ci - sama widziała pierwszy raz takiego, nie mogła się dość nadziwić. Cała kupa tam w dole ścichła, zamilkła, jakby zdmuchnięta. Wolno szli wszyscy pod górę, pacholki z tyłu wiedli konie. Emnilda poruszyła łopatkami, wypięła się, poczerwieniała - chciała się godnie pokazać gościowi. Zbliżyła się, ale Wojciech powiódł po nich obojętnym wzrokiem; Bolko z dala machnął ręką: jawny znak, mają iść do komory. Żal, obraza, gniew - zawróciły.

Unger szedł tuż za Wojciechem i Bolkiem, zły, nadąsany. Czegóż to pędził z Poznania, ledwo konia nie zajeździł. Spytał Sobieborę:

- Kaj to leci wasz brat, kiej szczur z kitą słomy na ogonie? - Sobiebor skosił z lekka oczy, spojrzął na Ungera, odciął się:

- Złapże, ksze, szczura wprzódy, potem słomę wiąż. Unger zażuł szczękami, biegł prawie. Rękawy Wojciechowe fruwały, machał ramionami, ruchliwy był, sapał, śpieszył. Bolko minął szopę wojacką, wieżę, na prawo od gościnnego domu stała niewielczutka świątynka, pięknie murowana, biała całkiem, z ostrym dachem nad wystającą częścią środkową; wokół półokrągłe występy, jak dzieciaki czepiające się spódnicy matczynej. Bolko rękę wyciągnął, sapnął:

- A owóz i cyrkiew - i z nagłą dumą:

- Murowana. Kamienna.

Oczy Wojciecha przylgnęły na moment do kościoła, biskup przeżegnał się prędko, spojrzął na Bolesława:

- Słyszałem, wiele cyrkwi wystawiliście, ksze. Pan nasz, Jezus Chrystus, pobłogosławi wam i księstwu.

Bolko poczerwieniał nagle i zmilczał. Coś go zaczęło uwierać w piersi między żebrami. Nie odrzekł słowa. Patrzył na Wojciecha, nie patrzył: wpatrywał się. Jakby chciał go przeniknąć, a nie umiał: widział przed sobą jeno rozwichrzoną chmurę, którą wiatr gnał niespokojnie. W pewnej chwili Bolko usłyszał za sobą liczny tupot spieszącej za nim gromady, tupot nierówny i pośpieszny, nie rozumiejący i gniewny. Doznał nagłej ulgi: oni też nie pojmowali. Uchem wyłowił tuż za sobą ciężki, nadąsany krok Ungera: ten nie pojmował również. Dalej drobił nóżkami Zefrid: nawet on nie pojmował gościa. Woje łomotali ciężko, tępo, bezmyślnie, jakby w złości. Bolko raz jeszcze zerknął

na bladą twarz towarzysza, na ostry nos i wysunięty podbródek, na oczy napięte, wpatrzone przed siebie, wypukłe, w głębokich oczodołach; odetchnął, ujął biskupa pod ramię i - nie wstrzymując kroku - strzelił:

- Chciałem witać was godami, ksze; wżdy widzę nynie, że trza was witać Jezu Krystem.

Nagły - przelotny - uśmiech za błękitnymi tęczęwkami oczu Wojciecha i nagła - stała - zmarszczka między brwiami.

- To ja idę witać Jezu Krysta, łże wwiedziony w puszcę chrobacką został przez waszego ojca. - Weszli w ciasne podwoje świątyni. Wojciech zrobił kilka kroków i na środku kościoła kląkł, podniósł oba ramiona tym samym ostrym ruchem, wiecznie głodnym. Bolko stał, za nim stali wszyscy bez drgnienia, z zapartym tchem. Wojciech klęczał niedługo, wraz zerwał się, obrócił się ku gromadzie i zawołał, troska zagrała mu w głosie:

- Wieść wam wielką niosę. Wieść! Azali wiecie już: zbliża się godzina, gdy Pan przyjdzie na obłoku ognistym sądzić żywych i umarłych.

Zawisła nieruchoma cisza, ścięła wewnątrz świątyni w litą bryłę lodu, w której zamaryły posągowo postacie wojów i świątków. Wojciech rzucał słowa wolno, jak głązy z wysokości.

- Gdy zobaczycie obrzydliwość spustoszenia zapowiedzianą przez Daniela proroka, jaka zaległa miejsce święte, wówczas ci, co są w Judei, niech uciekają w góry, a kto się znajduje na dachu domu, niech nie schodzi, by zabrać cokolwiek ze swego mieszkania; a kto jest na polu, niech się nie wraca, by zabrać płaszcz swój...

Bolesław miał pochyloną głowę, ale oczy uparcie trzymały się twarzy Wojciecha. Znów zetknął się z Nowem i znów nie pojmował. Słyszał słowa, nie rozumiał tych słów, słowa leciały z głuchym łoskotem przez ciszę - obce jak głązy; martwe i niepojęte. Jednak było coś za nimi, była ta szczupła twarz i rozplomienione oczy; i jeszcze coś było nad to, coś za tym wysokim mężem, tajemniczy wiew szumiący w nadwiślańskich puszczech. Stary dąb czuł konarami i liśćmi ten nowy powiew o ostrym, niepokojącym zapachu. Wojciech krzychał:

- Tysiąc lat dochodzi, odkąd przyleciał z niebios Gabriel do Tej, która starła łeb węża. Tysiąc lat ludzie grzeszą a kłamią z Boga wielkiego; azaliż ufacie, że nie ześle Bóg końca na grzesznych synów swoich? Z drzewa figowego bierzcie przypowieść: gdy już gałąź jego pęka i liście wypuszcza, poznajcie, że lato się zbliża. Kajajcie się a czyńcie pokutę przed Panem.

Sobiebor, Stojgniew, Zadora, Przemko Świradowic, Odrzykoń, Dobrosz Ostoja, obaj Niemcy stali sztywno, nie pojmując, z przykrym poczuciem żdźbła lęku przed obcością. Unger słuchał zdumiony - i jego strach brał, gdyż pojmował. W nieruchomej twarzy Zefrida oczy biegały od Wojciecha do Bolka i na powrót, czujne zawsze. Towarzysze biskupa - Radzym, Astryk, Bogusz, Wdała - mieli wzrok rozplomieniony; znali te słowa, pamiętali je dokładnie i rozumieli, nie spodziewali się usłyszeć czegokolwiek nowego; ale ponosił ich zapał i wzruszenie, miłe rozkołysanie gdzieś w głębi; dychali szybko. Wojciech krzychał:

- Jak błyskawica wybiega ze wschodu i jawi się aż na zachodzie, tak też będzie z przyjściem Syna Człowieczego.

Świątynia była mała, krągła, głos huczał by w beczce, serca biły, Bolko słuchał w napięciu, przez pół tylko pojmował słowa; wcale nie pojmował człowieka. W pewnej chwili rozejrzał się bezradnie - ani nieruchome pnie wojów, ni pomieszczenie Ungera, ni ciekawość Zefrida, ni wzruszenie gości nie powiedziało mu nic; poczuł gniew i naraz w tej ciszy świątyni, wypełnionej Wojciechowym wołaniem, rozległo się głuche tupnięcie nogi Bolesławowej.

Tegoż wieczoru Unger pił miód z Zefridem. Było chłodno, więc Unger kazał rozpalić ogień; szczapy trzaskały. Unger wyciągnął nogi, ręce założył na brzuchu, spod przymrużonych powiek spoglądał na Zefrida, milczał. Czarny kapelan unosił się:

- Święty mąż, onże biskup Adalbert. Nie godowanie mu przystoi, jeno służba Chrystusowi. Widzieliście, jak Bolko przeląkł się onego końca, co o nim bajał Adalbert? Myślę, nowe cyrkwie stawiać będzie a dary składać sługom Bożym. Warn by trza ludzi dodać, powiem to Bolkowi.

Unger otworzył senne oczy, naraz się wyprostował, siadł równo, zapytał głośnym, zadumanym szeptem:

- A jeśli prawdę baje on Wojciech; jeśli koniec ów bliski?

Zefrid oczy przymrużył, skurczył się, zaśmiał się samymi tylko wargami:

- Dla Bolka to prawil, ksze... Już nie bez zamysłu krzyczał tyli czas. A widzieliście, jak gęby otwierali Stojgniew a Zadora. Pogany to prawe jeszcze, nie pojmują słowa Chrystusowego.

Ale Ungera zastanowiła mowa Zefrida.

- Dla Bolka, mołwisz? Uhm! - zamyślił się. Naraz podjął powieki, spojrział uważnie na Zefrida. - Co myślisz?

Zefrid nalał miodu i przepił do biskupa.

- Nie wiecie to, że Adalbert wygnaniec jest? Nie trza to mu fiołkowego miecza, izby do Pragi wrócić, braci pomścić?

- Myślisz, nie ostanie w Chrobacji ? Wždy byli w Krakowie biskupi.

- Bez Czechów nie ostaliby się Prochor i Prokulf - powiedział wolno Zefrid, patrzył bystro na Ungera, oczy się mu lśniły. - Ksze! - zawahał się na chwilę - trza się nam razem sprząc. Nic nam, i wam i mnie, jeśli by Adalbert ostał u Bolka.

Unger ruszył ramionami, zmarszczył się.

- Dokąd go pošlesz?

- Na Czechy - Zefrid nachylił się, szeptał - wždy Sobiebor z dawna skomli u Bolka, żeby uderzyć na Czechy. Libice odbić abo i Pragę. Trza nam pomóc Sobieborowi, ja będę gadał z dziewierzem, niech Adelajda z Emmildą gada. Trza ujednać Bolka dla Sławnikowiców, Adalbert gotów by biskupem u nas ostać. Nie lza dopuścić.

Unger popatrzył długo na Zefrida, aż mruknął:

- Dumasz ? - i zamyślił się. Cisza zaległa izbę, świerszcze cykały, trzaskał ogień, Zefrid posiorbywał miód. Nic już nie mówił. Uważnie patrzył w nieruchome oblicze Ungera z przymkniętymi powiekami; ale on już nauczył się czytać w tym bezruchu. W pewnej chwili uśmiech przewinął mu się po wąskich wargach. Unger nie drgnął, ale kapelan wiedział: biskup zgodził się. W tejże chwili usłyszeli za ścianą głos Bolka:

- Idź już, Stanko. Czas spać.

- Szkoda - westchnął Zefrid - żeśmy dziś nie gadali z Emmildą. Bolko wraz pójdzie w łóżnicę, mogłaby szepnąć.

Unger - nie ruszając się - kiwnął kciukiem dłoni.

- Jutro to... - ziewnął. - Bolko... - i znów się zamyślił.

Bolko wszedł do komory, dojrzał odzienie żonine rozrzucone, ją samą odwróconą do ściany, gołe plecy świeciły w nikłym migocie ognia. Nie tak zawsze robiła Emmilda z odzieżą godową; zdejmie ją i do skrzyni. Nie poruszyła się, gdy wszedł. Dotknął jej ramienia:

- Śpisz?

Odwróciła głowę, twarz miała mokrą, splakaną. Bolko zdziwił się: Beczysz ? - zalało go zniecierpliwienie na widok tych pustych łez babich. Emmilda znów się odwróciła do ściany, teraz ujrzał, że plecy jej drgają. Poczul, jak go zaczyna dusić w gardle, ale się strzymał. Rozdział się szybko, zdmuchnął płomyk, położył się. Naraz przywarła doń, poczul na twarzy jej mokry policzek, zachnął się:

- Co?

Miała gorący oddech, gdy szeptała:

- Co? Dumałam sobie: gody będą. Taki gość. On ani spojrzal, przeszedł, rozgoniłeś nas, mnie na wstyd. Toćem małżona twoja. Będą się śmiać ze mnie, a przekpiwać: i Dobrogniewa, i Jemiołka, i Latoroska, i wszystkie. Stroiłam się a wieszalam bisior, i co ? Dumałam: baj - baje będą, a to o Romie, o cesarzu, o onych miejscach świętych, kaj jeździł: słyszałam. A jak wypadło: isty śmiech.

Bolko przechylił głowę, prawie krzyknął:

- Głupia. Zatrzęsa się.

- Bolko!

- Głupia, iście kiej cieciora - zarzucił ramię pod głowę, patrzył w ciemność. Emnilda się odsunęła do ściany, nie chwycił jej za ramię. Poczowała żalność zawodną, cierpkie ściskające skrzywdzenie, ostre jak u dziecka. Leżała już bez łkań, wsłuchując się w ona żalność, zapomniawszy naraz męża, patrzącego nieruchomo w ciemność. Zasnęła w tym żalu.

Obudziła się raptem w poczuciu, że spała długo. Popielaty świt wypełniał komorę. Usłyszała głos Bolka, odwróciła głowę: Bolko siedział na posłaniu, zaplótł ramiona przed kolana, pomrukiwał urywane zdania. Słuchała zdumiona. Szepnęła:

- Bolko!

Zwrócił na nią oczy, zadumane, niewidzące. Było w nich coś, że sama siadła. Siedzieli na wprost siebie, ona zapatrzona w męża, on w coś dalekiego, coś poza nią, poza grodem krakowskim, poza rodzimą puszcza. Wykrzykiwał - do niej? do siebie? do swych widziadeł?

- My ci tu wojujemy, na łowy chodzimy a na gody. A on? Onże Wojciech? Jego i Sobiebor nie pojmie. Dureń Sobiebor, jedno mu: Libice odbić, iżby piwo chlać, mięso żreć, z siecią na zwierza chodzić, a z dziewczkami się gzić. A Wojciech? - zaciął się. Czoło się mu zdradliło, twarz stężała. - A onże Wojciech? - wykrzyknął z bólem - nie pojme ji. - Znow medytował patrząc rozszerzonymi oczyma w szarość poranka. Emnilda porywczym ruchem chwyciła męża za ramię:

- Po co on tu przyjechał? - zapytała. - Dla Sobiebora? - Bolko poderwał się nagle jak koń uderzony po bokach. Krzyknął:

- Nie! Nie dla Sobiebora przyjechał. Dla Jezu Krysta przyjechał!

Emnilda spojrzała na męża zdumionymi oczyma. Nie pojęła. Bolko zaśmiał się cicho, radośnie. On pojął.

- Tak jakbym cyrkiew wystawił, jeśli Wojciechowi pomogę - powiedział wolno i znowu zaśmiał się z cicha.

3.

- Przeczże uciekasz ode mnie, Jezu Chryste? Wždy gonię Cię z zaciekleścią, jak łowiec goni przez gąszcze zranionego jelenia; gonię za Tobą nieustannie przez ziemię i morza, krążę jak jaskółka nad stawami; nie ustaję, jak kruk, którego wiatr nie odstraszy ni burza. Czemuż umykasz ode mnie, Panie mój. Czemu ukryłeś się wśród chaszczów i tarniny, kędy przedzieram się do Ciebie, rwę ciało o kolce i haki, krwią broczę a cierpię dla miłości Twojej, o Panie mój, a Ty wciąż daleki ode mnie jak miesiąc nad wodami. Dłonie wyciągam do onego światła, pięknego nad białą mgłą, nad czarną tonią, a ująć Cię nie mogę, głosem dosięgnąć nie mogę, tążeniem duszy nie dosięgnę, biciem serca nie dosięgnę, oddechem szybkim i umęczeniem długiego wędrowania zgonić Cię nie mogę. Przeczże uciekasz ode mnie. Tęsknoto moja, Umiłowanie moje, Boże mój?

- W onej nieustającej gonitwie przybieżałem do północnej krainy, w bór ciemny, a dokądże każesz mi jeszcze gonić? Gdzie ono Źródło święte, które orzeźwi mnie, strudzonego już bardzo? Bolej niż dwadzieścia lat, jak wygnałeś mię z domu ojca, iż rzuciłem bez żalu, tęskniąc za Tobą. Chodziłem ci po grodzie magdeburskim, a świat mię wabił. Lecz wyrzekłem się świata przez miłowanie Ciebie, Słodocy moja. Imieniem swego zbył, sukni własnej, wszystkiego, za czym insi gonią, a co miłują: broni, kobiet, złota, konia bojowego. Wieszże dobrze, jakem wzbraniał się ostać biskupem w Pradze, jak pocilem się z lęku, gdym wspominał śmierć Dytmara, pierwszego biskupa, jenż strwonił dary, coś mu je dał. Wbrew woli a chęciom pobieżałem do Werony po zatwierdzenie biskupstwa. Wraz pogałeś mię między Węgrów, między biesy pogańskie, goniłem Cię po puszczech i głuszy, wśród ludu dzikiego o zatwardniałym sercu, iż chrzcilem a uczyłem słowa Twego. Szukałem Cię w dni upalne i wietrzne noce, wołałem Cię, Panie, a nie przychodziłeś. Cóżem uczynił w Pradze grzesznik niegodny? Chciałem zmienić lud czeski z pogańskiego na chrześcijański, chciałem postawić stopę Twoją na ów twardokarki naród, a oni dziwowali się jeno, że nie nurzał się sam w pochuciach a rozpuszcie, gorszyli się a szczuli na mnie. Szukałem Cię, Jezu Chryste, w onym bagnie czeskim, bałem się, że w bagno ono nie przyjdiesz, słyszałem już, jako czarni wyją mi nad głową, uciekłem więc do Ciebie, padłem na twarz przed Piotrem, błagałem, iżby nie przeszkadzał mi gonić Ciebie, Umiłowanie Ty moje. Pędziła mię tęsknota drogami Twymi, wiesz, Panie, jakem tężył za Grobem Twoim, aleć w Monte Cassino kazał mi opat ostać, ćwiczyć się w cnotach zakonnych. Dla Ciebie, Panie, ostałem. Ostałem, iżby mi cześć, jako biskupowi, oddawano, czyli po to się skryłem do pustelni, by marność ziemskie przesłaniały mi radość niebieską. Dumalem, Panie: nie ogarnąłem Cię w pełni, bo złuda chwały ziemskiej przeszkadza. Widziałeś, Panie, mą mękę. Pobieglem za Tobą do Valliluca, gdzie wypatrywałem oczy, czy nie błędzisz między głazami i kwieciem. Dostrzegł mękę moją Nil, święty mąż. "Ja grecki człek - rzekł mi - u łacinników lepiej ci się podoba, idź do Rzymu, pytaj tam o zacnego opata Leona, druga naszego." Znow pogałem za Tobą, Źródło Wieczne. Chłodzie na skwarnej pustyni duszy mojej. Prawdać, przyjął mię Leon, habit dał, za nędznego braciszka zgodził się wziąć, pouczał i strofował, dumalem sobie: tu, w cichości, doczekam końca dni moich albo pošlą mnie do pogan na siejbę Twoją, albo po palmę męczeństwa. Dokąd pošłałeś mię, Panie, związanego posłuszeństwem? Z powrotem pošłałeś mię do Pragi, tamem znow próżno uczył a kazał, modlił się a pošcił. Chciał ten pogański naród niewierną żonę bić, wołała u mnie łaski przez miłość Twoją, ukryłem ją, to mi one dusze prawie pogańskie braci pobiły, kościół Twój splugawiły, samego wygnały. Widziałeś, Panie, łzy moje, którymi całą drogę z Pragi do Rzymu samego oblałem.

- Czyliż zwoliłeś mi, Panie, w klasztorze rnoim życia dokonać? Czyliż nie przysłałeś Ottona, czy liż

serca cesarskiego nie skłoniłeś ku mnie, by mnie mocniej karać za me grzechy? Czyliż arcybiskup moguncki nie krzyczał, że muszę do Pragi wracać? Kazali rzucić mury klasztoru, ledwom ubłagał, by posłów wysłać do prażan: czyli chcą mię? Z Ottonem pogałem do Niemiec. Szukałem Cię, panie, wszędy: Błagałem świętych Twoich o pomoc i wstawiennictwo, jeździłem do grobu świętego Marcina i Benedykta, i Dionizego, i Maura. Dzień i noc nie zsiadałem z konia, goniąc Cię po wszej ziemi. Nynie oparłem się w Chrobacji, w grodzie Krakowie. Wszędy szukam Cię, Panie, przeczże uciekasz ode mnie? Żaden łowiec nie goni tak zranionego jelenia, jak ja Ciebie. Żaden woj nie naciera z takim męstwem na wroga, jak ja na Cię nacieram, Jezu Chryste. Żaden otrok nie tąży tak za swą dziewczką, jak ja za Tobą tążę, Ty, Tchnienie mego serca, Ty, Dumko moich nocy, Ty Jedyny, Boże mój, Jezu Chryste.

Biały księżyc stał wysoko nad Wisłą i grodem, Wojciech podniósł nań oczy, wystawił rozpaloną twarz na powiew nocy. Słuchał.

- Adalbercie, Adalbercie. Gonisz mię, a uciekasz ode mnie. Nie jesteś łowcem nieustępliwym ni wojem, ni oblubieńcem. Ty uciekasz, ja gonię za tobą, jak łowiec za zranionym jeleniem. Ja cię nie mogę osaczyć, złapać cię w moje sidła, oderwać cię od świata, którym pędzisz bez przerwy w ucieczce. Ale dogonię cię, zmęcę cię, usidlam, uniosę cię w wieczystą Miłość moją, w przyjacielskie objęcia. Sidlałem cię w on czas jeszcze, gdy cię mać mlekiem karmiła; gdy uczyła znaku mego; gdy ojciec cię wysłał do Niemiec; gdy Oteryk saczył w duszę twą moją naukę, gdy Dytmar straszył cię przepaścią piekielną. Jam cię postawił w Pradze, byś pasł owce moje. Trzykroć wołałem cię, trzykroć uciekałeś. Jam ci wyszukał zacisze dla twojej niespokojnej natury, tyś rwał się wciąż, goniłeś i uciekałeś. Gdzieżeś mię szukał? Jam Jest, Który Jest. Wszędzie Jestem. Przeczżeś nie szukał mię, gdzie byłem. Przeczżeś nie słuchał moich nakazów. Przeczżeś uciekał ode mnie po wszystkiej ziemi. Dokąd goniłeś, po co goniłeś? Zbiegiem moim jesteś, Adalbercie, miotasz się w szaleństwie, a przeciem zawżdy był z tobą: i w Pradze, i w Rzymie, i w Yalliluca, i na Monte Cassino, i w Moguncji, i w Magdeburgu, i we Floriaku, i w Paryżu, i w Tours, i wszędzie, kędyś postawił kroki. Jam jest. Ale ty mi umykasz, wciąż dążąc: wywijasz się poszukując; uchylasz się tęskniąc za mną, Adalbercie, synu mój.

Za ścianą pod kozuchem przewrócił się brat Sobiebor. Emnilda spała cicho koło małżonka. Woje grodowi chrapali pokotem. Radzym stęknął leżąc na zimnym klepisku obok posłania. Księżyc przetoczył się ku zachodowi. Powiał przedświtowy, mroźny wiatr. Szarpnęła się dusza Wojciechowa, trwogą, zwątpieniem, ciało mu oblał pot. Azaliż zgrzeszył szukaniem? Azaliż jest jeszcze ratunek dla niego? Cóż powie Panu, gdy się spodoba Mu powołać złego syna k'sobie?

Nic! Nic Mu nie rzekniesz, Adalbercie. Wołał cię Pan, nie słuchałeś Go. Pycha cię rozdzierała, próżne było wołanie. Biczem chciałeś lud czeski gnać do Pana, a gdzież to była miłość twoja? Pędziło cię po całej ziemi, a któż to wszędy gnał cię od miejsca, gdzie Bóg cię postawił? Nie ja to? Przyjrzyj się, słuگو zły Pana swego, kto był twym panem? Kogoś słuchał? Cóż że we dnie pouczałeś cesarza, a w nocy, ćwicząc się w pokorze, czyściłeś z błota skórnie ciurom? Doskonałym być chciałeś? A buntowałeś się wciąż. Jakież cnoty miałaś? Czyli miłość do ludu swego? Czy brak pychy, gdy każde miejsce było dla cię zbyt złe? Czy posłuszeństwo nakazom Pana? Czy męstwo? Czyś nie uciekał z Pragi ze strachu przed Wrszowcami? Czyś nie czuł niechęci do Nila i Greków? Czyś gotów był na wszystko dla Pana? Czyś nie myślał w pysze, że tobie nie starczy zwykła droga

życia? Czyś wyzbył się dufności książąt libickich? Czy nie szukałeś przyjaciół wśród możliwych tego świata: Ottona, biskupów, opatów? Czyś nie gardził małuczkami, najdroższą trzódką Pańską, dlatego że ciemna jeszcze, że nie złało jej Światło? Nynie przybyłeś do północnego księcia. Dokądże dalej pójdziesz? Gdzie będziesz szukał zbawienia? Cóż ci pomoże, zbiegu Chrystusowy? Wpadłeś wprost w moje łapy, oplotłem cię, złapałem. Nie Chrystusa szukałeś, siebie szukałeś, mnie znalazłeś, ducha ciemności. Jam ci już panem, nie ujdiesz mi. W sieci jesteś, omotałem cię. Będziesz konał, jako poprzednik twój konał, Dytmar. Mój jesteś! Mój!

Do bledniejących gwiazd leciał krzyk nie mogącej poradzić sobie duszy człowieczej: - Jezu Chryste, Panie mój!

Adalbercie, Adalbercie, widziałem cię, gdy krwawym potem pociłem się w Ogrójcu. Patrzyłem na cię z wysokości krzyża. Uciekałeś ode mnie, ale ja łowiec wytrwały. Nie puszcę cię, osaczę cię. Nie umkniesz mi, nie pozwolę ustrzelić cię wrogom moim. Czekaj, powiodę cię. Adalbercie, synu mój, nie umkniesz. Czekaj. Zatrzymaj się. W każdym miejscu, wszędzie najdziesz mię, najdziesz ciszę i spokój, jeno zaufaj mi, zaufaj miłości mojej. Odrzuć niepokój, który nie jest ze mnie, i strach, który nie jest ze mnie, uspokój się w ramionach moich. Ten niepokój twój dzieli cię jeszcze ode mnie, odrzuć ona ostatnią przegrodę. Nie bój się, jam zawsze z tobą. Zawsze i wszędzie. Pamiętaj.

Księżyc zbladł i zatoczył się za dalekie góry. Wstęga ognia zaczęła grać na wschodzie. Daleko na północy, w głuchej puszczy pruskiej, obudził się człowiek, ziewnął, podrapał się pod pachą, wstał - miał iść w las, na łowy. Dawniej chodził z bratem, latoś mu brata ubili woje z polskiej ziemi, tęsknił do zemsty. Głowa za głowę - głosiło prawo. Przeciągnął się, wziął włócznię. Słońce wyrzało pierwszym czerwonym promieniem, błysnęło w ostrzu włóczni. Klęczący w grodzie krakowskim biskup czeski nie dojrzał onego dalekiego błysku. Nie wiedział, że są we wszechświecie Dłonie, co pochwycają ów nikły błysk i zegna go w świetlistą obręcz - dla niego.



Podgrodzie żyło własnym, codziennym życiem. Gród stał wysoko na górze, zawarty i niedostępny. Ludzie patrzyli nań zadzierając głowy, powszednio nie widzieli go, drepcząc wkoło dymnych kleci, rozrzuconych bez ładu i składu. Gad spierał się z Makiem, najbliższym sąsiadem, złym sąsiadem. W chacie Siepacza ciągle były wrzaski, synowie pyskowali, białki darły się kiej kokoszę. Gruda cichcem ciosał piasty, giął jesion na obody. Kowale, kupą siedzący, stukali wciąż młotami, umorusane otroki dęły w miechy, nosiły węgiel, trzymały, podawały; krótkie, dosadne śpiewki szły w takt łomotu, skry pryskały. Oksza pogwizdując włóczył się całe dni, przysiadł przy pracownikach, patrzył pilnie, cościk tam jąkał, momotał, gdakał od rzeczy, śmiał się do siebie, chichotał; białki wynosiły mu podpłomyki, ser, mleko. Pałuba ciosał ciągiem swe deski, sagi żółciły się w słońcu, rozkraczony nad dylem kiwał się cały dzień, giezło miał na plecach mokre, przyklejone do ciała. Stara przecierała zioła, bezzębnyimi wargami marniała zakłęcia. Świnie czochrały się o węgły, babrały w kałużach, chrząkały i ryły. Psy włóczyły się gromadami, gryzły się, nocami całe podgrodzie ujadało, szczekało, wyło. Kury grzebały w kupach śmieci, krowy ryczały. Jazgot unosił się spod grodu jak ciężka woń zagnieczonego ciasta. Po zalewiskach Wisły ślizgały się łódki rybaków. Gromada posłuzna wlokła się pod górę, wieczorami rozpowiadali, czy grododzierzca Sulisław rad był, czy zły; komu w łeb dał, kogo obdarzył. Biły dzwony w grodzie, kruczyl się, spluwali. Przylatywali wysłannicy z grodu: pięć siekier do bicia niedźwiedzi, dwadzieścia płtykich mich na chleby, skórznie albo chodaki lipowe, szybko, wraz. Brali ludzi do naprawy ścian, do podwyższania wałów, do ciągnięcia kłód, do pasienia koni, do nagonki. Konni posłańcy lecieli kajś, do księdza, do Poznania, do Wrocławia, do Sandomierza czy Jomsborga; tyle wiedziało podgrodzie, że koń opryskiwał błotem pracujących. Szły wyprawy wojenne, biły bębny i huczały rogi. Woły stękając ciągały pod górę wozy pełne stągwi z piwem, kadzi świeżego miodu, góry pobitego zwierza. Staczał się z góry śmiech drużyny, podgrodzie przeżuwało skrawki gadek, powtarzane bez zrozumienia, bajbaje o bitkach, dalekich krajach, stolinach i smokach. Żyły własne bajdy, słuchali starzy i mali przy migocie łuczywa. Pili piwo od piwowarów i syte od bartników. Dzieci rodziły się przy wrzaskach matek, starzy umierali, szli do dziadów. Dadźbog panował i Swarożyc.

Tak jest i tak było. Nynie z hrumotem końskich kopyt zajeżdża, na gród ksiądz Bolko Mieszkowic. Wprzódy był Mieszka. Jeszcze przedtem Czechy, przed nimi Mieszka. Przed Mieszka Ziemomysł, przed nim Więclaw, przed nim - bają - Walgierz, kiedyś tam Krak i dwóch synów jego, ci w jamie smoka pobili, onże smok ludzi żarł, gad był. Tak było.

Ksiądz przywodził nowych ludzi - kowali, szczytników, bednarzy, łagiewników, sokolników, szewców, tkaczy, łuczników, kołodziejów. Przyłazili od puszczy wolne kmiecie, których złe gnało z miejsca w miejsce, przytulali się pod grodem. Starzy woje osiadali, grzali się wspomnieniami walk i łowów. Czasem kupiec z daleka zabłądził, zasiadł, siedział pół roku. Topole na gody letnie rzucały biały puch jak śnieg, następnej wiosny wysuwały się młode płonki, jeśli ich kozy nie obgryzły, strzelały w górę, grubiały, ocieniały brunatne dachy chat. Płynęło życie pode grodem, od godów do godów, od lata do zimy, gród się rozrastał, pił soki z podgrodzia, podgrodzie się rozrastało, piło soki z grodu. Dwa światy oddzielone od siebie zatrzaśniętą bramą, a nie mogące żyć bez siebie.

Gdy działo się coś na górze, podgrodzie - krzątające się co dzień z oczyma przy ziemi jak mrówki - podnosiło oczy: porośnięty trawą wał, grube tramy powiązane na węgiel, krępy sześcian niewysokiej

wieży, wykrój wrót przysłoniętych broną, dalej dachy, dachy - obce, wspaniałe życie.

Pewnego jesiennego ranka - pierwszy przymrozek ściał kałuże i pobielił strzechy - od grodu w dół szedł człek. Cudzy. Był wysoki, ruchy miał szybkie, niecierpliwe. Obok niego dwóch innych - w niewidzianych tu nigdy cudacznym szatach. Gruda podniósł zaczerwienione powieki od długiego płatu jesionowego, Pałuba wyprostował wiecznie zgięty grzbiet, odetchnął głęboko. Gad krzyknął z przekpinką do Mąka:

- Obacz, stary, księdzowy gość do cię idzie - tamten odwrócił się niezdarnie, mięsistą twarz zaląła mu krew.

- Bacz no swego nosa, nie mego prosa. Tobała wrzasnęła na całe gardło:

- Białki, białki, pożrycie no: cudak. To ten, iże onegdaj przyjechał do księdza.

- Mołwią, chla miód a packa mięso kiej wieprz - zaszeptał do siebie głupkowaty Oksza i zachichotał.

5.

Emnilda przeciągnęła ramiona, westchnęła. Odłożyła krosna, wstała, pokręciła się bezmyślnie po izbie. Wyrzała przez okno - Smoła niosła wiadra z wodą, pod ścianą cyrkwi siedział Dobek, coś pokrzykiwał do dziewczuchy, ta postawiła wiadra, obróciła zaczerwienioną twarz, chlusnęła jazgotaniem, cienkim, szybkim, dychawicznym. Woj aż gębę rozwarł z podziwu, plasnął dłońmi po kolanach, zahuczał basowym śmiechem. Porwała za wiadra, pobiegła. Słońce świeciło. Niepokój targał Emnilda.

Bez mała pół roku nie widziała Bolka. Miała się spotkać w Krakowie, przykazał jej, jechała spiesznie, uda ją bolały od ciągłego podskakiwania na koniu. Serce biło na myśl o mężu.

Wyparzyła się w łaźni, była świeża, pachnąca. Stara Bogna rozkładała ręce, szeptała:

- Aj, aj, będzie to ksiądz przykładał się a miłował - Emnilda czerwieniała z zadowolenia.

Nynie... nic. Nocami pije z kilku drugami, wraca nad ranem, nieochoczy, mrukliwy. Legnie na wznak, ramię podłoży pod głowę, patrzy w belki. Podsunie się Emnilda do męża, nie przygarnie jej. Kiedyś mruknął nagle:

- Trza sakwę złota słać Ekkehardowi, niech rozdaje... - naraz jakby obudził się:

- Emnilda.

Przylepła, twarz schowała mu w rozrzuconą czuprynę, szepnęła:

- Bolko...

- Abo co... - i nagle - ...Stojgniewa pośle, czy jak? Nie, Stojgniew nie zdoła, chytra to gra... Ludzi brak, Emnilda, ot co! Ludzi brak! Kiej toporem po czerepie... to umieją, kiej chytrze trza... wkręcić się... umu nie ma... Zefrid? - zamyślił się, Emnilda słuchała wciągając nosem miłą woń mężową - Zefrid? Jeden Zefrid. On to wie, psie nasienie - czuła, już go gniew ponosi, sapie, chrząka - bardzo dumy zrobił się Zefrid. Czołga się kiej wąż, a swoje myśli. Nie poślę Zefrida - stęknął i nagle porwał garściami Emnildę za ramiona, potrząsnął, charknął:

- Kogo? Kogo? - Ech! - i wziął ją.

Kiedyś ujął twardą garścią jej ramię, ścisnął do bólu:

- Gadajże z Wojciechem, Emnilda. Na wszystkie biesy i Dadźbogi, gadaj z Wojciechem. Praw mu: "Ksze, Bolko cyrkwie wystawi, ostańcie tu". Nynie Wojciech łązi dzień w dzień na podgrodzie, gada o Kyryi Krysti, widać to, nie pojmują, co gada. Idźże z nim, pomóż. Weź białki wkoło siebie, gadaj im... czy ja wiem. Pytajże Wojciecha... pojmujesz to?... jak jest w cesarstwie a w Italii... Umu wam brak, ot co. Umu brak. Krosnami się bawisz... białki u Bawarów a Sasów szaty dla cyrkwi pięknie szyją, a obrusy tkają złotymi nićmi, a drogimi kamieniami. Rzeknij Wojciechowi... że też chcesz... niechże on pośle po białkę, która by wam pokazała... Złota dam a kamieni błyszczących, a wszystkiego, co trza. Na podgrodziu kupce nynie są, pójdz, obacz, przepytaj, może powiedzą co...

Bierz Jemiołkę a Latorosłkę i insze białki... Ucz. A Wojciecha trza utrzymać... nie puścić do Pragi. I tych, co przyszli z nim: oni i pisać zdołają, i wysłać takiego możesz z tajnym posłaniem, nie to, co naszych: pojedzie ci do cesarza i wprost, by toporem w zęby. A psia... łajno. Wojów mam by wszów na kozuch, a ludzi brak... Pomóże, Emnilda... łże myśli: na białce ino lec a kazać jej płótno tkąć. A ono nie tak, nie tak. Powiedźże Wojciechowi: "Bolko chce księstwo Jezu Krystu dać, pomóście mu, ksze. A on cyrkwie postawi a dobra wszelakiego da, a niewolnych, a skotu, a ziemi i będzie zęby łamał, kto by w post mięso jadł, a mady ciął, kto by cudzołożył". Emnilda, pojęłaś to?

Oddychała szybko... ze wzruszeniem...

- Tak...

Sapał, uleżeć nie mógł, wstawał wśród nocy, szedł na ostrokół, bieda, jeśliby gdzie śpiącego znalazł stróżnika: łatwo w złość wpadał Bolko w one dni. Emnilda próbowała gadać z Wojciechem, nie szło jej: biskup sine oczy w nią wlepił, księżnę strach zaraz dławił. Chodziła na podgrodzie, kupcy mieli tam bisior, kabłączki a broń. Przepytywała o tkactwo a szycie kościelnych szat, nie wiedzieli, dziwili się. Czerwieniała, złościła się. Spotykając we dnie Bolka podnosiła nań oczy niepewne, winne: Bolko nie myślał o niej. Nocami tuliła się do męża, rzadko ją przygarnął. Niecierpliwość nim miotała, widać: w dzień miał twarz wesołą, oczy śmiejące się, ale żuchwy mu latały koło uszu.

Jesień tego roku była ciepła, sucha, Wisła nie przybrała całkiem. Jakoś dzień się nie kleił; Bolko stał oparty o ścianę grodową, patrzył na góry - hen, daleko kłębiące się szarym obłokiem. Podeszedł doń Stojgniew, Bolko się nagle odwrócił, miał głęboką zmarszczkę między brwiami:

- Gniewek, pojedziem na noc z ościeniem na ryby. Samowtór - Stojgniew uśmiechnął się.

- Czólno przygotuję a smolaki. Ej, Bolko, Bolko...

- Cóż?

- Na bitkę nam jaką trza, już ci nuda po kościach chodzi - zobaczył, jak Bolko poczerwieniał, złość nim targnęła, obrócił się, łokciami oparł się o szczyt ostrokołu, znów patrzył w kłęby gór. Stojgniew ruszył ramionami, odszedł.

Popłynęli dobrze przed północą. Wiał lekki wiatr. Środkiem rzeka błyszczała, koło brzegów leżał na wodzie czarny, aksamitny mrok; woda burczała przed nosem czólna, pluskała na wiosłach. Było chłodno, ale bez mrozu. Stojgniew wiosłował, Bolko owinał się kozuchem, skulił się w tyle łodzi, dobrze mu było. Stojgniew pomrukiwał piosenkę:

Oj, poźrzała żaba,

żaba wielgogęba...

Drzewa szemrały nad samą wodą, osypywały liście. Z zastałych zatoczek niesło mocną wonią butwiejącego zielska. Osiadała mgła, lekka i przejrzysta, gwiazdy ledwo przez nią przebijały. W pewnej chwili Bolesław ozwał się sennie:

- Zapalaj, Gniewek, abo jak...

Skrzypnęły dulki, Stojgniew ostrożnie złożył wiosła, wziął garnek z żarem, wyrzucił węgle na płaską misę umocowaną na dziobie, ustawił w gwiazdę szczapki smolne, rozdmuchał - wraz błysnął czerwony płomień, odbił się w wodzie, drzewa tu zasłaniały od wiatru, nurt był spokojny, związał się w wielkie, ciche wiry. Stojgniew zdjął wiosło z dulki, przeszedł na tył, siadł, bez plusku popychał łódź do przodu. Bolko - jak zawsze na łowach - czuł, że ogarnia go niecierpliwość, przysiadł tuż przy ogniu, trochę bokiem, zasłonił się od światła, spojrzął w nurt: woda była żółta, ruda, jakby zmieszana z krwią. Tu, tam ślizgały się długie cienie, ryby podchodziły do ognia, Bolko nie bił, czekał na większą sztukę; czasem błysnęło srebrzystokraśne podbrzusze.

- Bacz, Gniewek, do onej brzozy!... - przyłodek wyłaził daleko w rzekę, na końcu pochylała się stara, na pół spróchniała brzoza, moczyła gałęzie w wodzie, na białej korze odbijał się blask płomienia. Stojgniew pchnął łódkę bez szmeru, dotarł do drzewa, złapał ręką za gałąź, stanęli. Ryby pływały wciąż stadami, stawały w miejscu, nosami pod prąd, widać było dobrze, jak wolno poruszają płetwami, rytmicznie otwierają pyszczki, skrzela drgały wtedy. Ukosem podsunął smukły cień, między stado płotek wsunął się spłaszczony nos szczupaka, ryby ogłupione blaskiem nie rozpierzchły się. Bolko przygiął się, chwycił garścią mocniej za krawędź czółna, pchnął ościeniem pod rybę, plusk, widać było, jak drzewce się załamało do góry, szczupak drgnął, naraz zabalgotało, zatrzesło się wszystko i Bolko rzucił do łodzi dwułokciową, bijącą się rybę; rana krwawiła, szczupak legł na dnie, otwierał raz po raz paszczę, nieruchomymi oczyma patrzył w płomień. Bolko wykrzyknął:

- Wielga ryba!

- Upieczem później w popiele. Mam miód i placki jęczmienne - odkrzyknął Stojgniew.

- Teraz mnie puszczaj do wiosła - zmienili się. Bolko pchnął łódź bardziej na środek, pozwolił się znosić prądowi, niecierpliwość mu przeszła, czuł lekkie rozleniwienie, miłe i nie nużące, patrzył na czyhającego u ognia Stojgniewa, widział jego czarny, ostro zarysowany profil, myślał niby o Wojciechu, o cesarzu, o Sobieborze, o Czechach, po głowie tłukło mu się w kółko:

- Morawy... Morawy...

..ale wszystko to było jakieś zamazane, nie dręczące, dalekie i obce. Miły bezwład objął mu ramiona i barki. Wiosło raz wraz samo się poruszało, łódź wolno płynęła po czarnej toni, ledwo, ledwo bulgotała woda, kawałki węgla spadały w rzekę, syczały. Stojgniew czatował z ościeniem, było dobrze, swojsko.

Nagle Stojgniew zamachnął się, uderzył, łódź chybotnęła się silnie, jeszcze raz, wzięła wody, Stojgniew przegiął się, napiął, zakrzyknął:

- Bolko, drugi oścień, nie wyrzucę jej, wielgoryb, wielgoryb! - Bolesław jednym susem był podle druga, obok łodzi coś szalało, ogromny, spieniony wir, coś przewracało się i rzucało czółnem. Stojgniew zarżał krótkim, szczęśliwym śmiechem. Bolko dojrzał błysk czegoś żółtego, pchnął z całej siły, szarpnęło ościeniem, ramię mu do razu zdrętwiało, krzyknął:

- Toporem ji!... Gniewek!... - Stojgniew przerzucił oścień do lewicy, prawą złapał za topór, przechylił się jeszcze bardziej, obaj podnieśli oścień, ile im sił starczyło, ramiona mdały, drzewca gięły się - ladałada a pękła - na moment na powierzchni ukazała się wielka głowa - wąsata, straszna, paszcza rozwarta - Stojgniew uniósł się, trzasnął obuchem w łeb potwora, raz i drugi, poczuli: ryba szamotnęła się i znieruchomiła. Stojgniew sapnął:

- ...uff!

- Som - krzyknął Bolko.

- To ci wielgusz! fffff... Ciągmy - ledwo go przerzucili przez burtę. Błysnęło jaśniejsze podbrzusze, jeszcze pulsowało...

- To ci gad!

- Nie widziałem takiego. W grodzie gęby roztworzą z dziwu.

- Bo i dziw. Ledwo nas nie potopił.

- Mołwię ci, kiej podpłynął, iście czółno pod wodą. Gębę otworzył, dumam: wywróci nas. Ale nie strzymałem, dźgnąłem.

- Kto by strzymał. Ho ho! Jedźmy na brzeg, Gniewek.

Wyszukali piaszczyste urwisko. Górą szumiał bór. Wygramolili się z bronią i szczupakiem, umocowali czółno, Bolesław rozpałił ogień, wojewoda chrust zbierał, później sprawił rybę. Owinęli się w kozuchy i legli koło ognia. Sennie gadali o rybie. Naraz Bolko przerwał:

- To Adalbert naucza podgrodzie?

- Dzień po dniu, z rana. Cudak. Sobiebor inszy.

- Co gada?

- Cięgiem na Czechy namawia, judzi a prosi.

- A ty?

- Ja jako liszka. Ista liszka, słowo powiem, a ogonem zamiotę: ni śladu.

- Już tam liszka z ciebie... - jakiś obcy ton zagrał w głosie księdza. Stojgniew spojrział uważnie przez płomień.

- Co to wam, ksze?...

- Co? A to, że wam umu brak. Ty liszka? To i byk liszka. Zefrid, ten prawy lestek.

Stojgniew skrzywił się.

- Zefrid...

- Ty na Zefrida nie gdacz. Zawidzisz mu? Ty jedno wiesz: pięścią a toporem. Głuptak jesteś.

Stojgniew znał Bolka, zamilkł. Leżeli obaj, Bolesława ogarnęło zniechęcenie. Patrzył w górę, w drzewa, gałęzie szumiały. Podniecenie łowcze minęło, znów wróciły rozterki ostatnich dni. Nie pojmował, co mu jest, ale źle mu. Źle. Coś dolega w środku, męczy. Z nagła zatęsknił do Czcibora, do stryj owego dukania, do mądrego uśmiechu: nie masz go. I ojca nie ma. A pewno ojciec czuł nieraz, co on nynie. Bolkowi przypomniało się nagle, jak siadywał skulony przy Dobrawie. Jak wpadał Mieszka, ruchliwy i niespokojny, szybko gładził chłopaka po gębie i wraz odpychał niecierpliwym gestem. Jak ganiał z kąta w kąt, rzucał urwane słowa o wrogach i przyjaciółach, o wojnach i przymierzach: zamyślał się, dumał długo, złościł się i miotał; syn patrzył na ojca, przykulony przy mąci, bał się ojca, nie pojmował go. Nynie nie pojmował siebie, tegoż samego niepokoju i męki, które gnębiły ojca. Nie wytrzymał, zaczął mówić przez przygasający ogień, wciąż zapatrzony w czarne konary drzew.

- Krzyczę na cię, że nie pojmujesz, że nie pojmujecie. Ja sam nie pojmuję. Gniewek, wiele rzeczy wyrasta nade mną jak dąb nad paprocią. Nie pojmuję, psia... - stuknięcie pięścią - a moją rzeczą pojąć, moją, księdza i pana. Nowe idzie ku nam, a my po staremu: toporem ino rąbać a mieczem ciąć. Mój ojciec oddał kraj swój Jezu Krystu; i ja to robię. Dotąd myślałem: cyrkwie stawiać, świątkom Kyryi Krysti dużo dobra dać, w post mięsa ni mleka nie jeść i już!... Widziałem na Węgrzech: trza chrzcic - chrzczę; chce kto abo nie: moja wola. Wiem ci nynie: i cesarz mi drugim, i ksiądz papież, a no łącniej mi władać, łącniej przymierza mieć i łącniej bić. Pojmujesz, Gniewek?

- Pojmuję.

- I ja pojmuję. To pojmuję. A nynie patrzę: jest jeszcze coś. Patrzę na Wojciecha: toć jen Jezu Krystu służy jak smard, jak klejmowany, jak pies. Że biskup?... co mu tam. Libice?... .co mu tam. Nie pojmuję tego.

Zamilkł. Szumiały drzewa. Zza ognia doszedł niepewny głos Stojgniewa:

- Cudak. Albo przygłupek.

- Nie to, Gniewek, nie to. I jam tak dumał. Nynie widzę: nie to. Nie cudak ni przygłupek. Stary Oksza, ten ci przygłupek jest. Wojciech nie. On krew chce dla Jezu Krysta rozlać.

- Baje.

- Baje abo i nie. Co to jest, Stojgniew, co to jest? I Zefrid świątek Jezu Krysta, i Unger. I insi. A ci wszelako nie tak. I kiej ważę to wszystko, dumam czasem: a możeć Zefridlis jest przygłupek?

Ogień przygasł. Stojgniew uniósł się, rozsunał popiół, włożył weń owiniętą w liście, sprawioną rybę. Spojrzał uważnie na księdza. Bolko wciąż leżał na wznak, oczy miał szeroko otwarte, w mroku połyskiwały białka. Stojgniew znów się owinał kożuchem, położył się. Sen go nie morzył, słuchał

nierównego oddechu Bolka: księdza i druga. Już tak było: miłował Bolka. I to uczucie podsunęło mu nagłą myśl - aż siadł.

- A jeśli - mruknął. Bolko obrócił ku niemu głowę:

- Gadaj.

- Ee...

- Gadaj.

- Wiesz... - głos mu się łamał niespodziewanym wzruszeniem, aż nagle: - Wiem ci, czemu Wojciech robi tyle dla Jezu Krysta.

- Czemu?

- Bo on nie ma przed Nim nijakiego strachu, on Ji by ojca albo druga, by mać albo małżonę... oni Ji... miłuje.

- Gniewek!...

Wzruszenie - nagłe i dziwne - olśnienie Niepojętego, zajrzenie w obcy świat sprawiło, że obaj się poderwali. Nie mogli jeszcze ogarnąć. Stojgniew nagle wewnątrznie się cofnął, przestraszył się. Powiedział zgaszonym głosem:

- Mówiłem ci, że jest cudak albo przygłupek. A może ja głuptak?

- Nie... - Bolesław szepnął w głębokim zamyśleniu. I nagle poczuł wstyd. Wstyd, że gadał i o takich rzeczach. Wstyd i obawę. Niechęć. Mruknął:

- Dawaj no onego szczupaka. Głodnym - ale nie była to prawda: wcale nie chciało mu się jeść w tej chwili.



6.

Już od trzech dni było wiadomo: Bolko Przemka wyśle do Pragi w poselstwie od Wojciecha. Kazał mu konie dobre wziąć a wojów dziesiątek. Koło gospody księżzowej dopadł Przemka stary Ślizień, złapał za ramię, zajrzał mu w oczy, spuścił powieki, mruknął:

- Weźże mię ze sobą do onej Pragi - niezdarnie się kiwał na boki. Przemko kręcił koniec węża, patrzył na Gza, zająknął się:

- Stanko już prosił...

Giez uniósł wysoko brwi, popatrzył na Świradowica ciężkim, kamiennym wejrzeniem.

- Nynie kupce bawią pode grodem. Chciałem kupić u nich mizerykordię, walny nóż, na głowiczce ci trzy kamienie świecą. Pół dnia swarzyliśmy się: ci chcą cztery wiązki kunie, ja im dawał trzy. Zaraz pójdę, dam cztery: oddam ci ów nóż. Próbowałem ji na dębowym drągu: zrazu przecina. Morwie ci: walny nóż. Weźmiesz mię?

Przemko wciąż kręcił węża.

- Obaczę.

Giez zmarszczył brwi, znów podniósł na młodszego spojrzenie jak głaz.

- Pomnisz... koło Nitry... - twarz Przemka poczerwieniała, pięści się zacisnęły:

- Dobra, Giez, pojedziem.

- Pójdziem zapić.

- Nie mogę, Giez. Idę do Wojciecha.

Skręcił do gospody, pochylił się, bo odrzwia niskie były, z sieni wiodły drzwi na prawo, nacisnął, wszedł. Na ławie pod ścianą siedział Astryk, wodził wzrokiem za chodzącym biskupem; chuda, długa tyka z onego Wojciecha, garbił się z lekka, wykrzykiwał:

- Nie powierzę... nie powierzę... Oda białka, kłamliwa białka. Mniszką była, Chrystusowi się oddała, a poszła za Mieszkę. We łzy ją łapałem już nie raz... nie dwa... Na Bolka sakocze, bo synów jej... - Astryk dojrzawszy Przemka syknął:

- Tsss. Ktoś od księdza...

Wojciech stanął od razu, obrócił się ostro,, wojów raziły te jego ruchy urywane, gwałtowne; na Przemka spojrzwały oczy błękitne, przenikliwe. Pytały te oczy.

- Bolko przysłał mię... posłanie macie do Pragi, a do księdza Bolesława.

Astryk syknął:

- Czemu to Bolko woja posyła w biskupowym poselstwie? Wojciech znów się obrócił ostro - do Astryka:

- Ty milcz. Gadałem z Bolesławem. Mołwi: nie ma kogo...

- A Zefrid?... A Herman Ungerowy?... A Gero?... A Rudolf?...

Zmęczenie oblekło twarz Wojciecha. Nie odrzekł nic. Spojrzał raz jeszcze na krępą, pleczystą postać woja, na nachmurzone czoło, na rękę kręcącą wąż z jawnym nadąsaniem, spytał:

- Jak cię zwał?

- Przemko. Syn Świrada - zęby błysnęły spod wąsów, czoło się jeszcze bardziej zachmurzyło. Wojciech kiwnął ręką.

- Podejdz no. Skoro cię ksiądz posłał, nie mnie zmieniać. Pojedziesz do Bolesława a do starszych w Pradze. Pojąłeś?

- Cóż tam?...

- Powiesz im tak: Adalbert, biskup wasz, dwakroć z Pragi uciekał dla grzechów waszych a niegodziwości... dla służby waszej diabłu... - zaczął unosić się, krzyczeć - dla pochuci waszej... dla win i zdrożności... Jakież prawa znaliście, jak tylko prawa szatana? Czym żyliście, jak nie grzechem a zbrodnią, wy... - zająknął się. W zająknięcie to wpadł syczący szept Astryka:

- Tego wszystkiego nie potrzebuje prawić poseł... - spod wygolonej czaszki spojrzały na Wojciecha oczy ciemne, czujne, ostrzegawcze. Wąskie wargi zacięły się jeszcze bardziej.

- Niech prawi - krzyknął Wojciech - niech prawi... Niechże wiedzą, że jeśli przyjadę, to nie po to, by gładzić jęnp a wychwalać. Nie po to, żeby oczy zamykać, godzić się na nieprawość, na pochucie a zbrodnię, lecz by na twarde karki nałożyć jarzmo Chrystusowe. Na swych długich piszczelach podskoczył do stołu, chwycił księgę, odemknął, coś w niej palcem pokazał. - Chcą, czy nie! Mają zmienić wilcze skóry na owcze, z wilków w owce się przemienić! - spojrzał w przenikliwe źrenice Astryka, bladego i skupionego, nie wzruszo nego wrzącą gwałtownością buchającej przed nim namiętności, i nagle ciszej, zgaszonym głosem:

- Nie wybrał mię snadź Jezus Chrystus, Pan nasz, na narzędzie ku podniesieniu mego ludu. Może lepsi się najdą... Może lepsi... Jezu Chryste! Przeczeże miłuję Cię i czeladkę Twoją, Jezu Chryste!

- Tego wszystkiego nie potrzebuje prawić poseł - powiedział pełnym już głosem Astryk, i zmarszczka między jego czarnymi brwiami się pogłębiła. W ten dwugłos szarpiącej się namiętności i karcącej rozwagi wtargnęło jak obcy ton pytanie Przemka:

- Co przeto mam rzec prażanom?

Wojciech usiadł ciężko przy stole, ujął twarz w obie ręce, głowę opuścił, powiedział głucho:

- Chcą mię, czyli nie.

Zapadła ciężka chwila ciszy. Przemko wodził wzrokiem od skulonego przy stole biskupa do nienaturalnie wyprostowanego Astryka, chrząknął, spytał:

- Tylko to?

Wojciech gwałtownie poderwał głowę, jak koń szarpnięty cugłami:

- Tak. Tylko to. - Przemko nie wiedział, czy ma odejść. Wojciech spojrzął na posłańca jakby ze zdziwieniem, powiedział po raz trzeci:

- Tylko to. Chcieli swego biskupa, abo nie - iż nagłym, niezrozumiałym dla Przemka uśmiechem: - Idź już.

Odchodząc Przemko słyszał jeszcze przyganę Astryka:

- I nicze więcej? Wywiedzieć się... drugów spytać... W sieni już usłyszał Przemko okrzyk Wojciechowy:

- Drugów?!

I potem twarde jak zatrzaśnięcie skrzyni:

- Nic!

Na dworze Przemko otrząsnął się jak pies z wody. Spojrzął na niebo - zawalone było chmurami. Mruknął:

- Śnieg będzie.

Ruszył łopatkami i jakby niskiemu niebu:

- Nie dziwota, że ji z Pragi wygnali. Nie wytrzymasz z takim - szedł wolno do Bolka, wciąż miał ochotę otrząsnąć z siebie nalot obcości i dziwu, który go opanował u biskupa.

- Brrr! - obrzydzenie mijało.

Bolko siedział sam, gładkim kamieniem toczył miecz, spoglądał wzdłuż ostrza pod światło. Pogwizdywał przez zęby jak wiwilga. Ujrawszy Przemka, odłożył miecz, postukując kamieniem między nogami po zydlu, spytał niecierpliwie:

- Co rzekł Adalbert?

- Kazał spytać: chcieli ji w Pradze abo nie?

- Tyle jeno?

- Tyle. Przędzi krzyczał na nich, jako gady są a pochutniki, aleć nie kazał tego gadać. Astryk tam był, pohamował biskupa.

- Astryk? - spytał Bolko i zamyślił się. Przemko wziął miecz, niby to go oglądał, raz po raz zerkał na księcia: tamten stukał wciąż toczydłem o zydel. Naraz wstał, przestawił zydel, siadł nań okrakiem - i do Przemka:

- Słuchaj, ślę cię, gdyż mało kto cię przepije, a pijany nie wygadasz. Słuchaj tegdy: powiesz to, co ci biskup kazał. Tylko to. Wždy nie bez tego, aby tam jakiego gadania nie było: będą cię ciągać za jęzor. Udaj, żeś podpił, pojmujeszli?... Udaj.

- Pojmuję.

- Będą cię tam pytać: "Myślili Bolko na Czechy uderzyć, Sobiebor na Libice wprowadzić?" Powiedz: "Nie, nie myśli tak Bolko". Będą pytać: "Myśli Bolko z Weletami wojować?" Powiesz: "Nie, nie myśli Bolko z Weletami wojować. Jakże ma Bolko Sobiebor bronić albo Weletów bić, skoro duma Prusów bić, ziemię pruską zająć". Powiesz: "Nynie zima, błota pruskie zamarzną, dobrze drużynę wieść przez one trzęsawice a plesa". Może pytają, a może nie: "Skąd wiesz? Czyliś powiernikiem księdza?" Powiesz: "Powiernikiem księdza jać nie jestem, ale jakoś gody były, Bolko podpił. A Sobiebor w oczy mu: »Ksze, trza nam na Czechy c. A Bolko Sobiebor w kark: »Trza ci na Czechy? - pry - to idź. A mnie trza na Prusy, nynie zima, dobrze drużynę wieść«". Całuj ich a ściskaj, a pytaj takóž. Prawdy ci nie rzeką, aleć dobrze jest wiedzieć i o łyzy: co łąż i jak? Słuchaj, co będą gadać tu i tam. Dary ci będą dawać, bierz. Aleć... gdybyś mi... pomnij, Przemko - zacisnął pięść, w oczach mu błysnęła zimna groźba - pomnij!

Przemko targnął głową:

- Wiecie, ksze. Wždy wiecie - jakby błaganie w głosie. Bolko popatrzył nań długo i burknął:

- Wiem. Wiem, łajno psie. Dlatego ślę cię, ale ty bacz... różnie bywa. Com ci rzekł?

- Dary mam brać.

- Bierz. Ca zechcą, obiecaj. Potem mnie powiesz. Z Adalbertem... słuchaj.

- Słucham.

- Z Adalbertem... Powiesz im Adalbertowe posłanie. Ale powiesz też i to, co krzyczał na nich, pojmujesz: nie chcę, by Adalbert znów do Pragi pojechał, wolej niech tu ostanie... w Krakowie. Ale o tym kysz! ni słowa, ni tu, ni tam. Ni słowa! Zefrid cię będzie pytał, powiesz: "Co mi tam! Księdza pytajcie".

Przemko czuł wzrastającą w nim jakowąś radość. I przedtem był rad: pojedzie do Pragi, tyli świat. Czechy obaczy, księdza Bolesława, bają, cyrkwie tamok zacne, jak u Sasów. Lecz teraz go już ponosi gra. Gra!... Spojrzał w nachmurzone oczy Bolka, mimo woli uśmiechnął się. Bolko dostrzegł

uśmiech:

- Tyś co?

- Rad jestem, że jadę.

- Pomnij, wrócisz: obdarzę cię. I Wojciech obdarzy: on także nie chce wracać, wiem to. I słuchaj: będałi tam pytać: “Myśli Wojciech za Libice mścić?” Rzeknij: “Myśli. Wszyscy tak gadają, że myśli”. Pojąłeś?

- Wszystko.

- Idź. Komornik da ci sakwę srebra. Nie żałuj. Idź. Przemko był już za drzwiami, gdy usłyszał wołanie. Wrócił, Bolesław znów ostrzył miecz; nie podnosząc głowy powiedział:

- Mołwił mi Wojciech, jest w Pradze pięciu braci Szreniawitów, których biskup z niewoli od kupców wykupił. Ci w czas śmierci mego ojca napadli na kupców, to ich sprzedałem. Jeślibyś spotkał którego, nie szukając, ot zdarzy się, rzeknij mu tak: “Bolko przebaczy wam, jeśli na służbę do niego pójdziecie. Ziemię odda i do drużyny weźmie. Ale nynie nie wracajcie. A będzieli co... wojna, abo jak?... dajcie znać”. Oni nynie Wrszowcom służą, ale Wojciech mołwi: chuda to służba. Daj im srebra, ułakomią się. A przy Wrszowcach dużo wiedzieć mogą. No! Z Jezu Krystem.

- Z Jezu Krystem, ksze.

Przed domem kilkoro z drużyny grało w zabijankę, ujrzeli Przemka, stanęli, Stanko krzyknął:

- Jedziesz?

- Jadę. Ale ksiądz mi kazał Gza brać - i pobiegł. W szopie drużynnej wziął sznur, zawołał Jazkę, wyrostka, który mu służył, mieli iść, konie łapać na pętlę, na noc przywieść do grodu. Przed szopą stał Sobiebor, czekał na Przemka:

- Idziecie żrebce łowić?

- Tak, ksze.

- Pójdę z wami.

Do wrót milczeli. Milcząc schodzili z pochyłości, w pół góry ozwał się nagle Sobiebor chropawym głosem, sapiąc:

- Co za posłanie ma brat mój? Przemko nastroszył się.

- Pyta, prażanie chcą go, abo nie.

- I tylko?

- Tylko.
- Dureń! - sapnął Sobiebor. Parę kroków szli, znowu milcząc. Najstarszy Sławnikowic znów sapnął:
- A ksiądz?
- Cóż ksiądz?
- Jakie posłanie dał? Przemko skosił oczy na olbrzyma.
- Nijakie.
- Nijakie? Jakże to?
- Mołwię wam.
- Tyli czas z wami gadał.
- Srebro dał a o drodze bajął.
- Hm! - chrząknął Sobiebor; schodzili do podnóża góry, dalej szli między wierzbami brzegiem Wisły. Sobiebor wciąż sapał. Naraz do Przemkowego pachółka:
- Skocz no naprzód. Mam ci twojemu panu coś rzec - otrok pognał machając rękoma, ciężko, ziemia pod nim dudniła.
- Isty mieszka - mruknął Sobiebor i oglądnął się.
- Słuchajcie no, Przemko - sapał teraz szybko niby baba bijąca kijanką - ostawcie swego źrebca, zajeździecie go. Walny koń. Dam innego, silny a śmigły: rój pszczeli w locie zgoni. Słuchajcie. Brat mój zgłupiał... - sapanie stało się podniecone, Sobiebor stanął, złapał za kiść Przemka, zatrzymał go. Nie puszczał mocnego uchwytu, co drugie słowo potrząsał ręką Przemkową - słuchajcie... Zgłupiał całkiem. Nic to, ostanie on w Pradze biskupem, czy nie. Bez Libie żaden Sławnikowic nie ostanie biskupem. Słuchajcie... - w gardle mu chrapało, ze wzruszenia głos się rwał - nic to. I wam bez nas nijako... nijako... przezpieczności nijakiej... Słuchajcie: dam wam konia, a zbroję siatkową... przednią. Szłom z piórami, takiegoście szłomu nie widzieli... Szeroki, niemiecki miecz... Słuchajcie: Litomyśle było naszym grodem i Kładzko było naszym grodem. A wiecie, że przez Kładzko wiedzie droga z Czech na Śląsk. A Litomyśle to przejście do Moraw. Co wy bez Libie... bez Libie Sławnikowiców, drugów waszych - wciąż trząsał ręką Przemka - nynie wam dam konia a zbroję, a szłom, a miecz, a wrócę na Libice, nie pożałuję złota... - trzaśnicie - ...ni srebra... - trzaśnicie - ...źrebca z klaczami... - trzaśnicie, Przemko patrzył zdumiony, Sobieborowi krew biła do głowy, spotniał, wierzchem lewej dłoni otarł czoło, prawą wciąż ścisnął kiść Przemkową - ...Libice nie zapomną wam tego... tego... tego... - Czego? - spytał zdumiony Przemko.
- Nie mówcie, zem wam to mówił... Klnijcie się... Na Dadźboga i Jezu Krysta... nie mówcie... głowę by wzięli... oczy... oczy by Bolko wziął - pociągnął ręką po oczach, palcami po oczodołach, przełknął ślinę, głos mu się rwał, prawą ścisnął kurczowo Przemkową dłoń, naraz jakby się

zachwiał, szepnął: - Święty Waclawie... święty Waclawie, pomnij, jako bluźniercy cyrkiew twoją w Libicy pogańbili... krew w niej rozlali... "Przemko, od was tylko... wy nam możecie Libice wrócić... Libice nam wrócić!" - krzyknął.

- Ja? - szepnął zdumiony Przemko, usiłował dłoń wyrwać.

- Słuchajcie - charknął Sobieborzaczając palce. - Będą was tam pytali, znam ci Bolesława i Wrszowców: "Myślili Bolko uderzyć na Czechy, Sobiebora mścić?" Rzeknijcie: "Nynie sił nie ma, ale myśli. Po godach zimowych wyprawi się na Czechy. Nynie drużyna w Poznaniu a Gniezdnie, a Lednicy, a Kruszwicy". Tegdy Bolesław a Wrszowce mogą wyprawić się na Kraków, Bolko pobije ich, namówi Ottona, bo nynie mir z Czechami, może Szczepana węgierskiego, a wówczas... Przerwał, odetchnął głęboko, aż nagle pełnym głosem:

- Wówczas koniec Przemysłidom a Wrszowcom... Popłynie jucha po moście, będzie się lała w Wełtawę, poczerwienieje czeska rzeka od krwi wrażeń. Oho!!! - nie strzymał radości, zakrzyknął. Przemko patrzył, mrugał powiekami... zdumiony... przerażony. Sobiebor przypadł doń, pochylił się, sapnął:

- Nie zapomnimy wam tego... Nigdy. Zrobicie to?

- A skoro powiem wam, ksze: nie zrobię?

Uścisk olbrzyma zdawał się miażdżyć dłoń Przemkową, Sobiebor lewą ręką wyjął mizerykordię znad szyi - nieprzytomny był - charknął:

- Za wiele wiecie... Nie zrobicie? Głowa mi miła. I oczy. I ręce. Lelum!

Przemko przegiął się nieco, naraz pchnął łbem w pierś Sobiebora, nagłym szarpnięciem wyrwał rękę, odskoczył na parę kroków, krzyknął:

- Dawaj konia... Będę milczał...

Sobiebor stał - błydy, z mokrą twarzą. Naraz się odwrócił i ciężkim krokiem ruszył z powrotem ku Wawelowi. Przemko poszedł dalej, poruszał karkiem, czuł jeszcze zdrętwienie w prawej ręce - siłacz z Sobiebora. Poczul się pewniej dopiero, gdy dotarł do krańca wierzb, ujrzał szerokie łęgi i dognął swego chłopca. Odwrócił się, zacisnął pięść, nie wydał głosu, ale zimna zawziętość ścisnęła go jak lodowymi kleszczami:

- Obaczmy jeszcze.

Złowił konie, jechali z powrotem w skok. Do wieczora gotował się, żywność brał, wory, srebro od Sobiewoja, krakowskiego komornika. Woje dogadywali mu, zazdrościli. Wieczorem zbroję gotował, gdy wsunął się Zefrid - jak łasica. Siadł na skrzyni, pozdrowili się z Przemkiem, kapelan oczy kosił. Naraz wyciągnął z zanadrza róg, pięknie polerowany, okuty po wierzchu i na końcu złotem, w zawijane, błyszczące druciki. Róg był żubrzy, wykręcony, ogromny; rzadko spotkać taki. Położył na skrzyni, oczy jeszcze bardziej skosił, zapiszczał:

- Weźcie on róg, Przemko, miłuję was. Ojca waszego znałem, walny woj był Świrad, silny a chytry. Wyście podobni z ojcem, jak dwa rogi u byka. I ksiądz was miłuje; rzek! latoś do mnie: "Tęgi chłop, onże Przemko. Trza będzie posłać gdzie kogo, Przemka pośle. Abo z jaką chasą skoczyć, łup brać, Przemko Świradowic jak nikt". Nynie rzecze do mnie: "Trza słać kogo do Pragi z Adalbertowym posłaniem". Morwie mu: "Zapomnieliście, ksze, że Przemko Świradowic w Krakowie". "Zefrid - krzyczy ksiądz - Przemka pośle. Dobrze, żeś wspomniał..." Macie róg, Przemko, pijcie z niego, niechże nie zbraknie wam nigdy piwa a miodu. Dobry woj musi pić. Pić a bić. Oo, Przemko!...

Przemko rozstawił kolana, oparł się o nie, pochylił się do przodu, siedział nastroszony. Zefrid gadał prędko, płynnie, bez ustanku; całkiem by strumień warczący na kamieniach:

- Adalbert śle was do Pragi, wiem. Chce na biskupstwo wracać. Święty mąż Adalbert, pobożny a mądry. Boga się boi, Jezu Krysta czci, pości a modli się, biczuje się pletnią noc w noc. Wiem to. Święty mąż. Prażanie ludzie złe, pochutniki sprośne są. Bacz, wygnali biskupa, aa!... gadzina. Wždy w Romie kazali Adalbertowi wracać do Pragi, a cesarz toż kazał. Możeli Adalbert, sługa Boży, sprzeniewierzyć się cesarzowi a ojcu rzymskiemu - mowa Zefridowa bulgotała, nie uchwycisz przerwy - trza, by Adalbert jechał. Powiedzcie prażanom a księdzu czeskiemu: biskup jest święty mąż, krześcijanin. Co mu Libice? Bogu służy a księdzu swemu i panu. Nie będzie Adalbert w Czechach waru czynił. Słuchać chce was, ksze, bo tak mu przykazali w Romie a u cesarza. I jeszcze rzeknijcie czeskiemu księdzu: "Ostanie Adalbert u Bolesława, będzie judził ji a namawiał na Czechy. A w Pradze będziecie go mieć w ręku" - pojmujecie, Przemko?

Urwał, spojrział uważnie na nieruchomą twarz Przemka, zlodowaciałą i twardą, zagadał jeszcze szybciej:

- Tak zrobicie, Przemko, jak sulę wam. Bolko sam tak chce, wiem to. Mówił mi. A róg miejcie, pijcie na zdrowie.

Jak łasica się wsunął, jak łasica wymknął się, cichcem, skrycie. Przemko siedział jeszcze bez ruchu, przeciągnął dłonią po oczach. We łbie się mu mąciło, ale w ten jeden dzień pojał o księstwie więcej niżli przez długie lata wojowania. Poczul nagłą potrzebę pogwarki, zawołał chłopca:

- Pójdź no, chmyzie, do wojewody Stojgniewa, rzeknij mu, że chcę z nim pić w tę noc przed drogą - sam poszedł jeszcze do koni.

Gdy wrócił, było już ciemno. Odziewał się jak na drogę, po niemiecku. Zbroję włożył, chłopak zaciągał rzemienie, rzekł:

- Był tu kapelan Ungera, onże Herman.

- Czego chciał?

- Przyniósł wam konew srebrną.

- Ostawił?

- A ino.



- I co rzekł?

- Że Zefrid dobry mąż. Słuchajcie, panie, Zefrida.

- Głupiś.

Chłopak podniósł łeb krągły jak kulę.

- To nie ja. Unger.

Przemko plasnął pochylonego w ucho. Krzyknął:

- Śpiesz się.

Szłom zostawił i miecz, poszedł do Stojgniewowej gospody. Wraz miód stanął, a placki. Pili. Zrazu nie było o czym gadać.

Potem potoczyły się wspominki. Jak byli ongi jeszcze w Bolkowej drużynie. Za Mieszki. Drużyli się w on czas, a wróżda rodowa była. Nynie co wróżda?... - puch. "A onego niedźwiedzia, coś podparł, pomnisz, Gniewek?..." - "A na ostrokołe w Jomsborgu, ledwo zleźli my w on czas z drabiny, Bolko w wodzie się nynał, a kamienie leciały by grad; mnogo luda nabili w on czas, sucze dzieci"... - "A Dzierżyk siedzi wciąż w Jomsborgu?" - "Siedzi. Po łup łodziami pływa..." "A u Weletów, kiej zwalilim rudego stolina, pomnisz?"... - "A na Węgrzech, nie było cię, Gniewek, kiej on gród bralim, jakże się zwał on gród, nie pomnę"... - "I ja nie pomnę, nie było mię tam"... - "Ejże! Pij, bracie, a bacz: na drodze do Czechów zbójów pełno"... - Podnosili na się oczy pijane, wesole, czule, dobrze im było. Pół nocy przegadali, naraz Przemko spojrział na drugą, zaśmiał się, uderzył Stojgniewa po ramieniu.

- Wiesz, Gniewek, myślałem: jadę od Wojciecha a Bolka. A nynie wiem: i od Sobiebor, i od Zefrida, i od Ungera. Mało jeszcze od kogo...

- Jakże to?

- Sobiebor dał mi żrebca a zbroję, a szczyt, a miecz. Unger konew srebrną, Zefrid róg... Nawet Ślizień mizerykordię dał.

Stojgniew namarszczył brwi, mruknął:

- Jakże to?

- A obiaty jakie? Każdy swoje posłanie śle. Bolko nakazał: w Czechach dary bierz, a mnie gadaj. Wždy dary i tu mam, wielkie dary.

Stojgniew powtórzył:

- Jakże to?

- Było tak... - zaczął Przemko i wiódł długą opowieść tego dnia. Stojgniew słuchał, Przemko myślał: wraz drug gniewem buchnie; a ten nic: namarszczył brwi, słucha. Leżą próżne rogi od piwa, czarne strugi wyciekają na płótno, okrągła się w czarne plamy by zakrzepła krew. Ogień na palenisku parska. Wlecze się gadka tego dnia. Po ostrokole łązi stróża, zabija zgrabiałe ręce. Dwu spotkało się, wskazują głową na płomyk w grodzie, mrużąc:

- Tamci godują jeszcze - puchacz krzyczy gdzieś w dole:

- U hu hu! U hu hu!

Stojgniew podnosi głowę, milczy chwilę, a potem:

- Widzisz, psia... przygarnęli ji, suczy pomiot. Słuchajże: rankiem będą tu pląsy w grodzie, nie bój się. Myślisz, nie wiem? Bolko cięgiem to ma: grąż pod nim i wkoło niego. Ale i swoich ma, ciebie... mnie... A krzyczy: ludzi brak. Ma ludzi... ej, Przemko. Nic to, tak bywa. Musi być. Wszędy lichota. A wszakoż... nasze to księstwo! Psia... Nie damy Bolka.

Trzasnął w stół. Pijany był.

Jeszcze pili. W końcu Przemko wstał, chwiał się ździebko na nogach. Powiedział:

- Czas... Przede świtem trza jechać...

Wyszli. Świat był jasny, biały. Miękkimi, szerokimi płatami sypał śnieg: cichy, bezszelestny, obfity. Wały, dachy, ziemię - cały świat otulał. Pod szopą parskąły konie.

Zima tego roku przyszła późno i od razu bardzo śnieżna. Zanosiło Bugajową strażnicę coraz grubszym osadem bieli. Chmury szły nisko, tuż-tuż, zdawało się, podrapa piersi o nagie konary puszczy. Nie rozeznasz, kędy kończyły się chmury, kędy zaczynała śnieżycą. Było cicho, bór usnął. Sypało i sypało. Trzech wojów stróża drzemało albo żarło się między sobą. Bugaj leżał pod kożuchem, patrzył w mroczne, zadymione poszycie z gałęzi; wstawał ciężko, w kożuchu na gołym ciele wychodził przed chatę. Siadał na przyzbie, pod niskim pod, cieniem, patrzył w śnieżycę. Ni dumki, ni chęci. Słuchał ciszy, jak ongiś w wieży kruszwickiej. Gęstwa śnieżna niedosłyszalnie grała, grała przejmującym oddechem Zimy, oddechem Ciszy. Bór z tamtej strony drogi ledwo majaczy. W izbie woje spali albo żarli się - głosy dochodziły monotonne jak szemranie śniegu. Wilk nie zawył, sowa nie krzyknęła; tylko czasem puszczyk zachichotał - to stryk Niemił śmiał się z bratowego niezgulstwa; ale tej zimy i puszczyka rzadko było słyszeć. Niby to Bugaj był w służbie u księdza, ale służba ta była słuchaniem ciszy leśnej, słuchaniem, jak śnieg pada i serce bije. O pięćset kroków od strażnicy zakopała się wielka niedźwiedzica w wykrocie pod grubą warstwą liści, igliwia i mchu. Z niesłyszalnym pochrapywaniem mieszki łączył się dech uspiętego Bugaja. Śnieg sypał.

A potem przyszły mrozy, niebo nocami było czarne, gwiazdy świeciły zimno i przenikliwie. W dzień ośnieżone świerki strzelały prosto w granatowe niebo, śnieg był błękitny i złoty. Bugaj przeciągnął ramiona, obudził się. Z sulicą i łukiem brnął przez śnieg, szukał zwierza, szukał zmęczenia i potu. Ręce mu grabiały, zabijał je o boki, zadzierał głowę w górę, miło mu było patrzeć na grube, pokręcone konary dębów. Radość drgała w głębokim oddechu, gdy wciągał mróz zadyszczanymi ustami. Zabijał. Rozkoszne drzenie biegło mu po karku i lędźwiach, gdy patrzył na krew czerwieniejącą się na skorupie śnieżnej. Sarna kłoniła mdlejącą głowę, oczy jej mętniały, najcudniejsza w boru szyja gięła się jak łodyga wodorostu, jak szyja dziewczki. Wtedy nożem rozdzierał tętnicę, Szło nowi przywierał ustami, pił buchającą krew. Radował się. Zwalał sarnę na ramiona, z okrwawioną gębą wracał do strażnicy. Czuł rozkosz ciężaru, rozkosz mozolnego wyciągania nóg z zasp śnieżnych, rozkosz zmęczenia, rozkosz wegetacji, buchającej siły, życia. Nie rozmarszczył czoła ni otworzył ust; ale ponurym milczeniem śmiał się prosto w twarz zaśnieżonej, wrogiej puszczy. Był jej częścią i był jej panem.

W czas tych wędrówek odkrył w najdzikszym ostępie chatę. Stał, pochylił łeb, patrzył. Chatyna była mała, niska, cała zasypana śniegiem: ista kopka śnieżna, z której się wynurzała smuzka dymu. Poczul, że wzbiera w nim nagły gniew na widok tej chaty, bezrozumna wściekłość, ślepa, bugajowa. Jakby ktoś wtargnął w jego księstwo, księstwo samotności i dziczy. Rzucił się przed siebie na oślep, choć na pozór szedł wolno; w brzuchu, w gardle czuł ślepą żądzę zabijania. Gdy był o pięćdziesiąt kroków, z chaty wyszła dziewczyna. Otulona była kożuchem, zdała się niezgrabna, niby mieszka na dwu łapach. Ale nie nakrytą głowę miała drobną, kształtną, urodną. Bugaj szedł ciągle naprzód, ona stała bez ruchu, z kubłem w ręku. Był o parę kroków, gdy uśmiechnęła się: uśmiechem tym usidlala zwierza.

A może usidlala go tym, że była dziką płonką i pachniała puszcza. Nie wiedział. Rzekł jej później, gdy wracali razem od przerębli:

- Wieszli, Krasa, lubiłem bić sarnę oszczepem; przerzynałem szyję i piłem z niej krew. Całą gębę miałem później czerwoną.

Uśmiechnęła się. On siedł obok cichy i ułaskany. Bugaj!

Mieszkała jeno z dziadem i babą, sami w najdzijszych ostępach puszczańskich. Latem we troje czerwiec zbierali, otrząsali z korzeni na lniane płaty, suszyli w słońcu, składali pełne łubki. Śmierdziało słodkawo rozkładającą się zgniłością, od łupiek płynął straszny, duszący fetor, cała chata pełna była onego słodkawego zapachu. Łubki szły do Poznania, z Poznania zabierali je kupcy do Kijowa, z Kijowa do Bizancjum, z Bizancjum do Arabów, od Arabów do Indii i Chin wędrował drobny robaczek w łykowej łubce, by barwić tam parasole mandarynow i płaszcze radzów. W nadnoteckiej puszczy śpiewała Krasa o słońcu i brzozie, o puszczy i lubie

niu. Baba swarzyła się, dziad milczał. Zimą kamieniem siedzieli w chacie zasypanej śniegiem, ista kopka śnieżna, z której snuła się wiotka smużka dymu. Krasa wyglądała przez drzwi na śnieg błękitny i złoty, śmiała się z nagłej radości wewnętrznej. Od początku zimy Bugaj dzień w dzień ledwo świt przekopywał się przez zaspę w pośpiechu za widzeniem. Dziwił się sam sobie: nie powalił dotąd Krasę w najgłębszą zaspę śniegu, nie zdusił jej krzyku. Patrzyła mu wprost w oczy, chodziła z nim, nie bała się. Dziad plótl kosze, burczał do baby:

- Słysz, Bugaj księdzowy człek. Zabierze nam Krasę. Baba tarła między kamieniami ziarna, odburkiwała gniewnie:

- Nie trza jej dać. Kto będzie wodę nosił a chrust, kto najwięcej czerwcu zbierze... Mołwię, ci, nie trza dać.

- Będzie to pytał... - burczał dziad.

- Nie trza... mołwię ci... nie trza dać... - burczała baba. Bugajowi zdawało się, jakby przysypał go ten śnieg prószący od początku zimy. Szli przez las czarny, błękitny i złoty. Wrony krakały, otrząsały śnieg z sosen, sypał się przejrzysty puch skier. Mignęła ruda kita lisia. Mało gadali do siebie. Krasa zbierała chrust, Bugaj stał, patrzył. Zbliżyła się ku niemu.

- Wołają na cię Bugaj - powiedziała jakby zaskoczona, podnosząc nań zadziwione spojrzenie; stali po obu stronach świerczka, małego i zaśnieżonego, z dziecinną wiarą wyglądającego na świat. Bugaj patrzył na jej drobną twarz i jasne oczy. - A wždy niepodobnyś do bugaja...

- Niepodobnym?... - spytał schrypniętym szeptem.

- Ach! - zawołała nagle i oczy jej błysnęły. - To ino nynie... Teraz widzę, dobrze cię nazwali: bugaj jesteś. Nynie usnąłeś... śpisz... to minie... Maluczko, a znów będziesz bugaj.

Złość go porwała, ale przelotna. Jeszcze Krasa zbierała chrust w kupy. Potem wracali prosto w twarz zachodzącemu słońcu: spozierało na nich spoza drzew, potwornie wielkie i czerwone. Mroźna mgła owinęła las, drzewa, śnieg i ich dwoje - wszystko zapłynęło zadumaną purpurą, powietrze było purpurowe, straszne i nieprzejrzyste. Szli milcząc. Naraz Bugaj mruknął do kroczącej przed nim Krasy - niespodzianie dla siebie:

- Mać mię wołała: Bugajek.

Ledwo odwróciła głowę, widać: uśmiechała się.

- Dla mąci byk jest cielęciami - odparła bez namysłu. Doszli milcząc do chaty.

Milczał, gdy siorbał owsiankę, dziad i baba patrzyli nań z troską i niechęcią. Wstał - jakby ich nie było - do Krasy tylko:

- Bądź zdrowa, Krasa.

- Przyjdiesz jutro?

- Obaczę - wiedział: nie przyjdzie więcej.

Mgła siadła, przyszedł mróz. Oszroniony las świecił bielą drzew, konarów i igieł. Z wolna piął się nad świerkami księżyc, biały i jasny. Migotała ziemia, śnieg chrzęścił. Trzeszczały konary. Bugaj raz po raz wychodził na światło i nurzał się w cieniu. Naraz stanął.

Kędyś dołem spomiędzy nisko nawisłych gałęzi chojarów, po samym śniegu, dalekie i żałosne dobiegło go wycie. Urwało się. Odpowiedziało drugie. Wkrótce już zgraja wyła - gdzieś po księżycowych polanach szedł wilczy gon. Przelewał się po całej puszczy tajemniczy i wrogi, namiętny i straszny. Bugaj słuchał, czuł, jak coś w nim rośnie, potężnieje. Drzewa stały bez ruchu, księżyc świecił. Bugaj pobiegł, śnieg był twardy, rzadko się załamywał. Wycie wilcze było dalsze i bliższe, kołowało. Wrócił do strażnicy mokry całkiem. Towarzysze nie mogli się nadziwić - od onej nocy przestał wymykać się rankami, siedział w chacie. Łowy mu nawet zbrzydły.

Mało-wiele później ciągnął Wielką Drogą obóz do Jomsborga - dwadzieścia sań. Zawalili ludzie chatę Bugajową, ani się obrócić. Grzali się przy ogniu, jedli, gadali, śmiali się. Śmierdziało kożuchami, mokrym odzieniem, dymem - ni dychać. Trzej towarzysze Bugaja, radzi ze zdarzenia, gadali, rozpytywali o bitki księdza, o świat. Bugaj się zaszył w kącie, przez pół słuchał, dziki i ponury. Mało co słyszał. Przenocowali aby jak, rankiem tylko ślady na śniegu ostały z nawały. Stróża odgadywała wieści, sprzeczali się, kłócili. Stary Kleń targnął Bugaja za ramię, spytał:

- A jak dumasz, zrobi to Bolkowi on Wojciech?

- Jaki Wojciech?

- Ten, co przyjechał do Bolka od cesarza, prawią, cudak wielki.

Bugaj zerwał się z ławy, zatupał nogami, wrzasnął: - Co mi ta Wojciech, tyle co śnieg! Co on? Siła moja w wieży zgniła, ot co? siła zgniła! Już ci ja nie Bugaj ni Bugajek, łajno wole! To ważne jest, nie on Wojciech - i wypadł z chaty na mróz. Słońce się pochyliło już ku zachodowi, żółtko. Las szumiał.

8.

Oda siedziała z rękoma splecionymi, z twarzą jak zawsze martwą - tylko oczy jej żyły, gorzały po dawnemu; wąskie wargi miała zacięte. Mieszka rozstawił kolana, wsparł na nich dłonie, głowę wcisnął w ramiona - całkiem jak ojciec. Milczeli oboje. Wreszcie Oda opuściła boleśnie głowę.

- Nic nie pojmujesz - szepnęła.

- Nie pojmuję - odburknął. - I nie chcę pojmować.

- Mieszka! - wykrzyknęła namiętym szeptem; i znów zmiłkła. Dłonie jej jeszcze silniej się zacisnęły, aż kostki na rękach zbielały. Ogarnęło ją zniechęcenie. Obrzuciła wzrokiem postać syna, krępą i silną, lecz nie dość silną do walki, do której chciała go pchnąć. Myślał tylko o swoich śmiesznych przygodach chłopięcych, o sprawach grafa Hugona, o bitkach po karczmach i na gościńcach, o łupieniu kupców.

Nie pojmował. Sam powiedział przed chwilą: nie chciał pojąć.

Wybuchnęła potokiem słów:

- Wielki to kraj. Bogaty. Ludzie siedzą po porębach, wolne kmiecie, ziarno sieją, jest z czego brać. Bory gęste szumią przez cały kraj, w boru pszczoł wiele, barcie i barcie, miodu ni wosku nie zbraknie; jak nigdzie. Zwierza rozmaitego nieprzebrana moc: i na mięso, i na skóry; futra takiego nie najdziesz indziej. Ryby wielkie pływają w jeziorach a rzekach. Jantar tam kopią na mazowieckich piaskach a zbierają na morskim brzegu, droższy niż złoto. I złoto kopią, i srebro, i żelazo, i miedź, i sól warzą - wszystko jest. Grody pobudowane z drzewa, ale ich wiele, bogactwa zaś w żywności, płótnie, zbożu, skórach, wosku, broni takie, że próżno byś podobnych szukał u Bawarów czy Sasów. Drużynę ma książę bitną, żrebcie tam tupią po błoniach, kraj ludny, bogaty, wesoły. A wżdy po woli ojcowej twój to kraj, twój a braci twoich - podniosła nań zimny wzrok - ty niezguło, ty niedołego, ty głupi młokosie, któremu jeno wróble ćwierkają w baranim łbie - różowa fala okryła jej bladą, chłodną twarz, rozgorzała i ożywiła. Mieszka kiwał się do przodu, c oczy mrużył, uśmiechał się.

- Pomnę... jeszcze ojciec żył... wyrwaliście się z onego kraju. Bajaliście mi nieraz...

- Głupia byłam, widzę teraz, że głupia. Mieszka, miły mój! Mieszka!... twoje to władztwo. Ojciec dał. Walczyłam o one księstwo dla ciebie... dla was... Ludzi miałam, i jakich ludzi... Hugo... - w zielonych oczach niby przeblysł uśmiechu. - Przybywoj... Odylen... Kupa Orczyków... Wilki... Hodo i Ludolf... broń miałam i bogactwa, przepłacałam... No, Bóg nie dał, Bóg nie dał.

- Bóg dał Bolkowi - krzywy uśmiech przewinał się przez wargi Mieszki. Oda wstała gwałtownie, swym drobnym, mocnym krokiem podeszła do syna, złożyła mu dłoń na głowie, pochyliła się nad nim, nienawiść się paliła w jej oczach:

- Nie Bóg, Mieszka! Diabeł! Diabeł! Uniósł brwi.

- Wszystko jedno, matko. Dla nas to wszystko jedno: Bóg czy diabeł. Dość, że Bolko nie popuści z ręki, co trzyma. Mocno trzyma. Cesarz z nim a Guncelin, a Ekkehard... a tyle panów i margrafów, pół

cesarstwa. Co mu zrobimy: wy, mniszka kwedlinburska, i ja... giermek grafa Hugona. Giermek ! - zaśmiał się hałaśliwie - zresztą, co mi tam. Bitek mam dość i picia, i dziewczek! Co mi tam!

Oda zachwiała się jak uderzona.

- I ty to gadasz? Mieszka!

- A bo co?

- Boś ty syn wielkiego księcia. Tobie wrócić na księstwo, na władztwo. Tobie... panować - zachłysnęła się, oczy zakryła, zakrzyknęła - nie zamknę powiek, aż cię zobaczę w Poznaniu a Krakowie.

- To będziecie żyć wiecznie.

- Słuchaj - mówiła szybko, z wypiekami na płaskich policzkach - nynie siedzi w Krakowie Adalbert biskup, syn Sławnika z Libie. Razem z nim pojechał Astryk, on zaś nasz. Będzie nam drugim a Bolkowi lisem. Raiłam, by patrzył jak jastrząb, a milczał jak drewno. Już on tam szkodzić będzie Bolkowi na korzyść nam.

- Matko! Azaliż jakowys Astryk zdoła od Bolka wydrzeć księstwo, a nam je oddać? Matko! Słuchajcie. Kiedym latoś jechał z grafem przez las...

Szeroko otwartymi oczyma patrzyła na syna, jak z przejęciem opowiada o przygodach i awanturach, o wyprawach i łowach. Serce jej lodowaciało, głowę ścisłała, słuchała. Potem syn jadł i pił, śmiał się i biał. Przed wieczorem odjechał. Słuchała tętentu kopyt na dziedzińcu, zgrzytu łańcuchów przy bramie. Pojechał. Nie ruszyła się. Dłonie miała splecione, zaciśnięte, głowę spuszczoną. Między cienkimi brwiami głęboka samotna zmarszczka. Jak co dzień - liczyła siły, ludzi, przyjaciół i wrogów, układała sojusze i związki, marzyła o wojnach i najazdach. Lecz naraz - ni stąd, ni z owad - poczuła jałową nudę. Rozpaczliwie podniosła palce do skroni, w tym mgnieniu ujrzała całą czczość złudzeń, całą beznadziejność wygranej, o czym mówił jej syn, cały próżny wysiłek wygnańca, który walczy o powrót już nie dlatego, by wrócić, ale dlatego, że bez tej walki i złud, które niesie, każdy oddech byłby zbyt ciężki do udźwignięcia.

9.

Bolko słuchał Wojciecha; dłuższy czas siedział całkiem bez ruchu, z łbem wyciągniętym, z oczyma wbitymi w źrenice biskupa, nieruchomy wobec gwałtowności tamtego, ze ściśniętymi szczękami - nie czuł naprężenia całego ciała ni bólu w mięśniach i szczękach. Wojciech gadał - zdało się, wiatr zgania płomienie z ognistego słupa. W pewnej chwili Bolko uniósł prawą dłoń, wykrzyknął:

- Nie! - zawisła cisza, którą przerwał znowu okrzyk Bolesława :

- Duszę chcecie ze mnie wydrzeć.

- Wykarczować ją chcę, by obrąbek pnia z puszczy pogaństwa.

- Wždy służę Jezu Krystu.

- Po wierzchu służysz.

- Jakże to?

- Wiatr przejdzie po lesie, nałamię gałęzi a tramów, vždy nie przygotuje nowiny pod siew.

- Azaliż nie tnę świętych dębów?

- Rwij im korzenie.

- Będę rwał.

- W sobie rwij.

- Czemu nastajesz na mnie?

- Nie zaciskaj pięści a zębów. Bogu służ!

- Na to wy... świątki...

- Na to Bóg dał ci księstwo.

- Księstwo wydarłem Odzie, jej synom a wszystkim, kto z nimi szedł.

- Bóg toporem ubił twego wroga, iżbyś Mu służył.

- To Stojgniew... Stojgniew ubił toporem Hugona. Nie Bóg.

- Ślepiec nie obaczy dłoni Bożej.

- Ślepiec jestem? Ja? Nikt oczu mi nie darł. To ja darłem.

- Szatan ci wydarł.



- Wždy są.
- Oczy duszy.
- Nie. Widzę. Czego chcecie?
- Wiary twej.
- Nie pojmuję.
- Nie chcesz.
- Chcę.
- Służ Bogu.
- Mieczem.
- Mieczem mało.
- Ino czym jeszcze?
- Miłowaniem.
- Tfu!

Po całym grodzie chodziły gadki o owych sporach Bolesława z Wojciechem.

Mówił Boruta do Odrzykonja z jawną radością:

- Maluczko, a rozdziaknie ksiądz łeb biskupowi. Obaczysz.

Mówił Zefrid do Ungera z jawną radością:

- Nie ostanie Adalbert w Krakowie. Ksiądz przegna ji, słuchałem pod drzwiami: spór między nimi, niezgoda. Bolko przegna Adalberta, obaczycie.

Mówiła Emmilda do Zadorowej Dobrogniewy ze skrytą radością:

- Bałam się, wiesz, onego biskupa... oczy takie ma. Bolko mię nie przytuli ni ugłaska: o Wojciechu jeno a Wojciechu. Nynie słyszę: swarzą się. Nie po sierści księdzu biskupowe bajanie.

Mówił Sobiebor do Stojgniewa z utajoną radością: - Sulilem zawždy wam: na Czechy ino z mieczem. Chciał Bolko z Czechami mir mieć, a Wojciecha zatrzymać: ma nynie. Prędko mu swary zbrzydną.

Mówił Astryk do Radzyna z radością pełną triumfu:

- Prawilem ci: poganin to jawny Bolesław. Tyle co i czeski Bolesław. Co Odzie zrobił a braciom: ci

oddani byli Piotrowi świętemu w opiekę. I co? Jak to żyje Bolko z Adalbertem? Jak wąż z ropuchą, jak kot z psem, jak jeź z liską.

Mówił Pąch do Starej na podgrodziu krakowskim z jawną uciechą:

- Snadź pogniwał się ksiądz na Kyryi Krysti, skoro z biskupem wojuje. Obaczycie jeszcze: przegna ji na bajora i plesa. Wtedy my wrócim z podgrodzia na gród.

Mówił Bolko ośnieżonym świerkom w boru w czas samotnych wędrówek:

- Nie wyrozumiem ji, Wojciecha. Ale nie puszczę ji na Czechy, aż rozłupam... Jako orzech. Aż wydobęde, co mu tam w środku siedzi, jaką zdradę knuje, czemu to w zawile słowa dumki swoje zawija. Kto on Wojciech? Komu służy? Cesarzowi? Bolkowi czeskiemu? Sobieborowi? Ojcu świętemu w Rzymie? Komu, do złego licha?!

A potem z nagłą zadumą:

- Przecież nie służy jeno tak Jezu Krystu, jak Stojgniew bajał? A jeśli służy?...

Gdy wracał z onych wędrówek, wpadał sam na Wojciecha:

- Prawicie, że Jezu Krystu służycie, nikomu bolej?

- Nikomu bolej - i ruch dłoni półodpychający, półprzestraszony.

- Wždy Jezu Kryst dał wam Czechy we włodarstwo. I opuścił was?

- Matko Boża! Ja to zgrzeszyłem przeciw Zbawicielowi. Ja porzuciłem Czechy.

- Trza było wracać.

- Nie chcą mnie.

- Siłą trza było wracać.

- Nie mam tej siły.

- Ja wam ją dam.

- Nie przyjmą mnie. Cesarza nie posłuchali.

- Mnie posłuchają, ścierwy.

- Cesarz panem nad wszystkimi chrześcijanami w świecie.

- I nade mną?

- I nad wami.

- Mój ojciec przyzywał Jezu Krysta, iżby rzec cesarzowi: tobie do nas nie zasię.

- Mylił się ojciec wasz.

- Nie mylił się. Będę miał siłę, nikt nade mną nie stanie.

- Otto wam drugim.

- Wiem. I ja mu drugim. Ale do Czech tyle Ottonowi, co mnie. Nie tak: mnie boleję.

- Jakże to?

- Bo ja mogę was wwieść do Pragi, Otto nie. Znów przestraszony ruch rąk:

- Nie wwiedziecie mię.

- Ejże! Nie wwiodę? Jeśliby Otto nie był mi drugim, jeślibym z nim wojował... Wiem, jak ji dosięgnąć: przez Pragę. Dziad mój miał jeno Kruszwicę a Lednicę, a Gniezdno. Później Poznań i Konin, i Łąd, i Łęczycę. Ojciec mój miał i Wiślicę, i Kraków, i Sandomierz, i Halicz, i Czerwień, i Czersk, i Płock, i Wrocław, i Głogów. Co mi Praga! Może jeszcze: może mój Mieszka dział otrzyma z Pragą. Wielkie księstwo od Jomsborga i Gdańska za Pragę, haj! Kto mię wtedy ruszy, abo od Niemców, abo od Rusków? Lelum! Jam ci ksiądz tu, a za mną wszędy idzie wola moja.

Wojciech zmiłkł, patrzył nieruchomo, aż nagle:

- Przemyślidy a Wrszowce zagubią Czechy - w tej chwili zakrył oczy, jakby go blask olśnił, poblądłe usta szeptały:

- Jezu Chryste, zmiłuj się nad grzesznikiem.

Szły odwilże i mrozy, a oni swarzyli się ze sobą. Zaciekle, bez ustanku. Jakby nie było w świecie innych spraw: bitek, pogan, księstwa i kościoła - jeno ich dwóch. Zaciekli się w onych swarach, nie ustawali. Szły odwilże i mrozy.

Obaj męczyli się - zaczęli zdawać sobie sprawę: jałowe to spory.

Aż - wkrótce po godach, Wojciech modlił się poprzednio przez trzy dni w cyrkwii krakowskiej - ze zmienioną przybladłą twarzą powiedział do Bolesława:

- Pójdę do pogan słowo Boże im nieść. Bolko zmrużył oczy jak kot.

- Kaj?

- Do Weletów.

Nie odrzekł nic. Przeszło kilka dni. Jakoś jedli w wielkiej sieni grodowej. Bolesław nagle odwrócił się do Wojciecha:

- Wiecie, jako Weleci nienawidzą Jezu Krysta?

- Wiem to.

- A nynie w kraju Weletów wojna: Sasy najechały na pogan. Jakże będziecie, ksze, chrzcić w czas wojny?

- Niech tam, kędy leje się krew, zabrzmi słowo Chrystusowe.

- Ubiją was.

- Ciało jeno ubiją.

Bolko zamilkł, nachmurzył się, wreszcie wybuchnął:

- Po co wam do Weletów, tam się cesarz już rozprawia z poganami. I archiepiscopus w Magdeburgu... - urwał, Wojciech zakręcił się niespokojnie:

- Cóż?...

- i archiepiscopus w Magdeburgu nie będzie rad, jeśli na jego kraje wejdziecie. Wždy on ma już prawo do Weletów, a wam go nie dał.

Wojciech zbladł, zamilkł, patrzył uparcie na Bolka, książkę nalał piwa i jakby od niechcenia:

- Na wschód od Pomorza mieszkają Prusy. Prawe pogany. Dziki to lud, ani słyszał o Bogu. Na Mazowsze z chąsą chodzą, ja na nich. Idźcie k'nim. O Weletów ułożyliśmy się z Ottonem, do czasu nic mi do nich. Do czasu, pojmujecie?... A Prusy nic o Jezu Krystu nie słyszały. Puszcza tam jeno a puszcza. Jeśliby przyjęły wiarę świętą, hej!... - zamyślił się, czoło pięściami podparł, a potem spojrzał na Wojciecha, w oczach mu chytróść zalśniła:

- Nie lza wojować wam z archiepiskopem Magdeburga. A na Prusy ja wam dam prawo księdza, a od świętego ojca macie prawo uczyć onych pogan. Dam wam łodzie i zbrojnych, wielki to kraj: Prusy. Nie usidlisz ich lacno mieczem: bajora tam a las. A uczeniem może ich usidlacie, krzyż Krystusowy wwiedziecie, będzie i na mnie mile patrzył Jezu Kryst. Idźcie.

Niby nie zważał na Wojciecha, ze Stojgniewem, z Zadorą pili, śmiali się. Gdy Wojciech wychodził, Bolko odwrócił głowę, krzyknął za nim:

- Pomnijcie! Prusy - i do Stojgniewa:

- Zawieźmy pieśń o Walgierzu Wdałym - oczy mu się śmiały, Stojgniew spojrzał nań, wiedział już: ksiądz jest z czegoś mocno rad.

Po trzech dniach przyszedł Wojciech do Belkowej gospody. Oświadczył, że jedzie do Prusów. Uradzili, że wraz ruszą na Gniezdno gotować się do wyprawy. Wojciech pociągnął z Zadorą. Bolko ze Stojgniewem pojechał objazdem przez ziemię Ślęzan, Dziadoszan, Lubuszan na Poznań. Gdy

zbliżał się do Poznania, spadł pierwszy wiosenny deszcz, był chłodny i przenikliwy prosto w twarz drużyny.

W Poznaniu dowiedział się Bolko, że Wojciech ochrzcił mnoho ludzi w Gniezdnie, na podgrodziu gniezdnieńskim i w całym opolu. Bolko spytał:

- Groźnie krzyczy biskup?

- Nii... - zdziwienie - nie krzyczy. Bardzo łaskawy, dziw.

Dni kłębiły się niby dym, splatały się w bezsensowne węzły. Odkąd Białowąg oddał syna Warcisławowi do Gniezdna, nie umiał Jarek odnaleźć równego nurtu życia. Jakby już wszystko było poza nim, jakby już przeżył swą młodość w namiętym uścisku czarownicy. Z zazdrością patrzył na towarzyszy, z których żywią buchała codzienną chucią życia. Razem z nimi odbywał stróże, razem szył z łuków do wron i rzucał sulicą do słomianych chochołów, razem żarł i pił na godach, chodził na lowy, sunął na kościanych łyżwach po zamarznietym Jeziorze Świętym, patrzył na czarny grzebień lasów otaczających podgniezdnieńskie, ośnieżone pola. Był na wyprawie pruskiej i na wielkiej wojnie z Weletami, kiedy to ksiądz kazał z Gniezdna przysłać sześć dziesiątków tarczowników i dwa dziesiątki pancernych. Dostał wtedy Jarek żółty kubrak skórzany i nowy szczyt, pomalowany ochrą. Szli tuż za konnymi, sześćdziesiątą kupą, z toporami na ramionach, osadzonymi na długich jałowcowych trzonkach; na plecach niósł każdy szczyt, łuk i tuł ze strzałami, w drugiej ręce dwie albo trzy sulice, u boku sakwę z żarciem. Zbór był w Lubczy: stali tam wielkim obozem, jedli i pili, śpiewali pieśni, czekali na księdza. Przyjechał z drużyną, rankiem poszli na wyprawę. Jarek ubił Weleta z kudłami z obu stron gęby, by u odyńca, zabrał mu broń, pas nabijany, zdarł kozuch; chwilę spoglądał w głębokim rozradowaniu na martwą, zakrwawioną gębę z gęstniejącymi rudawymi soplami pod nosem, na wywalone w męce oczy. Pobok szumiał rozrosły, czarny świerk, bitka się odbyła pod jego cieniem, tuż u pnia, spryskanego posoką. Nazajutrz mały, krępy człeczek, ruchliwy i skaczący by żaba, by polny pasikonik, przebił Jarkowi ramię, wraz obok zadziobał na śmierć Kijka, ciężko poranił Steba. Kazał ksiądz Jarkowi wieźć pobitych do domu; pociągnął chłopak nudnym szlakiem wolim na Lubczę i Poznań. Rana się rozropiła, ramię chwyciła drętwa. Zdał śmierdzące trupy, włodarzowi, opowiedział się, że pójdzie do ojców, którzy pod Poznaniem siedzą. Minał podgrodzie, chciwymi oczyma szukał chaty, którą był kiedyś podpalił w dzikim porywie nienawiści. Ni śladu, ni spalonej belki, ni kępy podbiału lub ostu - nad jego miłością życie się przewaliło bezwzględnie i szyderczo. W głowie się mu mąciło i czuł ostre rwanie w ramieniu, ale tłukł się w spiekocie obok starych, pochylonych kleci o parszywych strzechach, szukał. Obok ciągnęły się długie grędy ogrodów, baba okopująca rzepę odchyliła się, przesłoniła oczy dłonią, zawołała:

- Czego to szukasz, synku?

Jarek nie odrzekł, ruszył między dwiema grzędami, podszedł do białki: była gruba, twarz miała czerwoną, nalaną, spoconą, rozlewające się piersi.

- Skąd Dadźbog wie dzie?

- Welety mię przebiły - odparł - ramię drętwe, spuchłe.

- Churlęgaś... Trza było zbója przebić, psiego syna.

- Hoo!... dwu podle mnie położył, nazbyt chybki był.

- A tyś... ee! tyli chłop, a wół.

- Wiecie tam co.

- Sameś gadał...

Jarek zamilkł, wpatrywał się chwilę w siwiejące daleko, na widnokręgu niebo; kiedy się znów odezwał, niepewność drgała mu w głosie:

- Mołwią, mieszkała tu ongiś wieszczka... w kleci... Białka ściągnęła usta, zmarszczyła czerwony, gęsto pokryty potem nos, burknęła:

- Była... - i nagle ozeźlona - paskuda... suka, tfu! Jarek podniósł na babę pociemniałe oczy, zęby mu błysnęły pod wąsem:

- Co ci zrobiła... ona dziewczka? Urzekła?

- Syna mi urzekła - syknęła; złapała za motykę, jęła dziabać ziemię, gęsto, ze złością.

- A gdzie jej chata stała?

- Cóżes taki ciekawy? Możeś i ty... jeden z gaszków, kpią zatyczka. Och, wy, wy... młokosyski, dobrze wam tak. Gdzie chata, pytasz? Spalił ją bies albo wilkołak, ludzie zaorali... Nynie śladu nie najdziesz - w tonie zadrgał triumf i radość.

Obejrzał się dokoła - po grodzie, kleciach podgrodzia, łęgach nadrzecznych, pochylonych wierzbach - bez słowa obrócił się, poszedł ciężkim krokiem. Białka patrzyła za nim, kiwała głową.

Mać krzyknęła zobaczywszy go wchodzącego, ojciec oba ramiona ciężko miał złożone na stole, ruszył białym wąsem, rozchmurzył się, ale w oku coś mu błysło miękkiego; mać otarła ławę, ręce się jej trzęsły - starcze ł szczęśliwe - jęła dmuchać w żar, dzwonić garnkami, wszystko jej z rąk leciało. Czarna izba zdała się ciaśniejsza i niższa niż dawniej, więcej błota i gnoju na ziemi, więcej sadzy na ścianach. Jarek opowiadał leniwie o wojnie, skoro wspomniał o ranie, ojciec poruszył się, matka plasnęła w dłonie.

- Drętwe, mołwisz?

- Drętwe.

- Boli?

- Już nie czuję.

- Puchnie?

- Całkiem spuchło.

- Lelum! - zabiedoliła Lebioda - trza babę wołać, niech zamówi.

- Iii... - Białowąs cedził słowa - zrazu trza łojem mazać z pajęczyną...

Lebioda nagle wstała, wlepiła oczy w męża:

- Ty... - zaczęła; Białowąs się przykurczył, trzepnął dłońmi:

- Można i babę wołać... Rano pójdę.

- Płótna weź.

- Wezmę. - I naraz do syna:

- Łup wzięłeś na Weletach? Czy z próżnymi rękoma do dom wracasz?

Jarek otrząsnął się z ogarniającej go ociężałości:

- Topór mam dwuręczny, nowy, a pas nabijany, a kozuch czerwony.

- Przyniosłeś?

- W Poznaniu. Pójdziecie rankiem, weźmiecie. Już mnie nogi nie niosą.

- Pójdę - kiwnął głową Białowąs - pokaż ranę. Jarek wylegiwał się wiele dni. Przychodziła baba, zamawiała, ziele przykładała. Z ramienia ciekła żółtozielona ropa, gęsta, śmierdząca. Białowąs co rano wyciskał ją, aż syn syczał z bólu. Ostała dziura, powoli wypełniała się ciałem, zarastała. Przestało chłopca trząść, palić, ziębić, nie szczykał już pod dwoma kozuchami zęb o zęb. Ze zdrowiem wrócił niepokój; któregoś rana zwrócił się do rodziców:

- Czas już do Gniezdna iść. Warcisław będą źli.

Mać mu wyładowała sakwę mięsem, rybami a chlebem, ojciec przewiodł przez próg, patrzył w ślad, nie odwracając głowy do Lebiody:

- Walny woj.

- Oo...

- I łup przyniosł, godny łup. Siekiera drzewo tnie by wosk; kość rąbałem, ni szczyrby. Kozuch nowy, czerwony! A pas, choćby w drużynie księdza taki pas nosić. Co ci, głupia?...

Lebioda miała twarz zakrytą dłońmi, spomiędzy palców gęsto sypały się łzy.

Jarek machał ostro, mięśnie pod skórą znów mu chodziły gładko, radośnie. Z nieba dzwoniły skowronki srebrnymi kropelkami. Raz po raz tarczownik oddychał głęboko, niepokój darł mu wnętrze, mdły, nieznośny. Pomieszany był jednak z jakąś radością bez przyczyny, lekkością dawno nie zaznaną.

Następnego dnia był w Gniezdnie.



I tu - naraz - wyzwolił się. Jakby strup z rany dawno ropiejącej, gdy odpadnie, pod nim już zdrowa tkanka, ledwo ślad znać. Jak u towarzyszy biła zeń niepowstrzymana chęć życia. Z rozkoszą dzikiego zwierza żarł, z radością pił i śpiewał. Jak inni wdawał się w bójki, łupił po karku, dolał się, poczuł radość siły krążącej mu po żyłach. Ciało miał giętkie by wić leszczyny. Czuł drgawki życia, gdy zabijał zwierza w puszczy. Znow go zaczęły wabić dziewczęta, a kładąc się do snu w szopie drużynnej długo w noc gadał z innymi o sprośnościach, o białkach, o lubieniu się między paprocią, o zalotach zwierząt i ludzi. Czerstwy, ciężki śmiech latał w ciemnościach. Hukali i obiecywali sobie wyprawę po łązniach, gdy parzą się baby. Kiedyś - rozgorączkowany i podniecony - opowiedział o swej czarownicy, jak to ją spotkał u leśnego jeziora, jak wzięła go czaremguśtem, jak niósł ją przez las, jak biegał do niej do kleci i leżał z nią nocami. W lubieżnej szczerości opowiadał o jej ciele, o jego twardziźnie, o słodkości i ciepłe. Dychali gęsto towarzysze słuchając. Opowiedział wreszcie o dziwnej jej śmierci od noża niemieckiego woja, o oddaniu naramiennika i o pożarze kleci. Odchylił się, podłożył ramię pod głowę, patrzył w mrok szeroko rozwartymi oczyma; gdy w szopie pobiegły inne bajki i inne śmiechy, on wsłuchiwał się w tętno we własnym ciele, bijące najśłodszymi wspominkami. I wtedy to - ostatecznie - upewnił się, że strup z rany na jego wnętrzu odpadł zupełnie. Urok szezeł, poczuł się Jarek wolny i silny. Już dni nie kłębiły się niby dym, nie wężliły się w bezsensowne supły. Żył.

Podgrodzie gniezdnieńskie rozrosło się od śmierci Mieszkowej, zwłaszcza gdy Bolko groblę u Nakła usypał a Wielką Drogę przerąbał. Często teraz kupce z Wolina przejeżdżali, a czasem i z Kijowa albo z Nowego Grodu; czasem Niemiec się zjawiał z rudym łbem i wyładowaną sakwą. Bolko osadzał pod grodem kowali a kołodziei, a płatnerzy, a skórników, w grodzie nynie wielka stróża stała, dwie nowe szopy pobudowano dla wojów. Z wypraw pruskich, weleckich, ongiś z wyprawy jomsborskiej przywieźli ludziska wszelakiego dobra, przywiedli niewolnych.

Mocno też puszcę przetrzebiono dokoła. Gród się rozrastał, dostał nowe wybrzuszenie obronnego wału a trzy bramy z wieżami. Klecie pod grodem zbiły się w gęstą ciżbę, zwłaszcza na górze Panieńskiej i w zapadlinie zwanej Słomianką. Droga wiodąca do Nakła, która biegła między Jeziorem Winiarskim a Bielidłem, droga trzemeszyńska, poznańska - wszystkie miały głęboko wbite koleiny, pełne były wybojów i kałuż. U dróg tych rozsiadły się chaty, jedna przy drugiej, często dach w dach. Byli tu tacy, co jeno dwie grędy rzepy albo jakiego innego warzywa sadzili, a żyli z rękodziela albo z sycenia miodu dla grodu, albo wyprawiania skór, albo szycia kozuchów. Gwar i zgiełk huczał dzień cały wokół Gniezdna, w okręgu jezior i błot. Mokro tu było, latem roje komarów zatruwały życie. Przed paru laty postawił u samych Żuław chatę niski chłop, z grzywą dochodzącą do oczu, tłusty i nalany, na którego wołali Dzierbołek. Zaczął piwo warzyć, śmiali się zeń ludziska, że skapieje z tego piwa, kto by ta żył samym picciem: kałdun mu napęcznieje, a blednica zeżre. Ale on się umawiał w grodzie z wojami: "Dacie mi tyle a tyle jęczmienia, a piwa wam zwarzę, mocnego, chmielonego, pięć worów chmielu zebrałem przez lato". Śmiali się zeń, ale dawali, on połowę odsypie, resztę zasłodzi, niesie łagiew, jedną na plecach, na sznurach, drugą przed sobą; tamci rechoczą, piją, śmieją się, chwala go. Kiedy indziej zwarzy za mięso albo za ryby; gdy gody małżeńskie sprawiał Młaskota, wytarzył Dzierbołek kozuch za piwo. Ustaliła się gadka w grodzie: "Piwa zbrakło, duń no do Dzierbołka, tamok zawżdy najdziesz gotowe". Biegali. Okazało się, że mcrzna żyć z piwa, a blednica nie zeżre. Miał Dzierbołek trzy córki, one to warzyć pomagały. Białka mu zmarła, rozglądał się za drugą: syna chciał.

Tego dnia - było to skwarne lato - powadzili się tarczownicy z komornikiem, iż na złość im dał łagiew gąszczu miast piwa, z dna zebrał, ścierwo, i tarczownikom posłał. Hyr był w szopie by w barci, kiedy to obce pszczoły na pień napadną, omal chłopców, co łagwie one przynieśli, nie rozszczepili; wždy po uszach nakładli nieborakom. Tupali nogami, wrzeszczeli, odgrazali się. Wraz kupą za naczynia i do grodzierzcy. Tak się złożyło, że tegoż dnia przyleciał woj od księdza z pyskiem, że woje gniezdnieńscy nie strzymały Weletów, dały tył, jakby ich wiatr zwiął, w ucieczce Welety pięć dziesiątków wybiły do nogi. "Zsinał Bolko ze złości - bajął poseł - teraz posłanie śle, by mu nowe pięć dziesiątków przysłać, ale wojów, nie przepiórki." Warcisław siedział okrakiem na ławie, wargę zwiesił, worki mu pod oczyma wisiały, czerwony był - taki srom na gniezdnieńskich. Aż tu wrzask, wymyślanie - co? jak? - zerwał się z ławy, wypadł na dwór. Kupa gąb rozjątrzonych, wściekłych, dwie łagwie dźwigają, mówią, jako z żalem na komornika przyszli, oto czym ich poi - i pod nogi Warcisława piach! wylali dwie łagwie gąszczu piwnego; wokół uniósł się mocny zapach słodu. Wartko zbladł, zęby wyszczerzył, nogami zatupał i z pięściami na nich:

- Aa! łajno psie! Aa! byki smrodliwe! Sucze dzieci! To wam źle, źle wam tu żreć dają a pić? Przepiórki, psia wasza mać! W bitce to tył dajecie, pięć dziesiątków wybiły Welety w ucieczce, na gańbę wam, wam i mnie, psiamać, przepiórki zasrane, wieprze! To wam źle, źle piwo? Wam by w korycie mieszać jak wieprzom, byście ćkali, jeszcze ryje tu zadzieracie, a kwiczycie? Wen, wen, mołwie, ot wam picie, inszego nie dam - i w szale wściekłości wlaź na wylany gąszcz, jął go deptać a rozpryskiwać, tarczownicy cofali się przed jego gniewem i wieścią o klęsce; gdy odchodzili, krzyknął Wartko:

- Gnida, Żagiewka, Łapa, Pinek, Chruściel, gotujcie swoje dziesiątki, przed świtem pójdziecie do Bolka, a uciekać będziecie, jąc wam... Wen, przepiórki, psia mać... - odwrócił się z rozmachem, wszedł do domu. Szli tłumnie ku szopom, klnąc i sapiąc.

Tam dopiero powstał jazgot i ryk: pięć dziesiątków wybili! Zbóje! Tył podały, churlęgi! Rankiem idą dziesiątki Gnidy, Żagiewki i tych innych! A piwska ni kropli. Psiamać. - Uradzili wysłać Jarka do Dzierbołka po parę łagiewek. Poszedł.

Dzierbołek siedział na progu, strugał z osiny czop, podniósł czerwoną, lśniącą, jakby do czysta tłuszczem wypucowaną twarz, małe oczy zaśmiały się dobrodusznie, kiwał głową nad łajdactwem grodowego komornika, chichotał.

- Piwa parę łagiewek, piwa chcecie? Mam, juźci, mocno chmielone... nie ma piwa, idź, szukaj u Dzierbołka. Wraz, wraz, wiera, w dobry czasście przyszli. Lelum! Radostna, spłucz no dwie łagwie, ho! Radostna.

Z chaty wyrzała dziewczka krągła, rumiana, wielkooka. Wzięła łagwie suszące się na płocie, zadudniła ku jezioru. Jarek patrzył za jej zgrabną, jędrną sylwetką, coś mu rosło w piersi, oddychał szybko. Od tego dnia zaczął zaglądać do Dzierbołkowej chaty.

Siadywał nad czarką piwa, stary nie skąpił poczęstunku, rad go widywał. Pytał o ojca, zwiedział się, że jest swakiem Wartkowym. Dwie młodsze siedziały z dala, wybałuszały oczyska, z rozdziawionymi gębami słuchały pogwarek Jarkowych. Stary mrużył oczy, nie przeciwił się, gdy młodzi chadzali na łęgi a gaje. Podle jeziora rosły olszniaki, na najwyższych kępach, na stokach pagórków - brzeźniaki,

leszczyna; szerokolistne krzaki widziały zaloty Jarkowe. Chłopak bąbał o dziewosłębach, ale zwodził, nie myślał o rym, bał się wspominek o Białowasie, o sińcach i pletni ojcowej. Minęła rzeźwa, żółta jesień, spadły śniegi, mróz ściszał, przyleciały czerwono-brzuche gile, uwijały się koło chaty Dzierbołka. Oczy starego przestały się śmiać, tłusta gęba się zachmurzyła, jał naciskać Jarka, grozić, że do Warcisława pójdzie. Trzaskały ostre mrozy, w jasne poranki dymy całego podgrodzia snuły się złotymi słupami ku górze, jaskrawo odbijały od błękitu niebios. Od rana trzaskał ogień na paleniskach, stapał osiadły na ścianach w ciągu nocy szron. Głosy ludzkie dźwięczały wesoło i rzeźwo, psy goniły po śniegu, unosiły chmury białego pyłu. Było już dobrze po godach, gdy Stachowa białka krzyknęła przez płot do Dzierbołka:

- Dobra to, kiej woje przychodzą piwo chlać. Bacz, jak u twej dziewczki brzuch zaokrągliło od onego piwa.

Tegoż dnia wesoły, dobroduszny Dzierbołek sprzął dziewczynę, chodził cały dzień opryskliwy i gniewny. Następnego ranka zaskrzypiał po śniegu do Warcisława. Mało-wiele potem wołał Warcisław Jarka.

- Cóż taki wesoły latasz po podgrodziu. Wojów mam mało, abo co? Chcesz mi przysporzyć?

Jarek się skrzywił, spojrział uważnie, widzi: nie gniewny Wartko; po zwistej wardze błąkał się mu śmiech. - Chcesz ją brać?

- Chcę - odburknął Jarek.

- To dyrdaj do ojca, niechże śle dziewosłębów. Jarek pochylił się mu do kolan, boćknął - jak niegdyś - w kolano.

- Może byście wy?...

- A co? Ojca się strachasz?

- Zbije.

- I dobrze, trza woja umu uczyć. Ja? Nie, co będę w cudze miłowanie swój palec tkał. Ojciec żywię, dyrdaj.

Ale Jarkowi niesporo było do ojca iść, zwlekał.

A tymczasem do Gniezdna zjechał Zadora z drużyną, przywiódł obcego, człeka wielkiego, suchego, z ostrymi ruchami, wołali nań Wojciech. Drużyna prawiała, że i Bolko zwali lada dzień. Zapomnieli wszyscy o Jarkowym lubieniu i brzuchatej Radostnie. Zaruchało się w grodzie by w ulu.

Wojciech był cudak, na dziw. Zrazu dni całe siedział z drugami w trzemie gniezdnieńskim. Woje zaglądali dla ciekawości - leżał na ziemi rozruciwszy ramiona albo klęczał z rękoma do góry. Śpiewali takóž, mołwią, dla Jezu Krysta. Grodowi spodziewali się hucznych godów, nic z tego. Jeno Zadorowa drużyna hulala a bąbała o Krakowie i o onym Wojciechu. Mołwili: nieużyty zeń człek, nieprzyjazny ludziom. Mołwili: na gody do księdza nie poszedł, ponurak. Mołwili: nie wiedzieć,

czego chce. Sami zdawali się zadziwieni i niepojmujący; a cóż dopiero ich słuchacze.

Minęło dni pięć, dziesięć. Naraz Wojciech otrząsł się z zamyślenia, poszedł w podgrodzie - jak w Krakowie. Jarek miał własne sprawy i własne łożenia, Radosna zapadła mu w dumki - nic go owa czeska przywłoka nie obchodziła, nie zaprzętała sobie głowy krążącymi gadkami. Wciąż łąził po podgrodziu, nie śmiał iść do Dzierbołka, chciał chociaż ponad pletniami dojrzeć pucy swej dziewczki. Chciał z nią chociaż pogwarzyć, szukał trafu. Przyszła jasna, mroźna pogoda, śnieg był jak puch, do kolan się brodziło w sypkich, nierównych zwałach. Od wschodu ciągnął powiew, kąsał policzki i nosy. Siatka udeptanych ścieżynek wiła się po całym podgrodziu, łączyła się w szersze dróżki, wszystkie biegły ku grodowi. Jarek dostrzegł, jak jedną z nich wlecze się tamok niski, pękaty Dzierbołek, objuczony łagwiami. Jarek przypadł do kleci, oparł się plecami, czekał, aż ojciec miłej przekopie się przez zasy. Potem przesunął się między chatami kołodzieja Piasty i skórnika Rybitwy, słyszał chichotanie białek, biegł przez śnieg po ogrodach, przypadł do pletni Dzierbołkowej. Czarne, kudłate, w żółte łaty psisko drapało się tylną łapą za uchem; dojrzwawszy obcego skoczyło zrazu z ujadaniem, poznało Jarka, machnęło ogonem, zaszczekało krótko, urywanie, radośnie. Jarek, przykurczony u pletni, zawołał:

- Radosna! Ej, Radosna!

Stado wróbli kłóciło się na dachu, nikt nie wychodził. Jarek przeskoczył płot, szedł ku chacie szerokim, zamaszystym krokiem. Pies zabiegł mu drogę, skakał do piersi, łasił się. Chłopak wszedł do izby, trzy siostry siedziały nad kupą pierza, skubały, pióra unosiły się, osiadały po całym klepisku; pachniało chmielem, piwem. Radosna się zerwała, trzepnęła rękoma, zbladła; z otwartą gębą patrzyła na Jarka, nie uśmiechnęła się. Jarek oddychał szybko, sapnął:

- Chodź!

- Kaj?

- Mam pogwarzyć z tobą. Chodź na pło.

- Tata obaczą, bić będą.

- Poszedł do grodu.

- Wróć.

- Nie wraz.

- Baby powiedzą.

- Nic. Chodź.

Pośpiesznie chwyciła chustę, owinęła się, wzięła łykowe kurpie, od progu do sióstr:

- Baczcie, przyjdzie ojciec, rzeknijcie, jako mię Kobuzowa wołała do chleba - i wyszła za Jarkiem.

Przez podgrodzie szli milcząc, dalej udeptaną ścieżką, kędy białki biegały do przerębli po wodę. Przy pierwszych krzakach Jarek pociągnął dziewczkę w głąb, brodzili w śniegu, w leszczynie objął ją, przycisnął; poddała się bez słowa, przywarła doń, naraz buchnęła płaczem, cichym, bez zawodzenia, tylko łyzy jej sypały po gębie, gęste i duże. Jatek jeszcze ją mocniej przycisnął, szepnął bezradnie:

- Cicha j, cicha j...

Wsadził rękę pod chustę, jął gładzić, usiłował dostać ręką do piersi; odchyneła, oczy się jej osuszyły, powiedziała spokojnym, równym głosem:

- Ręce masz zimne.

Cofnął dłoń. Podniosła nań swe wielkie, sine oczy i z uległą ufnością:

- Byłeś u ojca?

Sypnął gradem wymysłów, wstyd mu było wyznać, że się boi. Jakby się załamała, niby źdźbło ucięte u korzenia. Spytała, ale już hardziej, bez poprzedniej uległości:

- A Warcisław?

- Nynie gościa ma, mołwi: poczekaj.

- Ach!

Z westchnieniem tym naciągnęła chustę, poszła bez słowa ku grodowi. Jarek ostał. Siadł w śniegu, patrzył na gałęzie pokryte cieniutką skorupką lodu, błyszczące w słońcu. Nie czuł chłodu. W matni jest, w matni. Siedział długo.

Skoro wstał, nogi mu ciążyły, ledwo brnął przez śnieg. Szerokim kręgiem minął chatę Dzierbołka, minął podgrodzie, piął się w górę ku Gniezdnu.

Nagonił go długi, błękitny na śniegu cień. Jarek obejrzał się na chrzęst kroków, zoczył Wojciecha, poczuł niechęć i obcość: to ten - nieużyty cudak, przeciwny życiu i ludziom, ponurak. Wojciech szedł zasapany, Jarek ustąpił ze ścieżki - nie wiedzieć dlaczego biskup nie minął go, stanął i patrzył bystro w zapadłe oczy chłopca. Niemało musiał wypatrzyć z tych oczu, skoro położył mu rękę na ramieniu, spytał:

- Czemu barłożysz się w pochuciach twych, nie idziesz do Jezu Krysta?

Jarek się cofnął, strach go ścisnął:

- Czego chcecie?

- Musisz temu rozbuchanemu osłowi a temu tępemu ciału swemu ująć obroku, a dodawać mu ostróg, aby swawolnie nie bujało.

Jarek cofał się coraz głębiej w śnieg.

- Czego się bojasz mnie - pytał Wojciech - rozważnym upominaniem swym ludzi przestrzegam, wždy jakbym kamienie wołał - i naraz, obróciwszy się ku grodowi, poszedł ciężkim, zniechęconym krokiem.

Jarek stał, ogłupiały patrzył za nim. Aż poderwało go nie jasne poczucie, rzucił się za Wojciechem, pędem, dogonił go bez tchu:

- Ksze! Ksze!

Gdy tamten się odwrócił, Jarek stanął, blady był, twarz się mu mieniła. Z głębokich oczodołów spojrzały na woika oczy uważne, wnikliwe, ledwo dostrzegalny uśmiech przewinał się po wąskich wargach biskupa, Wojciech zrobił krok, znowu położył dłoń na Jarkowym ramieniu, nie bajął już słów niepojętych, spytał swojskim, człeczym tonem:

- Czego chcesz ode mnie? Gadaj. Dam ci.

Ksze... ksze... - marniały wargi Jarkowe - wstawcie się u Warcisława...

Wraz szli pobok ku grodowi, Wojciech objął Jarka za plecy, słuchał jego opowieści o zwykłych ludzkich sprawach, słuchał jak brat brata. U bramy powiedział bez gniewu:

- Pójdź! Pójdziemy obaj do Warcisława.

Mało-wiele później Wojciech własną ręką chrzczył Jarka i Radostnę. Wartko posłał po Białowąsa, kmić się puszył, nadymał. Gody były huczne, Dzierbołek zalał ich piwem. Rad był: z grodozierczą się poswatał.

Płynął. Raz jeszcze płynął w długą drogę, choć nie najdłuższą z tych, co już przebył pod bladym niebem wiosennym. Woda niosła ich szybko, wezbrana i bura, rozbijająca się między nadrzecznym gąszczem borów w nieokiełznaną, ryczącą pianę. Okrągłe wiry obracały wolno zwały gałęzi i śmiecia, przegniłego zielska i podmytych, zwalonych w rzekę pni. Istna droga życia, po której wodzi się zdziwionymi, niewidzącymi oczyma.

Wojciech płynął. Bolko wyprawił go sam i długo gonił łódź wzrokiem, z poczuciem, że zetknął się oto znów z czymś Nowym; z Nowym i Niepojętym; z czymś, czego nie był w stanie ogarnąć mimo usiłowań całej zimy; to nieogarnięcie było bolesne, budziło niepokój i gniew. Wojciech miał apostołować w Gdańsku, jak apostołował w Krakowie i w Gnieźnie, a później jechać na Prusy. Wciąż płynął burą, wezbraną Wisłą. Nie patrzył na nią. Oczy miał wbite przed siebie, dalekie i zadumane. Wnętrznosci szarpał mu głód. Tenże sam głód, który go gnał po całej ziemi - i Wojciech gonił wytrwale, nieulekłe, zaciekle - Jezu Krysta gonił. Wciąż miał Go mało, nie mógł się wciąż Go napić, wciąż czuł tęsknotę i pełną niepokoju niecierpliwość.

Wojciech zzymał się od wczesnego rana, chciał jechać, chodził po brzegu, podnosił oczy ku niebu, niebo było szare, jednostajne. Biskupem wstrząsały dreszcze. Radzym i Bogusz siedzieli na palach pomostu, ramionami objęli kolana, wzrokiem wodzili za Wojciechem. Woje w kucki przysiedli w krąg, puszczały gadki, podśmiewali się. Wojciech naraz stanął .u brzegu pomostu, tuż u kołyszących się łodzi, wszystko, co go otaczało - brat Bogusz, kucający krąg wojów fiołkowych, ołowiana, gęsta woda, niebo wiszące nisko nad morzem, brunatny ostrokół Gdańska - wszystko zdawało się mu naraz obce, tak obce, aż wrogie, tak wrogie, aż bolesne. Wojciech poczuł, jak dech mu zapiera, przymknął oczy. Stał z zaciśniętymi powiekami, a jego wnętrzem targał strach przed światem. Poczul obrzydzenie do wszystkiego, a gwałtowną tęsknotę za tym, co nadchodziło. I naraz napełniła go ufna pewność, słodka i kojąca. Otworzył oczy: nie zmieniło się nic. Radzym i Bogusz zapletli dłonie przed kolanami, patrzyli nań pilnie, woje śmiali się w krąg, łodzie huśtały się na fali, i stukały bokami o pale, niebo wisiało zatrzymanym deszczem, śnieg był chropawy, gruboziarnisty, popielaty, Gdańsk się zdał gorzeć w szarzyźnie tysiącem brązowych i rudych odcieni.

Zaraz potem przyszedł Radbor z oznajmieniem, że mogą ruszać. Wojciech wstąpił nogą do łodzi, poczuł ostry zapach warzonej smoły, a pod stopą kołyszące się oślizłe deski. Przeżegnał się. Radzym i Bogusz zerwali się, szli za biskupem. Radzym miał głowę spuszczoną. Bogusz się rozglądał, wodził wokół bystrymi, ciekawymi oczyma. Z tyłu tłoczyli się woje.

- Wsaaaadaj! - krzyknął Radbor; rozsiedli się w dwu łodziach, ozdobionych na nosie wielkimi, złoconymi rogami. Mewy kołowały, skrzeczały nieprzyjaznym wrzaskiem. Woje zakładali wiosła, sadowili się parami do każdego, ujmowali we dwu ciężką rękojęść, unosili pióro w górę, czekali zawołania.

- Ruusz! - krzyknął Radbor, Wojciech spojrział z bliska w tę brązową twarz z trzema białymi bliznami na policzku, odetchnął z ulgą. Wiosła uderzyły mocno w wodę, wiosłarze się odchyliłi, szarpnęli, łódź skoczyła od razu od brzegu, susami biegła po wodzie. Dał wiatr. Było chłodno. Fala się rozbijała o burty. Płynęli na wschód. Tam na wschodzie leżał kraj Prusów.

Plusk wody, skrzyp wiosel, przeciągłe, niegłośne pieśni, szarpanie wiatru - wszystko zlało się w głowie Wojciecha w siwy, męczący chaos. Próbował odtworzyć sobie gorzką radość, jaką pił w awentyńskim klasztorze na samą myśl o męczeństwie; próbował wzbudzić żarliwą miłość do Chrystusa, próbował rozdmuchać w sobie ów płomień, który wypełniał go dotąd warem tęsknoty i niepokoju; a czuł tylko nikły zamęt w głowie. W dodatku zaczynało go mdlić od kołysania. Ślinę miał słodką i raz po raz spluwał za burtę, każdy skok łodzi podnosił mu wnętrzości do gardła, każdy zeskok nalewał chłodem międzyżebra. Oczy się łzawiły od wiatru, przecierał je pięścią, siąkał nosem, oglądał daleką linię brzegu, koło którego płynęli: ląd był białoczarny, obcy i niegościny. "Jezu - szeptały Wojciechowe wargi - Jezu, daj mi palmę męczeństwa", a jednocześnie biskup zdawał sobie sprawę z tego, że gdzieś tam w głębi zaczyna się lęgnąć trwoga. Czuł wlepione w siebie czujne oczy Radzyna, owo uparte spojrzenie męczyło go, chciałby je zerwać niecierpliwym ruchem dłoni, jak siatkę pajęczą, skoro oblepi twarz wędrowca przedzierającego się przez leśne gąszcza. I nagle zdał sobie sprawę, że czuje żal do Radzyna za owo psie przywiązanie; do Bolesława - za namowę na wyprawę do Prusów; do morza i owego brzegu obcego a straszego. W końcu wszystkie odczucia się pomieszały, pośladki ścierpły od twardej ławy, nogi zdrętwiały,



zniechęcone ciało bolało od ramion do stóp, myśl Wojciecha otępieła, kiwał się zgodnie z wahaniami łodzi do przodu i w tył, do przodu i w tył, do przodu i w tył.

Nie zauważył, jak dobili do brzegu - może zasnął. Ocknęło go nagle szturchnięcie dziobu o piasek, otworzył oczy: przed nim widniał kraj dziki i straszny. Fale wybiegały na brzeg, połogo obmywając piasek. Wczesna wiosna nie stopiła szarego pasa śniegu u stóp powykęcanych sosen; gałęzie drzew wyginały się niby w piekielnej męczarni, zieleń ich była czarna, szumiała pod siekącym wiatrem północy. Brzeg był wrogi, odpychał wędrowców. Do Wojciechowych uszu dobiegł szept kogoś z załogi:

- Lelum! Kajżeśmy zajechali?

- Do Prusów.

- Żleli doma było? - i nagle sapnięcie.

Radbor, siedzący obok Wojciecha, zapytał suchym, drewnianym głosem:

- Tu wysiądziem, ksze?

Wojciech nie rzekł słowa, lecz wstał nagle, sprężyste, szybko wyskoczył z łodzi, teraz pewny już siebie i niezachwiany; ale wyskoczył niezdarnie, wsadził stopę do wody i cały trep zalał wodą. Wyszedł na brzeg i kroczył przed siebie sztywno w głąb tej krainy, dokąd przywiodła go wola Boża. Dwaj towarzysze, Radbor, trzydziestu wojów patrzyli za nim bez tchu: w tym pewnym kroku, w tych ruchach było coś niezwykłego, jakby koniecznego. Drgnęli, gdy Wojciech na ostrym, wiosennym śniegu padł na kolana i wznosił oba ramiona ku niebu, które się doń pochylało.

Zrobił to - niemal bezwiednie - ale nic nie czuł, nie modlił się i nie myślał. Po prostu klęczał z rękoma wyciągniętymi do góry. Jakby ktoś inny, ktoś poza nim, ktoś wielki, co wiódł go przez życie, przepełnił go i modlił się bezsłownie z niego, z jego umęczonego ciała. Tuż przed nim ugięła się sosna o kostropatej korze i schlastanych konarach, patrzył na jej martwe druty igieł, rozstawione jak palce - po dwa; na łuszczącą się na konarach czerwoną korę. Nie zdawał sobie sprawy, jakie sprawia wrażenie na tych, co nań spoglądają. Radzym na widok brata, który padł na kolana przed Bogiem w kraju, kędy nie przewiał najłżejszy powiew modlitwy, poczuł, iż ogarnia go uniesienie; ścisnęło go w gardle i zbrakło tchu. Bogusz, chłodny jak zawsze, patrzył ciekawie, żarła go wciąż tęsknota, by dorósł, dorósł Adalberta, dorósł apostołów, samego Chrystusa; w celi biczował się za ten grzech pychy; Radbor spojrział niepewnie: czy ma kazać wojom także uklęknąć i co ma czynić, by spełnić wolę Rolkową; woje odczuli tę klęczącą postać w stroju kościelnym, na pustym, martwym śniegu, z rękoma wyciągniętymi, rzucającymi czary i uroki, jako powiew niesamowitości życia; nie drgnęli, bali się. Wojciech wciąż klęczał.

Wreszcie się Radbor otrząsnął, kazał ludziom wyciągnąć łodzie, rozpalić ogień. Trzydzieści czerwonych, popękanych łap chwyciło za czarne od smoły burty, wywlekło statki na piach. Rozbiegli się po lesie za chrustem. Wynaleźli sobie miejsce, piaszczystą wydnię pokrytą igliwiami, skąd śniegi spływały. Strzeliło wysokie ognisko. Benedykt i Radzym podeszli do Wojciecha i ujęli go za ramiona - dał się prowadzić bez słowa i oporu, przysiadł przy płomieniu, grzejąc ręce i spoglądając na

towarzyszy niebieskimi oczyma. Kurczyli się pod tym wejrzeniem.

Jedli podpłomyki i ser, potem ułożyli się do snu, owinięci w kozuchy. Wojciech bez słowa legł między bratem a Boguszem. Nie mógł usnąć, słuchał wiatru, który szumiał gałęziami sosen i morzem. Nie mógł się otrząsnąć z tej pustki, która go żarła, pustki, której nie znał nigdy w swym życiu pełnym tęsknoty i niepokoju, szukania i poczucia rozłąki, wiecznej gonitwy za Bogiem przez cały orbis terrarum. Wieleż to nocy przeleżał tak bezsennie - w Pradze, w Rzymie, w Kwedlinburgu, w Krakowie - i marzył! Marzył o męczeństwie, jak o słodkim zadośćuczynieniu za grzechy; za mękę Pana naszego: zdawało mu się zawsze, że przez ból a śmierć zleje się ostatecznie w pełni z Chrystusem; myślał o ranach od gwoździ na dłoniach i stopach; od ciernia - na czole i ciemieniu; od bicia - na plecach i ramionach; od włóczni - w sercu. O! w sercu, w nigdy nieczystym sercu ludzkim, które - przebite - zmyłoby krwią swą cały brud ziemi i oczyściło się do życia wiecznego. Tak roił - w Pradze, w Rzymie, niedawno jeszcze: w Krakowie i Kwedlinburgu. A nynie? Przeraziła oschłość serca. Pustka myśli. Pustka!

Noc kapała kroplami czarnego szumu. Rozwalona drużyna chrapała i wicher odnosił w głąb kraju zarówno to beztroskie chrapanie, jak pustą rozterkę biskupa.

W pewnej chwili obudził się Radzym.

- Nie śpisz, bracie?

- Nie.

- Módlmy się do Pana Boga naszego.

Tręcili Bogusza. Noc huczała, śnieg nikło lśnił, zgaszone głosy, dalekie od apostolskiej żarliwości, szeptały w porywistą ómę i grozę obce, łacińskie słowa. Wiatr siał te słowa po uginających się lasach. Wojciech silił się, by włożyć w swój siew złote ziarna miłości; lecz Chrystus zdał się teraz daleki, został wśród winnic Francji, gdzie między rudymi wzgórzami wędrował Adalbert do świętego Marcina z Tours, w łagodnym wejrzeniu Nila w Valliluca, świecącej bielą marmuru i kwiecia, między cyprysami pustelni awentyńskiej, skąd w zamyśleniu można było spoglądać na Rzym o potrzaskanych kolumnach pogaństwa, w ciemnych świątyniach niemieckich, w ognistej gorączce młodego chłopca, Ottona, z cesarskim diademem na skroni, w błękitnym szepcie fal Adriatyku, nawet za drewnianymi ostrokołami Czech i Polan, tylko nie tu, nie na tych zaśnieżonych piaskach dzikiego wybrzeża. Tu Chrystusa Wojciech nie mógł odnaleźć, bił się w piersi i wykrzykiwał:

- Non moriar, sed vivam, et narrabo opera Domini. Świt go zastał siedzącego bez ruchu, zapatrzonego sennie w palczaste chmury, pędzące nisko, jak jędze z rozczochranym łbem, zagarniające spienione morze chudymi ramionami. Radbor otworzył oczy, przeciągnął się, wstał, spojrział niechętnie na niebo i morze, obu rękoma podrapał się w kołtunie, zwrócił się do Wojciecha:

- Co każecie, ksze? Kaj pójdziemy? Odpowiedziały wojowi same jeno wargi Wojciechowe:

- Niosę Słowo ludowi tego kraju. Bierz ludzi i wracaj do Gdańska.

- A wy?

- Ja? - pustka się przed nim otwierała coraz większa - ja tu ostaną.

- Sam?

- Braci moich ostawisz.

- Ksiądz Bolko kazał mi... - mruknął Radbor, oczy jego latały niespokojnie.

- Chrystus mi księdzem, nie Bolko.

- Drużyna! - ryknął Radbor. Puste oczy Wojciecha patrzyły na ten chętny pośpiech, z jakim się Bolkowi pchali do czółen. - Boją się, bym ich nie zatrzymał - przemknęło przez głowę biskupa - a może by lepiej było... - ale nie rzekł ni słowa. Radborowi nie jedli, zrazu skoczyli do łodzi, natarli siei zepchnęli je, czerpiąc wodę do skórzni, zapadając po kolana, skakali, leżli, karabskali się, pióra wiosel uniosły się w górę, rozległ się krzyk Radbora, wiosła plusnęły, łodzie się przebijały przez fale i wiatr, wiosłarze pracowali gorliwie, Radbor stanął, wesoło zamachał ręką do biskupa:

- Bywajcie w zdrowiu, ksze! - wiatr porwał słowa na strzępy, ledwo je skleisz. Wojciech uniósł rękę, błogosławił jadących.

I gdy tak patrzył na dwa korabie odskakujące od pruskiej ziemi z pośpiechem, nawiedziło go bolesne poczucie samotności. Serce ścisnęło żalem, oczy się zaszklily. Jeszcze by zawołać - może by usłyszeli; a może by udali, że nie słyszą. Samotność zupełna, wieczna samotność człowieka w obliczu pustej ziemi. - Chrystus ze mną - szepnął, lecz czuł potrzebę obecności ludzi. Swym dawnym, porywistym ruchem zwrócił się do towarzyszy - obaj dalekimi oczami gonili oddalające się łodzie. Radzym odczuł wzrok Wojciecha, z trudem oderwał oczy od morza, spojrział na brata, w kątach oczu zabłysło mu coś niby uśmiech kojący. Wojciech ujął ich obu ramionami, odwrócił od morza.

- Nie patrzcie, bracia, na życie, ono ucieka od nas. Patrzcie w żywot wieczny - i oderwawszy dłoń od Radzymowych pleców wskazał leśne pustkowie. Radzym przygarnął się doń mocniej.

Powrócili na wydnię, zasłonięci od wiatru. Każdy z nich inaczej przeżywał też samotność. Bogusz wodził wzrokiem od drzewa do drzewa, od jednej skarłowaciałej gałęzi do drugiej, a okrągła jego twarz ściągnęła się nieco na myśl, że są oto tylko we trzech w ogromnym, dzikim kraju. Radzym czuł potrzebę oparcia się duchowego o brata, który go wiódł przez całe życie do Boga, był mu ostoją i wzorem. Wojciech był sam, całkiem sam, odkąd w burzliwą noc pruską Chrystus odszedł odeń do winnic Francji, do białej Yalliluca, między ciemne cyprysy Awentynu. Usiłował nawiązać poczucie bliskości z towarzyszami, nie mógł, nici się rwały, był sam między burzliwym morzem a uginającą się gęstwą sosen.

- Dokąd pójdziemy, Adalbercie? - spytał Radzym. Wojciech obrócił nań błękitne oczy:

- Dokąd powiedzie nas Chrystus.

- Trza spocząć przed tą wędrówką... - głos Radzyna się urwał, pojął, co ma Wojciech na myśli.

- Ostaniem tu, bracie.

Bogusz podniósł na biskupa zadumane spojrzenie:

- Komu tu będziem apostołować? Sosnom?

- Będziemy służyć Bogu - odparł Wojciech. Radzym wyjął z sakwy chleb i ser, posilili się. Wojciech łamał chleb w palcach, niósł do ust, nie mógł przełknąć. Żuł własną, gorzką samotność. Wstał, przeszedł się po wydmie, trepy uwierały. Wrócił do towarzyszy, powiedział z trudem:

- Módlmy się.

Bogusz wydobył psalterz, zaczęli śpiewać. Wiatr rwał pieśń, starali się go przekrzyczeć. Wojciecha wciąż uwierała samotność, nawet w obliczu Boga. Przysiadł się bliżej do towarzyszy, oparł się ramionami, szukał ciepła, przede wszystkim szukał bliskości człeczej. Iluminowane karty pergaminu sławiły Boga, jego usta rozśpiewane sławiły Boga, jego puste serce nie mogło, nie mogło. Gryzł się, raz wraz bił się w pierś, mocne głosy Bogusza i Radzyna wpływały kojąco, wypełniały pustkę i samotność. Gdy milkli - zachrypnięci - Wojciech szeptał gorączkowo:

- Jeszcze... jeszcze...

Znów śpiewali. Chmury ciągle waliły po niebie, nie błysnął ni jeden promień słońca. Siedzieli zdrętwiali, zziębnięci, wciąż śpiewając. Nie dojrzeli, jak od drzewa do drzewa przemykał się człowiek; jak się położył na brzuchu i czołgał się po mokrym igliwiu; jak się zza pnia wysunęła ciekawa, pomarszczona twarz, a czarne oczy biegały bystro po trójce przytulonych ludzi, odzianych w obce, cudaczne szaty, śpiewających pod wiatrem. Człowiek leżał długo, patrzył. Potem tyłem jak rak wykarabaskął się między drzewa. Pobiegł chyłkiem, przygięty, śmigał po śniegu lasem, wreszcie wypadł na brzeg, pędził tuż u szumiącej wody. Opodal, u cichego strumienia rozsiadły się niskie checze; poprzez dachy uplecione z gałęzi, przyzrucane mchem a ziemią, sączyły się smugi dymu, zdmuchiwane przez wiatr; na tykach suszyły się bure sieci. Człowiek wpadł między chaty, zaczął krzyczeć, wymachiwał rękoma. Sypali się doń ludzie, mężczyźni otoczyli go kołem, białki stały opodal, powstrzymując dzieciśka. Gwar rósł, podniecenie tłumu falowało. Brodata starszyczna ruszyła na radę, a na pustej wydmie trzech ludzi śpiewało nieprzerwanie psalmy. Gdy przerywali, jeden z nich szeptał:

- Jeszcze... jeszcze...

Dzień się pochylił, zmierzchało. Bogusz wstał, zebrał chrust, rozpalił ogień. Grzali zziębnięte ciała, Wojciech podniósł oczy na chylące się sosny, jakby widział je po raz pierwszy. Ułożyli się bez posiłku, zasnęli szybko, ale wszyscy trzej się budzili, spali niespokojnie, twarze ich paliły, męczył kaszel, bolały gardła.

Świt ich obudził - ten sam szary i wietrzny świt pustego brzegu pruskiego. Wiatr uderzał podmuchami, morze było białe od piany, rozjuszone. Przełamali się chlebem. Bogusz spytał:

- Co poczniemy?

- Bóg nam wskaże drogę - odparł Wojciech spieczonymi wargami; uderzyli w psalmy Dawida.

Naraz Bogusz i Radzym umilkli. Bogusz wyciągnął dłoń, rękaw mu się wydymał jak żagiel normańskiego okrętu, zawołał, w głosie mu drgała ulga:

- Ludzieeee! Tam... tam! Ludzieeee!

Adalbert na moment oderwał wzrok od księgi: niewielka łódź skakała w kipieli, raz wraz się kryła w pianie morza. Kilkoro ludzi robiło wiosłami. Wojciech poczuł, że mu się w piersi zatrzepotała trwoga. Spuścił oczy na księgę i dalej śpiewał. Radzym siedział w głębokim milczeniu, Bogusz poderwał się, po wielekroć robił znak krzyża na czole, ramionach i piersi. Wojciech wciąż nie podnosząc oczu wołał:

- Timebunt gentes nomen Tuum, Domine, et omnes reges terrae gloriom tuam.

Odczuł - nie patrząc - że łódź przybiła; werznęła się w piach; półnadzy mężczyźni w kozuchach, rozchylonych na piersi, wlekli ją głębiej na ląd; chwilę stali przy łodzi, naradzając się; wymachiwali rękami, bronią, wiosłami; naraz jeden z nich dostrzegł apostołów; krzyknął; umilkli na chwilę, wpatrywali się w obcych pod sosnami; w oczach im grała groza, niechęć, czujność. Ruszyli naraz z pochylonymi łbami, kołysząc się ciężko w biodrach. Bogusz wstał, założył ręce na piersi, pięciu tubylców nadeszło, patrzyło chwilę w milczeniu, oczy im biegały. Wyższy z nich, z gębą w czerwonych krostach, kudłaty, o piersi szerokiej, owłosionej czarno, krzyknął głośno w obcej mowie. Bogusz rzekł niespodziewanie twardym tonem:

- Przybywamy od króla Bolesława, z polskiej ziemi, abyśmy wam głosili Ewangelię.

Radzym powstał również, przeżegnał się, rzekł:

- Kto uwierzy a ochrzci się, zbawion będzie... - Wojciech wciąż śpiewał nie podnosząc oczu. Wysoki krajowiec wyciągnął rękę, wskazał nań, chropawy głos zagulgotał mu w gardle. Bogusz pojął pytanie:

- To jest episcopus, namaszczony dla was przez Ojca Świętego w Romie - tamci spojrzeli po sobie, zakrzyknęli coś krótko, niby szczeknięciem, widać gniew już ich poniósł, pod brązową skórą poczerwieniały czoła i policzki. Wojciech śpiewał:

- Daminus regnavit exultet terra: laetentur insulae multae.

Wysoki krajowiec zrobił krok naprzód, towarzysze zachęcali go okrzykami: złość ich skupiła się na Wojciechu. Sypnął wściekłymi słowami bez znaczenia, ręką wskazywał na zachód. Wojciech śpiewał. Krajowiec uniósł wiosło, grzmotnął piórem biskupa po plecach, śpiew umilkł. Wojciech podniósł powieki, przez chwilę patrzyli sobie obaj wprost w oczy, Radzym i Bogusz stali bladzi, krajowcy kiwali się w biodrach, przywódca ich znowu wzniósł dłoń na zachód, krzyknął gniewnie. Tym razem pojęli go.

- Wygania nas z tego miejsca - szepnął Bogusz.

- Pójdziemy - rzekł zgaszonym głosem Wojciech. Wzięli swe sakwy, ruszyli w stronę zachodu. Krajowcy szli w ślad za nimi. O kilkaset kroków przez śniegi leniwo pełzła czarna rzeka. Zatrzymali się niepewni.

Nie odwrócili głowy na nowy krzyk. Pochylili się, zdjęli trepy, weszli w nurt. Lodowata woda kąsała; brodząc do kolan przeszli na tamten brzeg, poszli w głąb kraju.

Wicher rósł. Huk morza ginął za piaszczystymi wydhami. Polany świeciły łysinami odtającej ziemi, śnieg ściał się w skarbowaną, krupiąstą gołoledź. Burczały wiosenne potoki. Około południa napotkali znowu człowieka.

Był wysoki, brodaty, odziany w len, w zarzuconym futrzanym płaszczu; mosiężna klamra błyszczała na piersi. Oczy miał jasne i błyszczące, w ręce dzierżył oszczep. Podniósł broń i krzyknął coś w pruskim narzeczu.

- Rzeknij mu, iż niesiemy pokój - szepnął Wojciech do Bogusza, głos miał znużony.

- Wszystko jedno, nie pojmie - Radzym miał czoło przecięte głęboką zmarszczką, koło ust dwie fałdy zniechęcenia. Bogusz uniósł otwartą dłoń do góry, jak rycerze pozdrawiający się na Zachodzie, zawołał silnym głosem:

- Przychodzimy z polskiej ziemi, niesiemy mir, nie wojnę.

Brodacz zrobił na to kilka kroków, dotknął ubrania Wojciechowego, powiedział zrozumiale:

- Bywajcie w zdrowiu. Z polskiej ziemi ? Byłem ci w polskiej ziemi.

Wojciech podniósł na to ręce, ujął krajowca za oba ramiona, nachylił się, ucałował go w twardą szczecinę. Tamten się zachnął, odskoczył.

- Witam cię, bracie, w imię Chrystusa. Ochrcij się, a będziesz zbawion - wyrecytował biskup jednym tchem.

- Nie pojmuję, co mówisz - mruknął brodacz - ale chodźcie, zawiodę was do mojej wsi. Jam pan tych włości - powiódł dłonią po pustkowiu, ruch miał władczy.

- Nie unosź się marnościami świata - powiedział Radzym. Tamten spojrzał nań nie rozumiejąc.

- Chodźcie - powtórzył. Wojciech się ożywił, policzki mu pokraśniały, szedł śmiało. Radzym drobił obok kroczkami, ledwo nadążał, sapał. Biskup go naraz ujął pod ramię.

- Rzeknę im słowo Boże - głos mu się łamał ze wzruszenia - pojmują polską mowę. Pojmują - poczuł nagły przypływ szczęścia, uniósł oczy w górę, po niebie waliły wciąż chmury, jaśniejsze w środku, czarne po wystrzępionych brzegach, nie przygniatały już te chmury, wiatr dął w plecy, pomagał biec, unosił. Brodacz szedł długim krokiem, zezem spoglądał na gości, milczał.

Wieś leżała w pętli rzecznej, nad łąkami. Weszli między chaty, brodacz zwinął dłoń przed ustami,

krzyknął po trzykroć. Wysypali się ludzie z chat.

Biegli tłumem. Przywódca ich, pan czy ksiądz, człowiek w płaszczu spiętym mosiężną klamrą, podniósł rękę, krzyknął w pruskim narzeczu. Zakotłował się krąg kozuchów, brodatych gąb, wytrzeszczonych oczu. Wojciech oddychał spiesznie, chciał mówić, ścisnęło go w gardle. Brodacz w płaszczu uciszył ciżbę, zwrócił się do przybyszów: - Pytają, skąd przybywacie.

Wojciech zaczął mówić, od razu pełnym głosem, nie do ich przewodnika, który patrzył nań uważnymi, pilnymi oczyma, z powagą w twarzy, z grymasem troski u warg, lecz do onego nierozumnego tłumu, stada bydła pogańskiego, które chciał zmienić w synów Chrystusowych. Głos mu rósł, cieniał do krzyku, do spazmów w gardle:

- Przybywam z polskiej ziemi, którą chrześcijański król Bolesław sprawuje. Kim jestem, pytacie? Sługą Tego jestem, co stworzył niebo i ziemię, morze ze wszystkim, co tylko żyje, i przynoszę wam zbawienie. Ludzie! zbawienie wam niosę. Abyście obmyci chrztem świętym narodzili się w Chrystusie i osiągnęli przezeń odpuszczenie grzechów i zbawienie wieczne. Ludzie! wolni ludzie krainy pruskiej! Porzućcie plugawe bałwany niedowiarstwa, lecz obleczcie się w biel czystości i prawdziwej wiary. Jesteście głodni? Chrystus was nakarmi! Abo nadzy jesteście w swym sieroctwie? Chrystus odzieje was. Abo łakniecie? Chrystus napoi was swą krwią. Ludzie! rzućcie sprawy szatana, bądźcie dziedzicami Chrystusa. Zleję was wodą chrztu, po tom szedł przez morze pełne bałwanów o białych grzywach, przez zamarznęte równiny i przez szumiący las. Niosę wam Prawdę. Oo! Prawdę niosę.

Ciżba słuchała - nie rozumiejąc ni słowa - w milczeniu przejętym i skupionym. Władca ich, brodacz w płaszczu, nie spuszczał z Wojciecha uważnego wejrzenia. Gdy biskup urwał nagle, brodacz mówił coś do tłuszczy, wymachując rękoma i wskazując na przybyszów. Wszczęła się wrzawa.

Przyskakiwali do gości, trzęśli pięściami. Staruch o siwych kudłach, otaczających całą twarz, czoło, policzki i brodę niby włochatym wieńcem - przypadł do swego starosty i wykrzykiwał piskliwie a namiętnie. Trzydzieści głosów potwierdzało kiwaniem głów, potrząsaniem pięści, krzykiem. Brodacz słuchał, oczy zaczęły mu błyskać, poczerwieniał. Zwrócił się do gości, a głos mu się łamał ze wzburzenia:

- Dla takich ludzi jak wy, mołwią starsi mojej wsi, ziemia nasza nie da urodzaju, drzewa się nie rozwiną - gwałtownym ruchem wskazał na las - trzody nie będą płodzić, a stare bydło wyzdycha... - zaciał się nagle, grdyka mu skakała pod skórą. Wojciech położył mu dłoń na ramieniu, Prusak wzdrygnął się.

- Pozwólcie nam ostać tu, a nauczę was prawdziwej wiary. Brodacz znów coś mówił do swoich. Wojciech patrzył na tłum, czytał w twarzach złość pomieszana z obawą. Ogarnęła go nagła litość nad tymi ludźmi, nad ich ciemnotą i zaślepieniem, zdali się mu nagle bliscy, jakby bracia, chciał mówić coś jeszcze, uniósł ręce, gdy naraz w niskie chmury uderzył zbiorowy wrzask. Pan włości obrócił się do przybyszów, niechętnie cedził przez zęby:

- Mamy ci swój obyczaj, inaczej żyjemy, nie jak wy. Wy dla nas cudzy, a niesiecie nam inny ład, nie trzeba nam waszych słów i waszego umu. - I nagle gniew go poniósł, nastąpił na trzech gości, złapał

Wojciecha za szaty na piersi, szarpnął, krzyknął:

- Ustąpcie stąd! Wraz! Wraz, mołwie! A nie ustąpicie, rano śmierć wam!

Tłum ryczał. Coś tam jeszcze gadali, o coś spierali się zawzięcie. Naraz ruszyli ławą. Otoczyły gości rozwścieczone mordy, chwyciły ich gwałtowne garście, powlokły do rzeki. Wojciech poczuł, że mu coś twardego niby kamień lezie w gardło, poczuł chłód, strach, obrzydzenie. Biegł wleczony w wrzeszczącej tłuszczy. Potykał się, trzymali go za ramiona, nie dali upaść. Towarzysze także się potykali. W pędzie dowlekli się do rzeki, myśleli, że tamci rzucą ich w wodę; ciśnięto ich w łódź, wraz siadło kilku wioślarzy, odbili od brzegu, popłynęli z prądem. Wieczorem byli nad morzem.

- Wracajcie, skąd żeście przyszli - krzyknął brodacze w płaszczu - wracajcie - wskoczył z powrotem do łodzi, uderzyli tykami w dno, powlekli się w górę rzeki.

Trzej przybysze zostali sami, na tymże brzegu, skąd odesłali łodzie Bolesławowe.

Gdy w miesiąc później Radzym opowiadał Bolkowi o onej wędrowce po pruskiej ziemi, nie mógł zdać sobie sprawy z tych dni, które nastąpiły po wygnaniu z wioski. Bolko siedział z dłońmi na szerokich kolanach, twarz miał napiętą, czujną, oczyma wiercił Wojciechowego brata. Kazał sobie opowiadać dzieje wyprawy dokładnie, dzień po dniu, nie był syty drobiazgów, słuchał z pochylonym czołem, z zadumą w oczach, jakby w wielkim trudzie zrozumienia czegoś, co przerastało go tajemnicą, z którą się zetknął twarzą w twarz, a której nie mógł przejrzeć. Unger się rozsiadł wygodnie, zaplótł dłonie, patrzył spod przymrużonych powiek, miał twarz martwą, bez wyrazu. Zwinięty w kłębek Zefrid błyskał ciekawie czarnymi oczyma, wodził wzrokiem od Radzyna do Ungera, od Ungera do Bogusza, od Bogusza do Bolka; wpijał się w twarz Bolesława, starał się przeniknąć jego myśli; gdy zapadła cisza, odważył się szepnąć:

- Mąż Boży...

Bolko spojrzał nań przelotnie, nie widząc go; ale twarz mu wykrzywiła niechęć. Podniósł ciężką łapę, przeciągnął nią po twarzy. I nagle - od razu z furią - do Radzyna:

- I co dalej? Co milczysz? Co w on czas Adalbert? Rad/ym usiłował przypomnieć te pięć dni, gdy wałęsali się po pruskich brzegach, nie wiedząc, gdzie się podziać; owe rozterki, wątpliwości, szarpaniny; nieustanne modły z psalterza w obliczu rozgniewanego morza; narady nad sposobem głoszenia słowa Bożego; i żal, i lęk, i zimno, i zmęczenie; wykrzywione gęby biesów pruskich przemykających się między drzewami i hukających po nocy. Bolesławowi twarz tężała; pytał głosem tak niecierpliwym, jak głodny, gdy prosi o chleb:

- I co?! Radzym, gadaj! I co?

Pięć dni się tłukli po nadbrzeżu. Kiedyś, siedząc na szarych głazach kamienistego brzegu, Wojciech nie wytrzymał rozterki. Objął brata ramionami, przytulił mu głowę do piersi, kurczowo zacisnął ramiona, trwał długo bez ruchu, zmartwiały; podniósł twarz, w oczach tała się męka, zaczął się żalić prosto w' usta Radzymowe:



- Cóżemy? Oto błądzimy po pustkowiach. Czyliż służymy Chrystusowi? Jestem grzeszny i słaby człowiek - wykrzyknął nagle, zamilkł, po chwili znowu umęczonym kwileniem:

- Szliśmy tu pełni pychy, że krainę wielką oddamy Chrystusowi albo śmierć męczeńską znajdziemy. A nynie co? Co nynie? Jezu! Wygnali nas jako wilków z owczarni. Nie podnieśli ręki poganie na Chrystusowe sługi. Nie zapłodniliśmy tej krainy ni krwią, ni słowem. Chodzimy oto po pustkowiach, niepotrzebni ludzie. Pycha nas unosiła, bracie, ooo...

Łkanie bez łez wstrząsało chudymi plecami biskupa, płakał samą jeno goryczą. Wtedy to podniósł się Bogusz, swym trzeźwym spokojnym głosem począł mówić:

- Radzę oto inaczej posłanie nasze pełnić. Zrzucić trza strój kościelny, przybrać strój tutejszy, pruski strój, brody zapuścić, mowę posiąść, osiedlić się tu. Wzorem dawnych apostołów pracować na ziemi, ryby łowić w rzekach i morzu, a wtedy uczyć ich Chrystusowego zakonu.

Z piersi Radzyna patrzyły na Bogusza błękitne, udręczone oczy Wojciecha. Zdał się szukać drogi, tej prostej drogi, którą w szarpaninie całego życia raz po raz gubił. Bogusz skończył, zamilkł. Wojciech wciąż patrzył na jego krągłą, wymizerowaną twarz, na ostre kąty kości na skroniach, na policzkach. Milczał. Pytał, zda się, oczyma:

- Czy to wszystko? Ta twoja rada. To wszystko?

Radzym mocniej uścisnął objęte plecy Wojciechowe, zapytał:

- I co ty, bracie, na radę Boguszową? Niby jęk z piersi biskupa:

- Znają nas. Nie dadzą się podejść. Nie osiągniem ni nawrócenia pogan, ni palmy męczeńskiej. Bóg zabrał od nas swą Łaskę.

- To pójdziem do Lutyków, takóž pogan - głos Bogusza rósł - znasz, Adalbercie, ich mowę, nie widzieli nas, dadzą się podejść z łatwością.

- Cóż, bracie ? - pytał Radzym.

Wojciech z trudem oderwał się od jego piersi, spojrzął zmęczonym wzrokiem po szarych, otoczonych przez złe morze głazach, szepnął:

- Nynie wojna tam. Pójdźmy.

Powlekli się na obolałych nogach. W tych dniach Radzym jął się opieki nad bratem, on, który przez całe życie jak cień szedł za słowem bratowym. Nabrał mocy naglej, podtrzymywał słabego, gdy dawniej się na nim opierał by na dębowym słupie. Burza szła. Pobrnęli śród ostre głazy, pogruhotane krzesanice, ściśnięci między skałą stromeego brzegu a wściekłą wodą morza. Czarna chmura zawałiła niebo. Skrzydło huraganu przeleciało przez morze, pobielwwszy je całe po horyzont. Wicher smagał, huczał na krawędziach skał. Woda wspięła się nagle, stanęła dęba, skoczyła na brzeg. Waliła w kamienie tysiącem obuchów. Trzej wędrowcy, zawieszeni kędyś pod uskokiem, na jakiejś krawędzi skalnej, wąskiej i oślizłej, patrzyli, jak rozpienione bestie wodne darły się na nią,

rzucając się prostopadłe w górę i opadając rozbite w biały puch. Ryk fal głuszył ryk wichru. Naraz sina światłość rozcięła półmrok świata. Przewalił się pierwszy grzmot tej wiosny po rozjuszonym morzu. Zatoczył aż za widnokrąg i wrócił rozrośnięty i ogłuszający. Widzieli rozczochrane pioruny bijące w bezdnie wód. Ulewa chlusnęła ukosem, niesiona przez wiatr. Człeczka bojaźń ogarnęła Wojciecha, uczeplił się Radzymowego ramienia, drżał. Oczy miał rozszerzone trwogą. Radzym objął go ramieniem, uśmiech przywołał na wargi. Przyłożył usta do ucha brata, jął go strofować żartobliwie, a głośno, by być słyszany przez wycie wiatru:

- Trwożysz się, waleczny wojowniku Chrystusa; a cóż byś uczynił, gdyby zbrojna czerń nas opadła. Bóg trzyma w swych dłoniach wściekłość burzy. - "Zdrowaś Maryja - szeptały Wojciechowe wargi - Ty łaski pełna, błogostawionaś Ty między niewiastami..." - Wiatr wył.

Gdy tegoż wieczora suszyli się przy ogniu w głębokiej kotlinie między piaszczystymi wydhami, Radzym mówił serdecznym, braterskim tonem:

- Zważ, jaki miałem sen zeszłej nocy. Widziałem w pośrodku ołtarza kielich złoty, do połowy winem napełniony. A gdy się z niego chciałem napić, wzbronili mi sługa ołtarza, mówiąc, że to wino tobie na jutro ku dusznemu pokrzepieniu zachowane.

Chrusty trzaskały w ogniu, dymiły, rozpalały się dużym, jasnym płomieniem. Wiatr biegł kędyś wysoko nad głowami z szumem w gałęziach drzew. W kotlinie było zacisznie i ciepło. Zmokłe odzienie parowało jakby od płomienia przeżerającego ciała. Wojciech spojrzał na ciche, pogodne oblicze Radzyna, oświetlone purpurowym blaskiem i odrzekł:

- Oby Pan Bóg na dobre obrócił to widzenie; wszakoż snom uludnym nikt wierzyć nie powinien - i pochylił głowę niemal do kolan, podniósł ją jednak zaraz, gdy Radzym i Bogusz rozpoczęli śpiew psalmów Dawidowych. Wicher rozdarł chmury i na czarnym stropie ujrzeli pierwsze w pruskiej ziemi gwiazdy. Ogień przygasł, ułożyli się otuleni w płaszcze i usnęli.

Ranek obudził się jasny, słońce raz wraz wyblęskiwało zza chmur, rozweselało serca. Lecz chmury poczęły gęstnieć, jakby zazdrośnie strzegąc słonecznego skarbu. Skręcili od morza w głąb lądu. Wczorajsza burza stopiła śnieg na przybrzeżnych piaskach, ale las biał jeszcze, drzewa stały mokre i tajemnicze, obojętne i zadumane. Wędrowcy szli umęczeni i głodni, wyczerpani bezcelową wędrówką po tej krainie, dokąd przywiodła ich tęsknota Boża. W pewnej chwili Wojciech osłabł, oparł się o pień, dyszał ciężko. Przymknął oczy; Radzym przeląkł się nagłej jego błości, zapytał prędko:

- Co ci to, Adalbercie?

Tamten nie odrzekł, ale Radzym ujrział, że wargi jego poruszają się w szybkiej, gorączkowej modlitwie. Podniósł powieki, jeszcze nigdy nie grała mu w oczach taka trwoga, taka męka przestachu, takie skomlenie o pomoc, takie udręczenie samotności. Językiem oblizał czarne, spieczone wargi, zachrypiał :

- Złożym ofiarę Chrystusowi, niechże nas broni, skoro powołał.

Wyszukali głaz na skraju puszczy, wielki, szary granit, obrosły grubo mchem. Bogusz krzyż wydobyl, oparł o brzoźkę obok rosnącą, której różgi, jak włosy panieńskie, kapały rzadkimi kroplami ściekającej wilgoci; długie brunatne bażki tęskniły do słońca i wiosny. Radzym dobył złotych naczyń, wlał wino do kielicha, ułamał chleba, stał przed ołtarzem, uniósł oczy w górę, poprzez gałązki brzożki młodziutkiej i niewinnej, dziewczeczki dzikiej puszczy pruskiej, patrzył w chmurne oblicze nieba. Dusza mu się rwała w słowach świętej ofiary, które nabrały dnia tego pełni, mięszu, twardej bryłowatości, odwiecznej mocy, możności zakłęb odmykających niebo, zatrzaśnięte ciężkimi wierzejami chmur. Poprzez te chmury patrzyły w duszę Radzyna złote oczy Chrystusowe. Bogusz odpowiadał Radzrnowi głosem twardym i pewnym. Wojciech leżał krzyżem na mchu, czuł, jak mu wilgoć przesiąka przez odzienie, moczy pierś, wsiąka w ciało, dręczy dreszczem obmierzłą pustkę serca. Nie mógł się modlić ani wargami, ni myślą. Modlił się całym swym udęczeniem, ową pustką i nudą istnienia, obolałymi członkami, nie odczuwaną miłością, wiecznym szukaniem, nieutulonym smutkiem i samotnością. Powtarzał w kółko: - ...nie jestem godzien, Panie... - i tylko to, do chwili gdy klęknął i wziął z rąk Radzyna Chleb i poczuł na języku i podniebieniu cierpki smak Wina. W tej chwili męka się stała najbardziej nieznośna: dręczące odczucie niegodności, tego, że nie umie, nie zdoła, nie potrafi napełnić się Chrystusem; spazm męki trwał moment. Podniósł oczy na brzożkę i raptownie przyszło ukojenie. Wewnętrzna radość go poniosła i naraz zaśpiewał wielkim głosem nie bacząc na towarzyszy - w tę szumiącą puszcę, w to zachmurzone niebo, prosto w wielkiego Boga, spoglądającego nań twarzą w twarz:

- Gustate et videte, guoniam suavis est Dominus: beatus vir, qui sperat in Eo.

Uniesienie przeszło jak fala jeziorna po jednym podmuchu. Ale jałowość, czcza jałowość udreki ostatnich dni nie wróciła. Poczł spokój, pełen ufności i słodki, jaki przeżywał w różnych miejscach swej długiej wędrówki, póki nie odrywał się odeń w gorączce szukania. I pojał naraz: niepotrzebnie gonił, niepotrzebnie szukał Tego, który był obok. Czł Go teraz - tu, w puszczy pruskiej, dzikiej i strasznej - zrozumiał, że nie był sam; ani chwili. Że ów strach, ów niepokój był ze świata i tylko to było ze świata. Przez te dręcące dni samotności w pruskiej puszczy opadło zeń zalęknienie, owa gorączka: wszystko się przepaliło w cierpieniu. Podniósł oczy i, patrząc poprzez gałązki brzożki w niebo, uśmieczał się uśmieczeniem dziękczynienia i spokoju. Jak przez mgłę widział drzewa, głaz, Radzyna, Bogusza, śpiewających słowa, których nie słyszał.

Ukończywszy modły ucałowali omszały głaz leśny i wzrokiem pożegnali brzożkę. Radzym się zwrócił do brata:

- Napij się miodu, Adalbercie, osłabniesz.

Napili się wszyscy trzej, poszli na otwarte pole, ale nogi im ciążyły, słabość ogarniała, Wojciech zataczał się. Wszedłszy na wyższe miejsce przysiadł, sapnął:

- Spoczniemy tutaj, bracie - i naraz się uśmieczał. - Mimo miodu osłabłem.

Położyli się na tym kamienistym polu i zasnęli.

- Było to pole Romowe - wrzasnęli wysłańcy na gniew Bolesławowy - święte pole. Wedle praw naszych: kto by przekroczył miedzę świętego pola, śmiercią ukaran będzie.

Bolko przyjął wysłańców pruskich siedząc na złoconym karle, które jeszcze ojciec jego dostał od kupców z Bizancjum. Na ganku gniezdnieńskiego dworu stali za nim: Stojgniew, Zefrid, Odrzykoń, Zadora, Sobiebor, Rajnhold, Kciuk, Wartko. Słońce złoćło pyły podnoszone przez południowy wiatr. Cztery lipy pokryły się już lepkiem, jasnym liściem. Pięciu Prusów w kozuchach, w pasach obitych mosiądzem, z szerokimi mieczami u boku, brodatych i wąsatych, przyniosło wieść o losie Wojciechowym. Bolko nie dosłuchał do końca, zerwał się, szedł na nich, gniewny i straszny. Zawisł nad nimi jak chmura, złapał pierwszego za kozuch na piersi, uniósł, cisnął w pozostałych. Chrypiał:

- Ja wam... jawam... świętego męża... sucze dzieci...wszawe nasienie...

- Weszli na święte pole - szczeknęli wysłańnicy przed gniewem księcia. - Chceszli, ciało oddamy za okup.

- A towarzysze jego? - charknął Bolko.

- Żywią. Dasz okup, oddamy ci ich. Zdrowych.

- Dam ci wam okup, obaczycie! Końmi stratuję wasze święte pole - ale przez gniew pamiętał: ma iść z Ottonem na Weletów, nie ma jak tratować pól pruskich. Jęli się układać o okup.

Radzym, bajający po swym powrocie Bolkowi, zaciął się w opowieści. Teraz Unger siadł prosto, oczy weń wlepił, Zefrid wciąż wodził wzrokiem dokoła, Bolko krzyczał swoje w ponoszącej go niecierpliwości:

- I co dalej? Radzym, czemu zmiłkłeś?

Zmiłkł, bo przed oczyma miał obraz, którego już nie zapomni. Zbudził go wrzask, uniósł się, ujrzał brata, jak włokła go tłuszcz. Wraz chwycili jego i Bogusza. Wszystkim trzem skrępowali łykiem ręce, wiedli przez święte pole, przez las, znów przez pole. Wojciech był blady, trzął się. - "Zatrwożył się trwogą człowieczą" - opowiadał głucho Radzym Bolkowi. Wiatr znowu się zerwał i ciał w twarz deszczem. Stanęli u stóp wyniosłego wzgórza, na szczycie rosło samotne wielkie, pokręcone drzewo. Pod drzewo to zawleczono pojmanych. Wojownicy zebrali się w kupę na wrzaskliwą naradę. Bogusz stał blady, ale spokojny. Radzym wpił się oczyma w twarz brata: igrał w niej jakby nikły uśmiech, który nabył Wojciech od onej ofiary przy głazie. Adalbert patrzył na szmat kraju leżący mu u stóp. Wzrok leciał nad czarną puszcza, po której błądzili odprawiwszy Bolkową straż. Dalej ciemne, płaskie morze, pocięte białymi szramami. Gdzieś niemal u krańca świata słońce przedarło się przez chmury. Białym kłębem załśniły brzegi obłoków sunących zza pasa jasnej, zielonkawej wody. Wiatr niósł gorzką wilgoć z bezmiaru wód. Szybkim spojrzeniem objął Wojciech świat, zdał się mu naraz bliski, bratni, swój. Pojmował głucho - pierwszy raz w życiu - że nie było grzechu w jego miłości do świata. Chciałby oto chudą dłonią, mokrą od przedśmiertnego potu, pogłaskać ona koleczastą puszcza, zbałwanione morze. A jednocześnie wewnątrz biskupa rwał strach. W brzuchu bolało od gwałtownego ssania, pełnego lęku. Z wysiłkiem wznosił oczy w niebo - było martwe. Spojrzał na skłócony tłum krajowców: krzyczeli wszyscy. Ta swobodna, nowo narodzona miłość do świata, przejrzysta i bezgrzeszna, łączyła się z obrzydzeniem przed gwałtem męki. Wojciech poczuł mdłości, krótkie rwanie, rzygnął, wnętrzości oddały jeno szczyptę miodu, gorzkiego jak żółć. W tej chwili od gromady krajowców ścichłej, pogładającej na jeńców czujnie -

przyskoczył jeden w lnianej odzieży, z włócznią w ręku. Podniósł ramię, Wojciech ujrzał ostrze błyszczące żółto, cienką smugą godzące mu w pierś. Nagła trwoga wydarła się w krzyku, bezwiednym krzyku - po czesku:

- Czego chcesz ode mnie?! - ujrzał żółtawą smugę spadającej włóczni, poczuł ostry ból w lewym ramieniu, upadł. Nadbiegł tłum, dźgali leżącego z dzikim wrzaskiem, wściekłości i rozkoszy zabijania. Wojciech obrócił się jeszcze na bok, ujrzał wlepiony w siebie wzrok Radzyna, pełen grozy. I oto nagle - w tej ostatniej chwili - pojął: nie ma grozy na świecie. Pojął: to on, Wojciech, bez potrzeby, bez sensu szarpał się i targał. Poczul nagły przyptyw miłości, nie czuł już ni strachu, ni bólu. Tężejące wargi skrzywiły się w grymas: lecz był to grymas uśmiechu. Oderwał oczy od Radzyna, podniósł je w zachmurzone niebo. I w tym ostatnim mgnieniu życia, patrząc na ową groźną szarżynę, pojął, dlaczego szukał: pojął, że niepotrzebnie męczył się i łaknął, boć to, za czym tęsknił, zawsze było w nim; że nigdy nie był samotny; że niepotrzebnie uciekał z Pragi przed widmem śmierci Dytmara; niepotrzebnie odszedł od Nila, na próżno przebiegał przez wszystkie kraje, gonił i jednocześnie umykał, niesłusznie wątpił o swej miłości zawsze gorącej i żywej, nawet w chwilach pustki i osamotnienia, która przywiodła go tu, do tej puszczy. I jak niepotrzebnie męczył się jeszcze ostatnie dni, gdy przecie był pełny, przepełniony; lecz nie żałował swej męki, która wypaliła w nim wszystkie naleciałości, zbyteczny proch ziemski. Wszystko zdało się naraz najprostsze w owym mgnieniu jasnowidzenia. I gdy paluchami obu rąk szarpnął z nagła mokry mech pruski i nagłym ruchem targnął głową, a oczy przesłoniła mu mgła, poczul, że dotarł; dotarł do celu, wreszcie! Usłyszał jeszcze krzyk Radzyna, pomyślał, że to krzyk śmierci, ale to był krzyk żalu. I jeszcze raz ostatni zabiło mu serce, a martwiejące wargi, nie poruszając się, szepnęły słowo największej miłości:

- Jezu...

Bogusz i Radzym wracali z pruskiej wyprawy w najgłębszym otępieniu. Nie czuli nic. Nie widzieli. Dwu czarnych dzikusów wiozło ich w małej łódce wzdłuż brzegu: świeciło słońce i morze było łagodne. Patrzyli obojętnie na szerokie łąwy piasku, na kraj przesłonięty czarnym lasem niby nieprzeniknioną zasłoną, za którą zostawili sztywne ciało Wojciecha z rozpacznie rozcapierzonymi paluchami i przekrzywioną głową; jeszcze widzieli szkliste, bolesne oczy, patrzące z głębokich oczodołów. Baczyli, by nie spotkały się ich źrenice, nieświadomie strzegli - każdy dla siebie - tego, co rosło w nich, przerastało ich dusze i możliwość ich odczuwania, co wylęło się w nich obu z owego wykrzywionego zewłoku pod samotnym drzewem na wzgórzu. Wiozący ich Prusacy pomrukiwali czasem do siebie lub zamieniali się krótkimi okrzykami. Mewy skrzeczały, bulgotała woda i skrzypiały wiosła w dulkach. Dwaj mnisi siedzieli zgarbieni, wciąż się bojąc spojrzeć sobie w twarz; każdy z nich czuł, że tajemnicę pruskiej puszczy niesie tylko dla siebie.

- Czemuż nie ugodzili nas włócznią?! - wykrzyknął Bogusz, gdy nie mógł już wytrzymać śmierci Wojciechowej.

Było to po wielu dniach podróży morskiej między łagodną wodą a łagodnym niebem; pobytu w rudordzawym Gdańsku, gdzie otaczał ich rozwrzeszczany tłum, wypyujący o wędrówkę i śmierć; powolnego podpychania się w górę Wisły, wezbranej, wściekłej; cichego przebywania w Gniezdnie; szczegółowych sprawozdań przed nigdy niesytym Bolesławem, zadumany Ungerem i czujnym Zefridem; długich modlitw w trzemie gniezdnieńskim pod wezwaniem Matki Bożej, budowanym przez Dobrawę, matkę Bolesławową - po wielu dniach, gdy w oczach mieli młodą brzoźkę i omszały gład puszczy pruskiej, usta śpiewające psalmy unoszone przez wiatr i wyprostowaną postać Wojciecha krzyczącego z trwogą człowieczą: - "Czego chcesz ode mnie?" - i żółtawą smugę spadającej włóczni.

To męczeństwo przerosło ich - nie, nie tak myśleli o męczeństwie. Liczyli się z nim, chcieli go. Może nawet mieli więcej męstwa niż Wojciech, podtrzymywali swego przewodnika i pocieszali. Tego, właśnie tego nie zdołali powtórzyć Bolkowi - mimo wszystko było to coś więcej niż śmierć od pchnięcia włócznią. Cóż było więcej? Nie wiedzieli. Ale to coś darło im dusze, wywracało je, wytrząsało wszelaki proch i pył ziemski, a owo wydzieranie było bolesne i niepojęte, aż wyrwało Boguszowi ów grzeszny, niechrześcijański okrzyk:

- Czemuż nie ugodzili nas włócznią?

- Jezu Chryste, Panie nasz... - szeptały wargi Radzyna, a oczy jego starannie unikały wzroku Boguszowego.

Te uczucia, płynące ze śmierci Wojciechowej, musiały objąć również Bolesława, który chodził rozjątrzony i gniewny, lecz w oczach jego widział Radzym w czasie długich gawęd o Wojciechu toż cierpienie, które bał się wyczytać ze wzroku Bogusza. Pomiedzy drużyną szły szepty niespokojne i nierozumiejące. Białki w babińcu gadały o wieściach przyniesionych przez Radzyna i Bogusza. Szły bajki przez podgrodzie i puszcę.

Szły gadki. Ale dla nikogo nie była to tylko śmierć, zwykła śmierć, zwykłe pchnięcie włócznią: o

podobnych zabójstwach - wojów, kupców, wysłanników, zbłąkanych, poważnionych, ofiar zemsty lub chciwości - słyszeli raz po raz, była to rzecz codzienna, kto by się dziwił temu, że jakiegoś człeka - choćby biskupa - przebiło żółte ostrze włóczni. Aleć tu było coś, co darło serca ludzkie - czym? dziwem, Nowem, niepokojem. Giez Ślizień, który się podrużył z Przemkiem Świradowicem w czas poselstwa do Pragi, mówił doń:

- Mołwią, Bolko ma wykupić ciało Wojciechowe... Przemko wykrzyknął z pasją:

- Juźci. Mają to ji wilki ciągać w Prusach? Trza mu kopiec godny usypać - nie pamiętał, jak jazgotał niedawno jeszcze na Wojciecha.

Wiatr dał od północy porywisty i chłodny. Przed wrotami Gniezdna stał pal z żerdzią wbitą w rozszczepiony wierzchołek, sterczącą pod kątem prostym, niby szubienica. Na grubym powrośle wisiała poprzeczna belka w stanie pełnej równowagi; z obu jej stron przyczepiono na sznurach dwie tratewki, n& których miano ważyć Wojciecha: tak ugodził się Bolesław z Prusami.

Zbita ciżba - zbrojna i odziana w len - stała nieruchomo, wpatrzona w wagę. Tyle że szepty biegały.

- Leciąły ścierwy na biskupa: kto z toporem, kto z sulicą, kto z maczugą abo z kamieniem, a biły go, męża świętego.

- Bają: głowę mu zdjęły siekierą.

- Nieprawda.

- Jako żywo... Bają: włócznią przebiły a głowę odjęły.

- Bajbaje...

- Ksiądz, bają, wielgie bogactwa da za ono truchło.

- Zwolisz to poniewierać je gadom... Pomnicie, jako tu bajał, a wodą świętą lał: Boży to mąż.

- Mołwią: w Trzemesznie ji złożą.

- Nie... Tutki...

Wybałuszyli gały. Zachrypiał róg. Z grodu nieśli nosze z ciałem, okreconym w lniane szmaty. Za noszami szedł Bolko, Unger, Zefrid, Radzym, Bogusz, Stojgniew, Rudolf, Wdała, Odrzykoń, Zadora, Sobiebor, Rajnhold, Kciuk, Wartko. Klerycy Ungerowi nieśli krzyż i zapalone świece, które osłaniali dłońmi od wiatru. Łopotały dwie chorągwie na wysokich drzewcach. Dalej pacholcy uginali się pod ciężarem worów, na samym końcu sunęli Prusy - trzydziestu ich było, w kozuchach, szłomach skórzanych, ze skórzanymi szczytami, rzucali wokół bystre, niespokojne spojrzenia - i ciżba: wielki tłum, poruszony i milczący.

Postawili nosze przy wadze. Unger dał znak, klerycy uderzyli w śpiew, wiatr rwał głosy, odnosił ku szarym wodom Jelonka. Bolko był czerwony, gęba mu się pocila, obcierał ją ręką. Obrócił się ku

niosącym:

- Kłaść ji... Pomału, pomału.

Położono ciało, wagał opadła, Unger okrył zewłok płaszczem biskupim, u głowy złożył wysoki biskupi kłobuk, a u boku zakrzywioną laskę. Ciżba wybałuszała oczy, rozumiała, co robi Unger: toć i wojom kładzie się zbroję a miecz, a szłom. Klerycy wciąż śpiewali na wietrze.

Bolko chwycił starszego Prusów za ramię, pociągnął, warknął:

- Baczcie dobrze, psie krwie, azali dość kładę wszelakiego dobra, jakem obiecał - i ku pachółkom:

- Sypać!

Na drugi plet sypnęły się z otwartych worów obrąbki złota i srebra, czary i misy, płaskie talerze, pierścienie i łańcuchy, broń ozdobna i rogi nabijane złotem, a cudaczne krążki wytłaczane w różnorakie znaki. Dech zaparło tłumowi, pierwszy raz ludzie widzieli tyle bogactwa, Bolko stał ze zmarszczoną brwią, na rozkraczonych nogach, Zefrid wyciągał szyję, zda się, błyszczące oczy całkiem wyskoczą. Ciało Wojciechowe wciąż było w dole - szala nie drgnęła. Bolesław ryknął:

- Wszystko?

- Jeszcze jeden wór - rozwiązywali z pośpiechem, sznur się zaplątał, targali beznadziejnie. Trwała napięta cisza. Prusy błyskali oczyma na strony, czuli: na nich skupia się rozgniewanie tłumu. Wreszcie pacholek z końską gębą rozsypał, wysypał zawartość, same rogi nabijane złotem i srebrem; nieciężkie były, nie przeważyły ciała. Bolko poczerwieniał z gniewu, obrócił się do grodzierzcy:

- Wartko, masz boleję? - tamten zmarszczył się:

- Nie... Z Poznania trza będzie sprowadzić. Przemko krzyknął:

- Dość na okup... Niechże sucze dzieci biorą, co jest, a dyrdają k'swoim...

Gwar zerwał się w ciżbie... Gwar wrogi dla Prusów, nagły gwar wściekłości. Bolko obrócił ku nim pokraśniałą twarz:

- Poczekacie trzy dni. Przywiezieni z Poznania. Stary Prus, pomarszczony, z siwymi kłakami na gębie, burknął:

- Ugodziliśmy się... na wagę. Póki nie macie, ciało nasze.

- Nie mam? - krzyknął Bolesław.

Wściekłość skrzywiła mu gębę. Wyrwał z za pasa miecz, myśleli: uderzy na Prusów. Każdy zebrał się w sobie: niech no książę da znak. Lecz Bolko poskoczył do wagi, cisnął z pasją miecz na szalę.



- Nie mam? Oto czym przeważę - ale waga nie drgnęła. Wówczas Bolesław odwrócił się do tłumu, zakrzyknął dziko:

- Drużyna! Ludzie wolne! Nie starczyło złota w Gniezdnie na truchło świętego męża. Chcą go brać. Nie damy! - żyły mu nabrzmiały na czole, głos się rwał. - Dla was wszystkich to truchło... ten zewłok... Nie żałowałem złota, nie pożałuję.

Aleć nie chcę... ni dnia... by on zewłok był u onych plugawców. Tfu!

Pierwszy ruszył się Unger - on, zawsze tak spokojny i powolny - szybko zdjął z szyi łańcuch, targnął za krzyż, urwał go, łańcuch rzucił z brzękiem na stos złota na szalę. Drugi - ten w mig się połapał, co czynić, w mig - skoczył Zefrid, rzucił pierścień. Stojgniew wydobył mizerykordię, cisnął; już tłum parł, woje, wielmoże, świątki, sypały się łańcuchy rycerskie, miecze, noże, pierścienie, białki rzucały bisior a kabłączki, pasja ich jakaś ogarnęła, szala drgnęła, ciało Wojciecha oderwało się nagle, znów opadło, znowu się oderwało, popłynęło do góry, oni jeszcze rzucali, pchali się, w zapamiętaniu, jeden przez drugiego, Prusy patrzyli zdumieni - nie dać poganom ciała Wojciechowego!

Poganom? Po raz pierwszy - w onej puszczy polskiej - zdali sobie sprawę: oni są inni, nie Prusy, nie pogany...

Nad Gniezdnem leciały obłoki, gnane porywistym wiatrem.

Wiatr ten niósł również porwane słowa pieśni śpiewanych w obcej mowie, obcych pieśni. Obcych? Nie obcych. Obce już było to, w imię czego ubiły Prusy Wojciecha, którego ciało wykupili wraz z księdzem od pogan.

Radzym czuł, że wstrząsa nim spazm płaczu, radosny, triumfujący. Poszukał wzrokiem Bogusza, spotkali się wzajem oczami, nie spuścili oczu: pojęli.

W kilka dni później wniesiono uroczyście ciało Wojciecha do kościoła Matki Bożej w Gniezdnie. Z dumą pchali się przez wierzeje kościelne ci wszyscy, co rzucali pierścienie i miecze na szalę, której sam Bolesław unieść nie zdołał.

**Część czwarta**

**Włócznia świętego Maurycego**

1.

Cały Wrocław znalazł białą klacz komornika księdzowego, Piekuty. Stara była, piegowata ze starości, a przyprowadziła nad podziw pięknego źrebca - czarny, mocny w zadzie, na długich, kosmatych u kopytek nogach, szerokopierśny; wróżyli Piekucie, że koń będzie siwy jak matka. Właśnie przyjechał Odrzykoń od Bolesława do wrocławskiego grodzierzcy, Mojsława - bardzo mu się konik podobał. Naciskał komornika, by mu źrebaka oddał. Chodzili obaj po nadodrzańskich łągach, ugwarzali. Odrzykoń uderzał dłońmi po udach, patrzył na pasące się konie, mlaskał językiem; zdjął czapę, tarł łysinę, obrócił się do małego, krępego Piekuty, gadał:

- Latoś Bolko postrzygł włosy swemu Mieszce, a ja swemu Sułkowi; za cztery, pięć lat ksiądz da Mieszce drużynę żółtodziobów, syna mego do niej powoła; koń mu będzie potrzebny. Będzie walny koń do tego czasu z waszego źrebca. Po co komornikowi taki koń? Dla woja ten koń. Dajcie mi go, Piekuta.

Piekuta rozkraczył nogi, unikał wzroku Odrzykonia, nasepił się. Z dawna już obmyślił, za co źrebca sprzeda. Ale się nie zdradzał, chmurzył wciąż czoło, udawał wahanie. Odrzykoń naciskał:

- Dam wam błam sukna krasnego a dorzucę róg srebrem kuty - zniecierpliwiał się łysacz i nadstawił dłoń do uderzenia. Piekuta się roześmiał:

- Za tyli źrebca sukna błam a róg. Nie dam - i odwrócił się w stronę grodu.

- Nie chcecie, a no... - Odrzykoń uśmiechnął się krzywo.

- Chodźcie na piwo - mruknął krępy komornik. Wojewoda zgodził się bez namysłu, bardzo mu się źrebak udał. Szli wzdłuż rzeki w milczeniu.

W progu Piekuta krzyknął:

- Dziewanna! piwa no daj a kielbas z jajecznicą. Godnego gościa przywiodłem.

Dziewanna pokraśniała, ale nie skoczyła zrazu do garnków, skłoniła się godnie, po obcemu, Odrzykoń chrząknął, garścią potarł łysinę; podółkiem omiotła mu ławę. Siedli. Z komory białka wyniosła gliniany dzban i czarę. Piekuta nalał, przepił do gościa.

- W wasze ręce, panie.

- Niech wam będzie - odrnruknął łysacz, zanurzył wargi w czarnym, chmielonym picciu.

Gwarz yli, piwo szło lekko do łbów. Dziewanna wyniosła miskę z tłustością, w tłuszczu pływały jaja i kęsy kielbasy. Moczyli ułamane kawałki podpłomyka, nożem wyławiali kielbasę, tłuszcz ciekł po brodzie. Gęsto siorbali piwsko. Odrzykoń otarł garścią gębę, z kubkiem obrócił się do Dziewanny:

- Twardy człek z Piekuty. Dawałem mu za źrebca sukna błam a piękne kabłaczki wam do uszu: nie chce.

Dziewanna nie powiedziała nic, obróciła na męża spojrzenie okrągłych oczu z prośbą czy wyrzutem. Piekuta zacisnął pięść, stuknął po stole.

- Powiem wam, Odrzykoń, możecie żrebca za nic brać - wojewoda podniósł brwi w górę zdziwiony.

- Jakże to?

- Za nic, mołwię - Piekuta znowu trzasnął pięścią.

Dziewanna kręciła się za pijącymi, wpierała w męża proszące oczy. Piekuta się złościł, chmurzył, nie podniósł czoła. Skoro żona wyszła ze świetlicy, obrócił z nagłą głowę do gościa.

- Bajają... - zasiąknął się - bajają, będzie ksiądz wielkie posłanie słać. Do Italii pono... Do Romy?...

- Wiecie to, gdzie one kraje?

- A no... sprawiedliwie to nie wiem. Mołwią, kajś daleko, za Sasami a Bawarami, góry tam, mołwią, takich u nas nie obaczysz. Nie wiem... - i stropił się.

- Prawdę bajają - Odrzykoń podparł brodę pięściami - u Bolka był Boży człek, ksiądz Jezu Krysta, wołali nań Wojciech abo po ichniemu: Adalbert. Jenż poszedł do Prusów, lać na nich wodę świętą. Tego człeka sucze dzieci włócznią ubiły.

- Bajają, ksiądz dał Prusom złota na wagę.

- Kładli ci na wagę złoto a srebro, a rogi, a miecze, kładł Bolko i my kładli, pełną łódź wszelakiego dobra odwiozły Prusy za truchło Wojciechowe. Teraz Bolko posłanie śle do Romy, bajają, prosić pierwszego księdza Jezu Krysta, iżby jen uznał Wojciecha a dozwolił nam w Polsce swego biskupa mieć.

- Toć jest Unger.

- Unger zwąchał się z Magdeburgiem, bajał mi Zefrid, teraz biega do Magdeburga, tam kłania się a skomli, kiej czego mu trzeba. Abo to nam mus do Magdeburga jeździć a Niemcom nogi lizać... abo to mus... - Odrzykoń uniósł się, pięścią łup! - abo mus, pytam? - wytrzeszczył błękitne, głęboko osadzone oczy - jaki mus ? Piekuta! gadaj no! Jaki mus ?!

Piekuta nie pojmował, skrzywił się, splunął. Już w nim złość wzbierała - na Ungera, na Niemców. Ruszył szerokimi barami obciśniętymi skórzanym kaftanem, jaki komorniki księże nosiły, warknął:

- Nie ma musu.

- Nie ma musu! - krzyknął Odrzykoń, nalał z garnka piwa, wypił, Piekuta zawołał:

- Dziewanna, dolej no! - i do Odrzykonია:

- Nie ma musu! psia! Słyszycie, panie? nie ma musu!

- Jaki mus - zamruczał Odrzykoń, i nagle - no, co, Piekuta, dasz żrebca dla mego Sułka?

- Dam.

- A ja ci błam sukna a róg kowany, a kabłączki dla biaiki.

- Nie chcę; ni sukna, ni rogu, ni kabłączków - w tejże chwili Dziewanna stawiała świeży dzban na stole, spotkali się oczami z mężem, w oczach biaiki łzy się kręciły. Piekuta twardo plasnął otwartą dłonią o stół:

- Ni kabłączków - powtórzył. Odrzykoń poruszył się zniecierpliwiony:

- Jakże to?

- Pijcie. W wasze ręce - siorbnał Piekuta - słuchajcie: baja, będzie nyrjie Bolko wielkie posłanie słać. Do Italii... do Romy...

- Sprawiedliwie baja: będzie.

- Słuchajcie, Odrzykoń - Piekuta złapał woja za przedramię - będzie wielkie posłanie. I woje, i wielmoże, i świętki, to i wozy a spyża, a jadło, a miód i piwo. I złoto pewnie będzie posłanie wieźć, i srebro, a skóry zwierza, a jantar, a wosk... ho! bogactwa będzie wiele - i nagle zarżał krótkim, urywanym śmiechem - wiem ci to!

Podniósł oczy, w kącie oparta o ścianę stała Dziewanna, ręce złożyła na brzuchu, patrzyła na męża pełnymi podziwu oczyma. Piekuta się gwałtownie pochylił do Odrzykonია, zajrzał mu z bliska w oczy:

- Nie tak będzie?

- Pewno... - odparł tamten, piwo już go ociężyło, leniwie przeciągnął ramiona. Piekuta, jakby mu picie było niczym, jakby chmielu nie miało, ruchliwy był.

- Wiem ci to. A skoro wozów będzie moc wielga a spyży, a jadła i napitku obfitość, a szat i złota, i skór, i jantaru, to i komornik księży być musi.

Odrzykoń ziewnął. Powtórzył sennie: - Pewno...

- Słuchajcie, wojewodo - Piekuta wyglądał jak żubr atakujący - słuchajcie tegdy. Pojedziecie od Mojsława do Bolka, zróbcie tak, żebym ja komornikiem w onym posłaniu był. Mojsław rzeknie wam: można ufać mi, nie wezmę kuniego ogona. Wiem, co księdzowe.

- Dureńś - Odrzykoń zaburczał nagłym basem - toć każdy... Toć i komornik krakowski, i

gniezdnieński, i poznański... toć wielmoże i woje chcieliby komornikami w onym posłaniu być. Łaska to księdza i bogactwo, i cześć... oho! A ty co? Piekuta. Ledwo klacz starą masz.

- Ja? Ja? Przesiek Bolkowi przebiłem, wiernie służę. Słuchajcie, Odrzykoń, pomnijcie: ja ci będę pierwszy komornik w księstwie. Ja, Piekuta.

Odrzykoń wlepił w małego, krępego człeka zmętniałe wejrzenie sinych oczu, gęsto zamrugał powiekami:

- Co ci to? Piekuta. Upiłeś się.

Piekuta zaśmiał się krótko, urwanie. Dziewanna wciąż oparta o ścianę nie spuszczała zeń urzeczonych oczu. Piekuta powiedział twardo:

- Zrobicie, żebym był komornikiem w onym posłaniu, źrebiec będzie wasz. Inaczej nie - i wstał nagle.

Pijanego Odrzykonია ułożyli na wymoszczonej ławie. Gdy woj chrapał, Piekuta zwrócił się do żony:

- Kiej brałem cię ze Ślizniowej polany, com ci rzekł? družką Emnildy będziesz. Takem ci rzekł, czy nie?

- Tak - szepnęła.

- Głupia. Kabłączków się jej zachciało za źrebca. Myślisz: nie widziałem ci, jakieś mię wierciła ślepiami. Głupia! Przywiozę ci z Romy i kabłączki, i bisior, nie takie. Ho! - i oboje się roześmiali urwanym, szczęśliwym śmiechem.

Po miesiącu - mniej więcej - siedział Zefrid przed Radzymem w jego izbie w grodzie gniezdnieńskim. Ręce zasunął w szerokie rękawy kapelańskie, o których mówiono, że wszystko zmieszczą i nic nie wypuszczą. Oczy zmrużył, wargi zaciął, z pochyloną głową przyglądał się rozgadanemu Radzymowi. Brat Wojciechowy bąbał - któryż to już raz? - o Prusiech, o wędrówce, o śmierci Wojciechowej. Zefrid przyglądał się mu z jawnym zdumieniem.

- Cięgiem ino bajacie o jednym... ksze.

- O jednym? - Radzym uniósł brwi - wždy o wszystkim. To jedno jest wszystko - i z nagłym porywem:

- Wždy o życiu Pana naszego, Jezusa Chrystusa, bez końca czytamy, a cięgiem nam mało. Mało nam. Azali nie tak?

- Tak ci to - przyznał Zefrid skwapliwie. - Wszakóż brat wasz... - zawahał się, Radzym podniósł nań oczy krótkowidza.

- Co chcecie rzec?

- Nic. Jeno... - i potem nagle zmieniając ton:

- Kiedyż jedziecie do Romy?

- Skończę jeno pisanie - Radzym położył dłoń na pergaminie pokrytym ostrymi laskami pisma.

- Pisanie?...

- O żywocie i śmierci Adalbertowej piszę. Bolko wezwał mię i pry: “Radzym, pisz o Wojciechu, jako żył, jak za Jezu Krystem tążył, jak ji ubito w puszczy, powieziesz pisanie to i dary moje dla Sylwestra w Romie, a proś go: niechże Piotr święty uzna Adalberta za księdza w niebieskich dzierzawach, niechże mu nada beneficium Jezu Krysta. A jako Adalbert godny jest onego wywyższenia, niechże pokaże to pisanie twoje, Radzymie”.

Zefrid szybko biegał oczyma i naraz głowę skłonił, z ust się mu posypały prędkie słowa:

- Wielki mąż był wasz brat, wielki a święty, Boży mąż. Pomnę, kiej przyjechał, pyta mię Bolko: “Co dumasz, Zefridzie, o Wojciechu? Azali o Libice mu chodzi?” Rzekłem Bolkowi: “Ksze, nie o ziemskie Libice chodzi Adalbertowi, jemu niebieska korona świeci, o niebieskiej koronie myśli, dla niebieskiej gotów śmierć ponieść”. A Bolko: “Dobrześ rzekł, Zefridzie, drugu mój. Trza nam uczcić Adalberta, a z nim brata jego, Gaudentego, człeka Bożego, iż bratu jest równy...”

- Nie wiejcie plewą pod wiatr - zakrzyknął naraz Radzym - com ja? Nie rzucajcie plewą pod wiatr, bom nie przygłupek. - Zefrid skulił się w kłębuszek, głowę jeno wysunął jak wąż:

- Nie wieję plew pod wiatr - zaczął z wolna. A naraz szybko. - Nynie gadki idą a spory, nie wiecie to, jak skaczą a łaszą się do Bolka. Bają, biskupstwa nowe będzie ksiądz fundował - coś mu zadrgało na dnie źrenic - wyznaczył już ksiądz biskupów? - urwał pytanie nagle, w pół tchu, Radzym nastroszył się, nie odrzekł zrazu, Zefrid przewiercał go ślepiami jak parą świdrów, naraz izba się napełniła ciężkim jak bryła czekaniem. Radzym wreszcie rzekł wolno, ciągnąc słowa niby rozgrzaną smołę:

- Święty Piotr ma tu swe słowo... a cesarz... Nie przystoi Bolkowi... samemu... bez stolicy świętej... Pojmujecie, Zefridzie... jeszcze kamień nie plusnął w wodę.

Przez myśl czarnego kapelana przemknęło: “Nie chce mi rzec, źle stoi moja sprawa” - i w głębi, w sercu, nagłe ściśnięcie, ostry ból: “Moje biskupstwo...” ...i zapiekła się od razu zaciekłość:

“Pożałujecie!...”

..i pogardliwa złość na Stojgniewa:

“Niezguła... dureń... nie pojmował, czym bym dla niego był...”

..i o Latorosłce:

“Głupia! Mogłaby biskupice rodzić, głupia. Emnildy družka.”

..i o Bolku:

“Nijako ji usidlać, ścierwo.”

..aż uśmiechem przymilnym do Radzyna:

- Pojmuję to, ksze, wielki mąż Sylwester, wielki a święty. Bolko chciał mię z wami słać do Romy, ale wyprosiłem się mówiąc: “Ksze, Gaudenty sam wie, jak mówić, ma tam drugów, a ja tu wam służyć będę”. Bolko może kazać mi jechać, ale wy rzeknijcie mu: “Ostawcie Zefrida doma, ksze, nada się wam”. Z tym do was przyszedłem.

Radzym się naraz zawahał, spojrział uważnie na uśmiechniętą przymilnie gębę Zefridową i pomyślał:

Możem źle dumał. Widzi mi się: o Chrystusie myśli a Bolku, nie o sobie - wyciągnął dłoń, wsparł ją na Zefridowym ramieniu: ^

- A jeśli nie usłucham prośby twojej, bracie? - Zefrid nieznacznie cofnął wyciągniętą głowę, przymrużył oczy:

- Wola wasza... ale ja proszę was... - i naraz przypomniał o darze, jaki mu przyniósł Odrzykoń.

- Słuchajcie, ksze, znałem ci człeka, ize poznał Adalberta w Gniezdnie i umiłował ji kiej ojca.

- Któryż to ? - brwi Radzyna znów się uniosły, a w oczach błysł ten sam płomyk, co się zapalał, ilekroć była mowa o bracie.

- Mały człek i bez znaczenia, ale wierny, cudzego nie weźmie. We Wrocławiu komornikiem jest nynie, wołają nań: Piekuta.

- Cóż on Piekuta?

- Ślubował Bogu, na wieść o śmierci Adalberta, odbyć pąć do Romy. Nie było jak, komornikiem był. Nynie posłanie idzie do Romy: weźcie ji, nada się wam. Mnie ni brat on, ni swat, mało ji znam. Przemówcie za nim do Bolka.

- Przemówię. - Radzym myślał: “Wszędy fałsz a zło. Nagadali mi na onego Zefrida, Boży to człek”.

- A uważacie - Zefrid się zająknął, umyślnie przetrzymał długą chwilę - ja nie chcę judzić. Ale skoro Bolko myśli biskupstwa fundować, pomnijcie... nijako mi mówić, byłem ci kapelanem Ungera... ale wiem... Unger nierad myśli o biskupach. A za Ungerem jest Magdeburg, bo Magdeburg chce na misyjne biskupstwo swoją łapę kłaść, a wiecie, że arcybiskup Gizyler będzie judził u cesarza a w Romie... i Unger będzie. Strzeżcie się, ksze, Ungera.

Radzym siedział skupiony, zamyślony, wzrok utkwiał w rozłożony rękopis, wodził oczyma po laskach, kreskach skrótowych i inicjałach, a myślał, czyli rację ma antyzefridowe stronnictwo na



dworze. Możliwe stronictwo, na czele stał brat białki Zefridowej, Stojgniew Wojborowic, i Przemko Świradowic. Gadali mu, że gdy Wojciech słał posłanie do Czech, Zefrid grał przeciw Wojciechowi. Prawdali to?

Radzym podniósł zadumany wzrok na Belkowego kapelana, tamten ledwo poczuł Radzymowe wejrzenie, wyprostował się, twarz się mu uśmiechnęła, sama, bez nakazu, proszącym głosem zabąkał:

- Mam jeszcze prośbę do was... o tym ci dumałem, gdym prawil: "Bajacie ciągiem o jednym... o Adalbercie". Jeno nie wiem, czyli zechcecie?...

- Gadajcie.

- Przeczytajcie mi wasze pisanie o żywocie i śmierci Wojciechowej. Rad bym słyszeć.

Radzym pochylił się skwapliwie, zebrał pergaminy i - przekonany całkiem do Zefrida - z niejaką dumą zaczął dużym głosem:

- W okolicach Germanii jest miejsce zasobne w środki, potężne bronią i srogimi mężami; mieszkańcy zwą je Słowiańszczyzną...

Zefrid ręce zasunął w szerokie rękawy kapelańskie, o których mówiono, że wszystko zmieszczą, a nic nie wypuszczą, szyję ukrył zupełnie w fałdy płaszcza, przymrużył oczy i - słuchał.

W tym czasie posłańcy biegali od Ottona do Bolka i na odwrót. Najsampierw jeździł Stojgniew do cesarza z wieścią o śmierci Wojciechowej; zaraz potem Radzym Gaudenty z Boguszem, Bogusz wrócił od cesarza do Bolka, a Radzym ruszył do papieża Sylwestra i wrócił aż w późną jesień. Tymczasem Bolko słał Bogusza do Ottona, ten, nie znalazłszy cesarza u Sasów, gonił go po wszystkich krajach niemieckich, aż dognął w Italii; Otto kazał mu jechać z opowieścią do Romualda na Awentynie i Nila do Yalliluca. Ulubieniec cesarski, młody Jago, opowiadał Bolkowi, że cesarz na wieść o Wojciechowej śmierci biczował się i pościł, trzy dni leżał krzyżem w akwizgrańskiej katedrze, tam długie godziny radził z Leonem z Monte Cassino, dawnym opatem Wojciechowym, klasztor zamyślił fundować pod wezwaniem nowego męczennika. "Ma cesarz z papieżem uznać Adalberta za świętego, Sylwester zwołuje synod święty do Romy." Bolko słuchał Jagona ze zmarszczoną brwią, ale myślą wciąż gonił po swym księstwie, po Gniezdnie, Wrocławiu, Poznaniu, Krakowie, Kołobrzegu, po Stojgniewie, Zefridzie, Ungerze, Radzymie, Boguszu, Astryku, pochylał łeb, słuchał gadek Jagonowych a myślał:

- Trza nakazać Gaudentemu pisać o żywocie i zgonie Wojciechowym a słać go z pisanem do Rzymu i do cesarza. Mój ci to święty. - Jago bajął:

- Pyta się cesarz, zwolilibyście, panie, przewieźć procesjonalnie święte ciało Adalberta do Akwizgranu?... - podniósł wyczekujący i niespokojny wzrok na szeroką twarz Bolesława. Tamten zachnął się:

- Na wagę złota wykupiłem truchło Wojciechowe.

- Cesarz mógłby wam, panie...

- Niechże cesarz prosi, co chce: złota, wojów, niczego nie pożałuję; świętego truchła nie dam.
- Niczym byście więcej nie uradowali serca cesarskiego.
- Jakbym własne serce wyrwał? Nie wyrwę. Tako i z ciałem Wojciecha.
- Cesarz pragnąłby się pomodlić przy świętych szczątkach.
- Abo to jedną pać cesarz odbył? Czyli to Gniezdno za morzem?

Jago podniósł obie dłonie w górę:

- Co zamyślacie, panie?

Szeroka twarz Bolesława oblała się krwią.

- Abo to nie wydołam przyjąć cesarza z biskupami i dworem?
- Co wam, panie?

Szczęki na, twarzy Bolka się zacięły.

- Rzekłem.

Potem byli w cyrkwi na Wawelu, Astryk mszę śpiewał, Jago był blady, wzruszony, czoło mu potniało, ocierał je garścią. Po nabożeństwie uctowali do późnej nocy, Bolko wesół był, nie mówili więcej o poselstwie. Na trzy dni przed odjazdem Jago zagadnął raz jeszcze Bolka o szczątki Wojciechowe. Tamten pod wiehcziami wąsów pełno miał uśmiechu:

- Przrzekam, że cesarz nie odjechałby z mego kraju bez świętej relikwii - Jago się nachmurzył, Bolko nachylił się doń, blisko, szepnął:

- Ale wiecie... kraj mój jest wielki kiej Germania, a mam jednego biskupa i ten jest biskupem misyjnym, jakby w kraju pogańskim. Czyli przystoi, by truchło Wojciecha stało na ziemi, która nie ma swojego arcybiskupa? Zapytajcie o to cesarza, niechże poduma o tym.

- Mówił już o tym cesarzowi Gaudenty. Wielkiego druga macie w bracie Adalbertowym.
- Bo poznał mój kraj i mnie, i żyje tutaj.
- Cesarz przychylny wam, panie.
- Bo wie, że służę Kościołowi Bożemu i jednakie w nas serce.
- Powiem mu to.
- Powiedzcie.

Bartnik Mamer włożył do worka połamaną woszczynę pszczelą, worek umieścił między dwiema deskami związanymi “L jednej strony powrółem, deski te wsunął w mocną ramę drewnianą, z obu stron między deski a ramę założył kliny, począł je zabijać obuchem; Smołucha lała na worek gorącą wodę, przez pory płótna jęły wypływać tłuste, żółte grudki, wraz z wodą ściekać do podstawionego cebra. Mamer bąkał swą nudną, monotonną pogwarką:

- Ksiądz nakazał komornikom po dwa kręgi wosku od bartnika wziąć. Mnogo wosku... Kiej z całego księstwa zwiozą, góra wosku będzie.

- Po co mu tyle?

- Mołwią, wiele świec palić nynie będą dla Kyryi Krysti a Wojciecha.

- Ki Wojciech?

- Nowy bóg, mołwią, onego ksiądz Bolko wprowadzić chce do księstwa. Kyryi Krysti Mieszka wwiódl, to mu Kyryi Krysti służył, Bolko, mołwią, swego boga chce mieć.

- I dla onego on wosk?

- Dla onego.

- Wieleć wosku, Mamer - nachyliła się nad cebrem i na dłoń zbierała z wody pogarbowane miseczki wosku, rzucała je w garnek do stopienia.

Bolesław siedział na skrzyni, z rękoma między kolanami, z brwią zmarszczoną. Powtórzył po raz drugi:

- Stanko!

- Dyć słucham.

Bolko - zniecierpliwiony - spojrzał.

- Ozwierasz pysk?

- Nie ozwieram.

- Dyrdaj no po wojewodę, a komornika, a Zadore, a Zefrida, chyžo! Powiesz: na radę! Wołaj takż Radzyma, brata Wojciechowego.

- A Ungera?

- Ungera nie potrza. Ty bacz! zbyt długi masz jęzor.

- Pytałem, jako że Unger czepia mnie, ni przejść: kiedy rada u księdza?

- Przypiął się do mnie nynie jak giez wolego karku.

- Bywa: wół, kiej trzepnie gza ogonem, wszystkie mu wątpia wypuści.

- Idźże już. Niech przychodzą. Aligiem.

Siedział bez ruchu, pochylony, wciąż z dłońmi opuszczonymi między kolana. Niedługo tak siedział, przyszli migiem. Pierwszy wbiegł Zefrid, wraz obleciał izbę czarnymi oczyma, załopotał:

- Na radę nas wzywaliście, ksze? A no, bez tchum, bez tchum. A no... Nikogo? Mitrężą, bardzo zrobili się podufali.

- Zamknij gębę, Zefridzie.

- Jużem zamknął, ksze.

Zadudniał ogromny Zadora, jak lis się wsunął komornik Sobiesław, ciężko zatupał Stojgniew, ostatni przyszedł Radzym. Siedli na ławach, obrócili skupione oczy na Bolesława. Ksiądz siedział wciąż przygarbiony, wciąż z rękoma między nogami, zapatrzony w swe stopy. Gdy podniósł głowę, jakby oczy jego nie widziały zebranych.

- Sobiesław, wiele masz złota w moich komorach?

- Latoś mnogo podarków dawaliście drużynie, a cesarzowi, a grafom do Germanii, a tablicę złotą i krzyż złoty do cyrkwi w Gniezdnie, a truchło Wojciecha wykupiliście,' ksze, na wagę. - Sobiesław miał głos piszczący, cienki, pogwarke szybką, zająkliwą nieco. - A wypraw, ksze, nie wiedliście, od Weletów, nic nie przywieźliście, co było od Węgrów, toście już rozdali... Mało złota mam w komorach.

- A Złota Góra?

- Niewolni powymierali; wiele razy prosiłem was, ksze, dajcie ludzi. Wyście nogami tupali a krzyczeli: "Každy z was jedno woła tylko: ludzi a ludzi. A ja skąd wezmę, rodić wam będę albo znosić kiej kokosz jaj?"

- Dałem ci siedemdziesiąt osiem chłopca, com je na Weletach wziął.

- Przedałem ich kupcowi, onemu Jakubowi, co był jesienią.

Bolko podniósł blade oczy - widać: gniew je mącił.

- Przedałeś?

- Chcieliście, ksze, onych zydlów, co przywiózł, a mis srebrnych, a czar ze szkła. Powiedzieliście: "Chcę to mieć, daj onemu, co będzie chciał". Nic nie chciał, jeno niewolnych. Wždy zawsze stąd niewolnych wywodzili, i ociec wasz sprzedawał, i dziad, i wyście sprzedali onych pięciu Szreniawitów... i czy ich jednych?

Bolesław był blady z wściekłości, wolno się podniósł ze skrzyni, wolno, bardzo wolno podszedł do Sobiesława, nachylił się nad nim, twarzą do twarzy, tamten zbladł. Bolesław wycharczał :

- Ludzi mi sprzedajesz, ścierwo, ludzi... Szczekasz, że mój dziad sprzedawał, i ociec, i ja?... I ja, ścierwo! I ja sprzedawałem! I będę.

Zadora nachylił się do Stojgniewa, szepnął:

- Przepadł Sobiesław.

Bolko stłumił głos, że wydawał się teraz dudniący i głęboki:

- Coś wziął od onych kupców?

Sobiesław był bardzo blady, wargi mu się trzęsły:

- Ksze L.

- Coś wziął od onych kupców?

Sobiesław osunął się na ziemię, rozlatanymi rękoma usiłował złapać Bolka pod kolana:

- Ksze... ksze...

- Coś wziął od onych kupców, ścierwo?

Z trzęsących się warg niepewny, zagubiony szepł:

- Róg kowany a dwie misy...

W głębokiej ciszy zapiszczał dyszkant Zefrida:

- I sukna bławy dwa, jeden kraśny, drugi bławy. I miecz dla syna, i szłom, i skórznie szyte złotem... Nie tak?

Sobiesław siedział na swych łydkach, z głową przygiętą do ziemi, ksiądz wrócił wolno na skrzynię, Stojgniew szepnął - nie wiadomo: o powalonym komorniku, czy o Zefridzie:

- Gad.

Bolko siedział chwilę, głęboko zadumany. Naraz poderwał głowę jak koń, który usłyszy nowy, nie znany mu szelest.

- A... jantar, Sobiesław, jantar jest?

- Jantar...

- Nie zamiataj śladu za sobą kiej liszka. Słyszysz. Wiele jantaru masz?

- Kazaliście, ksze, miecze normańskie kupować w Wołyniu a Birce. Dwie ście mieczów, a pięćdziesiąt pancerzy, a siatek żelaznych pięćdziesiąt, a szłomów z kopicami dwie ście, a siekier pięć set. Dałem wam, ksze...

Zdało się, że Bolka znów poderwie, że znów skoczy na Sobiesława, ale usiedział. Mówił nadspodziewanie cicho, choć widać było, że rwie go we wnętrzu:

- Pięć set siekier, powiadasz... Psie nasienie... Pięć set siekier wykuli kowale krakowscy a wrocławscy, a gniezdnieńscy. Przeczzem kazał ziemię czerwoną kopać, a żelazo topić. A za one miecze i pancerze toś jantarem, ścierwo, kupcom wołyńskim płacił?

- Jantarem...

- Gadałem ci, a sam wiesz: za jantar od kijowian a Greków, a Italczyków dwakroć tyle weźmiesz, co od Normanów. Normany same mają jantaru po gardło... ścierwo... same sprzedają. A kiej sprzedają, mniej dadzą, bolej wezmą. Mówiłem ci?

- Mówiliście, ksze...

Bolko nie wytrzymał dłużej onego siedzenia na skrzyni, skoczył do przykurzonego Sobiesława, kopał go, ciężko, z rozmachu, nie "bacząc, przy każdym słowie:

- Jantar Normanom dawał, psia! Mówiłem mu: skóry a wosk... jantar dawał. Mnie Piotr wenecki pięć koni przysłał za worek jantaru, jakich koni, psia... - poczuł, że go ktoś chwycił za rękę, stał za nim Gaudenty, blady był, oczy wlepił w oczy Bolka, prosił:

- Nie bijcie.

- Trza ji końmi rwać, gada - splunął, wyprostował się - ludzi mi przedawał, ludzi! Mówił: ociec mój przedawał i ja będę. Jutro cię przedam kupcom arabskim. Jutro. I białkę twoją, i synów.

Sobiesław rozlatanymi rękoma usiłował ułapić Bolesława za stopy.

- Ksze... ksze... - ślina mu leciała z gęby, gęsta, ciągnęła się w długie włosy jak miód. Bolko czerwony kopnął go jeszcze:

- Wen! Stanko!

Stanko wszedł, szczurze ślepią jeszcze się mu ze zdumienia zwięziły. Książdz wskazał nogą skulony kształt na ziemi:

- Weź to ścierwo i do jamy z. nim! Do jamy! - Stanko nachylił się, pociągnął komornika za ramię.

- Pójdziem, Sobiesławie. - Sobiesław się uniósł, szedł za Stankiem, jakby ręce i nogi miał

luźno przyczepione do tułowia, łeb mu latał na strony, zatrzymał się, pochylił, gębę otworzył, w oczach skamlanie, nie rzekł ni słowa, jeszcze się bardziej przykurczył, złachmaniał, skłonił się, wyszedłwyczołgał się za Stankiem. W izbie zawisła długa, nieruchoma cisza.

Bolko siedział jak wprzódy, przygarbiony, z pochyloną głową, zapatrzony w swe nogi. Nie podnosząc głowy mruknął głucho:

- Plugawiec... ludzi mi poprzedawał. Ludzi! - aż nagle, od razu, bez przejścia podniósł głowę, rozejrzał się po nieruchomych postaciach, zaśmiał się głośno, po udach klasnął, krzyknął:

- Nic to, i ludzi nałapię na wyprawach, i złota dobędziem. Nynie... radźmy.

I powtórzył:

- Radźmy.

Lecz nie radzili wiele. Widać, że Bolesław wszystko obmyślił, gdy siedział przygarbiony na skrzyni, zapatrzony w swe stopy. Zaczął mówić szybko, jednym tchem:

- Wiele złota wypłynie z moich komór, a Sobiesław, psia krew, nie wie, ile czego ma. Nikt nie wie! - pięścią w kolano. - Nikt tu nie wie, i ja, choćem oglądał komory we wszystkich objazdach. Wszystko tu tak... żadnego ładu nie ma. W Krakowie nasypano złota a pierścieni, a łańcuchów, a jantaru, a kamieni czerwonych i białych, by kaszy. Wiele tego wypłynie nynie, każda żaba pysk nadstawia, wielką gębą rechocze, mnie szkodzi. W Germanii...

- Oda... - mruknął Zadora.

- Łajno z Odą! Ale wielu mam wrogów wokół Ottona, ci jeno zęby szczerzą. Co Oda? Białka sama, w klasztorze siedzi, tyle co ludzi ma swoich, mnie wrogich, a onego Dedi, syna zatraconego. Mołwią, łapczywy Dedi kiej jastrząb na gołębie. Zefrid, pojedziesz doń - Zefridowi nagła łuna uderzyła na twarz, aż go poderwało, Bolko go zmierzył wzrokiem zimnym i groźnym. - Słuchaj no, Zefrid, wiem ci, co dumasz, dumki twoje znam lepiej niżli własne komory - zaśmiał się krótkim, złowrogim rechotem - wiem ci, jaki jest szpik w tobie, zielony i jełki, lisi szpik, ty mię oczyma nie wierć. Aleś lis, u Dedięgo trza po lisiemu szczekać, głupawe cielę udawać, ślepie mieć przymrużone a widzące, pojąc z mowy, kiedy Dedi obieca i spełni, a kiedy obieca, by w matnię wwieść! Dedi, oo! chytry on, lestek czysty. Złotem zaświecisz mu w oczy a obiecasz więcej, kiej spełni. Niechże szepnie Ottonowi, iżby mój kościół w Polsce był Krystusowy a mój, niechże Otto z papą rzymskim zezwola na arcybiskupstwo w Gniezdnie, a na biskupów w głównych grodach: w Krakowie a Wrocławiu, a Kołobrzegu, a Unger ma słuchać arcybiskupa w Gniezdnie. Będzie tak, dostanie Dedi dwakroć tyle, co mu dasz, trzykroć i więcej, machaj jęzorem a skrzecz. Pojąłeś? Głos Zefrida drzał: - Pojąłem, ksze...

- A słuchaj no... - tu długa przerwa, jeno oddechy świszczą - słuchaj! Będiesz matactwa snuł, oczy wydrę. Choćbyś w Germanii ostał albo do Italii uciekł czy do Franków, wykupię cię, oczy wydrę, jęzor twój plugawy wydrę, pojmujesz...

- Azaliżem kiedykolwiek... - Zefrid piszczał cieniej niż zwykle - azaliżem nie służył wam wiernie, ksze nkiej pies... Azaliżem...

- Kiej Wojciech był tu, zmawiałaś się z Ungerem przeciw mnie a onemu. Myślisz: nie wiem - Zefrid skurczył się, mimo woli rzucił wzrokiem na puste miejsce z boku ławy, gdzie dopiero co siedział Sobiesław; Bolko ciągnął srogo, z brwią namarszczoną:

- Azali nie wiem, że możesz mi trutkę tknąć, kiej ci zapłacą. Pomnij, że ręce mam długie i więcej w nich złota a ostrzejszy miecz niżli u moich wrogów - Zefrid powiódł przestraszonym wzrokiem dokoła, napotkał oczy obce i wrogie: Stojgniewa, Zadory, Bolka, zdziwione, nie rozumiejące oczy Radzyna - otworzył usta, ale nie wyszła z nich gładka, szeleszcząca mowa, oczy mu błysły, skłonił głowę, powiedział wolno, słowo po słowie, nie po Zefridowemu:

- Nie wojować żabie z jastrzębiem, mądrzy jesteście, ksze. Będę wam wiernie służył z waszej łaski. - Bolko zaśmiał się, przechylił się przez Stojgniewa, płaską dłonią uderzył Zefrida po karku.

- A no! W mig zmieniasz skórę - znów się zaśmiał, ale inaczej już, wesoło - liszka z ciebie. - Stojgniew namarszczył wysokie czoło, brwi uniósł w górę, pisał po goleniach i, odwracając głowę do Bolka,, powiedział:

- Iście liszka. Myślałem już, że Zefrid nie wyjdzie sam z tej izby.

Bolko spojrział nań badawczo.

- Siostrę swą dałeś mu. To twój swak. Stojgniew strzepnął dłońmi:

- Ech! Swak...

- Trza było dumać o tym w Orczy. Nynie późno. Zefrid już miał głowę wyciągniętą, patrzył na Bolka, na Stojgniewa, oczy mu się iskrzyły, Bolesław wskazał nań palcem:

- Bacz, jak na cię ślepa wybałuszył twój szurzy. - Stojgniew odetchnął, nie wiedzieć - z ulgą czy troską: - Wywinął się. Bolko raz jeszcze zwrócił się do Zefrida:

- Wywiń się tak i u Dediego, nie pożałujesz - i bez żadnego przejścia od razu do Stojgniewa: - Ty pojedziesz do Ekkeharda. Tam nie trza po lisiemu, on mój drug. Dasz mu złoto a srebro, niech rozdaje komu trza, będzie wiedział. Niech ujedna Henryka Bawarskiego, kulawiec zawždy przeciw mnie, zawždy mi jeża pod siedzenie rad wsadzić. Niełacno tam pójdzie, niech Ekkehard płaci. Przez kogo... jak... będzie wiedział. Na łowy będzie cię ciągnął, wždy długo nie siedz, doma potrzebnyś. Pojąłeś ?

- Pojąłem, ksze.

- Zadora... - Bolko zasepił się, zaklął - Zadora! - olbrzym pochylił do Bolesława swój koński łeb - jedź do Pomorzan. Ty wiesz, jak im do umu rzec. Słyszałem ci, Dzierżyk z Jomsborga dał znać: coś tam ugwarzają a zmawiają się na mnie, myślą cyrkwie popalić, ludzi moich wyciąć, ichże Welety judzą a Prusy. Niechże tamok parę łbów zleci - brwi Bolka znów się ściągnęły - a paru krwawymi



łzami z pustych oczu popłacze, wraz mir będzie. A posadzim biskupa w Kołobrzegu, w dawnym domu Czyciborowym, ten będzie uczył a chrzczył, a mnie znać dawał, co tam: przywykną, że to już jedno księstwo. Zefrid, Stojgniew, Gaudenty pojedą jeszcze nie wraz, a ty przede dniem ruszaj - błysnął oczyma srogo, twarz mu pokraśniała - przepłacaj, jednaj, a topór miej wyostrzony, pojmujesz? Wiernym nie żałuj darów, a onym, co słuchają obcych... - i tylko gest ręki, krótki i porywczy. Zadora błysnął rzadkimi, żółtymi zębami w ponurym uśmiechu:

- Wojów siła wziąć?

- Bierz stu tarczowników, Budziwoj ci przydzieli, a dziesiątkę swoich pancernych.

- Mało, ksze.

- Starczy. Cóż to, z wojną idziesz? Mój to kraj. Radbor da ci swoich....

- Mogą nie usłuchać.

- To jak ich jest tysiąc - krzyknął Bolko już w gniewie - zdejmiesz tysiąc łbów. Do dnia, Zadora, pamiętaj.

- Do dnia, ksze.

- Dobrze - i z nagłą niecierpliwością, jakby mu czas uciekał między palcami, do Radzyna: - A wasze pisanie jak? Wiele macie tego?

- Przeczytam wam, ksze, za miesiąc.

Miesiąc... - stęknął Bolko - prędzej można księstwo złupić. Dam wam do Romy co trza, ale wprzód muszę wysłać do arcybiskupa mogunckiego kogoś... myślę ze świątków, kogo ja tu mam... - rozwiódł szeroko ręce bezradnym pustym ruchem - wiecie, Moguncja Moraw nie puści z łapy. Będziem i tam złotem sypać, może ustąpią. Trza mi chytrego człeka, macie kogo?

Radzym podniósł obie brwi w górę.

- Astryk niechby jechał.

- Nie! Astryk Odzie służy, nie mnie, mata i mata wkoło. Nie! Bogusz niech jedzie.

- Myślałem ji z sobą wziąć.

- Bierzcie Astryka, w Rzymie nie poszkodzi tyle - Bolko przeciągnął ramiona, wstał. - Do biskupa w Miśni zajedziecie sami, on wam drug. Nie chce mi ustąpić praw za Odrą i Nysą, mołwi, że jego one ziemie. A jakże Wrocławowi bez tych ziem. I, Radzym, pojmujecieli to, pojmujecie to? Kraj mój kiej dzika puszcza, każdy go rwie, a to Moguncja, a to Miśnia, a to Magdeburg, każdy. Nie dam! Nie dam, psie krwie, wen z ryjami od koryta - zatupał w nagłej pasji - kto tu ksiądz? A kady Unger biega po radę? Kady świątki Ślęzan? Kady Kraków? Nawet Pomorcy chwost podnoszą. Nie dam!

Obrócił oczy na Radzyma, który siedział blady, z podniesionymi brwiami; ochłonął od razu. Burknął:

- Skończona rada. Niech picie niosą, podchmielimy ździebko.

Gwałtem zatrzymał Radzyma. Zasiedli, pili, ugwarzali. Radzym bąkał o swym pisaniu, biadał, że się mu skóry kończą. Bolko się uśmiechnął, wstał, podszedł do skrzyni, na której wprzód siedział, uniósł wieko, wydobył jasne, wygładzone skóry cielęce. Radzym chciwie wyciągnął po pergamin rękę, spytał, w głosie znać było zdziwienie:

- Skądże u was?; - miękko wodził koniuszkami palców po gładkiej, a nieco chropowatej powierzchni.

- Kupcom kazałem przywieźć; abo to moje księstwo gorsze niżli cesarstwo? Nie bójcie się, skór nie zabraknie, ludzi byle nie zbrakło. - Radzym podniósł bladą twarz i sapnął:

- I ludzi nie zbraknie.

- Ot! - Bolko trzepnął ręką. - Sobiesława zbrakło. Radzym poruszył się gwałtownie:

- Chcecie go przedać, ksze?

- Ludzi mi przedawał, przedam i jego. Nynie gości u mnie kupiec arabski, on mi pergamin dał. Weźmie sobie Sobiesława za pergamin.

Radzym pobladł, poczerwieniał, znów pobladł.

- Kościół Boży zakazuje chrześcijan niewiernym w niewolę przedawać.

Bolko zaśmiał się dobrodusznie, klepnął Radzyma ciężką łapą.

- Nie lelejajcie, ksze. Przedam ji iście. Ale Radzym nie spuścił oczu:

- Kościół zakazuje.

- Jeden mam język w gębie.

- I Jezus Chrystus ma jedno jeno słowo.

- Ejże! - kark Bolka napęczniał - ejże? Sobiesława przedam.

- Nie łamcie prawa Chrystusowego, ksze. Siedzieli naprzeciw siebie, obaj już czerwoni, twarz Bolka zaczęła się pocić, nadał się: prawdziwie jak dwa kury mające skoczyć na siebie. Radzym swoim zwyczajem podniósł brwi wysoko, skulił się, zebrał się w sobie. Bolko siedział rozcapierzony i rozzarty, Stojgniew z Zadorą sapali głośno, Zefridowi jeno czarne oczka błyskały. Radzym wyciągnął rękę, miękim, niemal serdecznym ruchem położył ją na dłoni Bolesławowej:

- Ważymy nynie, jak Kościół Chrystusowy w księstwie waszym rozbudować i postawić. Nie zaczynajcie, ksze, od wojny z Jezu Chrystem i od łamania Jego praw.

Jakby kto na rozcapierzonego koguta chlusnął wiadro wody: tak Bolko wyglądał. Nie jak kur z czerwonym grzebieniem, lecz jak kura po deszczu. Zbladł, sapał. Naraz roześmiał się głośno, odwrócił się od Radzyna - i do Stojgniewa a Zadory:

- Pomnijcie, nynie już nie ja księdzem nad wami, jeno Gaudenty - ale Radzym przerwał mu gwałtownie:

- Nie Gaudenty, ale Jezus Chrystus, Pan nasz - milczeli, tylko im wąsy chodziły w zawstydzeniu i złości. Bolko uśmiechał się jakimś krzywym, lisim, nieszczerym uśmiechem, powiedział :

- Dobrze. Nie przedam Sobiesława kupcowi arabskiemu - i zaraz po swojemu, po fiołkowemu, zupełnie innym, beztroskim już tonem:

- Trza mi nowego człeka nad wszystkimi komornikami postawić, skoro już Sobiesława nie ma.

Zadora, nie odejmując rogu z piwem od ust, mruknął:

- Jest we Wrocławiu komornik, prawy człek, wołają nań: Piekuta.

Bolesław zmarszczył brwi:

- Piekuta?... Piekuta?... Wiem, mały taki, mocny w sobie, z małą gębą. Piekuta? Onze mi Wielką Drogę przesieki, jemum wiano dał, kiej brał białkę sobie od Śliźniów. Piekuta... - i zadumał się.

- Chciałem was prosić, ksze - zabąkał Radzym - byście mi dali go, gdy będę szedł z posłaniem do Rzymu.

Bolko spojrział zdziwiony:

- Znacie Piekutę?

- Nie - Radzym kiwnął głową w obie strony - ale słyszałem, że on Piekuta miłował brata mego. Iże ślubował pąć do Romy.

Bolko się zaśmiał i do Radzyna:

- Iii. Musiał to wymyślić Zefrid - spojrział uważnie na kapelana. - Piekuta za głupi na takie bajbaje. Zefrid, co ci to dał Piekuta?

Zefrid - zwinięty w kłębuszek, tylko mu szczurze oczy błyszczały - odrzekł niedbale:

- Ee, ani widziałem ji od roku. Przeczżeśmy z wami, ksze, nie jeździli do Ślęzan. Ale prawy to człek on Piekuta.

Bolko obrócił się, roześmiany, do Stojgniewa:

- Ciebie jednego nie zdołał omotać?

- Kiedym sądy odprawiał we Wrocławiu, bardzo mi w oczy laźł. Pytałem o niego, jak kazaliście: mołwią, z komory nie wynosi.

- A co? - wykrzyknął Zefrid. - Prawy to człek!

- Nynie inny ład będzie - burknął Bolesław - ale ludzi mi trza. Nie dureń ten Piekuta, jeśli mię tak obstawił. Jeszcze mi Emnilda, kiej legnę z nią, szepnie: "Bolko, miły mój, jest we Wrocławiu Piekuta, prawy to człek". A ja jej: "Niechże będzie Piekuta, miła moja. Za wiele was na mnie jednego" - i roześmiał się szeroko, odwalił się do tyłu, wciąż śmiejąc się, złapał za piwo, ale rozlewał już picie po stole i piersi.

Jakąż uciechę mógł mieć stary Kciuk w dzikiej głuszy u Złotej Góry? Kogo widział? Raz na miesiąc woły jadło przyciągały z grodu a ceber piwa; raz na pół roku komornik przyjeżdżał po złoto; raz jeden był Bolesław z dworem, przedtem raz Mieszka: stary ksiądz drogę przez las przesieki. Gęsty świerkowy bór spełgał ze szczytu po obłych zboczach, czarny, nie do przejścia. Między ogołoconymi konarami bulgotały oba potoki, między świerkami u potoków stały krzywe budy z nie okorowanych pni, lada jak utknięte mchem, dla niewolnych i pluskiew; w takiejże budzie siedział Kciuk i w takich budach stróża; złoto odchodziło do księdza co pół roku - co miał robić pół roku Kciuk pod szumem świerków i rzadkim krakaniem kruka? Na łowy za stary już był. Jedyłą uciechą byli niewolni.

Gdzie indziej - u grodów albo w opolach - wiadomo: bywało tak, bywało inaczej. Komornik spędzał gniew na włodarza, włodarz na niewolnych. W święta - za przykazaniem księdza - stawała praca. Czasem głodniej, czasem syciej, czasem piwo, czasem bicie. Zapije się włodarz w grodzie, robisz byle jak. Uda ci się przymówić, przypocholebić, dobrze robotę zbyć - pochwałą cię, strawy dołożą. Ukradniesz co albo nadrobisz - żyjesz jakoś.

U Złotej Góry ponury stary Kciuk zrobił sobie uciechę z niewolnych.

To i marli. Z tego przemywania w wodzie piachu cały dzień, od świtu do nocy; z tego łamania w kościach, powykręcanych stawów, popuchłych i czerwonych; z tego dźwigania worów z piachem; z tego półwędzonego, półzgniłego mięsa a spleśniałego żyta; z tych kurczów, z tego potu, z tych krwawych plwocin; z beznadziei okropnej, bo zupełnej; ze znęcań się - z uciechy starego Kciuka.

Kłęczeli nad - skrzyniami w wodzie, zgięci w pałak, wciąż łapskami mieszając piach; w kubek zgarniając złoty pył - z przydźwiganego wora piachu ledwo szczypta pyłu zaświeci ci w palcach. Kciuk nie odejdzie na krok, od skrzynki do skrzynki chodzi z pletnią. Nie podnosili nań oczu, nie odchylali obrosłych czarnych mord, wciąż przegartując rękami, a Kciuk wodził wzrokiem od jednego do drugiego, upatrywał sobie.

To i marli. Od tej uciechy Kciukowej marli.

Ile razy komornik przyjeżdżał od księdza, witały go przymrużone, blade, głęboko osadzone oczy Kciuka, a spod białej szczeciny słyszał nieodmiennie:

- Ludzi mi przyślijcie... pomarło wiele... od tej wody tu złej pomarli. - Komornik wyciągał nogi, śmiał się:

- Jakoś wy żyjecie a żyjecie, Ziemomyśla pomnicie.

- Pomnę. Ale ja wody nie piję... Piwo... - nieprawda była, często tu piwa brakło, zwłaszcza zimą, gdy drogi zawiąło. Komornik doglądał, jak się złoto z kubków ciężko lało do skórzanego worka, a od bud szły do rzeki pochylone, włochate stwory, lada skórą okryte, bez stękania, bez żalu, tępym, bezmyślnym krokiem; przyginały się nad połamanymi skrzyniami, przez które woda leciała, rozbiła się w pianę i bryzgi, przechylały wór, sypał się szary piach, w którym tu tam migotały żółte skry.

Aż któregoś ranka do starego Kciuka przywiedli zakleszczonego w kłodę Sobiesława. Stary uśmiechnął się krzywo pod szczeciną, małe oczy błyszczały.

Bo przedtem bywało tak: Sobiesław wywalał swą złość na Kciuka. "Mało złota, cóż się tam grzebiecie u Złotej Góry kiej ślimaki. Mało złota, psie krwie!" - Kciuk gwałcił się i stękał, że mu ludzie mrą. - "Ludzie mrą, widzieliście? Robotać wam się leni, mili moi, aleć damy wam umu z Bolesławem." - Kciuk marszczył się, kulił, tłumaczył. Teraz wyszczerzył szczerbatą szczękę do Sobiesława, zaskrzeczał:

- Nynie robótka pójdzie, miły mój. Nynie łapkami przemyjecie więcej niżli my dotąd, nynie pękate wory będziem odwozić do księdza, miły mój, poucycie nas tutaj z Złotej Góry, jak to robotać... Chodźcie, chodźcie, dam wam skrzynkę w sam raz dla was, miły mój, w sam raz. Chodźcie, Sobiesławie, miły mój - aż dławilo starego z radości.

Świerki szumiały na Złotej Górze, obojętny powiew poruszał koroną puszczy od szczytu do podnóży; ptaki ćwierkały i budowały gniazda, wysiadywały małe, pstre jajeczka; mrówki miały tu swoje sprawy, motyle swoje pląsy i swe uciechy, toż przeróżny zwierz leśny. Nad burzącymi potokami miał też swą okrutną uciechę Kciuk z niedoli Sobiesławowej. Odetchnęli nieco przemywacze: stary Kciuk nie odchodził prawie od skrzynki byłego komornika.

Bolko trzymał za guz spinający kubrak i patrząc prosto w oczy Piekuty, stojącego z zadartą w górę głową, mówił: - Teraz, Piekuta, nowy ład będzie w komorach. Dwakroć w rok przed godami zimowymi i letnimi objedziesz grody a obaczysz tam, ile czego jest, wiele łańcuchów a naczyń, a pierścieni, a skór, a jantaru, a wszelakiego dobra. A później, gdziebym był, w objeździe abo na łowach, abo na wyprawie, przyjedziesz do mnie sprawę zdać. A źle będziesz z kupcami tarzył abo za wiele im dasz, abo gadać z nimi nie zechcesz, abo ludzi przedasz: pomnij na Sobiesława!...

Przerwał, ale guza Piekutowego nie puścił. Mały komornik milczał, mrugał jeno gęsto powiekami. Bolesław namarszczył brwi, myślał chwilę.

- Nynie trzeba mi wiele złota a srebra, a kamieni. Jedźże w objazd, obacz, gdzie co jest, co

ostawić, co wziąć. Nie spamiętasz zrazu. Pójdiesz do Radzyna, proś, niech dozwoli Wdali jechać wraz z tobą, niechże cielecą skórę weźmie a pisze, wiele łańcuchów złotych a pierścieni, a grzywien złota i srebra, a jantaru, a skór bobrowych i innych. A kiej zrobisz to, szukaj mnie, słyszysz? - i puścił guz.

Nazajutrz Piekuta odwiódł Odrzykoniowi swego czarnego źrebca, co go miał po siwej klaczy. Zaraz potem ruszył w objazd.

2.

Czy to się - tak samo układa, czy to życie bierze ludzi za rękę i wie dzie ich bezwolnych i nierozumnych, czy oni mają własną część w swojej biedzie i szczęściu? Czyli za drobny czyn, czy za brak męstwa w jednej jedynej chwili - w tej chwili, gdy waga całego życia staje nieruchomo o równych szalach - czyli za ten brak męstwa płacić trzeba później długim znojem i męką? Nie wiedzieć. Kiedy - już parę lat minęło z okładem - do chaty Pazura przybył włodarz książęcy z nakazem, by Kłęb dyrdał z nim do Orczycy, kmięć zbladł, jakby mu nogi podcięto. - Wygrzebali truchło Ludka, zabitego na drodze sądeckiej, iście wygrzebali. - Pazur stał oparty o płot, żegnał bratańca ponurym wzrokiem; skoro śnieg zaskrzypiał pod płozami i sanie znikły w młodym świerczaku, wszedł do chaty, rozwarł pysk na żonę:

- Prawiłem mu, suczemu pomiotowi, jeszcze i mnie wezmą w dyby za chowanie zbója. Kłonicą ubił, zbój, przepadł nynie - kobieta słowa nie rzekła, wiedziała, co się dzieje w jej mężu: gorzką, nieprzebolełą samotnością zwała się na Pazura jego bezdzietność. Czuła się tak winna, tak bardzo winna - patrzyła w swoją pokręconą dole, którą życie Pazurowi zawiązała. Czyli człowiek ma swą część w własnej biedzie i szczęściu?... Jakże dawno to było, kiedy Pazur przywiódł ją spod Kalisza z burym kotem na rękę - takie tylko przyniosła mu wiano. I własną nieużyta krnąbrność... Jedno też spodziewanie zostało jeszcze Pazurowi: że brataniec babę sobie wynajdzie, dzieciaków z nią napłodzi, że ich puszczański ród, w którym jedna tylko wię zdrowa ostała, odrośnie z onej wici - z jednego włókna wielkie drzewo może ku górze wystrzelić, zasumieć konarami. Białka schyliła się nad robotą, cień padał na jej czoło i oczy - nic nie powinien Pazur zobaczyć w twarzy swej postarzałej już baby.

- Przepadł by szczur, iże w przerębel wleciał - wykrzyknął Pazur, zakręcił się po izbie, wziął sieć na kuropatwy, wyszedł z chaty: usiedzieć dłużej nie mógł, patrzeć na swą zasuszoną małżonkę, dla której życie przemarnował - całe, do cna!... A nynie na bratańca dola położyła ciężką swą dłoń, nynie nie ma już nijakiego spodziewania...

Kłęb siedział w saniach, ukosem patrzył w groźną twarz włodarza, czerwone policzki i nos, wąsy oszronione, zapatulonego w przepastną czapę, w czerwony kozuch, ściągnięty pasem. Był mróz po odwilży, płaskie zacieki różowiły się i liliowiały, śnieg był twardy, gruboziarnisty, skrzypiał pod płozami. Drzewa stały nieruchome, jakby zamarzłe. Zając im przebiegł drogę, włodarz ściobnął konia, zaklął na złą wróżbę. Kłęb się przeciągnął, pomyślał:

- Nie dla ciebie zła wróżba! Dla mnie! Nogi mu marzły.

Próbował zagadać do włodarza, tamten burkliwy był, ledwo co odmruknął. Abo wie, czego chcą od Kłęba. Przyszedł nakaz: "przywieźć!" - wiezie; przyjdzie nakaz: "głowę zdjąć" - zdejmie, co mu tam. We wnętrzu wszystko się ścięło Kłębowi w ostry, kłujący sopel lodu - przepadł.

A tak się dobrze z Pazurem biło zwierza w puszczy.

W Orczycy Turoń nadymał się, wynosił, ale sam nic nie wiedział. Żadnego z Wojborowiców nie było doma. Stary pogroził kościstą pięścią pod nosem Kłęba, charknął:

- Obaczysz to, co ci zrobią w Wiślicy. Kazali zaraz do Wiślicy cię słać.

Odesłali Kłaba do Wiślicy, tam grodzierzą był Czmiel, mały, a głośny i burczący, wołał Kłaba, pytał:

- Czego chce ksiądz od ciebie, iż cię wyciągnął z puszczy jak rybę wędą z pła? Przysłali do mnie nakaz: "Skóry przewozem do Krakowa wieź", a razem z tym: "Kędyś podle Orczycy żyje Pazur, u onego Pazura chowa się smard, wołają nań: Kłab. Chyżo do Krakowa ji słać". Nie bywało tak, by kogoś po boru szukali, nie wszystko im jedno: Kłab czy Grzyb. Aboś zbrodzień, abo...? - otworzył usta, czekał na słowa Kłaba. Ale tamten milczał.

Szło z Wiślicy pięciu tarczowników do Krakowa, oddał im Czmiel Kłaba. Lelum! tyle kraju przeszedł Kłab i po co?

W Krakowie też nie wiedzieli, co z nim począć. Grodzierzą myślał do stróży ji wziąć, ale nadjechał Sobiesław, pytał: "Jest tu taki Kłab?" - "Jest."

- Dawajcie ji. - Przyprowadzili struchlałego, Sobiesław spojrział nań bystro, zagadał:

- Cóżes to, kogo masz, że cię ksiądz kazał z puszczy wydłubać? Ugodziłeś księdzu w dobry czas?

- Nii...

- Nie widziałes ji?

- Raz. Kiedy dąb święty ciął, a na nas wodę świętą kazał lać.

- Gadał do ciebie?

- Nii...

- Hm! Wszystko to pył. Ksiądz nakazał mi na komornika cię wziąć. Jutro pojedziesz do Sącza, stamtąd piwo tu przewozem będziesz wiózł. A bacz, bo przewoźniki na piwo łase, żeby mi jeden czop nie wyleciał. Masz tu księdzowy znak - i dał zacięty kij. Kłab wyszedł, za progiem czapę zdjął, podrapał się w głowę, splunął:

- Tfu! Urok jaki, czy ki? Czar! Jakże to?

I tak życie postawiło Kłaba na miejsce ubitego przezeń Ludka, który butwiał gdzieś w bagnie pod złocistą pokrywą kaczeńca. Taż samą drogą wiódł Kłab przewóz, ludzie byli inni, ale ciągnął wraz z nimi Ząbrz, sąsiad z jednego siodła, ten, co Kłaba ostawił samego na drodze. Kłab kosił oczy na Ząbrza, tamten się kulił, głowę w ramiona sadził, jeno witką poganiał wołu. Koło onego miejsca nie opodal mostu Kłab nie strzymał, zagadnął Ząbrza ochrypłym nieswoim głosem:

- Pomnisz?

Ząbrz skulił się jeszcze bardziej, na jedną krótką chwilę podniósł na książęcego komornika



przerażone oczy, zaszeptał:

- Nie pomnę. Nic nie pomnę. Nic. Nic.

Potem opowiadał o tym Kołkowi, swemu swakowi. Tamten splunął.

- Lepiej nie bając o tym, milczeć. Złe wielgie ma uszy, rozniesie się. Można on nynie pan, Kłęb, ale może nie chce, by żyli tacy, co byli w on czas przy moście. Stul gębę i milcz.

Potań potylicę i mruknął:

- To ci wychytrzył się, gid. A był czas, kiej do córy mej latał, mógłbym świekrem komornika ostać, kto by się po smardzie spodziewał.

Przez dwa lata z okładem woził Kłęb piwo i ziarno, skóry i wosk. Z czasem przywykł, przestał się dziwić. Życie niesło człowieka jak fala, raz na pienistym grzbiecie, raz w przepaści między wełnami. W tym czasie nie stało Sobiesława, iż posłany został przez księdza za Złotą Górę; wiele bajania było o tym między komornikami. Żałowano Sobiesława, po nim przyszedł Piekuta, człek twardy, tego nie ujednasz ni darem, ni przypochlebstwem. Z mnichem Wdała się sprzęgli na zgubę ludzką. Przywykł Kłęb do tego, że mógł ludzi ganiać, że trza ganiać: wiadomo, jak to się wloką z przewozem. Ista smoła. "Pogaaaniaj! - krzyczał - chyžo! chyžo!" W głosie zjawily się skądys - nie wiedziec - tony twarde, jakiś dźwięk metaliczny i rozkazujący. Inaczej się nosił, inaczej głowę trzymał, inaczej bary rozciągał - szeroko, bez bojaźni - inaczej na ławie się rozwalał. Tak płynął czas, aż minęły dwa lata z okładem.

I - czy to się tak samo układa, czy to życie bierze ludzi za rękę i wiedzie ich nierozumnych i bezwolnych - dość, iż zdarzyło się, że Piekuta wysłał Kłęba ze zleceniem do Bolka i Zefrida. Księdza znalazł Kłęb na wielkich łowach w pogranicznych puszczech Mazowszan. Bolesław siedział na ubitym dziku i śmiał się patrząc, jak dwa chłopcy z nagonki wodziły się za łby, obłapili się, jeden drugiego chciał zwalić przed oczyma księdza, żelazny nóż dostać abo wolę, abo pochwałę - zależało to od uciechy księdza. Drużyna stała wkoło, podjudzali osiłków. Bolesław - nie odwracając oczu, nie przestając się śmiać - słuchał jednym uchem, Kłęb myślał: "Nie słyszy nic". Właśnie wyższy Mazur podstawił nogę niższemu, tamten padł z hukiem, całkiem jak zwalone drzewo, wyższy zwałił się nań, przydusił do ziemi, chwycił za gardło. Bolko tupał i stukał dłońmi po kolanach, krzyknął: "Dość, bo ostami dech puści", w tejże chwili obrócił rozśmieszoną gębę do Kłęba:

- Mołwisz, Piekuta dał sto kunich skór, po pięćdziesiąt bobrowych i wydrzych? Powiesz, dobrze Piekuta zrobił. Powiesz jeszcze Piekucie, niechże trzy worki z solą pośle dla Dzierzka, a jeden dla Radbora do Gdańska. A Zefrida najdziesz bez chyby w Gniezdnie - i kiwnąwszy dłonią na wyższego Mazura przez śmiech krzyknął:

- Pójdź no tu, mieszka.

Czy to się tak samo układa, czy to życie wiedzie człeka za rękę, dość, że Zefrid odjechał do Ungera do Poznania. Kłęb przybył do Gniezdna w południe; był mglisty, jesienny dzień, błoto ciapkało pod kopytami konia. To tak się samo, widać, układa, bo Wartko był u Bolka, nikt Kłębowi nie powiedział

o Zefridowym wyjeździe. Zajechał do księdzowej gospody, konia postawił, zjadł, obtarł błoto ze skórzni i nogawic, zapytał, gdzie stan Zefrida. Woj o czerwonej, szerokiej gębie pokazał palcem drzwi, Kłęb ruszył swym nowym, mocnym, komornikowym krokiem. Szarpnął za drzwi, otworzył, zobaczył klęczącą, odwróconą odeń białkę, jak układała coś w otwartej skrzyni. W izbie był półmrok, nie poznał jej. Spytał pewnym swym głosem z owym nowym, metalicznym podźwiękiem:

- Zefrid doma?

Na ten głos białka z nagłą przywarła do skrzyni, jakby się przypląszczyła, znieruchomiła. Kłęb powtórzył, a metaliczne skry głośniej zadźwięczały mu w tonie:

- Zefrid doma?

Podniosła się teraz z wolna i odwróciła. Szybko obrzuciła wzrokiem smukłą, wysoką postać, ciasno opiętą w skórzany kubrak i opasaną. Powiedziała niskim, matowym głosem, który lekko drżał:

- Zefrid? Nie ma ji. Pojechał do Ungera - i nagły okrzyk, który się wyrwał z jej ust, był niespodziewany nie tylko dla niego, ale i dla niej:

- Kłęb!

Teraz on znieruchomiał. Tchu mu zabrakło. Mełł coś w wargach. Spadła zeń ona pewność, jakiej nabył w ciągu ostatnich dwu lat. Nie drgnął, gdy podeszła doń szybko, dawnym swym krokiem, porywczym ruchem oparła mu obie dłonie na ramionach i powtórzyła:

- Tyżeś to? Kłęb.

Nie drgnął. Wtedy puściła go. Cofnęła się. Znów stali w milczeniu. Ogarnęła ich naraz niechęć do siebie, słowa uciekły z warg. Patrzyli na się milcząc, wolej by się nie spotkali. Pierwsza ozwała się Latorosłka:

- Siądź. Wypij piwa. Odparł szorstko:

- Wypiję.

Gdy przepijała doń, podniósł na nią ponure oczy, spytał:

- Tyś przemawiała za mną? Odszepnęła:

- Ja. Skrzywił się:

- Wolej byś ostawiła mię u Pazura - tak czuł; ale jeszcze w chwili, gdy otwierał drzwi Zefridowego stanu, nie czuł tego. Jakby wszystkie sprawy świata nabrały od tego momentu innego smaku, poczuł tęsknotę za puszcza orczycką, za stryjem, za gonieniem zwierza; poczuł nagły urok tych chwil, gdy ciągał wołami ubitego zwierza do grodu; gdy chadzał tamok ośnieżonym borem. Lelum! wyrwała go z onego życia. Patrzył na Latorosłkę spode łba, wrogo. Milczeli.

Ona spytała:

- Jakże ci nynie?

- Nic. Tak siak...

Znów milczeli. Spotykali się oczyma, uciekali. Latorosłka - nie! już nie Latorosłka: Adelajda, Adelajda! - miała twarz czerwoną. Kłęb był biały, bardziej szary niż biały. Pił piwo. Milczał. W końcu wstał, dychał gęsto.

- Mołwisz, do Poznania pojechał?

- Do Poznania.

- Do Ungera?

- Do Ungera.

- Prędko wróci?

- Nie mówił.

- Nie ma co czekać w Gniezdnie. Rankiem pojedę. Powiedziała bez żadnej myśli:

- Jedź.

Zawrócił ostro, bez słowa. Trząśł drzwiami. Długą chwilę stała nieruchomo, pustym wzrokiem patrzyła na drzwi; nie na drzwi: poprzez deski patrzyła na świat, na życie. Nagle jakby coś przypomniała, chwiejnym krokiem podeszła do skrzyni, leżały tam rozrzucone płótna, jęła je składać, ale ręce jej latały. Oparła czoło o ostrą krawędź skrzyni, nie wydała głosu, ale na rozrzucone płótna zaczęły się sypać gęste, gęste Izy.

Czy to życie bierze człeka za rękę, czyli ma on swą część w dobrem i złem? Kłęb po nocy, którą przewiercił się na słomie, nie pojechał do Poznania - będzie czekał na Zefrida w Gniezdnie. Wiedział, że nic nie wysiedzi w grodzie gniezdnieńskim, sapał w złości, sam do siebie gadał:

- Da ci Piekuta za ono siedzenie - i siedział. Nie było Warcisława, ten by mu kazał jechać - tak się to już układało.

Pił ze stróża grodową Dzierbołkowe piwo. Tłukł się po wałach, patrzył przez szczyby palisady na czarne jeziora, na pstro rozrzucone podgrodzie. Nocne przymrozki pokryły zrudniałe dyrwany szarym, skrzącym nalotem. Kałuże pozastygały w szare tafle, otroki przywiązywały sobie do stóp kawałki drzewa lub kości, ślizgały się po onych kałużach. Dalekie smugi lasu wabiły. Ciasno było w grodzie, śmierdzące. Kłęb kłęb, potem obracał się plecami do ostrokołu - długo, boleśnie patrzył na zawarte drzwi Zefridowej stacji. Za drzwiami tymi tłukła się o ciasne ściany Latorosłka. Przędła - kądziel jej z rąk leciała. Powyrzucała z kufrów całe bogactwo, jęła je układać ochędźnie, nie stało cierpliwości na dokończenie roboty, wszystko leżało rozrzucone po skrzyniach i ławach. Słód

zapleśniał w cebrze i ciasto wyleciało z dzieży. Krzyczała na chłopca, na obie dziewczki, objęły się wraz z nią w tych ciasnych izbach, poganiane i poniewierane, bez sensu, bez ładu: bies wlaź w Latoroskę. Lecz przychodziły noce. Leżała na wznak, otwartymi oczyma zapatrzona w mrok, w piersi jej walił równy, głośny rytm, słyszała go w uszach, w skroniach. Nie pytała nikogo, czy Kłęb ostał, sam mówił, że pojedzie, wiedziała: ostał, jest tutaj. Chciała krzyczeć w te puste noce z bólu. Palce wkładała między szerokie swe zęby, zaciskała, z rana na palcach sine znaki. Zzółkła, worki jej zwisły pod oczyma, skóra się na skroniach naciągnęła, że kość widziałeś, oczy świeciły kiej u głodnego wilka. W ustach miała same złe słowa. To nie było już miłowanie, jak podle Orczycy, słodkie miłowanie, to była męka. Po cóż to skamlała za nim u Emnildy, po co? I zmienił się, ściervo! To już nie tamten chłop, piękny a nieśmiały, już nie tamta mowa, nie tamto obejście. Jak to pytał - z obca - "Zefrid doma?" A wždy miły jej, inny, inny od wszystkich, od wojów i włodarzy, świątków i komorników, lelum! inny jest przede wszystkim od Zefrida o prędkiej mowie, szurzych oczach i kostropatej gębie. Jadu by na Zefrida, trutki trza. I myślała w one złe noce, jakby się wił Zefrid w bólu i męczarni. - Jadu by skąd? - myślała, a złe zapiekało się gdzieś głęboko, między piersiami, niżej piersi. A przecie czuła: nie zedrze nałożonych na się nawięzów. Przecież ją brat pytał: "Chceszli Zefrida?" Sama chciała. Nowe ją zwiodło. Byle z Orczycy! I naraz i jej - jak Kłębowi - zdała się Orczyca najmiłszym sercu miejscem. Stary dom i nadgniła palisada, i czaszki końskie na spróchniałych słupach, i studnia, przy studni ławka, i dąbrowa, w niej grób ojca, i dąb orczycki - nie! dębu nie ma już: w miejsce dębu stoi krzyż.

Wszystko się w niej zgmatwało - co miłuje, czego nienawidzi.

Ale wie, że Zefridowa. Na wiek.

Chybaby Stojgniew zechciał i odjął ją. Nie zechce.

Duszą ściany izby.

I wczesnym rankiem, ledwo szarzało, wyszła ze stancji. Lecieć by gdzie... nie usiedzieć doma. Stróża poznała ją, zdziwiła się, ale otworzyła wrota. Latoroska puściła się biegiem, przebrnęła między chatami podgrodzia, jęła iść spieszenie i bezmyślnie, rwało ją? Kaj? Byle do lasu, do lasu. Szum drzew słyszeć. Jakby zwierz, uciekała z kleci.

Dojrzał ją. Pędem skoczył do bramy, "puście!" Wybałuszili oczy - co za ranek? Wprzód białka Zefridowa, nynie ten odmieniec.

"Do dziewczki byś na noc biegał, ogrzać się, noce zimne" - dziwili się. Jeszcze gdzieś u ostatnich chat migła Adelajda Zefridowa, dojrzeli ją, pojęli. Skosili oczy, śmiech ich dusił. Nikt tu nie lubił Zefrida, puścili Kłęba na złość świątkowi. Patrzyli, jak jawnie, bez osłony biegł za nią. Dunąi przez podgrodzie kiej pies goniący zwierza na oko i już tam sunął pod górę, kędy niedawno jeszcze świeciła kiecka Adelajdy.

Musiała słyszeć jego dudniące kroki i jego zadyszanie, ale nie przystanęła ani się odwróciła. Szła wolno, mając w uszach wysoki szum sosen. Podbiegł do niej z tyłu, chwycił za rękę u łokcia. Czy się spodziewała? Bo i teraz nie odwróciła głowy, nie rozwarła ust. Wówczas otoczył ją ramieniem. Poddała mu się. I poszli między rudymi sosnami.

Ten cały dzień zataczali się, złączeni uściskiem, po borze, przypadając do siebie i odpychając się, nie mówiąc słowa. Złe w nich narosło wewnątrz, że nienawidzili się bardziej, niż miłowali. W końcu osłabła tym tłuczeniem się, tym kołowaniem i potykaniem, aż przysiadła pod pokręconą brzozą z nawistymi gałęziami. Ziąb ją przenikał, a paliło ją. Kłęb przykucnął obok, czoło złożył na jej kolanach. Jak dawniej, dłoń położyła mu na głowie, ale nie gładziła jej. Palce wsunęła pod czapę, nabrała pełną garść włosów, zacisnęła w pięść; poczuł ból i podniósł głowę: oczy miał jak pies, wilgotne "i uległe. Dźwignęła się, choć już jej nogi nie służyły - i znów poszli, zataczając się, w uścisku.

Nie zażyli tego dnia miłości - nie dla czego innego, jeno że żadne sił już na to nie miało. Wracali w ramionach, dopiero puścili się u samego podgrodzia. Lecz nie rozbiegli się, szli jawnie podle siebie, włócząc nogami. Nic to im było, że ich widziano razem, że gadki pójdą, że srogie mogą być tych gadek skutki. Stróża grodowa jawnie kpinkowała, wiadomo - cały gród już wie o nich.

Dni następne przesiedziała Latorosłka bez ruchu, z brodą na pięściach, ze srogo ściągniętymi brwiami. Ale nie wydziwiała już i nie krzyczała na dziewczki. Nie sporządkowane ochędóstwo leżało nadal rozrzucone, nie myślała o Kłębie, przed oczyma miała widoki orczyckie, a w piersi głuche poczucie: jest oto związana, zamknięta w dyby, nie ruszyć jej już ni ręką, ni nogą. Sercem nie ruszyć.

Minęły trzy dni. Pod wieczór - szaro już było - drzwi się otwały gwałtownie. Chwiejąc się z lekka, wszedł Kłęb do stacji. Zefridowa białka była sama, obie dziewczki z prania nie wróciły od jeziora, chłopak drwa rąbał. Latorosłka się poderwała, ale nie zrobiła kroku, nie wydała słowa. Milczał i on. Wyciągnął ręce, chwycił ją, przyciągnął do siebie, ustami szukał po twarzy. Ale ona wparła mu nagle obie dłonie w pierś, odepchnęła gwałtownie. I rzekła mu wtedy przekleństwo na całe życie:

- Mogłeś mię brać w on czas pod dębem orczyckim, kiedym wyszła do cię ostatni raz. Pomnisz. Wtedy uląkłeś się. Nynie... wyjdź.

Puścił ją, ale stał jeszcze, odmykał, zamykał usta. Pchnęła go niecierpliwie.

- Wyjdź już.

Nazajutrz wczesnym rankiem nie Kłęb, lecz Latorosłka pognęła konno samowtór z chłopcem do Poznania.

3.

Tak tedy służyły Szreniawity Wrszowcom, którzy byli najmożniejszymi panami w Pradze. Od onej nocy, gdy Gomuła wydał Wilkowi schronienie Młady w kościele Świętego Jerzego, dobrze im się działo. Przy zdobyciu Libie i morderstwie Sławnikowiców obłowili się suto. Później niejeden dar wpadł im w ręce, mieli oręż i konie, byli pierwszymi wojami czeskimi, chodzili na wyprawy i łowy, nie brakło im żarcia ni trunków. Rozparli się w onych Czechach, a że było ich pięciu - chłopów krzepkich i rozrośniętych - mieli powagę u towarzyszy: lepiej ich było nie zaczepiać.

I dziw, że jeszcze wspominali Szreniawę, stary dom z lipami dokoła, podpróchniały i zapadły, kędy nawiewało zimą śniegu, a wiosną błoto stało na klepisku; wspominali dalekie góry, jakie widzieli z obejścia, kłębiące się, niby wał chmur na widnokręgu; i Smołuchę o grubych łydkach. Bywało nieraz doma: nic do żarcia nie ma. Z głodnym brzuchem szło się w las, by utłuc zwierza, obedrzeć, upiec wraz na ogniu, zeżreć półsurowe mięso i zapić wodą; na zjazdach opolnych śmiano się z chudych, obdartych otroków; przy obiatach kpinkowano z ich ubogich darów; wprzódy mać Dobrogniewa tłukła ich żyłastą, twardą pięścią; jeszcze wprzód robił to ojciec i bracia po powrocie z wyprawy. W końcu z biedy poszli kupców rabować: wtedy to ułowił ich Bolko i sprzedał. Lelum! samo zło doma było, lepiej w Czechach.

Zaraz po złupieniu Libie, gdy poszczęściło się im pierwszym wpaść do stajni i zabrać konie (których pilnował Koza i Czarny, gdy trzej inni rabowali dalej), wiodąc ciężko objuczone wierzchowce odsunęli się od spotniałej, śpiewającej tłuszczy, by się naradzić. Wtedy Ulęgałka rzekł:

- Nynie możem wrócić do Szreniawy abo pójść do drużyny Bolkowej.

Gomuia wyszczerzył zęby:

- Głupiś.

- Sameś głupi.

- Ejże! Kiej rozdziaknę twój woli czerep... Gomuła pochylił łeb, oczy mu błysły:

- Uderz.

Byliby się rzucili na siebie, jak często w tych wzajemnych pogwarkach, ale Łebacz podbił rękę Gomule i warknął:

- Iście psy nad kością baranią. Obaście durnie. Gadaj, Gomuła, abo jedziem.

Gomuła obrócił nań zaczerwienione białka, sapnął:

- I ty bacz.

- Mam starszeństwo nad wami.

- Zatknij pysk swoim starszeństwem, słyszysz? Mołwię, bo takóž już jest, że Ulęgałka dureń.

A Koza uderzył konia po karku i zarechotał:

- Wszyscyście trzej durnie, bo gdakacie, a ugwarzyć z warni nie lza.

Jeszcze sapali na się w złości. Łebacz potarł brodę i do Gomuły:

- Gadaj.

- Mołwię, obaście durnie. Raz was ksiądz kupcom sprzedał, Wojciech was wykupił. Myślicie, kiej was wtóry raz przędą, najdzie się drugi taki cudak jak Wojciech?

Ulęgałka oczy mrużył:

- Go ma przedawać? Raz mu dość.

- A jeśli mało?

- Ej, niemało.

- Mało, mołwię.

- Niemało.

I znów za łby. Ale nawaliła się kupa wojów, nuż się prześmiewać z dołających: jak ich pięciu było, kupą natarli na prześmiewaczy. Aż kurz poszedł po drodze. Rozeźleni byli, trzy dni szukali bitki - byle z kim.

Po trzech dniach mruknał Ulęgałka:

- Sprawiedliwie pry Gomuła, durnieśmy. Wygladziło się wszystko, wypiękniało we wspominkach.

Nie pamiętali, że dorn zaciekał, że niepogoda chodziła po nim jak chęsa po napadniętej ziemi; że ogrodzenie świeciło szczer

bami niby gęba staruchy; że podwórzec zarósł podbiałem, pokrzywą, jasnotą; że Smolucha była grubą, brzydką babą; że brzuchy mieli nieraz wpadnięte i pod żebra można było pięść wsadzić; że oręża lada jakiego nie posiadali; że kraj czeski piękniejszy jest, bogatszy i weselszy; że puszcza jeno doma a grąz, a mszary, a gąszcz i głusz. Coś ich uwierało we wnętrzościach za Szreniawą a swojakami, nawet za gadaniem tamtejszym, nawet za owym głupawym Mamrem, co podle Szreniawy siedział, bartnikiem był, syte im czasem dawał. Zdarzało się tak: obaczy któryś wykrot sosnowy i do brata:

- Pomnisz? u nas za jeziorkiem taki był.

- I co?

- I nic.

A tamten z pasją:

- Pomnę, psiamać. Ubiłem łosia przy onym wykrocie.

- Ja go ubiłem.

I za łby.

Jakoś zdarzyło się, że przyjechał poseł od polskiego Bolka do Pragi. Pięciu braci Szreniawitów patrzyło na ów wjazd z całą drużyną czeską, złość ich brała. Poseł poszedł do księcia, a wojów jego wzięła do siebie czeska drużyna, godowali społem godnie przez trzy dni. Popisywali się Czesi siłą; był między nimi jeden, który ogromny głaz, leżący podle wrót, do wysokości głowy podnosił; woje polscy patrzyli na to, dziwili się, a potem do jednego ze swoich:

- Giez, nuże Giez! Nie dźwigniesz to onego głazu? Giez był to chłop wielki, barczysty, z ponurą miną, schylił się, rozkraczył, podłożył pod on głaz obie ręce, ale nie unosił go w górę, jeno kiwał się z nim naprzód, w tył, naprzód, w tył - aż rozhuśtawszy puścił go w słup drewniany, do którego przywiązywano skazanych na chłostę; gruby tram pękł w połowie, aż trzaski poszły wokół. Zahuczały Czechy na cześć Gza, choć ich złość dusiła i wstyd: żaden z nich nie zdołałby rzucić owym kamieniem.

Z tym to Gzem zgadały się Szreniawity. Pytali go, jak tam - w Chrobacji? i czy w Szreniawie nie był? i czy prawda to, że Wojciech do Bolka uciekł? i jaki tenże Bolko: srogi czy łaskawy? Rozgadali się do późna w noc.

A skoro Giez dojrzał, że Czechy od picia i nudów zaczynają usypiać, schylił się do Gomuły i szepnął:

- Przyjdźcie do gospody Przemka Świradowica, jeno nocą, aby nikt was nie dojrzał: ma cośik wam rzec.

- O wa! co nam rzeknie - wzruszył ramionami Gomuła; poszli jednak tej jeszcze nocy - kupą - wraz z Gzem.

Przemko spał już, ale go zbudzono, siadł na posłaniu w gieźle jeno i gaciach, kolana podciągnął pod samą brodę, ręce zaplótł za goleniami, patrzył przy świetle rozdmuchanego ognia na pięciu wielkich, rozrośniętych jak byki braci, mrugał powiekami. Aż nagle buchnął wielką gębą:

- Gady jesteście, trza by wam pięć głów zdjąć, psie chwosty. Kupców księdzowych napadliście, księży mir naruszyliście. To i sprzedał was ksiądz i źle zrobił: głowy trza było wziąć.

Oni milczeli, tylko im złość zaczęła gęby krzywić, wąsy jeżyć: po to ich wołano? na urągowisko? Przemko patrzył na nich, wciąż z brodą na kolanach, aż nagle strzelił:

- A nie chcielibyście, gidy, tak do Szreniawy wrócić? Co? Dech im zaparło.

- Do Szreniawy?...



Przemko spuścił nogi, zerwał się, przyskoczył do nich.

- Słuchajcie, Szreniawity. Ojciec wasz a bracia w drużynie Mieszki byli, a nie żałował im Mieszka niczego. I Bolko wam nie pożałuje, ścierwy! Ksiądz przebaczy wam, smardom zatraconym, jeśli na służbę do niego pójdziecie. Szreniawę wam odda a do drużyny weźmie. Chcecie?

Oczy się im zaiskrzyły, nie naradzali się teraz, jednocześnie kiwnęli pięciu głowami.

- Pójdziemy.

- Nikaj nie pójdziecie nynie. Jak wprzódy, Wrszowcom służcie. A będzieli co... wojna jaka... abo pożrą się tu, abo jak... dajcie znać. A chcecie, wraz moszny nabiję wam srebrem. Chcecie no?

A oni znowu kiwnęli pięciu głowami, Gomuła zaś rzekł:

- O wa! Chce nas Bolko do drużyny brać, niech bierze. Toć my i onych kupców bilim, żeby broń wziąć, a do drużyny iść.

Przemko obrócił głowę do Gza:

- Daj no tego wina, co mi je ksiądz przysłał. Zapijem ugodę czeskim winem.

Lecz wino miało cierpki, kwaśny smak, więc ledwo róg raz obszedł wkoło, Giez burknął:

- Niech no psi piją ono wino. Przemko, daj miodu, bo mi już jęzor kołem stanął i gadać nie mogę.

Więc pili miód.

Potem polscy woje odjechali z wieścią, że Prażanie nie chcą Wojciecha, a Szreniawity dalej służyli Wrszowcom. Wartko szły dzieje czeskie. Bolko Rudy wygnał Władywoja, Wrszowce kłóciły się z biskupem a jego Niemcami, pomagały oskopić Jaromira, wiele śmiechu potem z tego było; brata jego, Udalryka, dusili w łaźni, ale się wyrwał gad. Emmie dali czarę z jadem, w on czas Niemka z obu synami uciekła do Bawarów. Wiele gadało się o nich, o Władywoju Przemyślidzie a Sobieborze Sławnikowicu, których chronił Bolesław polski. Bolko Rudy bał się obu, bał się Udalryka i Jaromira, wszczęły się gadki, że myśli się sprząć ze Szczepanem węgierskim a Weletami, ci Prusów przeciągną, a jeszcze Kijów - można by w on czas Bolka w kaszy zjeść. Gadki szły coraz gęstsze, Rudy bał się o swoje księstwo i w tym to czasie przyszedł Łebacz Szreniawita do Wilka Wrszowca.

- Panie - rzekł - latoś kupiłem od woja na Morawach zbroję łuskową za żrebca, kłął się, że mi ją przywiezie do Pragi. I nie masz ni jego, ni zbroi. Dozwólcie jechać z bratem, zbroję ona zabrać.

Wilk spojrział uważnie na Łebacza, roześmiał się i pry:

- Głupi będzie on woj, jeśli wam ją odda. Ale jedźcie. Teraz dopiero wzięły się Szreniawity naprawdę za łby: kto pojedzie. Po trzech dniach bójek i kłótni uradzili: Łebacz i Ulęgałka pojedą.

Ale nie pojechali na Morawy, pojechali na Kładzko, tam się złączyli z kupcami, którzy ciągnęli do

Chrobacji. Jakoś w południe zjeżdżali z lesistego wzgórza, przed nimi widać było ogromny, płaski kraj, cały czarny i siny, głęboko szumiący pod wiatrem. Ulęgałka wstrzymał naraz konia, obrócił głowę do brata, chciał powiedzieć:

- Pomniesz? - ale coś mu stanęło w gardle, że musiał chrząknąć: Łebacz zaś podniósł się naraz w siodle i zawył dzikim, pełnym radości głosem:

- Eeee... hej! Eeee... hej! - aż kupieckie konie targnęły w bok, a ich starosta leciał pytać, co się stało, że tak wrzeszczą. Lecz Łebacz zwrócił się do Ulęgałki: - Ale do Szreniawy zajedziemy tak czy tak. Jak dumasz?

- Pewnie - odburknął Ulęgałka, zapatrzony w falującą puszcę.

Byli u Bolka, rzekli mu, co i jak w Czechach, ksiądz słuchał namarszczony, wypytywał, wreszcie się zaśmiał i rzekł:

- Dobrze, rozbiję im ich przymierza, nynie wracajcie do Pragi i baczcie dalej, co tam. Głupi on Bolko kiej cap i jeszcze zapłaci za one znowy. A teraz chodźcie ze mną do komory.

Gdy wrócili do Szreniawy, nie poznali Smołuchy: rozrosła się, zżółkła, a brzuch miała jak bęben. Zobaczyła ich u rozwalonego płotu, jak wjeżdżali w obejście, poznała zrazu, zbladła, oparła się o zrąb, tchu nie miała krzyknąć na Mamra, by się krył. Dzika dumka przebiegła jej przez łeb: "Ubiją mi chłopca". A oni - natknąwszy się na Mamra u progu - porwali go, wwlekli do izby i tu - na onym błocie szreniawickim - zatańczyli we trzech, wkoło, dziko, z tupaniem, jak pijani. Potem ciągnęli miód Mamrowy, a rzeli kiej dwa źrebce: "Nas pięciu nie nadeło tak Smołuchy jak ty jeden". Łazili po obejściu, próbowali zrębów, czy nie zgniły do cna, patrzyli na one dalekie góry, na puszcę, przed odjazdem dali Mamrowi wszystko srebro, jakie mieli od Bolka, a Łebacz rzekł:

- Na! popraw tu, co zdołasz, a kup ludzi i woły, niechajże pole nie zarasta lasem; obacz, wždy gaj już tu, gdzie ociec jęczmień siał. Wysiecz i spal, a siej zboże, wrócim tu za mało-wiele... A Smołuchy pilnij! - zaśmiali się i pojechali.

W Pradze Wilk Wrszowiec spytał Łebacza z jawną przekpinką w głosie:

- No? Przywieźliście ona zbroję z Moraw? - Łebacz zmarszczył brwi, spojrział na Wrszowca i odrzekł z taką przekpinką:

- Przywieźliśmy, panie. Pokażę wam - ale nie rzekł nic, za co ją dostał i od kogo.

Po staremu żyły Szreniawity w Pradze i służyły Wrszowcom; i jak dawniej, gdy byli sami, gadali o Szreniawie.

4.

Wielu to pamiętało: Bolko nie chciał zrazu uznać pierworodnego, nie podniósł go. Mieszka biesił się wtedy, krzyczał, tupał nogami - Bolko stał przed nim z zaciętymi wargami, z chmurnym uporem w twarzy - krnąbrnej twarzy otroka. "Mierzi mię ta Węgierka, nie chcę ni jej, ni jej pomiotu." Oda zimno wierciła zielonymi ślepiami, nocami szeptała Mieszce w ucho, judziła na pasierba. Stary ksiądz zaciął się, Bolko także. Węgierka lulała małego, karmiła go, całe noce płakała. Pamiętali to dobrze. Czas ciekł. Gejza pobił Bezpryma, zagarnął jego ziemie. Prawda, toć nie kto inny, jeno Wszebor jeździł do Adelajdy Gejzowej, siostry Bolka. Jakże, toć Biała Kniężini sulila ojcu odesłać Węgierkę k'swoim, Adelajda zawsze była w drużbie z Bolkiem. Nie takli? Mieszka się zacinał, Oda judziła. Pomnicie ten rok - rok ciągłych krzyków a swarów w rodzinie Mieszkowej - Bolko na końcu przeparał: odesłano Węgierkę.

Wtedy dopiero Bolko uznał Bezpryma. Wraz słał Mieszka dziewosłębów. Do Dobromira - po Emnildę. Wszakże to po raz trzeci śpiewalim pieśni, sypalim ziarno - na spór. Jakoż był spór.

Była Adelajda, podobna do babki, z siwym wejrzeniem Dobrawy, z jej ustami i czołem.

Była Regelinda, ach, ta Regelinda, isty otrok w kiece - tylko jej do konia a sulicy, nie do kądzieli a krosien.

Był ci Mieszka, kiej ojciec wybująły, włosy się mu rozsypywały po krągłej, czerwonej gębie.

Była Świętosława, mała i zasmarkana, wrzeszcząca kiej sojka.

A oto znowu chodziła Emnilda, gruba jak beczka; wróżyły babki: syn będzie.

Był spór, szczere ziarno sypalim na młodych. Bolko rad był z Emnildy, gadał każdemu:

- Grusza z Emnildy, ista grusza. Potrzesiesz, sypie wraz. Ledwie zajadę k'niej, pry mi: "Bolko, miły mój, wieszli..." - i śmiał się pełnym gardłem.

Bezpryma nie lubił wspominać. Krzywił się na to imię. Nikt mu też nie lał w oczy z pierworodnym.

Bezprym wszystko wziął po matce: miał smagłą gębę, oczy błyszczące, czarne, gładko osadzone, włosy by u wronego konia. Jak matka żywy był, jak matka niski, lecz krępy. Siedmioletniego oddał Bolko Radborowi na Pomorze, byle go z oczu zbyć. Ale po trzech latach doszła go wieść, że Radbor myśli go dla Pomorców chować; zeźlił się ksiądz, zatupał nogami, posłał wraz Budziwoja do Radbora; bają, przemówili się tam obaj mało-wiele. Z rok tłukł się Bezprym po Gniezdnie a Poznaniu, w końcu oddał Bolko syna staremu Stankowi do Lednicy, tam rósł Bezprym, Stanko jeździł co rok do Bolka, opowiadał mu o chłopcu, jak z łuku strzela, a co na łowach ubił, a jak z koniem radzi. Ojciec słucha ze zmarszczoną brwią, nasepiony, potem mruknie krótko: "Dobrze", wiedzie Stanka do komory, da - wedle zwyczaju - roczny dar piastuński i... wracaj Stanko do Lednicy! Wszystkie te lata ni razu nie jeździł syna obaczyć i do siebie go nie wzywał. Stary Wszebor przyczłapał kiedyś z zrzędzeniem:

- Źle robisz, Bolko, z synem. Nie lza tak. Ze sobą ji weź, na łowy abo z wyprawą: jaki ksiądz będzie

z onego Bezpryma? - a widząc nasepienie Bolka:

- Gadajże!

Bolesław targnął łbem, burknął:

- Ksiądz będzie Mieszka, nie Bezprym. Wszebor się skrzywił, uniósł palec karcąco:

- Nie momocz. Uznałeś go.

- Ojciec przykazał.

- Pewno. Ale to uznany syn. Twój.

- E!... Węgierki, nie mój.

- Dureńś!

- Obaczcie nań: czarny, gęba biała, abo to mój? - próbował zaśmiać się, ale Wszebor siedział wciąż namarszczony, stary już był całkiem, nogami włóczył, z kątów warg ślina ciekła. Pogwarzyli jeszcze o tym, o owym, na odchodnym Wszebor spytał:

- Nie pojedziesz do Lednicy?

- Niii...

- Nie weźmiesz ji do siebie?

- Nie.

- Jak chcesz - piastun gniewnie zaszurał nogami, wyszedł. Bolesław siedział długo, dumał, w końcu mruknął:

- Wždy prawdę stary baje: trza coś robić z otrokiem - przypomniał zapłakane, czerwone oczy Węgierki, wstrząsnął się jak pies - dotąd czuł złość do niej i obrzydzenie.

Ale - to, owo - wciąż się mu nie składała ta jazda do Lednicy. Aż któregoś dnia - patrzajcież! - Bezprym, nie wzywany, przygnał konno do ojca. Koń był spieniony, blada zawsze gęba Bezpryma pokraśniała, policzki rozpalone, głębokie, czarne oczy świeciły. Bolko patrzył na podrostka - pędrak to był jeszcze, gdy go oddawał Stankowi - chciał krzyknąć ostro, ale wierzące go oczy chłopca urzekły, spytał, groźba w głosie zabrzmiała nieszczerze:

- Gdzie Stanko? Co mi skakasz bez piasruna?

Na to Bezprym - patrzajcież! patrzajcież! - śmiało błysnął zębami:

- Piastun nie wie, żem do was poleciał, ociec.

- Nie wie?

- Ani...

- To cię pletnią zerznę i z powrotem do Lednicy wyślę. Tamtemu znów zęby błysnęły, śmiało, po Belkowemu:

- Pletnią rznijcie. Ale do Lednicy nie odsyłajcie, ociec.

- Jeno co?

- Przy sobie ostawcie. Już mi czas. Bolko zaśmiał się i już nie tak srogo:

- Żaby ci jeszcze pędzać nad błotem, nie z oćcem chodzić. Przekornychytry wzrok:

- Każecie, będę żaby pędzał. Bolko potarł potylicę, mruknął:

- Obaczę - wziął chłopca pod brodę, spojrział nań: prawdę mówiąc, omal że pierwszy raz go widział.

- Idź teraz do komornika, niech ci jeść da. A konia wytrzymaj, mokry całkiem - i do odchodzącego już: - Sulicą rzucasz ?

Pewny siebie chłopięcy uśmiech:

- O wa!

- Pod wieczór obaczym.

Przy tym rzucaniu oszczepem ujrzała Emmilda Bezpryma.

Obu łokciami oparła się o okno, brodę ujęła w dłonie, przyglądała się mężowi. Stał rozkraczony, śmiech mu latał po szerokiej twarzy, patrzył na wysiłki Bezpryma - chłopak usiłował trafić w narożnik wieży, zadanie było trudne, nie szło mu. W pewnej chwili Emmilda ujrzała, jak Bolko wziął oszczep, nachylił się nad chłopcem, coś mu powiedział, przez plecy objął syna ramieniem, począł mu rękę układać, widać: uczył go, jak odginać dłoń przed rzutem; trwali tak przez moment w uścisku; w momencie tym Emmilda uczyła nikłe ukłucie gdzieś w dołku, wraz przeszło. Bezprym cisnął oszczep, pocisk poleciał łagodnym łukiem w górę, ostrze mignęło czerwono w zachodzącym słońcu, trafiło w narożnik, utkwilo w nim. Emmilda przymknęła powieki, usłyszała nagły śmiech, gwałtownie otworzyła je, oczy miała rozszerzone jakby ze strachu. Teraz syn stał przed ojcem, obaj rozkraczeni - mały i wielki - patrzyli na siebie, śmiali się z cicha, serdecznie. Naraz Emmilda uczyła już nie ukłucie, lecz ostry ból między żebrami: jakby tam ktoś jej garścią wątpia ścisnął. Wychyliła się, chciała krzyknąć na męża; lecz wczas wspomniała, że Bolko nie lubi, gdy mu przerywają zabawę. Ale nie mogła dłużej patrzeć na owe igry na dworze, cofnęła się w mrok izby. Uczyła gwałtowny ruch płodu, ręce złożyła na brzuchu, pod napiętą skórą dziecko się tam wykręcało, mocno, bezwzględnie. Uśmiechnęła się złym, niezwykłym u niej uśmiechem, owładnęła nią czczość i gniotący ciężar, legła na ławie, patrzyła na cienie zalewające pułap; w piersi wciąż ją coś kłuło dokuczliwie.

Bolko wpadł do niej na chwilę, zbierał się na gody. Poznała od razu: jest rad, coś tam burczał pod nosem, podśpiewywał. Emmilda siadła na ławie, cicho wodziła za nim oczyma. Pochylony szukał czegoś w skrzyni, znalazł: była to złocista mizerykordia na cienkim łańcuszku do zawieszania na szyi. Tknęło ją, pojęła, dla kogo ten dar. Cichym głosem, w którym drgał obcy ton, że Bolko odczuł go, spojrzał ciekawie, szepnęła:

- Bierzesz na gody Bezpryma? Zaśmiał się tym nowym swym śmiechem.

- Ano. Niechże się uczy pić i śpiewać z wojami. Podbiegła doń drobnym kroczeniem, obie dłonie złożyła mu płasko na piersi ruchem pełnym błagania, podniosła nań oczy:

- Poczekaj, ksze, niech Mieszka dorośnie, obu weźmiesz. Zachmurzył się.

- Głupiaś! - sięgnął raz jeszcze do skrzyni, wziął pas nabijany, nie spojrzał na żonę, wyszedł.

Godowali hucznie, Bolko był łaskaw na syna, przepijał doń, dał mu pas i mizerykordię; woje widząc, że syn wrócił do łaski księdzowej, klepali go, chwalili; Bezprymowi język się po piwie rozwiązał, gadał i śmiał się krzykliwym, chłopięcym głosem, pierwszy raz z wojami był, gęba się mu rozogniła, oczy iskrzyły; wszyscy widzieli to: Bolko był z nie lubianego syna rad, puszył się. Dłoni płaskał po udach; który to już raz krzyczał:

- W sam róg wieży sulicą trafił. Nie każdy z was tak zdoła. Dalekie śpiewy i krzyki dochodziły aż do Emmildy. Leżała na wznak, z głową odchyłoną do tyłu, z gorzką goryczą w sercu. Jeszcze trzy lata - najmniej - zostanie Mieszka w rękach piastuna, przez trzy lata będzie Bezprym rósł w sercu ojca. Na wyprawach, na godach. Jak to śmiał się doń Bolko, gdy oba stali przeciw sobie rozkraczeni i patrzyli sobie w oczy. I już na gody go wziął i nóż mu dał, a skoro o Mieszce wspomniała, pas dorzucił. Na złość.

Naraz poczuła, że jej w krzyżu drętwieje: gdy się poruszyła, od krzyża rozszedł się promienisty ból - gdzieś głęboko, po kłębach, ostry i rwący. Nie krzyknęła, wraz ustało. - Co to? - przestraszyła się, za wcześnie, jeszcze nie pora. Uniosła się na łokciach. Doleciał ją głośniejszy śpiew godujących, potem pijackie krzyki, rozróżniała głos Bolka, zdawało się jej, że rozróżnia Bezpryma. Naraz znowu ją chwycił ten sam, tępy a ostry, jedyny w świecie ból. Teraz miała pewność: przyszła jej pora. Znowu uniosła się na łokciach, wrzasła dzikim, wyjąłym krzykiem. Usłyszeli ją, wleciała stara Bogna, nachyliła się, szepnęła:

- Nic, pani, nic - podreptała po pomoc. Izba pełna była bab.

Nad ranem Bolko wracał, kiwając się, z godów. Ale nie puścili go do księżnej. Uniósł brwi do góry:

- Co?

- Spór, ksze - wyszczerzyła dziąsła Bogna.

- Już?

- Sza! Tak dobrze. Nie wzywajcie licha.

- Kto?

Bogna wspięła się na palce i w samo ucho księdza, by nie podsłuchało licho:

- Syn - a głośno:

- Kukła - zaśmiała się bezzębnymi dziąsłami, mrugnęła poufale, porozumiewawczo.

- A Emnilda? - znów wspięcie się i szept:

- Wiadomo. Słabuje.

Bolko chodził rozradowany, dobrze mu się było w on czas na oczy nawinąć, ręka księdza była hojna. Tylko na Bezpryma przestał patrzeć łaskawym okiem. Chłopiec spoglądał nań ciemnymi, zdziwionymi oczyma, cierpiał. Kiedy puszczono w końcu Bolka do Emnildy, pierwsze jej słowa były:

- Syn. Nie gorszam od onej Węgierki. Poślij wieść Mieszce, że mu się brat urodził - patrzyła wyczekująco w mężowe oczy: pojął jej prośbę. Nachylił się, pocałował ją, potem wyprostowawszy się rzekł:

- Zawidzisz Bezprymowi łaski ojcowej? Dobrze, odeślę go do Lednicy, niechże posiedzi tam jeszcze mało-wiele. - Emnilda chwyciła rękę męża, przycisnęła ją do ust.

Jeszcze tegoż dnia odjechał Bezprym do piastuna. Na dalsze trzy lata.

5.

Daleko jest od Rzymu do Gniezdna - Astryk śpieszył, ile sił końskich starczyło, ale w Polsce zastał już śniegi. We Wrocławiu kazał sobie dać sanie, dalej jechał powozem, raz wraz konie przepręgał, pędził zapatulony w futra, ośnieżone świerki szumiały obojętnie, pogański był jeszcze kraj. Serce mu biło na wspomnienie rzymskich uroczystości, zapomniał Ody, zapomniał dawnych uraz względem Bolka. Wszędzie pytał, gdzie znajdzie księdza, odpowiadano nieodmiennie: czeka na wieści w Gniezdnie.

Było południe mroźne i słoneczne, śniegi świeciły złoto i błękitnie, gdy Astryk wpadł do Gniezdna; konie w pędzie zakręciły przed księży dom, ktoś wyjrzał przez drzwi, Astryk migiem wygramolił się z sań, szedł w długiej szubie, drzwi się gwałtownie otwarły, wypadł z nich Bolesław, krzyknął:

- Co, Astryk? Co wieziesz?

Tamten w pół drogi stanął, wznosił kosmate ramiona do Bolka, zakrzyknął dźwięcznym, czystym głosem, w którym radość brzmiała i triumf:

- Chwała Jezusowi Chrystusowi, Panu naszemu! Raduj się, Bolesławie: ojciec nasz w Rzymie na synodzie uznał Adalberta świętym Kościoła Bożego - a zaraz potem, ledwo chwyciwszy oddech:

- Raduj się, Bolesławie: cesarz Otto śpieszy ze świętą pacia do Gniezdna, a wiedzie z sobą arcybiskupa gniezdnieńskiego, Gaudentego, brata Wojciechowego.

- Ooo! - zakrzyknął Bolesław, za nim wychynęły z sieni liczne głowy wojów i świętków - ooo! Bijcie w dzwony, niech konni lecą, niech dzwonią wszystkie dzwony w księstwie. My do cyrkwi wraz, do cyrkwi, pokłonić się truchłu Wojciechowemu a Jezu Krystu - głos mu się rwał z radości i triumfu.

Nim doszli do świątyni, zagrały im nad głowami dzwony i biły długo - na radość nam i na triumf.

Gdy dzwony biły w Gniezdnie a po wszystkich cyrkwiach w księstwie na znak, że Nowe idzie, po staremu szumiały pogańskie świerki i sosny, po starómu puch śnieżny sypał z nieba, a wiatr hulający po polach wznosił wysokie, brodate zasy, po staremu strumienie burczały pod lodem i rzeki sennie płynęły okutym nurtem, po staremu gniła Bugajowa siła na Wielkiej Drodze, po staremu Pępik mrucał w Rybakach u Poznania swe monotonne pieśni, po staremu Kciuk chodził od skrzynki do skrzynki z pletnią w rękę, garncarz Kula ugniatał glinę i zrzedził na białkę, po staremu Lubusza Ślizień rozglądał się łagodnymi oczyma po rodowej polanie, po staremu Wit prosił u ojca, by pozwolił mu sidła w lesie stawić, a Zwojowa Czarnula - ista mysz nakrapiana - wciąż chlipała, za co wszyscy krzyczeli na nią, po staremu u źródła koło Orczycy, gdzie woda w najsroźsze mrozy nie zamarzała, jazgotał wiec bab, po staremu Ząbrz ciągał zboże wołami, a Szysz zawodził i zła czekał, po staremu Pąch bobonił i odczyniał uroki, po staremu ogień trzeszczał po paleniskach i dym się snuł przez szczeliny w strzesze, białki obdzierały w stępie jęczmień i warzyły kaszę, przędły i tkwały, rodziły i karmiły - w zawianych kurnych chatkach, po rzadkich porębach, nad rzekami lub przy jeziorach. Nad ową zaśnieżoną, zawianą ziemią tu i tam huczały dzwony na znak: Nowe idzie.



Czyli usłyszał je Bugaj u Wielkiej Drogi albo Śliźnie na swej polanie, albo Pepik nawiązujący sieci, albo Ksieniec czy Kula, czy Ząbrz, czy Pach, czy Jagoda, czy owi bezimienni u Złotej Góry? Czyli były tylko one dla Bolka i drugów jego, dla Stojgniewa, Zefrida, Zadory, dla Ungera albo Emmildy, albo Astryka, albo dla młodego Mieszki? Czy dzwoniły nad jodłami i modrzewiem, nad ziemią i wodami? Czyli miały się rozwiać, ledwo chłopcy ciągnący za sznur odeszli na wyzerkę? Czyli głos się ich ostoi - onych nielicznych dzwonów, małych, nie obejmujących ziemi?

Ziemia miła, azali ów nikły dźwięk kilkunastu dzwonów żyje jeszcze? Czyli się rozwiął, ledwo chłopcy ciągnący za sznur odeszli na wyzerkę?

Ziemia miła...

6.

Jest taki dzień w tygodniu, w którym bywa dwakroć tyle roboty, co w inne dni, zwłaszcza dla białek: bo to trzeba i siana naciągać z kleci na dwa dni dla krowy a kozy, i słomy abo zgrabków leśnych, i na żarnach dłużej poterkotać abo w stępie tłuc, drzewa urąbać, a zdarzy się pranie płócien czy pieczenie jakie abo warzenie piwa - wkoło jeno tup tup po chacie, do kleci, na dwór abo do Wisły po wodę - odetchnienia nie ma na mig. Drzewiej inaczej bywało, pamiętają to: do przyjazdu na Wawel onego obcego, co nań wołali Wojciech. Ów Wojciech łąził dzień w dzień po podgrodziu, bajał o Kyryi Krysti; co rozumieli, co nie, prześmiewali się zeń - za plecami - z jego ruchów szybkich a niecierpliwych, z jego mowy dziwacznej, krótkiej; skoro chciał zlewać ich wodą świętą, boczyli się, ale nie uciekali - ze strachu przed Sulisławem - zresztą, przyzwyczaili się już jako tako do nowej wiary: panowała przecie niepodzielnie w grodzie za ostrokołem. Można rzec nawet, czuli się wywyższeni, że ich chrzczą by wojów a wielmożów. Aleć po onych wędrówkach Wojciechowych zmienił się ład na podgrodziu.

Bolko, wyjeżdżając wtedy do Poznania, zapowiedział grododzierzcy Sulisławowi: podgrodzie takóž jest krześcijańskie, trzeba dlań trzem wznieść, a prawa Krystusowego strzec. Sulisław jak to Sulisław, po swojemu to pojął. Od Sobiesława wziął żelazo, a przykazał mu, by powodem na podgrodzie ściągnął drzewo i kamienie, wraz ludzi do roboty zapędził. Zebrał też wszystkich podgrodzian i ogłosił: cyrkiew będziem dla Jezu Krysta stawić za ostrokołem; a raz w tydzień, w Boży dzień, nic robić nie lza: drow rąbać, żelaza kuć, ryby łowić, zwierza bić. A w inne dni - jakie?... już to i świętki ogłoszą, nie przepomną - nie lza mięsa jeść ni słoniny, ni mleka, ni jaja, jeno kaszę a podpłomyki, a kluski. A kto by mięso jadł, temu zęby łamać, a kto by roboty się jął, temu rękę uciąć. Od tego czasu przed owym Bożym dniem białki dwakroć tyle roboty miały. Ale w święty dzień krowom siana podrzucić, udoić, strawę uwarzyć, dzieciska poiskać - pusty dzień... Zrazu nijako było, nudno.

A później wzwyczaili się.

Jakoś inaczej zaczęło się życie układać. Bo trzeba było czymś ów pusty dzień wypełnić. Mężczyźni się zbierali nad Wisłą, latem spali na słońcu, wygrzewali się, ugwarzali o tym, o owym. Mak kłócił się z Gadem, Gruda bąkał powoli o robocie, Pałuba mrugał oczyma, słuchał pilnie, któregoś dnia Żuraw przywiódł Dudka, swojego brata, który w dalekich krajach był, widział wiele, miał co bajać... Albo oglądali cudacudeńka, które kupce przywozili, brali w rękę, dziwili się, tarzili o płatę... Białki strzępiły ozory, latały od chaty do chaty, obzierały swe płótna, chwaliły dzieciska. Zrywały się pieśni, przytupywali do taktu, w dłonie klaskali, zdarzył się bazarz z gęslami, któryś popiskiwał piszczałką, któryś hukął na rogu, to korowód, to piwg, żarty i przekpiwuszki, śmiechu było więcej i śpiewu i - choć to płynęło z obawy przed ucięciem prawej pięści - jakoś swobody więcej, jakoś krzyże się odginały z miłą chęcią od roboty, jakoś przestali tężyc za dawnym ładem. Bo to wszystkie wolne ludzie na podgrodziu krześcijany już były... By grodowi. Oho!

Oho! Aleć Nowe im zbrzydło rychło, skoro drzewa nawoziły kmiecie a naciągały kamieni - z potem, z kłatwą - i Sulisław kazał podgrodzianom kupą isć, drzewo obrabiać. Musiał Pałuba rzucić swoje sagi i widziano go, jak przygięty, z równie mokrym giezłem by doma, kiwał się bez przerwy nad dębowym tramem; Gruda, miast giąć obody, jął się okorywania, Mak i Gad musieli pracować ramię przy ramieniu, stary Oksza łąził między nimi, coś tam mruczał, coś podśpiewywał, kpinkował i śmiał

się do siebie samego.

Potem jednak rozpełzła się robota. Sulisław przylaźł, pokiwał głową, obejrzał ociosane belki, kopnął gniewnie kupę wiórów, nie nakazał zrębu zakładać: posłał po Bolka pytać, jak budować.

Wiadomość: nie stawiał jeszcze nigdy cyrkwii.

Tak to leżały belki i łaty na trzaskowisku, wznosiła się góra kamieni, dzieciaki z całego podgrodzia obrały to miejsce na swe igry. Też zawracali ludziom głowę z taką robotą - już nie tylko Oksza kpinkował i podśmiewał się; ale w przekpinkach tych tała się złość: tyle czasu zmitrężono - kowalom, kołodziejom, piwowarom.

Jakoś jesienią przydyrdała Ślepaczowa białka do Sławuli Żurawiowej. "Lelum! toć nie wiecie o niczym? Obcy przyszli na ów plac, gdzie latem kłody rąbali, z Sulisławem, cosik tam uradzają. Przyodziani cudacznie, kuso, śmiech czysty. Och, Sławula, ha ha ha! oj! oj! tchu brak z tego śmiechu. Jaszto! toć dziwowisko."

Obie wybiegły z izby, Żuraw krzyknął na swoją, coś tam z Dudkiem kuli we dwu, żelazo było białe, świeciło, iskry pryskały, tak byli zajęci, że Żuraw głowy nie miał czasu odwrócić; Sławula mruknęła z otuchą: "nie obaczy...", między obejściem Grudy a chatami skórników skoczyły ku budowli. Ciżba już tam była opodał, dziwowali się.

Był i Sulisław, ale - nie dziw to?... - wśród tych obcych nie rozdzierał gęby, tupał za nimi - wysoki i przygarbiony - tamci gromadą chodzili po placu, tu tam, coś ugwarzali między sobą, mało na grodzierzcę zważając i - widać to: spierając się ze sobą w obcej, cudacznej mowie. Gromada podwawelska stała zbita, ciekawa, przeważały białki, gapili się ludziska na owo widowisko, coś tam poburkując do siebie i dzieląc się wrażeniami. Obcy jakby ich nie widzieli. Wydobyli z okutej miedzią skrzynki wituszek ze zwojem cienkiego sznura a kilkoro kołków barwionych na końcu czerwono, dalejże wbijać obuchem owe kołki do ziemi a sznur między nimi naciągać, wciąż wykrzykując niezrozumiałe chropawe słowa. Wreszcie przyszli do kupy dyli zwałonych w wysoki sag, obesli go, pokiwali głowami, aże jeden z nich, z czarną brodą, wysokim, wąskim czołem, jakoby wódz całej tej zgrai, obrócił się do Sulisława i, wskazując ręką na ową kupę, szepnął coś. Na to szepnięcie - widzieliście to! - Sulisław zakręcił się w miejscu ochotnie i prędko, spojrzął był ku Wawelowi, aż nagle wzrok jego padł na ona kupę gapiów podgrodzkich; wyciągnął rękę i krzyknął swym zwykłym, srogim głosem:

- Ejże! A odrzucić mi te tramy na bok. Chyżo!

I z tego gapienia się wynikła naraz robota, a zwijać się trzeba było raźnie, skoro poganiał ich nie byle włodarz, do którego można zagadać albo i piwkiem ucztować, lecz sam żupan krakowski. Obcy tymczasem zasiedli na tramie dębowym, który tu dziesięć par wołów ze stękaniem przywlokło i stukając toporkiem po rudym drewnie - widać to - dziwowali się mu i coś do siebie gadali wciąż w tej obcej, śmiesznej pogwarce.

Po onej z nagłą wypadłej robocie wystrzegali się zrazu ludziska nos na budowę wysuwać - komu się tani pali do dodatkowej harówki. Ale ciekawość przemogła. I obcy okazali się wcale niestraszni,

zagadywali do ludzi, do białek, śmiali się do dziewcząt, może by tam i przyszło do czego, ale dogadać się z nimi nie sposób. Matki zresztą pilnowały: “Bacz, bo ci taki brzuch zrobi ani się obejrzysz...” - i prawda była: wędrowniki to były z grodu do grodu, z kraju do kraju. Stary Oksza nie odchodził już z placu, siadywał na tramach albo kamieniach, siąkał nosem - śmiejąc się kazali mu coś potrzymać czy sznur namotać, dumny był z onych posług, chodził potem po podgrodziu, chełpił się:

- Gadacie, żem przygłupek. A oto obcy obaczyli: mędrak ze mnie. - Prześmiewano się zeń:

- Obaczysz, stary, jeszcze ci w tyłek nagrzeją, mądrość twa wyjdzie. - Obrażał się, odchodził z powrotem na budowę.

Spodziewano się też, że Sulisław napędzi ich do pomocy, ale ten przysłał kupę niewolnych, Prusów pono, ci ciągaliby kłody a głązy, ryli piasek, nosili wodę, glinę gniętli. Potem przywalała zima, zamarła praca, obcy siedzieli na Wawelu, nie bardzo stamtąd wyglądając, coś tam dłubiąc w cyrkwi grodowej. Aż przyszła wiosna, zadzwonił skowronek, zakrzyczały szpaki po starych wierzbach nad Wisłą. Znów zawrzało na budowie. Teraz było na co patrzeć: biegali co dzień, w oczach im rósł trzem, lelum! jaki trzem - wielgiwielgachny, tęgi, czworograniasty gmach, aż im oczy wyskakiwały, serca truchlały.

Nie zdawali sobie może sami sprawy z tego: był tu Wojciech, cudak i pan, gwarzył do nich, uczył, potem wodą świętą lał. Wtedy była to wielka rzecz. Ale z czasem - wiadomo! woda: spłynęła, wyschła, zapomniano serca, odwykła myśl. Tyle że w święty dzień pracować nie lza, a w post mięsa jeść i tłuszczu. Aż tu naraz: taki trzem. Dla Kyryi Krysti, i nie w grodzie - na podgrodziu. Bo i ony są, podgrodziany, Krystusowe ludzie! Tyli trzem - by gród! Serca im były dumą - i strachem - a nowy Bóg wyrastał nad Swarozycą i Dadźboga, bo gdzie starym bogom do tych budowli!... Taki trzem!

Już obcy siedzieli okrakiem na krokwiach - głowę trza było dobrze zadrzeć, oho! - i gęsto stukali młotami.

Nad nędznymi kleciami podgrodzia, niby góra, zaciążył nowy trzem. Nad kleciami, nad sercami, nad myślą. Urzeczone oczy wciąż patrzyły, ludzie nie wierzyli swym oczom.

Tyli trzem - by góra! by gród!

Nie można też rzec, żeby był taki przedział między budową a podgrodziem jakoby przepaść; nie, tego nie można rzec. Bo prócz onego zagadywania a prześmieszków z dziewczętami zdarzało się, iż ten i ów z obcych łąził samopas po podgrodziu, zaglądał do chat, usiłował pogwarzyć. Stawiano przed nim piwo, częstowano orzechami zgniecionymi z miodem albo tartym makiem, bo to - wiadomo - gość. Siadywali goście w godnym kącie, rozglądali się, zęby szczyrzyli, z czasem uchwycili coś z ludzkiej mowy, jedno drugie słowo, przekręcone i cudaczne, zaczęli się już tak siak porozumiewać. A dziw dokoła tych gości nigdy się nie kończył. Mieli oto zwyczaj siedząc na zrębie budowanego kościoła śpiewać zgodnym chórem; pieśń była obca, dziwna, o nie znanych słowach, coś w niej dźwięczało innego, nowego. Gromadami tak ludzie stali, wsłuchiwali się, jakieś czucia w nich inne narastały. I któż by uwierzył - z pieśni tej uchwycił coś stary Oksza. Stojąc pod cyrkwią wspierał pomarszczoną dłoń o zrąb i swój starczy głos, zadzierający i słaby, wpadający czasem w pianie młodego kurka, łączył z owymi śpiewakami wysoko na zrębie; tak też jak oni rozpoczął ona pieśń

znakiem Kyryi Krysti, który to znak polegał na złożeniu dłoni na czole, na piersi i na obu ramionach. Jak dawniej, gdy był głodny, chodził po chatach, baby mu wynosiły podpłomyki, ser, mleko. Pytano go wówczas, co tam mruczy pod zrębem. Odpowiadał na to wznosząc w górę szczeciniastą mordę, wybladłe oczy wpadały, zda się, jeszcze głębiej, patrzyły w cichej zadumie, marniał do ust ułamany kawałek sera:

- Społem śpiewamy dla Jezu Krysta, Jemuż trzem społem stawiać.

Nie pojowali przygłupka, ale ich śmiech odchodził.

Pokryto już dach cyrkwi niby łuską rybią, świecił w słońcu złocisty, cyrkiew stała ogromna, wciąż przejmowała ich wciąż i bojaźnią, większą może niż dawniej święte dęby. Prusów zabrał Sulisław, jeden dziesiątek ostawił, ale obcy siedzieli wszyscy, coś tam w środku piłowali a stukali. Zdarzyło się, że ów brodacz o wąskim, wysokim czole i świdrujących ślepiach zawędrował przed chatę Żurawia. Upał był, dychać było trudno, pewno pić się gościowi chciało, Żuraw trzymał właśnie rozpalony kawał żelaza, młotem oklepywał go z boku, formował ostrze; nie chciało mu się rzucać roboty, wyprostował się tylko, odwrócił czarny łeb, krzyknął do wnętrza chaty:

- Sławula, a wynieś no piwa, gość przyszedł. - Dudek stuknął parę razy w kładziwo, rytm podał, zaczęli bić młotami we dwu, szybko a wprawnie, z niekształtnego obróbka zarysował się wyraźny kształt topora, obcy przysiadł na pniaku, przyglądał się robocie, kiwał głową, w garści kręcił czarną brodę. Skoro żelazo ostygło, Dudek wsunął je w ogień, właśnie Sławula wyniosła dzban z piwem. Żuraw nalał do kubka, przepił do gościa. Tamten wypił, otarł wierzchem dłoni usta, powiedział swą śmieszna, twardą mową:

- Dobrze kuć... ładny siekiera... dobry... - i zaśmiał się. Żuraw pokraśniał z zadowolenia, wstał, ruszył do chaty, wrócił z gotowym toporem w dłoni, podał gościowi.

Tamten obracał go w ręce, palcem próbował ostrza, wciąż kiwał głową, wciąż powtarzał:

- Dobry siekiera... ładny siekiera... ooo! dobrze kuć w Kraków... dobry majster... dobra robota... ooo! - znów wypił piwa, pokręcił brodę, zaczął:

- Trzeba nam kowal... dobry kowal... pięć albo sześć kowal... pójdziem, obaczmy.

I poszli w stronę cyrkwi. Pierwszy raz Żuraw z Dudkiem przestąpili próg świątyni, aż ich ścisnęło z tego dziwu i tego ogromu. Lelum! Stali onieśmieleni, kroku nie ważyli się zrobić. Ów obcy śmiało ruszył w bok, wydobył z jakowegoś zakamarka ciężką sztabę żelazną z wykrętami na końcach, spytał:

- Zdołacie zrobić... taki żelazo? Gadajcie.

Podnieśli we dwu, ciężka była, oglądali, mozolastymi dłońmi prowadzili po zagięciach, wreszcie Żuraw zwrócił na obcego zadziwione oczy, zapytał:

- A po co taki... - słowa nie znalazł. Ale tamten zrozumiał. Odciągnął ich do drzwi, coś tłumaczył pokazując rękoma, po obcemu, nie mogli pojąć. Zniecierpliwiał się.

- Trzeba - mruknął i zawiesił na nich wyczekujące spojrzenie.
- Zdołacie zrobić taki... - i on słowa polskiego nie znalazł, powiedział obce słowo.

Żuraw znów powiódł dłonią po onej sztabie:

- Dużo żelaza trza - mruknął zafrasowany. Tamten zaśmiał się:
- Na to dość żelaza będzie... nie zbraknie... Sulisław da! - i znów swoje:
- Zdołacie to zrobić?
- O wa! - szepnął Żuraw, i do brata:

- Dudek. A skocz no, przynieś ów krzyż, coś go wykuł... - zawahał się - w świecie - a gdy Dudek zawrócił, krzyknął gromko za nim:

- I nóż swój przynieś.

W mig był Dudek z powrotem - zasapany - podał oba przedmioty obcemu. Tamten rękę wyciągnął, spojrzął, naraz szybko wyszedł z cyrkwi na światło, oglądał nóż, krzyż, oczy mu zabłyśły, odwrócił się i do Dudka:

- Sam? Sam zrobić? Ten nóż i ten krzyż? - rwał go tym urywanym pytaniem. Dudek głową kiwnął:
- Sam.

Tamten spojrzął jeszcze na Dudka - z podziwem - wykrzyknął :

- Majster! Majster! - jeszcze raz palcami przewiódł po trzonku noża, nagle zawrócił ku Wawelowi, krzyknął do braci:

- Pokażę Sulisławowi - i pobiegł. Obaj kowale stali przed cyrkwią osłupiali, patrząc za bieżącym pod górę brodaczem, po sobie; Dudek marniał bezradnie:

- Zabrał... zabrał, psiamać! Krzyż i nóż zabrał... Dla synam chował... dla otroka...

Żuraw poczerwieniał.

- Leć do Sulisława! skarż!

- Zaśby tam.

- Leć! - wykrzyknął Żuraw.

Ale nie trzeba było; ledwo się dowlekli do chaty, a uradzali jeszcze, przybiegł zasapany włodarz z grodu:

- Dudek! Jestli tu Dudek? Dyrdaj do Sulisława, wzywa cię.

Dudek przestraszył się:

- Wzywa mnie?

- Wraz. I Żuraw niech idzie.

- I ja?

Gdy człapali pod górę, mruknął Żuraw do brata:

- Naszczekał, pies, na nas - a tamten:

- Bieda będzie. Żuraw wybuchnął:

- A wszystko przez ten znak! Prawie gadała Sławka: nie ruchaj ji. Złe przyniesie.

- Zaśby tam.

- Obaczysz.

Musieli czekać na grodzierzcę. Przez drzwi słyhać było jego gniewny głos:

- Piekuta, nie bądź głuptak. Nakazuję ci. I burkliwy głos komornika:

- Nie wam mi nakazywać, panie. Ksiądz mi nakazał: ni złota, ni srebra, ni kamieni, ni jantaru bez mego zezwolenia nikomu nie dasz. Choćby wojewoda kazał: nie dasz.

- A mnie Bolko rzekł: co trza do cyrkwi, od Piekuty weźmiesz. Słyszysz?

- Macie znak księdza?

- Mołwię ci: dureńś. Mam znak.

- To odważę wam srebro, ale wraz poślę do księdza posłanie: tyletyle srebra Sulisław na cyrkiew wziął.

- Ślij abo sam jedź na złamanie karku. Dudek już jest? Zawołali obu braci. Byli tam z Sulisławem Piekuta i ów obcy z brodą. Sulisław trzymał w ręce krzyż a nóż Dudkowy, gdy ten wszedł, spytał grodzierzca po swojemu, srogo:

- A no, Dudek, prawdę gadaj, a pyłem w oczy nie miotaj: sameś to robił?

Tamten prędko oblizał wargi, kolana mu lekko drżały, ale odparł śmiało:

- Sam.

- Gdzieżeś to takiego umu nabył?

Dudek znów oblizał wargi:

- W niewoli.

- Sprzedał cię kto?

- Za Mieszki jeszcze Czechy mię w jeństwo wzięły.

- I u Czechów takeś zmańdrzał?

- Nie... W Italii.

- W Italii?

- A no. W grodzie wielkim tam byłem, zwa go Firenca.

- Jakeś wrócił?

- Do Sasów mię powiedli, od Sasów uciekłem.

- Toś udały... No! toś udały! Nie ułowiły cię?

- Nie.

Grododzierzca pokręcił głową, patrzył na Dudkowe cudeńka, aż raptem:

- A wielgi krzyż do cyrkwi zdołasz wykuć? Zatkano naraz Dudka.

- Do cyrkwi?

- Do cyrkwi, mołwię, na podgrodziu. Co gały wywalasz? Ze srebra, ono da ci Piekuta - gniewnie spojrzal na komornika - a bacz: zważym srebro, później krzyż, braku nie może być. Pojmujesz?

- Pojmuję, panie.

- Wielgi krzyż. Jezu Kryst ma na nim być, tyli co rosły chłop. Pojmujesz?

- Pojmuję, panie.

- No co, zdołasz?

Dudek znów oblizał wargi. Patrzył na Sulisława, milczał. Tamten czekał, w końcu wybuchnął:

- Gadajże! Zdołasz, ksiądz cię obdarzy. Nie zdołasz, gadaj, pójdiesz siekiery kuć. Co milczysz, jakby ci ozór wydarli?



W tejże chwili ujrzał Dudek ów krzyż z postacią Chrystusową: widział taki w onej Firency. Coś mu naraz zadrgało w piersi, niby radość, niby lęk, i coś jakby pożądanie: zmieszane to wszystko, nie rozeznasz. Ale buchnął pewnym już głosem:

- Zdołam.

- Dobrze. Piekuta ci srebro da. A kuć będziesz tu, w grodzie. Potem będziesz prosił księdza, co chcesz.

Dudek pochylił się do Sulisława:

- Teraz już będę prosił, panie. Otroka mego weźcie, kiej dorośnie, do drużyny. Broń mu wykuję nie lada jaką. A krzyż on zrobię... ooo!

- Tak będzie. Rankiem przyjdź do grodu. A nóż ten i krzyż bierz - z żalem wyciągnął rękę. Dudek wziął machinalnie oba przedmioty, wracał na podgrodzie oszołomiony, Żuraw coś gadał do niego - zazdrosny i podniecony - Dudek nie słyszał.

Tak tedy stukania wokół cyrkwi nie ustawała. Bo to obcy w dalszym ciągu stukali i piłowali wewnątrz, a kowale pod wyodzą onego Niemca, co go Bolko osadził przed kilku laty na podgrodziu, kuli sztaby na odrzwia - prawdę rzekł brodac: nie brakło żelaza na cyrkiew. Dudek zaś siedział w grodzie, gdzie mu kładziwo ustawiono a nowy miech dano, a Żurawia wezwano do pomocy. Zrazu nie szła Dudkowi robota, Sulisław przyłaził, oglądał, zrzędził. Z grubsza wykuł Dudek całą postać, ręce a nogi, głowę ukształtował, potem cały dzień siedział, wodził palcem po onej krągłej bryle, głęboko zamyślony; Żuraw w tym dniu poszedł do siebie, musiał tam białce pomóc. Tego wieczora powiedział Dudek do brata:

- Widzę teraz: nie zdołam onego krzyża ukuć.

- A onże mały wykuleś?

- Iii tam... Tu insza rzecz.

Nie mógł spać tej nocy, wiercił się na posłaniu, złościło go chrapanie Żurawia, chrząkanie wieprza w kącie. Rano bez pośpiechu włókł się do grodu, wcześniej jeszcze było, stróża burczała otwierając wrota. Gdy się pochylił nad bryłą srebrną, raz jeszcze pogładził ją dłonią, poczuł niechęć jeszcze większą, wprost wstręt: mierziła go ta robota. Już wiedział, gdzie będzie usta wykował, owalne, półokrągłe. Przyłożył tępy kawał żelaza, spuścił nań młot.

I oto...

Naraz zobaczył. Począł bić młotkiem gęstogęsto, raz po raz, wystukiwać ono wykrzywienie warg, ono półotwarcie ust jakby u człeka, którego męczono, kłuto, bito, ciało mu rwano. Toć to uczył ich Wojciech: zbóje umęczeni Jezu Krysta, ręce Mu, nogi gwoździemi do drzewa przytwierdzili, a bili wprzód, a z tarniny wieniec upletli i na głowę nasadzili, a włócznią w bok Mu, w bok Jezu Krystu! Podniósł Dudek naraz oczy, na skraju dachu wróble kłóciły się, świergotały, czubiły się o jakieś tam swoje wróble sprawy. Nie widział ich kowal... Naraz pojął słowa Wojciechowe, których słuchał

wprzód w otępieniu, słyszał i to: i Wojciecha ubiły Prusy. I stało się oto z Dudkiem, który w niewoli srogiej przebył, świata szmat przeszedł, sam zapróbował i bicia, i głodu, którego białkę oddali starzy Czarnemu, którego ów drugi mąż Miłej, Czarny, pobił do śmierci niemal, gdy się spotkali w dawnej chacie Dudkowej, i oto stało się z nim dziwo: pojął ból, wykrzywienie warg Jezusowych. I pojął jeszcze coś z tego, czego Wojciech uczył, a czego nazwać ni uchwycić nie mógł. Wiedział już jednak, jaki mają mieć kształt przedśmiertne wargi Jezusowe.

Więc kuć.

Przyłazł Żuraw, zagadał coś. Dudek nie odchylił się, dalej stukał. Już się zarysowywało w srebrnej bryle owo zagięcie, już występowały w nikłym zarysie kąty warg opuszczonych, a w kątach tych ledwo widocznych taił się cień boleści. Żuraw zagadał do brata, tamten nie odgiął się, raz wraz młot unosił, opuszczał na tłok, ponad ćwierkaniem wróbli górował połyskliwy, dźwięczny stuk.

Kiedy strawę przynieśli, Dudek puścił trzon młota, spojrzął bezmyślnie na brata, zaczął jeść łapczywie, szybko, nie żując; Żuraw go spytał:

- I jak? Zdołasz?

Nagle fala radości uniosła się wysoką wypukliną, rozprysła się w wykrzyku:

- Zdołam, Żuraw! Oo! zdołam! Wszystko zdołam.

Już mu i Sulisław nie przeszkadzał ni Piekuta, ni inne gapie w gromadzie, którzy coraz tłumniej przychodzili, gały wybałuszali - z niemrawej bryły srebra wyłaniała się twarz, jaka twarz! - coś strasznego szło od tej twarzy. Policzki miała płaskie, zapadłe, rzekłbyś dwa doły miast policzków, oczy przymknięte pod ściągniętymi brwiami; owo ściągnięcie było takie jak u tych, którym ból rwie wąpzia, wdziera się między żebra i pod czaszkę; skronie wgłębione, że kość czuć na tych skroniach, dwie żłobiny od chudego nosa, wokół tych warg, właśnie tych warg półotwartych z opuszczonymi kątami. A dalej szyja długa i chuda, dziura w boku, wyciągnięte ramiona, zwisłe nogi, całe ciało półwykręcone, zgięte, jakby kołem łamane. Już była głęboka jesień i deszcze zaczynały siąpić, gdy Dudek poszedł do Sulisława:

- Skończyłem, panie, krzyż kuć.

Ale Sulisław wiedział już, cały gród już wiedział, toć wszyscy chodzili się dziwować. Przecie niedawno jeszcze przyszedł nakaz od Bolka do Piekuty: złota z komory na ów wieniec z tarniny dać Dudkowi. Sulisław chwalił go, ale Dudek słyszał niewiele, tyle tylko: w trzy dni ma do księdza do Gniezdna jechać. Lecz tymczasem wrócił do chaty Żurawiowej, zwałił się na posłanie, zasnął ciężkim, nic nie czującym snem: iście wór piachu albo kłoda drewna.

Już tam i stukać w cyrkwi przestali, ale podgrodzie miało nowe dziwowisko: woły przyciągnęły dwa dzwony, zawezwano moc luda, wciągali je sznurami w górę. Umajona była cyrkiew i one dzwony; ludziom kazali się ochędożyć, świątki Krystusowe przyjechały, śpiewały i dymiły, czekali: sam Bolko będzie, ale nie, wojewodę przysłał. Wtedy to Unger obrócił się do ludzi i krzyczał do nich, że Krystusowi są, nie pogany, że oto dla Jezu Krysta trzem stoi, i inne rzeczy krzyczał, których nie

pojęli. W środku cyrkwi lśnił ogromny, cały z srebra krzyż Dudkowy. Unger śpiewał przed nim długo, klerycy jego śpiewali, obiata ta przygniotła podgrodzie głuchym poczuciem: oto staje się coś, co przemieni ich życie. Pełni byli podziwu i bo jaźni.

Stary Oksza snuł się między ciżbą, przepychał się łokciami, szczęśliwymi wargami wciąż szeptał:

- Oo! To ci trzem postawiłim dla Jezu Krysta. - Prawda, toć i on jakieś tam kołki trzymał a sznury nawijał. Rozeszli się, żeby bajać między sobą a wciąż się dziwić.

Potem przyszły wszednie dni - ale trzem stał. Aż któregoś ranka przeleciał przez podgrodzie w pędzie jeździec - zima już była - widzieli, jak gnał pod stromą górę wawelską, jak się dobijał do wrót. "Od Bolka" - domyślili się. I zaraz zaczęły bić w grodzie dzwony, a z góry leciało kilkoro ludzi - do trzemu! do trzemu! - w dzwony bić na rozkaz księdzowy.

Odchylili się kowale od swych kładziw, odchylił się Gruda od obodów, a Pałuba od swych dyli, odchyliło się podgrodzie, przygięte co dzień pracą, i z zadartymi głowami słuchało tego srebrnego bicia - tam w grodzie i tu na podgrodziu.

Po powrocie Astryka z Rzymu zaczęła się od razu wściekła latanina. Po całym księstwie. Zaraz przecie rozesłał Wartko posłańców na rozkaz Bolesława do wszystkich grodów, w których cyrkwie były, w one dzwony bić. Tegoż jeszcze wieczora byli na radzie u księdza Zefrid, Wdała, Wartko. I od razu, nocą jeszcze, posłali konnych, jednego do Ungera, drugiego do grododzierzcy wrocławskiego, Mojsława, drugiego do Krakowa po Sulisława i Piekutę, drugiego do Stojgniewa, iże w zastępstwie księdza sądził na Mazowszu, drugiego do Jomsborga do Dzierzka a Sigwalda, drugiego do Zadory, ten jeszcze tkwił na Pomorzu, gdzie był mir zaprowadzał, drugiego - nie wiadomo znów po co - do Wiślicy; a ledwo ta kupa jeźdźców wyleciała z grodu i wraz się rozsypała - kto gnał koło jeziora Jelonek do Poznania, kto podłe Bielidła, kto przez zamarźle bagna na Trzemeszno, wszyscy w skok, tylko śnieg pryskał koniom spod kopyt - już ksiądz słał wtórnego gońca do Ungera - za tamtym. Bolko nie kładł się, chodził po świetlicy namarszczony, Zefrid wodził wciąż za nim wzrokiem, czujny i bystry, Warcisław spuścił dłonie między rozstawione kolana, dłonie zwiesił, zdawał się drzemać. Naraz Bolko stanął, nogą stuknął, wykrzyknął:

- Nikt tak cesarza nie przyjął. Trza ji zadziwić - Warcisław podniósł ciężkie powieki, Zefrid poruszył się gwałtownie, rozpedził swój gładki język:

- Pewność... niech wie Otto, że nie do lada chłystka przyjechał, do księdza wielkiego księstwa, niechże sława wasza idzie jako woda na wiosnę - Bolesław patrzył chwilę na kapelana, naraz się zmarszczył, jakby pluskwę w chlebie znalazł; Zefrid zamilkł na owo zmarszczenie, zwinął się, nigdy nie mógł ostatnio dogodzić księdzu; Bolko mruknął: "dureń", znów zaczął wędrować, Wartko pochylił głowę, powieki mu opadły, smolne szczapy trzaskały wesoło, oświecały Bolka, żółtą, drgającą poświatą. Bolko chodząc patrzył teraz na Zefrida dalekim spojrzeniem, zdawał się myśleć nad tym, co mu kapelan rzekł, wreszcie stanął nad nim i - wciąż z tym pustym wejrzeniem - do siebie, nie do Zefrida:

- Można mało-wiele blasku dać, siłę a bogactwo pokazać, a potem wszystko w garści schować - wyciągnął otwartą dłoń z rozstawionymi palcami i pod samym nosem Zefrida zacisnął ją, aż przestraszony kapelan poderwał głowę - można mało-wiele dać, a wszystko otrzymać... - zamilkł, oczu z kapelana nie spuścił, tamten - nie rozumiejąc - kurczył się pod księżym wzrokiem; Warcisław, który się był rozbudził, a który Zefrida nie lubił - prawdę mówiąc, nikt go nie lubił, taki już był człek - mruknął:

- Ten ci, ksze, tyle pojmuje, ile karw, co już zęby zjadł. I tak cesarz wie, że sroka nie wydziobała was na śmietniku. - Bolko przewiódł nań wzrok, naraz ramiona wyprężył, łopatkami ruszył, jakby coś sobie z pleców zrzucił, zmarszczył brwi i do Warcisława:

- Aboś ty nie karw... Ej, Wartko! jeszcze Zefrid z was wszystkich pojmuje najwięcej, inaczej czylibym nie zadusił tej wszy?... A z Ottonem nie na wasz urn gra idzie... możeć więcej niżli o całe to księstwo w niej idzie?... Słuchaj, Wartko - grododzierzca łeb poderwał, gotowy jak zawsze, ale Bolesław nic nie rzekł, znów zaczął tupać ciężkim krokiem po izbie... Ogień przygasł, Wartko dźwignął się z ławy, rzucił parę polan, przykucnął, poprawiał żar, Bolko chodził. Naraz znów stanął pośrodku izby, znów wykrzyknął, tym razem wyraźnie do rady:

- Suliliście: gospodę na przyjęcie wystawić, w drodze gościć a w Gniezdnie. Dobrze to! Posłałem już nakazy. Zefrid bajął i mądrze bajął: “Cyrkwie ma cesarz wielkie i grody wielkie, i zamki, i wieże. Nie zadziwić cesarza cyrkwiami i grodami. Prawda to: nie ma cesarz truchła Wojciechowego, ale ma święte szczątki innych męczenników a królów”. Zapytałem tegdy: “Czym zadziwić cesarza?” A tyś mi, Zefridzie, rzekł: “Komora cesarska pusta. Czym zadziwić? Bogactwem”. Takeś radził, Zefridzie?

- Tak - odparł kapelan: lekki niepokój drgał mu w głosie.

- I mądrześ radził. Ale to nie wszystko. Nie wszystko jeszcze... Tym zadziwim, ale nie tak, by pojął cesarz, że my... - urwał, nie znalazł słowa, zakręcił się, aż nagle - z furią - do Warcisława:

- Wartko, ciebie ojciec mój miał za przedniego woja, tyś nie karw... pewno, wiem to. Słuchajże, pomnisz, za co Niemce ojca mieli a cały nasz kraj? Wszystko, co jeno za Łabą a za Odrą, miało być ich, ich biskupi mieli prawo chrzczyć, innych nie puszczały, grafy lażyły do nas kiej kruki na ścierwo, cesarz chciał ojca za sługę mieć, w lenno ziemię tę dać. W lenno ziemię... tę... - nogą trząsł - ziemię, choć nigdy tu sam nie był ni żaden śmierzający woj niemiecki, chyba zbieg. Pomnisz, Wartko? - Warcisław wyszczerzył swe rzadkie zęby w ponurym uśmiechu. - A co na to ojciec mój rzekł? Co?

Warcisław z tymże szczerbatym uśmiechem:

- A co wilkowi, iże pod stado podchodzi? Kamieniem w zęby! - Zefrid patrzył na obu wojów, wielkich, pleczystych, jak stoją przeciw siebie, gęba w gębę, u obu w oczach złe błyski, a w głosach pasja.

- Dobrześ rzekł! - wykrzyknął Bolko - kamieniem w zęby. Można i tak. Ale ojciec mój urn miał... i dlatego często krzyczę na was, żeście woły a przygłupki, że tego umu nie macie... ale ojciec miał, karwy parszywe, miał ten urn, wiedział : nie zawsze można kamieniem w zęby. I dlatego... - zaciął się, szybko ręką po czole przejechał - trza, żeby cesarz a margrafy i grafy, a barony ich i księża, trza, żeby ostatni knecht niemiecki pojął: nic im do tej ziemi. Nie chce ich ona, cudza ona, choćby tam mieli korony rzymskie i longobardzkie, złote i żelazne, arcybiskupów i świętków, prawa i przywileje: cudza to ziemia. I żeby wiedzieli: tyle mają do niej, co wilk do stada, och, Wartko! kamieniem w zęby.

Zatchnął się w tym gwałtownym mówieniu. Urwał i zaczął znów chodzić, znów za nim Zefrid oczyma wodził, ale Wartka sen już nie morzył, wsparł się o ścianę, patrzył w księdza. Bolko - chodząc wciąż - znów mówił wzburzonym głosem:

- Nie pojmują tego, nie chcą pojąć. Toć Astryk przyleciał z wieścią: “Cesarz jedzie z pacia, raduj się, Bolesławie”. Ale wiem, Astryk myśli: “Jedzie pan do smarda, cześć mu robi”. - Zefrid skulił się mimo woli, bo przez myśl mu przeleciało: “Bo i robi”, ale - ku jego zdumieniu - Bolko z nagłą sam wykrzyknął:

- I robi. Nie dlatego, że cesarz pan nade mną, jeno że godny to gość, zawždy cześć to dla gospodzina gościa takiego mieć. Ale i cesarz nie pojmuje tego ni ci, co ich ze sobą wiedzie. Dlatego i chcę ich zadziwić: żeby pojęli.

Lecz w tej chwili pojawił to i Zefrid, pojawił to i Warcisław. Ten przykurczył się raptem, jakby chciał skoczyć do Bolka, ale nie drgając; lecz całe jego wnętrze drgało, ujrzał nagle ten obraz: jakby oto rosła przed Bolkiem wielka góra, cała pokryta lasem szumiących świerków, i jakby on, Bolko, co stoi tu rozkraczony i krzyczy - jakby on tę puszcę gładził dłonią, a drzewa się mu przesmykały między palcami by żdźbła trawy; nad nim obłok okrągły i bardzo jasny sunie z wolna, napełniając niebo i ziemię światłem. Drgnęło coś w piersi Warcisławowej, o czym nie wiedział Bolesław, choć na tych drganiach stało księstwo i jego władza nad księstwem. Nie wiedział o tym, a że ogień znów przygasł, rzucił krótko: - Dorzuć polan - wciąż chodził.

Była już noc głęboka. Ośmiu posłów Belkowych poganiało zdyszane konie, lecieli we wszystkie strony ledwo przedeptanymi drogami, niby po promieniach gwiazdy. Była noc. Iskrzyło się czarne niebo, drzewa milczały. Spał kraj. Łomotały kopyta ośmiu koni. Bolesław chodził po świetlicy gniezdnieńskiej.

- W tym radość, że Gaudentego wiecie cesarz, iżże namaszczony został na arcybiskupa mojego. To jest radość. Nie pojmujecie to? Przedtem świętki nasze kogo słuchali? Mnie słuchali abo świętego Piotra słuchali? Merseburga słuchali, a minęłoby dziesięć lat: tak by nam arcybiskup Magdeburga siadł na kark, że tchu by nie stało, ot co! Przejednałem Ottona: koniec temu. Ale to nie wszystko, raz trza ciąć, jednym machem. Dlatego pytał was: jak cesarza zadziwić? By pojawił ona gadkę Wartkową: o wilku i stadzie. Kiej pojmie, drugim moim będzie, a ja jego. A może jeszcze kiedy...

Odetchnął.

- Zefrid bajął: "bogactwo" i mądrze bajął. Ale mało tego: inaczej go zadziwię, cesarza. Trza, by poznał, że to nie tak: on wilk, łaskawy nynie wilk, a my stado. Mało pokazać mu bogactwo, to tak, jakby wilkom pokazać: wiele tłustych jałowic ma stado a wiele utuczonych wołów. Jeszcze coś pokażę cesarzowi... - urwał, spojrział na Wartka i naraz zaśmiał się w głos:

- Zęby cesarzowi pokażę.

Na słowa te Warcisław stuknął się w udo i zakrzyknął:

- Ooo! - a Bolesław:

- Pokażę wilkom, że i my wilki. Żeśmy stado, ale... wilcze stado - a potem, od razu zmieniając ton:

- Kogoś to do Jomsborga posłał?

- Jarka, syna Białowąsowego. Bolko zmarszczył się.

- Ki Jarek?

- Mój swak. Jego Wojciech chrzczył tutki, Weletów z wami bił, ksze.

Bolko zamyślił się - i po chwili:

- Wiem. Onemu ramię przekłuli, kazałem mu trupy wieźć. Jaki on? udały? - i naraz się roześmiał:

- Kiej on twój swak, nie powiesz, że nieudały. - Wartko też wyszczerzył zęby:

- Wždy udały, ścierwo.

Dobrze. Rzekłem onemu Jarkowi... - mruknął Bolesław i znów się zamyślił.

W tejże chwili Jarek dojrzał szeroki przesiek na prawo, wycięty w zwartej ścianie boru, spojrzął na niebo, do świtu było daleko, targnął powodem, zawrócił na Wielką Drogę prosto na północ.

8.

Zawrócił, jechał jakiś czas krokiem, na drodze widział wyraźny ślad, księżyc wzeszedł, rozjaśnił niebo, w wąwozie międzydrzewnym wisiał głęboki mrok - tylko biała wstęga śniegu. Jakoś strach dotąd nie brał Jarka, dobrze mu było kiwać się na koniu, marzyły jeno palce u nóg. Wiedział, że gdzieś niedaleczko jest tu strażnica książęca, miło mu było pomyśleć, że obudzi wojów, konia nakarmi, zje i prześpi się krzywą. Najmniejszy powiew nie poruszył milczących drzew. Groza wiała od tej nieruchomej puszczy i groza ta jęła powoli wsączać się w Jarka, gdy tak - stępa - wolno się kiwał na koniu. Naraz jął się wsłuchiwać w tę zawiłą ciszę, słyszał tylko chrzęst śniegu, aż w pewnej chwili w chrzęst ten wpadł głośny rytm krwi bijącej mu w żyłach. Chciał pognać konia, lecz jakby zdrętwiał: ni powodów targnąć, ni piętami konia ścisnąć. Księżyc wyjrzał zza szurpatej ściany, rozświetlił drogę, jakby garścią skier sypnął na bieliznę. Potem znów nikły zakręt, znów miesiąc srebrzy jeno czuby sosen. I cisza. Martwa cisza nocy zimowej.

Naraz koń drgnął, uszyma zastrzygł, poruszyła się mu skóra na karku, zjeżył się cały. Nie ruszył szybciej, lecz krok mu się zmienił, coś nieuchwytnie trwożnego było w tym kroku, nagły lęk, nagły śmiertelny niepokój. Ten lęk koński - poprzez stopy, łydki, uda, siedzenie, poprzez ręce trzymające powody, poprzez zlanie się w jedno jeźdźca z koniem - przeszedł w Jarka, całe jego ciało było pełne nieświadomego lęku końskiego. Za ledwie drgnął ręką - niedostrzegalny krótki ruch - koń skoczył zrazu, zrazu cwałem, bez przejścia, w najwyższym pędzie, na jaki zdobyć się może ślepa trwoga. Jarek położył mu się na szyi, w kołyszącym pędzie podnoszony w górę, osiadał i wzlatywał: był to zwierzcłowiek, gnający bez pamięci, do zupełnego wyczerpania. Drzewa już nie milczały, puszcza huczała setką trąb, wyło coś w głębi kniei, księżyc wyskakiwał na drogę i krył się za czernią koron, sypał snopami światła, napelniał oczy i duszę człowiekazwierza lepkiem mrokiem, kopyta wybijały grudy śniegu, za zbiegiem gnała bez tchu groza nocy i puszczy.

Długi był ten szalony pęd? Mgnienie? Szmata życia? Nie zmierzyć takich chwil! Wstęga drogi się rozszerzyła w półkolistą polanę, zaświecił ośnieżony kaptur dachu, zasrebrzał nie szerniały potąd częstokół. Jak burza przypadł człowiek i koń do tej budowli. Nie zeskakując z siodła załomotał człowiek we wrota. Drugi raz załomotał, potem walił bez pamięci, bez przerwy, raz po razie. Coś zachrobotало wewnątrz, głęboki bas zadudnił z dala, snadź człowiek wołał z progu chaty:

- Ki? Kogoć tam niesie? Jarek wrzasnął:

- Otwieraj!

- Ktoś?

- Goniec księży! Do Jomsborga! Otwieraj, chyżo otwieraj!

- Co po nocy cię nosi?... Sameś?

- Sam.

- Idę. Kurpie wzuję.



Ileż to chwil - straszliwych chwil u zawartych wrót - upłynęło, nim drgnęła brama. Zaskrzypiał śnieg, zatrzeszczały zmrożone wierzeje. Jednym susem wdarli się Jarek z koniem, obaj drżący, za częstokół. Bugaj, w przepastnej czapie, w ogromnym kożuchu, zawierał wrota. Jarek zeskoczył na ziemię, koń dygotał jeszcze. Bugaj zacisnął zaworę, ale nie odjął od drewna ręki, słuchał chwilę. Odwrócił się do gościa, Jarek ujrzał na jego kosmatej gębie zły uśmiech. Bugaj burknął:

- Wilki cię gnały.

Jarek natężył słuch, dosłyszał teraz: daleki, roztopiony w ciszy, przejmujący odgłos; jakby bolesne westchnienie puszczy; rozpływające się w przestrzeni bezkierunkowe wycie; wilczy gon.

Bugaj jeszcze raz się wykrzywił, zabasował:

- W puszczy nie jeździć nocą. I we dnie rozedrzeć mogą. - Jarek zacisnął zęby:

- Wola księdza.

Koń wciąż drżał i - choć za ostrokołem - boczył się, przestępował z nogi na nogę.

Księżyc sypał na czarną noc szerokim siewem skry. Jarek powiódł okiem po strażnicy, po drzewach widnych zza ostrokołu w onej srebrnej jasności i - prowadząc za Bugajem konia - zapytał:

- Jak wy tu żyć możecie? W tej głuszy? - Bugaj powiódł ręką dokoła, jakby ku onemu wilczemu wyciu, nie odrzekł słowa.

Chata Dzioba gubiła się w bezkresach mszarów a lasu, z dala od dróg i grodów, więc zapomniana, niewidoczna, żyjąca poza światem. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie zima. Ale mszary były płytkie, zamarzały przy lutyh mrozach, dobrze było sunąć saniami po bezdrzewnej płaszczyźnie. Ledwo zrobili ślad, już nie zawrócisz rozpedzonych koni. A tej zimy latali gońce z Gniezdna i do Gniezdna, a wszystkim dobrze było jechać na przełaj tuż podle chaty Dzioba. Wiec i załazili dla rozgrzewki, dla wytchnienia koniom, na nocleg - jak wypadło. Wchodzili tupiąc nogami, zasiadali na ławie, śmiali się albo klęli, kazali sobie jeść warzyć a piwa dać, bez pytania siano ciągaliby ze stogów; nazywało się to - psiakrew ! - stan księży. Już się ten stan zwałił na Dzioba, gniótł iście wolim jarzmem. Na dobytek białka Dziobowa zległa, pierwszy raz, ciężko szło. Matka nad nią siedziała, kobieta wyła dziko, po wilczemu, rękoma chwyciła za ramiona ratującej, głowę odwaliła do tyłu, szczyrzyła zęby, raz po raz krzyczała cienkim, przeraźliwym głosem. Dziob siedział u paleniska, odwrócony od żony, łamał chrust w łapach, układał gałązkę po gałązce, ale ręce mu drżały. Aż tu - między wrzaskiem a wrzaskiem - usłyszał Dziob skrzyp płóz, męskie głosy. Z pasją złamał trzymany w ręce sęk, wstał, zatrzęsło go.

Znów najechali, oby im czerw wątpia wyżarł! - ruszył do drzwi.

Nim otworzył, w progu stanął woj, gęba czerwona, ważna, na żółtym, skórzanym kubraku półpancerzyk, za pasem z jednej strony topór, z drugiej miecz. A już i zmierzchało na dobre. Woj krzyknął srogim, nakazującym głosem:

- Stan dawaj! Dwu nas a konie...

W tejże chwili spod płachty, którą narzuciła na chorą matkę z obawy przed złym okiem obcego, rozległ się znów ten sam przeraźliwy krzyk, wraz drugi, trzeci krzyk, a potem już ciągle, nieprzerwane wycie. Matka, nie bacząc już, odrzuciła dół płachty, woj wywalił gały na babie nogi, stara coś tam gmerała, nie burczała już zaklęć jak wprzódy, wykrzykiwała je w głos. Woj splunął i naraz z pyskiem do Dzioba:

- Taki to stan księży? A?... Padło śmierzące. Spokoju krzty nie zaznamy.

Dziob pochylił ponuro łeb, zuchwy mu latały, wycharczał:

- Widzicie, panie, białka mi zległa. Idźcie swoją drogą - ale tamten rękę wyciągnął:

- Noc. Niedawno na Wielkiej Drodze mało co wilki woja nie zażarły. Stul pysk! - a odwróciwszy się, przez otwarte drzwi:

- Bywaj! Konie wiedź!

Izba była mała, ciasna, w kącie się tuliły do siebie trzy owce, pomekiwała koza, chrząkał wieprz. Tuż wyła Dziobowa w męce, a palenisko, a skrzynia - nie obrócić się. Ale będziesz to gadał z takim, co stan bierze: wwalili się obaj, a dwa konie wwiedli, a jeszcze Dzioba posłali po siano a słomę. Konie strachały się, tupały, zduszone jeden przy drugim, woje przysiedli u ognia, grzali ręce, a kosili

wciąż oczy ku onym nogom i starej, nie ustającej we wrzaskliwych przekleństwach. Od wezglowia dochodził wciąż krzyk:

- Och! Och! Aaaaaaa! Jaszo, Jaszo! Aaaaaj!

Dziob przyniósł w saku siano, słomę rozścielił u ognia, nie dbając już powiedział:

- Złe na was! Urzekniecie mi białkę, tfu! złe na was. - Tamten z czerwoną gębą wyszczerzył zęby:

- Masz kaszę?

- Nie mam.

- Ubij w stępie.

- Ziarno już dawno spyskalim - błysnął kłami w bezsilnej pasji. - Nic nie mam.

Czerwonogęby zwrócił się do towarzysza:

- A no, Szpak, ciągnij barana z kąta. I baranina dobra, choć bez piwa.

Dziob pięści zacisnął, woj wstał, lecz jednocześnie od wezglowia zerwał się nowy atak krzyku, ale inny, urywany. Szpak na to "aj aj aj!" odwrócił głowę, przystanął, kobieta naraz wrzasnęła głośno a krótko, potem długie "aaaa..." coraz niższym, coraz cichszym głosem, potem głębokie westchnienie ulgi, a potem niespodziewany pisk, niby sójki, niby trafionego strzałą zająca, a jednocześnie świszczący szept babki:

- Dziob, daj no nóż, chybko, chybko.

Dziob pokręcił się po izbie, stara zaś powstała i potrząsając ku obcym pięścią wrzasnęła:

- Ogień syćcie, suczy synowie, słyszycie? Chyżo ogień syćcie - niby urzeczeni usłuchali, dorzucili chrustu, płomień trysnął, skwapliwie zgarniali go rogaczem od słomy i siana. Znów zamęczała koza, siwy koń zagrzebał przednią nogą, wstrząsnął łbem i zarżał. Dziob zbliżył się pochylony do wojów, szepnął roztrzęsionym, dławiącym się głosem:

- Dumalem, złe oko może być w taki 'czas. Widzę: dobrą dolę przynieśliście - a potem pochyliwszy się, nie mogąc strzymać tego, co mu rozpierało żebra, najcichszym, najszcześniejszym szepem:

- Syn.

I zaczęło się przyjaźnielstwo między smardem a księżymi wojami: i kasza się nalazła, i pół sarny, a Dziob, rozdzierając nożem mięso, gwarzył:

- Wiecie: gość w taką porę na dobro abo na zło. Wy na dobro, trzy dni mi białka krzyczała, mać zrzędziła już. Przyjechaliście: i wraz. Mam ci cebrzyk piwa w jamie, wyciągnę, podchmielim w dobry czas. Czekaście - w kącie, gdzie wieprz chrząkał, odrzucił mierzwę, wyrwał parę dyli, skoczył

do jamy.

Ciasno było w izbie - konie, ogień, bydłeta, goście, chora - ale piwo było dobrze chmielone, wraz gadki, wraz pogwarka a pieśni. Siano chrupało w końskich zębach. Dziobowa zasnęła z ramieniem odrzuconym na bok i głową pochyloną, stara przycupnęła z owiniętym w płótno raczkiem, trzech mężczyzn przepijało do siebie, potem zgarnęli węgle, ułożyli się tuż obok na rozścielonej słomie, zachrapali trzema gardłami. Ściemniało.

Cicho było, konie zginały łby, chrupały, wieprz chrząkał, chora postękiwała przez sen. Aleć pewno pijane były ręce, co zgarniały węgle, albo obcy złym okiem spojrzeli na Dziobową chatę: nad spopielającym zarzewiem wybłysnął nikły, błękitny płomyk i opadł, znów błysnął, ale już żółto, chwycił zębami garść słomy, buchnął, przygasł, znów buchnął, koń uwiązany u brzegu skoczył, zachrapał, przednim kopytem odrzucił kłak siana, ogień przewalił się nad onym kłakiem, podniósł się na wysokość człeka, ruszył prosto na wojackie konie.

Konie stanęły na tylne nogi, przerażone oczy, chrapanie, zerwały uwiązła, płomień przeszedł im przed nosami, rzucił się na kopę siana, od razu rozrósł się w wysoką, czerwoną ścianę, uchwycił się stropu, płynnymi językami polazł po dylach, nurknął na wyżki, zawinął kłębami czarnego dymu, zahuczał by wicher. Dziobowa otwarła oczy, ujrzała drgającą czerwień, słyszała huk, beczenie i mek, wrzała nieludzko. Konie przysiadając na zadach cofały się przed płomieniem, targnęły się w bok, zaryczały ludzkim głosem; spłoszonym stadem owce miotały się po izbie; dym zawałił chatę, rudy w ogniu; stara zerwała się z krzykiem, włosy się paliły jej wielkim płomieniem, suchą garścią chwyciła za głowę, drugą macała wokół, wyła: "Mały! Mały!"

Wprost na płomień leciała Dziobowa w zakrwawionym gieżle. Obaj woje siedli jednocześnie, usta mieli otwarte, coś w nich warczało, czerwonogęby zatoczył się na bok, zduszony dymem zwałił się, drugi już był na nogach, ryczał: "Drzwi! Tam! Tam!" czerwonogęby pełził za nim na rękach; nad huk ognia cienki, babi krzyk Dziobowej, ręce wzniesione do góry, wysoko nad nią chrapy oszalałego konia, zadarte w górę przednie kopyta padając uderzyły białkę w piersi, rzuciły wprost w pożar - tylko jej nogi mignęły, dym zakrył. Dziob wodził chwilę durnymi oczyma, odchylony do tyłu, wsparty na ramionach. Skoczył od razu, żar go zwałił, chłop wciągnął w płuca kłęb duszącego, rozpalonego dymu, w oczach noc, czerwone błyskawice, w głowie sto młotów kuje, podłazi ku wezglowiu, w czerwonej jasności po omacku znalazł skręcone ciało matki, odzienie się tliło na niej, parzyło palce, nie czuł tego. Z zaciśniętych garści siłagwałtem, na ślepo, bez myśli, wyrwał owinięty tłący kłaczek, przez ryk, tupot, chrapanie i dym wypełził do drzwi, wykarabisał się z kleci. Śnieg drgał skaczącą purpurą, obaj woje stali jak pnie, patrzyli tępo na słup ognia z kupą dymu, w krwistych kłębach przewalającą się pod gwiazdami - mimo śniegu strzecha płonęła. Naraz z onej pożogi wyrwał się cudemdziwem koń, osmalony, oszalały, na oślep się rzucił przed siebie, w śnieg, wraz padł na pysk, dźwignął się, znowu padł, już nie powstał; leżał z wyciągniętymi, śmiesznie złożonymi nogami, z głową zadartą, z wyszczerzonymi zębami; w szeroko rozwartym oku skakał odbłysek ognia.

Dziob siedział skulony, patrzył w swoją zarchatę, w zaciśniętych ramionach trzymał owo zawinięcie, co je był z pożogi wyniósł. Siedział bezmyślnie. Nie widział. Nie słyszał. Nie podniósł głowy, gdy przepaliły się krokwie, zapadł się dach, plunął w niebo skrami, chata rozgorzała czerwonym stosem. Nie dojrzał, jak woje, mruknąwszy cosik, zerknąwszy zezem na Dzioba, pokuszytkali przez śnieg.

Chata się dopalała. Zgasł słup ognia, śnieg nie świecił już, zarzyła się kupa węgla, skakały po niej błękitne, chybotliwe płomyki. Mróz cisnął, gwiazdy mrugały. Człowiek siedział ze swym zawiniątkiem, patrzył na one węgle. Nie czuł, dobrze mu było.

Obudzili go ludzie. Długi cień nachylił się nad siedzącym, wstrząsnął go za ramiona. Chłop podniósł nań oczy, nie poznał. Tamten targnął go raz drugi.

- Wstawaj! Zmarzniesz. - Dziob się nie ruszył.

- Wstawaj no! Pożar ujrzelim, przybieglim. Gdzie twoja? Dziob kiwnął głową na boki, milczał.

- A mać?

Wciąż głową kiwał. Opuścił oczy na zarzewie. Spojrzeli i oni.

- Zgorzało wszystko - powiedział wyższy cień - zdurniał chłop z tego. Rankiem przyjedziem, poszukamy - a do Dzioba:

- Wstawaj. Sanie mamy. Wstawaj.

Dał się prowadzić, przy saniach niższy dotknął zawiniątka, spytał:

- Co tam niesiesz? Daj.

Po raz pierwszy Dziob wydał głos, ramiona przycisnął, przytulił do piersi, krzyknął dzikim, obłądnym wrzaskiem:

- Co chcecie?! Nie dam! Nie dam!

Wrzucili go do sań, stuknęli po grzbiecie wołu. Dziob leżał na wznak, patrzył w gwiazdy jak ongiś - kiedy to? - w pożogę. Wiozący gadali z cicha, poganiali wołu, bali się wilków. Dojechali do dwu chat tuż podle siebie stojących, wyciągnęli Dzioba, szedł zataczającym się, niepewnym krokiem, ramiona wciąż tulił do piersi. Drzwi się otwarły, przystanął na blask ognia, cofnął się, ale pchnęli go w plecy - wszedł. Białka, siedząca na ławie, kiwająca zawieszoną na sznurach kolebką, na widok tej gęby czerwonej, spalonej, z białymi nabrzmieniami bąbli, bezwąsej i bezwłosej, krzyknęła. Mąż pogroził jej zza pleców gościa pięścią, powiedział zduszonym głosem:

- Dziob spalił się. Ze szczętem: białka, mać, dobytek: wszystko w ogniu. Przywiozłem go - i zrobił jakiś niezdecydowany, nieśmiały a niezgrabny ruch ręką. Białka puściła kolebkę, wstała, rzekła trochę drżącym głosem:

- Bywajcie w zdrowiu. Chodźcie! Chodźcie!

Wówczas Dziob podszedł ciężko do skrzyni, złożył na niej swój ciężar. Kobieta się pochylała, odwinęła na wpeł zwęglone płótno: na skrzyni leżał czerwony, pokrecony trupek dziecka.

Zefrid leżał w saniach, patrzył na ośnieżone świerki. Od miesiąca był wciąż w drodze, chyba wszystko w księstwie było w drodze od dnia przyjazdu z Rzymu Astryka. Bolko się wściekł, ganiał ludzi, sam z konia nie zsiadł, wiechcie jego płowych wąsów powiewały i w Gniezdnie, i w Lednicy, i w Poznaniu, stamtąd pognął konno do Wrocławia, z Wrocławia do Łwy, gospodę budowaną pośpiesznie obejrzeć, od Ślęzan zawrócił ku Krakowowi; teraz gdzie był? W Kruszwicy czy Kołobrzegu, w Gdańsku czy Wiźnie, kaj go czart pognął, tego wcielonego czarta? Z Gniezdna, z Poznania, z Lubczy, z Wrocławia, z Krakowa - zewsząd, gdzie się okręcił, słał ludzi, każdego, kto mu się pod rękę nawinał, gdzieś na koniec księstwa - a to czy sukno krasne gotowe, czy pełna wieża poznańska broni, czy kutych srebrem rogów dostaniesz u kupców w Wołyniu, czy byle sprzączka u pancerza ostatniego z wojów nie zardzewiała, czy sulice wysłane, czy łuby pełne strzał. Kazał wrota Poznania na nowo krasić, na nowo tarcze wojom malować czerwono i żółto, topory ostrzyć, nowe kubraki szyć, nowe siekiery kuć. Cyrkwie wszystkie czyszczono a kraszono, ksiądz obdarzył każdą nowymi darami. We dwóch ze Stojgniewem nigdzie nie usiedzieli chwili, zawsze ganiał ich niespokojny duch - pogwarzą przy piwsku, spojrzą sobie w oczy, zaśmieją się - już rankiem gdzieś ktoś leci, coś nakazuje, woje klną, smardy coś gdzieś ciągną, piłują lub rąbią, woły stękają. Teraz się z nimi sprzął trzeci bies - Piekuta: ten był jeszcze bardziej ruchliwy a chybki od wojewody a księdza. Już to Piekuta wlał w dumki Bolkowe jak drzazga pod paznokieć! A niech tam!... on sam przemawiał za Piekutą, a nynie widzi: trza będzie utopić gada, wygryźć... - Zefrid znów się zapatrzył w ośnieżone świerki, leżał chwilę, wykrzyknął do wiozącego chłopca:

- Poganiaj! Wloką się te konie by muchy w miodzie.

- Ej! - krzyknął otrok, śmignął batem. Zefrid zmarszczył się: gorzkie były dumki Zefridowe.

- Próżno jadę do Gniezdna. Co zrobi, głupia? I nie zechce. Ale gdy wszedł do żony, twarz miał uśmiechniętą i przymilną.

Siedziała sztywno, z dłońmi zaciśniętymi na kolanach, gdy bajał jej o przygotowaniach na przyjazd cesarza a Gaudentego, o cyrkwiach, gospodach, drużynie i darach. Zefrid ze swego zydła gadał nieprzerwanie, Latorosłka znała już to terkoczące paplanie, wiedziała: kryła się za nim skryta, chytra myśl - usiłowała przejrzeć tego nieprzeniknionego człowieka; Bolko kiedyś - po pijanemu - klepnął ją otwartą dłonią po łopatkach, powiedział ze śmiechem:

- Mąż wasz, Adelajdo, na j chytrze j szy człek w księstwie - a zaraz, wciąż z tymże śmiechem, lecz ze spoważniałymi oczyma:

- Wždy niechże baczy, by nie przechytrzył - a odchodząc jeszcze:

- Powiedzcie mu to. - Skoro powtórzyła wówczas mężowi słowa księdzowe, Zefrid rozgadał się szeroko o czym? czyliż kiedykolwiek słowa Zefridowe coś mówiły?

I teraz nie mówiły, pusta była gadka o cesarzu, o cyrkwiach, gospodach, drużynie i darach.

Latorosłka, z oczyma utkwionymi w czarne oczy mężowe, przemówiła w końcu sucho:

- Ca puste gadki bajasz? Nie ciekawam spraw księżstwa. Urwał na jedno mgnienie, na chwilę potrzebną do odetchnięcia, a potem głosem lekko karcącym:

- Zlec, Adelajdo, nie tak trza... Siostraś wojewody, družkaś Emmildy, małżonaś księdzowego kapelana.

Znów urwał, przywarł oczyma do jej obcej, wrogiej twarzy.

- Przywiozłem ci nową ciasnochę, bławą, gwiazdy na niej złote, takiej i Emmilda nie ma. A sznur bisioru przywiozłem, piękny sznur - wyciągnął dary z sakwy, rozłożył przed żoną.

Adelajda nagięła się nad suknią, twarz jej ożyła, przyłożyła szatę sobie pod brodę, wyprostowała się jakimś radosnym, tanecznym ruchem; w palcach przebierała paciorki naszyjnika. Zefrid wlepił w nią przenikliwe wejrzenie, zagadał szybko, szybciej niż wprzód:

- Wieszli, Adelajdo, nie chcą mię. Wiem już: wyznaczili biskupów. Poppon będzie w Krakowie. Ów wielki mnich, co z posłaniem przyjeżdżał do Bolka, co nań wołają Jan, ostatek we Wrocławiu. Rajnbern, Niemiec, dostanie Pomorze, a siedzibę będzie w Kołobrzegu. Unger po dawnemu w Poznaniu. A ja...

Urwał, oddychał głośno. Nie była to owa lisia twarz Zefridowa, coś ludzkiego na nią wypełzło, jakiś wyraz widoczny i uchwytny, zawód i zgnębienie, śmieszny i żaloszny był z tą twarzą. Lecz Latorosłka nie podniosła nań oczu, wciąż się bawiła naszyjnikiem. Gdy się tak uśmiechała kątami warg, była daleko od trosk mężowych.

Zefrid jechał do niej z głuchym poczuciem: nic mu już nie pomoże. Czyliż głos jej mógł zmienić decyzję Bolkową. Czuł i teraz: na nic jego słowa, ale porwał się naraz, chwycił ją za przeguby rąk i przyciszonym, szybkim szeptem sypał:

- Siostraś Stojgniewa a družkaś Emmildy. Przemów za mną, Adelajdo, przemów. Niechże odmieni Bolko swe słowo, niechże mnie... - i zatchnął się.

Latorosłka puściła naraz naszyjnik, jakby jej się sam wysunął ze zdrętwiałych palców, spadł na ziemię. Podniosła go szybko, wraz z suknią, położyła przed Zefridem i - z odtrącającym ruchem dłoni - powiedziała:

- Zabierz swe dary, Zefridzie.

Już był to dawny Zefrid, bystry, lisi. Już mówił swą dawną, szybką pogwarką:

- Nie... cóż... tobim przywiózł te dary. Małżonie swej, jaż miłuję, a ona mnie - i bez żadnej przerwy, tym samym głosem, jakby ciąg dalszy: - Jak miłuje, poznałem, kieć mój syn zmarł: zawodziła po synku. A później... ejże! później. Złe ozory ludzkie. Bajali mi - oczy przymrużył, tylko mu dwie szparki widniały - tu w Gniezdnie, zanim to przyleciałaś za mną do Poznania, widzieli ludzie, jak kapelańska białka biegła w las z komornikiem księżym... z Kłębem... Aa... znaszli obyczaj? Co z takimi białkami robią? - i głosem świszczącym by bat: - Głowy im tną. Wieszli? Nic się nie zmieniło w jej skamieniałej twarzy.

- Wiem.

- Abo w ziemię żywą kopią. I to wiesz?

- I to wiem.

- Ejże, Adelajdo. Przemów za mną. Wždy małżona moja. Przemówisz?

A ona - cofając się z odrazą:

- Skarż mię. Niechże mi głowę tną abo żywcem kopią. Z poczuciem, że przegrał, że nic już mu nie pomoże, szepnął:

- Ciebie? Wždy miłuję cię jak ty mnie. Ciebie? Nie. Aleć... onego Kłaba dostanę już. Dostanę. Daj mi jeść, miła moja, zdrożonym.

Gdy mu usługiwała przy jedzeniu, w pewnej chwili ledwo dosłyszalnie szepnęła:

- Pojadę do Stojgniewa, Zefridzie. Podniósł na nią zmrużone oczy:

- A no! Wiedziałem, że mię miłujesz, miła moja.

Budziwoj podchodził do każdego woja, u każdego znalazł coś do poprawienia:

- Ty, Gwozd, bacz, jaki to szczyt, gnój nim nosiłeś pewno, myj g°j ma błyszczec, suczy synu. Nie zdołasz to kozucha zaszyć? Kierz, obacz, pod pachami włosie widać. Mało szypów w tulę, a pióra zgniecione, puścisz taki szyp w sosnę, on ci w dąb trafi. Gadam wam, smardy, wszystko świecić ma, a odjedziesz od was na mało-wiele, już broń łajnem obrosła. Baczcie! - Stali wyciągnęci w długi szereg, jakby wraz mieli skoczyć w bitwę, gęby naburmuszone, czapy baranie z wygiętym łękiem brzozowym naszytym na wierzchu, chroniącym szczyt głowy i czoło, pomalowanym ochrą; grube kozuchy, ściągnięte pasem; poniektóry pas nabity blaszkami; topór za pasem, łuk na plecach, sulica w garści, szczyt kraszony, krągły, z bukiem w środku, na lewym ramieniu. Budziwoj szedł od jednego do drugiego, każdego obmacał, broń obejrzał, nawet onuce i gacie, raz wraz się odwracał do idącego za nim Stojgniewa, burczał doń przekleństwa na tarczowników. Woje wodzili za obu oczami, tylko im białka błyszcząły ze szczeciniastych pysków. Wreszcie Budziwoj krzyknął:

- Idźcie do gospody, wojewoda przyjechał, kazał wam piwa dać podwójnie, a mięsa więcej. Żryjcie i pijcie, synkowie, niechże wam kałduny popękają!

Gdy z błonia wracali ze Stojgniewem do grodu, mówił wojewoda do Budziwoja:

- Nynie, pry Bolko, nowy ład będzie. Zaczęły się te oględziny na przyjazd cesarski, nynie ksiądz pry: co rok także oględziny. Nie na przyjazd gościa ład ma być, zawždy ma być. Wojów, pry, mam kupę, wždy cięciwy im gniją, kozuchy podarte. A wyprawę trzeba wieść, wtedy nocami siedzą, szypy gotują. Tfu! Odtąd zawsze ma być jak na przyjazd cesarski.



Gęba Budziwoja zmarszczyła się w uśmiechu, jakby ją kto garścią ścisnął:

- Prawie ksiądz gada. Mniej bitek będzie, a ganiań za dziewczkami. Trza, by topory zawždy były natoczone, nie przed wyprawą tylko.

W grodzie oznajmił Stojgniewowi żupan, że przyjechała doń siostra.

- Siostra? - zdziwił się - gdzie jest?

- Dałem jej komorę w księżej gospodzie.

- A no... - lubił Latorosłkę, wraz poszedł. Ucałowali się.

- Zdrożonaś? Głodnaś?

- Dali mi jeść a pić, leżałam krzynę - zdała się Stojgniewowi blada, chuda jakaś, żółta na skroniach. Zatrokał się, ale nie śmiał pokazać tego, spytać wręcz. Gadugadu, nie wytrzymał w końcu, przygryzł wąsa zębami, unikając jej wzroku zagadnął:

- Schudłaś. Zły dla cię Zefrid? Bija? - ledwoledwo brwi zmarszczył. Zachnęła się.

- Kogo by Zefrid uderzył? Eh! Zdumiałeś, Gniewek. Ale jak mi syn zmarł, cięgiem słabuję. A Zefrid...

Zacięła się. Stojgniew burknął z niechęcią

- Co?

- Czyli?... - wzniosła nań nieśmiałe oczy - Zefrid... Prawdali to?

- Gadajże.

- Zali nie namówisz Bolka, żeby biskupstwo Zefridowi dal ?

- Ja? - aż nagle pięścią w kolano - ja?! Słuchajże, Latorosłka: gdyby Bolko chciał mu je dać, sulilibym, by nie dawał, gadowi nigdy.

W oczach jej stanęły łzy.

- A mnieś dal onemu. Nasepił się, ale oczu nie spuścił.

- Isto dałem. Psia... Umum nie miał. Złożyła mu naraz obie dłonie na ramiona:

- Gniewek! A... a odjąć byś nie mógł nynie? Zmarszczył się:

- Ksiądz nie zwoli. Późno. Skłoniła głowę:

- Późno, Gniewek. Ale ciężko.

Stojgniew trzepnął palcami, zaczął chodzić po izbie. Nie kleiła się im jakoś gawęda.

Jak się spodziewał Zefrid, z niczym wróciła Latorosłka od Stojgniewa i Emnildy. Uśmiechnął się krzywo, powiedział: - Dla próby cię jeno wysłałem. Noś ona ciasnochę a bisior. Ostawaj z Jezu Krystem.

Znów leżał w saniach, patrzył na ośnieżone świerki, gnał gdzieś z polecenia księdzowego, lisie dumki chodziły mu po głowie, lecz wiedział: nie wiodło mu się jakoś .ostatnio. Aż w pewnej chwili uniósł się nieco na łokciach, rozejrzał się, pomyślał:

- Dobiera sobie, Bolko, dobiera. Ale jest jeszcze Mazowsze... Mazowsze jest. Niechże się uspokoi ten gwałt, obaczym. Tymczasem... - i już myśli mu latały same, szybkie, gołymi imionami, przy każdym imieniu obraz, pamięć węzłów i intryg.

Bolko.

Rajnbern - z zapadniętą twarzą.

Gaudenty - migający okiem, gdy kto Wojciecha wspomni.

Gruby Dedi - z obwisłymi policzkami, krewniak Ody.

Oda - sucha, zaciekła - a synowie jej. Mieszka jest giermkim grafa Hugona. A Świętopelk?...  
nie mały już Świętopelk.

Piekuta - jakże go wygryźć, małego, krępego Piekutę? Dziewanna? Sobiesiaw? tego sam podkopał przed Bolkiem. Może klątwę na Piekutę wyjednać za ów krzyż, na który zrazu srebra dać nie chciał. U kogo? U Poppona?

Unger - ach! trza znów z Ungerem się sprząc.

Kłęb. Co za Kłęb? Komornik jakowy ś.

Bolko Rudy, przeciw niemu Jaromir a Udalryk, a Sobiebor. Gaudenty, brat Sobiebora. Jakże to?

Piekuta, Piekuta, Piekuta... Och, Piekuta!...

Stojgniew i Przemko Świradowic, koński łeb Zadora i łysy Odrzykoń, i Budziwoj, i Jarosz, i Wartko, i Sułek...

Jago, drug Ottona, ten ci w nieprzyjaźni z Dedim.

Ekkehard, drug Bolkowy, a bratanek jego, Guncelin.

A ówże Dzierżyk w Jomsborgu ponoć się kłóci z Sigwaldem.

Emnilda, Latorosłka.

Bolko.

Natężone lisie plany. Tu mignąć, tam udać, wywabić, zagnać na śmierć. Czarne oczy patrzą w niebo. Po niebie p/na białe obłoki, na brzegach złoto. Złoto!

Chłopak wiozący Zefrida usłyszał cichy śmiech. Głowę odwrócił - świętek patrzył w niebo, wargi ledwo odchyłone, i ten cichy, z głębi piersi chichot. Tfu! na złe...

Zefrid uniósł się nieco, krzyknął:

- Poganiaj! Chyžo! Chyžo!

Zawsze dlań było za wolno.

Bolesław jechał drobnym truchcikiem, za nim walił na gniadym, roslym źrebku Piekuta. Bolko mu darował onego źrebca, starej klaczy nie nadażyć za koniem fiołkowym; a tej zimy mało się rozłączał Bolesław z pierwszym komornikiem, musiał Piekuta zdążyć za księdzem w ślad i w ślad - już go kości bolały od tego ciągłego podskakiwania na siodle. Bolesław zdarł w pewnej chwili konia, kiwnął ręką na komornika. Zrównali się, jechali stępa pobok. Bolko spytał z przyjaznym uśmiechem, gdyby Stojgniew widział ten uśmiech, wiedziałby: źle z Piekuta. Książdz pytał: - Co jest Kłęb?

Piekuta podniósł brwi ze zdziwieniem:

- Jest taki komornik, posyłam ji tu... tam... jak wielu.

- Jak wielu?... - zagadnął Bolko, nic nie odparł, uderzył konia pletnią. Piekuta spojrział na falujące w galopie kłęby księdzowego konia, nastroszył się.

Z najbliższego postoju pchnął gońca: "Kłęb natychmiast niech szuka mnie. Choćby z posłaniem jechał, niech zawróci i szuka mnie. Konia mu dać".

Nakaz Piekutowy dognał Kłęba podle Łęczycy. Zdał przewóz Robakowi, ruszył na Śląsk. Znalazł Piekutę we Wrocławiu, gdzie wprzódy ten był grodowym komornikiem, nim wziął miejsce po Sobiesławie. Przyszedł doń oszroniony, tak siak ostukał śnieg ze skórzni, pytał się Piekuty, czego by odeń chciał. Piekuta wparł weń oczy, zdało się: wszystkie mięśnie na twarzy mu chodziły, zagadnął:

- Maszli jakiego wroga? Gadaj. Zaokręgały oczy Kłęba.

- Wroga?

- Ktoś naszczekał na cię przed księdzem.

- Kto?

- Dureńś. Bym był wiedział, przeczzebym pytał! Komuś w drogęś wlaź? Głowa w tym twoja: pókiś żył, tak blisko ciebie topór nie był.

- Nijakiego wroga nie mam.

- Pomyśl.

- Nie mam, mołwię. Ni ja znam kogo z wielmożów, ni widziałem. Nikomum w drogę nie lażł.

Piekuta potarł czoło pięścią, myślał o sobie, nie o Kłąbie, zwidział mu się przygięty nad skrzynią cień Sobiesława u Złotej Góry; mruknął:

- Bieda.

I kazał dać sobie piwa.

Gęsto przepijał do Kłąba, nie spuszczał zeń twardego wejrzenia. W pewnej chwili przysiadł się doń bliżej, objął go ramieniem, z serdecznym przyjacielstwem rzekł:

- Dziwny człek ty, Kłęb. Ktoś prosi za ciebie, ktoś judzi na cię. Wiem to: siedziałeś by dzik w puszczy. Zwierza biłeś ze stryjcem. Posłali po cię, kazali komornikiem zrobić. Nic Bolko nie wiedział o tobie, a posłał. Ktoś prosił za tobą, nie wieszli kto?

Kłęb czuł, że mu policzki zaczynają płonąć, policzki, czoło, kark. Wsadził garść w czuprynę, patrzył odurniały na komornika, mieszał się pod jego zesrożonym naraz, upartym wejrzeniem.

- Wieszli, kto prosił za tobą?

- Wiem.

- Kto?

Nagłe szarpnięcie w piersi, nagły przyptyw dumy. Piekuta nie spuszczał zeń oczu.

- Gadaj.

- Tego nie powiem wam.

Znów mięśnie policzków, czoła, brody poruszyły się na twarzy Piekuty.

- Słuchaj no...

- Nie powiem - przerwał mu twardo Kłęb.

Piekuta zamilkł, podniósł róg z piwem, przełknął, pociągnął już bez uprzedniego przyjacielstwa, tak jak zawsze, gdy wydawał jakiś nakaz:

- Jedź do Krakowa, siedź tam, czekaj na mnie - gdy Kłęb odszedł, mały komornik pił długo, w głębokiej zadumie.

Szły mrozy i odwilże, śnieg zasypywał wały wawelskiego grodu, Kłęb siedział w Krakowie, czekał

na Piekutę. A w tym czasie znalazł łowiec do jego stryja, Pazura, gościł trzy dni, zagadywał o Kłába: skąd, czyj, co tu robił, kogo znał; w tymże czasie przybył włodarz do dawnej chaty Kłábowej, fukał gniewny, rozpytywał o Kłába; jakiś woj z krzywą gębą i moszną pełną srebra poprzyjaźnił się z Nielubem, pił z nim, gadał o Orczycy, o siostrze jego, białce Zefridowej, a kto podle Orczycy żył z łowców, a czy do Orczycy chodził, a czy zwierza tamok moc; kulawy dziad odnalazł chatę Kołka, od Kołka dotarł do Zabrza, zgadało się o przewozie, jenż komornik księży, Ludek, wiódł: przepadł on Ludek, białka jego już drugiego chłopca znalazła; tenże dziad spoił starego Szysza, wysłuchiwał jego żalów a biadoleń, a o Ludka pytał, o Kłábie zagadywał; komornik księży, Juszka, nocował u mytnika na moście sądeckim, rozgadał się z nim, jak to w on czas Stojgniewa tędy wieźli, kiedy go Węgry poszczerbiły, a wtedy i kmiecie byli tu, prawdali to? opolna gromada kopała za czymś - nie wiedzieli za czym - wzdłuż drogi, ale że śnieg leżał grubo, mróz był, nic nie znaleźli; a kleryk Ungerowy, co zajechał do Gniezdna, gadał ze stróża, wesoły był człek, śmiał się z Zefrida, chwalił białkę Zefridową, aż mu opowiedzieli, jak to bez męża latała po lesie; wielu ludzi w tym czasie gadało o Kłábie a pytało on - ale bo bardzo się nie chciało Piekucie podzielić los Sobiesławowy. Cały ten czas Kłáb tkwił w Krakowie, czekał na Piekutę; na topór czekał.

Gdy się doczekał komornika, ten już nie pytał, nawalił się nań z pyskiem:

- Nie wfesz ty, psi synu, nie powiesz mi, łajno śmierdzące. Nie wiesz? A kto Ludka ubił? Nie wiesz? Kto z białka Zefridową latał? Wysoko patrzysz, bacz, by ci wrona nie nakakała w gardło. Wieszli, co ci dać trzeba? W dyby, psia mać, do jamy zbrodnia, toporem po szyi - Kłáb był blady, cały spotniał. Aż naraz Piekuta pchnął go w pierś, zęby wyszczerzył w uśmiechu, siadł przed odurniałym do krzty Kłábem i - od razu innym tonem:

- Ej, churlęga, churlęga. Ja bym był pierwszym wojem w księstwie, choćbym i Ludka ubił. Ech! niezguła! Słuchaj no: o onym Ludku ja wiem, boleć nikt. Słyszysz? Nie moja rzecz 0 główczyzną cię wzywać, on mi ni brat, ni swat. Słuchaj no: to Zefrid szczeka na cię, a on mi od tej chwili wróg: już nam dwom nie zmieścić się przy księdzu. Pary z gęby nie puszcze, ale jedno: będzieszli co wiedział o Zefridzie, daj mi znać. Słyszysz ty mnie? Jeśli cię Adelajda Zefridową nawidzi, niechże nawidzi; nie moja to rzecz. Lecz ty bacz: będzieszli co o Zefridzie wiedział, dasz mi znać. Ugodzimy się?

Kłáb patrzył nań - istna sowa w blasku słonecznym. Piekuta powtórzył, ale już twardziej:

- We dwu zgubim Zefrida... No, cóż? Ugodzim się? - i wyciągnął dłoń.

Kłáb uderzył w tę otwartą dłoń, wstał bez słowa - zataczając się - wyszedł z izby. Piekuta patrzył chwilę na dyle zamkniętych drzwi, aż mruknął:

- Dureń - a myśląc o Zefridzie:

- Widzi mi się, że wnyki nastawię na cię, lisie, a nie przegryziesz sznura. Nie przepomnę ci, gid przeklęty - wszystkie mięśnie na twarzy mu drgały.

Tam, za tymi drzewami, zaczyna się ziemia Bolesławowa - w suchej twarzy Gaudentego błysnęło coś niby duma. Otto obrócił doń swe chude oblicze z rzadkim, rudym zarostem, wlepił w arcybiskupa źrenice ogromnych, odziedziczonych po matce oczu, wąskie, zacięte zawsze, nie znające od dziecka uśmiechu, wargi ledwo się rozchyliły; ale rzekł swym wysokim, metalicznym głosem:

- To wiec jest ziemia, po której kroczył Adalbertus ku śmierci! - oczy mu błyskały, ożywił się, targnął powodami, biały cesarski koń ruszył szybciej. Gaudenty jechał obok, nie spuszczał z Ottona wzroku, jakby czekając jeszcze na coś, na słowa, na gest. Otto dojrzał to nieme czekanie, dodał tym samym ciekim, metalicznym głosem:

- Rad będę powitać najlepszego sługę korony cesarskiej, wielkiego księcia Bolesława. - Jadący z drugiej strony Henryk Bawarski uśmiechnął się krzywo i mruknął:

- Będzie on służył tyle, ile mu trzeba. - Otto, nie odwracając głowy, tymże martwym, metalicznym tonem:

- Wy mi służycie mniej, wiele mniej. Jadący dalej Jago obrócił się do grafa Hugona:

- Zaraz jest tu rzeka, nazywają ją Bóbr, bardzo błotnista rzeka. Śniegi już tają, pewno rozlała. Nie wiem, jak przejedzie cesarz na tamten brzeg.

Hugo zaś:

- Opowiadają ci, co na ojca Bolesława z wojną chodzili, że w ziemi tej przejść przez rzekę to cały trud wyprawy. Wojowników bać się nie trzeba, ale rzeki i bagna... - a okręcając wkoło dłonią: - toć i tu: puszcza i puszcza. Co dalej będzie?

A kardynał Robert do kanclerza Heriberta:

- Zaraz więc zobaczymy księcia, który ma być nowym oblacjonariuszem świętego Piotra. Ciekawym i księcia, i kraju.

Heribert, który się kręcił na niewygodnej kulbace i dlatego może był zły dzisiaj, odpalił:

- No, wosku na świece do Rzymu to wam dadzą. Czyli tu więcej co mają, nie wiem. - Robert obrócił swą szeroką twarz i spytał:

- Myślicie?

Olbrzymi zaś Dedi, w pełnej zbroi, na ciężkim koniu w kropierzu, wstrzymał wierzchowca, zrównał się z wrogiem swoim, Ekkehardem, prychnął jak zawsze, gdy miał złość do kogo, nachylił się nieco do towarzysza, zabasował z jawną przekpinką:

- A no! Nie bije to wam serce, że przyjaciela zaraz ujrzycie, któremu służyć chcecie wierniej niżli cesarzowi? - Ale Ekkehard uśmiechnął się szeroko, aż pokazał cały płot mocnych zębów, i odrzekł:

- Nigdy złota od Bolesława nie brał jako zapłaty, chyba jako dar od przyjaciela.

Dedi pokraśniał naraz, uderzył konia szpicami ostróg, aż ziemia zadudniła pod kopytami, a najzaciekleszy wróg Dediego, biskup Wizeny, Hieronim, burknął, by go słyszano dokoła:

- Myślałbyś, że lekki jak zając, a dudni by elephantus. Grunt się zaczął pochylać, śnieg chrupiał pod nogami, gruboziarnisty i twardy, ciepły wiatr przedwiośnia bił w twarze, drzewa zasłaniały jeszcze tamten brzeg, ale Bóbr czerniał szeroką wstęgą, przecięty nowym mostem. Świeciły w słońcu świeżo ciosane dyle, kraśniało przerzucone przez most sukno. Hugo szturchnął w bok Jagona, chrząknął:

- Biadaliście, jak przejeździemy ona rzekę, Bóbr. Po moście. Szkoda jeno, że nie ciągniemy z wyprawą: przydałby się most.

A Jago:

- Broniliby go wtedy.

- Ech! pięć dziesiątek oszczepników. Sam Dedi, skoroby się dobrze rozpędził, poroztrącałby ich kopią, nie dobywając miecza.

W tejże chwili wyjechali z między drzew: przed nimi leżała obszerna polana, na prawo czerniały palisady Iłwy. Otto ściągnął gwałtownie powody konia, stanął, oczy miał ogromne, nienaturalnie rozszerzone, nie zrobił żadnego ruchu. Patrzył.

Polana zavalona była ludem. Po brzegi. Stali ławami, między oddziałem a oddziałem równa przerwa. Przed mostem na koniach drużyna Bołkowa, ustawiona, jak na Zachodzie - w płot; pancerze świeciły w słońcu. Za pierwszym płotem drugi płot i trzeci płot, czwarty, piąty i dziesiąty. Migotały te szyki, choć stało to nieruchomo jakby zakrzepłe wełny morskie, jedna za drugą. Dalej jomsborskie Wikingi w szłomach żelaznych, w żółtych kubrakach, przepasani, długie miecze normandzkie, a za nimi dwie ście kuszników, broniących Żelaznej Bramy a jomsborskiego ostrokołu, za nimi Radborowi oszczepnicy, pięć set luda. Po obu stronach tarczownicy. W prawo 4000 tarczowników z ziemi poznańskiej, w kozuchach z rękawami, z czerwonymi szczytami, na każdym błyszczał guz mosiężny, w skórzanych szłomach, z sulicami gęsto sterczącymi w niebo by sitowie; za nimi 1000 łuczników poznańskich, łuki wielkie na chłopa, kozuchy bez rękawów, ramiona gołe, brązowe, na plecach wielki lub ze strzałami; 5000 szczytników z Gniezdna, tarcze żółte, na ramieniu każdy miał szeroką siekierę; 2000 szczytników z Włocławka, także z żółtymi szczytami, i 2000 z Giecza, ze szczytami brunatnymi, obitymi skórą; ci mieli długie włócznie, a siekiery za pasem; do kraju polany pleśń mazurskich kozuchów, nad nimi gęstwa toporów a maczug nabijanych krzemieniem, a sulic o kościanych ostrzach. Z drugiej strony także ciżba: 4000 z Wrocławia, z ziemi Ślązan, 2000 z ziemi Dziadoszan, 800 od Lubuszan, 5000 z Krakowa, ci mieli szłomy wysokie, ostre a siekiery na długich trzonkach; 500 z Wiślicy, 500 z Sandomierza, 200 z Orczycy, 8000 z Łęczycy, 1000 z Sieradza, 300 z Kalisza; a za nimi łuki i łuki, także po skraj polany, procarze i wojownicy z sękatą maczugą. Polana była nalana ludem zbrojnym, Otto stał na swej białej klaczy bez ruchu, patrzył. Ale Jago nachylił się do gfafa Hugona i szepnął:

- A puście no Dediego na most, niechże rozniesie to mrowie.

Otto dosłyszał szept, zamrugał oczyma, jakby się zbudził, ruszył wierzchowca. Skoro koń jego wszedł na most, naraz owa milcząca polana drgnęła, od oddziału do oddziału przeskoczył rozkazujący głos, puszcza zawyła jednym gardłem, dzikim gardłem, ów głos huczący napełnił całe przestworze, powietrze drgało, zrazu nic nie dało się w onym ryku rozróżnić, aż z wolna głos się równał, otwarte gardziele wyły w kółko zawołanie tej ziemi:

- Bolesław! Bolesław!

Wśród nieprzerwanego wycia jechał blady, z ogromnymi oczyma Otto po wysianym szkarłatem moście na wschodni brzeg Bobra. Końska lawa pancernych ruszyła naprzeciw by do ataku, przed nią sadył w szczupakach czarny źrebiec, unosząc na sobie ogromnego, szerokobarego woja; woj osadził jednym targnięciem konia, aż śnieg prysnął na wszystkie strony, i krzyknął:

- Pozdrawiam cię na mojej ziemi, cesarzu rzymski.

Koń cesarski zjechał z mostu na udeptany śnieg.

W łąwie wzniesiona była szopa z ociosanych tramów sosnowych, wybita makatami i sukнем. Opar bił z głów. Otto pobladł jeszcze bardziej od picia, pot mu wystąpił na czoło dużymi, rzadkimi kroplami. Naraz wstał, wyszedł szybko zza stołu, dłonią nakazał biesiadnikom pozostać. Bolko poderwał się, za nim Henryk Bawarski. Stanęli u wrót, była mroźna, marcowa noc. łąwa gorzała w ogniu, wokół ostrokołu słup przy słupie stał tarczownik z płonąca pochodnią. A dalej - na polanie mnogość ognisk, jakby gwiazdziste niebo odbite w zastygłym morzu. Otto stał długo, długo patrzył. Potem do Bolesława:

- Siła ludu zebraliście, by nas zadziwić.

- Chciałem uczcić wasz przyjazd.

A chuderlawy kulawiec Henryk, odwracając oczy od łąny ognisk:

- Wszystkich wojów musieliście zegnać na tę polanę. Zadudnił śmiech Bolesława:

- O wa! Uważałem za godną rzecz wobec cesarza i gości, również wobec Wojciecha, którego Kościół Boży uznał za możnego pana w swoim Królestwie, bym kraj Prusów i strony, gdzie święty krew przelał, nawiedził ogniem i mieczem a okazał siłę słów Chrystusowych. Toteż rycerz mój ze Śliźniowego rodu, na którego wołają Giez, poszedł z wyprawą na Prusów. Teraz ich niszczy po lasach, chyba że poproszą łaski w Imię Chrystusowe.

Otto znów zwrócił oczy na płonąca polanę, a Henryk wykrzyknął :

- Wojnę wiecie? Teraz?...

Bolesław - znów ze śmiechem - dłonią uderzył po udzie:

- Eh! taka wojna...



A skoro biesiadnicy hurmem wstawali od stołu, Bolesław - czerwony i podochocony - wykrzyknął:

- Nie godzi się, by ktokolwiek jadł z naczyń, z których ucztował cesarz. Przeto pozwól, panie, by wszystkie odniesiono do twojej komory. Czasze zaś i rogi, z których pili dostojni goście, niechże każdy zabierze sobie.

Na to zahuczał wielki Dedi:

- Nie ostatni to raz ucztujemy u was, Bolesławie.

- Nie ostatni to dar otrzymujecie ode mnie, Dedi. Z każdych godów zabierze każdy naczynie swe, czasze i rogi, misy zaś złote i bluda, a kubki i czarki, a noże, tkaniny i nakrycia, i kobierce, serwety i ręczniki, wszystko to każę odnosić do cesarskiej komory - i nie strzymując radości wykrzyknął:

- Eeeej!

Legat papieski, Robert, poszukał wzrokiem Heriberta, ale ten oblizywał językiem otłuszczone wargi i uśmiechał się.

12.

W drodze do Głogowa powiedział Otto do Bolesława:

- Puszcza tu jeno u was, las a las.

- To palisada księstwa - Bolko wlepił oczy w oczy cesarskie - boć za każdym drzewem woja postawię: kto wtedy puszcę przejdzie?

W Głogowie powiedział Otto swym wysokim głosem:

- Nie jako do lennika mówię, lecz jako przyjaciela proszę: dajcie mi na wyprawę rzymską sto rycerzy na koniach.

- Sto pancernych? O wa! to tyle da wam i ksiązę czeski, i każdy z waszych lenników. Dam wam trzy sta.

W Lesznie powiedział Otto do Ekkeharda:

- To, co widzę, większe jest, niż mi powiadałeś.

Ekkehard zaś marszcząc się nieco:

- I w to, com opowiadał, nie chcieliście wierzyć, panie.

W Kościanie pokazał Bolko cesarzowi woja, który byka łapie za rogi i zatrzymuje w biegu. Człek był większy od Dediego, barczysty, długoręki. Otto spytał naraz Gaudentego:

- Ochrzczony ten wielkolud? - a skoro Gaudenty zwrócił się z tym pytaniem do woja, tamten zęby wyszczerzył:

- Ksiądz kazał.

W Poznaniu biły dzwony, Heribertus Mszę świętą odprawił. Otto leżał krzyżem. Później godowali. Nazajutrz Otto wlaź po drabinie na wieżę grodową, pełną broni. Oglądał tę broń. Milczał zamyślony.

Na dwa staje rozciągał się orszak cesarski, świecił bielą, czerwienią, złotem, żelazem. Twardo tupwały kopyta końskie po zleżałym śniegu. Otto jechał bez słowa, błądy.

W Lednicy rzekł Bolko:

- Jutro będziemy u grobu Adalberta. - A Otto:

- Oby każdemu z nas śmierć tak sławną.

W Ostrowiu wyciągnął Bolesław rękę:

- Gniezdno.

Otto milcząco zeskoczył z konia, kiwnął dłonią na giermka:

- Zdejm mi obuwie.

Przeżegnał się szerokim zamachem ramienia, pochylił się, wydrapał ze zbocza, skąd już śnieg spływał, szczyptę ziemi, posypał głowę; za cesarzem wszyscy pozeskakiwali z koni, żegnali się, głowy posypywali ziemią. Heribert silnym, męskim głosem zaśpiewał:

- Protexisti me, Deus, a conuenta malignantium, a multitudine operantium iniquitatem.

Bosą nogą szedł Otto, za nim orszak, po śniegu, śpiewając, z utkwionymi oczyma w świecący między jeziorami gród.

Naraz z między chojarów wypadły sanie, dwaj ludzie w półkożuszkach wydobyli z nich wielki rulon nawiniętego na drąg sukna i, trzymając za ów kij, pobiegli, rozścielając przed pątnikami po śniegu czerwoną drogę wijącą się ku Gniezdnu. Cesarz wkroczył na nią i szedł śpiewając wysokim, cienkim głosem:

- ... a timore inirmi eripe animam mecon.

Od Gniezdna już dochodził daleki głos dzwonów. Z grodu wyszła procesja, na czele szedł człek z krzyżem, za nim niesiono cztery chorągwie, Unger kroczył w złocistym stroju kościelnym, klerycy i świątki nieśli zapalone świece, śpiewali, dalej Emnilda z dworkami, ledwo się ruszały pod ciężkimi strojami. Woje grodowi wysypali się, ustawili w dwa szeregi po obu stronach rozścielanego sukna, Otto nie patrzył na witających, z oczyma utkwionymi w sterczące palisady grodu śpiewał wciąż piskliwym, cienkim głosem.

Odkąd nurknęli w las, minęły już trzy tygodnie. Rozgromili i spalili pięć wiosek a jedenaście pojedynczych osad. Biegli teraz brzegiem morza, gnali stado bydła a siedemdziesięciu trzech niewolnych, powiązanych do drągów po dziesięciu. Huczały ciężkie, szare fale. Wszędy, gdzie się obrócisz, wznosiły się ponad lasem czarne słupy dymu, rozplywały się wachlarzami niby potworne sosny, wyrosłe w źdźbłach puszczy. Zasapany Gwozd w pełnym biegu charknął do Mściczuja:

- Wisz, jak się zwołują ścierwy. Ze wszystkich stron.

- Mnogo tego. Możem nie ujść.

Giez obrócił się ku biegnącym, podniósł rękę z toporem, zakrzyczał zasapanym, przerywanym głosem:

- Prędziej, prędziej... Niewolnyrn spisami w plecy. Zabięgną nam drogę u morza, śmierć nam.

Szyp krzyknął:

- Czemuż nie zawracasz k'puszczy? Giez w biegu, nie odwracając głowy:

- Nie twój um, barani łbie. Ty bacz, giczołami przebieraj, ludzi pilnuj. - Chyżo, chyżo - aż śnieg pryskał, tak wyrywali.

Strach ich brał u tego szumiącego morza. Wybrzeże pełne było złomów lodowych, poprzewracanej i splekanej kry. Skoro słońce wyjrzało zza chmur, grzywacze u nasady zieleniały, lśniły się w przelewaniu; zdawały się metalowe, chciałbyś dłonią wymacać ich prężną twardiznę; czułeś ich wrogość, jak owych dymnych sygnałów milcząco groźnych, milcząco grożących.

Tyle że śnieg był zleżały, nie zapadał się pod stopami.

Znów sapnął Gwozd do Mściczuja:

- Nie strzymam dłużej tego biegania.

Mściczuja był siny, wybałuszone śliwy oczu przekrwione, otwartą gębą łykał dech, nie odrzekł, skinął głową.

Prusy czuli ostrza sulic na plecach, mieli także otwarte gęby, także wywalone gały, draży podskakiwały na ramionach, ugniatały. Który się potknął, wraz go podnosili kopnięciem. Ale szereg zaczynał się wydłużać, chwost zostawał. Giez oglądał się, zobaczył owo rozciągnięcie, zeskoczył w bok, przepuszczał biegnących, wydechiwał raz wraz:

- Niedaleczko pobiegniem. Owo do onego zakrętu. Biegnijcie, synkowie, chyżo, chyżo... - aż gdy dobiegli doń ci, co już ustali:

- Woje wy, czyli smardy? Ejże... dognać no! Wraz. Razem pobiegniem! - biegł obok, tego owego

podepchnął, krzyczał, łajał. Później czoło doganiał, bo ludzie zwolnili już bieg, przelatując powtarzał:

- Do onego zakrętu... tam już pewno niedaleczko jaka woda... tam spocznem... - podniósł łeb, zakrwawionymi oczyma liczył dymy: - dwa, pięć... ileż to? - dwa... pięć... - nie mógł już liczyć, w skroniach tłukło, nogi ciążyły, przy każdym kroku odrywał stopę od ziemi, zęby zaciskał, dźwigał nogę by głaz, przerzucał do przodu, spadała ciężko, w piersi łomotało, ociężały, niemocny zamach ramion, do przodu... do przodu...

Przed nim nierówno dudnił Gwozd, potykał się, stękał przy każdym kroku. Byle przegonić Gwozda, stapał ciężko, jeszcze bliżej, jeszcze bliżej, zrównał się, wydechnął:

- Nic, Gwozd, nie upadniesz... Dobięciem... - i powoli jął doganiać Mściczuja... czuł, że nie dogna. Ale dognał.

Przed ludźmi zaczęły padać krowy. Pierwsza czarna, wielgawielgachna potknęła się, Krost jej przejechał po zadzie, znów się potknęła, zaryła nozdrzami, padła, nie wstała już. Stado rzuciło się w bok, zegnali je biczami i bieglami.

Nim do onego zakrętu dotarli, pięć krów padło.

Brzeg tu bódł morze ostrym nosem, przystanęli łapiąc dech, Giez zawołał:

- Nie doprowadzimy onych krów... pięć ostawcie, innym po łbie - zwierzęta rozstawiły nogi, pyski miały spuszczone, wachały śnieg, lizały go, niektóre się kładły. Giez krzyczał:

- Toporem je... chyżo...

Sam przyskoczył, rąbnął najbliższą między rogi, osunęła się ciężko, insi przypadli do stada, bili toporami, Prusy patrzyły przekrwionymi oczyma, dychały ciężko, kilkoro bydła się rozbiegło, tych nie goniono, otepiali patrzyli na dymy nad puszcza, Szyp burknął:

- Siła ich... psie macie... w las by nam...

Giez - wciąż zadychany - do Szypa, ale w głos, by go słyszeli wszyscy:

- Ejże, pójdziem w las, drogę nam zabieją, zmogą nas. Nam trza w bok się odsądzić mało-wiele, wtedy w las, ślad zmylić. W lesie nie pobiegiesz. A tak... będą nas tu szukać, a my bokiem przejdziem, nie pożą. Tegdy biegaj... niedaleczko... owo do onego zakrętu... biegaj... biegaj...

- Nogi nie uniosą.

- Uniosą, nie bój się. Mnie niosą, ciebie poniosą. A no, chyżo... chyżo, synkowie - obrócił się w kierunku biegu, dźwignął stopę, zdało mu się: nie oderwie jej od ziemi, oderwał, ruszył ciężko, ci, co się pokładli, karabskali się z ziemi, zda się, coś pęknie w piersi z wysilenia, nie pękło; biczem pognali jeńców, znów po twardym śniegu wiosennym tupotali - ślepi z wysilenia - ku zakrętowi.

Już ludzie padali, towarzysze podnosili ich, popychali, biegli, ślaniai się, potykali. Morze szumiało, nie słyszeli, słyszeli tylko szum w uszach, bicie w piersi. Znów chwost się wyciągnął, na ostatku kilku ludzi przestało biec, szli ciężko. Giez się oglądał raz po raz, stanął, przeczekał, trącił ostatniego z kroczących, młodego chłopca, ledwo się mu wąs sypał:

- A no... woj jesteś abo młokosys... Patrz, jak dyrdata insi... I ty... - chłopak dyszał ciężko, lecz się poderwał, pobiegł.

- Biegaj... biegaj!... Kto ostanie, Prusy najdą, ubiją - zmusili się do wysiłku, pobiegli. Ale Witek siadł naraz na śniegu, szepnął:

- Niech ubiją.

Giez pochylił się nad nim:

- Wstawaj!

- Nie zmożę.

- Wstawaj, mołwie.

- Nie zmożę.

Giez kopnął go w pośladek, chwycił za kozuch na plecach, poderwał. Witek stęknął, dźwignął się. Slizień wziął go pod ramię, chciał zarechotać, tylko mu charkot wyszedł z gardzieli, charkotem tym zagadał:

- A no... dogonim tamtych... niedługo już... do zakrętu... I pobiegli za drużyną.

Na tym nowym cyplu Giez się obejrzał, dał ludziom krzyńę wydechu. Krzyńę. Pokazał dymy nad puszczą:

- Widzita, mijamy one dymy. Widzita, psie krwie? No? Nużę, wraz spoczniem, mało-wiele pobiegniem i spoczniem. Co nam ma suszy syn, Prus, czerepy rozdziaknąć abo w niewolę brać. Wraz spoczniem. A teraz pobiegniem do onego zakrętu. Chyżo, chyżo, dyrdataj!

Morze ryczało poczerniałe przed zachodem, a oni biegli do najbliższego zakrętu. Wciąż mało-wiele, tyletyle, jeśliby wiedzieli, ile mają biegu przed sobą, nie pobiegliby, nie zmożliby się. Giez, ciągnąc Witka, charczał:

- A no... krzyńę jeszcze... do zakrętu. Dyrdataj, dyrdataj!

Słońce się schowało za długie smugi chmur, na widnokręgu, tam przewalało się w świetle, morze szczerniało całkiem, wały szły wysokie i ryczące, biało świeciła piana. Giez krzyknął raz jeszcze:

- A no, w nocy nie pobiegniem.. póki światła. Widzicie, wraz ciemno będzie... trza się odsądzić nam boleć jeszcze... a no! dyrdataj dyrdataj...

Nie mogli już jednak, szli tylko ciężko, kiwając się, wysapując zmęczenie. Szarzało, gdy ich Giez jeszcze raz poderwał do biegu. Spędzali swą złość na niewolnych, ale bicz zdawał się ciężki, rzadko go unosili. Potykali się. Z półstajalego śniegu sterczały badyle, twarde trawiska, szerokie kolące liście, chwytano to wszystko za nogi, za płótno gaci i onuce, niby zębami trzymało, raz wraz wydzierali nogę, z bólem wściekłym, z przekleństwem. Giez biegł przodem, wciąż poganiał.

Był dobry zmrok, gdy Giez przystanął, obejrzał się ciężko na niebo, na morze, zawrócił k'puszczy. Rozumieli, że spoczną na skraju. Ale on rzekł do nich ciężkim, zasapanym szeptem:

- Nie będziem siedzieć tu... u morza. Szukać nas tutaj będą, śladem pójdą, dopadną z rana. Zarabiają. Odpocznem krzynę, potem odsadzim się mało-wiele w las. Nynie... - zsunął szłom do tyłu, obtarł pot z czoła - nynie krowy ubić, skóry zdjąć, mięso rozdzielić. Dziesiątki Gwozda a Chebdy niech pilnują Prusów. Ciemno... mogliby uciekać. Niechże jeden woj weźmie za jeden koniec drąga, wtóry za wtóry koniec... tak nie ujdą. Wszyscy do krów... Bodek, nie pokładaj się na śniegu, zawieje ci pot, wstawaj, mołwię. Chyżo, synkowie, chyżo...

Stał rozkraczony, patrzył na szerniałe morze, jakby je zalewano dziegciem, długie smugi, gęste... smoliste... zlało się morze z horyzontem, nic nie rozróznisz, jeno coś w mroku ryczało. Smuga śniegu bieląca u brzegu, Giez dychał, patrzył, jakby mu żal było tego obcego, straszego morza. Jakby mu żal znów nurknąć w swoją, znaną od dziecka puszcę.

Ciapkali się w ciemnościach, klęli. Pachniało mroźną wiosną, surowizną, krwią. Dziesiątki powiązanych Prusów pokładły się na śniegu, dyszały gęsto: nie sieczono ich. Mściczuj wskazał na one kupy i do Gza:

- Ubić by psiajuchów. Nie przejdą powiązani w gąszczu.

Giez warknął:

- Nie twoi... księdzowi. Ksiądz rzekł mi: "A ludzi przywiedź mnogo, trza Kciukowi podesać, a Sulisław warczy, a Wartko, a nynie biskupom, jakże: gołą ziemię dam? A grody trza pobudować od Węgrów, a każdy z was wkoło i wkoło: Ksze, byś mi zwolił chociaż dwóch niewolnych, puszczy bym szmat wypalił, pszono siał. Byś nie śmiał wracać bez ludzi, Giez, słyszysz?". Ty mi sulisz nynie: "ubij ich". Głupie gadki.

- Gotowi! - krzyknął Gwozd.

Giez wydobyl z sakwy dzban z długą, wąską szyją, podszedł na sam brzeg, usiłował wody nabrać: ale rozbijająca się fala chlustała i chlustała, nie było sposobu. Woj wszedł głębiej, po kolana, napełnił dzban. Kołkiem go zaczopował. Gdy się dziwili, buchnął śmiechem:

- Kiej mię wyprawiał Bolko, pytam ji: "Daleko mam zajść?" On pry: "Choćby do morza". Rzekłem mu: "Dojdę do morza". A on: "Mało was, niech ci durne dumki po łbie nie chodzą". Ja mu: "O wa! Go mi, dojdę". Wtedy ksiądz z przekpinką: "To mi dzban wody z onego morza przynieś". "Przyniosę warn wody, ksze." - "Przynieś." I z tym mię wysłał.

Był już mrok. Gież spojrział jeszcze na huczącą czerń morza.

- A no, pójdziem. A trzymać się kupy, bo pogubim się w oćmie.

U lasu był wysoki zwał śniegu, wdrapali się, poniektórzy na czworakach, między pnie, zjeżdżali na pośladkach. Po wytchnieniu jakby im stawy zdrętwiały, kołowaci byli, ciężły ręce, nogi, topory, ziąb spoconego ciała. Wraz w gąszczu utknęli, po ciemku się darli między gałęziami, rogacze chwyciły ich za ręce, za kozuchy, za pasy, trzymały. Usłyszeli z przodu głos Gza:

- Toporem tnij, psiamać. Mściczuj sieknął:

- Nie przejdziem.

- Nuże! Rąb!

Coś chrzęszczało, łoskotało, trzask łomu szedł po puszczy, sapanie i przekleństwa. Nie szli, przedzierali się. Na oślepie machali rękami, na oślepie rąbali, rakiem przełazili przez zwalone pnie, zapadali w próchno, staczali się w wykroty, jedni drugich wyciągali z dołów. Związani po dziesięciu jeńcy musieli przeszmyrgiwać się gwałtem, jeden padał, ciągnął resztę, jęczeli w głos, bito ich na oślepie, nie patrząc. Czterech padło pokaleczonych, zarąbali ich, odcięli od drąga, zostawili na drodze. Sarni brali się pod ramiona, ciągnął jeden drugiego, podnosił, karabskał się, czołgał, nie wiedzieć gdzie, w ślepych poczuciu stada. Rożny orały im twarze, kłuły w oczy, pchały się w gardła - tyle że śnieg jaśniał, widzieli ciemne plamy towarzyszy, czarne stwoły drzew. Wiatr się wzmógł, gdzieś tam chodził w górze, czuli drzenie pni, gdy je chwytali rękoma opierali się o nie, by sapać chwilę; przysiadali w kucki, wrywali grudę zmarzłego śniegu, brali w usta, żuli aż zęby bolały od zimna. Szyp stęknął:

- Gorsze to niż ono bieganie u tego morza. Tfu! mór na takową rubież.

Śnieg był nierówny, tutaj między drzewami wiatr skręcił zaspę, coraz częściej przysiadali, raz wraz do Sliźnia:

- Gież. Spoczniem tu, nie zgonią Prusy. Gież dudnił:

- Ee... wieleśmy to ta uszli, tyle, co nic. I gdzie tu przywarujesz w tym gąszczu? My sieczemy puszcę, Prusy pójdał przesiękiem, trzy razy pójdał szybciej niżli my. Ejże, jeszcze podyrdamy mało-wiele, tam spoczniemy... - przy ostatnim słowie zerwało mu się coś niby śmiech, śmiech ten był jak kaszlanie zmęczonych płuc, wiedzieli: spoczna na Mazowszu; lecz nie mówili o tym, nie myśleli - jakże to doleżać do Mazowsza, wzdyc szmat drogi jeszcze.

Drzewa jęły się przeredzać, rozbiegać, stały już pojedynczo, dobrze widoczne, nad nimi niebo świeciło chmurą gwiazd, Szyp wskazał palcem na ziemię, mruknął między sapaniem a sapaniem:

- Graz tam... dobrze, że nie głęboki, zamarzło - chciał nogą tupnąć, ale nie uniósł jej. Od czoła oddziału rozległ się radosny krzyk Gza:

- Drużyna! Pusto przed nami, przesięku nie trza rąbać. A no... pobiegniem krzyne... tam



spocznem.

Odpowiedziało mu sieknięcie - i pobiegli bezładną, potykającą się kupą; biczami siekli jeńców, ile kto rękę uniósł.

Świt ich zastał ledwo idących wśród coraz gęstszych drzew. W zarosłej kotlinie Szyp stęknął, siadł na śniegu, skulił się wraz, głowa mu opadła na kolana. Za nim siadł Witek, siadali inni, Mściczuj zawarczał:

- Nie pójdziem dalej...

Giez potoczył wkoło oczyma, chciał wrzasnąć, był to wrzask jeno gdzieś w głębi gardzieli, niemal bez głosu:

- Dobrze, spocznem krzynę... moglibyście iść jeszcze... lenie zatracone... ale dobrze... mówiłem wam: spocznem. Oo! i spocznem, nieprawdali ?

Rozejrzał się raz jeszcze, jął poszturchiwać leżących:

- Nie kłaść się... pod potem... na ziemi, psia! Narąbać mi w mig jedliny, podesłać, toć i bydło ma ściółkę, psie krwie! A no! Żywo! Toporami! - nikomu leżeć nie dał, nie widząc nic, z zamkniętymi oczami, obrąbywali świerki, mościli grubo gałęzie. Giez spędził jeńców w kupę, nie rozwiązał ich i znów z pyskiem:

- Nie spać. Zreć wraz... sakwy pełne macie... nuże! - jedli zasypiając z podpłomykiem albo kawałkiem mięsa w garści, Giez chodził między nimi, budził, walił w plecy:

- Nuże! Woje zasmarkane, wam by kozy doić a świnię paść, nie na wyprawę chodzić. Nuże! Zabój, jedz, nie śpij. A onych zdechlaków nakarmić, bo padną, każda dziesiątka swego... - opadające dłonie podsuwały pojmanym Prusom mięso pod pysk, bali się im ręce rozwiązać. I zaraz się wszyscy zwalili by kłody, jeńcy w środku, rabusie wokół, zachrapała dolina. Giez się przeciągnął, spojrzął po ludziach, wybierał: kto silniejszy. Podszedł do Gwozda, wziął go za ramiona, podniósł, tamtemu głowa leciała do tyłu, Giez trzął nim, rzucał o jedle, wreszcie otworzył woj zamglone oczy, wnet przykrył je ramieniem, zasnął na nowo.

- Śpik ji morzy na śmierć.... Ej, nadleciałyby nynie Prusy, lelum! - wziął garść śniegu, nuż nim szorować po gębie Gwozdowej. Tamten siadł.

- Wstawaj a chodź budzić Sułka a Markotę, a Ślimaka a Czmiela. Trza nam stróże trzymać, nadleca na śpiących Prusy, w mig pobiją.

Siedzieli nad kotliną, oparci o brzozę, oczy im się zamykały, Giez wstał, podszedł parę kroków, wrócił: spali wszyscy czterej, głowy opadły na piersi, chrapali i poświstywali, trzonki toporów sterczały im między kolanami. Giez machnął ręką, dał im spać, ale sam nie siadł, stał oparty o drzewo, raz po raz zasypiał stojąc; budził się, oburzał wzrokiem zbocze, znów powieki mu opadały. Aż tu dochodziło chrapanie gromady.

Zdało się im: ledwo usnęli, już ich Giez trząsał, przewracał, krzyczał każdemu:

- Wstawajcie, a no! widzieliście. Susły zaspane. Myślicie, że tu szopa drużynna w grodzie. Spać będziecie, a rankiem zreć wam przyniosą. Patrzcie no! dymy. Na was te dymy, ścierwy, chyżo, chyćcie co na jeden ząb, a no dyrdać. Wieczór blisko.

Lecz wieczór był jeszcze daleko, słońce się nic nie pochyliło, złoto było w powietrzu, przejrzyście. Ale tam!... stawy ledwo się ruszały - zdało się, gorzej niż przed snem. Siedzieli ponurzy, burkliwi, coś tam gryźli, nawet ich szczęki bolały. Giez nie zwolił ognia sycić, dym obaczał Prusy, przybieżną. Już tam na każdej jedli wszawy Prus siedzi a obziera się, byle dymek - migiem skoczą. Nie pomylą. Surowe ci mięso śmierdzi, ty churlęgo, ty koniojadzie! Żryj! - znów z ręki karmili jeńców, zaraz ich Giez poderwał:

- A no! spoczeliście tego, pół dnia spalim, a no las rzadki tu, pobiegniem mało-wiele - i wraz ciężkim, podskakującym krokiem gromada ruszyła za nim. Już nie klęli.

Znów się przerąbywali przez las, gęstwa tu była a gęstwa, tu Zabój wykręcił nogę, potknąwszy się na pniaku, Markota a Czycbor wzięli go pod pachy, wlekli, zaciął zęby, nie stękał; to samo zdarzyło się wielkiemu Prusowi, całemu w dziobach, tego ubili. Gdy zmrok zapadł, pozwolił im Giez pospać znowu, ale zapowiedział, że wraz zbudzi. I znów całą noc tłukli się w ćmie a gąszczu.

Rankiem obrócił się Giez do gromady:

- Pójdziem do wieczora, ale nie biegiem. Później przez całą noc spoczniem. Wyśpicie się kiej doma.

Nie patrzyli już ni na las, ni okolice. Kiwali się bezmyślnie, jakby im zmęczenia ubyło, szli bez czucia, w południe siedli, by podjeść, Giez upominał ich, by jedli oszczędnie, nie opróżniali sakw: o łowach ani myśleć. A już w nich i głód jął się wzmaczać. Gęby paliły, przy każdym strumieniu albo ple stawali, przerąbywali przeręble, pili w bród. Giez pokrzykiwał:

- Pijcie, synkowie, nie żałujcie sobie. Jeno chyżo... chyżo... a niewolnym dajcie.

Jeńcy się kładli, czołgali się niezgrabnie, jeden po drugim do przerębli, związani dziesiątkami: jeszcze tyle sił było w wo jach, że śmiali się na ten widok. Znów padło trzech niewolnika, odrąbali trupy od drągów. Spotykali coraz częściej pła a jeziora, przez otwarte przestrzenie Giez puszczał ich biegiem. Gęby, ręce, ramiona mieli podrapane, posiniaczone przez gałęzie, odzienie podarte na sękach, skórznie okręcone szmatami, byle się nie rozleciały. A no!

Pod wieczór wyszli na wzgórze, przed nimi śnieżna polana, słońce mroźnie złociło ją, w środku trzy checze, dym się snuł przez strzechy - jadło tam gotowano, ogień, mleko; zassało cosik w dołku, oczy zabłyśły. Giez rzekł ochrypłym szeptem: - Drużyna! Obejdziem dokoła, a spadniem zrazu. Nie ujdzie nikt, będziem noc tę spali w chatach. Ujdzie chociaż jeden człek, ślad da, będziem znów dyrdać całą noc. Baczcie synkowie.

Dziady już to były, nie woje, gdzie im strzymać świeżych i wypoczętych. Dwu mężczyzn przeszło między okami sieci, szyli za nimi z łuków, ręce drżały, nie ubili żadnego. Tyle co się przy ogniu

pogrżali, nawet bab nie gwałcili. Uwiązali je do drągów w puste miejsca, krzyczące i dzikie. Nie zwolił Giez chat palić; znów - potykając się, padając i wstając - z trudem, z krwią na spękanych wargach, z zapadniętymi oczami ledwo w obrosłych mordach widocznych, powlekli się w puszcze.

Znów im zabiegła drogę gąszczem, wydobyli topory, rąbali.

Szli.

Jakoś śnieg zaczął padać - przelotny śnieg wiosenny - stróża w Szreńsku dojrzała trzech ludzi, kulających się do grodu - jakby w pośpiechu; ale pełzli ci ludzie kiej szkraby. Gdy doszli, zdziwiła się stróża tym strupom ciekącym ropą, okręconym w szmaty. Kazały się wieść do grodzierzcy, pokazały mu znak księży. Jeden ze strupów zacharczał:

- Niedaleko stąd Prusy dościgły wyprawę księżą, wiedzie ją Giez ze Śliźniowego rodu. Do morza doszlim, wiedziem czterdziestu niewolnych. Kiej nie poskoczycie wraz z pomocą, Prusy pobiją naszych.

Zarazże kaprawymi oczyma patrzyli z wałów, jak setka szczytników szła biegiem ku lasowi po twardym, wiosennym śniegu.

W tymże czasie cesarz rzymski Otto wraz z orszakiem wchodzili w otwarte wrota Gniezdna. Śpiew świątków mieszał się z głosem dzwonu.

Orzekł cesarz a Gaudenty: pokutę będziemy społem czynili. Ukląkł Otto przed Heribertem, wielki Dedi przed kardynałem Robertem, Henryk kulawy przed biskupem Udalrykiem, rzekł wtedy Bolko do Radzyna:

- Nie chcę przed Zefridem pokuty czynić. Przed wami będę pokutę czynił.

Migały woskowe świece u ołtarza a u Wojciechowej trumny, rymnęła cała pąc na kolana pokutę czynić. Bolesław klęczał przed Gaudentym, archiepiscopus przeżegnał księdza krzyżem świętym, Bolko położył ciężką łapę na czole, na piersi, na ramionach, pochylił się, łbem stuknął o ziemię, pazurami zdrapał trochę błota, posypał nim głowę, wyprostował się, usłyszał półgłos Radzyna:

- Wyznaj winy swe, Bolesławie, a nie utaj nic przed wielkością Boga.

- Wyznam i nie utaję.

- Jezus Chrystus, Pan nasz, Jenż zbawił ludzi krwią swoją i śmiercią, założył na ziemi Królestwo swe, Kościół Boży, a miecz dla zapewnienia Jego zwycięstwa włożył w dłoń cesarza a władców... - usłyszał szybki oddech Bolesława, słuchał chwilę. Ale książę milczał...

- W rękę cesarza - powtórzył, czuć było nacisk na tym słowie.

Przerwał mu gwałtowny szept:

- W ziemi tej miecz jest jeno w mojej ręce, nie cesarskiej - głowa klęczącego się uniosła, oczy się wparły w suchy profil siedzącego na karle arcybiskupa. Tamten nie oderwał dłoni od gałek oparcia, obrócił czoło ku ołtarzowi, dumiał. Trwała cisza. Naraz Gaudenty się przygiął i nie całkiem już pewnym głosem:

- Nie unosi cię pycha, Bolesławie? Twardy szept:

- Nie.

- Nie jesteś królem.

- Będę.

Gaudenty zatchnął się i - surowszym już tonem:

- Pycha cię unosi.

- Nie.

- Jakże to?

Umilkli obaj, obaj dyszeli ciężko w tym zmaganiu się - ze sobą, ze światem, z wznoszeniem tego,

czego nie było dotąd, w przerażaniu się powolnym a zacięłym przez gąszcz odwiecznej puszczy - w szepczącej, migotliwej ciszy niedawno wzniesionego kościoła. Gaudenty puścił wreszcie gałki karła, schylił się, wsparł czoło na zaciśniętych pięściach, powtórzył bezradnie:

- Jakże to?

Bolesław milczał, oddychał szybko. Ciężyła mu ta poza klęcząca, lekcejąca, by się zerwać, trzasnąć pięścią. Dychał. Przemógł się. I przerywanym w trudzie głosem:

- Nie pojmujecie wy... z daleka... Chcecie pojąć... nie pojmujecie... Ta ziemia... niczyja nie może być! Jedno moja! Niczyja! Słuchajcie, to dla Kościoła Bożego na dobro, dla Kościoła Bożego na tej ziemi: jeśli moja ona a Krystusowa, a niczyja, ni cesarska, ni margrafów, ni biskupów niemieckich, ni kogo... jedno wyjście jest, a to: korona królewska. Toć jeśli archiepiscopus jesteście tej ziemi, to onej korony wyście początek. I... choć nie namaszczeń jeszcze... azali inne mam prawa, niż je król ma? Rzeknijcie.

Gaudenty podniósł naraz głowę, jakby brzemienia zbył, znów ręce złożył na gałkach karła i - niemal pełnym głosem - z ulgą:

- Prawie gadacie, Bolesławie. Nie masz pychy w słowach waszych.

Bolesław - w tym klęczeniu - w tym wysiłku - poczuł, że mu krople potu spływają z czoła, z nosa, kapią na dłonie. I usłyszał szept Gaudentego:

- Słuchajże, Bolesławie! A skoro myślisz o królestwie, postępuj jako król wobec Pana naszego, Jezusa Chrystusa.

A Pan nasz nakazał władcom: Kościół Boży wspierać mieczem a władzą. A zwłaszcza w takim kraju jako ten oto: pogański to jeszcze kraj. Pomnij, że wielkie to szczęście władać na ziemi, największe jednak triumfować w niebie. Spyta cię tam Pan nasz: czy doprowadziłeś do mnie tych, com ich powierzył? Wiec rozważ w sumieniu swoim: azali nie masz winy twej wobec Królestwa Niebieskiego?

Zamilkli, Bolko natężył myśl, potem się wyprostował i szepnął w ucho Radzyna. A tamten:

- I czy, zważ to, Bolesławie, zawsze stawiał Chrystusa a prawo Jego przed wolą swoją w sercu swoim?

Znów milczenie, wielkie ciało skurczone w jedną bryłę, węzlastą i twardą. Świece migocą przed złotym krzyżem, kościół pełen kajania się i szepców. Radzym obraca suchą twarz ku pokutnikowi:

- Bóg żąda od ciebie wiele, żąda, abyś czynił sąd i sprawiedliwość, byś się nie unosił próżnym gniewem, który jest przeciw sprawiedliwości, i abyś nie dozwalał sobie na próżną łaskę, która jest słabością, gdy trzeba karać, i byś nie grzeszył zatwardziałością serca, gdy czas przebaczyć. Wspomnij, Bolesławie, na grzechy swoje przeciw sprawiedliwości i godziwemu sądowi.

Szumi szeroko ziemia Bolesławowa, w zwartej puszczy świecą polany, wznoszą się grody i

podgrodzia, wszędy ludzie a ludzie, w wędrówkach swych przemierzył ją całą, wzdłuż i wszerz, pił piwo i miód, sądził i godował, bił zwierza i ściągał wojów na wyprawy: azali wszędy czynił sprawiedliwość należną władcy?

Pot spływa po twarzy Belkowej w tym zmaganiu się z sobą i władztwem.

- Azali nie powołał cię Bóg, byś byt obrońcą kościołów i kapłanów, ojcem dla sierot i wdów? Azali ten, kto nikogo nie najdzie ku obronie w całym księstwie, nie do ciebie winien się uciec?

- Azali nie hańbisz władania swego pycha, zazdrością, żądzą, skąpstwem, gniewem, niesprawiedliwością?

- Azali nikt przez cię w całym księstwie nie płacze niesprawiedliwie, a zwłaszcza ubogi i poniżony, który jest bratem Chrystusowym ?

- Azaliś nie grzeszył pochuciami, sprośnością, żądzą i użyciem? Azaliś poskramiał ciało postami i umartwieniem?

- Azaliś...

Pochylona przed wielkością Boga bryła ludzka kajała się i czyniła pokutę. Świątynia pełna szeptów i blasku świec. Duszno było, nie mieli czym odetchnąć, zmagali się w nieruchomym napięciu, pot wielkimi kroplami spływał im po czole i policzkach.

Całą noc wierzeje kościoła były otwarte. Ledwo świt szarzał, pchali się grodowi gapić się na cesarza a gości, woje nie puszczały ich głębiej, przy drzwiach stłoczyli się w ścisk, zebra trzeszczały. Wybałuszali gały z dziwu: cesarz, Bolko, Henryk, Heribertus, Robert, Dedi, Stojgniew, wszyscy goście i wszystkie wielmoże księstwa, jeden przy drugim leżeli krzyżem na ziemi, z gołą głową posypaną popiołem, we włosienicach a worach. Setka świec błyszczała na ołtarzu, błyszczał złoty krzyż, błyszczała srebrna trumna Wojciechowa, powoli, pokutnic bił dzwon na wieży kościelnej. Milcząc patrzyła puszcza na owo społeczne kajanie się przed Jezu Krystem.

Z góry zapowiedziano łowcom: zwierzyne bić na przyjazd cesarski a wieźć do Gniezdna; toć rybakom: ryb naciągać spod lodu. Zaruszały się osady rybackie wzdłuż Warty na przyjezierzach, co dzień ciągnęły powodowe sanie, zawalili składy gniezdnieńskie. Lecz zaraz przyszedł odwilże, ryba odtajała, Piekuta, który na ten czas zasiadł w Gniezdnie, zląkł się, by nie zaśmierdła: na wszelki wypadek kazał ściągnąć rybaków z Poznania a Kruszwicy wraz ze sprzętem. W trzy dni zważyło się czterdziestu dwu chłopów, rozepchnięto ich po chatach na podgrodziu, przespali się na słomie, z rana już błądzili po płach gniezdnieńskich, stukali obuchami toporów w lód, przekrzywiali głowy, słuchali: gdzie głębia większa. Stary Pepik chuchał w ręce, zabijał je o boki, zażawionymi oczyma spoglądał na gród. Kosy, dłubiąc lód długą, ostrą kością, spytał:

- Co dumasz, stary, a gały wywalasz na on gród. Myślisz może: pokłonią się tobie pięknie, a zawołają: przyjdź na gody, gościa mamy godnego, uczcij i ty onego gościa.

Pepik zgrabiał z zimna ręką podrapał się za uchem:

- Głupie gadki bajasz, Kosy. Pomnisz on dzień pode grodem poznańskim, kiej wołali o śmierci starego księdza. Takoz cizba stała, a ty ryby ciągałeś. Twoja rzecz: ryby ciągać, a komornika: patrzeć. Azali nie dość, kiej płoć chyci żyłę, a bacz: za płocią okuń, wraz chycił płotkę. Ciągniesz okunia a radujesz się, żeś raz dwa większą rybę ułowił, a tu ci na onego okunia szczupak na trzy stopy: za kark okuniego syna, raz dwa połknął, aż ci wędę w wielki pałak ugnie, popuścisz ją, pociągniesz, znowu popuścisz, nie przegryzie żyły, wywleczesz ji pod brzeg, a szczupak odurniał stoi, ty ji kłonicą, w łeb ji, hi hi! w durny łeb ji i na brzeg! Żle ci to? Dureń ty...

Przetarł oczy, na starość łzawiły mu się zimą, dalej kwakał:

- Co tam będą robili z onymi rybami, w onym grodzie? Będą żarli. Tyle że komornik na nich nie wsiądzie: co księdzową rybę w gębę pchasz? A ja ci rzekę: nie mniej ci ja ryb zżarłem niżli ksiądz, oho! Stara moja migiem czerwone jagody zbiera, pełne cebry mam jagód. Tegdy piekę rybę z jagodą, jem: dobre jedzenie. Ziemomysła pomnę, Ziemomysł mego oćca u Poznania osadził, kiej gród Poznanowym odjął, onego ubił. Bajał ociec: obnosili ścierwo Poznanowe wokół wałów, a śmierdziało ono tak, że na wałach nie lza było dychać. To i oddali Poznanowi Poznań wojom Ziemomysła. I co? Ryby ciągam i ciągam, niemałom widział księdzów a dziwów, nynie nowe obaczę. Ejże, z ryb ona siła we mnie, oho! ryba... Ty, Kosy, głuptak jesteś, kiej bajdujesz na urn nie weźmiesz. Rybi u ciebie urn, gdyby ryba większy urn miała, nie brałaby wędę. A urn ryba ma taki... słuchajcież! Rybi urn...

Zbrzydł wszystkim w Gniezdnie Piekuta, wszędzie nos swój musiał wsadzić - śmiech powiedzieć: rożny liczył, czy aby dość. Emnilda żaliła się Bolkowi już po odjeździe Ottona: "Mierzi mię Piekuta, odetchnienia nie dal ni mnie, ni komu. Mgło mi, kiej patrzę na ona ruchawą gębę". Bolko siedział na skrzyni, w gieżle tylko i gaciach, boso, oczy miał zmrużone, słuchał, przyciągnął żonę, posadził ją obok i wciąż trzymając ramieniem: "Pomnij, Emnilda, za co ty łajesz ji, ty a wszyscy, winienem Piekucie złoty łańcuch dać. Jak by szło w księstwie, kiejby on we wszystko nosa nie tkał? Jak za Sobiesława".

Całe podgrodzie wywaliło oglądać przyjazd cesarski. Spędzono ich na brzeg wzgórza, opodał wrót. Czerwieniła się wstęga sukna. Stróża stała u ostrokołu po obu stronach drogi. Bił dzwon. Od grodu szedł Unger ze świątkami a księżna z dworkami. Stach się pochylił do Dzierbołka:

- Wisz... ten w długiej przyodziewie, biały na gębie, podle księdza, pewnikiem cesarz?

Dzierbołek utarł nos palcem.

- Ii... obacz no... nasz Bolko o głowę większy... To ci churlęga z onego cesarza... - setka oczu porównywała obu - Bolka z cesarzem - i:

- Oho! Bolko!

Gród był przystrojony by na gody. Wszystkie dróżki, przełazy a przejścia żółto wysypane piaskiem. Nawet kupy śmiecia a łajno kazał Warcisław wywieźć, nawet .zaszczane zaspasy śniegu. A wszystkie odrzwia zdobne w choinki zieleniły się, z dachów zwisały świerkowe girlandy pstro przetykane. Przed kościołem, przed gospodami szkarłat sukna. I ludziska chodziły przybrane - dziurawego kozucha nie obaczysz.

Cyrkiew pięć dni czyścili - od stropu. Wszystką słomę w gospodach a kleciach spalili, łoża i ławy złali wrzątkiem, czysto zasłali - iżby robactwo nie żarło cesarza a gości.

Błyszczął gród wyszorowany do czysta by dziewczka przed swataniem.

I na podgrodziu co lepsze chaty kazali wyczyścić a opróżnić, drogi takż wysypać piaskiem: nie pomieszczą się goście w grodzie.

- A kto by przybył w one dni do Gniezdna, może jeść i pić bez chyby: taka wola księdza; byle wolny był człek, a krześcijanin. - Wiele ludu waliło od puszczy. Saniami jechali. Bezustanny gwar unosił się nad Gniezdnem.

Świątynia była pełna ludu, woje u drzwi stali gęsto jeden przy drugim, zbici w zduszoną miazgę. Wyciągali głowy, szeroko otwartymi oczami patrzyli na uroczystość. Stał tron dla Ottona a tron dla Bolka. Gaudenty w stroju arcybiskupim, w wysokiej czapce, z krzywulą w ręce szedł do ołtarza; złocisty płaszcz włókł się po ziemi. Usługiwali mu biskupi i świątki. Na ławach i klęcznikach wszyscy goście. Płonęły roje świec z wosku puszczy Mazowsza, Kujaw, Pomorza, Polan, Ślęzan, Chrobotów, Łęczycan, Sieradzan... Gaudenty odprawiał po raz pierwszy arcybiskupie nabożeństwo, śpiewał z rękoma wzniesionymi w górę, głosem wielkim, w którym coś drgało i migotało niby płomyk jeszcze jednej świecy. Z biciem w dzwony nieśli biskupi truchło Wojciechowc przed ołtarz przywieziony przez Ottona, dymili mu a śpiewali, kłęby kadzidla napełniły kościół. Gaudenty się odwrócił i czytał bullę kanonizacyjną, z oczu Ottona płynęły łzy. Śpiew chóralny odpowiadał Gaudentemu obcą, łaskotliwą melodią, wznoszącą się i opadającą niby fale morskie. W białej szacie świątek, klęcząc, dymił z kadzielnicy przed Gaudentym. Dwóch trzymało przez chusty jego wysoką czapkę i jego krzywy kij. Obnosili dokoła przepasany krzyż, podnosili go i śpiewali. Bolko, cesarz, goście klękali i śpiewali. Kardynał Robert czytał drugą bullę, erygującą nową arcybiskupią stolicę: Bolko miał wówczas zacięte szczęki, zuchwy mu latały. Otto objął go i ucałował. Znów klęczeli



wszyscy z rękami wzniesionymi w górę, sto otwartych ust śpiewało w jeden głos ową falującą melodię. Dzwoniły niewielkie dzwonki. Znów gadał Gaudenty wielkim głosem, w obcej mowie i polskiej, ale i to, co w polskiej mówił, było nie do pojęcia. Znowu się kłaniali Wojciechowi. Od ołtarza dawali zjeść kęs chleba Ottonowi, Bolkowi, biskupom a świętkom: bają, w chlebie tym jest ukryty przez czary Kyryi Krysti. Dzwon wciąż bił. Znów długo śpiewał chór, drugi mu odpowiadał.

Słońce dobrze się nachyliło, gdy byi koniec obiatom. Przez długie godziny patrzyły nie pojmujące oczy, a serca ścisnęły się niepokojem i ssącą chęcią pojęcia. Coś wielkiego, wielkiego a niezrozumiałego, działo się im przed oczyma. Na cześć Jezu Krysta a woja Jego, Wojciecha.

A wždy widzieli Wojciecha w Krakowie i tu w Gniezdnie. Niejednokrotnie wołali o nim: cudak.

W głębokiej zadumie stał zbity tłum wojów, patrzyli. Nowe szło im przez piersi, jak bystry chłodny strumień. Bił dzwon i serca biły.

W babińcu było rojno, polatywał śmiech. Stroiły się. Dwie białki czesaly Regelinę, zaplatały jej kosy, miała włosy długie, niemal białe. Matka, w gieźle jeszcze, wybierała ze skrzyni stroje, kładła na ławach. Najstarsza, Adelajda, przymierzała bisior, czerwona była, podnosiła zamyśłone spojrzenie na matkę. Trzecia, Świętocha, buczała w kącie. Bugucha gładziła ją pomarszczoną dłonią, węzły żył siniały, wypukłe i nabrzmiałe.

- Cichaj, Świętocha, jeszcze ci czas... Będiesz i ty na gody chodzić, cichaj... A przyjdą do cię dziewosłęby z za siedmiu borów a siedmiu gór, a siedmiu jezior i siedmiu mórz. A będą na koniach białych i w zbroi, i z mieczami, a grzywy koni będą kraszone... cichaj, głupia...

- Uuu - buczała mała.

Latorosłka Zefridowa wwlekła już na siebie nową ciasnochę, co ją mąż niedawno przywiózł, kładła naszyjnik, przeginała się uśmiechnięta, Emnilda spojrziała na nią, zaśmiała się:

- Iście dziewczka z ciebie, Adelajdo, chceśmy w jednych leciech.

Dobracha Zadorowa parsknęła krótko a złośliwie: - Jednego miała chłopca, a i ten pomarł, nie dziwota. Toć i suka, kiej szczenięta ją ciągną, zeschnie, że gnaty sterczą. - Latorosłka pokraśniała, a Jemiołka:

- Bają, Zefrid nocką międli jeno ozorem, niczym innym - zachichotały baby, Emnilda uniosła zwój sukna, fuknęła:

- Cichajcie ze sprośnościami, głupie wy białki. Świętek jest...

- Abo świętki gryzą, miast całować? A on ci Eryk trzem dziewczkom już brzuchy doprawił.

- Och och och!

- Bają, Wojciechowe świętki inaczej. Nie lza im białki tknąć.

Dobrachę się nachyliła do księżnej:

- Prawdali? Bają, Radzym a Bogusz, a Wdała pletnią się chłoszczą sami do krwi. Po co im to?

Emnilda uniosła brwi w górę: - Dla Jezu Krysta tak czynią.

- Dla Jezu Krysta?

- A no... Jezu Krysta ubili, a wprzódy siekli Ji pletnią, to i oni... dla czci...

- Bają i cesarz tak czyni?

- I cesarz.

- Dziw.

Jemiołka przysiadła na zydlu, ciżmy wciągała, ciasnawe były, stopy miała szerokie, kacze, uniosła się, zaśmiała się wszystkimi zębami:

- Aleć on tłusty woj, co nań wołają Dedi, nie bije się pletnią, pewne to; może się czasem poczochno o ściany, kiej gryzie go nazbyt. Isty wieprz w pancerzu, tylko mu tłusty ryj sterczy.

- Jemiołka!... - krzyknęła Emnilda, ale sama nie wytrzymała, siadła naraz, ręce złożyła na brzuchu i na cały babiniec:

- Cha cha cha cha...

I wraz zgodnym chórem by stado kawek:

- Cha cha cha...

Śmiech latał po babińcu. Stroiły się. Raz wraz któraś przypadała do okna, kręciły się tam otroki, zerkwały - wołała gniewnie:

- A kysz! A kysz, psiajuchy!

Kanclerz Heribertus paznokciem czyścił pieczęć, brwi marszczył, namyślał się. Odłożył ją naraz, wziął w ręce kodeks z wzorami aktów i dyplomów, przerzucał go. Łysy mnich Egidius siedział nad rozpostartym pergaminem, czekał na dyktat nadania dla biskupa Wizenzy. Naraz Heribertus podniósł czoło, wzrok jego padł na ścianę zawieszoną zielonkawą makatą, spod której widniały szerniałe, grubo ociosane belki, i zaczął śpiewnie dyktować:

- Działo się to przed Idami marcowymi w Sklawinii, w mieście - zawahał się, brwi zmarszczył - Gnezne, gdzie spoczywa ciało błogosławionego męczennika Adalberta...

- Ejże! Wypijesz?

- Wypiję.

- Nie odejmując cebrzyka?

- Nie.

- A no. Wypijesz, dam ci dwa takie cebry. Dzierbołek stał w kręgu wojów, z cebrzykiem w ręku.

Żagiewka rozluźnił pas, rozpiął kozuch, wziął z rąk piwowara naczynie, rozkraczył się mocno na nogach, przytknął wargi do cebra, pił, pił długo, głowa się mu odchylała do góry, twarz czerwieniała, krąg wojów zataił dech. Dzierbołek patrzył z otwartą w zdumieniu gębą, cebrzyk coraz się przechylał, błyszczał biało, aż lipowe dno zalśniło prosto w pysk słońcu. Zahuczał naraz cały krąg jednym śmiechem:

- Ha ha ha ha ha!

Żagiewka oddał Dzierbołkowi pusty cebrzyk, odetchnął głęboko, sapnął:

- Dajcie no gdzie przysiąc, bom się utrudził bardzo.

Bolesław - gadając wciąż i żartując - zoczył przechodzącego Zefrida, pociągnął go z tymże półpijany śmiechem za rękaw, pochylił się do ucha, zaszeptał:

- Słysz, Zefrid, będzie cię Dedi przekupywać, daj się przekupić. Potem przyjdiesz do mnie, w nocy, drzwi nie będą zawarte, opowiesz. I... pomnij! - odchylił się, stuknął obu dłońmi po udach, zahuczał tymże basowym rechotem:

- Dobra gadka, Zefrid? Dobra? Co?

- Hi hi hi! - śmiał się Zefrid.

- Bardzo się nam u was podoba - powiedział rycerz Konrad z Arnaburg w Saksonii, podnosząc do ust róg z miodem.

- Bardzo się nam u was podoba - powtórzy! rycerz Unwan z Minden, ręką pogładzi! ogromna, rudą brodę.

Stojgniew nalał miodu. Podpity Unwan uderzył go po ramieniu :

- Na świętego Udalryka! Opowiadają, że księżę waszej krainy lubi wojny. A który rycerz co złupi, zostawia mu i jeszcze ze swojej zdobyczy mu dołoży. U nas inny ład.

- I wojska macie przedniego moc. Widzieliśmy to u Iłwy. Stojgniew się zaśmiał szeroko:

- A no! to zostawajcie u nas. Księżę przyjmie was rad i obdarzy. Zaciągajcie się do nas na służbę.

Spojrzeli po sobie. Rudobrody Unwan stuknął w kolano:

- Na Boga! Zostaniemy. A Konrad:

- Złożym przysięgę na wierność. Ej, zbrzydły nam już puste bitki seniorów.

Stoigniew znów dołał miodu.

Długo chorował Dziob, na kupie słomy rzucał się i krzyczał. Nie jadł i nie pił. Wstał chudy i biały pod kłakami włosów na brodzie, wokół warg, z obu stron policzków; dwa zagłębienia świeciły na skroniach, jak dwa stawy wyschnięte i płytkie; kość widniała pod skórą.

Skoro wstał, nie gadał o chacie, o żonie, o dobytku, o dziecku; milczący był. Pochylony, brał miskę między kolana, żarł łapczywie, siorbał. Nie wiedzieli, co zrobić z nim, do roboty nie szedł ni do lasu - wiadomo: las jest żywicielem bezdomnych. Coś ich uwierało, gdy go mieli napędzić. Aleć tymczasem było co jeść: nie napędzali. Właśnie starszego syna swatali, gody były huczne. Dziob siedział niemy i martwy, by zwid u progu - tyle że żarł a pił piwsko. Daru swadziebnego nie przysposobił - nie mieli żalu i o to. Zgłupiał pono z onej swej biedy. Ale czekali: wiosenne słońce ji ogrzeje, wiaterek owieje, burcząca strumienia z tającego śniegu obudzą - pójdzie chłop do roboty. Przydadzą się dodatkowe ręce. On siedział w swym kącie na słomie, kolana zaplótł ramionami, kiwał się do przodu, durnym wzrokiem wodził po izbie - jak jedli, gadali, śmiali się, wnyki wiązali, sznury kręcili, baby len przędły, skóry zszywały.

Aż któregoś ranka - niedaleko już było do porównania dnia z nocą - zaczął się zbierać do drogi. "Kądy?" - pytali go. - Do księdza pójdę, powiem mu: "Woje twoi, ksze, krzywdę mi uczyniły, skarż onych, a mnie wróć..." - zamilkł, wodził pustymi oczyma po ludziach, twarz miał martwą, ni skurczu na niej, żadnego wyrazu. Zaśmiali się mu w gębę: "Będzie to ksiądz z przygłupkiem gadać. Abo to białkę ci da, abo syna? Twoja to rzecz". Ale on, zda się, nie słyszał. Mamrotał do siebie:

- Przyjechały, psie macie, złym okiem na chatę baczyły. Dobra chata była i ziarno w niej, i wieprz, i barany trzy, i koza, i kury, wszystko... I białkę miałem młodą, a ona białka przyodziewę w skrzyni miała i statki. Syna mi porodziła, chłopca bym miał. I mać stara była ze mną w mojej chacie. Spaliły mi ony wszystko, sucze dzieci, a gadałem: nie lza koni do chaty wieść, jedźcie dalej. A ony przyszły. Piwa im dałem a kaszy, a ony mi tako zrobiły.

Ni drgnienia na twarzy, gdy tak bajał, głos drewniany i martwy. Śmiali się zeń, nie słuchał. Poszedł.

Nie pierwszy raz był w Gniezdnie. Ale inaczej teraz tu było, po nowemu. Tłok i wrzask. Na podgrodziu luda pełno, gody jakoweś, kupami siedzą kmiecie, dziewczki biegają z chłopcami, w płasie idą między opłotkami, obcy się snują w cudacznych strojach, z bronią. Brogi siana tu i tam, na płachtach chleb, góry chleba, podle cebry z piwem; tłok przy tych cebrach, śmiech i wrzask. Stare chłopcy poszturchują dziewczki, te zęby szczerzą, chichoczą. Ogniska a ogniska, wszędy mięso pieką, czerwienieją wyrzucone wnętrzności, psy rozciągają kiszki, gryzą się i szczekają, wrony kraczą. Jazgot.

Niebo było wysokie, błękitne, słońce świeciło. Śnieg zdeptany w błoto, miesza go setka stóp, pryska czarna woda spod skórnicy, konie uwiązane rzędem odwracają łby, rżą, na górze brunatny gród, wrota roztwarte, ludzie wchodzą przez nie, wychodzą, wszędy ruch - Dziob przystanął otumaniony tym

świętem i tym bogactwem. Odurniały ze szczętem, patrzył: tyle tu tego. A jemu woje księdzowe spalili chatę... Od cebrów z piwem zerwał się naraz śpiew chóralny, wesoły, syty, gęby czerwone, rozwarte, rozśmieszona.

O ostre kanty radości kaleczył Dziob swe nieszczęście. Wyrastało nad gród, nad ciżbę, aż pod niebo. Niby chmura przykrywało słońce.

Pobrawszy się za ręce szli podgrodzianie i okoliczni kmiecie w pijanym, radosnym korowodzie. Kto stał samotny, chwytały za ręce, siłą ciągnęli w krąg. Ani obejrzał się Dziob, jak go porwali, ułapiony twardymi dłońmi biegł w długim oszalałym wężu, śpiewającym, chlupoczącym w błocie i gnoju, rozśmieszonym. Kosy dziewczkom latały na strony, pieśń się owijała wokół grodu niby rzeka rozhukana i wzburzona, niby żywioł, co zerwał tamy i niesie człeka bez pamięci, na ślepo, w zatracenie...

Heribertus uniósł nieco głowę, powiedział do Ottona:

- Kazałem już Egidiusowi wymalować cię, panie, jak siedzisz w majestacie na tronie pod baldachimem, berło trzymasz w prawicy, w lewicy jabłko z krzyżem Chrystusowym, a korona cesarska zdobi twe czoło. Świat składa ci hołd, to jest: Roma, Galia, Germania i Sklawinia, każdy kraj dary ci niesie, co kto ma. Ale kazałem je przedstawić, jak chcesz: nie jako dziewczki niewolne, lecz jako królowe - każda w koronie na głowie.

Otto roztworzył szerzej zaczerwienione oczy. Odetchnął, powtórzył:

- Cały świat. Jeden, jedna nierozzerwalna szata Chrystusowa. Jedno Imperium Romanum, jeno Boże. Skoro doprowadzę do tego, wtedy będę mógł odejść, Romuald już przygotował dla mnie erem. Zmęczonym.

Wsparł młodocianą twarz na dłoni, wielkie znużenie ją okryło. Powtórzył:

- Szata Chrystusowa, o którą łotry losy rzucają.

Mało co później powtórzył Heribertus Dediemu rozmowę z cesarzem. Tamten się skrzywił:

- Słuchajże mnie: toć baśń. Jaka szata? Jedna szata! Słuchajże, Heribercie: toć każdy za ona szatę garścią chwycił a w swoją stronę rwie: kto więcej wydrze. Roma, Galia, Sklawinia... Co wy z cesarzem myślicie: Bolesława w pychę wbić, siłę jego powiększyć? Toć i bez tego dość jej ma. Chcesz zhołdować Sklawinię? powiem ci jak: mieczami uderzyć na Bolka, nim się nie rozrósł dość. Przecie żywią macocha jego a trzech braci: wymóc, niechże każdemu dzielnicę da... a potem niechże się żrą między sobą, a samemu rozsądzać owe spory. A który by wyrastał nad brata, w łeb go! Jaka tam szata Chrystusowa! Powiem ci, co każ Egidiusowi malować: cesarz na tronie rzymskim siedzi, w koronie i z berłem, czemu nie. A nad nim Germania. One inne kraje na klęczkach i... na Boga! bez koron.

Heribertus nasepił się.

- Nie pojmujecie, Dedi, cesarza. Prawdziwie Bożych myśli ten chłopiec. - Dedi się zmarszczył gniewnie, chrząknął, ale nie odpowiedział.

Walczyły w onym świecie te dwie myśli. W duszach wszystkich zebranych u grodu Wojciecha walczyły. Otto się modlił u zwłok męczennika:

- ...oby świat był jednym, jednością Twoją, Panie, przyjdź Królestwo Twoje, Ojczy nasz.

Piekuta zarządził, iżby rybacy naciągali ryb świeżych, ciapkali się tegdy cały dzień, zostali i w nocy na jeziorach. Teraz łowili w przeręblach na wędy zimowe z żywcem. Zdarzyło się, że Bolko wyszedł z godów szczytę podchmielon, z rozkoszą odetchnął pachnącym już wiosną powietrzem i - miast do komory - poszedł do ostrokołu. Patrzył długą chwilę na jeziora, po których łaziły małe, czerwone ogniki pochodni niby błyszczące żuki. Aż naraz kazał sobie furkę otworzyć, polazł ku onym żukom.

Stary Pępik trzymał oburącz kawał drewna, do którego - w środku - uwiązana była linka idąca w wodę; stał rozkraczony nad przeręblą, potrząsał silnie drągiem, w górę i w dół.

Bolesław ukryty w cieniu, poza kręgiem światła, rzucanym przez wbitą w lód pochodnię, patrzył. Pępik przestał targać za sznur, ciągnął go w górę, ale - czy słaby już był ze starości, czy ryba była zbyt wielka, czy też węda zaczepiła o coś na dnie - nie szło mu to ciągnięcie. Bolesław wszedł wówczas w krąg światła, stanął obok, chwycił za linę. Lecz Pępik wrzasnął starczym, zagniewanym dyszkantem:

- Nie szoruj powrozem o lód, kiej głuptak, bo przetnie powrósło. Pochyl się. - Bolko usłuchał, ciągnęli społem szarpiący się sznur, wydobyli w końcu dużego okunia, stary - zerwał go z haka, rzucił w kosz, krzyknął:

- Wielga ryba! - i wówczas dopiero spojrzął na pomocnika.

- A no... cóż? Ciągam kiej głuptak - powiedział ksiądz - aleć prawdę rzekł: umu mi rybackiego brak.

Stary milczał chwilę, zbladł nieco, przymrużył oczy, odrzekł :

- Nie mogę ci o was rzec, ksze, że co robicie, to jak głuptak, nie byłoby to prawe gadanie; ale widzę, że rybackiego umu to wam brak.

- Brak iście - potwierdził Bolko i roześmiał się. Stary nałożył nową rybkę na hak, plusnął w wodę. Snadź przestraszony był czy zmieszany, bo miast targać, odsunął czapę, podrapał się, patrzył tępo na księdza. Tamten siadł na kawale wyrąbanego lodu, spytał:

- Z dawnaś rybak?

- Oćca mego posadził Ziemomysl u Poznania. Wprzódym rybę jadł, niżlim cyckę ssał.

- Wieleś ryby naciągał, wciąż łowiąc.

- Powiem wam, ksze: nie zjedlibyście przez cały swój wiek tej ryby, com ją ułowił.

- A jak ci?

- A no... - wciąż patrzył na księdza. Bolko naraz:

- Mnogo lat... Chceszli, dam ci wolę na koniec twych dni?

Pepik się znów podrapał w głowę:

- A no...

- Chcesz?

- A no... jeślibym synów miał... Pewność... wola. Nie mam ci synów. Wola?... Cóż ja z ona wolą nynie robić będę, po co mi ona? Wiele mi dni zostało, będę już ryby dla was ciągał.

- Pierwszyż człek, którego spotkał, a który woli nie chce.

- Bo i wołają na mnie głuptak, że mi dość, kiej rybę łowię. A wždy: dość. Inszych pytajcie, insi polecą na wolę.

- Nie wybierałem ciebie, kiedym tu szedł.

- A no, Dola wybrała.

- To czego chcesz, stary, od księstwa? Dam ci.

- Wolę mi dawaliście, co z tej woli. Jeślibym synów miał: pewność, wola... Ale co mi z onej... już nynie. Rzekę wam, ksze: nie dawajcie tyle woli komornikom a włodarzom. One gidy są, człeku ryby żałują, a same bierą.

Bolesław siedział na krze, słuchał zamyślony. Wciąż się nowego o księstwie uczył.

Władysław Przemysłida, który wprzód gościł u Bolka, potem pojechał do Bawarów skamleć o pomoc, teraz wrócił wraz z Ottonem: nic nie wskórał u kulawego Henryka. Z dawna wiedzieli o nim - pijanica jest, ale w one uroczystości gniezdnieńskie zapijał się jak nigdy. Między jednym pijaństwem a drugim kaptował jednak stronników. Opowiadał wojom, jak oskopiono Jaromira:

- Kochan Wrszowiec z bracią pojмали ji, powrozami związali, rozdiali, na górze weleckiej mada mu wyrznęli, śmiali się zeń: "Nynie potomków płódź, którzy by stolec w Wyszegradzie zajęli, twojej gańby mścili. Leż tu w onym lesie, a kruki i wrony niechże cię dziobią, aż zadziobią, lepszej doli niewart". A był u nich sługa od was, Szreniawita, wołają nań Koza. Ten po kryjomu przyzwał drugów Jaromira, uratowali księdza.

- Szreniawita! - wykrzyknął Budziwoj - wiem ci. Był u mnie ojciec jego a bracia.

- Tegdy czas kończyć z Wrszowcami, onym węzowym rodem. Bolko kłął się mi... - patrzył podpuchłymi oczyma na wojów, ale ci gęby mieli zamknięte, ksiądz im surowo przykazał: nie szczekać przy gościach na Czechy.

Emnilda chwyciła odchodzącego męża za guz płaszczu:

- I jeszcze, Bolko... Przywiedli do mnie smarda, iż chciał do cię na skargę iść, zwał ją Dziob. Woje twoje ze stanem byli w jego chacie, a spalili i chatę, i chudobę, i mać, i białkę, i syna. Jakże to tak, Bolko! nie lza tak.

- Którzy to woje?

- Nie wie on przecie, jak ich zwał, powiedzą mu to?

- Idź z tym do Gniewka, nie czas mi teraz o Dziobowej biedzie słuchać. Niechże Gniewek rozpyta onego Dzioba, a wojów najdzie; prawdali, co baje: bieda onym.

Emnilda zamruwała szybko powiekami:

- Mało tego, Bolko.

Już odchodził, zatrzymał się, spojrzął zdziwiony.

- Jakże to?

- A no... wojom bieda będzie. A co Dziobowi z onej biedy?

- Białki mu ni syna nie dam.

- A chata? Chudoba? Jakże to: z księżym stanem stali, a smard nynie goły kiej ogryziona gałąź.

Bolko naraz nachylił się nad nią, dłonie jej na ramiona złożył i - z jakimś serdecznym drganiem w głosie:

- Prawiłem ci nie raz, nie dwa razy: umu ci brak. Wždy widzę: masz swój babi um. Prawie gadasz, Emnilda, aleć z tym do Piekuty idź. Powiedz mu: ksiądz kazał, iżby onemu smardowi krzywdy nie było przez stan księży.

Lecz próżno szukali Dzioba w Gniezdnie - przepadł by kamień puszczonej w wodę. Stojgniew rzekł później do Bolka:

- ...i dobrze tak. Zawždy dwu wojów ostanie w drużynie. - Ale Bolesław brwi zmarszczył:

- Wszelako trza ład zrobić ze stanami. Bo to stanu się boją kiej chasy pruskiej. Woły gnają w las... świnię... jakież to ład w księstwie? Trza z tym skończyć.

- A no... - burknął Stojgniew, w głosie jego czuć było wątpliwość. Bolko spojrział nań - i nawalił się z gębą.

Dopiero po uroczystościach kościelnych - jak wypadało - zwiedzał Otto z dworem kościół Matki Bożej. Kościół był z surowego kamienia, ale obszerny; ściany okrył Bolesław makatami i



kobiercami, że mieniły się różnobarwnie i pięknie, a zewsząd zwisające girlandy i wieńce z jedliny poprzątkowano czerwonymi skrawkami sukna na obraz krwi, którą rozlał Adalbert. Otto oglądał ołtarz, który przywiózł z sobą, złocisty i wspaniały, srebrną trumnę z relikwiami świętego, przed którą ukląkł i modlił się. Potem dziwił się spoglądając na posąg Zbawiciela na krzyżu, cały ze złota - złoto nań odważył Bolesław wedle swej wagi. Wreszcie oglądał płytę złotą, sadzoną rzęście drogimi kamieniami i kryształem, pięć łokci długą i dziesięć piędzi szeroką, z napisem: "Trzykroć sto funtów złota na to dzieło odważono". Wówczas to kazał wnieść Otto skrzynię z darami dla Bolesława i rzekł:

- Widzę to wprawdzie, Bolesławie, drugu mój, że nie brak ci złota a cenneści, ale dar ten, który ci daję, niechaj służy ku czci Pana naszego. A daję ci go tutaj, gdyż nie przystoi, by święte naczynia a szaty rozdać przy godach i winie. Tam jednak otrzymasz dary inne ode mnie, a tuszę, że nie będą dla cię mniej cenne niżli te tutaj..

Podochocili sobie zdziebko na onej uczcie. Otto był czerwony i poruszony, Dedi spił się, toż biskup Hugo i graf Hugo, toż rycerze a grafy i woje z Belkowej drużyny. Obejmowali się i miłe sobie słowa prawili. I nie zdarzyło się - taka radość panowała na onych godach - by się głośniejsz pokłócili albo do większej doszło awantury czy bitki; chyba jakieś drobne nieporozumienia, jak to zwyczajnie przy picciu. Aż Otto - uniesiony - zakrzyknął:

- Na koronę cesarską, podchodziłeś mię nieraz chytrze, Bolesławie, iżbym u papieża się starał o koronę królewską dla ciebie. Ale to, co widzę, większe jest, niżli się spodziewałem. Przeto jako zadatek onej korony... - zdjął złotą obrączkę ze swej głowy i włożył ją na głowę Bolesława.

- A że myślałem o tym od dawna, jako wiesz dobrze, przyjmij z rąk moich największą cenneść cesarstwa, włócznię świętego Maurycego, która należała kiedyś do Konstantyna, syna świętej Heleny, a którą król Henryk od króla Rudolfa otrzymał. Osadzony w niej jest gwóźdz, którym przybity był do krzyża Pan nasz, Jezus Chrystus. A kto by miał ona włócznię, nie potrzebuje się bać żadnego nieprzyjaciela, zwłaszcza spośród pogan.

Otto wstał. Oczy miał w tej chwili ogromne, zapatrzone przed siebie, rumieńce na bładych zwykle policzkach. Było coś niezwykłego w twarzy cesarskiej, jakoweś uniesienie - pijącym z nagła chmiel wyparował z kurzących się łbów. Cała izba zataiła dech, spojrzenia zawisły na chłopięcych rozedrganych wargach:

- Wielki to ciężar... cesarstwo - wciąż patrzył daleko, jakby poza okryte makatami ściany - a także kłamię Bogu kłamię się i świętemu mężowi, jako pójdę śladami Adalberta. Wspanialsza jest korona niebieska niżli władztwo nad całym światem, a jam grzeszny i mały człowiek przed oliczern Pana. Tegdy przyjmij tę włócznię, Bolesławie, także jako zadatek, jako widomy znak tego, o czym tylko ja wiem i ty, i Romuald, i Bóg.

- Co on mówi?... - przeleciał przerażony szept wśród dostojników niemieckich i rzymskich. Dedi oparł się wielkim brzuchem o stół, powiedział nieomal w głos:

- Oszalał... - zapadła martwa cisza. Aż przerwał ją gęsty bas Bolesława:

- A ja... - ksiądz był czerwony, sapał - a jam ci rzekł Jagonowi: "Nie odjedzie cesarz z Gniezdna bez świętej relikwii". Kazałem tedy Ungerowi odjąć ramię Adalbertowe od ciała, zamknąłem je w srebrnej skrzynce, którą ci dam w podzięcie i w dowód przyjaźni.

Nie uchodziło jednak, by one święte dary zamieniali tu, u stołu, przy napitkach. Podnieśli się więc od uczty i zarazże, w ciemną noc, przy świecach, tak jak byli w szatach godowych, ruszyli ku kościołowi. Znowu zagrały dzwony.

W wiele lat później - tak wiele, że zmieścisz w nie cały żywot - opowiadał Dzierbołek dzieje onych dni. Wszystko się już mu było poplątało, całe się życie zmieszało, piwne i chmielne, wesołe. Twarz miał szeroką, pomarszczoną, zmarszczki się mu zbiegały koło oczu, koło nosa, pełne śmiechu. Lubił siadywać przy dzbanie, sąsiedzi się zbierali w ciepłe popołudnia, siadali przed chatą, na grubym pniaku stał pękaty dzban, ozdobiony na brzuchu misterną plecionką, pies się układał przy nogach, Dzierbołek gładził mu łeb, ciągnął piwo, bladymi oczyma uciekał w dawne czasy, bąbał.

- Pomnę, piwa w on czas było a piwa. Choć kąp się w piwie, tu na podgrodziu i tam w grodzie stały rzędem cebry, każdy pełny, piana żółta z wierzchu, pamiętam, ludzie się nachylają, wprost z cebra siorbią. Bywało tak: dziesiątek przysiadzie, głowy wkoło, jak kury do jednej miski. Aż tu podleciał Zdeb, iże w stróży w grodzie był, człek silny w garści bardzo. Zobaczył człeka, jak, nachylony do cebra, pije, a zadek mu w górę sterczy, tłusty a sprośny, nie wytrzymał Zdeb, kiej wyrznie garścią w on zadek. Ha ha ha! Człek, jak nachylony stał, tak chlupnął łbem w ono piwo. Kupa tam była, wyłazi on człek z kadzi, zalany całkiem, z nosa, z uszu mu ciecze - i w złość! A wkoło śmiech, na kogo się tu złościć, ogon podwinął pod siebie i dyrdał, mołwie wam, jakby mu z tyłu grzali. A wtedy, pomnę, cud święty Wojciech uczynił na postrach biesom i obcym. Bo był w one dni w Gniezdnie jeden Sas, co z królem Ottonem przyjechał. Ottona widziałem sam, pomnę, był mały i chuderlawy, zgoła nikkzemny. Gały wywalał na bogactwo księdza naszego, aż raz służy mu poszły z obu oczu i mówić nie mógł z onego płaczu. To wraz nadbiegły jego dworzany a woje, margrafy na czworakach leciały dla większego pośpiechu, a wraz świętki dalejże go dymem z kadzielnic wędzić, chodzą wkoło, kiwają się i wędzą. A im boleć dymią, tym boleć Otto płacze. Więc pytają ji: "Czemu płaczesz, królu?" A jenz nic, jeno w jeszcze większy płacz. Po raz wtóry pytają ji: "Czemu płaczesz, królu?", a jenz znowu nic, tylko płacze. A kiej go trzeci raz spytali, pry im: "Bo mię żałość wzięła, że tyle tu bogactwa, a u mnie, co? chudzizna". A był tam Henryk, iże później królem niemieckim ostał, ten rzekł: "Bym był ja królem, wraz bym pobił Bolesława, a bogactwa mu odjął". A mało-wiele później pomarł Otto. A królem ostał Henryk. Ten ci wyprawił się wraz na Bolesława z siłą wielką i wiele wojowali. Ale w końcu tak dostał w zęby, że mało mu ostało. A ów Sas, com wam o nim prawił, co mu cud Wojciech uczynił, psi syn był i piwa mego nie pijał. Gadał tegdy: "Kto pije takie piwo, ten barani łeb nosi, a w żywocie mu burczy kiej wieprzowi". A trza wam wiedzieć, że Wojciech, zanim go Prusy ubiły, w Gniezdnie siedział, a Jarka, com mu dał Radostkę, bardzo ulubił. Gody wielkie Warcisław Jarkowi sprawił, tamok piwo moje pili. I Wojciech był, i takóž pił. I pry do mnie: "Dzierbołek, dobre piwo warzysz, lepszego i w Pradze nie piją. A kiej by w Pradze takie piwo było, pewnie bym z onej Pragi nie wyjeżdżał, jeno siedziałbym tam po dziś dzień". A on Sas wielce tu na piwo bluźnił, chociaż cesarz i króle, i księżdy, i święci rozmaici pili je i chwalili, i dolewać sobie jeszcze kazali. Przyszedł tegdy doń we śnie Wojciech i pry: "Piwa nie lubisz? To ci tak zrobię, że odtąd ilekroć weźmiesz piwo w gębę, będzie ci takie jakoby mocz". A ów Sas bardzo piwo lubił, ino tak pyskał nam na złość. Budzi się z rana, czuje, że mu w gębie zgaga i sucho, jakoby popiół z

piaskiem jadł. Krzyczy wtedy na chłopca, że mu służył: "Piwa mi przynieś". A przechodził podle jego komory i Otto, i Bolko, i wiele wielmożów, i księzków. Zachodzą doń na ów krzyk, a że w one dni wszyscy ochotę na picie mieli, więc siedli, a chłopak przyniósł cebrzyk. Pry Bolko do onego Sasa: "Przepijże do nas, miły panie", jenż przepił, ale w gębie mu gorzko i śmierdzi, wždy jakże splunąć, kiej Bolko i Otto siedzą a margrafy i księdky, a Bolko pry doń: "Przepijże do nas, miły panie". Tegdy mu aże gały wylazły, ale przemógł się i połknął. A Bolko i cesarz, i insi piją one piwo i chwają. Wždy drugi raz nie zdołał on Sas przełknąć piwa i blwał wszystko na ziem i z płaczem padł na kolana a opowiada Bolkowi i królowi, jaki sen miał. Tegdy Otto ji w kark i pry: "Dobrze ci tak, świński ryju. Toś nie tylko piwo dobre pił, a jeszcześ bluźnił. Pokutę nynie wielką odpraw, a z pacia pieszo idź do Romy". Śmiali się tegdy wszyscy z onego Sasa. A tegoż dnia na wieczerzy dał Otto Bolkowi wiele dobra a włącznie świętą i koronę, a Bolko uradowany dał Ottonowi wielkie dary. Wielka też była radość onego czasu, pili i weselili się nad dziw. A była w grodzie w on czas pewna baba, stara bardzo, miała jeden tylko ząb z przodu i ten ułamany. I miała ona baba wnuka, że gid był. A za jakowyś rozbój w jamie w Kruszwicy siedział. Przyszła w one dni owa baba do Emnildy i prosi za wnukiem. A Emnilda pry do niej: "Stara jesteś, że ci jeno jeden ząb został i ten ułamany, a głupiaś kiej nieźrała dziewczka. W takiś czas przyszła, głowę mi durzysz". A ona baba rzecze: "W jakież inny dzień będę was prosić?" - bo nie była głupia ona stara. Zaśmiała się Emnilda i pry: "Pójdę do księdza prosić". I poszła. Wiele też więźniów puścili z jamy w one dni. I komornika księdzowego Sobiesława, że u Złotej Góry piach mył. Ale nie ostał Sobiesław komornikiem, jeno po dawnemu był Piekuta, że gad był nie lada jaki. A siedział też tam jeden woik, że zmówiony był z dziewczką; ta oczy już wyplakała za nim, a inni jej nie brali, mówiąc: "Wprzody nie chciała nas, a nynie my już mili. Niechajże bierze ją zasębiony". I zdarzyło się, że wypuścili go w one dni, a Bolko w wielkiej radości wielkie dary dawał. I jemu dał. Wraz też gody wyprawili a chmielili trzy dni i woik on do drużyny poszedł. Później ji Niemcy zatłukli, ale białka jego prawiała: "Dobrze mu tak. Bo myślałam, że chłopca mieć będę, a on w grodzie i w grodzie". I kmiecia nalazła, kołodzieja, ten miał z nią trzech chłopców, wszyscy trzej szczytnikami ostali. A dobrze, że się mi przypomniało: w czas pobytu Ottona szczytnik jeden...

Słońce kapało wielkimi kroplami żaru. Z pękatego dzbana kolejno ciągnęli piwo, stary Dzierbołek z rozkoszą wystawiał na słońce pomarszczoną twarz, zmrużoną i uśmiechniętą, wspominał owe dawne, dobre czasy, gdy cesarz zjechał do Gniezdna w gościnę, a piwo płynęło rzeką.

W sto lat później przybysz z dalekich stron, zwany Gallem, pisał w pierwszej kronice polskiej:

Cesarz tedy wesoło wrócił do siebie z wielkimi darami, Bolesław zaś, panując, wznowił gniew ku dawnym wrogom.

Prawda z baśnią plątała się we wspominkach - nie rozeznąć. Nad grodami i puszcza powoli płynął czas.

# **Część piąta**

## **Buntownicze serca**

1.

Wiatr gnał statki Sigwalda, gdy jarl umykał od skał norweskich. Łodzie się pochylały, lewa burta leżała tuż nad powierzchnią morza, czasem wodna wypuklina załamywała się, wpadała płasko do wnętrza. Sigwald sam siedział u steru; gdy się oglądał, czuł na policzkach smaganie wiei, dzika radość go ponosiła, byłby wrzeszczał z onej rozrywającej go radości; choć wiedział, że gdyby go Olaf syn Trygwy dosięgnął, nie ujrzeliby już jomsborczycy swej nadodrzańskiej palisady. Daleko - tuż u widnokręgu - złociły się żagle Olafa. Sigwald rozróżniał plamkę Wielkiego Smoka, zda się - rozróżniał stojącego u masztu Olafa. Śmiał się bez głosu, samym jeno drgnieniem krtani - wiódł za sobą Olafa w pułapkę: jedenaście okrętów norweskich na dwanaście swijskich, dziesięć jomsborskich, sześćdziesiąt duńskich i pięć nordweskiego Eryka syna Haakona, które czyhały u cieśniny Swolden; opadną tam Olafa jak wilki jelenia, nie ujść Trygwasonowi. Było już niedaleko.

Wykręcił ster, płachta żagla straciła wiatr, fale zaczęły podrzucać łodziami, Sigwald stał, patrzył na goniących - Olafa zgubi własna jego nienawiść, mordercza chuć, by doścignąć Sigwaldowe łodzie. Drwiący śmiech wykrzywił raba gębę Wikinga. Tamci zbliżali się szybko, Wielki Smok, najszybszy staryk normański, wysunął się naprzód, sadził przez fale jak rumak pędzący w długich szczupakach. Skoro byli o dwa strzelenia luku, Sigwald znów położył łodzie na boku, pognął ku czerniejącym skałom Swolden. Olaf nie czekał na sunące za nim dziesięć łodzi, pędził samojeden.

Sigwald minął przyładek, jak szalony otarł się prawie o czarny głaz, o którym bają, że w ciche wieczory wylazi nań pani tych wód, gibka i złotowłosa, by wabić żeglarzy; woda tu wiecznie spieniona i zła. Wyzwał tym zuchowatym czynem Olafa, który się nie zawahał, przesunął się również u skały, za nim dziesięć łodzi, jedna za drugą. Zmieszana z wyciem wiei doszła do jomsborczyków wojenna pieśń Norwegów, Olaf stał w środku Smoka, lewą ręką trzymał się masztu, prawą miecz dzierzył, gotował się do bitki - widać, że niedaleczko uciekną już jomsborczycy. Lecz w tej chwili krzyknął łucznic Einar:

- Zdrada! Zdrada, Olafie! Tam... tam Swije, widzę dwanaście łodzi.

Olaf obrócił się naraz, dłonią przysłonił oczy. Po zielonej fali sunęło dwanaście swijskich łodzi Olafa syna Eryka - posągi Tora widniały wyraźnie na dziobach. Olaf Trygwason, który z dawna miał krzyż na łodziach, zakrzyknął:

- Milej im, doma siedząc, kotły ofiarne wylizywać niż Wielkiego Smoka nachodzić. Nie nam bać się świńskich ko niojadów - i kazał szerokim łukiem odpłynąć od przyładka na spokojniejsze wody, by tam łodzie związać sznurami. Erykson - widać to było - zawahał się, stracił wiatr, łodzie jego bezradnie się chygotały opodal przyładka, był czas łodzie powiązać. Olaf zawołał:

- I Sigwald zawraca z jomsborczykami. A no! dokończym waśni zaczętej nad Dziewiną - zaśmiał się. Lecz Einar, który miał wzrok bystry nad podziw, wskazał ręką na zbliżające się statki Sigwalda:

- Jest ich więcej... pięć... osiem... dziesięć... piętnaście... Widzę też rogi na przodzie, nie same kraśne pióra.

- Snadź Bolesław chce mścić czci siostrzanej. Ho! obmyła Sygryda swą wdowią miłość, po tej łaźni miła będzie Swendowi.

Lecz w tejże chwili poczęli wołać woje z innych łodzi, rękami wskazywać na południe. Stamtąd szła chmara Dunów - nie zliczysz - i statki Haakonsona. Teraz Olaf obrócił się do swoich:

- Osaczyli nas, świńskie ryje. A no! zakrzyknijcie pieśń Nordwegu! - Wraże łodzie sunęły już z wszystkich stron. Einar założył strzałę, odciągnął cięciwę, zawołał:

- Trup!

Łodzie były blisko, szły szeroką nawałą, woda się pieniała przed dziobami. Rój strzał sypnął się na związane statki norweskie.

Długie lata opiewały pieśni skaldów bitwę w cieśninie Swolden i śmierć białowłosego Olafa. Hallfred przebiegał z lutnią doliny norweskie, pływał okrętami na zachód i południe, wszędy biadał nad końcem Olafa a zgubą Wielkiego Smoka, króla okrętów. Szła pieśń jak fala odbita od brzegu... W wiele lat później wracał skald islandzki Stefni z pielgrzymki rzymskiej, spotkał Sigwalda, wyprostował się, starcza twarz poczerwieniała, wybuchnął pieśnią złorzeczącą zbrodniarzowi, "co króla Swenda wykradł z kraju, a syna Trygwy zdradą usidlił". Bajają, złapał później Sigwald pieśniarza, kazał go rozsiekać, ciało psom rzucić. Pieśń szła...

"... Morze było zielone i złote, Olaf wsparty prawą nogą na burcie Smoka rąbał drących się między okręty wrogów. Einar przebijał strzałą pancerze, widziałeś ich, jak rozkrzyżowawszy ramiona lecieli w tył, pluskali w wodę. Aż syn Sygrydy, Olaf swijski, luk Einarowi zgruchotał. Popękały liny, którymi były okręty związane, każdą łódź opadali z osobna, Bjurgulf nachylił się do króla, szepnął:

- Nie wrócić już nam z życiem do Nordwegu. Szybki jest Wielki Smok, przebijem się przez łodzie, umkniemy. Zachód blisko, nie zgonią po nocy.

- Nie wrócić nam z hańbą do Nordwegu - krzyknął Olaf, wrogie łodzie były już tuż, burta o burtę, wrzeszczące gęby, wyszczerzone zęby, błyskawice mieczów. Eryk syn Haakona zawył naraz przeraźliwie, odbił się, jednym skokiem przesadził burtę, wpadł na Wielkiego Smoka. Olaf ruszył na niego z krzykiem.

Starli się - wyrzucili Erykowych z łodzi. Ale już im oczy zapływały krwią, ramiona mdlały, każdy niemal był ranny. Była chwila przerwy, sprzymierzeńcy skupili się na radę. Morze było zielone i złote..."

Niosła pieśń chwałę tego boju w cieśninie Swolden, bohaterstwo białowłosego Olafa, męstwo Eryka Haakonsona, przebiegłość Sigwalda, siłę Swenda, gnuśność Olafa syna Eryka. Morze było zielone i złote.

Sygryda siedziała blada, z martwą twarzą, z rozszerzonymi oczyma słuchała pieśni skaldowej:

"...Kiedy padali obrońcy Wielkiego Smoka, skoczył Olaf Trygwason na nos łodzi, zaśpiewał

bohaterski król pieśń Nordwegu, chwalił siebie i lżył wrogów. Gdy szli nań gęstą ławą, w pełnej zbroi i czerwonym płaszczu rzucił się w głębie. Krzyknęli zawiedzeni zwycięzcy, woda otwarła się, chwyciła w zimne objęcia mocnego niby niedźwiedź, chybkiego niby ptak, pięknego jak kraj norweski, sławnego króla Olafa syna Trygwy. Morze było zielone i złote, wiatr wiał”.

Twarz Sygrydy nie drgnęła, gdy słuchała o śmierci miłowanego, któremu zgotowała zgubę za zelżenie jej miłości. Skald skończył pieśń, urwał, oczyma zapytał, co jeszcze każe. Skinęła głową:

- Dość! O czymże jeszcze śpiewać mógłbyś, skoroś wyśpię - , ' wał pieśń o śmierci Trygwasona. Odejdź.

Została milcząca, zadumana. Halla tonęła już w mroku. Wył wiatr. Zapatrzyła się w ona walkę, we wspaniałą postać Olafa u masztu, jak jej skald o tym bjał, w zbroi, w czerwonym , płaszczu, z mieczem w ręce, słyszała zgiełk, gwałt, serce jej biło. i Świeciło słońce i wiał wiatr. Morze było zielone i złote.

Dzierżyk wysłał posłańca do Bolka z doniesieniem: Pobiliśmy Olafa, syna Trygwy, w cieśninie Swolden. Sam on skoczył do morza, utonął. Jak kazałeś, złamaliśmy przewagę Nordwegu na morzach. Pomściliśmy hańbę Świętosławy.

2.

Zdarzyło się, że Bolesław - siedząc w Piekutowej gospodzie nad piwem - gadał z komornikiem o opolach; gdyż nie wszędzie były opola w nowy sposób z pożytkiem dla księstwa urządzone. Wiele z nich tak obciążały daniny książęce, że żadnego już nie przynosiły pożytku: ziarno, bydło i miód były wybrane, kmiecie chodzili głodni i wychudzeni, stróże wykonywano opornie, przewód, powód i przewoź nie mógł przewieźć ludzi ni ciężarów, gonitwa śladem szła niedbale, na stanach nic już wydusić nie można, często łągwi mleka brak. A indziej nic nie słyszano o posługach. Ksiądz z komornikiem wyliczał zapadłe kąty w głuszy, trza byłoby tutaj grodek postawić, w grodzie posadzić żupana i komornika, wyznaczyć włodarzy. Gadali tak, sennie trochę, nad piwem - w kącie siedziała Dziewanna, nie spuszczała błyszczących oczu z Bolesława. I naraz się wyrwała z niespodzianym okrzykiem:

- A Śliźnie?

Piekuta odwrócił się gwałtownie, pokraśniał, mięśnie na twarzy mu załatały, krzyknął z gniewem:

- Dziewanna! Co ci?... Gębę ozwierasz? - aż zatchnął się ze złości. Ale Bolesław buchnął śmiechem:

- Ho! i białki już do rady? Ale prawie gada Dziewanna: toć Śliźniów kupa siedzi, a tyle z nich, co z mieszków w boru. I z tego niesłychanego wykrzyku Dziewanny wynikła jazda Piekuty do Śliźniów; zabrał białkę ze sobą, a skoro się Giez dowiedział, dokąd jadą, przyłączył się również: rad był swojaków odwiedzić. Ruszyli Wielką Drogą.

Długo opowiadał Giez Śliźniom dzieje tych lat - gdy dotknięty do głębi obojętnością gromady ruszył samo wtór z małym Dzierżkiem w pościg za bandą normańską. Siedząc za stołem w starej chacie dziadowej, unosił swe nieruchome oczy w górę, zadumany i zadziwiony, i - pod urzeczonym spojrzeniem lnianej gromady - bąkał swym ciężkim, nieruchawym głosem. Bąkał dzieje tych lat, dzieje zwycięstw i klęsk, dzieje wielkiego świata.

- Odwróciłem się do was spod lasu... szliście gromadą płaczków po swoich... na tamten brzeg... - zamilkł i zadumał się. Widział ten obraz: szeroka, falująca polana, rozkraczony dąb w środku, bure chaty i oni... pleśń zawodząca. Gdzieś, nad koroną puszczy, błąkał się jeszcze - zda się - strzęp dymu po spalonych łodziach jomsborskich.

Nie spuszczała zeń oczu - jakby słyszeła ową gadkę raz pierwszy - a przecie bajano o niej często, urósł ów odparty napad w bohaterską baśń o sile i potędze Śliźniów. Giez gwarzył z nieruchomą, kamienną twarzą - bąkał.

Daleki wiew poruszył im serca, gdy bąkał.

Jak szedł w ślad za drużyną jomsborską, a Dzierżyk kulał się za nim z długim mieczem. Jak dopadł siwego Norda, gdy ten poprawiał trep, pchnął go zniemacka w plecy. Drugiego ubił strzałą, gdy radzili krzykliwie przy ognisku. Trzeciego przy strudze rzecznej, gdy ten leżąc pił wodę. Czwartego ustrzelił zabiegłszy zbójom drogę. Piątego, gdy wypadł z ukrycia w czasie bitki jomsborczyków z drużyną Bolkową; wtedy to i Dzierżyk rąbnął zbója z tyłu, machnąwszy oburącz. Bolko śmiał się z



chłopca, ale wziął go. Wielkie łowy były po tej wyprawie, Giez ubił niedźwiedzicę, a niedźwiadka przyniósł Bolkowi, choć mały gryzł i drapał. W Krakowie długo stali, wyprawiali się na Weletów, później na Sorbów. Sorby wzięły go, ale się im wyrwał, dwu zaciukał wydartym z garści stróża toporem. Z Czechami się bili, sroga wojna była, Dzierżyk dostał pałką po łbie, trzy dni leżał bez czucia, nie stałoby tam Bolka, pognaliby Czechy naszych. Później?... - długa chwila zadumy pod cichym zasłuchaniem - później były bitki z Włodzimierzem, pobił nas Włodzimierz. Bili się z Jaćwieżą na Mazowszu; gdy wracali, przyleciał z wieścią Wszebor piastun Bolka. Stary ksiądz niemocny. Skakali na Poznań bez tchu. Tam Oda, wszawa białka, struć chciała Bolesława. Bitka była w nocy w Poznaniu, mnogo pobili Odowych. Odylenowi kazał Bolko oczy wydrzeć wszystkim na śmiech, potem swoim dary dawał, innych po łaźniach sieczono do siódmej juchy. Wraz też na Jomsborg poszli, w drodze Pomorcy Bolkowi konia ubiły, sam on gębą w czarne jagody plachnął. Potem długo się ciapkali pod Jomsborgiem, który to gród mocny w środku rzeki stoi. Tamok... - zatchnął się Giez, nagły skurcz przeszedł przez nieruchomą twarz, burknął:

- Bajałem już wam, kiej spod Jomsborga przyjechałem. - Lubusza nabrał pełną piersią powietrza, wysapnął:

- Bajaj.

Tam za radę daną Bolkowi wziął ksiądz Gza do drużyny pancерnej, a Dzierżyk mimo swojej młodości w Jomsborgu na włodarstwie ostał: Bolko znał już dobrze smardzika, wiedział, co jenz potrafi. Potem znów wojowali Weletów i Czechów. Na Węgry się wyprawili, u Siposza srogo przetrzebili Stefanowych. Z posłaniem jeździł Giez do Pragi z Przemkiem, synem Świradowym. W Prusiech zbóje Wojciecha ubiły, kazał przeto ksiądz Gzowi bić Prusów i palić; od morza przyniósł Giez księdzu dzban wody, złoty łańcuch za ów dzban dostał. Bafe, cesarz w tym czasie do Gniezdna przyjeżdżał, wielkie dary przywiózł w dani Bolkowi. Znów bili Weletów, Giez przyniósł księdzu kij z bogiem weleckim na szczycie, pluli na onego boga, później spalili go w ogniu. Nynie znów Giez w Poznaniu siedzi z innymi...

Odetchnął. Gromada się nie ruszyła. W tę zasłuchaną ciszę wpadł chropawy śmiech Gza.

- A u was? U was nic się nie działo przez wszystkie te lata?

Poruszyli się. Jakby kamień pluchnął w zastały, czarny staw.

- U nas? - Lubusza uśmiechnął się szeroko. - U nas? Oho!

Giez wypił kubek piwa, zagadnął:

- Bajaj... Lubusza...

- Ja?

I naraz Lubusza się poruszył, obejrzał się wkoło, zmartwiała twarz ożyła, jakby ją żar oświecił. Poczuciem ważności zabrzmiał głos:

- Nic, prawisz? U nas? Oo... Giez powiódł leniwie ramionami:

- Teraz ty bajaj, Lubusza. O Śliźniach.

- Oho, Śliźnie... Śliźnie w one lata...

Potoczyła się gadka o polanie, o dziejach Śliźniów. A dzieje te były takie:

Pogrzebli godnie dziada a dziewięciu pobitych; pomną, jak to Dziewanna ryczała, a darła twarz pazurami - teraz siedzi Dziewanna jako godny gość, małżona pierwszego komornika w księstwie. Pomną to, pomną wszyscy, dzień był gorący, upał nalał polanę po brzegi, niczym miskę. Puszcza stała wkoło czarna jak wieniec żałobny. Strawę nagotowali, zbiegły się Śliźnie z innych poręb na dymne sygnały. Wieczorem śpiewali przy 'ogniach pogrzebowe pieśni, gwiazdy patrzyły nieme, dąb stał bez drgnienia - i on w ciężkim żalu po Śliźniach. Jedyne Gza brakło - teraz siedzi tu Giez, godny gość, znamienity, bogaty woj w księżej drużynie. Gapi się zazdrośnie na tych dwoje kmieca polana.

Lubusza się zapatrzył w one dalekie dni. Jak ono było - u Śliźniów?

Zboże tego lata sypało na dziw, siano zebrali suche, całą zimę bydło było tłuste i mleczne. Płodny to był rok. Dwanaście cieląt - siedem jałówek i pięć byczków - Dobracha Lubuszy urodziła syna, Ślepucha syna, Szypuła syna. A... jakże to można przepomnieć! - toć Kuwacz miał tej zimy dwoje: syna i córkę. Tejże zimy - tuż przed godami - zmarł Sułek, dziad Dziewanny, iże niemocny już był od lat, na ławie leżał, bezzębnymi ustami marniał. A wiosną zmarła córka Dobka, ta z zajęczą wargą; i nie szkoda, kto by taką brał.

Wiosną... - Lubusza zamilkł - wiosną, a jakże: toć niedźwiedzie wtedy to wyżerały owsy. Cała polana wyszła na mieszkę, dwu ubili, innych przegnali. Mucha tej wiosny była szczególnie kąśliwa, bydło się rozbiegało z pastwiska, dzieciaki ganiały jak wściekłe. Wielkie ognie palili w letnią noc godową. Przemko Lubuszy wpadł wtedy gębą w płomień, oko przypalił, zaciągnęło mu bielmem. Wtedy to Dziewannę oddali Tomkowi. Zima była sroga, dużo zwierza nabili tej zimy.

A z wiosną wypalili nowy szmat puszczy od rzeki. Siedemnaście nowych barci zacięli. Tego lata chłopca Dziewanny, onego Tomka, przywaliło drzewo w boru, Dziewanna wróciła do nas, mieszkała u Dobka, swego stryja. Wtedy to był ów wielki wiec pod dębem po śmierci Mściczuja, iże przewodnictwo objął po Gzie nad tamtą stroną polany; na wiecu tym nastąpiła ugoda, podzielili nadrzeczne łągi - przedmiot sporu - i synowie a wnuki Czmiela uznali przewodnictwo Lubuszy. iMór był na bydło, krowy smrodziły krwią, Baba zamawiała, ale mimo to blisko połowa padła; reszta była zszerszeniała i chuda, wszystkie gnaty sterczały. Aha! toż to tego lata Grzyb zmajstrował taką sochę, co korzenie drzew wyrzuca z ziemi na wierzch, tęga socha. A Żarek Lubuszów ustrzelił orła, który miał skrzydła szersze niż rozpostarte ramiona tęgiego męża. A Sobek Dobka wyrobił czótenko, całą zimę je dłuwał, a chodził w błoto oglądać resztki czóten jomsborskich, które zielskiem a śmieciem zaniósł. Okropnie mu się chciało z tychże żeber nową łódź zrobić, ale nie zdołał. A następnego lata len obrodził na dziw. Umarła białka Gza, dwie jego córki oddał Lubusza za kmieciów z poręby w górze rzeki. Trzecia miała dziecko ' nie wiada z kim, zmarła przy słabości; i dzieciak zmarł. Następnego lata susza była, grad wybił zboże, głodny był rok. Korę tłukli, wrzos mieszały z ziarnem. I łowy się nie udawały, dzikie jabłka czerw zjadł. Ale wiosna przyszła wczesna, mleko było. W rok później myszy ich opadły, słomę pocięły na nic. Wtedy to chata Grzyba spłonęła od pioruna, żona

Czmiela ostała w ogniu. Tego lata przybył nowy osadnik, tak i wołali nań: Przybysz, w dwa lata później dał mu Lubusza Jagodę: tęgi łowiec był z Przybysza, puszczy nie palił, za mięso a skóry ziarno od nich dostawał. Kiej Świętocha Dobkowa zmarła, Dobek wciąż nudził Lubuszę: ślij a ślij po Boguchę. Tej jesieni Giez do nich spod Jomsborga zajechał, wiele bajał o bojach i księdzu.

A potem ? - potem w koło i w koło: orali, siali, zbierali i jedli; rodzili i umierali. Jakże to? Przecież latem spadł pomór na dzieci, żar je palił taki, że całe ciała miały czerwone, w pryszczach a wysypkach, potem z tego żaru skóra z nich złąziła; rzucały się na posłaniu, krzyczały. Pomarł wtedy synal Kosego, wdały otrok, a dwoje drobiazgu u Sobka i jego żrała już dziewczka, dwoje Sęka Kuwaczowego, a prawnuki Czmiela wszystkie wymarły; i wyrostek Ostrzyka. Straszne to było lato, słońce paliło żywym ogniem, Baba bajała, że z onego żaru ten pomór; co i mogło być. Krowy miały wtedy jakowąż zarazę w racicach, owieczki motylca żarła, grady przechodziły wielkie jak kurze jaja, zboże do cna pobiły, drzewa łamały w puszczy. Jagodę Lubuszanekę, która za onym Przybyszem była, tak posiniaczył grad, że poroniła w polu; krew się lała z baby do jesieni, ale wyżyła, ma już swego Ościka, głupawego chłopca, który nie paple dotąd nic, choć jest już wielki do biodra ojcowego - kracze jeno jak wrona. Ciężka była ta zima, ludzie szernieli z głodu i udręki, a mróz brał tęgi, że drzewa trzaskały i ptaki w locie marzły. I dziw: bo pogoda nie była jasna, słońca mało widzieli w te mrozy, jeno mgła i mgła. A pod wiosnę przyszły odwilże, śnieg jął padać i padać, dzień po dniu, bez przerwy. Większość bydła wybili onej wiosny, bo nie było karmu; mało gdzie cała strzecha ostała, wszystko gadzinie dali. Aż - kiedy to? u końca wiosny - jak nie chlupną ciepłe dżdże, a po nich słońce: rozlała rzeka jak nigdy, łąki zanosła piachem, wszystkie łąnie porwała, Lubuszowe obejście woda w nocy zaląła, że ratowali się na onym czółenku Sobkowym.

A później?... - goiły się rany, trawa porastała groby, rosły jałówki i byczki, a no! rozrastał się ród. Latem ubił Przybysz jelenia z dwanaściorgiem gałęzi na rogach a brodą by u dziada. A późną jesienią: nikt nie pamiętał takiej chmary gilów, wprost by wróble, gdzie nie spojrzysz - czerwony brzusek świeci. Powiadali ludziska: na spór to. I prawda: zima była lekka, zwierza obfitość, siedmioro dzieci urodziło się tej zimy. A latem - Lubusza zachnął się - latem Bolko przebił przez polanę Śliźniów przesiek w puszczy, włodarz księży, Piekuta, zagnał wszystkich mężczyzn do roboty, sam lubił się po paprociach z Dziewanną. Ciota Lubuszy, Baba, którą czcił każdy w rodzie, gdyż była najstarsza i najmędrsza, ponoć dała czar Dziewannie. Tak było, czy nie - Dziewanna siedziała pokraśniała, ale oczu nie spuściła, śmiała się - dość, że Piekuta porwał białkę, obraził ród. A nynie siedzi w godnym kącie, godny gość - Lubusza zadumał się nad dziwem Nowych dni. - A później...

Później raz wraz ktoś zajężdżał, czasem posłaniec księży, czasem obóz, czasem woje. Był Swij ze Stankiem do Bolka, tych Dzierżyk wysłał. Skończyło się głuche odosobnienie polany: słyszeli i o księdzu, i o Stojgniewie, i o bitkach, i o Wojciechu, i o Ottonie. Wciąż im było mało tych nowin. Jeden Lubusza się chmurzył i boczył, tęsknił za dawnym.

Piekuta słuchał gadek Śliźniowych, mięśnie mu drgały na twarzy, zacinał zębami dolną wargę: śmiech go brał na myśl o gniewie Lubuszy, gdy mu powie, z jakim to posłaniem doń przyjechał.

3.

Dziwne to, ale w dumkach Dudka pozostał jednak jakiś ślad po onym kuciu krzyża dla kościoła na podgrodziu krakowskim. Niby nikły rys cierpienia, ledwie widoczny cień owych wygiętych w dół warg Chrystusowych. Bolesław kazał mu ryć napis na metalowej płycie, mnich Wdała, pomocnik Piekutowy, wyrysował litery, robota była łatwa, Dudek wykrawał rylcem błyszczące, zwijające się wiórki, raz po raz wodził poduszczką palca po wyłobinie, lecz wewnątrz odczuwał tęsknotę; coś niby łaknienie. Sądził, że łaknienie to płynęło z chęci kucia jakowegoś większego wizerunku. I tak, rozważając to wszystko w czasie wycinania wykręconej litery S albo brzuchatego B, nie zdając sobie z tego sprawy, wciąż myślał o wizerunku Jezu Krysta. Tak jak Go ujrzał, w tym dziwnym widzeniu wewnętrznym owej radosnej chwili wykuwania kątów warg w srebrnej bryle. Lecz to, co przeżywał dziś, było tęsknotą, nie zaś nasyceniem; a nie mogąc pójść do cyrkwi krakowskiej pod własny krzyż, sam nie wiedział, kiedy i jak ruszył do gniezdnieńskiej katedry, gdzie był ów krzyż złoty, wagi równej wadze Bolesława.

Cyrkiew była otwarta, gromada Radzymowych kleryków już odeszła, świątynia ziała pustką. Dudek stał przed złotym krzyżem i patrzył. Ale Chrystus tu był inny, nie taki, jakiego kowal dojrzał był w Krakowie. Tu wisiał na krzyżu srogi, z podniesioną w górę głową, z wyprostowanym tułowiem, z rękoma i nogami wyciągniętymi sztywno i władczo. Twarz miał pełną i groźną, brew zmarszczoną i oczy karzące. Dudek stał zapatrzony w górę, z ledwo odczuwanym a ssącym zawodem w piersi. Wyszedł nie zaspokoiwszy tęsknoty i głodny jak przedtem.

Wciąż wycinał lśniące wióry i wciąż snuły się mu dumki, nie wołane i męczące. No bo jakże: czuł przecież, że jego wizerunek krzyża był taki, jak bajął im o Kyryi Krysti Wojciech. Jezu Kryst, którego zbójce pojmały, biły Go i męczyły, aż śmierć Mu zadały na drzewie; a wszystko za przewiny ludzkie. Taki, do którego mieli śmiałość wołać, jak ich Wojciech uczył:

...a dać raczy, jegoż prosimy,

a na świecie zbożny pobyt,

po żywocie rajski przebyt...

A tutaj Jezu Kryst patrzył tak, że się człek kulił przed Nim bolej niżli przed księdzem.

I pewnie: trza bolej! Ale coś uwierało Dudka w dołku, coś niby łaknienie. Z łaknieniem tym ciął swe lśniące wiórki. Zabił sobie ćwieka z tym dwojakim wizerunkiem Jezu Krysta, nuda go żarła w ruchliwym i gwarnym grodzie gniezdnieńskim.

Aż wreszcie skończył swoje rzezanie i odniósł płytę, jak mu kazano, arcybiskupowi. Gaudenty wodził paluchem po wyłobinach i chwalił stojącego przed nim, niechętnego Dudka za ów krzyż srebrny, który widział w Krakowie, gdy był z Bolesławem na intronizacji biskupa Poppona. Wówczas to wyrwało się kowalowi:

- Ksze... - i zająknął się. Radzym przymrużył oczy, jak zawsze, gdy skupiał uwagę. Lecz Dudek pokraśniał i milczał. Arcybiskup chrząknął zachęcająco:

- No?

Dudek mówił z trudem:

- Jakże to, ksze... ten krzyż, com go kuł w Krakowie, inny jest niżli tu!... W Gniezdnie. A wždy tenże to Jezu Kryst. Jakże to?...

Wynikła stąd długa rozmowa, z której obaj byli mało zadowoleni, gdyż Gaudenty nie odnalazł w Dudku oczekiwanego oddania się Chrystusowi, a w zamian Dudek nie pojmował słów arcybiskupa: w każdym razie nie odpowiedział mu Gaudenty na dręczące go pytanie. W końcu jednak rzekł do kowala:

- Widzę to dobrze, że chciałbyś poznać więcej z wiary świętej niżli większość w tym kraju. Słuchajże! nie mogę ci wiele gadać z tobą, wezmę cię między tych, co się uczą zakonu Chrystusowego. Tam powiedzą ci wszystko, a bacz, byś na um Boga nie brał, boć nie na twój barani łeb ta mądrość. A mądrość ta w ubóstwie i poniżeniu - i opowiedział Dudkowi opowieść o świętym Aleksym, synu Eufemijana, który był moźnym panem, jakoby księdzem. A miał on Aleksy Famianę, królownę. Atoli z woli Bożej rzucił Aleksy dom ojca, jako też żonę, złoto i srebro biednym rozdał, sam zaś długo wędrował po całej ziemi, aż wreszcie zmarł pod schodami domu Eufemijanowego. Przedtem zaś słudzy Eufemijanowi pluli na żebraka i śmiali się zeń. Wówczas dzwony wszystkie w Rzymie zaczęły dzwonić i w on czas dopiero poznali w onym żebraku syna Eufemijanowego. I uczcili go jako świętego, chociaż wszystko oddał i nędzny był niby wyparszywiła suka.

Dudek wysłuchał, pokłonił się nisko i poszedł z szumem wyrazów i majaczeniem obrazów z życia syna Eufemijana. Ale nie pojmował onego Aleksego, iż przyglupek był, inaczej nie. Miał tam jakieś nowe kucie, poza tym chodził do arcybiskupiego domu, uczył się z klerykami pieśni kościelnych w obcej mowie, a nadto słuchał czytania z ksiąg i bywał na nabożeństwie w kościele - wtedy wpatrywał się w złoty krzyż. I nabrał zwyczaju zagładania do cyrkwi i gapienia się na postać Jezu Krysta, wciąż dlań obcego i wrogiego. Aż kiedyś, stał tak samotny w świątyni i gapił się bezmyślnie. I wtedy napłynęła doń myśl - myśl nagła i dziwaczna; nie wiadomo skąd i od kogo; niby złoty pył przyniesiony wiatrem: jaki też jest ten Jezu Kryst? jaki jest naprawdę? Mętnie przemknęła ta dumka: wždy nie do tego krzyża modlą się Gaudenty i świątki, i Bolko; nie temu krzyżowi śpiewają - przecie i on tam śpiewa za pouczeniem Radzymowym. Komu więc? I jaki jest Ten? Jaki? Znów poczuł ssanie tęsknoty, jakby głodu.

I od tego czasu jeszcze częściej jał chodzić do świątyni, wciąż się gapił na krzyż ze złota. Nie zdawał sobie sprawy, że nie widział już tego krzyża; ni twarzy Jezusowej - gniewnej i srogiej; ni ramion rozpiętych władczo; ni ważnie wyciągniętej postaci. Nie mówił żadnych słów ni żadnej modlitwy; ni Oćcze nasz, ni Zdrowaś Ty Maryja, ni Bogurodzica Dziewica; ni słowa. W jakiś niepojęty dlań sposób otwierał swe wnętrze. Czuł oto niby dotykiem, niby bezpośrednim zetknięciem, niby spazmem wewnętrznym, ale spazmem, który rozciągał się i trwał, trwał bez przerw i wahań, że w niego wpływa łagodny i obcy strumień; nie, nie strumień: wiew łagodniejszy niż tchnienie; nie, nie wiew nawet: cisza nań spływała, napelniała go. Pograżył się w tę ciszę i trwał w niej, a odczuwał ją jako dobro. I dziw: cisza ta nie koła w pełni tęsknoty, podobnej nieco do tej, jaką odczuwał, gdy tążył do swojszczyzny tam u Sasów albo w Italii; lecz tęsknota nie była bolesna. Zmieniała się raczej - w nieco bolesne uczucie: jeszcze mu mało tej ciszy i błogosławieństwa, które niosła. A z tym wszystkim

dawała radość.

W tym niepojętym odczuwaniu obcował w jakiś sposób z Jezus Krystem. Byłby go może Gaudenty zląkał, gdyby mu Dudek był się zwierzył; ale kowal nie gadał o tym z nikim, chodząc w pokoju i ciszy - szczęśliwy - jakby w półśnie.

4.

Andrzej - było to imię kościelne, ale swojacy wołali nań po staremu Kędziorek. A że ów ksiądz Jezu Krysta wesóły był człek, przeto nie urażał się o owo dawne swe imię. Ojciec jego - powiadają - przybył do Krakowa z Czech i śpiewał Jezu Krystu w słowiańskim języku, cudacznym wprawdzie, lecz półrozumiałym. Dopiero syna jego, Andrzeja, nauczył biskup Prokulf łacińskiej mowy; świątek objął się na dworze biskupim, po jego zaś śmierci, skoro przyszły Czechy, po staremu był przy krągłej świątyni w grodzie wawelskim. Ale gdy Mieszka przeganiał Czechów i ci wszystkich świątków zabierali ze sobą, ukrył się Kędziorek w pustym cebrze od piwa, dwa dni siedział w ciemności, nie śmiać nosa wysunąć na świat. Słyszał wrzask, tupanie, bitkę; potem śpiewy wesole i sprośne; potem ciszę i chrapanie. Wciąż nie mógł się zdobyć na uniesienie pokrywy; trząsał się w strachu; wydobywał z za pazuchy placki jęczmienne i gryzł je, popijał wodą z garnka; drzemał skurczony, ręce i nogi miał zdrętwiałe. Wreszcie zjadł wszystkie placki i wypił wodę. Trzeba wyłazić, a strach - czemuż u złego licha z Czechami nie uciekał! Miał tu - niedaleczko - dziewczkę, do której się zalecał, żal było rzucać, a brać ją nie było czasu: ostro nacierali Mieszkowi. W cebrze jednakże odeszła go ochota do dziewczki. A no!... W izbie było cicho, głową przypodniósł pokrywę, spojrział przez szparę i znów się schował.

Wkoło pokotem spali woje.

I złość, i śmiech, tfu! Dalej siedział skurczony, śpik go zmorzył. Ocknął się na gwar, słyszał głos:

- Pić się chce... obacz no, Szreniawita, w onym cebrze... piwoli?... - usłyszał ciężki krok, zamarł w bezruchu, naraz pokrywa spadła, kołtuniasty łeb nachylił się nad cebrzem, już pchała się ręka z kubkiem, dotknęła spoconej gęby Kędziorka, odskoczyła, Woj zajrzał - i nagle:

- Ha ha ha!... Chodźcie! Spróbujcie no tego piwa. Dziesięć par oczu, dziesięć rechoczących gęb; wyciągnęli go z cebra, obracali na strony. "Tyś kto?" - "Świątek?" - "Czemuś z Czechami nie uszedł?" - "Widzita go... piwo!" - i powlekli Kędziorka do Mieszki.

Później świątek opowiadał przy dzbanie, jak to go woje Mieszki w cebrze znaleźli i jak strachu się najadł. Wszystkie zmarszczki śmiały się mu na gębie. Gdyż - jako się rzekło - wesóły był człek; nie urażliwy.

Odnalazł swoją dziewczkę, ojca nie miała, matka dała mu ją, spłodził z nią czworo smarkaczów; a uprzednio miał syna nieprawego, ten, gdy podrósł, uwiesił się taty; wołali nań Czop - gdyż był mały i pękaty jak ojciec. Czop wyrósł jednak na obwiesia. Kędziorek myślał go na świątka sposobić, ale dureń ni śpiewu, ni modlitwy ugryźć nie mógł. Tylko się za dziewczętami wałęsał, a piwo czuł na staję niby pies przepiórczy ogon. Wdawał się w bezsensowne bitki o dziewczęta, po pijanemu, wracał z sińcami, skończyło się na wybicciu mu oka, chorzał z miesiączek, wreszcie ropa wyszła, zaciągnęło, łaził z martwo opadłą powieką. Kędziorek mawiał:

- Izby mu wtóre oko wybili, spokój bym miał. Abo nogi połamali, by wąkronić się nie mógł. A nynie co? po staremu biega i guza szuka - nie lubił kłopotów Kędziorek.

Zmarł Mieszka, nastał Bolesław, Kędziorek się wciąż kręcił przy wawelskim kościele, już jako

popychadło prezbitera grodowego imieniem Jakub. Ale nie miał żalu o to, że jest jeno luźną przyczepką przy Jakubie i jego świątkach. Dobrze mu było. Tak przeżył do roku Pańskiego tysięcznego. Przeżył i ten rok, o którym to roku bąjał Wojciech, że ma być w nim koniec wszystkiego, co tylko żywie. Już się nie spodziewał żadnych zmian w swojej prostej, zwyczajniutkiej doli.

Było ciepłe przedwieczere, dwa dni po świętym Janie. Kędziorek siedział na przyzbie swej stacji, nad piwem, twarz wystawił na słońce, nogi wyciągnął, ręce zaplótł na brzuchu. Oczy miał przymknięte, ale nie spał. Żyła w nim cicha i radosna czujność, świadomość zadowolenia z życia, ze słońca i piwa, ze szmerówokrzyków grodowych, z tego radosnego faktu, że jest przedwieczere, że słońce oto w twarz świeci ciepłe i łagodne, że kubek stoi obok na ławie i starczy jeno ręką sięgnąć, by poczuć miły, cierpki smak; ale że i ten leniwy ruch niekonieczny i można go odłożyć. A zaraz przyjdzie wieczór i skisłe mleko z twarogiem, a potem noc i gwiazdy zasypią niebo, i miesiąc - i sen, i odrętwienie; a potem ranek z przeciąganiem ramion i podgardle wieprzowe z piwem, potem pewno zawoła go Jakub i będą - nie śpiesząc - śpiewać w trzemiku, wnętrzości się będą napełniały leniwym poczuciem ważności, głosy będą płynąć równą falą, wyżej i niżej, spokojnie i beznamiętnie; a potem Sulisław gdzieś mu iść każe, konie w stadninie policzyć albo osep przyjąć, pójdzie się między polami granicąmiedzą, żyto się już wykłosiło, z cichym szelestem będzie się ocierało o dłonie, będzie szeptało miękko, a tam znowu przedwieczere i przyzba, słońce w pomarszczoną twarz, i piwo obok na ławie, że tylko rękę wyciągnąć, by poczuć miły, cierpki smak; lecz oto i ten leniwy ruch niekonieczny - piwo to nie stonóżka, nie wepsnie się w szparę.

Kędziorek podniósł na mgnienie powieki, poprzez rzęsy spłynął łagodny blask przedwieczera, napełnił go.

Dwoje młodszych dzieci bawi się w piasku i kurzu, najmniejszy synal raz wraz staje rakiem, pokazuje pośladek. Białka za ścianą trajluje, dziw, jak ona białka może dzień cały pytlować, choćby do siebie, ani się jej ślina zagrzeje. Ciche to burczenie i usypiające jak szmer strumienia. Tali to dziewczka, dla której krył się w cebrze od piwa? Dadźboże! Eh! głupi jest człek w młodych leciach. Chociażby ów Czop...

Lecz nawet wspomnienie starszego syna nie poruszyło powierzchni duszy Kędziorka; iście staw zastały w trzcinach w upalne południe - leniwy, złoty i ciężki.

Ręka się wolno odchyliła do kubka, dźwignęła - i ów miły, cierpki smak na wargach... języku... podniebieniu...

Któregoś ranka Andrzej, na którego po dawnemu wołali Kędziorek, siedział w samym gieżle na ławie, naprawiał skórznie. Przyleciał zasapany Czop, łypnął zdrowym okiem:

- Dajcie no jeść. W brzuchu burczy.

Kędziorkowa wraz rozwarła pysk, mąż siedział niemy, nie nachmurzył się nawet, wciąż but szył. Żona obróciła się doń:

- Czemu nie trzepniesz pierworodnego, niezguło ty, gnojku... Całą noc się wákronił nie wiedzieć gdzie, ni do roboty, ni do cyrkwi, ni do wojaczki... Jaka miotła, taki śmieć... Jeno wie, jak do michy



się przypiąć. Anim rodziła ji, anim karmiła, anim po tyłku ji plaskała, a nynie by rodzony... - Kędziorek podniósł rozśmieszone oczy,, patrzył, jak białka, nie ustając w pyskowanie, z rozmachem postawiła michę przed Czopem, tamten się przyparł do żarcia, siorbał, okiem błyskał, aż wreszcie z pełną gębą:

- Tata... biskup Poppo wołają was chyžo do siebie. Kędziorek podrapał się w głowę, a macocha wrzasnęła:

- Co milczysz tyli czas?... Duchem, Kędziorek, żywo... O miskę zrazu woła, a biskupowe posłanie na końcu, wszawy synek...

Czop zarechotał:

- Aboście by to dali mi zreć bez taty. - Kędziorek wzuł skórznie, ogacił nogi, przybrał się. Wyszedł bez śpiechu, szedł przez gród posapując, rozglądał się; szturchnął w bok służebną dziewczkę Sulistawa i zaśmiał się w jej wyszczerzone zęby, potem ręce założywszy do tyłu patrzył chwilę, jak dwa wróble czubią się w piasku, podskakując, przypadając do siebie, kłębiąc się i ćwierkając; skoro jeden z nich dziobnął w łebek drugiego i pognał za uciekającym, świętek zaśmiał się, poszedł dalej, rozglądając się, pochrzając. Beztriosko przestąpił próg biskupiego domostwa.

Gdy wrócił mało-wiele później, twarz miał poszarzałą, śmiejące się zawsze zmarszczki strapione. Żona plasnęła w rękę:

- Kędziorek? Co? Cóżes, jak gdybyś wilczego łyka się najadł?

Świętek siadł ciężko, trzepnął palcami, podniósł wzrok na przestraszoną kobietę, w niebieskich oczach strapienie:

- Gaudenty kazał Popponowi przysłać świętka do jakiegoś trzemika podle Gniezdna. Biskup wziął się, mnie śle.

Białka pokraśniała z gniewu na męża:

- Niezguło ty... babi pośladku... Doczep sobie ostre uszki, wiewiórką ostaniesz... Głuptak! Toć wreszcie wzięli cię na prezbitera, będziesz miał i ziemię, i ludzi, i stado, synom cosik ostawisz... Co nynie jesteś: obibok wawelski. Prawie mówiąc, wąkronisz się po grodzie by Czop: tam spojrzysz, czyli wiatr dziewczce kiecki nie uniósł, ówdzie, czyli woj dzbana z piwem nie ma. Co bolejš ? Śmieją się z ciebie, krowi chwoście, kpią a kłamają. Nynie mu dają godność, a on... - zamilkła, gdyż trzeba było w żar dmuchać. Kędziorek kiwał się na ławce. W końcu zamruczał:

- Blekotu się napiłaś, głupia białka. A czego mi... tyli kraj! Do Czechów nie uciekłem, wolej w miejscu siedzieć. Toć i kot wraca na swoje miejsce. Co mi tam jeździć... tyli kraj. Abo ja wiem, jak tam? Bajają, Gaudenty każe świętkom pletnią się bić. A co mi tu brakło: piwa abo jedzenia? A tam... - skrzywił się - ...tyli kraj. Tfu!

Odwróciła doń od paleniska rozognioną twarz:

- To i żaba siedzi w błocie i krzyczy: radam, radam, radam. A wyleźć ze swego bajora nierada. Słuchaj no! - ale strapiony Kędziorek nie słuchał, nie słyszał, przywykł już do tego jazgotu jak rybak do morza: słyszy ciszę, jednostajnego szumu nie słyszy.

Pod wieczór poszedł znów do biskupa wypraszać się: jakże mu ze swojskiego kąta się ruszać? Poppon popędliwy był, skrzyczał go. Ostatni raz Kędziorek, po kościelnemu Andrzej, siedział na przyzbie z piwem i strapieniem. W chacie białka wiązała łąchy, starsi synowie pomagali, Czop oczywiście gdzieś umknął. Przyszedł nazajutrz przed samym odjazdem, toboły były już spakowane na wóz. Kędziorek krzyknął na syna jakimś obcym, srogim głosem:

- Widzisz... konia przywiedli. Zaprzęgaj, psi chwoście.

Gdy zjechali z góry, Kędziorek obrócił się, spojrział na Kraków tęsknym wilgotnym wejrzeniem, westchnął. Czop wesoło człapał przy koniu, rad był: tyle świata obaczy. Baba coś trajlowała na wozie. Był wiatr: zboże szeleściło.

Po dwu dniach dobili do chaty kmiecia, na którego wołano Ksieniec abo - zwyczajnie, po sąsiedzku - Koziel. Było już niedaleko zachodu, postanowili w chacie tej na nocleg stanąć. Spętali konie, puścili je na trawę, białka z dzieciskami poszła do chaty, Kędziorek został jeszcze na dworze. Ksieniec wyniósł gościnne piwa, przepił do świętka, tamten przyjął napitek, siorbnał, mlasnał, pochwalił picie. I wraz zasiedli na okorowanym tramie, oparli się o ścianę chaty, pili, patrzyli w czerwony las, gęba Kędziorka - wargi, policzki - zaczęła nasiąkać uśmiechem, obrócił się do Ksieńca, położył mu dłoń na kolanie i rzekł:

- Dobrze tu u ciebie... w głuszy. Cicho... - i już cała twarz pełna drobnych zmarszczek nalała się kojącym zadowoleniem. Ksieńcowi się spodobał ten świętek, który się całkiem inaczej zachowywał od tych, co zwykli stan tu brać. Poczuł w nim nie księdzowego człeka, lecz gościa. Odwrócił się do chaty, krzyknął:

- Czarnula! Ej! Czarnula! - wyjrzała białka, mała, chuda, czarna, gęba w piegach - iście mysz nakrapiana - spojrziała przestraszona:

- Co, ociec?

- Daj no gościowi dzban syty - i obrócił wybałuszone oczy na Kędziorka, pod kłakami wąsów zęby - ejże! takich pszczół jak w naszych lasach nie obaczycie indziej.

Siedzieli, popijali, ugwarzali. Ksieniec gadał o synach, o Zwoju, o Czarnuli, o Wicie, który nic nie widzi, jeno za ptaszkami lata do boru, o białce Witowej, Malinie, co się okazała niepłodna, piąty już rok żyje z synem i nic... o Lubku, iż żrały już chłop, białki mu trza szukać. O wole, byczku, o krowie, jak jej wąż mleko wysysał, o morze wśród owieczek, o ciągłych stanach, jako że chata na szlaku stoi, choć uciekaj w głusz... o ojcu swym i dziadzie, o dębach i obiatach - o życiu. Kędziorek słuchał, nie słyszał, ciągnął miód, patrzył, jak las granatowieje, jak skry słońca się palą między pniami sosen, jak liliowy cień pełnie od trzech brzóz rosnących u chruścianego płotu - i ze zmarszczek jego nie spływał ów ciepły, pełen radości uśmiech, który się mu wżarł w twarz - bogać tam! - wżarł się weń całego w zupełnym zadowoleniu życia. Przeciągnął ramiona, raz jeszcze spojrział na las, na skry

słońca, na fiolet brzoź i - nie bacząc na pogwarkę Ksieńca - znów oparł dłoń na jego kolanie, a z ust wyszły mu słowa, dziwne u świątka'i prezbitera:

- To i żyj z Dadźbogiem, Ksieniec, a nie swarz się z Dolą - a obracając swe śmiejące się zmarszczki ku naburmuszonej twarzy tamtego:

- Nie lza się swarzyć z Dolą. Słyszysz? - i z nagłym, leniwym rozradowaniem:

- Ej...

Z chaty wyszła Malina ze skopkiem, skosiła oczy na starych, burknęła nie pytana:

- Pójdę krowy doić... - Ksieniec nie podniósł pochylonej głowy, natomiast Kędziorek z upodobaniem patrzył na jej migające łydki.

- Sielna dziewczka.

- Niepłodna - mruknął Ksieniec. Kędziorek jakby się zmarszczył i - z karcącym uśmiechem:

- A ty, Ksieniec, w koło swoje i swoje. Mołwię ci: nie swarz się z Dolą... - po obejściu tłukł się Czop, i on obrócił się do starych, i on burknął nie pytany:

- Pójdę konia obaczyć.

- Idź - skinął ojciec głową - ot, bacz, Ksieniec, chłop jak się patrzy i co z niego: ni z łuku we wronę nie trafi, ni sulicą w byka, jeno w babę zawždy utrafi, to jedno umie. I co rzekniesz: widziałem ci gorsze rzeczy niż z tym chłopem.

I ja za młodu baby lubilem, moja gada mi i gada: taki śmieć, jaka miotła. Ejże, Ksieniec, dolej no syty, dobry miód - znowu patrzyli na las, na cienie, na jasne jeszcze niebo.

Wit nic nie wiedział o gościach, gdy szedł spieszenie od lasu z plecionką pełną ptactwa. Był rad na wieczerzę i wesół. Niebo jeszcze świeciło, a już nad brzozą błyskała zwiernica - gwiazda wieczoru. Dojrzawszy chatę ojcową przyśpieszył kroku, lekko mu się szło, radośnie. Był niedaleko, gdy usłyszał u chruścianego płotu chichotanie białki. "Lubek się gzi z dziewczką" - przemknęła mu myśl, z duszącym go śmiechem postanowił nastraszyć brata. Schylił się u płotu, na kolanach i rękach czołgał się ku miłującej parze; dojrzał ich cienie, opartą o słup kobietę z odchyłoną w tył głową, niby broniącą się, a chichoczącą i półprzyzwalającą, i mężczyznę usiłującego sięgnąć białce pod gieżło. Podlaż bliżej, chłop pociągnął kobietę do siebie, Wit uniósł się na kolana, płasko dłonią uderzył go między łopatki, przyciszonym głosem, przez który śmiech przebijał, krzyknął:

- Kysz!

Usłyszał nagły, stłumiony głos, pełen przerażenia:

- Lelum!...

Po krzyku tym poznał ją, zmartwiał: klęczał przez moment odrętwiały. Malina zerwała się, z rękoma we włosach, z krzykiem zatupotała wzdłuż płotu. Zimna jak krynica wściekłość wlała się Witowi między żebra; wyciągnął ręce, tamten powstał - był niski, krepy - nie brat, nie Lubek! Zakiwał się na boki, Wit podniósł się wolno, jenz stał odurniały. Wit przygiął głowę, przykurczył się.

Ksieniec pociągnął był parę razy Kędziorka za rękaw, zapraszając go do chaty, ale świątkowi nie chciało się ruszyć, ociężałość ogarnęła go po miodzie, słuchał, zda się, cykania świerszczy czy zapadającego mroku. Naraz ciszę rozbił w drzazgi krzyk białki, tupot nóg, dwa cienie poderwały się za ogrodzeniem, stały chwilę naprzeciw siebie. Wit złapał Czopa wpół, uniósł go, cisnął z rozmachem na płot; wysuszone łapki świerkowe trzaśły, gaszek runął łbem w ziemię, Wit zwałił się nań, grzmocił na oślep pięścią, charczał; Czop próbował się dźwignąć, stęknął, Wit zaprzestał bicia, porwał bezwładne ciało, jał nim grzmocić o słupek, słupek pękł, obaj się znowu zwałili na ziemię. Ksieniec wrzasnął:

- Zwój! Lubek! - długimi susami gnał ku walczącym, za nim toczył się ociężale Kędziorek. Z chaty wypadli dwaj synowie Kozła, białki. Malina oparta o ścianę ryczała w szalonym szlochu:

- Lelum, lelum, lelum... Ubije mię Wit... ociec... nie dajcie! Jasz! nie dajcie! - czterech mężczyzn oderwało Wita, ledwo go obezwładnili, miotał się, charczał. Malinę kazał Ksieniec Zwojowi odwieść do Bienia, Czopa zanieśli do izby - chłop był blady, nieprzytomny, dwa razy rzygnął krwią. Potem leżał bez ducha na ławie.

Milcząc siorbałi polewkę z mlekiem, unikali swego wzroku. Ksieniec czuł ściskanie w dołku - księdzowego człeka syn pobił, jakże to będzie - przepadli; Kędziorek sapał zły z niespodziewanego kłopotu, to ci babi poślad z onego Czopa, tyle biedy przez obwiesia; Wit zęby miał jeszcze zacięte, Czarnula Zwojowa chlipała w kącie. Niewesoło legli tej nocy na słomie.

Rankiem Kędziorek wziął Ksieńca za ramię. Zmarszczki zbiegły się mu gwiazdziście wokół nosa.

- Słuchaj no, Ksieniec, trza od cię glówczyznę brać abo jak? Czop ledwo dycha.

Ksieniec przestąpił z nogi na nogę, patrzył w ziemię - Ksze - zabąkał - ksze... urn odebrało chłopu... jakże to? białkę jego... jakże?

Zmarszczki Kędziorka jeszcze się pogłębiły - cała siateczka.

- A jak mnie... sani nynie mam jechać? Głupiś! - i od razu ostro r - Syna mi dasz do posługi, nim Czop nie wydobrzeje. Ksieniec nie podniósł oczu. Kędziorek jeszcze srożej:

- Wit pojedzie ze mną.

Ksieniec rzucił na świątka przelotne spojrzenie:

- Lado! Dacie ji księdzu w dyby. Niech Lubek jedzie. Kędziorek zaśmiał się po dawnemu, poklepał kmiecia:

- Dureńś. Dureń, mołwię. Dobrze, niech Lubek jedzie. Złożyli Czopa na wóz, zawołali Łubka, matka

prędko mu pchała w sakwę żywność. Chlipała. Nachmurzony Zwój zaprzął konia, wóz ruszył, za nim pieszo Kędziorek z białka i Lubek. Dzieciaki jechały.

W ten sposób Lubek - niespodzianie dla siebie - znalazł się w Gniezdnie. Chciał zrazu wracać, ale Czop chorzał wciąż, Kędziorek nie puścił chłopca. Lubek rozglądał się po świecie zadziwionymi oczyma. Na rozkaz Gaudentego Kędziorek miał pouczyć go wiary świętej i ochrzcić.

Po pewnym czasie Lubek - na chrzcie dostał imię Krystyna - już się nie wrywał do ojca. Był wesół, znalazł tu towarzyszy, polubili go. Spodobało się chłopcu w Gniezdnie - prawdę rzec, wszędzie, się mu podobało, gdzie się znalazł; wesoło i ufnie patrzył na świat.

5.

Tylko dziad i baba byli ci sami, dziewczyna była inna - Bugaj jej nie poznawał. Tyle czasu nie widział jej, zagrzebał się w swej strażnicy, kwasiał się w niej i gnił, nie bolał już nad tym, otepiał. Dziw go brał, gdy wspomniał, jaki był dawniej - inny człek. Gdy zabrnął znów do niej - w pogoni za jeleniem - i nadybał ją w lesie - w upalny letni dzień - nie poznał dziewczki: przywykł do opatulonego we skóry stworu, teraz biegła w lnianym giele, przepasana - była gibka, twarde ciało znaczyło się pod płótnem, dwa warkocze sięgały kolan; miast wianka z kwiatów miała wielki, czubaty wieniec z traw - z mietlicy, tymotki, drżączki, przetykany kwiatami cząbru. Bugaj porzucił jeleni ślad, szerokim krokiem podszedł ku niej.

- Bądź zdrowa, Krasa.

Oczekiwał uśmiechu, jakim witała go zawsze, jej spokojnego i ciepłego uśmiechu, od którego tajała jego siła i dzikość. A przywitała go nagłym błyskiem oczu, urażonym i gniewnym: - Długoś tu nie był, Bugaj.

Jakby nikły płomyk dawnej siły Bugajowej zadrgał w nim i zgasł.

- A no...

Patrzyła na jego wysoką, sękatą postać, na śmiałą gębę w dziobach, w której drzemała zatajona zuchwałość - tak winien wyglądać prawdziwy woj! - a przecie czegoś w nim brak. Targnęła nią nagła złość, chciała mu rzec, co by nim wstrząsło, co by zapiekło go do żywego.

- Ej, Bugaj, powiem ci: dziad i baba bojali się pierwej, że siłagwałem mię weźmiesz a uwiedziesz ze sobą. Ale widzę teraz, dobrze wołała na cię mać: Bugajek. Gębę masz wielką, ale zębów w niej brak.

Dawna, czerwona fala zalała oczy chłopca, jeden ruch - paluchami chwycił jej ramię, ścisnął z całej mocy, twarz jej skurczyła się z bólu, ale wbitych weń oczu nie spuściła, przez wykrzywione wargi syknęła:

- I co? Myślisz, zrobisz mi co? Patrz, walę cię w kostropaty pysk, myślisz, że boję się ciebie, ty... - prawą pięścią rąbnęła Bugaja w twarz, on porwał jej drugie ramię, przyciągnął ją do siebie, dyszał ciężko; czoło mu znowu pokrył pot, jakby z mieszka się dołał.

- Myślisz, że zniewolisz mię tak?

- Zniewolę!

Prosto w twarz parsknęła mu śmiechem, dawnym, beztroskim śmiechem; patrzył z bliska w jej śmiejącą się twarz, puścił ją tak nagle, aż straciła równowagę, zachwiała się, upadła na ziemię, podciągnęła nogi, oplotła je ramionami, z twarzą obróconą do pochylonego nad nią olbrzyma śmiała się wciąż głośno, zanosila się od śmiechu, cała trzęsła się w tym niepohamowanym chichocie. Bugaj stał nad nią, wciąż w półprzechylony, gęste krople potu spływały mu z czoła na policzki i szyję, patrzył na wijącą się w śmiechu dziewczynę durnym, pustym wzrokiem. Przestała śmiać się nagle -

jak odciął. Spoglądała ku niemu nieruchomo rozszerzonymi źrenicami. Gdybyż się zasłoniła, gdyby jeden ruch obronny? Ale tak?... Bugaj naraz się otrząsnął jak pies, wyprostował, spojrzął w jej ogromne źrenice, pasja w nim jeszcze grała, ale chuć wszelka odeszła; językiem zebrał ślinę, splunął na dziewczkę:

- Tfu! Suka.

Gdy się odwracał, usłyszał znowu jej suchy, zły śmiech. Słyszał go wciąż, odchodząc. Nie przystanął, bódł krzaki łbem, przedzierał się przez nie, byle tego śmiechu nie słyszeć, ale głos chichotu wciąż gnał za nim. Gdyby się był jednak obejrzał, wiedziałby, że to już nie śmiech go goni: Krasa wtuliła twarz w kolana, szlochała głośnym szlochem, ze spazmami w gardle, niemal z krzykiem - iście jakby dalszym ciągiem onego chichotu.

Sama zapewne nie wiedziała, że i śmiech ów, i płacz były wyrazem tego samego straszliwego, drącego gardziel żalu. Podniosła głowę, po Bugaju już nawet gałęzie ostrężyn przestały się chwiać. Długo patrzyła w kierunku, gdzie znikł.

W chacie powiedziała ostro do starych:

- Był dziś Bugaj. Przestraszyli się.

- I co?

Zębami zacięła wargi.

- I... nic. Poszedł.

- Kiedy wróci?

- Nie wróci już. Baba burczała:

- Głupia, wróci. Miałby nie wracać, przyszedłby tu?

- Za jeleniem przyszedł, nie za mną.

- Teraz do cię przyjdzie - burczał dziad.

- Wolej by nie przychodził - burczała baba.

- Wiecie tam co? Kiedyś rzekłam mu, że cielę z niego, nie bugaj, dwa lata tu nie był. Go miałam tu przez te dwa lata? - głos przeszedł jej w krzyk - co?... czerwiec, wodę i chrust. Nynie nie tak mu rzekłam, teraz nie wróci. Nie taki to chłop, oho! Bugaj...

- Wróci, głupia - burczał dziad.

- Wszystkie chłopcy jednakie - burczała baba. Krasa ciskała się po chacie, jakby ją szerszenie cięły.

Następnego dnia Bugaj wrócił. Zobaczywszy go Krasa parsknęła pełna pogardy, czuła doń żal, że wrócił, jak wprzód, że tak odszedł nie wywarłszy na niej swej mocy. Uciekła, w kupie zielska opodal chaty kucnęła, płakała z tego żalu i nagłej złości, która w niej wezbrała - nie wiedzieć skąd, w niej, cieszącej się dotąd ślepo, z niczego, z samej jeno siły wzrostu, z siły życia.

Bugaj nie szukał jej, siedział w chacie, stara postawiła przed nim kubek chlebowego kwasu, stary przepił do gościa, Bugaj wychylił kubek, siedział dalej, ponuro patrzył na oboje. Zdusić by, zdusić te starcze, wiotkie, ohydne gardziele, trzasnąć czerepami o ścianę, porwać'wpół Krasę, nasycić się nią, rzucić wreszcie półnągą w chaszczach, a później? topór w garść i iść na przełaj przez puszcę. Przed siebie, byle gdzie. Po licha mu w strażnicy księdzowej gnić! Ale były to zaledwie nikłe cienie dawnego Bugaja, ledwo zatarte obrazy, wie Bugaj: nikomu już gardzieli nie zdusi, niczyjego łba nie rozwali, nie zgwałci Krasę i nie porzuci jej nagiej w chaszczach. Zaczął więc - bezbarwnym, obojętnym tonem - targować u starych dziewczę; niby pierwszy lepszy kmięć z poręby puszczańskiej. Dziad obrócił do baby blade, kaprawe oczy, zaburczał:

- Słysz, zawszem to gadał, Bugaj księdzowy człek.

- Nie trza jej dać - odburknęła - kto będzie wodę nosił a chrust, kto najwięcej czerwiu zbierze. Zawszeni gadała: nie trza jej dać.

- Nie słyszysz to, stara, co gada Bugaj - burczał wciąż dziad.

- Nie trza... nie trza dać... Mołwię ci... - burczała baba. Ach, zdusić by, zdusić te ohydne gardziele, rozwalić te trzęsące się głowy, wybić zasnutę oczy, rozkwasić te galaretowate gęby. Ale to tylko blade przebłyski, nie pobudzające siły Bugajowej ni jego dzikości. Gadał sennie, burczał w tej starczej chacie, jak oni:

- Udała mi się Krasa, co chcecie za dziewczkę? Popatrzyl dziad na babę.

- Nie gadałem to?

- Gadałeś.

- Chcę wziąć Krasę.

- Chce wziąć.

Bugaj nie porwał się, nie trzasnął po kaprawych pyskach. Pytał:

- Co chcecie za Krasę?

- Młoda - zaburczał dziad.

- Silna - burczała baba.

- Robotna dziewczka - burczał dziad.



- Czerwiec zbiera, chrust nosi, wodę - burczała baba.

- Dam wam mnogo skór zwierza, chcecie?

- Co nam z onych skór - burknęła baba - robak zje one i tyle.

Bugaj siedział spokojny, nie drgnął.

- Czegóż więc chcecie?

- Za Krasę?

- A no!...

Znów monotonne, nudne, starcze burczenie:

- Młoda dziewczka.

- Silna dziewczka.

- Czerw zbiera, wodę nosi.

- Gadałam: Bugaj zechce wziąć Krasę.

- Gadałem i ja: Bugaj księdzowy człek. Kiej chce brać, niechże dobrą da płatę.

Bugaj pochylił się nieco, wsparł się obu dłońmi o kolana, spytał:

- Czego więc chcecie?

Przez zwiędłą twarz starego przewiało niby tchnienie życia.

- Lelum! Krasa młoda dziewczka, silna. Ty, Bugaj, księdzowy człek, możny pan. Chcesz brać Krasę, srebra nam za nią daj. Mnogo srebra.

Bugaj naraz wstał.

- Srebra?...

Patrzyły nań dwie pary starczych, kaprawych oczu. Ale w tych oczach, bez wyrazu i życia, paliło się teraz pożądanie, zachłanna, tępa, starcza chciwość. Jakby nikła żyłka świeżej krwi przepłynęła w bezsilnym burczeniu zaślinionych warg:

- Ty, Bugaj, księdzowy człek, możny pan. Krasa młoda dziewczka, zdrowa dziewczka, silna. Nie znała dotąd chłopca. Robotna dziewczka. Czerwiec zbiera... chrust... wodę... Dasz za nią srebra, mnogo srebra, pełen mieszek srebra. Srebra.

Oddechy zda się szybsze, oczy patrzą wyczekująco i chciwie.

- Srebra? - powtórzył Bugaj. I oto naraz obudził się w nirn dawny Bugaj, odżyła dawna siła i dawna dzikość, bez przejścia, wprost z tej nieruchomej, stojącej postawy skoczył, porwał garściami oboje, rzucił o ścianę, znów garście wyciągnął, gdy usłyszał od drzwi ostry krzyk:

- Nie rusz!

Obrócił głowę, Krasa stała w progu, wyprężona była, głowę miała uniesioną, gniewną, powtórzyła tymże ostrym krzykiem:

- Puść! - puścił. - I wyjdź! - Gdy stał chwilę, kiwając się na boki:

- Wyjdź stąd! - i tupnięcie nogi.

Jak urzeczony, ruszył. Gdy mijał ją, usunęła się na bok; nie przystając, nie odwracając głowy, trzasnął ją na odlew ramieniem, słyszał, jak się zwała, poszedł przed siebie, w las, szerokim swym, Bugajowym krokiem. Dzikość szalała w. nim, huczała, przelewała się.

- Srebra! Srebra, psiamać! Srebra staremu próchnu, srebra! Srebra!

Zataczał się. Wyło mu w piersi, złapał za tęgi dębczak, napiął się, targnął, złamał, szarpnął, oderwał potrzaskane włókna, rzucił się z dębową maczugą na krze, na las, walił wkoło we wściekłej, dzikiej żądzy łamania i niszczenia.

Gaudenty umilkł. Emnilda miała twarz ujętą w obie dłonie, nie poruszała się, zdumionych oczu nie odwracała od arcybiskupa. Bolesław pięści trzymał na stole, wzrok miał spuszczone, jakby z napiętą uwagą liczył kostki u rąk. Skończyli już posiłek, obrusy były poplamione tłuszczem, misy wypróżnione, kości poogryzane, zmiętoszone kupy ręczników. Dziewki zbierały naczynia i resztki jedzenia, wносиły miód. Nikt się nie ruszył, nic przerwał ciszy pełnej napięcia. Unger nawijał na palec ogniwa biskupiego łańcucha i to pobrzękiwanie było jedynym dźwiękiem rozbijającym ciszę. Ze skulonego kłębuszka błyszcząły czarne oczy Zefrida. Warcisławowi skóra na twarzy napięła się, grododzierzca poruszał wargami, jakby wciąż żuł. Staremu Wszeborowi trzęsła się już głowa na szyi. Bezmyślnym ruchem gładził Odrzykoń łysinę. Przemko odchylił się do tyłu, dłonie zaplótł za kolano, kiwał się powoli, trochę sennie: tegoż ranka przyjechał do Gniezdna. Piekucie mięśnie czoła i policzków wciąż chodziły. Stojgniew, oparty na łokciach, palcami obu rąk skubał wąsy. Astryk był wyprostowany, blady i nieruchomy, zmarszczka spomiędzy brwi nie schodziła mu na moment. Rycerz Konrad - nie rozumiejąc jeszcze dobrze mowy - oparł czoło na prawej dłoni i podrzemywał, budził się i obrzucał współbiesiadników niepewnym wzrokiem w obawie, że zachrapał, zaś rycerz Unwan zerkał bokiem ku najstarszej Zadorównie, Boguwoli, która pierwszy raz z matką przyszła do książęcego stołu. Budziwoj ostrzem noża wydłubywał z zębów resztki jedzenia, ale brwi miał zmarszczone, nie odrywał od arcybiskupa natężonego wejrzenia. Bogusz, Rudolf, Wdała, Jan i Paweł, świątki biskupowe, siedzieli skromnie, oczy mieli spuszczone na obrus. Białki ścisnęły się na ławie ciaśniej - z tego dziwu i tego przyjęcia; całkiem stado ciecior na grzędzie.

Zacząło się to z niczego, z luźnej gawędy o tamtych mnichach, co już przybyli do Krakowa i pieszo idą na Gniezdno, choć zrazu kazał Bolesław powozem ich wieźć. Gaudenty znał Romualda, był przecie u niego z bratem, tam to postanowili obaj szukać śmierci w Chrystusie u pogan. Wypytywano go więc - trochę bezładnie - najpierw Bolesław i Unger, później i Stojgniew, Odrzykoń, Przemko, Warcisław. Dziwy bajął Gaudenty o onych nowych mnichach Romualda. Powoli ścichaly głosy i pytania, zasłuchali się w gadkę tak dziwną, że zda się, nierzeczywistą. A przecie był w onych klasztorach Gaudenty i Wojciech, i Bogusz, i Wdała, własnymi oczami widzieli, pościli, modlili się i biczowali. I do dziś: białki im tknąć nie lza, upić się nie lza, mięsa zjedzą tyle, co u księdza, i to - kość abo dwie ogryzą i mołwią, że dość.

Gaudenty bajął:

- Wiele takich eremów założył Romuald w italskiej ziemi, a ci, co nynie idą k'nam, są z miejscowości Pereum, jaże leży podle Rawenny, grodu zacnego. Jest tam znaczna rzeka Padus. W onym miejscu dzieli się rzeka na części, jakoby kilkoro strug płynęło. Tam na wyspie założył Romuald nowy erem. A wyspa to błotnista, że suchego miejsca na niej nie znajdziesz, a zarośnięta kłującym zielskiem. Smród się unosi tam z onych bagien i lęgnie się moc wszelakiego robactwa, które lata rojami, tnie i gryzie człeka na onej wyspie, że jeno byś je bił a bił na swej gębie. Ale zakazał im tego Romuald i rzekł: "Nie lza wam bić onego plugastwa, owszem, niechże was gryzie, a im więcej gryzie, tym ci lepiej dla was. A myślcie sobie tak: To nie robactwo mię gryzie, to moje grzechy tak mię gryzą. Nie czujecie dość dolegliwości zła, bo skóra na was za twarda. Przeto nie pędzajcie kąśliwego robaka, jeno dziękujcie zań Panu naszemu, Chrystusowi". I jeszcze rzekł im Romuald o onym robactwie: "Bo zważcie, że każdy stwór powstał od Boga w dniach stworzenia. A

po co stwarzał Bóg Wszechmogący owo robactwo, jeśli nie na pożytek duszny. Tegdy nie ważcie się ubić kąśliwego komara czy choćby najpodlejszej muchy, która z gnoju żyje i z człowieka, bo skoro muchę będziesz bił, jakbyś rękę stwarzającego Boga bił”. Gaudenty znów przerwał, bo sam się zamyślił nad własnymi słowami, a tamci siedzieli by zakłęci, taki ich dziw wciąż żarł. Jakże to? Wiadomo, mucha abo komar, albo pluskiew czy wesz - trza bić robactwo, bo zagryzie na śmierć. Po to przecie żerdki na płótno w łaźni są pod strzechą, że wesz się parzy i z onego gorąca osypuje się na ziem; i po to się kozuchy nad dymem wędzi i nad ogniskiem, żeby wszy wybić. A onże Romuald pry: “Ubijesz robaka, jakbyś rękę Boga bił”. Budziwoj nie wytrzymał, wraził ostrze noża przez obrus w stół i mruknął:

- Wždy, ksze, szczeka cosik on Romuald. Czyliż?... gdy mi komar abo mucha kąśliwa siędzie na nos abo na czoło... czyliż mam nie trzepnąć paskudztwa? Gadacie coś od rzeczy, ksze.

Jakby pękł zakłęty krąg milczenia.

Emnilda się obróciła do męża, spojrzała mu pytająco w oczy, a potem naraz do Gaudentego:

- To ci jest nie byle jaka rzecz dla nas, białek, bo my sprawujem ochędóstwo nad odzieniem a łożami: jakże to? Abo Jezu Kryst wzbronil słomę zgniłą z łoża spalić a łoże samo warem zlać od robactwa? A kiej idziem z kijanką na rzekę i bijem w płótno, przecie bijem we wszy. To nie lza tego?

Unger uśmiechnął się ledwo widocznym skrzywieniem warg, patrzył na zaczerwienioną księżnę, gadającą prędko i podnieconą: skry wesołości skakały mu w oczach. Dziewanna klasnęła w dłonie i krzyknęła:

- Wždy prawe to gadanie - Piekuta wydał z ust cichy syk, usłyszała go, stropiła się, spojrzała na latającą twarz męża, zająknęła się, aż całym gardłem:

- Ii... U Śliźniów dziad ciągiem gnał białki i dziewczki do prania, łajał zawždy za ono paskudztwo. A kozuch mu raz wraz Dobracha nad żarem trzymała, a potem iskała w nim by w głowie.

Rycerz Konrad roześmiał się naraz grubym basem nie wiedzieć z czego, Gaudenty mrużył oczy, a Bolko plasnął otwartą dłonią w stół i całkiem zdumionym głosem rzekł:

- Bo i prawda, coś nie składa się w waszej mowie, Radzymie.

Gaudenty potarł dłonią wygolony gładko szczyt czaszki, zmarszczył się lekko:

- Rzekę wam opowieść, jak Chrystus Pan szedł sobie przez pola z drużyną, a przyszedł doń pewien ksiądz i pry: “Jezu Chryste dobry, co mam czynić, iżbym był w Królestwie Niebieskim?” A Jezu Chryst pry: “Przez mię zowiesz dobrym? żaden nie jest dobry, jeno sam Bóg. A co pytasz, czyliż nie wiesz? Abo nie znasz woli Bożej i Jego przykazania? A te są: Nie zabijaj. Nie cudzołóż. Nie kradnij. Nie świadcz fałszywie. Czcij ojca twego i matkę”. Jenż rzekł: “Tego wszystkiego przestrzegałem od młodości mojej”. Co usłyszawszy Jezus rzekł mu: “Jednego ci jeszcze nie dostaje: sprzedaj wszystko, co masz, a daj ubogim, a będziesz miał skarb w niebie; a przyjdź, chodź za mną”.

Emnilda spytała dysząc prędko:

- I co? Poszedł on ksiądz?

- Nie, nie poszedł on ksiądz, bo bogactwa miał wielkie i miłował one. Aleć Romuald chce sam iść za Nim i innych woła, którym wiele co przeszkadza, jako to: bogactwo abo pochucie, abo władztwo, abo gnuśność, a wszystko to z ciała rośnie, które to ciało jest obrzydliwością świata, bo je grzech Adama i Ewy pogañbił. Tegdy każe Romuald ostrogów onemu leniwemu ciału przydawać, a pletnią, a postami i głodem, a czuwaniem, a robactwem, a szorstką odzieżą, a zimnem, wszystkim tym ćwiczyć je, iżby nie przeszkadzało iść za Chrystusem Panem.

Stojgniew oderwał dłoń od wąsa, wparł swe ciężkie, wojackie spojrzenie w Radzyna i burknął:

- Teraz widzimy, że łelejacie, ksze. Jakże to? toć samiście bajali, jako zbóje Jezu Krysta pojmały, męczyły Ji i biły, później do drzewa przygwoździły i sułicą przebiły bok. Jakoże za Nim iść?

Gaudenty zmrużył oczy i naraz buchnął gniewem:

- Gadałem ci, to prawda. Aleć czy w kamień kijem bić, czy wam bajać, jedno to: bom i to bajał, że w trzy dni Jezus własną mocą z grobu wstał, stróże grobową podeptał a do drużyny swej wiernej przyszedł, z ona jadł, pił a uczył ją, a później na obłoku w niebo poleciał, tamok siedzi na prawicy Boga Ojca. I chce, iżby dusza ludzka szła do Niego, a duszę tę trzyma ciało zębami i nie puszcza. Tak tegdy trzeba ciało ugnieść, iżby duszę puściło. Toć i pies, kiej złapie kość, nie przódzi ją odda, aż mu boki dobrze kijem zgrzmocisz. Nie takli? - Radzym spojrział wkoło, aż nagle milczący potąd koński łeb Zadory zahuczał swym grubym basem:

- Co jest dusza? - a potem wbił małe oczy w Gaudentego, namarszczył brwi, oddychał ze świstem, z tą nieruchomą, napiętą twarzą słuchał.

Wszystkie dumki Bugajowe zalało srebro, cały świat zdał się inny, wysrebrzony. Księżyc srebrem oświecił chmury i czuby drzew, srebrzystym liściem szeleściła topola i osika, brzoza się wyginała na srebrnym pniu. - Srebra, psiamać, zachciało się grzybowi. Srebra! - zieleń paproci miała srebrnawy połysk, okiść mietlicy przelewała się srebrzyście pod wiatrem, nawet w głębokiej ciemni świerków dostrzegało Bugajowe oko delikatny, srebrny pył, niby lśniący nalot. Zacisnął zęby, biesił się w bezsilnej pasji. Srebra!

W tym czasie przybył do strażnicy księży komornik Kłęb z poleceniem stawiania w głuchej puszczy chat i cyrkwi dla świątków, którzy idą do Bolesława z cudzych krajów; przywiódł ze sobą dwudziestu siedmiu niewolnych i zbójów z jam, Bugaj zaś z trzema towarzyszami mieli pilnować powsinogów. Strażnica rada była z odmiany. Siedzieli w pięciu przy ognisku przed chatą, gadali. Bugaj grzebał patykiem w żarze, słuchał sennie, jak Kleń się kłóci z długogłowym, bladym Chmielem; chłopak wytrzeszczał rybie oczy, stukał pięścią w kolano, popiskiwał:

- Głuptak jesteś, iście kleń w bajorze... Głuptak! Czemu onych świątków w puszczy ksiądz sadza, kiej zamysłu tajnego nie ma? Czemu? Co ony robić tu będą? Zwierza bić? Smołę warzyć? Czerw zbierać? Barcie zacinać? Co, pytam? Już tu tajny zamysł ma ksiądz.

Kleń nosił się łatwo, oczy mu wtedy wylaziły na wierzch jak śliwy, czerwieniał na twarzy:

- Nijakiego zamysłu ksiądz nie ma. Jaki zamysł?

- Głuptak jesteś, iście kleń w bajorze... Głuptak - głos Chmielą cieniał do zajęczego pisku, rwał się jak nici pajęczę. - Jaki zamysł, pytasz? A ja ci rzekę, jaki zamysł. Niełaskaw ksiądz na onych świątków, ale jakoż mu krzywe lice im pokazać? Lestek ksiądz; jakem dał tył w bitce z Prusami, krzyczał ksiądz, a potem mi pry: "Kiej taki woj z ciebie, pójdiesz w głusz Wielkiej Drogi strzec. Smród psi!" A tam jeden dziesiątek nas był, a Prusów chmara: jak nie uciekać, abo to głowa mi niemiła? To i owych świątków w głusz śle, bo pewno zgniewali księdza, ścierwy.

A trzeci ze stróży Bugajowej, stary pomarszczony Popróska, mrużył swe zezowate oczy i śmiał się głęboko, jakby gdzieś w brzuchu. Kłęb leżał na wznak na trawie, sennie patrzył w gwiazdy.

Nazajutrz Bugaj oprowadzał Kłęba po puszczy, wybierali miejsce. Trzy dni tak łazili, nie z potrzeby, ale Kłębowi wciąż było mało tej wędrówki, głęboko oddychał tchnieniem lasu - Bugaj oczy kosił: po ki bies księży powsinoga krąży tak by ćma wkoło ogniska - nic nie wiedział o dalekiej Orczycy, o chacie Pazurowej, o urwisku nad rzeką. Wybrali wreszcie stan w zwartym borze sosnowym, nie opodal Drogi; strumień tam płynął, było wysoko i sucho. Drzewa stały gęste, rude, proste, upał był, mocno pachniało smołą. Gdy wracali, Kłęb zacinał drzewa toporem; wyszedłszy na drogę mruknął do Bugaja:

- Tu przesiek będziem rąbać. A tam stwoły zwalim, gąszcz wytrzebim, chaty będziem stawić.

Przykazanie ftiaał takie: postawić sześć chat małych, każda dla jednego człeka, wszystkie w krąg. W środku cyrkiew. Siodło ogrodzić płotem z kołów a cierni, iżby dziki zwierz nie przeszedł.

Zaraz też zagrały siekiery. Bugaj z trzema strażnikami pilnował niewolnych. Patrzył, jak z szumem wałą się drzewa, ciężko łomoczą w ziemię, ziemia stęka pod uderzeniem. Puszcę mu trzebią dla przywłoków, jego puszcę. Czuł, że w nim wzbiera ślepa, zaciekła nienawiść - do tych obcych, co wdarli się tutaj - w jego puszcę, w jego głusz, w jego księstwo, i wałą, wałą drzewa. Jeszcze ich nie ma, a już dla nich dwadzieścia siedem siekier las rąbie. . Od Krakowa ku Gniezdnu szło za przewodnikiem sześciu biało odzianych ludzi, których przygnał tu cudaczny, niepojęty głód; nie nasycić go górą mięsa a kaszy, nie zaspokoić cebrem piwa, żadnym dostępnym człowiekowi jadłem, chociaż ssie on we wnętrzu, trawi zda się, że wąpia wszystkie wyrwie. W zapadłych lasach za płotem z cierni czekała na nich cyrkiew otoczona wieńcem pojedynczych cel, a jednocześnie czekała ich zimna nienawiść Bugajowa.

Dudek patrzył zamyślony na brata, brodę oparł na pięściach. Żuraw stał przed nim na długich nogach, w twarzy zdumienie pomieszane ze strachem.

- Idziesz z onymi świątkami? Dudek! Drobne skrzywienie w kątach warg:

- Idę.

Żuraw się zakiwał do przodu, potarł potylicę.

- Czemu tak? Półniechęcony ruch ramion.

- Jakże to ci zdołam rzec? Nie zdołam.

Aż nagle popłynęły gwałtowne słowa, jakby woda zerwała brzeg, rozlała się po łęgach, szła coraz wyższymi warstwicami, niepołamowana i ślepa:

- Eh, Żuraw! Przyjechałem tu do Gniezdna, ksiądz mię wezwał. Jakieś tu wyrzynanki dali, a On mię dręczył...

Oczy Żurawia się rozszerzyły.

- Kto?

- Jezu Kryst mię dręczył - Dudek się zatchnął, oddychał wpatrzony w brata. Dopiero teraz pojął: to Jezu Kryst go dręczył. Tak - bają - upiór czasem człeka dręczy, przypije się wargami do piersi tuż pod lewą sutką, krew ssie. Dudek się poderwał, chwycił brata za ramię, stali tak podle siebie, patrząc sobie wprost w oczy, w najgłębsze czucia patrząc, Dudek wykrzyknął:

- Jezu Kryst! Jezu Kryst mię dręczył. Do trzemu wołał, pod krzyż. Nie pojmo wałem. Chodziłem do Gaudentego, gadałem, biskup mołwił bez ładu, tfu! do świątków mię wziął, śpiewałem ci i służyłem Bogu, a cięgiem było mało. Żuraw! nie puszczał mię Jezu Kryst, by dziad, iże kaszy nie dostał na grób.

Wciąż stali tak przeciw siebie, Dudek wciąż trzymał brata za rękę, wciąż patrzyli sobie w oczy, ale nie czuli tego, nie widzieli. Porwało ich niezrozumiałe dzikie wzruszenie, nieuchwytnie myślą i skłębione, zapierało im dech i rwało słowa. Żuraw wyjąkał:

- Kajże cię szukał?

- Wszędy. Alem ja sam doń chodził. Do cyrkwi. Pod krzyż.

- Durnyś.

- Nie umkniesz Jezu Krystu.

Żuraw otarł czoło otwartą dłonią, urzeczony wpatrywał się w brata.

- Urok na cię rzucił?

- Urok.

- Tfu!

- Nie odrzekaj. Nie odrzekniesz: nie twoja moc. Nie ma mocy na Jezu Krysta.

Żuraw przytaknął:

- Nie ma.

Jakby się coś odprężyło między nimi, poczuli ulgę. Dudek puścił ramię bratowe, ciężko usiadł na pniu. Żuraw siadł obok, poręczniej tak jakoś było: nie trzeba sobie w oczy patrzeć.

Dudek wziął patyk, grzebał nim w piasku. Milczeli. Żuraw bezmyślnie patrzył na Dudkowe grzebanie, koniec patyka coraz mniej gwałtownie wydłubywał ziemię, zaczął rysować na piasku, aż w końcu kreślił wyraźnie jeden obok drugiego małe krzyżyki. Żuraw wzdrygnął się.

Dudek przestał rysować, podniósł głowę, popatrzył na Żurawia. Tamten wziął z ręki brata patyk, sam nim grajzgał; nie myśląc o tym zacierał narysowane na piasku krzyżyki. Dudek nie zwracał na to uwagi, zaczął mówić jakimś innym, cichym, nie znanym Żurawiowi tonem:

- Wieszli, dziw. A może to i nie dziw. Bo pókim umykał od Jezu Krysta, Jenż dręczył mię, krew ssał by upiór. A potem przestałem zmykać... i wieszli? dziw: przestał mię dręczyć Jezu Kryst.

Żuraw, wciąż zacierając krzyżyki, burknął:

- Snadź nie lubi Jezu Kryst, kiej kto ucieka przed Nim. W głosie Dudka czuć było głęboką pewność:

- Nie lubi.

Diugi czas siedzieli tak, milcząc, czuli wzajem oparcie ramienia o ramię. Nieznana dawniej serdeczność, bratowa czułość przenikła ich obu. Dudek zaczął mówić niskim, z głębi piersi głosem:

- Później przyszły tu one białe mnichy. Z Italii. Znałem ich mowę, tyłem lat siedział w onej Firency. Kazał mi Gaudenty uczyć ich naszej mowy. Uczyłem.

Odetchnął.

- Uczyłem. Żyłem z onymi mężami, dwu z nich było z wysokiego rodu, ci wszystko rzucili, zjedzą jeno kęs placka, wody popiją, zgrzebną odzież noszą, nie śpią. Bogu śpiewają. Żuraw! pojąłem patrząc na nich, co mi Gaudenty bajał o Aleksym, synu Eufemijanowym. Nie przygłupek był on Aleksy.

Żuraw się jakoś przygarbił, na twarzy miał wyraz zniechęcenia. Odczuwał, że Nowe ogarnęło Dudka niby obłok, uniosło brata. Zaczęła w Żurawiu rosnać niechęć.

A głos Dudka się zmieniał, przetykały go jaskrawe tony:

- Bo dumam sobie, Żuraw, że trza tak abo tak. Pojmujesz mię: tak abo tak. Abo wszystko mieć tutki, całą radość mieć, abo... Abo już iść tam, kaj Wojciech poszedł.

Żuraw odwrócił głowę, spojrział na brata; tamten również zwrócił doń twarz, sprzęgli się żrenicami, dolali się. Żuraw nieco chrapliwie spytał:

- Kaj?



- Tam, gdzie Wojciech. Podniecenie wstrząsnęło Żurawiem.

- Do Prusów? Po śmierć?

Dudek położył mu dłoń na plecach.

- Nie po śmierć, Żuraw. Po Jezu Krysta.

Żuraw raptem się zerwał, oszalały deptał nogami po pół zatartych krzyżykach wyrysowanych na piasku, krzyczał na całe gardło:

- Prawie gadała Sławka, prawie gadała, prawie! Wszystko przez on znak. Gadała: "Nie ruszaj ji, złe przyniesie". I przyniósł. Złe. Wszystko złe z onego znaku. Tfu! - wciąż w pasji deptał ledwo znaczne znaki na piasku, wyrysowane Dudkowym patykiem.

Patrzyli gniezdnieńscy na onych białych mnichów jak na dziwo - wiele dziwów widziało Gniezdno w ostatnich latach. Mnisi siadywali przy stole księżym na wyraźny rozkaz Bolkowy, pięć wychudłych, bladych widm z płonącymi oczami. Śpiewali po trzemach i na podgrodziu, prosili Bolka, by im prędzej w puszcę iść zwoił. Odpowiadał, że potąd eremy nie gotowe, ale wraz będą. Uważnie patrzył w nich, gadał wiele, odpowiadali półgębkiem.

Księżyc był w pełni, gdy wrócił Kłęb z robotnikami - stan mniszy już gotów. Rankiem mieli w las ruszyć. Tego wieczora przyszedł Żuraw do brata, by go pożegnać - Dudek już mieszkał z białymi mnichami, jadł z nimi, śpiewał i modlił się. Cały ten czas unikał Żuraw brata, czuł doń urazę i złość. Wbiły się mu w pamięć słowa Dudka: "Tak abo tak". Kłęb i odrzekął się od uroku, ale ów obłok, który był ogarnął Dudka, jakby i nań się przeniósł. Dudek młodszy był, a wżdy był ongiś wojem, w niewoli świat widział, a kował jaki był!... Zazdrość żarła Żurawia, ale i podziw. Od czasu wykucia krzyża krakowskiego i przyzwania Dudka do Gniezdna czekał, że brat wielmożą ostanie; a głuptak w puszcę szedł.

Był już wieczór, siedzieli na wale, nogi mieli zwieszono nad łachą, w czarnej wodzie odbijał się krąg księżycy. Milczeli obaj, nie mieli o czym bajać. Żuraw był niespokojny, oddychał gęsto, kręcił się, koso spoglądał na brata. W końcu Dudek wstał, głową kiwnął.

- Pójdę już. Bywaj w zdrowiu, Żuraw.

- W zdrowiu, Dudek... - tamten się odwrócił, kroczył ciężko, białął w świetle księżycy. Gdy wszedł w cień szopy drużynnej, Żuraw zawołał - głos miał ściszony, rwący się, pełen strasznego niepokoju:

- Dudek!

Tamten go nie dosłyszał, oddalał się. Żuraw poderwał się ostro, pobiegł. Dogał brata, bez słowa chwycił go, przywarł doń, nic nie mówił, dyszał. Nie wiedział, co się z nim dzieje, trzęsło go, kurcze wykrzywiały mu twarz, Dudek przechylił głowę, patrzył nań, spytał wystraszony:

- Co ci to, Żuraw?

Starszy nie odpowiedział, wciąż dyszał. Palcami wpijał się w ramię bratowe, ścisnął je z całej swej kowalowej mocy. Wciąż patrzył nań szalonymi oczyma, wciąż dychał. W końcu wyjąkał:

- Rankiem idziecie?... W puszcze!

- Idziemy.

- To... Dudek... słuchajże... Dudek... Zatchnął się.

- Dudek!

- Żuraw, co ci?

- Dudek! Bierz mię ze sobą. Dudkowi rozszerzyły się oczy.

- Ciebie?

Żaden już nie powiedział słowa, Dudek wziął brata pod ramię, pociągnął. Nie pytał o nic, nic by mu Żuraw nie zdołał odrzec. Sam nie wiedział. Na ślepo szedł. Wždy niewiele więcej wiedział o Jezu Kryście, niżli im Wojciech opowiadał na podgrodziu krakowskim. Niewiele o Nim myślał i później. Dawniej czuł przed Nim lęk, potem już tylko zazdrość o Dudka. A teraz... tyle wiedział, co mu Dudek bąkał w te dni poufnych gawęd braterskich.

Ale przecie nie z owych gawęd przyszła nań niespodziana pewność.

Trzy dni wędrowali przez bór ku Bugajowej strażnicy. Żuraw czuł bezsens, czuł pustkę - czegoż idzie za tymi białymi widmami, dokąd? w puszcze! Opętało go złe abo jak? Patrzył na krocącego brata, w twarzy Dudka był jakiś obcy, nieznan wyraz, wyraz ten niepokoił i pociągał Żurawia. Kowal dodał się ze swoimi rozterkami, nie pojmował ich.

Strażnica już była widoczna, tu gdzieś w bok, w lesie, kres ich wędrówki. I tu - u kresu - przez pełną mgieł głowę Żurawia przemknęła myśl, nagła jak iskra ognia - niedawne słowa Dudkowe:

- Nikt Jezu Krystu nie ujdzie.

Oślepiła go jasność tej prawdy, nowej prawdy: aż stanął. Był tak wzruszony, że niemal krzyknął:

- Iście tak! Nikt.

Kroczący przed nim Dudek obrócił głowę, spojrział nań uważnie, uśmiechnął się. Przed strażnicę wyszedł wielki, dziobowaty woj, ponurym wzrokiem patrzył na zbliżającą się gromadę.

Kiedyś - było to już dawno - zmówili się Krzyk z Głębokiej, dwóch braci Narostów, oba tęgie chłopcy, stary chrzan Więcek, Odrzyk, zwany Niemotą, i Plucha, którego przezywano Plucha Krasa od pręgi na czole i policzku, by iść razem w góry na zbój; nieco później przyłączył się do nich Skorzec Drapieżny, który musiał z księżej drużyny uciekać, bo go tam topór albo hak czekał. Z Chrobacji - wiadomo - jedyna droga dla zbrojów na pogranicze czeskie iść, tamok kupców łupić albo posłańców księżych, albowi wreszcie zbiegów czy - jak ostatnio - świątków. W lasach tam zasiedli i czatowali na przejezdnych.

Czasem się im wiodło, czasem nie, ale przez trzy lata z okładem nabrali mało-wiele dobra, trochę tego wymienili na ziarno i kaszę, reszta leżała zwalona byle jak w ziemiance, którą byli sobie wydłubali na stoku góry Krzywej, czyli Krzywki. I tak trwało to do czasu, aż porwali sobie dziewczkę z Dolin, na którą wołano Wiwilga. Zrazu mieli ją niewolić społem, ale dziewczka była mocna w sobie, pięść miała jak maczuga i gdy Krasa Plucha pierwszy ruszył ku niej i chciał ją objąć, wyrznęła go w łeb, aż chłop fiknął kozła i potoczył się nieprzytomny między chojary. Banda w śmiech, z rechotem tym nuże na nią, ale ta kiedy nie wrzaśnie:

- Ejże, zawszone wy synki, chciałoby się każdemu, ale strach. Rad by wół gałąź ogryzł, jeno mu zębów brak. Krowie zadki wam lizać, riie do takiej siakiej dziewczki iść. Chodźcie tu do mnie, ale nie kupą, po jednemu, każdy się chwostem nakryje, jak tamten.

Jak było, tak było, kto tam wie. Ale bają, Wiwilga wszystkich po kolei chłopów zwała w chojary, potem wody przyniosła, kaszy zwarzyła, a gdy jeden po drugim - zawstydzeni - zaczęli się złazić, rzekła im tak:

- Miękkie jesteście chłopcy, iste smardy, nie zbóje. Ale co mi tam iść w Doliny, starych słuchać abo by mię byle smard grabiami prał. Ostanę z wami, gnojki.

I - ponoć - ostała.

Tak było czy nie, lecz w bandzie owej znalazła się dziewczka, która razem z chłopami na zbój chodziła, a widziano ją nie raz i nie dwa. Bają, kiej kogo zbóje żywcem pojмали, ona mu gardło podrzynała. Nie wiem. Bają.

Zawsze im mówiła:

- Gnojki jesteście, miękkie chłopcy. Warchlaki smalone. - A przecie nie były to gnojki. O Krzyku z Głębokiej prawią, że tęgi świerczak jak chwyci, to go do ziemi nagnie albo z korzeniem wyrwie; a wykrot, choćby największy, zawsze przeskoczył. Odrzykowi Mieszka kazał jęzor wyrwać, gdy ten bunt podniósł w Chrobacji po zdobyciu przez Polan Krakowa; odtąd zwano go Niemotą; Narosty byiy to chłopcy mrukliwe, ale silne, pięścią wołu zwalali; o starszym bają, że mieszkę zdusił i potąd na plecach szrama ma po niedźwiedzich pazurach. Więcek był stary chrzan, a ledwo mu dziewczkę zobaczyć, choćby z dala, wraz go zapiecze we wnętrzościach i wali za nią, choćby nie wiedzieć na jaką ukrainę, aż ją niewoli; kudły miał siwe, oczy czarne i błyszczące, nochal ogromny, w uszach kabłączki nosił, a na szyi wieniec z kręgow ubitego przezeń zwierza; Plucha Krasa okrutny był i na

juchę chciwy, a gdy mordował, krecha mu na gębie czerwieniała niby świeża rana. A Skorzec Drapieżny, można rzec, że był z nich wszystkich najdzikszy i najbardziej chrobry.

A ona mówiła im bez obawy: gnojki. Była oszroniona noc, czarna i srebrna, wiatr gdzieś chodził po wierzchołkach drzew, gdy oni w ośmiu siedzieli przy ogniu, czekając, rychłoli upiecze się mięso. A gadali byle o czym - wiadomo, jak po napadzie. Wtedy to Wiwilga im rzekła:

- Gęby to macie wielgie by ropuchy, ale umu to wam brak. Mołwi Skorzec: "Nasze to księstwo, każdy nam myto piąci, nikt swobodnie nie przejdzie". Tyle że mu się gęba rucha. Widział kto z was księstwo, gdzie by ksiądz a drużyna w jamie siedziały? A wy co? By liszki: hyc z nory, ptaszka kiego ułović i wraz do nory. Nie zdołalibyście to chaty postawić?

Krzyk przeciągnął swe długie ramiona:

- Kiej się mi nie chce. O wa!

- To i rzekłam: miękkie wy chłopcy. - Więcek przewrócił się na bok i potrząsł siwymi kudłami:

- Przy mnie ci zimno? - Ona nie odwracając głowy:

- Pewno, że taki robaczywy grzyb, jak ty, jeno ziębi, nie grzeje. Ale wy gnojki jesteście, zawsze to wam mołwię.

Starszy Narost zaśmiał się chrapliwie:

- Kiej ci tu źle, idź w Doliny... do wiosek. Odwiedzim cię kaj!

Krzyknęła:

- Baczcie! krowa ogonem ruszyła. Tyle w was umu, co na durne przekpinki. Ale mołwię wam: dość mi w jamie marznąć. Zbudujecie chatę, ale nie tak: chatę ino. Prawicie: wasze to księstwo. A jeśli to księstwo, to i gród ma być. A u was co za gród: dziura krecia.

- Ao! - wykrzyknął Plucha - widzicie ją! Może dworzec wawelski wystawić dla naszej pani...

I zrazu się na tym skończyło. Ale myśl im utkwiała: chata, a wkoło ostrokolik, a na chacie trzemik, iżby tam łup składać. Jakoś by to inaczej było, godniej. Wiwilga cięła ich, iście mucha kąśliwa. Zaciekli się, wybrali miejsce na tejże górze Krzywej, czyli Krzywce - postawili grodek.

Po staremu z gródka na zbój chodzili. Sama jeno Wiwilga ostawała za ostrokołem i psy. I tak szło.

Zmieniło się to i owo - Więcka ubili na wyprawie, młodszemu Narostowi prawą pięść ucięli. Ale w ogóle po szlaku tym coraz trudniej się było przemknąć bez licznej stróży, zwłaszcza gdy do bandy przymknęło jeszcze trzech zbójów: Lestek Niewesoły, Wielgusz i Pąga. Żyli w grodku i grodek ten ich zgubił.

A stało się to tak. Ciągnęli kupce z Krakowa na Kładzko, po drodze w lesie trafili na zasiek, zza

słamszonych pni posypały się strzały. Bronili się tego kupcy, ale gdy zbóje trzech ubili, reszta tył podała, wozy musieli zostawić. Przyszli do Bolesława ze skargą, a że to była jego jeszcze ziemia, prosili nagrodzić im utratę. Bolesław zbiesił się, było to na uczcie, trzasnął szklaną czarą w ziemię - i z miejsca:

- Przemko, weźmiesz wojów, kupce pokażą ci, gdzie on zasiłek stał. Nie wracaj, pokąd nie ułowisz wszystkich. A ułowisz, jedną nogę do jednego konia, wtóra do wtórego i rozedrzyć zbójów na szmaty. Słyszysz?

Gdzie by tam ułowili Bolkowi zbójów w górach! Ale grodek ich zgubił, łupu żal było rzucać. Zamknęli się w grodku, bronili się zza ostrokołu. Przemko kazał nawiązać drabin, woje szczytami się okryli, w mig wzięli grodek. Potem wszystkich kazał Przemko rozedrzyć, łupy zabrał, ale gródka nie palił: a nuż Bolko zechce stróże w nim trzymać dla ochrony kupców. Lecz księdza nie znalazł we Wrocławiu, gonił go na Mazowsze - i tak zostało.

Więc zbójecki grodek stał pustką i ludzie nie wiedzieć co bajali o Krzyku z Głębokiej, obu braciach Narostach, o starym Więcku, Odrzyku Niemocie, o Plusze zwanym Krasnym Pluchą i Skorcu Drapieżnym; i o niej, o Wiwiłdze krasnej i hożej, a silnej by żubr. Bajają, grodek gdziesik stoi na drodze z Chrobacji do Czech. Ale mało kto wiedział, gdzie on grodek.

Więc butwiał wolno, omszały, obsiadły porostami. Grzyb go żarł i wilgoć. Nietoperze wieszały się u stropu. Palisada świeciła szczerbami, wrota były wywalone, chwasty zalały podwórzec, chmiel i powój oplotły pale i ściany, w bujnym zielsku ledwo znać pobieleła czaszki ludzkie i piszczele. Ale - jako się rzekło - mało kto wiedział, gdzie on grodek.

Aż pewnego dnia znaleźli się ludzie, którzy poczęli łaźić po grodku, ostukiwać ściany, próbować mocy palisady. Przywódca tych ludzi, młody woik, siadł wreszcie na zielonym od mchu kamieniu, podparł brodę pięściami i zamyślił się.

Od czasu, gdy wrócił z Rzymu, zdał się Astryk Bolkowi przyjazny i oddany. W czasie wielkich gniezdnieńskich uroczystości w jego czujnej, zawsze skupionej twarzy świecił blask uniesienia. Mało co potem przyszedł do Bolka i rzekł:

- Widzę teraz: błędziłem wprzódy. Wyście chrześcijański pan tego kraju i Adalbert dobre miał oczy. A ja miałem bielmo. - Bolesław się roześmiał, poklepał Astryka po łopatkach, wkrótce potem pytał o Astryka Gaudentego. Arcybiskup przymrużył oczy:

- Nynie on już wam wierny, ksze.

Wysyłał Bolko Astryka do Szczepana na Węgry, potem miał go przy sobie. Po zjeździe gniezdnieńskim gońce nie ustawały biegać do cesarza i Rzymu, Bolko przypominał obietnicę cesarską i papieską w sprawie korony królewskiej, stara! się o pozwolenie misji z Polski do pogan. Astryk radził chłodno i mądrze. Spod czarnych brwi błyskało bystre spojrzenie - Bolko lubił ten śmiały wzrok. Twarz miał Astryk bladą i całkiem nieruchomą, jakby twarz trupa, tylko w niej te ciemne oczy migwały. Chodził i siedział wyprostowany sztywno, ruchy miał pewne a łagodne. W wojach budził uczucie lęku i uznanie dla swej ważności: Dadźbog! taki ma być świętek Jezu Krysta - to się czuło.

Jeden Zefrid zdradzał nieufność względem Astryka. Mruży! lisie oczy, zamiatał kitą, gadał prędko, patrząc bystro, starając się przeniknąć tę martwą twarz. W tym czasie na dworze Bolka było wesoło, ksiądz się czuł pewny siebie, miał szerokie plany, ludźmi rzucał niby swawolny otrok kamieniami. Wciąż mu było mało, zamierzał siedem grodów postawić na przejściach od węgierskiej granicy, opola objeżdżał, sądził, w każdą komorę nos wsadził - a przed nim Piekuta. Coraz to ktoś gdzieś jechał, skądś wracał, na intronizacji wszystkich czterech biskupów był z Gaudentym a całym dworem, ściągnął kamieniarzy z Naumburga a Merseburga, ci zaczęli budować wielką kamienną cyrkiew na Wawelu, pod wezwaniem świętego Gereona. Bolesław dwakroć przyjeżdżał do Krakowa, śmiał się patrząc na ciężkie bloki kamienne, ze śmiechem wzywał wojów, by spróbowali unieść kamień, złoty łańcuch takiemu obiecywał; wielu próbowało, żaden nie zdołał. Kościół miał być wysoki, trzynawowy, w kształcie krzyża; z dwiema kaplicami i półokrągłą absydą. Bolko stał ciężko na rozkraczonych nogach, słuchał, co mu starszy z kamieniarzy wykladał i pokazywał, gdzie będzie ołtarz, gdzie filary, gdzie skarbiec. Ksiądz między brwiami miał fałdę, ale w oczach mu świeciło zadowolenie, śmiał się, choć nawet w śmiechu tym nie wyglądała mu się zmarszczka czujnej uwagi. Rozejrzył się po budowie, przeszedł między stosami belek, zajrzał do wykopanych jam, pełno tu ludzi, kurzu, słońca, stukania, oczu wpatrzonych w księcia, raz jeszcze pochylił się nad bryłą piaskowca, przewiódł dłonią po szorstkiej powierzchni, jakby od tego dotknięcia wzrosła jego siła, wyprostował się nagle i do starszego z kamieniarzy:

- Ejże, wystawże trzem godny, jako bajasz, nie pożałujesz - mięśnie na policzkach mu się ściągnęły, w oczach mgła, jakby nie oczyma patrzył, jakby wnętrzem swym patrzył w ona rosnącą budowlę; odszedł z tymi zamglonymi oczyma.

Stukały siekiery w Sieradzu, na Ostrowiu, gdzie także cyrkwie stawiano, ale z drzewa, w Gnieźnie, Kołobrzegu i Gdańsku. Mołwił Stojgniew do Przemka:

- Bolko biesi się nynie z budowaniem, jak wprzody z wojną albo chrzczeniem. Cięgiem mu mało. Ale bacz, jakież to było księstwo, kiej Mieszka zmarł: puszczańskie księstwo. A nynie bacz: ile to lasu wyrąbalim, ile grodów stoi a cyrkwi. Dość. A temu cięgiem: mało i mało. Wiele ja kogo widziałem, ale Bolkowi w wąpiach bies siedzi i cięgiem ji żre, spokoju nie daje. Bies, mołwię.

Astryka trzymał Bolko w tych objazdach ciągle przy sobie, jakby mu chciał wbić w oczy i w wąpia swą robotę, swą potęgę, swą wiecznie bieszącą się chuć walki i budowania. Zefrid, który nie spuszczał z nich wzroku, widział: czasem wzrok Bolesława spoczął przelotnie na Wojciechowym uczniu - szybki i badawczy - ale twarz Astryka była zawsze ta sama, biała i nieruchoma, a spojrzenie spokojne. Bolko drapał się w głowę, gadał wesoło i wciąż myślą przebiegał:

- Zefrid? nie; nazbyt już lisi Zefrid i zgoła nikczemny. Bogusz? i nie Bogusz! Nazbyt zadumany o sobie i świętości. Rudolf? nie! To Ungerowy człek, nie mój. Herman? Dureń Herman! Wdała? Ii... Piekucie złoto spisywać dobry Wdała, ale tu?... Biskupa nie poślę, więc kto?

I znów się mu nasuwała odpowiedź: - Astryk - a po tej odpowiedzi (po raz który to ?) patrzył uważnie w twarz Astryka. Lecz wzrok mu się odbijał od tej martwej twarzy niby od tarczy: nie lza przebić do wnętrza. Spotykali się oczyma i Astryk spokojnie wytrzymywał wierzące źrenice Bolkowe.

I tak szło. Na jakiejś zapadłej polanie w czas sądu tłumaczył smard księdzu, przestępując z nogi na nogę i łyskając okiem spod nawisłej czupryny:

- ...on ci, ksze, łże kiej sobaka. On pry: ja jego kamieniem, a wżdy jego brat, ten, co to kulas ciąga, wiecie, ksze, on zły sąsiad, miedzy nie uzna, jeno spasa, a kiej wyszedłem nań z pyskiem, on za kamień, a ja za drugi kamień, a on...

Bolkowi zaś, siedzącemu godnie na stolcu, z brodą opartą na pięściach, z oczyma wbitymi w skarżącego, wkoło i wkoło chodzi po głowie:

- Astryk? Matał wprzody ten Astryk, ale teraz tego nie widzę. Zefrid... nie! Bogusz?... Rudolf?... Herman?... Wdała?... nie! Kto?

- ...on tegdy kamieniem w mego brata, a ja wyrwał kół od płotu i na niego, a on... - duka kmięć przestępując z nogi na nogę.

- Kto, psiamać! - tłucze się w czaszce patrzącego czujnie na kmięcia Bolesława - Astryk?

I gdy wreszcie wydaje sąd: - ...a za ono zbicie zapłaci Czulek ćwierć grzywny srebra albo kruszy soli trzysta, albo skór kunich pięć wiązek, zaś Bodek zapłaci... - gdzieś głęboko pod czaszką błyska:

- A no, ludzi brak! Astryk pojedzie.

I po trzech dniach Bolesław wlepia - raz ostatni - badawcze oczy w Astryka.

- Pojedziesz, Astryk, z poselstwem do Romy po... - książę odetchnął szybko - po koronę. Przysłał Otto posłańca: korona czeka już w Romie. Korona! - po rym przyciszonym okrzyku znów głos spokojny: - Wdała pojedzie z tobą, weźmie dary bogate dla papieża rzymskiego i dla cesarza, Gaudenry da ci trzech świętków, pojedą oba woje niemieckie, Konrad z Arnaburg i Unwan z Minden, a Odrzykoń powiedzie pancernych. Stu pancernych pojedzie. A pamiętaj, godność moją utrzymaj przed Sylwestrem i Ottonem. Pojąłeś?

Ostra twarz Astryka nie drgnęła, czarne oczy były czujne i nieprzeniknione.

- Pojąłem, ksze.

Odchodzącego przewiodło spojrzenie Bolesława. Potem książę uderzył otwartą dłonią w kolano i powiedział głośno:

- A no!

Tego jeszcze wieczora pchnął Gwozda do Krakowa, do Sulisława:

- Spieszajcie z cyrkwią. W nowej cyrkwi chcę się koronować na króla.

Astryk zajął się przygotowaniem do drogi. Mieli ruszyć w ciągu miesiąca. W tym czasie przyszedł Zefrid do Bolesława.

- Ksze, Astryk, świętego męża uczeń, pobożny jest i uczony. Nie mnie czekać na Astryka. Wždy wiecie, ksze, jak wam służę i miłuję was, choć wy nie ufacie mnie, biskupstwaście nie dali, a łajecie mię. Sulę wam z onej mojej miłości, rozważcie ona w sercu, niechże koronę wiezie Astryk przez kraj Sasów, cesarz wam drugiem, ksze. Ale do Romy niech jedzie Astryk przez Czechy, lepiej nie spotkać się mu ni z Odą, ni z Dedim. Pomnicie, co mi rzekł Dedi, kiedym się mu dał przekupić w Gniezdnie: "Wielu jest możnych panów w Germanii, jize boją się i was, i cesarza; bo mołwię, nie wiedzieć jaki zamysł Ottonowi strzeli, może być wam wszystkim na utratę". Astryk jest godny mąż, pobożny i mądry; wždy pomnicie, judził on przeciw wam przed Adalbertem i Gaudentym. Nie chcecie mię, ksze, z tym poselstwem słać, wasza wola; ale radzę wam: ślijcie Astryka przez Czechy.

Bolesław słuchał - milcząc - potem zakręcił w dwu palcach wąsa.

- Nie dałem ci biskupstwa, prawda, nie posłałem cię i teraz. Słuchaj no, Zefrid, słuchaj no. Wiem, że w on czas nie tylko Astryk matał, i tyś matał: a to niejeden raz było. A mówił mi Piekuta...

Zefrid zmrużył oczy.

- Piekuta, ksze? Jąc na Piekutę nie powiem nic, nie uwierzycie. Ale, i kiedy Piekuta na mnie czeka, nie wierzcie. Nieraz wam Piekuta na mnie nagada, nie wierzcie tej parszywej gębie. Cny to komornik, Piekuta, ale na mnie złość ma. A obaj z Kłębem zmówili się...

Bolesław zmarszczył brwi.

- Z Kłębem... Już raz mi skarżyłeś na Kłęba i wiem to na pewno: pusta to była gadka. Ty bacz...

- Rzekłem już kiedyś wam, ksze: nie wojować zabie z jastrzębiem, i pomnę to do dziś. A z Astrykiem...

- Astryka wybij sobie z głowy - powiedział ostro Bolesław, lecz zaraz po odejściu Zefrida kazał wołać mnicha do siebie, gadał to i owo, w końcu powiedział:

- Pojedziesz, Astryk, na Czechy, mam ci i do Pragi posłanie. Puste ono, ale nie szkodzi, niechże zobaczą w Pradze siłę moją, a strach niechże im chodzi po piętach przed ona siłą - wpatrywał się w twarz Astryka, ale ta nie drgnęła. Bolko potarł dłonią potylicę i jakby daleki chytry uśmiech zabłąkał się mu pod wąsami.

W tym czasie plątał się przy Bolesławie młody woik niemiecki, na którego z racji jego piegowatej gęby wołali Muchomor; w rzeczywistości zwał się Henryk. Chłopak był wesoły, pić lubił, bardzo zręczny był do luku, na przycinki się nie urażał, a skoro mu wytłumaczono przezwisko Muchomor, sam śmiał się i rad siebie tak nazywał, wymawiając to słowo dziwacznie i zabawnie. Opowiadał o sobie, że wygnał go pan jego, rycerz Essi z Hochwaldu, gdyż polubił się z jego córką. I opowiada! szeroko Henryk Muchomor o gniewie pana Essiego i o przetowłosej pucołowatej Uli; i jaki to los giermków u Sasów, i że myśli zdobyć pas rycerski u polskiego księcia Bolesława, który jest panem możnym i szczodrym. Prawdę mówiąc, tłukł się Muchomor między grodami księstwa trochę bez ładu i składu i nikt nie mógł o nim na pewno rzec, kto zacz taki i po co tu siedzi. Ale było takich obieżyświatów niemało i każdy z nich wchodzi! w końcu do książęcej drużyny i nieraz bywał



bardziej uczczony niżli swojak. Więc nikt się bardzo Muchomorowi nie dziwił i nie bardzo nań zważał.

Po onej ostatniej rozmowie z Bolesławem wezwał Astryk Henryka do siebie i coś tam obaj uradzali w izbie. Nazajutrz Gwozd widział, jak Muchomor jechał przez podgrodzie, a koń jego był objuczony, niby przed drogą. Ale że Gwozd śpieszył się do Gadka na kości, więc nie zaczepił młodzika. Tamten zaś kiwał się niedbale na koniu, lecz skoro drzewa zakryły go od strony grodu, ścisnął żrebca kolanami i pognął w bok, kierując się prosto na Zachód. Gwozd potem opowiadał o tym wyjeździe w szopie drużynnej, śmiali się z Muchomora.

Kiedyś - było to bodaj na drugiej wyprawie na Weletów - siedział Bolko z drużyną przy ogniskach; jedno ognisko układało na drugie śmieszne gadki a piosnki; wtedy to Stojgniew krzyknął do grupy Zadorowej:

- Cichajcie no, rzeknijcie, kto to zacz? Był mieszka w boru wielki a głupi i silny, a kiej zrobi krok, jakbyś babę o ziemię stuknął: stęka ziemia. A ułowiła onego mieszkę drużyna księdza, żywego wzięli. Związali ji tak, że chociaż silny był, nie rozerwał pęt. Potem jedli i pili. A kiej podpili, nuże wydziwiać nad onym mieszka. A był tam koń, jemuż ząbrz wąpzia wypruł. Temu to koniowi odcięli woje łeb, oczy mu wydarli, a wsadzili świńskie oczy. I on czerep koński z świńskimi oczyma wbili na łeb mieszki. Potem go przy szyi kołkami umocowali, odziali mieszkę, dali mu szczyt a zbroję i do drużyny wzięli. Nynie ważny to woj w drużynie księdza, a wżdy to mieszka z końskim czerepem a świńskimi oczyma. Kto zacz?

- Zadora! Zadora! - huczał śmiech przy wszystkich ogniskach. Sam Zadora szczyrzył swe rzadkie, końskie zęby w rechocie, mrużył świńskie oczy. Potem Bolko rzekł do Stojgniewa:

- Prawdeś gadał, Gniewek, dziki zwierz z Zadory, ździebko jeno ugłaskany. A dzikość zeń zawżdy wyskoczy jak pęcherz z wody.

Zwykle Zadora był ociężały i spokojny, póki nim gniew nie targnął; wtedy wybuchał. Ale od czasu do czasu umykał w puszcę; samo j eden. Nurkował w gąszcz, przepadał na tydzień, na dwa - nikt nie wiedział, gdzie się wákronił. Czasem nań coś przychodziło, mierzi go ciżba drugów, mierzi gród, śmierdzi nalane upałem, zastałe w bezruchu za ostrokołem powietrze, mgło mu, swędzenie w kościach... w kolanach... w łokciach... nie chce widzieć białki swej, tęgiej, grubej Dobrogiewy, ni otroków, ni towarzyszy; cierpkie mu piwo i bryzgły miód; gdy wyjdzie na wał, ciągnie go las, wabi, wiatr niesie zwilgły, gniły zapach próchna i zbutwiałego liścia, ciąga go po stawach, woła w knieję, w zbitą gęstwę, między zaciągnięte kozuchem jeziorka, między burczące potoki, na bajora i mszary, gna go tęsknota i żal... za czym? za wolą? za dziczą? za głębokim tchnieniem ziemi - tak zapewne czuje oswojony wilczur, gdy w mroźną noc zawęszy, gdy z wyciągniętym w jedną linię pyskiem, szyją, grzbietem, z nastawionymi uszama i podwiniętym ogonem słucha szeptu śnieżnych pól, czerni lasu. Aż nagle porzuca sforę psówtowarzyszy i długim, gorącym susem mknie na owo wołanie dziczy - żarliwej, ssącej tęsknoty.

W takiej chwili - jeśli nie było wyprawy - szedł Zadora do Bolka i prosił:

- Ksze, ckni mi się. Zwólcie odejść na mało-wiele. - Bolko uderzał ze śmiechem po kolanie:

- Zakwasileś się, stary?

- Iście.

- Idź.

Zadora brał torbę podpłomyków, krzesiwo, sznur, topór, łuk, sulicę i szedł. Potem wracał znów ociężały i leniwy, świńskie oczy przymykał, tulił Dobrogniewę i pił z towarzyszami, spokojny i wesoły, oswojony i ciężki. Drużyna śmiała się, on śmiał się z innymi. Taki był.

Bawili z Bolkiem na łowach na południe od Krakowa. Wracali, spływał wieczór, na ukrainie lasów żerował na owsie niedźwiedź. Bolko z kilkoro ruszył ku niemu konia, niedźwiedź zawrócił niezgrabnie w bór, wraz zniknie w gęstwie. Bolesław cisnął sulicę, musiał trafić, mieszka przysiadł, skulił się, obrócił się tyłem do goniących, rozsunęły się leszczyny, rzucali sulicami, szyli z łuków - tyle że z głębi słyhać było trzask gałęzi. "Uszedł!" - wykrzyknął Bolko. W tej chwili przycwałował do Bolka Zadora.

- Ksze, zwolnijcie mię, pójdę śladem.

- Już cię gryzie?

Zarechotał. Świńskie oczy iskrzyły się. Zadora podniósł oba ramiona, zahuczał dziko, puszczańsko:

- HUU! HUU!

Bolkowi śmiech latał w wąsach.

- Idź. A wracaj rychło.

Olbrzym zeskoczył w mig z konia, pobiegł po owsie. Ruchy miał zwinne, szybkie. Jechali za nim. Zerwał jedno źdźbło, drugie, podniósł do Bolka. Tamten wziął źdźbła, obejrzał:

- Broczy. Ale zachód już. Wraz ściemnieje.

- Najdę ji! - w głębi grała Zadorze radość. - O wa! Najdę ji! Najdę miodojedźcę... ciapugrocha... padłojada... Hu! Najdę! - ponosiło go.

- Idź.

Zadora zdjął topór z łęka, oddał konia, pobiegł z nosem przy ziemi. Stali kupą, patrzyli za nim, śmiali się. Na skraju się obrócił, machnął wesoło ręką, wsunął się między krze. Zawrócili gadając i kpinkując.

Ślad był wyraźny, niedźwiedź łamał krze, gniótł paproć i mchy, tu tam rudniała kropla krwi, niby jagoda. Zadora szedł, wewnątrz rwała mu chuć doścignięcia zwierza, rozwalenia toporem łba na dwoje. Ale jednocześnie grało w nim coś poza gorączką łowczą, radość z tej puszczy, w której się nurzał, poczucie swobody i samotności, zerwania pęt, otrząśnięcia się z szarej nudy. I to drugie

odczucie brało górę nad pierwszym. Już nie obchodził go tyle ranny mieszka. Grunt się tu wznosił, miejscami między sosnami było widniej, igliwie leżało grubo, stąpało się tu miękko, zielenił się kobierzec czarnych jagód. Na takim pagórku Zadora stanął, rozejrzał się, legł. Spoglądał w płat nieba między czubami sosen, niebo było jasne, niebieskawe, niemal białe. Z ukosa świecił blady sierp księżyca. Brzęczały komary i Zadora z rozleniwieniem patrzył, jak stwór złożony z pary przezroczyстых skrzydełek, długich nóg i małego tułowia nadślizgiwał się w powietrzu, naraz skręcał ukosem, śmigał w bok, wirował, znów nadlatywał, zniżał się, brzęczał, siadał na czole człowieka i... - klap! ginał; wraz nadlatywał drugi, cała chmara, tańczyły i goniły się w powietrzu; krążył jakiś drobiazg owadzi by pył, nie uchwycisz kształtu okiem; czasem przepływał potworek z długimi skrzydłami, długim odwłokiem, wąsaty od tyłu, sunął spokojnie i równo by powietrzna łódź z żaglem; niezdarnie trzepotała się mała ciemka, jak pływak początkujący a nieumiejętny: świecąca czerwien pełzła po słupach pni sosnowych, coraz wyżej, w końcu już się tylko czuby żółciły niby posypane pyłem kwietnym; i one zgasły; niebo wciąż było przezro czyste, Zadora siadł, rozejrzał się, las wkoło był nalany ciepłą zielenią niby kapiącym miodem, leszczyna rozłożyła baldaszki szerokich, włochatych liści, wykręcony pień brzozy był kremowy, a na cienkich gałązkach przeraźliwa, surowa zieleń. Ciepło boru nasiąkało mrokiem, już sadza gęstniała w zakamarkach leśnych, lśniąca czerń się sączyła spod liści, kapiała na ziemię, zaścielała podszycie. Zadora spojrział w niebo i zaśmiał się: nie opodał księżyca, już złotawego, błyskała gwiazda; trochę dalej dwie inne i trzy... i wiele... Woj zerwał się, zaczął susz zbierać na ogień. Aż mdliło go z tej rozkoszy - las był radość i wola.

W tych zakamarkach leśnych był sam: nie było drużyny, księdza, grodu, znaku Jezu Krysta, wojów niemieckich, kupców, gwałtu i niepokoju, sądów i kar, i nagród, i łańcuchów złotych, i ksiąg z dziwacznymi znakami, i srebrnych dzwonów. Nowego nie było. Zadora leżał przed ogniem, patrzył w ogień, w biały żar węgla i czerwone, sterczące gałązki, z ognia tego szeptało doń prastare, odwieczne, tajemniczy szept błogosławieństwa i grozy, to wszystko, czego nie wypowie dusza ludzka, czego pożąda i chce, a uchwycić nawet w tęsknocie nie zdoła. Potem leżał Zadora na wznak, patrzył w niebo - już czarne - i w gwiazdy; w gwiazdy równie odwieczne jak ogień.

Nazajutrz szedł śladem od rana, czasami ślad był całkiem wyraźny, bo mieszka łamał młody las, darł drzewka z korzeniami, trzaskał sosny i brzozy i broczył silniej. Szedł gdzieś wprost przed siebie, w miejsce jemu tylko wiadome, dokąd go pchał nieświadomy instynkt, gnała też ssąca tęsknota, co tropiciela za nim. Zapewne osłabł już, bo częściej się kładł, wygniatał jamy w krzakach borówek; Zadora znajdował tam kałuże krwi. Myślał, że dogna zwierza przed nocą, podniecenie nie dawało mu spocząć, mieszka musiał być niedaleczko, bo wygnieciona trawa była świeża, a krew nie skrzepnięta.

Zaczynało się już podgórze, ale w pewnym miejscu, przechodząc przez mszar, zauważył Zadora wyraźny trop wilczy. Teraz wiedział, że się spóźni, wilki poszarpią skórę przed łowcem. Samiec musiał wytropić niedźwiedzia, zapewne przywołał samicę, człowiek nie widział jej tropów, gdzieś kołowała bokami, by zabiec od przodu. Zadora pośpieszał, ale przed zachodem nie dognał. Spal w wykrocie kształtu piaszczystej jaskini, ledwo świt poszedł dalej.

Było tak, jak przewidział: mieszka leżał martwy, z poszarpanym futrem, z odchyłoną w tył głową, zakrył ją łapą: jakby człowiek śpiący. Zadora wyłamał dwa kły - na znak dla Bolka - wyprostował się, zapatrzył we wznoszące się przed nim wzgórza, pokryte gęstym lasem.

I znów poczuł przemożną tęsknotę - iść gdzieś tam, przed siebie, w nieznanne, w dzikie, dotknąć stopą,

zdeptać, zobaczyć, poczuć nozdrzami, usłyszeć. Ślina mu napłynęła do ust. Wciąż ciągnęła go też sama siła, co ranionego mieszka. Odetchnął. Nad czarnym falowaniem świerków kłębiły się obłoki w białe i szare kule, wyciągały się w błękitnawe pasma, chłodne pod żarem słońca. Tu jeszcze było wilgotno, ciepło i duszno, głośno brzęczały muchy; tam wabił chłód i błękit, i tajemnica.

- Zakwasilem się, jak pry Bolko - mruknął. Obdarł nożem kawał szynki nie zżartej przez wilki, wbił na kij, na rozpalonym ogniu podpiekł, zżarł półsurowe mięso. Po sprężystym mchu poszedł do strumienia, żaby uciekały w długonogich skokach, położył się, pił ze strugi. Rękawem otarł usta, giętko - by zwierz - poszedł pod górę.

Myszkował zygzakami - tu i tam - wspinał się na pagórek, tonął w próchnie i zwałął przegniłe drzewa, włąził na łyse góry i oddychał olbrzymim krajem, rósł wewnątrz, czuł, jak w nim siła pęcznieje, jak ramiona tężeją, wewnątrz się mu rozszerzało, zabijał i jadł świeże mięso, wciąż było mu mało tej wędrówki i tej wolności. Jeszcze nigdy w swych włóczęgach nie zapuścił się tak daleko i nigdy nie obmył go tak chłodny strumień dali.

Było południe i upał osiadł w lesie by mgła. Zadora pełził wolno w górę, znalazł tu wydeptaną ścieżkę - dziw! w głuszy - gdy naraz usłyszał tupot. Koñli to? - stanął. Spomiędzy liści wysunął się koñski łeb, wyskoczył rusy źrebiec, na nim młody woik, ledwie się mu wąs sypie. Zadora patrzył, otworzył w zdumieniu gębę, poznał woika. Kto? Skąd? Lelum! Przetarł kułakiem oczy, tfu! Tamten zoczył woja, w miejscu zawrócił konia, pognął - tylko echo poszło po górach, łup łup, łup łup łup! Zadora stał chwilę, mrugnął powiekami.

A potem znowu tropił, tym razem nie zwierza - człowieka. Równie wytrwale i długo jak niedźwiedzia. Drugiego dnia wysadził z gęstwy łeb, ostrożnie rozejrzał się wkoło. Ujrzał niewielczutki grodek, za ostrokołem chata, na chacie trzemik. Zmarszczył brwi, skądże tu grodek? Przypomniął.

- Pewno to i jest schowek Skorca Drapieznego a Krasego Pluchy, co ich był Przemko rozdarł. To tu sklecili paść na Bolka?

Wewnątrz była cisza, na wydmie ćwierkały koniki polne, Zadora leżał w krzaku leszczyny, bez ruchu, czatował. Całkiem pajak .czekający na muchy. Doczekał się.

Przetarł zdumione oczy, znów mrugał powiekami:

- Na zbój poszedł, czy jak? Nie może być - zataił się w leszczynie, cierpliwy, czujny pajak leśny.

Cisza wisiała w chacie zbójeckiej, był półmrok, tylko przez otwarte drzwi i uniesiony dymnik wpadał blask słońca, gorzał dwiema plamami na mchu porastającym ubitą przez zbójów ziemię. Stały tam jeszcze ławy zbójeckie - grube, półciosane belki na obrąbkach pni. Astryk wodził wzrokiem po uczestnikach tego milczącego zjazdu, z których każdy miał inne zamysły i inne przyczyny podróży do tego dalekiego kraju, w zapadły kąt, w czerep chaty zbójeckiej. Wszyscy siedzieli zasepieni i nieufni, świdrowali się wzajem oczyma. Gruby Dedi, który tak niedawno chodził z Bolkiem pod ramię, oparł się na rozstawionych kolanach, na tłustej twarzy nie miał śladu gniezdnieńskich uśmiechów. Młody Mieszka Mieszkowic usiłował palcami kręcić wąs, czuł się niepewny i spłoszony, zębami zagryzał

dolną wargę. Mnich Leon, wysłannik Henryka Bawarskiego, wtulił głowę, mysie oczy błyskały mu chytrze i nieufnie. Trzej woje Szczepanowi mieli jednak oparte ręce na poprzeczniczy miecza, puszczonego między nogami. Astryk wyczuwał wzajemną nieufność, szukał słów, by ją rozwiać, nie znajdował tych słów. Milczeli, wciąż przepierając się wzrokiem. W końcu Dedi obrócił głowę do Mieszki.

- Każcie no dać wina, może ono odklei język od podniebienia. Cóż to: wilczy zjazd, czy jak? Podwinęliście chwosty i jeno błyskacie oczami. Tfu! moru by na taki zjazd.

Woik zerwał się, wychylił przez otwór wejściowy, krzyknął. Gdy przynieśli opleciony łykiem dzban, odczepił kubek od pasa, nalał, przepił do Dediego, niepewność zadrgała mu w głosie:

- W wasze ręce, panie - kubek poszedł wkoło, pili w milczeniu; gdy wreszcie naczynie wróciło do Dediego, rycerz prasnął nim o ziemię i z nagłą furią do Astryka:

- Mieliśmy mieć zjazd w Kwedlinburgu, tam byłaby i pani Oda, moja krewna. Cóżście zwołali nas w ostatniej chwili w tę głusz - a potem naraz wstał, chwycił go za ramiona, uniósł z ławy, posadził znowu z rozmachem i opierając się na nim ciężarem olbrzymiego cielska:

- Słyszycie? Jeśli knujecie zdradę, a myślicie sprowadzić tu wojów Bolka, słyszycie to f nóż mam ostry i szybko nim pcham. Nie weźmiecie zapłaty za zdradę - Astryk ugiął się pod ciężarem Niemca, ale głowy nie opuścił, miał brwi zmarszczone, oczy wbił w Dediego, tamten usłyszał pacholęcy głos Mieszki:

- Iście Astryk służył wiernie matce mej do czasu, aż cesarz zjechał w Gniezdno. Później wiele trudu położyła moja matka, by go odzyskać.

- Pewni go jesteście? - Dedi odwrócił łeb do chłopca. Lecz nim tamten powiedział słowo, zabrzmiał ostry szept Astryka:

- Cóż to? na sąd przyjechałem, czyli na radę? - Mieszka zmieszał się i znów sięgnął palcami do wąsa, ale Dedi powiedział ostro:

- Mieliśmy się zjechać w Kwedlinburgu. W ostatniej chwili przyleciał tam giermek pana Essi z Hochwaldu, piegowaty Henryk, z doniesieniem, że zjazd ma się odbyć tu... w tej norze - Dedi kopnął z rozmachem pniak, na którym wprzód siedział - ledwo mię uprosiła pani Oda, bym jechał. Tfu! wygląda to całkiem, jak gdybyście chcieli nas wwieść we wnyki Bolkowe.

- Klnę się na Jezu Krysta i na Krzyż Jego - powiedział Astryk chłodno - że takim drug Bolesława jak lis kuropatwy. Ale gdy byłem jeszcze chłopcem i trzymałem się babiej kiecki, opowiadali mi gadkę o lisie, który kuropatwie bają, że nie ma lepszego nadeń druga dla młodych kurcząt. A przymilał się poty, aż mu oddała kura swe małe; wtedy powiódł je prosto do lisiej jamy i powiada lisce: "Maszże dla małych stadko, niechże je pasą. A wiedz, że skoro nie lza czego siłą brać, wtedy weźmiesz chytrnością". Tako mi bająła pani mać i dziewczki służebne, a mnie brał śmiech z mądrości lisiej i oszukanych kurek. Nynie jednak widzę, że i wśród książąt a wojów bywa tak, jak w gadce o lisie. Tyle że liska nie przymawiała lisowi, że podawał się za przyjaciela kurek, nie zaś lisiąt. Ale i to mi

bajali, że liska to zwierzę niegłupie i wie, że lis nie ją będzie zwodził. - Dedi słuchał tej gadki, naraz mu tłusta twarz zadrgała, zarżał iście po końsku, plasnął dłońmi w kolana i krzyknął:

- Źle to świadczy o wojach, gdy trzeba im bajać niby zasmarkanym pędrakom. Ale rozeźliło nas, że zwabiłeś nas tu, miast, jak to umówione było, do Ody.

Z oczu Astryka strzelił gniew:

- To powiem wam, że zdrajca jest, ale wśród was. Miał mię już Bolesław śłać do Italii przez Germanię, co jest zrozumiałe; i powiadomiłem już was, kiedy będę w Kwedlinburgu. Ale pewno ktoś z was ma gębę wielką jak cholewa, bo naraz wzywa mię Bolko i rzecze słodko, jakby pełne usta miał miodu prosto z plastra: "Słysz, Astryk, pojedziesz nie na Germanię: na Czechy pojedziesz, niechże obaczą w Pradze siłę moją". Ech! już musiał ktoś z was plaskać o zjeździe i o mnie, niewiele brakło, by Zefrida posłał, który mi wróg, że i nie mam zacieklej szego.

Dedi znów uderzył w kolana i - już nie do Astryka, do wszystkich zebranych:

- Kto wyszczekał? Gadajcie!

Na to Węgier Gdula, wysoki i kościsty, skurczył twarz niby pies w złości, aż pod czarnymi wąsami błysły kły:

- U Stefana woje wiedzą, jak bić, pyski mają zamknięte. Niemcy to szwargoczą w koło, jakby orzechy gryzli - Dedi pokraśniał, a skurczony Bawar Leon zasępieni!:

- Słyszałem ci o Bolesławie, że chytróści mu nie brak. Sam mógł zmiarkować. Co nam tu winnych szukać! Zjechaliśmy się, by uradzić, jak Bolka z siodła zsadzić, a kraj jego między braci jego podzielić, z których najstarszy tu jest. Cesarz jest drugim Bolka, ale gadają u nas... - tu głos zawiesił, a potem szepcem zjadliwym i nienawistnym - ...gadają, że cesarz z diabłem się sprzągł i diabłu służy. - Dedi wyprostował się gwałtownie, uderzył ręką po kolanie, krzyknął:

- Nie - jestem ci drugim cesarza, ale nie szczekajcie nań by suka na księżyc - mnich się skulił, błysnął oczyma, znów zaszeptał, a namiętna nienawiść drgała w tym szepcie:

- Prawicie: nie lza szczekać na księżyc psom? A jako Otto uczynił z papieżem Janem, który lennika cesarskiego, papieża Grzegorza, odsunął od tronu świętego Piotra? Gdy wpadł Otto z wojskiem do Rzymu, azali nie był w znowie z diabłem? Azali nie piekielnie się pomścił? Azali nie obwoził papy Jana po mieście na ośle, twarzą do ogona, na śmiech i urągowisko? Azali nie okaleczył go później, obciąwszy mu język, nos, uszy i ręce? Azali nie powiesił Krescencjusza z dwunastu panami za nogi i azali nie zwolił gawiedzi ułapiać wisielców za ręce i huścić się na nich z rozpędu, pluć na nich i naigrawać się jeszcze z żyjących, a później z trupów? Azali nie osadził na tronie apostolskim Gerberta, który się przezwał Sylwestrem, i wspólnie z cesarzem knują przeróżne zdrady? Azali nie wywyższył psiego syna Bolesława ku pohańbieniu imienia cesarskiego i azali nie dał w ręce barbarzyńskiego księcia północy największej świętości cesarstwa, włóczni wojownika Chrystusowego, Maurycego? Azali nie chce w pysze swej przewyższyć Karola Wielkiego i azaliż nie są Bożej myśli ci wszyscy, którzy spiskują nad skróceniem życia tego szalonego chłopca?

Powiedzieć?

Ale Dedi parsknął tylko na tę syczącą nienawiść wysłannika Henrykowego:

- To jest skrzywienie wrót zardzewiałych, Leonie, i szczekanie psa. Zamilknijcie - a wysłannik Szczepanowy dodał:

- Nie godzi się nam tego słuchać, książę nasz bowiem, choć największy drug pana waszego, Leonie, i śle dziewosłębów po Gizele, siostrę jego, by z Bawarami wiecznym się związać przymierzem, jest również drugim cesarza, który jest najwyższym panem w chrześcijaństwie. Ejże! nie godzi się nam tego słuchać.

Głos Astryka wpadł w zwadę, niby zimny strumień:

- Zebraliśmy się na radę przeciw Bolesławowi, nie przeciw cesarzowi czy komu innemu. Wysłał mnie Bolko w poselstwie o koronę. A wiem, że książę Stefan o tejże koronie myśli. Radźmy, jak grę przeprowadzić, bo dotąd to wiec psi nad nie dogryzioną kością, nie rada mężów. Dedi podniósł kubek, nalał go, przepił do Astryka.

- Prawdę rzekliście, radźmy. Bolko nic nie wie o nas? Lecz w tejże chwili zagadał młody Mieszka:

- Kiedym wczoraj jechał przez las, spotkałem rycerza Belkowego, jednego ze znamienitszych. Wołają nań: Zadora - zaśmiał się widząc, że Dedi poskoczył, chwycił za miecz. Leon mruknął:

- Wczoraj to było? - a Dedi:

- Konno jechał.

- Ni... pieszo szedł.

- Poznał was?

- Myślę: nie poznał. Widział mnie dawno, jakem był otrok nieletni.

- To i wy... Może pomyliło się wam? Mieszka zaśmiał się:

- Tego końskiego łba nie zapomni nikt, kto go raz widział. O wa!

- Astryk! - powiedział Dedi, w gardzieli mu świszcząło. Patrzyli na się nieufnie, znów zawisła w zbójeckiej izbie martwa cisza. Nie kleiła się rada.

Krzak leszczyny rozłożył się szeroko, ukrywał zatajonego Zadorę; Wojowi kleiły się oczy, sen go morzył, powieki same opadały, cielsko nalane upałem, ciężkie, nieruchawe. Walczył ze zmęczeniem, nie spuszczał oczu z wywalonych wrót, za którymi obozowała czeladź i straż przybyszów. Obłupili ze skóry sarnę, udźce się piekły na roznach, gadali i podśpiewywali, zerkali na chatę, w której snadź siedzieli ci, co tu - w głusz - chcieli przyjechać. Zadorę biesiło, chciał wiedzieć koniecznie, kto tam siedzi kamieniem i co robi; ni wyjrzy. Ze stroju i mowy pacholków poznawał, że są tu Węgrzy i

Niemcy. Czego chcą? Kto ich zwołał? Zadora leżał beż ruchu, walczył ze snem, czatował. Pająk w sieci.

Cały dzień przepierali się, godzili i znów skakali na się z wrzaskiem. Kiedy się ugodzili, słońce było już czerwone i niskie. Wyszli przed dom, jakby ta ciasna izba mierzyła ich i gnioła.

Nie wiedzieli, że gdy tak stali pod czerwonym światłem zachodu, z krzaku leszczyny patrzyły na nich drapieżne oczy Zadory. Wpijały się w postać każdego z nich, w grubego wieprza Dediego, którego Zadora poznał był w Gniezdnie, w koślawego Leona, w Mieszkę, przyrodniego brata Bolesława, w wysłańców Szczepanowych, wreszcie, najdłużej i najuporczywiej, w Astryka. Wąsy się Zadorze zjeżyły ze złości - takiś to, takiś to? - ty gidzie, ty wywłoko, ty pomioście diabli, ty zakało!

Zadora bez szelestu wyczołgał się tyłem z krzaku leszczyny. Nie bacząc na zapadającą noc poszedł szybko, tak szybko, jak tylko mógł - prosto w dół.

Bolesław jeden tylko dzień popasał w Krakowie, obiecał był przedtem, że odwiedzi biskupa pomorskiego Rajnberna, z kilkorgiem drużyny pognął na północ. Rajnbern przyjął go w dawnym dworze "Czyciborowym; księżę siedział w tejże ogromnej halli normańskiej, na podwyższeniu, jadł obficie i pił, wodził wzrokiem wkoło, słuchał owego jednostajnego szumu morza, Rajnbernowych żalów na nieużytość pomorską, dotkliwie brakło mu dukania grubego, wesołego stryjca. Szmat życia minął, odkąd tu był raz pierwszy, darło mu się jeszcze wtedy księstwo w garści, a myślało się jakże prosto: urwać parę głów, wydrzeć oczy, rozdeptać Jomsborg - księstwo będzie jego. A później? wojna - to wojna, sądzenie - to sądzenie, a nie posłucha go kto, znajdzie się jakie buntownicze serce - albo to nie ma siły? Tylko mu Jomsborg rozdeptać - i już! Tak się myślało w on dawny czas stryjowego dukania i Gunhildy. Rajnbern pochylił się nad stołem, swe krótkie, obrośnięte gęsto rudym włosiem garście oparł o blat, bąkał, że mu świątków brak, a ci, co są, za zwierzem jeno gonią po puszczy, czytania i śpiewu świętego zapomnieli, nałożnic mają po kilka; i że kościołów trzeba by parę postawić, sprowadzić do nich prezbiterów - i to mnichów, nie świeckich, bo świeccy jeno o swe dzieci dbają, nie o dobro Chrystusowe, o stada swoje, o łodzie rybackie i wszelką chudobę. Bolko się uśmiechnął na wspomnienie Gunhildy, która spała z okrągłymi jak u ryby ustami.

Halla błyskała krwawymi refleksami od trzech ognisk, które biskup zawsze palił, raził go bowiem ogrom ciemnej sali, pełnej dalekiego szumu; dwór jego, świątki i klerycy, ciżba ludzi, siedziała wokół ścian na ławach, gadając, pijąc i drzemiąc, biskup czuł się wśród gromady odosobniony niby w obcym, wrogim kraju; kazał powyrzucać wiszące na ścianach Czyciborowe skóry, broń, czaszki dzików i żubrów - zdawało mu się, jakby zdarł przez to nalot pogaństwa. Ściany były teraz surowe i nagie - szerniały belki utykane mchem - nad zachodnim podwyższeniem wisiał ogromny drewniany krzyż na pięknie tkanej makacie, przed nim biskup się modlił; ale jakby i Chrystus był niechętny tej pogańskiej halli, po której tłukły się echa dawnych uciech i pijaństwa. Rajnbern nie umiał tych swoich mętnych odczuwań opowiedzieć księdzu i wstydziłby się ich, gdyby zdołał oblec je w zdania; więc skrzypiącym głosem narzekał tylko na Pomorców, na ciągle niebezpieczeństwo życia - nawet oszczepnicy Radborowi patrzą nań niechętnie. Bolko pił miód, patrzył spod przymrużonych powiek na skarżące się biskupa; zawsze go w tej halli ogarniał jakiś bezwład. Wiedział: rankiem będzie czas na skargi, rankiem będzie krzyczał i groził, tupał nogami i unosił się gniewem, nagradzał i karał; teraz leniwie unosił czarę z miodem, leniwie słuchał szumu, wspominał Czyciborowe gadki.



W ten pusty wieczór wpadł z tętentem końskim Zadora; wieściami, które przywiózł, porwał w strzepy bezwład szumiącej halli. Poszli we trzech do komory - z dala od rozgadanego naraz dworu - Bolko nie siadł, stojąc na szeroko rozstawionych nogach wysłuchał opowieści Zadorowej, chwilę milczeli; naraz ksiądz powiedział zduszonym szeptem:

- Astryk, mołwisz?

Świszczący z nienawiści głos Zadory:

- Astryk, ścierwo.

- Przyleciałeś tu wraz?

- Z Krakowa posłałem Przemka, iże wie, gdzie ona chata, bo tamok Skorca rozerwał i jego drugów, z pięćdziesięciu wojami, by wyłowił onych.

- Dobrze, Zadora. Rajnbern, przyjadę do was później, nynie tamto ważniejsze. Jedziemy.

Bolesław nie obrócił głowy ku morzu, gdy leżał na końskim karku, bijąc źrebca piętami po bokach.

W Krakowie czekał już posłaniec od Przemka: grodek zbójcecki był pusty, ni ducha. Przemko ostał w zasadzce, ale się nie spodziewał, by kto wrócił. Pyta: ma siedzieć czy wracać?

Bolko wysłał w ślad za Astrykiem Stojgniewa z nakazem: - Jeśli dognasz go, nie gadaj wiele: dźgaj nożem w gardło. Dalej ty powiedzisz poselstwo.

- A jeśli nie dognam? Wiele czasu minęło, nim Zadora przyszedł do Krakowa, a z Krakowa do Kołobrzegu, a z Kołobrzegu tu.

- Jeśli nie dognasz?... A no! I mnie się widzi: nie dognasz ji... A no! Miej tegdy swój um, co robić. Jedź do Rzymu. Ja wraz pošlę kogoś do cesarza. Kogo?

Poszły gońce do cesarza, do Ekkeharda, do Gaudentego, do Przemka. W skok pognął Stojgniew za Astrykiem. Bolesław ostał sam w wielkiej sieni wawelskiej. Przyszedł chłopiec ogień sycić, ksiądz pognął go precz. Samotny siedział w ćmie.

Kiedy to było, gdy się myślało tak prosto: wojna - to wojna, sąd - to sąd, a najdzie się jakie buntownicze serce - albo to nie ma siły? Tylko mu Jomsborg rozdusić - będzie miał księstwo w garści. W garści? Czyli nie za wielką masz garść, Bolesławie?

Isto: za wielką.

Przypomniał sobie zadumany wzrok cesarskiego wysłannika, który ostrzegał go przed knowaniami Ody. Co wtedy mu rzekł?

Całym życiem uczy się człek umu - a wciąż go mało.

Chrapały z wysiłku konie wojewody z drużyną a posłańców księżych. Gęsty mrok niby czarna mgła zalał wielką sień wawelskiego grodu. Bolesław siedział bez ruchu, roztopiony w czerni. Poznał jeszcze jedną gorycz władania: czekanie. Dawniej myślało się prosto: rozdać wraz gniazdo - i już! Łatwiej jest drzeć się na palisadę niżli czekać w ciemności.

Nazajutrz wszedł Stanko do sieni, ksiądz siedział na ławie w odzieniu - nie spał, czy ki lichy? Gębę miał zdrętwiałą, nie ruszała się wcale, gdy kazał wołać Zadorę. Zaraz też rzekł do Zadory:

- A no, stary, prędzej niżli za dwa miesiące nijakie wieści nie dojdą. A ja ci mam pomóc Rajnbernowi na Pomorzu, wiadomo: nowy on tam, sam nie zdoła. Każ konie podać, pojedziem. Pobędziem tam mało-wiele - i z powrotem. Idźże, stary. A nim odjadę, niechże mi jeść dadzą, a niech przyjdzie Poppon, Zefrid i Piekuta.

8.

W tym czasie podrużył się Nielub Wojborowic z Bezprymem, najstarszym synem Bolesława. A stało się to tak:

Posłał Bolko Nieluba ze zleceniem do Poznania, stamtąd miał Nielub zboczyć do Lednicy, wziąć dwie klacze, siwą i gniadą, które chciał księżę ślać w darze do Kijowa; poseł miał wyrozumieć tam, czyli nie ma jakowych zmów Rusi z Węgry: bo wciąż w zwadzie był Bolko ze Szczepanem węgierskim, który znów pobił i wygnał synów Adelajdy - tych zamysłał Bolesław osadzić w grodach nad węgierską granicą na złość Szczepanowi; gdyby się zdarzyły nowe walki z Węgry: bo wciąż w zwadzie był Bolko ze Szczepanem węgierskim, który znów pobił i wygnał synów Adelajdy - Ruś, postanowił i Bolko swoje wysłać; zwłaszcza gdy się wydała zdrada Astrykowa.

Przyjechał Nielub do Lednicy, lecz nie zastał Stanka, który grodzodzierzcą tam był. Aż zęby zaciał ze złości; śpieszyło się mu. Siedział w stacji Stankowej, piętami stukał w podłogę, pogwizdywał. Do izby wszedł otrok lat około czternastu, ciemne oczy błyskały w bladej twarzy, czuprynę miał czarną i lśniącą. Rozkraczył się, ręce z tyłu założył, patrzył w milczeniu na Nieluba, wysunął dolną wargę. Nielub się zniecierpliwiał:

- Bacz, bo gały pogubisz, takeś je wywalił. Woja nie widziałeś ?

Bezprym nie odpowiedział, zrobił krok naprzód, wyjął z łańcuszka na szyi Nieluba mizerykordię - nóż był niepośledni, ostry by ość, główienka wyłożona białą kością, okuta srebrem; Nielub ukradł go kupcowi w Wołyniu, jeszcze w czasie jomsborskiej wyprawy. Chłopak próbował ostrza na kciuku, podniósł wzrok na woja, zęby mu błysnęły, powiedział piskliwym głosem, który - zda się - wciąż cieniał, wyciągał się jak nić smolna, groził pęknięciem:

- Walny nóż... walna broń... Wieluście mężów ubili onym nożem?

- O wa! - Nielub szerzej rozstawił kolana, przeciągnął ramiona - a u was taki obyczaj, że goście wi piwa żałują?

- Wraz każę przynieść, będziem pić. A wyście z drużyny księdza?

- Z drużyny.

Bezprym zawołał o picie i jadło, za czym siedli, z jednej misy wyjmowali mięsiwo, oblizywali palce, popijali, Bezprym piskliwie rozpytywał o drużynę, o bitki, czasem zacinał się, spuszczał łeb, spode łba wpatrywał się w gościa. W końcu swym cienkim głosem spytał:

- A ociec jak?... ciągiem gniewny... na mnie?

W jednym mgnieniu Nielub pojął cierpienie chłopca - nielubka. Tak. Toż zawstydzone spojrzenie, taż zazdrość o brata, taż chuć, by trzymać z ojcem jeden miecz w dwu dłoniach, taż namiętna tęsknota za wyrwaniem się z zaklętego kręgu - Lednicy czy Orczycy ? - toż pełne nadziei czekanie. Wzdętą falą napłynęła do Nieluba gorycz własnej młodości. Brr! Nie otrząśnie się już z niej nigdy.

Następnego ranka strzelali z łuku, mało kto tak trafiał w cel jak Nielub; w całej drużynie lepszego byś łucznika nie znalazł: mógł bić strzałę w strzałę, jeno się pióra z bełtu sypały. Bezprym stał obok, jaśniał, śmiał się bezgłośnie, głębokim, wrzuszonym chichotem. Wyprawili się obaj na łowy, nic nie ubili krom paru wron i wiewiórki, wieczorem, gdy wracali, zapadła już noc, rosa moczyła skórznie, szli spiesznie, milcząc; aż naraz Bezprym spytał tonem, o którym Nielub zrazu poznał, że ma to być ton obojętny:

- A brat mój, Mieszka, ma już pewno drużynę?

- Gada się o tym - odparł Nielub beztrosko - iii... o wielu się gada otrokach, którzy by poszli do tej drużyny. Ale dotąd ksiądz żadnego nie powołał, i Mieszka, jak i ty, w ręku piastuna...

Bezprym nie powiedział nic i dalej szli, gałęzie trzaskały im pod stopami, Bezprym pogwizdywał przez zęby; Nielub czuł, że chłopak ma coś na języku, lecz nie ułatwiał mu wyznania. Dopiero pod samym ostrokołem burknął Bezprym:

- Wždy niedawno jeszcze cyckę z gęby puścił, trzy wiosny młodszy ode mnie - głos miał jeszcze cieńszy niż zawsze. W ciągu najbliższych dni Stanko wciąż nie wracał. Nielub biesił się; Bezprym widział jego niecierpliwość, rzekł mu:

- Bywali tu i dawniej przejazdem woje i wielmoże, ale nie lubili wiele gadać ze mną, iżby niełaski ojca nie ścigać na siebie. Widzi mi się, że i wam niełacno gadki ze mną idą i źli jesteście, że piastuna nie ma, i niewola wam tu siedzieć. - Nielub poczuł nagły przyływ złości, na kogo? jakby nie na Bezpryma - porwał chłopca za ramiona i nie bacząc, że do księżycy mówi, buchnął mu prosto w gębę:

- Dureńś - a tamten podniósł nań uszczęśliwione oczy, jakby pieszczotę poczuł; i tym utkwionym w siebie wzrokiem podrużyli się - woj z chłopcem.

Teraz nie rozstawali się całkiem, bawili się bronią albo chodzili na zwierza. Raz zastał Nielub Bezpryma wychylonego za częstokół, chłopiec wodził wzrokiem po czarnym wieńcu puszczy; Wojborowic podszedł do księżycy, objął go ramieniem, patrzyli obaj w milczeniu. Lednica była już opuszczonym gniazdem, podgrodzia tu niemal nie było, żadnych gości ni kupców, stróża tylko miejscowa - z opola - szopa drużyna nigdy nie rozbrzmiewała gwarem i śmiechem, jednooki Stanko był surowy i milczący; jakoś ciasno było w Lednicy, puszcza podchodziła blisko, aż do wody, nie dojrzeć stąd pól, drzewa jeno a drzewa. Nielub - nie opuszczając ramienia - zaczął mówić:

- Będiesz władką i księdzem, Bezprymie, nie taż... Nie zawždy tobie gnój lednicki, tobie koń i miecz, i drużyna krzycząca zawołanie, grody i władanie. - Aż naraz, oderwawszy chłopca od palisady i zajrzawszy mu w twarz, wykrzyknął:

- Nie patrz... tak... na ono bajoro! Nie patrz! Siły swej strzeż, siły! Słyszysz? - siedli obaj na kurzu u podnóża ściany, oparli się o nią plecami, słońce bliskie zachodu zagładało im w twarze czerwoną mgłą - i tu Nielub, nie pojmując tego, opowiedział ksiąźcemu wyrostkowi dzieje swego dzie ciństwa i młodości. Bezprym położył chłopięcą rękę na dłoni woja, zacisnął ją mocno, nie ruszał się, tylko dychał gęsto, słuchał. O Orczycy z końskimi czaszkami, o wielkim rodzie Orczyków, o

zakładnictwie Stojgniewa, o nienawiści Wojbora, która zlewała się na niego - młodszego - na Nieluba, o milczeniu i czekaniu, o grodzie Ledargowym, o spisku na Bolesława i ubiciu Hugona, o nienawiści do brata i spaleniu grodu Ledarga, o wyzwoleniu się z zaklętego kręgu - wreszcie; a skończył swoją opowieść słowami, których nie pomyślał nigdy potąd:

- Orczyki wielki ród, pierwszy w księstwie. Stojgniew jest wojewodą waszego ojca. Możeć jeszcze i ja będę wojewodą... waszym! - zamilkł gwałtownie, teraz dopiero poczuł uścisk chłopięcej dłoni na swej garści - dłoń Bezpryma była mokra, jakby od wielkiego wysiłku. Wstali.

Tegoż wieczoru pokazał Bezprym Nielubowi swój skarbiec, którego nie widział nikt. I zduszonym głosem opowiadał, od kogo jaki dar dostał i kiedy. Byli tam wyrzezani w drzewie dwaj woje, godzący na się siekierami za pociągnięciem dwu pałeczek, a dar ten miał od Ody, już po odjeździe matki; pani Oda chowała go do śmierci Mieszki, później Emmilda do lat siedmiu; miał konia drewnianego i rycerza na nim; miał mieczyk od dziada i łuk cisowy od dziada; od dziada też miał różne drobiazgi, jakie się rycerskiemu pacholęciu daje, między innymi kowany w srebrze rożek na piwo; były tam też dary od Radbora, gdy Bezprym przebywał na Pomorzu, wojackie dary. I od Stanka dary piastuńskie. Były też zdobycze łowieckie, jak rogi kozłów, rogi jelenia i skórki różnego zwierza. Był krzyżyk rzezany z jantaru, który kiedyś dostał Bezprym od Ungera. - Nielub patrzył, słuchał, wargi się mu krzywiły goryczą i szyderstwem: gdzież są dary od Bolesława? Ale Bezprym wyjął w końcu ze skrzyni pas nabijany i nóż, podniósł wzrok na woja i rzekł z błyszczącymi oczyma:

- A tom otrzymał od oćca, gdym był u niego w Gniezdnie - nuta podniecenia i triumfu brzmiała w głosie otroka. Wówczas to Nielub uczynił, czego by nie powinien był czynić: wyjął zawieszoną u szyi mizerykordię, którą był Bezprym podziwiał po przyjeździe, i podał chłopcu.

- Weźcie i ten nóż, Bezprymie, i pomnijcie o mnie. A może przyjsć taka godzina, gdy nie będzie się godziło dźgać nożem ojcowym, a ten was nie zawiedzie. - Bezprym słuchał z otwartymi oczyma, patrzył na Nieluba, mrugał, chciał pojąć dobrze, co mogą znaczyć słowa woja; naraz zaśmiał się cicho, wyciągnął rękę, wyjął nóż z ręki Nieluba, wbił go mocno w obrąbek pniaka leżącego podle i rzekł swym rwącym się, piskliwym głosem:

- Na wielką rzecz ważyliście się dla mnie, Nielubie. Patrzcie: wbijam ten nóż w drzewo. Nie godzi się, by leżał on w skrzyni z nożem oćcowym. Ale zabiorę ten pniak z waszym nożem, niechże pniak leży - oczy chłopca iskrzyły się, zrozumiał: różnymi drogami może potoczyć się życie.

Nazajutrz przyjechał Stanko, Nielub wybrał obie klacze, ruszył do Bolka. Jechał zadumany głęboko, z drobnym cierniem niepewności w sercu: tak, na wiele się ważył z Bezprymem. Gdyby otrok zechciał go zgubić, nawet Stojgniew nie uratowałby głowy brata. Ale przypomniał sobie błyszczące oczy Bezpryma - i uspokoił się.

Ród Turów był dawny i ważny, za Mieszki wiele jeszcze znaczyły Tury, od Mieszki też każdy z braci dostawał włości, ale rozrzucone - stary ksiądz rad rozbijał możne rody przez nadania. W rodowej Turzycy pozostał tylko najstarszy, ale że kłótniwy był, wymyślał o byle co i zwady szukał, a w dodatku nogi mu odjęło, chodzić nie mógł - więc przewodnictwo w rodzie przechodziło powoli na drugiego brata, Władyoja, na którego wołano powszechnie Piskorz.

Tak się złożyło, że przy śmierci Mieszkowej żadnego Tura nie było w Poznaniu. Zjechali się u najmłodszego Zaboju, radzili długo i swarzyli się, porozumiewali się z Wilkami, ślali gońców do krewniaka swego Odylena. Wybrali się wreszcie zbrojnie na pomoc Odzie i przybyli do Poznania, byli na radzie, na której postanowiono struć Bolka, przestraszeni pojechali do Turzycy, tam znów swarzyli się długo; gdy wrócili, Oda już uciekła do Niemiec, a Bolko wyprawił się na Jomsborg: jakże tu bić nieobecnego. Bezczylnie siedzieli w Poznaniu, czekali, skoroli Bolko skręci kark na Pomorzu. Gdy przyszła wieść o zdobyciu Jomsborga, w popłochu wrócili do domu. Tam się trzęśli z trwogi przed mstą księżową.

Tymczasem Bolko nie ciął łbów, nie mścił, nawet ziemi nie odebrał, co ją był Mieszka nadał. Ale... jakby nie stało Turów w księstwie, tylko im za sochą chodzić czy zwierza bić w puszczy, poza tym ni na dwór księdza iść, ni do drużyny, ni grodu żadnego nie powierzył im młody ksiądz - nic! nie ma Turów. I zjechać się, ugwarzyć na wspólnym wiecu niełatwo, gdyż porozrzucani byli: najstarszy siedział w Turzycy nie opodal Poznania, Władysław, zwany Piskorzem, miał ziemię na podgórzu, po lewym brzegu Sanu, trzeci brat, Zbygniew, włodarzył na Kujawach, a Zabój wypalał poręby w puszczech śląskich, otrzymawszy tam nadanie po rodzie Kwęków, któremu przyszło na upadek. Spodziewali się pojednania z księdzem na weselisku Jemiołki z Przemkiem Świradowicem, którą Bolko sam zdziewosłębiał dla ulubieńca, wždy wszczynać gadki o ujednaniu nie chcieli, a ksiądz był wesół, pił i śmiał się, lecz jakby nie pojmował dalekich napomknień, nie widział zakłopotanych spojrzeń i chytrych przepijań, spoglądał na nich chwilami z jawną drwiną, złego słowa nie rzekł - wiadomo! na godach weselnych - i rozjechali się z niczym. Lata znaczyły się urodzinami i śmiercią, zwałaniem ociekających żywicą tramów, zakłuciem niedźwiedzia czy pomorem bydła, ale nie wyprawą wojenną, nie zjazdem ziemi, nie postawieniem grodu, nie goszczeniem wielmoży i obcych rycerzy, nie podziałem łupów, nie Nowem, które szło przez kraj. I każdy z nich czuł, że ród butwieje, powoli i nieznacznie, jak nie okorowany pień; niby po dawnemu było: Turów sroka nie wydziobała, a jednak - czuli to: rdza przeżera ich, aż przeżre.

Ta gwałtowna potrzeba ratunku, tętniąca w każdym z nich, była istotnym powodem zjazdu w Turzycy, z której rozlali się byli po całym księstwie. Bo pewność: mieli niemało ważne sprawy do uradzenia - więc umarł Zbygniew i trza było rozrządzić jego ziemią i jego dobrami, co nie było sprawą prostą, gdyż Bolko mógł nie potwierdzić nadania ojcowego, nie była to bowiem włość rodowa; taka była tylko Turzyca. Niepewność potwierdzenia sprawiała, że wszyscy czuli się niby na kozuchu z mchów uginających się chybotliwie - boć każdemu może Bolko w każdej chwili cofnąć nadanie - i duście się znów, Tury, w Turzycy. - Dalej mieli ułożyć małżeństwo najmłodszej córki Piskorza z rodem Wilków i syna Zbygniewa z Nagodzicami. Były też spory w rodzinie, dotyczące dawnych podziałów i wzajemnych pożyczek, jak również rozdział źrebców z rodowej stadniny, pasącej się u Piskorza na podgórzu. Chodziło wreszcie o znalezienie sposobu przerwania zadawnionego sporu z Odrzykoniami śląskimi, właściwie krwawej wroźdy rodowej; że jednak wroźda ta już zbladła i - po prawdzie - nikt jej nie wykonywał, a rody skłaniały się ku sobie ze względu na korzyści, jakie zakończenie sporu dałoby obu stronom (Tury były potrzebne Odrzykoniom, gdyż przez posiadłości Zaboja przepływa rzeka, którą najłatwiej było spłynąć od Odry, zaś Odrzykonie były rodem możnym i wpływowym, a ten z nich, na którego wołano Łysacz, był jednym z pierwszych wojów w drużynie księdza i wojewodą pancernych). - Były to wszystko sprawy wielkiej wagi, ale istotnym celem zjazdu było wynalezienie sposobu wyjścia z odosobnienia i załagodzenie niełaski książęcej, grożącej rodowi ruiną.

Zjazd był liczny, gdyż obeszali go mocno - chcieli, by się sława jego rozeszła szeroko, by w księstwie każdy - wszystkie rody, a i sam Bolko - wiedział, że Tury są pniem ważnym, z którym trzeba się liczyć i trzeba go poważać: nie wszystko jedno, na jakiej szali leży. Zebrali się w Turzycy z rodzinami i zbrojną gromadą; około trzydziestu koni. Poza tym przybyło dwóch Nagodziców, Głowacz i Rudy, Czycibor Wilk, Pałuba, brat Odrzykonia Łysego, na którego z niemiecka wołano Otryk, chłop silniejszy w garści od Gza Śliźnia; a z Odrzykoniem przyjechał najgodniejszy gość, nie proszony, Sobiebor, syn Sławnika, a brat biskupa Wojciecha; tego czczono najbardziej. Przybył również Przemko Świradowic, który wprawdzie, pokłóciwszy się przed kilku laty z teściem, kłął się, że jego noga nie postanie w Turzycy, ale któremu trudno było odmówić uczestnictwa w zjeździe krewnych żony, gdy go prosił specjalnie Władyboj, faktyczny starosta rodowy: przybył więc Przemko z żoną i starszym synem, który już nie siadał za ojcem na źrebca, ale jechał sam z mieczykiem i toporkiem, w skórzanej zbroi i szłomie. - Tak tedy zjazd był liczny, a Turzyca rój na i gwarna.

Piskorz i Zabój natarli przedtem na starego Tura, grożąc, że jeśli zbroi jakąś awanturę, to go zwiążą, zakneblują gębę i z ławą wniosą do zagrody świńskiej; niechże tedy baczy. Głośna to była rozmowa, zdało się, że się podpróchniaie pale ostrokołu powywracają od wrzasku. Tur zapłuł się, zachrypl, stracił dech, bił już tylko rękoma o ławę, oczy mu na wierzch wylazły. W końcu wycharczał:

- Ragdocha! - ale Piskorz położył mu lewą rękę na ramieniu, nachylił swą małą, ruchliwą twarz nad bratem, przytknął mu ostrze noża do piersi i - sam dławiąc się z wściekłości - wysapał:

- Mołwię ci, że chociaż starszy w rodzie, ale jeżeli nie zaklniesz w tej chwili na ziemię i dziadów, że będziesz w czas wiecu milczał, jakby ci jęzor wyrwali, zrobię, jakem zapowiedział. Słyszysz ty mię, spróchniały tramie?... - po długim jeszcze szamotaniu, wrzasku i wymysłach stary złożył żadaną przysięgę.

Zjazd odbył się hucznie i gwarnie, roztrząsnęli sprawę i podziałów, i ziemi, i źrebców, ułożyli małżeństwa, posagi i wiana, utopili w miodzie wróde z Odrzykoniami, pokłócili się mało-wiele i pośmiali, białki napaplały się do kołowacizny jęzorów, dzieciaki napelniały wrzaskiem całą Turzycę, otroki bawiły się wspinaniem na słup albo przeciąganiem drąga, albo siadali jeden drugiemu na kark i walczyli konno, aż Gacek Nagodzic rozbił łeb i stracił przytomność; płasali przy ogniskach i dwakroć się wyprawiali na łowy; zjedli górę mięsa i kaszy, wychłęptali jezioro piwa i miodu, goście byli weseli i chmielni, stary Tur nie zrobił ani jednej awantury, lecz Władyboj i Zabój czuli, że mimo blasku i chwały - (będą bajać o tym wiecu w całym księstwie) - właściwego celu nie osiągnęli, owszem: goście się rozjadą, Tury wrócą na Śląsk i podgórze, i dalej tylko im za sochą chodzić i zwierza w puszczy bić.

Siedzieli w wielkiej sieni, gadki jakoweś leniwo się wlokły, gdy usłyszeli tętent, Zabój wyjrzał, zawołał brata, by szedł witać - nowy gość przyjechał. I to nie lada jaki: Nielub Wojborowic, brat wojewody. Woj wszedł, jak zawsze z pochmurną bladą twarzą, przyjął naczynie od przepijającego doń starego Tura, a zaraz potem rzekł do Władyboja:

- Przysłał mię ksiądz, iż chce, żeby Przemko a Odrzykoń przybyli wraz do Gniezdna, ma im cosik rzec.

Władyboj spojrział na brata, zrozumieli się obaj: znak to - Bolko daje poznać, iż nic im zjazd nie

pomoże... a no! Aleć nie chce Turów pogańbić, posłał więc nie lada jakiego komornika, lecz woja jednego z pierwszych w księstwie. Zabój złapał wargami wąs, przygryzł i rzekł:

- A no... wola księdza. Ale was, Nielubie, nie puścimy w dobry czas: zdrożeniście i głodni.

Woj zaśmiał się:

- Isto.

Odrzykoń z Przemkiem wyjechali jeszcze tegoż dnia, z nimi Sobiebor, który chciał Bolka złapać. Odjazd ten był hasłem dla wszystkich: nazajutrz wyruszyli obaj Nagodzice, Czciwor Wilk i Pałuba; z obcych jeden Nielub Wojborowic ostał w Turzycy.

I zdali sobie sprawę - w tej pustce, która nastąpiła - że właściwie niewiele zostało po zjeździe. Tyle że miodu nie ma już w jamie, a byków brak kilkoro, wieprzów i drobiu, a dom cały niby chlew. Prawda - ugodzili się, podzielili i ugwarzyli, ułożyli małżeństwa i zapili wygasłą już wróżdę, ale - jakby to wszystko nie były ważne sprawy. Aż dziw! Goście były godne, nie lada jakie. A - jakby to wszystko pył. Pozostało puste uczucie, że jednak butwieje ród. Jeszcze jeden taki zjazd... drugi... - jeszcze przyjeżdżają na wezwanie Turów. Lecz choć byli wszyscy, jedli i pili - jakby już obojętnie trochę, trochę poklepujące - oho! nie te już Tury, co drzewiej były.

Stary Tur leżał na ławie pod lipą, Zabój rozwalił się na trawie, położył dłonie pod potylicę, patrzył w gałęzie drzewa. Władysław niewielkim nożykiem dłużył kawał patyka - taki już miał głupawy zwyczaj ów bitny woj, tęgi łowiec a pracowity kmieć: lubił przeróżne zwierzęta a figurki ludzkie w drzewie rzezać. I robiło mu dziecinną, niepojętą radość, gdy udał konia albo świnię, choćby jaszczurkę, mysz, ptaka, jakiego woja w zbroi i z mieczem lub napinającego malutki hak - wszystkie jego dzieci bawiły się tymi rzeżankami. Ludzie śmiali się z tej słabości, inni mówili, że Piskorz uroki rzuca przez owe wizerunki, sam Władysław się wstydził niegodnego zwyczaju, ale przemóc się nie mógł: rzezał i rzezał. Nynie przykucnął u pnia, oparł się on plecyma, wyrabiał czubatego, długodziobego dudka, półuchem słuchał swarzenia się starego Tura. Naraz poderwał głowę, warknął:

- Cichajże, jeszcze czas kłątwy nie minął: Nielub Wojborowic gości.

- Głuptak jesteś, Piskorz, tylko ci ptaszki dłużyć... Cóż to? Gadałem ci wiele na wiecu? A chciało mi się, mołwie, wziąć kij dębowy i zbić wasze durne pyski: piliście tyle dni i co z tego picia? Iście, jakbyś świniom pod ryj wylał.

Piskorz zaciął swe wąskie wargi, nic nie rzekł, dłużył dalej. Zabój jednak przewrócił się na bok, mruknął:

- A dyć prawda to: niewieleśmy zwojowali na onym wiecu. Władysław podniósł swą małą twarz, spojrział czarnymi złymi oczyma:

- Mało? A coście chcieli zwojować? Ziemię po Zbygniewie podzielirni, co wdowie, co otrokom, co pójdzie na wiano dla dziewczek, co dla mnie, co dla ciebie; pojedziem do księdza, potwierdzi. Z



Odrzykoniami zrobili ugode, nie takli? Uložylim małżeństwa z Nagodzicami i z Wilkami, nie takli? Ugodzilim między sobą wszelki spór, nie tak? Nażarli się i napilim, gości mieliśmy godnych, czego to jeszcze chcecie? Tfu! - z zaciśniętymi zębami dłubał dalej ptaka. Ale Zabój podciągnął kolana, zmarszczył się i mruknął:

- Eh!

Wszyscy trzej wiedzieli wybornie, co ono mruknięcie znaczy. Zamilkli. Żaden nie chciał nazwać rzeczy po imieniu. Piskorz pochylił twarz głęboko, rzezał swojego dudka.

Naraz Zabój poderwał się z ziemi, podszedł do brata, wyrwał mu drewnianego ptaka z dłoni, z pasją prasnął nim o ziem, Piskorz podniósł nań zawstyżone oczy, nie buchnął gniewem, chciał coś powiedzieć, zakrztusił się, ciemny rumieniec zalał mu policzki. Stary Tur zawarczał:

- Iście nieźrały podrostek - wszyscy trzej czuli, że w tym ich sporze gra coś innego.

Władyboj zaczął - ni stąd, ni zowąd - wspominać dawne czasy Mieszkowe, jak na wyprawy chodzili, jak łup brali, jak w radzie książęcej zasiadali nie raz i nie dwa. Zabój znów się położył na trawie, szklanymi oczyma patrzył w gałęzie lipy, Tur nie drgnął, leżał na boku, świstał przy każdym oddechu; jego twarz z garbatym, suchym nosem z dwoma fałdami od ust do brody, z zaciśniętymi, wpadłymi wargami, z kudłatą siwą grzywą nastroszyła się, była groźna - iście głowa orła. Władyboj nie opowiadał płynnie, zająkał się, przerywał sam, zamyślał się, przypominał, skakał od wyprawy do wyprawy jak zając po skibach, ale przecie znali te dzieje - we trzech je przeżywali. I wszyscy trzej - połamany kaleka na ławie i dwóch młodych jeszcze, silnych wojów - ssali z tych gadek tę samą gryzącą gorycz. Aż z nagłą Zabój siadł, trząśł pięścią w murawę i krzyknął:

- Iście psie wesele był ten wiec, nic innego, jeno psie wesele - stary zamruczał, zachrzakał, wrzasnął coś, czego rozeznać nie mogli, zacharkał i zapluł.

Nie zauważyli Nieluba, dłuższą chwilę stojącego nie opodał. Drgnęli, gdy usłyszeli jego ostry głos:

- Prawda, wiele inaczej jest nynie, niżli za Mieszki było. Tur się uniósł na łokciach i od razu rozdarł gębę:

- Ty młokosysie, ty sikunie, ty żabizadku! Takiś to gość, iże ucha nastawia, żeby szczeakać później - oba bracia zwalili się na starego, Zabój zatkał mu gębę garścią, a Piskorz wykrzykiwał między dechem a dechem:

- Na gnój ji... zdechlaka... na gnój! Na świński gnój! Do świńskiej zagrody! - Nielub szczyrzył zęby w swym nieradosnym, przykrym śmiechu. Pohamowali się.

- Chodźcie do gromady, panie - wysapnął Piskorz - ugwarzym społem.

- Ragdocha! a przynieś no piwa! - ryknął Tur w stronę domu. Nielub zbliżył się, przysiadł na końcu ławy u nóg starego i z tymże złośliwym uśmiechem:

- Zdało mi się, jakobym strachu nagnał Turzej gromadzie. Na to Władyboj wlepił w woja swe

ruchliwe oczy i powiedział :

- Pomnijcie, żeście gość nasz, tegdy nie godzi się nam odrzec wam tak, jak na to mowa wasza zasługuje. Ale i wam się nie godzi przemawiać tymi słowy do gospodzinów.

- Ej - odparł Nielub ze śmiechem - jeśli się godzi mówić do gościa sikunie i żabizadku, tegdy dziwne są takie obyczaje u Turów.

Wszyscy trzej sapali głośno, a młodsi spojrzeli z wciekłością na Tura. Nielub oparł dłonie o rozstawione kolana, drwiąco spoglądał po braciach, w końcu rzekł:

- Mile gadaliście o ojcu Bolesława, wielkim księdzu Mieszce, co i Bolko by rad słyszał. Cały bowiem ród księdza godny chwały. Niedawno jeszcze bajałem z najstarszym synem Bolkowym, iż jest wilczym szczenięciem. Prawda, ksiądz krzywą krzyw na pierworodnego, ale ten będzie nie lada jakim wojem a władką - bracia wbili wzrok w Nielubą, czoła mieli zmarszczone.

Potem pili piwo, gadali o tym i owym. Wkrótce Nielub odjechał, a i dwa młodsze Tury ruszyły do Gniezdna prosić o potwierdzenie nadania dla synów Zbygniewa. Bolko przyjął ich godnie, nadanie potwierdził, lecz rzekł na zakończenie:

- Słyszałem, że oba starsi synowie Zbygniewa są już w leciech. Szkoda, żeby gnoili się doma. Przyślijcie ich do mnie, niechże nabierają wojackiego umu, dufam, że nieodrodne z nich Tury - bracia wiedzieli, że to jest nic innego jak zakładnictwo, ale wypadało im tylko dziękować i pokazywać uśmiechnięte twarze. Uśmiech ten jednak znikł natychmiast, skoro wyjechali z bram Gniezdna. Nie umawiając się ze sobą, ruszyli wprost do Lednicy.

Widzieli tam Bezpryma, a Władypoja, zwany Piskorzem, faktyczny starosta Turów, rzekł do chłopca:

- Pomnijcie to, Bezprymie, żeśmy pierwsi cześć wam należną oddali. A jeśli... pomnijcie i to: Tury możny ród i spokrewniony, a wam wierny. Możecie liczyć na Turów - czarne oczy Bezpryma wierciły twarz Władypoja, badawcze i czujne.

Niewiele co potem prosił Bezprym ojca za pośrednictwem piastuna, iżby wolno mu było odwiedzić Radbora na Pomorzu; żalił się, że się całkiem zakwasił w Lednicy. Bolko - acz niechętnie - dał zezwolenie, gdyż Bezprym już był w leciech i należałoby go odjąć piastunowi; ale ojciec potąd nie postanowił, co ma z nim robić.

Stanko wiedział dobrze, iż chłopiec chce sam jechać; i nie bronił mu. Przywiązał się przez te lata do wychowanka - każdy ojciec byłby dumny z tego dzielnego, wesołego, ładnego syna. "Mucha ji ucięła" - myślał o księdzu, gdy widział, jak Bolesław słucha nachmurzony o synu, jak w milczeniu daje piastunowi dar, bez słowa odprawia Stanka do Lednicy. Bezprym słyszał od piastuna same jeno mrukiwe słowa, widział, jak tamten usta zacina przy każdej prośbie, patrzy surowo spod nawisłej brwi; lecz czuł, że Stanko go kocha, i sam go miłował głodnym sercem.

Przed odjazdem wołał Stanko chłopca do siebie, kazał mu siadać. Nalał piwa, przepił do Bezpryma. Otrok poczuł, że ścisnęło go w sercu: po raz pierwszy piastun tak go uczcił. Wypił duszkiem, położył

róg na stole, spojrział śmiejącymi się oczyma: ale tamten miał wzrok surowy, jak zwykle. Przeciągając słowa, mruczał o drodze, kazał oddać pozdrowienie Radborowi. Gdy Bezprym wstał wreszcie, Stanko ujął go twardo za ramię i, nie łagodząc wzroku, burknął:

- Kiej się już raz wyrwałeś od piastuna, nie wrócisz tu. I nie wracaj. Ale słuchaj: zdarza się, że drozdowi podrzuci kukulka jajo. Drozd rad by swoje dzieci karmić, ale on podrzutek rośnie prędzej, dziób ma wielgi, zamorzy braci. Tegdy mądry to ptak, iż umie za młodu tak gębę ozwierać, że łyknie wszystko, co ociec ma dla młodszych braci. Taki i twój ojciec był, choć dziad miał drugą żonę, ją miłował i jej synów; wždy nijako mu było pominąć pierworodnego. A pierworodny miał wielgi dziób, wszystko połknął. A powiem ci i tę gadkę: padnie w lesie ziarno paproci i żołądź; nie widać zrazu pędu dębowego pod paprocią, rozrośnie się paproć bujnie, zakryje płonkę dębową. A przejdzie mało-wiele lat i bacz: zgnije paproć, a dębczak już łeb wysadził nad puszcę. Bo żywię ma, sękowatość, siłę i twardiznę, pomnij to - Stanko wstał, zaszurgał nogami, nie patrząc na chłopca wyszedł z izby.

Bezprym jechał z kilku wojami głęboko zadumany. Zmarszczka przecięła jego młodzieńcze czoło, zbyt wiele nowych myśli dręczyło go w ostatnich czasach. Jakby mu oczy się przejaśniły, nowym wzrokiem spojrzął na świat. Czekał dotąd: może ociec przypomni o nim. Teraz wszeptano mu w ucho: nie doczekasz się. Sam musisz wyrąbać sobie drogę, nawet gdyby wola ojca była inna. Czekaniem nie zdobywa się życia.

Przedzierał się przez zbitą puszcę pomorską z kilku wojami - nie do Radbora jechał, ku swej przyszłości jechał. Oto był jego pierwszy czyn, pierwsze zwycięstwo: wydarł się zza ostrokołu Lednicy. Nie wróci już. Ryby pluskają w morzu, biją ogonami o welny. Złoci się płachta żagla. Kroplą czerwonej krwi świecą pióropusze Jomsborga. Na płaskich piaskach leżą wyrzucone przez morze kępy pokreconych wodorostów i łyska grudka bursztynu. Radbor stoi nad wodą, kiwa się, nie łzawiącymi się oczyma patrzy w zimną dal morza. Jego ludzie mają otwarte na piersiach kożuchy i nagie ramiona, skóra ich jest brunatna i szorstka, schlastana dalekim wiatrem. Szumią sosny. Obłoki się kłębią w białe, krągłe kule. Deszcz siecze ukosem, przelatuje nad morzem, marszczy je w rybią łuskę. Rybacy śpiewają tęsknym falowaniem głosów.

Bezprym ścisnął niecierpliwie konia kolanami, skoczył cwałem. Jakby chciał rychlej dotrzeć do swej przyszłości, w której pojął teraz: nie przyjdzie sama, trzeba wywalczyć ją, wygryźć zębami, pazurami wydrapać, wyrąbać i wychytrzyć. Od kogo?

Zdało mu się, że się pochyla nad nim olbrzymi cień. Bezprym w jednym mgnieniu pojął wielkość swego ojca. Ale był synem tego człowieka, też sama krew grała mu w żyłach, nie uląkł się onego cienia, uderzył konia, łeb nastawił na wiatr, pognął wprost na ową czarną chmurę - po swą przyszłość.

Najdzikszym zwierzęciem puszczy jest samotny bugaj, który nie wodzi już stada, nie ochrania krów i cieląt, lecz przedziera się sam jeden przez chaszczę, kopie ziemię racicami, orze korę drzew rogiem, przekrwionym okiem obrzuca leśne polany, a co by obaczył żywego, atakuje w ślepej wściekłości z pochylonym łbem i napiętym jak pałka ogonem.

Codziennie chodził Bugaj do osiadłych mnichów, pochylał łeb, patrzył na ich milczące życie za płotem z cierni, na modły i śpiewy. Nosił im - jak mu to ksiądz kazał - mięso ubitego zwierza, dziękowali, lecz nie przyjmowali. Gryzli jeno suche placki i pili wodę; w niedziele i święta jedli kaszę.

Patrząc na nich czuł Bugaj, że wraca weń dawna niepohamowana siła. Z pochylonym łbem oglądał to niepojęte życie i rosła w nim bugajowa wściekłość. Zda się - zacznie wnet drzeć darń racicami, chwostem bić sobie po bokach.

Sam z tego sprawy sobie nie zdawał, ale zahamowały go jeszcze owe durne dumki o srebrze, który by dał za Krasę. Urzekło go srebro.

Kedziorek nie znalazł łaski w oczach Gaudentego. Arcybiskup krzywił się, że Andrzej zapomniał służby Bożej, że nie umie przeczytać Mszy świętej, że nic nie pojmuje z mowy łacińskiej i recytując z pamięci zaledwie trzecią część modlitw przestawia je i przeinacza, że płacze się nawet w najświętszych słowach Przeistoczenia; ale kiedy w żegnaniu się krzyżem świętym odnalazł Gaudenty błąd, uniósł się gniewem, skrzyczał Andrzeja, wyznaczył mu surową pokutę kościelną i zapowiedział, że tak długo nie ostanie prezbiterem, aż przypomni sobie dokładnie całą służbę Bożą. Tak tedy stracił w Gniezdnie Kedziorek dużo ze swej krakowskiej pogody, ścichł, nawet piwo nabrało jakiegoś cierpkiego smaku.

Bezsensownie się odmieniło życie Kędziorka. W dzień dusił kluski, nie okraszone mlekiem ni tłuszczem, gryzł placki jęczmienne, nawet piwo pił w niewielkich ilościach. Ciężko musiał się modlić w trzemie gniezdnieńskim, śpiewać psalmy z klerykami. Białki nie lza mu było tknąć. Z wieczora leżał do północy krzyżem albo klęczał z rozkrzyżowanymi ramionami. O północy biczował się trzema sznurami, które miały mu przypominać grzechy przeciwko każdej Osobie Trójcy Przenajświętszej: każdy sznur miał po trzy wałeczkowate supły.

Klęczał i pełnym ruchem zarzucał piętnie na barki, bacząc, by chłostać się niezbyt mocno. Po łbie chodziły mu słodkie wspominki krakowskie. Zacinał zęby - mierziło go to życie.

W te właśnie noce pokutne układał plany przejednania Gaudentego. Nie mógł pojąć, za co się nań tak arcybiskup zawziął, czym poczuł się obrażony, jakim słowem czy ruchem. Może wypadało mu złożyć w dani jakiś dar; pewno, że wypadało.

Jął przeglądać w myśli swoją chudobę, czym by mógł do stojnika zjednać. Płaszcz podbity sukmem? Mocno wytarty już ten płaszcz, poza tym... bardzo ciepły i miły na zimę, zwłaszcza w czas długich modłów kościelnych - żał go oddać; naczyń drogich nie miał Kędziorek, o broni nie wiedział, zali godziło się ją darować. Miał jeszcze pierścień srebrny i dużą klamrę brązową pięknie wytłaczaną.

Chyba tylko tę klamrę i pierścień.

Czop w tym czasie wydobrał, ale dawny wigor już mu nie wrócił; był blady i pluł krwią. Gdy go jednak Kędziorkowa gnała do roboty, laź i robił - była z niego takasiaka wyręka. Można by już Łubka odesłać Ksieńcowi, ale oboje przyzwyczaili się doń - robotny był i wesoły. Nie Czop.

Lubek nie wydierał się z Gniezdna do domu.

Kędziorkowi wciąż chodziło po głowie - jakim by darem przebłagać Gaudentego. Któregoś południa - wrócił właśnie z nauki śpiewu - siedział na przyzbie, nogi wyciągnął wygodnie, słuchał brzęczenia much i jazgotu żony za ścianą, sennie patrzył, jak Lubek drzewo łupie. Brzozowe sęki pękały od jednego uderzenia. W pewnej chwili Lubek się wyprostował, otarł wierzchem dłoni czoło, patrzył przed siebie, uśmiechał się do swych myśli; swawolne musiały to być myśli.

Usłyszał naraz głos Kędziorka spod chaty: - Lubek!

Obrócił się lekko w biodrach, stopy miał jakby wrośnięte, gibki był, wąski w pasie, prawą rękę opierał na długim trzonku topora. Wąs się mu już sypał - jasny, jakby kurz słoneczny osiadł chłopcu nad wargami.

- A no? - zęby mu błysnęły pod wąsem.

- Ochędóż się - mówił Kędziorek, w głosie drgało mu podniecenie - ochędóż się, a no zjemy cosik, pójdziesz ze mną do arcybiskupa - świętek patrzył trochę niepewnie w wesoły błękit oczu Łubkowych.

Nie dziwić się, że Kędziorek wraz się zwiedził o grubym piwowarze Dzierbołku. Zdarzyło się, nie raz, nie dwa, że posyłał Łubka z dzbanem po piwo. Tam poznał Lubek zięcia Dzierbolka, Jarka, syna Białowąsowego, który był wojem w Gniezdnie i swakiem grodzierzcy. Później spotkał się z Jarkiem w grodzie. Lubek by! chłop wesoły i chętny - spodobał się Jarkowi. Namawiał go Jarek, iżby Lubek prosił Kędziorka, by ten go do drużyny dał. Topór lada jaki darował i do drużyny dał. Wesołe życie w drużynie. Lubek uśmiechnął się - czyliż by śmiał o to prosić Kędziorka.

I tak szło - Lubek obijał się po trochu po Gniezdnie, nie wiedząc, kędy go życie pchnie.

- Przeprowadziłem wam tego chłopca, ksze - głos Kędziorka brzmiał niepewnie i prosząco. Gaudenty spojrzeli przelotnie na Łubka, potem wbił oczy znów w Andrzeja.

- Mnie? Dlaczego?

- W darze wam, panie.

- To twój chłopiec?

- To Ksieńców syn. Ksieniec jest wolny kmieć. Winien był mi główczyzną... za Czopa. Syna dał.

- Ochrzciliś go?

Kędziorek zmrużył swe oczy - ochrzcił przecie na rozkaz Gaudentego. Przepomniał ksiądz. Napuścił się Kędziorek - po kościelnemu Andrzej:

- Pewno. Wzdym świętek Jezu Krysta. Arcybiskup nie spuszczał swych gniewnych oczu z Kędziorka.

- Takiś ty świętek Jezu Krysta, jak sójka družka pisklętom. Znaku krzyża świętego nic znasz, ty zakało. A jak go wołać ?

Kędziorek oblizał wargi.

- Lubek.

Gaudenty trzasnął otwartą dłonią w stół.

- I tyś świętek Jezu Krysta, ty grzybie rozmoczony w piwie. Złał ji wodą świętą i mnje, swemu archiepiskupowi, powiada pogańskie imię. Na chrzcie jakieś dał?...

Kędziorek zatchnął się, przepomniał chrześcijańskiego imienia. Przecie zawsze wołali nań: Lubek i Lubek. Z pomocą przyszedł mu chłopak:

- Krystyn - coś niby cień dumy w głosie.

Gaudenty spojrział nań uważnie, podniósł brwi w górę i - nie zwracając uwagi na Kędziorka:

- Czyli chcesz pójść do mnie na służbę, Krystynie?

- Pójdę.

- Ale... pomnij. Jeśli do mnie idziesz na służbę, nie mnie służyć będziesz, jeno Jezu Krystu.

Na to Lubek - w krtani mu grał śmiech, młody i beztroski :

- Co mi tam. Mogę i Jezu Krystu.

Przed wyjściem Kędziorek zmrużył oczy i zagadnął Radzyna:

- Ksze... jakże to? Czyliż nie okażecie mi swej łaski? Może teraz dozwolicie mi prezbiterem ostać? Białka jazgocze, życia nie mam...

Gaudenty poczerwieniał, jakby z gniewu, ale odparł spokojnie :

- Odbądź pokutę kościelną a przypomnij służbę Bożą, to dozwolę.

Kędziorek wyszedł sam. Kroczył po rozpalonym kurzu grodowym, zły na własną głupotę - i cóż mu przyszło, że wyzbył się Łubka. Po dawnemu trza się biczować i pościć. Nie oszukasz Jezu Krysta, zanedbasz, przyjdzie, pomści się. Dadźboże! Z zafrasowaną miną drapał potylicę.

Dzień był upalny. Kędziorek przystanął w cieniu, otarł pot. Westchnął był za Krakowem, rozejrzał

się po Gniezdnie - miało to być krytyczne wejście: gdzie Gniezdnu do Krakowa! Ściana ostrokołu naprzeciw żarzyła się czerwonym złotem. Brzęczały muchy. Gołębie dziobały po ziemi, chodziły ważne na czerwonych nogach. Przeszła dziewczka z dzbanem, kiwała się płynnie w biodrach, gołębie z furkotem uleciały. Kędziorek śledził ich wolny lot na rozstłonecznionym niebie - i nagła fala ciepła owionęła go, rozradowała. Jakże! i tu w Gniezdnie niezgorzej. Słońce, muchy brzęczą, baba tam pewnie trajluje, dziewczki chodzą gibając się w biodrach, gołębie kołują pod niebem. Pokutę odprawi, prezbiterem ostanie - przecie Gaudenty obiecał - piwo będzie, bardzo dobre piwo warzy Dzierbołek. Czegóż się trapił?

Spokojny, błogi uśmiech rozlał się w zmarszczkach Kędziorka, wypełnił je po brzegi.

Gaudenty wolno wracał od Bolesława, czuł zmęczenie po długiej i burzliwej gawędzie. Między szopami drużynowymi leżał głęboki cień, stały tam kozły, które przystawiono do ostrokołu w czas obrony grodu - ciężkie rusztowania zbite z grubych bierwion dębowych. Olbrzymie ich nogi połączone były wzmacniającymi poprzecznicy. Gaudenty usiadł na poprzecznicy, ramieniem objął pionową belkę, przytulił skroń i policzek do szurpatego pnia.

Gołębie fruwały od dachu do dachu, gruchały. Zza węgła dochodził monotony przyśpiewmruzenie. Gaudenty odczuwał głęboką niemoc. Tego lata miewał coraz częściej zawroty głowy i ataki duszności. Rwało go czasem, choć wygłodzony żołądek nie miał nic do oddania. Męczyły go ciągle umartwienia. Męczył kraj, wciąż pogański, wciąż niezdolny odczuć Chrystusa. Męczył zwłaszcza Bolesław.

Był niby wiecznie głodny pies, niby wilk nigdy niesyty. Sam nie wiedział, co by zżarł w swojej chciwości. Wciąż było mu brak ludzi, słał ich ciągle po całej swej ziemi i do sąsiadów. Męczył nagłymi postanowieniami, co niby błyskawice przebiegały wzburzone niebo. Jakże to było w czasie owej wyprawy na Pomorze, do Rajnberna, gdy wydała się zdrada Astrykowa? Gnał wtedy Bolesław jak szalony. Na Pomorzu sądy odprawił, srogie sądy, aż Gaudenty z Rajnbernem musieli go hamować. Jeździli wówczas aż do Gdańska, uczyli i chrzcili.

Widzieli złe spojrzenia i zacięte usta. Rajnbern wskazywał księciu na zaciekłość Pomorzian. Jechali brzegiem, bo tu był piasek ubity, fale zalewały płaskość. Rajnbern obrócił surową twarz ku morzu i powiedział nienawistnie:

- To ono winne wszystkiemu. Morze. Ono to daje twardość ludziom.

- Jakże to? - zadziwił się Bolko.

- Pogańska to woda! Co ono widziało prócz chuci i mordy? Bałwochwalcy czczą je jako święte, ofiary składają. Póki nie oczyścimy tego morza, zawsze ono będzie krzepić serca przeciw Bogu.

Bolesław spojrział uważnie na biskupa.

- Co zamyślacie?

- Oczyścić ono morze - odbruknął Rajnbern, wargi się jego zacięły, a szczęki stały się jeszcze

bardziej kanciaste.

Na wybrzeżu zgromadził się tłum, gdy Rajnbern wjeżdżał z księdzem i z Gaudentym, konno, w głąb morza. Świątki śpiewały. Biskup zlał morze wodą świętą, potem kazał dać sobie wielkie kamienie, które ludzie wnosili brodząc po pas w wodzie. Na kamieniach tych były wyrąbane krzyże. Wówczas biskup namaścił one głązy olejem świętym, modlił się nad nimi i śpiewał; wreszcie w oczach całego ludu zatopił je. Ciężko pluchnęła woda. Zgromadzony tłum pojmował, że stracił swoje najmocniejsze oparcie - morze. Z głuchym hukiem szła woda od brzegu i rozbijała się bezsilnie na płaskim strądzie. Wtedy Bolko, ledwo wyjechawszy na brzeg, wołał Radbora:

- Słuchaj, stary, zbieraj łodzie, pojedziem Prusów łupić.

Wszyscy w drużynie wiedzieli, że Bolko nie znosił jazdy łodzią; opowiadali, że i w tej wyprawie rzygał do wody przez cały czas. I skąd mu to nagle przyszło - w czas tego oczyszczania morza! Zawsze jest taki.

Oparty policzkiem o szurpaty pień, obejmując go ramieniem, dumął Gaudenty nad zleceniami księcia. Ledwo takisiaki ład ustalił się w eremie, już zeń ludzi Bolko wyciąga. "Mają się tam gotować do misji, modlą się, umartwiają ciało i uczą się pogańskiego języka, a ty, ksze, już chcesz ich słać gdzie indziej." - Radzym składał błagalnie dłonie, spoglądał prosząco. Liczył, że Bolko wybuchnie, wtedy gniew unosił również Radzyna, łatwiej mu było wojować z księciem. Ale Bolesław patrzył w ścianę ponad nim. Garścią wąsy gładził, zdawał się być zadumany - jakby nie słyszał Radzyna. "Benedykt pojedzie - powiedział - zda się najlepiej. Wróci, wtedy się będzie gotował..." "Znowu go kajś pošlesz, ksze!" - wykrzyknął arcybiskup. Bolko spojrzał nań przelotnie, uśmiechnął się kątami warg, położył dłoń na ramieniu świątka: "Niechże Bruna ściągnie abo jeszcze kogo, będzie, was więcej/Wiem ci to ja dobrze, że wam ludzi brak, Radzynie, do waszego dzieła, ale i mnie brak dla mojego. A wždy jeno razem coś zrobim. Benedykt pojedzie, pošlesz kogo po niego, niechże poseł zawiezie mu pięć grzywien srebra na podróż. Maszli kogo? I sługę mu jakiego dodaj, człeka pewnego. Niechże on sługa zawiezie srebro Benedyktowi i konia, którego będzie mu obrządzał, i niech się Benedykt rychło gotuje do drogi, aż zawiadomię go, kiedy ma jechać i z czym". - I więcej nie było gadania o jeździe Benedyktowej;

Gaudenty siedział na koźle i myślał, kogo by do Benedykta posłać. I wtedy mu przyszedł na myśl ów Krystyn, którego otrzymał w darze od Andrzeja, zwanego powszechnie Kędziorkiem. Ciężko się ruszył Radzym z belki i powłókł się do grodowego komornika po srebro.

Niezbyt chętnie wjeżdżał Lubek z Gniezdna na rozkaz arcybiskupa. Ale gdy już most zadudnił! pod koniem, gdy jeszcze napił się piwa na podgrodziu u Dzierbołka, poweselał. Ileż to świata zobaczy, ile świata! Hej, świat...

Czerwona ściana sosen szumiała z czterech stron. Żuraw, wychodząc z rana ze swej chaty, dawnym nawykniem przeciągał ramiona, głęboko wdychał powietrze. Niedaleczko widział Dudka, nynie Mateusza, tak jak on sam zwał się teraz Izaakiem. Kosił oczy na brata, z którym nie wolno mu już było pogwarzyć. Na dobry ład nie wolno mu było nawet spoglądać na brata, nie wolno ramion przeciągać i z lubością wdychać ostrego zapachu jesieni, nie wolno z rozradowaniem patrzeć na tę czerwoną o wschodzie ścianę lasu, na ciemne czuby sosen, na świat, który jest marnością i złem. Ale



patrzył i pil radość - gorzką - z onych poranków i szronów, z długich, pasiastych chmur różowych i liliowych, z tej swojej złej, zakazanej, trującej go tęsknoty. Sławka - naczynie szatana - krząta się tam w chacie na podgrodziu krakowskim, tłucze garnkami, pewno klnie chłopca, co rzucił ją w bezmyślnej chwili uniesienia. Do tej baby swojej tęsknił Izaak trzepiący poranne modlitwy. Jan, który był przełożonym nad nimi, gadał im raz po raz, by otrząśli pył świata, a oddali się Bogu. Ale co rana miał Żuraw duszę zasnutą pyłem, nie umiał się oczyścić. Jakże tęsknił - pewno tak tęsknił Dudek w Italii i u Sasów. Do chaty swej, do jazgotu podgrodzia, do białości; najbardziej tęsknił do kowalskiej roboty, tak bardzo chciałby ująć trzon młota, czuć w dłoni, jak rozgrzane żelazo rozpląszcza się, rozkleja, ugina pod uderzeniem. Jezu Chryste!

Bił się Żuraw w pierś, ale twarde serce nie uginało się pod uderzeniem ni ździebko. Snadź twardsze było serce niżli żelazo. Złe serce.

Więc szły dni jednostajnej rozterki, dni przeciągania ramion, patrzenia w las i na chmury, dni tęsknoty za białością i kowadłem.

Owego ranka Jan wysłał obu braci do naprawy cierniowego płotu okalającego erem. Dłuższy czas pracowali w milczeniu. Naraz Izaak odrzucił topór, podniósł się, stał na rozkraczonych nogach, sapał, aż wykrzyknął:

- Dudek! - brat podniósł nań szybkie wejrzenie, jeszcze szybciej opuścił powieki, nie odginając się przeplatał paliki cieniem. Żuraw chwycił go wielką garścią za ramię.

- Dudek!... - tamten teraz dopiero się uniósł, ale pozostał na klęczkach. Wyszeptał:

- Zapomnij o tym, Izaak - obce imię wypadło sztucznie i chrapliwie - zwę się nynie Mateusz.

Starszy splunął, odskoczył, chwycił topór. Nie wiada - na brata chciał się rzucić czy na płot z cierni. Dychał. Dudek zamrugał powiekami:

- Złe cię opętało? Brat krzyczał:

- Jakie złe, Dudek, jakie złe? Umiesz się zbyć, wszyscy tu bez umu. Jakże to, Dudek, czyż się wściekłeś? Jakie złe? Abo to, kiedyś tężył w onej Italii do swoich, do Miłej i otroka... abo to było złe? Dudek?

Tamten również się podniósł, stanął naprzeciw brata, zbladł jeszcze bardziej.

- Głupiś ty, Żuraw... - nazwał go dawnym imieniem - głupiś ty! Nie złe, mołwisz? Może i nie złe. Ale co mi z tego tężenia, co mam? Pył.

Żuraw oprzytomniał, nie trza było tamtego tykać. Spode łba patrząc na brata zamruczał:

- A nynie? Rad jesteś, że tu siedzisz? Nie tężysz? Za Krakowem, za robotą?

Niespodziewany uśmiech przewinął się po wargach Dudka, a oczy mu pojaśniały:

- Rad. Nie tężę.

- Nie? - wykrzyknął Żuraw.

- Nie.

- Mówiłeś w Gniezdnie: Krystus cię ułowił. A jakże ułowił? Czym?

- Nie wiem. Ułowił.

- I rad jesteś?

- Rad.

- Tfu! - Żuraw wyciągnął ramiona, jakby odpychał brata. - A ja? Tążę cięgiem. Nie zmożę się.

- Odpędź złe.

- Nie zdołam.

- Odpędź.

- Nie zdołam.

- Diabeł cię kusi, ale... Żuraw... - w oczach Dudka igrał uśmiech, nie potępienie. - Może nie lza mi mówić tak... wždy czuję to - pięścią stuknął po piersi, a w oczach jeszcze bardziej mu poweselało - Żuraw... Wždy jeszcześ nie ślubował. I tam, w Krakowie, jest Kryst. Idź.

Żuraw zbladł, błędnie patrzył na brata.

- Jakże to?

- Idź. Tak dumam sobie: wszędy można Bogu służyć. Idź do dom.

- I ty mówisz to? Dudek? - jakby nadzieja grała w głosie kowala.

- Ja. Czemu się dziwisz?

- Oba pójdziem.

- Nie. Ja ostanę. Mnie dobrze tu. W tej puszczy... - powiódł dłonią dokoła, wskazując ściany lasu. Żuraw spytał zdławionym głosem:

- Dobrze ci tu?

- Dobrze. Ale ty... kiej tak tążysz... idź.

Zdało się, że Żurawia coś gniecie do ziemi, aż przygniotło, opadł twarzą na więdące trawy, zaczął ryczeć nagłym płaczem, drgały mu ramiona i plecy, bulgotało w gardle, skowytało w piersi. Dudek patrzył nań chwilę, potem ukląkł, bez słowa zaczął splatać ciernie przy palikach. Dużo czasu

upłynęło, nim Żuraw się podniósł, przykląkł przy bracie. I on słowa nie rzekł. Pletli, milcząc, do wieczora.

Słońce zsunęło się za las i cień ich okrył czarnym płaszczem. Żuraw podniósł się pierwszy i patrzył na złote czuby sosen. Mięśnie twarzy miał zeszywniałe, jakby na wielkim mrozie. Dudek udeptywał jeszcze ziemię koło palików, potem odwrócił się do brata i rzekł:

- Pójdziem.

Żuraw zamówił pośpiesznie:

- Tyś mi coś zadał, Dudek, urzekłeś mię. Ale już teraz wiem: nie pójdę do Krakowa. Ostanę tu. Och, usidlaliście mię we wnyki.

- Kto? “

- Wy: Jezu Kryst i ty. Obaj.

- Obaj ? - powtórzył Dudek, który się był przezwał Mateuszem, i uśmiechnął się.

Do eremu zaprowadził Łubka olbrzymi, ospowaty Bugaj. Stał rozkraczony i słuchał, jak chłopak zdawał posłanie wobec Jana i Benedykta. Rozbłyły mu oczy, skoro ujrzął mieszek ze srebrem. Pogardliwie spojrział na chłopca, gdy ten rzekł, że ma tu ostać. Wreszcie odszedł, ciężko stąpając i sapiąc. Lubek ostał.

Doprawdy, świat jest dziwny i trudny do pojęcia. Lubek patrzył na życie w eremie - życie jeszcze od gniezdnieńskiego dziwniejsze. Lelum, po co to wszystko?

Chodził do lasu, nosił wodę, drwa rąbał. Śpiewał z innymi i modlił się, wodząc wzrokiem po wpuszczonych we wręby belkach. Tak trzeba było, więc dobrze było - Lubek ze śmiechem przyjmował zawsze to, co mu życie niosło.

Wysoki kościsty Jan gadał z nim długo - Lubek nie pojmował wszystkiego w tym gadaniu. Wždy nie gadanie ważne, co inszego drgało w Lubku pewnością - że dobre jest życie; nawet tu, w tym cudacznym eremie. A no!... Czyli chce Bogu służyć i Jego Matce? A no!... Służył ojcu, Kędziorkowi, Gaudentemu... - r - może i Bogu; i Matce Jego, czemu nie. Czy chce? Chce. Wiernie będzie służył? Wiernie.

Został Lubek zaliczony do grona uczniów - sam nie wiedział dobrze jak i po co. Ale rad 'był - już to zawsze był rad ze wszystkiego, co życie mu niosło - taki był.

Najchytrzejszym człkiem w Gniezdnie okazał się Dzierbołek. On to bowiem pierwszy z podgrodzian ulał dwie grube świece z wosku, wypolerował je i poniósł Gaudentemu z prośbą, by ten zapalił je dla uczczenia Wojciecha. Palily się dwie świece piwowara Dzierbołka u trumny świętego, a sąsiedzi zbiegali się umyślnie, by je widzieć - jak płoną jasno, długie i grube, nie byle jakie: żaden woj ni wielmoża nie ulał tak wielkich świec. Gdy nadmiar wosku zbierał się z boku świecy i zlewał się długim, zastygającym strumieniem, chłopak arcybiskupi oblamywał owe zacieki i pieczołowicie

wkładał je do małego koszyka; podcinał również knoty srebrnymi nożycami. Dzierbołek się nadymał i puszył, zerkał małymi oczkami, czy aby nie patrzą ludzie gdzie indziej, jak na jego świece.

Oho! Dzierbołek! Komu by innemu strzeliło do głowy, co jemu strzeliło? Z owym piwem, z którego żyć można, albo choćby z onymi świecami, przede wszystkim jednak z tym czerwem. Dopiero na zbieraniu czerwiu zaczął się bogacić Dzierbołek.

A zaczęło się to od owych świec. Dzierbołek poszedł do swego swaka, Warcisława, spodziewając się, że grodozierzca już słyszał o jego ofercie i że go pochwali. Ale w ów czas u Wartka był kupiec kijowski, złożył dary dla księcia i dla żupana, a teraz obaj oglądali owe dary. Kupiec był chłopem roslym, szerokobarym, śmiałym z gęby, śmiał się pokazując swój towar. Dzierbołek się nie pchał do stołu, zatrzymał się w cieniu drzwi - jeszcze by się Wartko rozgniewał i w kark go wyrznął. Łypał tylko oczyma na owe bogactwa i na ruchającą się brodę obcego.

Muchy leniwie brzęczały.

Warcisław pytał:

- Przyjedziecie w jesień po czerw?

Kupiec kręcił brodę garścią, chropawą mową powiedział:

- Przyjadę, ale późno przyjadę. Trza mi do Nowgorodu jechać. A szkoda. Ksiądz dał mi prawo po całej tej ziemi czerw skupywać, a ono nie stanie czasu. Objechać wszędy... długo. A do nas po on czerw z Bizancjum kupce jadą; kiej odjadą do siebie, nikt nie weźmie czerwiu, zgnije mi.

- Przyjeżdżajcie - mruknął Warcisław. - Radziśmy wam.

- Z Nowgorodu przyjadę na mało-wiele, ledwie gdzie w las skrećę. Choćby dziesięć łubek mieć czerwiu. Żle.

Dzierbołek stał w cieniu u drzwi, słuchał. Czuł, że mu w środku coś naraz drgnęło, jakby radość. Z czego? jak? tfu! Dychał szybko, gały w kupca wlepił. Coś mu się tłukło po łbie, niejasne i płochliwe. Kupiec... czerw... Bizancjum. Nie mógł . słuchać dalszej pogwarki przy stole.

Skoro kupiec wyszedł, Dzierbołek obłąpił Warcisława pod nogi. Błady był, spotniały.

- A ten co? - warknął grodozierzca - dur ji obleciał?

- Panie - zająkał szybko Dzierbołek - kupiec on pry, jako nie będzie miał czasu... on czerw zbierać po ludziach... tak sobie dumam... ja bym... ja bym...

Wartko słuchał z dłońmi na rozstawionych kolanach, nie pojmował:

- Co momoczesz? Co ty?...

- Czerw bym dla kupca zbierał - wydechnął Dzierbołek. Warcisław potarł kark i potylicę, spojrział

niewpewnie:

- Jakże to?

Teraz Dzierbołek się podniósł i - jak byk w natarciu - na grododzierżcę:

- Zwólcie, Warcisławie. Dacie mi konia i koła, pojedę po puszczy. Będę czerw brał od tych, co go zbierają, za noże abo kablączki, jako kupce. A przyjedzie kupiec w jesień, weźmie czerw, a nam dary da abo srebro, żeśmy się dlań trudzili.

Warcisław zamrugał powiekami, pojął.

- A czy ksiądz zwoli?

- Co nie ma zwolić? Zwoli. Wždy dał kupcowi prawo czerw po ludziach zbierać. Dla niego będę zbierał i ja, tak jakbym był jego człek.

Warcisław uderzył dłonią po kolanie i zaśmiał się naraz. Bo i on poczuł wiew radości z Nowego.

- A no!... - i zasępił się. - Skądże weźmiesz noże i kablączki?

- Kupiec mi da! - wykrzyknął Dzierbołek pełnym głosem. - Kupiec da! Dla niego ten czerw.

Patrzyli sobie w oczy, obaj śmiali się. Warcisław grubym basem, jakby przewalało się mu co w piersi, Dzierbołek cienkim chichotem. Wreszcie Warcisław się nastroszył, burknął jak zwykle:

- A ty bacz... nie stanie jednego kupcowego noża... skórę drzeć każę. Rankiem będę gadał z kupcem. Zechce on, a Bolko zwoli, dam tobie konia i koła. A będzie, jakoś gadał: połowa tobie, połowa mnie.

- Tak i będzie.

- Słyszałem: dwie świece dałeś Wojciechowi?

- Dałem. Wielkie świece, że większych nie ulejesz.

- Dobrześ zrobił, ale bacz: weźmiesz jeden nóż abo połamany kablączek, skórę z ciebie drzeć każę. A nynie, kiej już zagadaliśmy się, napijesz się miodu. Od piwa już ci pewno zęby ścierpły.

- Moje piwo dobre - Dzierbołek znów cienko zachichotał - zęby od mego piwa nie cierpną.

- Ho! - wykrzyknął Warcisław - obacz ji, jaki dufny. To przynieś mi cebrzyk onego piwa.

- Przyniosę - chichotał Dzierbołek.

Nazajutrz gadali z kupcem. Kupiec zgodził się zrazu, widać: rad był. Obiecał zostawić towar - noże, toporki, bisior, sukno - lecz nie Dzierbołkowi, samemu Warcisławowi. Gdy przyszło do zapłaty, kłócili się pół dnia. Warcisław raz po raz nastawiał dłoń do uderzenia; ale kupiec twardy był,

obietcywał piękne dary, nie mówił, jakie. Warto się zniecierpliwić, zniechęcić, już mu było wszystko jedno, byle prędzej. Ale Dzierbołek zawziął się - przeparał kupca.

Stanęli na pół grzywny srebra za dziesięć małych łubek czerwiu. Zapili urnowe.

W środku lata rozpoczął Dzierbołek wędrówkę po puszczy, na wozie, który mu dał Warcisław. Do pomocy wziął Jaszka, który się zalecał do jego młodszej córki; chłop miał przetrącony kulas, ale był udaty i sprytny. We dwu odszukiwali klecie zbieraczy, nabywali od nich łubki z czerwem. Dzierbołek, oho! chytrek był z Dzierbołka. Prócz onych noży i siekier, które otrzymał od kupca, wyładował wóz kaszą i mąką, trzy łagwie piwa wziął z sobą - kupował za nie czerw. Zacierał ręce - tych dodatkowych koszy nie odda za pół grzywny srebra i dzielić się zapłatą z Warcisławem nie będzie.

Zawalił chatę śmierdzącymi łubkami, odetchnąć w niej nie można. Ci, co po piwo przychodzili, klęli, twierdzili, że łagwie czuć czerwem. Przestraszył się Dzierbołek. Inny by rzucił skupywanie czerwiu albo warzenie piwa - temu zawždy było mało. Umyślił - widział to kto? - kleć postawić na czerw. Koniem Warcisławowym ściągnął drzewo z lasu, razem z Jaszkiem mozolili się kilka dni, zbudowali kleć, wszystkie kosze przenieśli z chałupy; najbardziej były z tego rade córki Dzierbołkowe - śmiali się z nich chłopcy, że czerwem trąca. Dzierbołek znów piwo warzył, znów wyładował wóz, znów ruszył w puszcze. Chytrek.

W tej podróży odkrył chatę, w której mieszkała Krasa.

Tego lata czerwiu było jak nigdy. Chatę wypełnił lepki, słodki zapach nie dosuszonej zgnilizny. Łubek zbrakło i stary wypełnił czerwem dwa kosze z wikliny, czekał na kupca. Nie przybył jednak obcy kupiec, przybył mały, pękaty człek z kulawym chłopcem; przywieźli kaszę i mąkę, bisior i noże. Srogo krzyczał ów tłusty człek - mało dawał za czerw. Wyładowali wóz śmierdzącymi łubkami - niby sianem - a zostawili, oprócz mąki i kaszy, pół łagwi piwa - dobre było, stary podchmielił wraz, gadał do późna, jak to drzewiej bywało, lepiej bywało - i toporek żelazny; pięć grotów żelaznych myślał stary przehandlować u myśliwców na mięso, a pięć dziesiątków krusz solnych schował do skrzyni, gdzie miał siedem lnianych płatów i srebrną obręcz - wszystko za czerw. Broda mu się trzęsła i oczy łzawiły. Wraz z babą przejrzał wszystko: płótno, srebro i sól, burczał zaślinioną gębą:

- Hoo! bogactwo! bogactwo!

Krasa tego lata mało myślała o Bugaju. Jak dawniej ogarniała ją radość - tak cieszy się życiem pęd leszczyny strzelający ku górze, tak śpiewa skowronek zachłystujący się chłodem słonecznego przestworza. Rada była, gdy się schylała nad strugą i w obie dłonie nagarniała wodę; rada była, gdy zbierała chrust i szczęśliwymi oczyma goniła zmykającą ku górze wiewiórkę; rada była, gdy o zmierzchu kładła się na posłaniu z suchych porostów, słyszała sapanie otulającego się w kozuch dziada i poburkiwania baby; lędźwie i ramiona pełne były snu i znużenia, a nad strzechą błyskały niepojęte gwiazdy; czyliż nie były jej siostrami na tym pełnym radości świecie - jak mech, jak paproć, jak mrówka, jak sarna.

Zasypiała z głową złożoną na ramieniu, płuca jej równomiernie wypełniały się powietrzem, czerwone ciała krwi przyjmowały tlen, niosły ku sercu, ku wątrobie, ku kiszkom - wymieniały

składniki, budowały mięśnie i unosiły cząsteczki zużyte - w tym wiecznym, celowym rytmie kosmosu, z tą samą nieświadomością, z jaką komety zwijały i rozwijały swój świetlny płaszcz wokół słońca. Czyliż nie była siostrą gwiazd - jak one nieświadoma swych celów i przeznaczeń?

Gwiazdzista noc spała nad krajem - cichym snem nieświadomości.

Pomiędzy czterema ścianami sosen, na pobliskiej porębie, ludzie nie spali. Brat Jan zgięty w kabłąk bił się w pierś w bolesnym odczuciu swej niegodności wobec wielkości Boga. Benedykt szeptał słowa prośby o nieoddalenie się od Jezusa w czasie długiej podróży z rozkazu Bolesława. Izaak, zwany Żurawiem, męczył się w odczuciu sztuczności życia, w które wpadł. Krystyn, syn Ksieńców, odmawiał nakazane modlitwy nocne ze spokojną pogodą, jak wprzód siekł trawę w chacie ojca, a później służył Kędziorkowi - taki jest bieg jego życia, nie wiedział, co to jest wojna z własnym życiem. Mateusz klęczał z wyciągniętymi na bok ramionami, nie myślał ani szeptał modlitw, nie czekał ani czuł swej niegodności, zlewał się z odczuciem szczęśliwości, jaka spływała nań wprost od wielkiego Boga.

Sosny szumiały na krańcach poręby.

Niby cyklony niebieskie wirowały gwiazdozbiory w czarnej przestrzeni.

Po preriach - na drugiej półkuli - dudniąc i rycząc szło stado bizonów.

Krasa chyliła głowę na ramię, równy oddech podnosił faliście jej piersi.

Bugaj wśród nocy wstał, otulił się w kożuch, wziął topór, nie budząc towarzyszy wymknął się z izby.

Po wargach brata Mateusza przewijał się cichy uśmiech, o którym Bóg tylko wiedział.

Bóg patrzył na daleką ziemię spomiędzy gwiazdowego pyłu. Bugaj przeciągnął się, mocniej ścisnął toporzysko.

Gwiazdzista noc spała nad krajem - cichym snem nieświadomości.

Późną jesienią pojechał Bolesław do Krakowa, by być bliżej granicy czeskiej, skąd spodziewał się pierwszych wieści o Astryku. Podgrodzianie widzieli, jak się ciężko wspinał pod górę na wielkim, czarnym koniu obok Gaudentego; za nimi człapało kilkunastu jeźdźców. Sulisław wybiegł w pół góry, witał księdza. Bolesław uśmiechnął się niewesoło, nie zatrzymując wierzchowca, zagadnął:

- Nie było wysłańca od Gniewka?

Sulisław szedł obok konia, podniósł swą suchą twarz, szczechnął:

- Nie.

- Pod włos nam nynie wszytko idzie.

- A no...

Bolko znów się uśmiechnął, jechali milcząc. Byli już blisko bramy. Ksiądz podniósł oczy i naraz wstrzymał konia. Spojrzenie mu pojaśniało. Drużyna stała za nim nieruchomo, dech zataili. Sulisław ujrzał, że twarz księdza spłonęła. Woje za nim patrzyli urzeczeni. Poza szczerbatym ostrokołem sterczały dwie wielkie wieże, ciężkie i przysadziste, między nimi kładła się płaszczyzna dachu. W wygięciu wrót grodowych świecił jasny cios budowli. Bolko naraz odetchnął, jakby mu ciężar stoczył się z piersi. I niecierpliwie ruszył koniem.

W bramie grodu stał Poppon, prezbiter Jakub i świątki. Świece paliły się równo, dzień był bezwietrzny, blade słońce zalewało kraj mleczną, smutną poświatą. Błyskały złotem szaty świątków. Gdy orszak doszedł bramy, ciężkimi kroplami zagrały dzwony obu wież. Bolesław i Gaudenry zeskoczyli z koni. Poppon szybko posunął się ku nim, stukał końcem pastorału o ziemię.

- Chwała bądź Jezusowi Chrystusowi - powiedział arcybiskup, zrobił szeroki znak krzyża; jego chuda twarz pełna było tajonej radości.

Stali w obramieniu wrót, patrzyli. Teraz dopiero widzieli. Ogrom i ciężar. Jakby głązy wspięły się w dwie tęgie wieże, w potworne mury, gniotły ich te mury zlaną w jedno masą - cóż jest człek? proch! Otwarte wierzeje katedry z półkolistym sklepieniem w onej bryle kościoła - niby norka królicza. Dyszeli.

W pewnej chwili Bolesław oderwał wzrok, poszukał oczyma owej drobnej cyrkiewki, którą był się pysznił przed Wojciechem, że kamienna. I gdy oczy wróciły do ciężaru katedry, poczuł, że fala siły wzbiera w nim z głębi, zalewa pierś i gardło. Niecierpliwie tupnął nogą.

- Idźmy.

Pod huczącymi dzwonami ruszyli ku onej norce króliczej, wydłubanej w stoku góry. Ale skoro w nią weszli i Bolko uniósł wzrok, ujrzał, że wysoko nad głową wznosi się mu potężny kamienny łuk, przez który wpłynęli szeroką ławą, by znowu stracić dech ze wzruszenia.



Nazajutrz dziedziniec grodowy pełen był ludzi - zwiedziła się już okolica: ksiądz przyjechał. Pogwar, niby szum drzew. Sławka, białka kowalowa z podgrodzia, odszukała swego stryja - Koprzywa był chłopem małym, pomarszczonym, oczyma gęsto mrugał, słuchał żalów białki:

- Kiej pojechał do Gniezdna, ni widu ji, ni słuchu - palcami ocierała łzy z policzków, nosem siąkała - Dadźboże, Dadźboże... Bajał mi Włodek, iż jest w służbie u księdza, poszedł Żuraw kajś w puszcę, tamok żyje, modli się do Jezu Krysta..., Bogać tam, modli się... ja go znam, suchognata... dziewczkę znalazł, żyje z nią, dziad... Jakoże mnie samej nynie, starej - uczepliła się kozucha stryjowego - jakże? Do księdza przysłam z żalem, ksiądz nie pomoże, kto pomoże?...

Koprzywa gęsto mrugał powiekami.

Munia, woj z wielmożnego rodu, któremu jeszcze pod Haliczem prawą pięść Rusy ucięły, w niewolę wzięły, że trza było nie byle jaki okup dać zbójom, siedział teraz na ławie pod szopą drużynną, z krzywym uśmiechem wodził wzrokiem po ciżbie, gadał do stojących przed nim synów - chłopcy były rozrosłe, długoszczękie, ze skołtunionymi czuprynymi, milczące i głupawe. Sypały się przyciszone słowa:

- Baczcie, durnie, obłapcie księdza pod kolana... prosić ji będę, iżby was do drużyny wziął... weźmie tam takich durniów, eh!

Stary Oksza błędził od jednego do drugiego, zagadywał, podśmiewał się, chichotał. Ludzie pędzili go precz.

- "...jakże to", powiem mu, "jakże to, ksze? Wždy ja stara, a on kajś wəkroni się, dziad" - łzy wciąż spływały Sławce po policzkach.

Niby chmara wróbli jazgotały wyrostki na lipach grodowych - wiadomo, w dzień sądów każdego wpuszczą do grodu, choćby smarka. Stróża spędzała ich z drzew, ale komu tam dziś stróży strach, ona sama się boi. Bury Staśko trącił trzonkiem sulicy Gniewoja:

- Naszczeka kto księdzu, żeśmy latoś poigrali nad Wisłą z onymi kmieciami, źle będzie.

Chwojak dyszał ciężko:

- Obaczysz: Krzywula wraz swój brzuch przed księdza przyniesie. Czegóżby przyszła - palcem wskazał na wysoką, kosooką babę, dojrzała go, przez ciżbę coś krzyczała, groziła chudą pięścią. Wepchnął się między tłum.

- Nie umkniecie - gonił ich wrzask baby.

- Ha ha ha! - śmiała się zbita w kłęb kupa kmieciów.

- ...a spyta was ksiądz abo zagada, odrzeknijcie, nie stójcie kiej osmalone pałki - warczał ściszym basem jednoręki Munia: cała Chrobacja śmiała się z głupoty tych jego synków, miał ich czterech, nynie dwu myślał się pozbyć; chłopiska sterczeli przed nim bez ruchu, łby skołtunione, oczy wbite w ziemię.

Przed kupą wojów bajął drobny człeczek w szatach kościelnych:

- A jak miłuje on święty mąż, Wojciech, księdza naszego, a nienawidzi pogan, obaczycie, co się stało z grodem Mazowszan. Zdarzyło się, że Prusy z nagłą wypadli na Mazowsze po łup. A w stróży onego grodu był woj, którego spotkali w lesie przy siłkach. Rzekli mu tak: "Abo cię ubijem, abo ci damy wielgie bogactwa, a ty nam gród wydasz. Co chcesz?" A on rzekł im, że chce bogactwa. Tegdy puścili ji, a on namówił innych. W nocy wciągnęli one psie chwosty Prusów na sznurach do góry. A ci czekali na wałach na zgubę grodu do rana. Ale zważcie. Ten, co zawżdy czuwa, a nigdy nie zaśnie, posłał woja swojego Wojciecha, i pogan czyhających w zasadzce na chrześcijan spłoszyła groza oręża niebieskiego. Ukazał się Prusom zbrojny mąż na białym koniu, a straszył ich nagim mieczem i pędził ich na złamanie karku ze schodów i wału grodowego. I wielki krzyk zrobiły Prusy w ucieczce. A stróże grodową obudził on wielgi krzyk. Tegdy się poderwali a chwycili broń, a tak uderzyli na Prusów, że nie uszedł ni jeden. A onym psim chwostom głowy zdjęli.

Stary Oksza podszedł do Muni i chichocząc przyglądał się jemu i dwom synom stojącym wciąż bez ruchu przed ojcem. Munia potarł kikutem o biodro.

- Pójdiesz wen, żabi chwoście!

- Hi hi hi - chichotał Oksza do siebie.

- Będę prosił księdza, iżby dał ojcu dziewczki dar swadziebny - Krzyk zbliżył twarz do twarzy Kościeja - byłem z księdzem u Węgrów i u Weletów, będę prosić...

- Da! - burknął Kościej i zaśmiał się - będziesz miał swoją dziewczkę, urodzi ci syna.

- ...ech! - stęknął Koprzywa i zamrugał oczyma - o czymże świadczyć będę?

- Świadczie - siąkała nosem Sławka.

- Tak to Wojciech więcej może niżli stróża grodowa! - wołał świętek.

Bartnik Mamer momotał swym nudnym głosem:

- Wosk dawałem, miód do grodu dawałem... Zaciąłem siedem nowych barci, latem przychodzę, patrzę: podebrane. Trza psiemu synowi kiszki wokół drzewa ciągać wedle starego obyczaju.

- Trza - kiwał głową Żuk, jego swak, także bartnik. Głuchy pogwar unosił się na dziedzińcu: mnogo ludzi zważyło się do wawelskiego grodu.

Drzwi gospody księżej otwały się, pod podcienie wyszedł Bolko z Sulisławem i Popponem. Nie dostrzeżono ich zrazu. Dwu otroków wynosiło zydle sądowe dla księdza, biskupa i grodzierzcy. Bolko miał gębę ściągniętą, jakby utrudzoną. Podniósł ciężkie powieki, patrzył na podwórze. Sulisław kiwnął dłonią na człeka z rogiem, iżże miał trąbić, gdy ksiądz siądzie. Lecz Bolesław nie usiadł. Ten, ów już go dojrzał, poruszyła się ciżba, chynęła ku gankowi. Bolesław ciężko załomotał ku nim, wszedł w tłum. Otoczyły go oczy proszące, skarżące, pełne nadziei, bojące się, witające - różne. Bolesław po wiódł wzrokiem dookoła i do pierwszej z brzegu białki - drżały jej wargi i łyzy

kapwały po policzkach: - Jakże zwa cię? Maszli co do mnie?

Ludzie tłoczyli się, wysadzali głowy między ramionami sąsiadów, zagadali naraz wszyscy. Bolesław roześmiał się, kiwnął dłonią, zawołał:

- Cichajcie, nie wszyscy wraz - i znów zwróciwszy się do Sławki:

- Gadaj.

- Możesz odejść, Stanko.

Został sam. Waliły się nań te wieści przez całe lato, jesień i zimę - coraz gorsze. A przecie do niedawna roiło się mu w głowie... - nie wiedzieć co się roiło, musiał się dołąć z własnymi domysłami, niby z szamoczącym się niedźwiedziem, któremu łowiec wbił sulicę w brzuch. Teraz zważyło się wszystko. Bolesław siadł przy palenisku, ujął żelazny pręt, grzebał nim w węglach. Błyski płomienia skakały mu po twarzy, rzucały czarne cienie koło nosa i na policzkach. Zapatrzył się w żar węgla. Monotonnie bił deszcz po dachu.

Został sam. Coraz częściej zostawał teraz sam - z myślami. Kraj - jego kraj, który zdobył wbrew woli ojcowej, który wiedzie ku czemuś, co miga odległym majakiem - cały kraj, całe księstwo spoczywa teraz we śnie. Tylko stróża gdzieś chodzi po wałach, tylko wilk się przemyka gąszczami i puchacz huka po głuszy. Kiedyż to było? - chyba dopiero co? Jechał samotrzeć ze Stojgniewem a Zadorą - był żółty dzień wczesnej jesieni. Kraj leżał senny, zasnuty pajęczyną. Kiedyż to było - chyba dopiero co? - pędził uśpionym krajem, który go czekał z pokornym poddaniem. Wtedy?...

Nie wiedział jeszcze wtedy, czym jest samotność.

Kraj oddycha sennym westchnieniem nocy. Tylko gdzieniegdzie stróża wędruje po wałach, tylko wilk się przemyka gąszczami i puchacz huka po głuszy. Złowrogie wieści waliły się nań w ostatnich czasach.

Jakże to było? Aha! Był przecie u Rajnberna na Pomorzu, gdy przyleciał Zadorą z wiadomością o zdradzie Astrykowej. A dopieroć roiło mu się... co się roiło?... Pędem pogna! do Krakowa, rozesał gońców, znów pojechał na Pomorze, tam sądził i utwierdzał swe władztwo, aż nie wytrzymał w tym spokojnym czekaniu: wyprawił się z chasą łupieską na Prusów. Znów do Krakowa wrócił, był przy poświęceniu katedry, w której się zamierzał koronować, sądzi! i polował.

Czekał.

Wtedy się nań zważyła wieść o zrękowinach i ślubie Gizeli, siostry Henryka Bawarskiego, ze Szczepanem Węgierskim. Wiedział: przeciw niemu to przymierze Bawarów z Węgrami. A potem raz wraz łomotały kopyta końskie: zawsze ze złowrogimi wieściami.

O knowaniu Węgiez z Kijowem.

O porozumieniu się przyrodnych braci z Henrykiem, któremu złożyli hołd lenny.

O uzyskaniu przez Astryka korony królewskiej, lecz nie dla Bolesława - dla Szczepana.

O niesnaskach siostry Bolkowej, Świętosławy, z mężem i o zwróceniu się Swenda przeciw Brytom po zawarciu pokoju z Sasami.

O intrygach macochy, pani Ody.

## O koronacji Szczepana.

A przede wszystkim, przed innymi walącymi się nań ciosami, wsączała mu się w pierś czarna wątpliwość: Otto... Można by wbić nóż w plecy Ottonowi i zmienić cały układ sił, które gromadzą się wkoło nad księstwem, by chmury gradowe. Astryk odwiózł koronę Szczepanowi, a nie mogło to się stać bez wiedzy Ottona. Otto... A przecie Bolesławowi się zdawało, że jeszcze czuje na wargach suchy pocałunek cesarski i słyszy tamte szalone słowa - z krypty akwizgrańskiej, kiedy czerwone błyski pochodni skakały po załamaniach trumny Wielkiego Karola, oni zaś obaj, milcząc, zaprzysięgli sobie drużbę i wierność. A w skarbcu gniezdnieńskim zatknięta w żelazną tuleję stoi włócznia świętego Maurycego - koronacyjne insygnium cesarskie. Otto...

Szalone były dumki Ottona, nierzeczywiste. A Szczepan koronował się naprawdę.

Wciąż siedział przed paleniskiem i grzebał prętem w żarze. Ileż to wieczorów i nocy tak przesiedział. Jechać gdzie? Wojów zwoływać? Gońców śłać? Dokąd?

Dawniej by nogą tupnął, radę zebrał. Teraz siedzi z przygarbieniem pleców, w żarze grzebie. Nic nie wymyśli rada, wytrzeszczy, wąsami poruszy, Zefrid będzie bulgotał, jak bańki bulgoczą w błocie, Poppon powie o cesarzu i papieżu, Zadora pochrząka niby karmny wieprz, Budziwoj spyta, czyli wici rozesłać po grodach. Piekucie będzie się gęba ruchała, Przemko wykrzyknie: "O wa!" i będzie myślał o sobie, że mądry, Wszebor nosem siaknie, Stojgniewa nie ma. Samemu trzeba się dołąć!

Dorzucił chrustu na węgle, bezmyślnie patrzył, jak ogień jął obejmować drzewo, aż strzelił w górę.

Zima tego roku była mroźna, czarne noce iskrzyły się gwiazdami, całą zimę przespał Bolko w grodzie krakowskim jak borsuk. Burczała nań drużyna i rada - tyle że w puszcę pojedą na zwierza. Białki krakały: "Niezdrow ksiądz". Szeptali mężczyźni: "Chciało mu się królestwa, nynie uszy zwiesił, kwasi się".

Gdybyż wiedzieli: nie samo tylko królestwo majaczyło w dumkach Bolesława - więcej, o wiele więcej... Jakby mu się drzewa przesmykały pod palcami, nad głową obłok okrągły, jasny bardzo. A oto Astryk pojechał na Węgry - i wszystko rozsypuje się w garści na popiół, na pył. - Cóż rada może wiedzieć o rojeniach cesarskich i o dumkach, które paliły się pożarem - a po których jest popiół.

Nawet gdy chodził, znać było lekkie przygarbienie pleców. A wieczorem, przy ogniu, gdy grzebał prętem w żarze i bezmyślnie wpatrywał się w płonące węgle, kark mu wyginał się w pałąk. Całkiem zdziadział ksiądz.

Burczeli, wzruszali ramionami, krzywili się. Komora księcia śmierdziała dymem, a osadzona była jak piekarnia. Nuda żarła księdza.

Ciepły wiatr, pachnący już wiosną, wiał nad śniegami. Świat był szary i wilgotny. Ściany grodu stały bure, wrony kręciły się leniwie, spadały na wylażące spod tającego śniegu śmietniska, grzebały; gdy szedł człek, unosiły się czarną, wrzaskliwą chmurą. Wróble darły uszy rozradowanym wrzaskiem. Kałuże chlupały pod stopami wodą zmieszaną ze śniegiem, zostawały w nich czarne ślady.

Bolesław łaził ociężale po ogrodzie, miejsca sobie znaleźć nie mógł. Worki miał pod oczyma. Zalał do katedry, pokręcił się niecierpliwie, wraz wyszedł. Leniwym krokiem powlókł się do dworu Poppona, wyciągnął rękę do drzwi, zmarszczył się, niby piołun wypił, odwrócił się zniechęcony. Stał chwilę, patrzył bezmyślnie po dziedzińcu. Znow się powlókł - bez celu - stanął przy wieży grodowej. Trzeba wejść, mówił komornikowi grodowemu, że przyjdzie oglądnąć broń, zwłaszcza trzeba sprawdzić, czy cięciwy łuków nie pobutwiały. I strzały. Poczul, że go mierzi gród, ludzie i składy. Odwrócił się i znow patrzył leniwie na dziedziniec.

Doleciał go daleki okrzyk, przekrzywił głowę, słuchał chwilę. Znow mu nuda chodzi po kościach, znow zre go pustka. Białka opatulona chustą, na krzyż zawiązaną na piersi, kuszykn skądsi z kubłem pomyj, ujmuje kubel za dno i brzeg, chlusta długą smugą na szary śnieg. Och! cały gród jak ten kubel z pomyjami!

Znow gdzieś daleko krzyk. Tupot nóg. Widzicie go, psiego chwosta, miał siedzieć w komorze, rzemienie u pancerza smarować skromem, a lata po grodzie. Niby świeża krew z zapiekłej rany bluznęła złość. Wrzasnął:

- Stanko!

Stanko okręcił się w mig jak bąk pod biczem, tymże pędem biegł do księdza. W biegu jeszcze sapał:

- Ksze... ksze...

- Co latasz, jakbyś piórko w tyłek wsunął?

- Ksze... kupa jakowaś wali od rzeki.

Zdało się - wyprostował się ździebko Bolesław.

- Obcy?

- Kto ta wie. Widać: zbroje łyskają. Znowu mdła fala zniechęcenia:

- Idź, obacz.

Naraz wrzask zza załomu: "Stojgniew!", Bolko zaruchał zuchwami, zrobił kilka kroków ku bramie, już doń leciał Sulisław, spod długich giczdłów przyskał mokry śnieg.

- Stojgniew wraca...

Stali u bramy, patrzyli. Kupa konnych ciągnęła pod górę, będzie ze trzystu zbrojnych. Bolko opierał się o słupek, obrócił głowę do Sulisława, pełne niepokoju zdumienie zadrgało mu w głosie:

- Na Boga! Wždy to ci, co ich dałem Ottonowi, gdy odjeżdżał ode mnie z Gniezdna.

Jechali zbitym, niemrawym stadem, widać to od bramy: gęby wychudłe i obrosłe, koniom zebra policzysz, pancerze pordzewiałe. Razem z nimi - lelum! konie dane Astrykowi z Odrzykoniem,

świętki Gaudentego, Wdała, obaj woje niemieccy - Konrad z Arnaburg i Unwan z Minden. A Stojgniew?...

Bolkowi twarz stężała, stała się twarda i groźna. Dojrzeli księdza w orszaku, lecz nie podegnali koni. Trwoga szła od tej kupy bezładnej, wlokącej się pod górę. Bolko czekał namarszczony, bez ruchu. Za nim już ciżba się zbierała, zrywały się strwożone szepty. Bolko nie drgnął, wciąż stał oparty o słup, czekał.

Przypelzli pod bramę, stanęli. Stojgniew był bez hełmu, w ręce trzymał rękojeść ułamanego miecza. Najechał niemal na Bolesława, nie zszedł z konia, podniósł rękę i cisnął pod nogi księcia ułamek miecza. Serca stanęły, dech zamarł. Bolesław wbił w drugą przerażone oczy. Wówczas Stojgniew uniósł oba ramiona i zakrzyknął:

- Biada! Na zamku Paterno na górze Sorakte, niedaleczko Romy, zmarł z zarazy cesarz rzymski Otto, nie zdobywszy grodu!

Na te słowa ci woje, których przed paru laty wysłał Bolko do Italii z cesarzem, jeden po drugim zaczęli ciskać miecze na ziemię.

Bolesław nie rzekł słowa, pochylił się, siadł na głazie służącym do przywierania otwartych wrót, by nie trzaskały na wietrze - i zapłakał z żalu po cesarzu i przyjacielu.

Cały dzień drzwi komory księżej były zamknięte - Bolko słuchał opowiadania Stojgniewa. Siedział na skrzyni, ręce spuścił między kolana, patrzył w ziemię. Zdał się Stojgniewowi wiele starszy, zacinał dolną wargę zębami, żuchwy mu na policzkach latały. Raz po raz pytał o coś krótkim, niecierpliwym słowem. Nie kłął.

Już mrok był, gdy rzekł:

- Idź, zjedz nynie, wypij. I zawołaj do mnie radę. Pogwarzymy.

- Tu? - Stojgniew powiódł zdziwionym wzrokiem po ciasnej komorze.

- Tu! - odparł twardo Bolesław, nie ruszył się ze skrzyni.

Gdy zaczęli się schodzić, ksiądz siedział odwrócony tyłem, przed ogniem, z prętem w ręku, jak całą zimę - głowy nie podniósł. Kosili nań oczy ze złością. Budziwoj trącił łokciem Zadore, zgrzytnął coś zduszonym szeptem. Biskup Poppon i prezbiter Jakub rozpytywali po cichu Stojgniewa o Romę i śmierć cesarza. Zefrid wsunął dłonie w rękawy, zwinął się w kącik w kłębek, błyskał oczyma. Odrzykoń wlepił zdumiony wzrok w przygarbionego księdza, gładził wąsy garścią.

Do Bolka dochodziły zduszone szepty - tuż za nim. Gotowało się w nim, nie gadał, nie wstawał do nich, gdyż wiedział: trzeba wprzód uładzić wszystko w sobie. Już go nie żarła nuda. Całą zimę siedział odrętwiały, teraz wiedział, czuł teraz: czekał na tę wieść. Musiało się coś stać, nynie pojął: to właśnie się stało. Teraz wszystko trzeba od nowa zaczynać. Od nowa! Inaczej! Patrzył - jak tyle długich wieczorów - w żar węgla, lecz nie widział już żaru. Majaczyły się mu dzikie obrazy, pogmatwane i dziwaczne - musiał w nie ład wprowadzić.

Zebrana rada śledziła go ponurym wzrokiem, nie widziała jego twarzy, widziała tylko skuloną, olbrzymią postać - obmierzło już im to skulenie - i rękę z prętem. Coś tam szeptali Gniewkowi w ucho - i on utkwiał niespokojny wzrok w drugą. Zaczęło ich coś gnieść, urywały się szepty. Ciężka cisza zalała komorę - wszystkie spojrzenia nieruchomo wbite w księdza.

W pewnej chwili ujrzeli, że plecy Bolesława powoli się prostują, jakby z trudem dźwigają się, rozszerzają się bary. Ksiądz podniósł się, powstał, obrócił się, spojrzał po nich.

Skoro ujrzeli jego twarz - inna to była twarz niż w czasie zimowych miesięcy: twarda i groźna - mróz po nich przeszedł. Żaden nie drgnął, a jakby się wszyscy sprężyli. Bolko patrzył na nich - wciąż z tym strasznym milczeniem - na każdego z osobna, kulili się pod tym wzrokiem. Jakby wszystko to, co się w nim odkładało przed długą zimę, wybuchło naraz. Aż podnosząc na wysokość kolana swój pręt od żaru, którego był nie odrzucił, powiedział te same słowa, co Stojgniew pod bramą krakowską, lecz niskim, spokojnym głosem:

- Na górze Sorakte na zamku Paterno zmarł na zarazę cesarz Otto... - urwał gwałtownie, dalej patrzył; nie mogli oderwać odeń wzroku, znów im mróz przeszedł między łopatkami. Płomień rzucał krwawe, drgające blaski. W końcu Bolesław rzekł:

- Przewaliło się wszystko, cośmy budowali i cośmy w zamyśle widzieli, przewaliła się drużba i mir. A jeśli nie przeszkodzimy, by Henryk został cesarzem i królem Germanii, wtedy wiecie, co to jest? - zacisnął pięść na pręcie jak na mieczu. - To jest wojna. Na śmierć. Bo wtedy albo im śmierć, albo nam. Przeto radźcie, jak zrobić, by Henryk nie został cesarzem.

I naraz - w tej ciasnej komorze - zaczął iść ku nim z żelaznym prętem w ręce, jakby chciał na nich uderzyć. Jednocześnie odruchem cofnęli się. Poczuli plecami twardy opór drewnianej ściany.

Był rok 1002 po narodzeniu Chrystusa.